

Mroczne tajemnice Pomorza odsłania Leszek Herman,
mistrz powieści sensacyjnej!

LATARNIA UMARŁYCH

LESZEK HERMAN

LESZEK HERMAN

LATARNIA UMARŁYCH



Warszawskie Wydawnictwo Literackie

Projekt okładki: *Mariusz Banachowicz*

Redakcja: *Ita Turowicz*

Redaktor prowadzący: *Małgorzata Burakiewicz*

Redakcja techniczna: *Karolina Bendykowska*

Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*

Korekta: *Maria Śleszyńska*

Wydawnictwo dziękuje panu Jerzemu Buziałkowskiemu,
prowadzącemu strony:

<https://www.facebook.com/galeriadarlowo>

<http://www.galeriadarlowo.pl>,

za możliwość wykorzystania na okładce pocztówki
pochodzącej z jego zbiorów.

© by Leszek Herman

© for this edition by MUZA SA, Warszawa 2016

Ta książka jest fikcją literacką i wytworem wyobraźni autora.
Wszelkie podobieństwo do realnych osób i zdarzeń jest niezamierzone
i całkowicie przypadkowe.

ISBN 978-83-287-0395-7

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Wydanie I

Warszawa 2016

*Morze – otwarte dla wszystkich i nie dochowujące wierności
nikomu.*

Joseph Conrad

Spis treści

PROLOG

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24
Rozdział 25
Rozdział 26
Rozdział 27
Rozdział 28
Rozdział 29
Rozdział 30
Rozdział 31
Rozdział 32
EPILOG
Podziękowania

PROLOG

25 listopada 1941

Morze było spokojne. Daleko na horyzoncie wąską, ledwie widoczną linią, migotliwie odcinającą się od nieba, majaczyły zarysy wybrzeża. Łagodny wiatr popychał długie fale, które z lekkim szumem łamały się i cicho tonęły, z rzadka jedynie pokrywając się na wierzchołkach pianą. Nieczęste o tej porze roku słońce wydobywało srebrne błyski z łagodnie falującej, ciągnącej się w nieskończoność szaroniebieskiej płaszczyzny, na której – niczym główny motyw jakiegoś impresjonistycznego pejzażu – kołysała się łódź rybacka.

Długi na dziesięć metrów, drewniany żółty kadłub miał na dziobie wymalowany czarną farbą napis RUG-12. Na wyłożonym zszarzałymi deskami pokładzie uwijało się dwóch okutanych w sztormiaki rybaków, którzy krzycząc do siebie, wyciągali z wody sieć, pełną iskrzącego się w słońcu srebra.

Dorsz. To nie była najlepsza pora na łowienie dorsza, ale to nie była w ogóle najlepsza pora na nic. Arnold Jauch uważał się za patriotę, ale patriotyzm patriotyzmem, a z czegoś żyć trzeba. Wojsko krzywo patrzyło na kutry i łodzie pływające na łowiskach blisko tutejszych brzegów, tylko gdzie do diabła mieli pływać? Na Gotlandię? Okoliczne tawerny i hotele miały o tej porze roku raczej mało urozmaicone karty dań. Świeża ryba to zawsze było coś. Kupią wszystko na pniu.

Jauch stał oparty o drzwi w nadbudówce łodzi i patrzył, jak dwaj młodzi mężczyźni mozolą się z linami trałowymi przy wyciąganiu sieci. O tej porze roku dorsz żerował w małych stadach w głębokiej wodzie. W lecie zbijał się w wielkie ławice na tarło, ale teraz pływał niewielkimi grupami albo nawet pojedynczo. Można było próbować połowu na granicy płycizny, jakieś dziesięć mil od brzegu, albo pływać wzdłuż niej z trałem dennym. Niektórzy ryzykowali i wypływali dalej, nawet pod Bornholm, inni uważali, że

pływanie zwykłymi krypami na taką odległość to igranie z losem. Pogoda na morzu mogła się zmienić nawet w ciągu dwóch godzin. Generalnie jednak trzeba było mieć po prostu doświadczenie, znać łowiska, znać brzeg, wiedzieć, gdzie jest płytko, gdzie są zatopione wraki, w których lubiły się czasem chować mniejsze ławice, znać po prostu tę cholerną robotę.

Problem w tym, że teraz i tak to wszystko nie miało żadnego znaczenia. To, co się działo od dwóch lat na wybrzeżu, powodowało, że ryba była zdezorientowana. Praktycznie od wybrzeża aż pod Nexø czy Snogebaek łowiska były kompletnie zdewastowane. Dorsz zachowywał się irracjonalnie, mniejsze ławice się dzieliły, a ryby pływały, poszukując spokojniejszych miejsc. Przydałby się tutaj taki troll jak ten, który rozwścieczony głośnym biciem dzwonów w starym kościele w Bodils rzucił weń ogromnym głazem. Głaz do tej pory tkwił w dzwonnicy, a Jauch oglądał go wiele lat temu, gdy zwiedzał Bornholm. Mógłby tak porządnie walnąć w tych szaleńców i odesłać ich tam, skąd przyszli. Czyli do piekła.

Westchnął i wyjął z kieszeni stary zegarek. Po dziadku.

Dochodziło południe.

*

Wilhelm patrzył z dumą na pięknego gniadego folbluta, którego prowadził do niego właśnie rządcza Schulz. Koń był bardzo wysoki, miał w kłębie dokładnie metr i siedemdziesiąt trzy centymetry, co dla niższych osób stanowiłoby już problem przy wsiadaniu. Ale nieważne. I tak jeździł na nim tylko on, ewentualnie stajenny Paul, któremu jednemu mógł zaufać, że nie zmanieruje cennego wierzchowca. Ogier stawiał długie, płynne kroki i trzymał wysoko głowę, wciągając głośno powietrze chrapami.

– Trzeba wymienić popręg w pańskim siodle, panie hrabio. – Rządcza podał wodze Wilhelmowi i ściągnął zarzucone na siedzisko strzemiona. – Jest już trochę nadszarpnięty.

– Jeszcze na nim pojeżdżę. – Wilhelm chwycił wodze, wsunął czubek skórzanego buta w strzemię i jednym płynnym ruchem dosiadł konia. Ogier jak zwykle zrobił krok do tyłu i do przodu i podniósł głowę, nadstawiając uszu.

Rządca odsunął się na skraj gazonu i osłaniając ręką oczy przed słońcem, spojrzał w górę.

– Panie hrabio, okno w wieży wymaga jednak wymiany. Jest zużyte i nieszczelne. Był wczoraj stolarz i oglądał. Jak je otworzył w końcu, to potem nie mógł zamknąć i teraz jest tylko przymknięte.

Feralne okno od północnego wschodu.

Wilhelm podniósł wzrok i spojrzał na wznoszącą się przy pałacu wysoką wieżę, nakrytą hełmem ze zgrabną latarenką, nad którą na długiej szpicie kręcił się kurek z datą budowy. Dokładnie na szczycie wieży tkwiło ogromne półkolistе okno, jedno z czterech z każdej strony, które wielkością dorównywały nieomal głównym dwuskrzydłowym drzwiom wejściowym do pałacu. O ile pozostałe okna trzymały się dobrze od czasu montażu – czyli od blisko trzydziestu lat – o tyle to jedno było jakieś felerne. Od początku trudno się domykało, a później odkształciło się jeszcze bardziej, w końcu na wszelki wypadek w ogóle przestano je otwierać. Może drewno było źle przygotowane, a może zaszkodziły mu północne wiatry znad morza i sól, którą niosły tutaj, smagając nią ściany.

Wilhelm westchnął i obrzucił spojrzeniem front pałacu. Ogromny, nakryty mansardowym dachem frontowy ryzalit – za którym na parterze, za trzema półkolistymi oknami, znajdowała się wielka paradna jadalnia – oplatała gęstwina winobluszczu, którego czerwonawe bezlistne gałązki lśniły w niespodziewanym listopadowym słońcu.

Elewacje wymagały remontu, odświeżenia. Bez dwóch zdań. Tylko że to nie był dobry czas na żadne remonty. To nie był dobry czas nawet na cholerną wymianę okna.

– Potem się tym zajmiemy – rzucił do rządcy i poklepał konia po szyi. – Sztormu dzisiaj raczej nie będzie.

– Ale na okno będziemy czekać z miesiąc, zanim stolarz je zrobi. – Schulz był zdeterminowany, żeby popsuć swojemu panu przedobiednią przejażdżkę.

– Porozmawiamy, jak wrócę, Schulz.

Wilhelm spał lekko wodze i dotknął łydką końskiego boku, co wystarczyło, by zniecierpliwiony beczynnym stanem w miejscu wierzchowiec radośnie poderwał się do przodu.

*

Przez gotycką bramę, tuż pod drewnianym gankiem, opierającym się na zakotwionych w ścianie wieży potężnych drewnianych podporach, wjechał rowerem na dziedziniec zamkowy starszy człowiek. Zatrzymał się tuż za ostrołukowym przejazdem bramnym i oparł wysłużoną damkę o ceglany mur. Wspiął się po trzech stopniach i stanął przed ciężkimi wrotami. Przez chwilę grzebał w przepastnych kieszeniach znoszonej czarnej marynarki, aż wreszcie wyciągnął pęk kluczy na sporym, solidnym kółku. Jeszcze tylko moment na odnalezienie wśród dziesiątków różnej wielkości kluczy tego właściwego i brama stanęła otworem. Ciemna sień, kamienna posadzka. Na prawo droga wiodła do wieży i do pomieszczeń w skrzydle południowym, na lewo do dawnej sali rycerskiej, przemianowanej później na kaplicę zamkową pod wezwaniem świętej Elżbiety.

Stary człowiek przeszedł przez sień, otworzył kolejne drewniane drzwi i skierował się ku kręconym schodom wiodącym na drugie piętro do Izby Podróży Morskich – jednej z sal ekspozycyjnych Muzeum Powiatowego, które powstało zaledwie dziesięć lat temu w wydźwigniętym z ruiny po pożarach i latach zaniedbań zamczysku.

Dzisiaj muzeum było zamknięte – dzień porządków. Zresztą i tak ostatnio prawie nie było zwiedzających. Szklane gabloty z modelami żaglowców i resztkami wyposażenia dawnej siedziby pomorskich książąt w kompletnej ciszy pokrywały się kurzem. To nie były najlepsze czasy na zwiedzanie muzeów.

Stary człowiek uchwycił się drewnianej poręczy i rozpoczął mozolną wspinaczkę po kręconych schodach, pogrążonych we wspomnieniach z XVI wieku.

*

Rynek miał kształt sporego kwadratu, z zachodnią pierzeją zamkniętą przez barokowy gmach ratusza, nad którym dominowała wieża stojącego za nim kościoła Mariackiego. Przed budynkiem cieszyła oko słynna fontanna z posągiem rybaka, przyciągająca w sezonie tłumy letników, którzy co roku – jak w każdej fontannie na świecie – zostawiali sterty groszaków, wrzucanych

z naiwną nadzieją na szczęście. Na tle jasnej elewacji ratusza ciemniały bezlistne już gałęzie posadzonych w równym szeregu formowanych lip.

Słońce oświetlało brukowaną nawierzchnię rynku, migocząc w rozrzuconych tu i tam, pozostałych po niedawnym deszczu kałużach. Pierwszy od dawna taki dzień, wyrwany z szaroburej listopadowej aury.

W północnej pierzei rynku, na rogu ulicy Długiej, stała niewielka kamieniczka nakryta mansardowym dachem z naczółkiem. Od lat mieściła się tu na parterze drogeria, przesłonięta przez rozrośnięte konary starej lipy. Dokładnie w momencie, gdy kuranty skończyły wybijać godzinę dwunastą, otworzyły się drzwi, a zawieszony nad nimi drewniany dzwoneczek zaklekotał radośnie. Na progu pojawił się młody mężczyzna w szarej marynarce. Sięgnął do kieszeni, wyciągnął paczkę papierosów i zszedł po kilku stopniach na chodnik przed budynkiem. Zapalił, głęboko się zaciągnął, usiadł na szerokim kamiennym stopniu schodów i z zadowoleniem wystawił twarz do słońca. Jak dawno go nie było. Od wielu tygodni padały deszcze, zacinały zimne północne wiatry, które przesywały chłodem do szpiku kości, a dziś nagle wyszło słońce. Rozparło się na bezchmurnym niebie i nawet trochę grzało. Młody człowiek miał na imię Hans i codziennie rano, drogą obsadzoną kasztanowcami, pokonywał rowerem kilka kilometrów z pobliskiej wsi, żeby otworzyć podwoje niewielkiej mydlarni.

Po drugiej stronie ulicy, nieopodal, starszy pan w surducie otworzył oszklone drzwi sklepu kolonialnego, pomachał przyjaźnie do młodzieńca i zniknął ponownie w środku. Szyby zamigotały w słońcu.

Tuż obok, lekko utykając, przeszła starsza kobieta. Skinęła głową Hansowi. Wiedział, że ma na imię Greta. Pracowała niedaleko, w małym hotelu po drugiej stronie rynku. Codziennie w południe przechodziła tędy powoli, zmierzając w stronę budynku z charakterystycznym wysuniętym ryzalitem, w którego frontowej ścianie, nad dużym oknem, umieszczony był napis EBERT'S HOTEL. Hotelik o tej porze roku był pusty, ale i tak należało zmienić pościel w pokojach, pootwierać okna, odkurzyć, a dopiero potem usiąść z zażywną kucharką Martą w kuchni na tyłach budynku, żeby napić się gorącej herbaty i podzielić najnowszymi plotkami.

Hans zaciągnął się papierosem i szczelniej otulił marynarką. Słońce słońcem, a listopad to listopad. Mogło być co najwyżej pięć stopni, choć

promienie słoneczne miło grzały twarz.

Jeszcze kilka godzin i będzie mógł zamknąć i pójść pod kościół Mariacki, gdzie pod starym dębem, od niepamiętnych czasów nazywanym imieniem Marcina Lutra, umówił się z Ingą.

Już nie mógł się doczekać. Spojrzał na zegarek. Minęło właśnie kilka minut po dwunastej.

*

Kościół Mariacki, zgodnie ze starym zwyczajem, wybudowany został z ołtarzem skierowanym na wschód. Każdego ranka przez strzeliste gotyckie okna absydy wpadało do wnętrza światło, przecinając mroczne nawy świątyni długimi świetlnymi sztyletami, w których wirowały drobinki kurzu. Kościół był trójnawową bazyliką, ze strzelistą środkową nawą, nakrytą gwiaździstymi sklepieniami, oświetlanymi przez trójkątne, usytuowane ponad dachami naw bocznych okna. Paradoksalnie, niegdyś świątynia była jaśniejsza, chociaż pokrywały ją wówczas mozaikowe malowidła, zanim nie przemaalowano ścian na jednolitą biel. Na przełomie wieków dokonano przebudowy, wprowadzając do wnętrza drewniane galerie nad bocznymi nawami, które przecięły boczne okna, zacieśniając dodatkowo wnętrze, a kolorowe freski zniknęły pod protestancką pobiałą. Z dawnego wystroju zachował się witraż z połowy XIX wieku z Chrystusem błogosławiącym, który łaskawie wpuszczał do wnętrza tęcze błyśki, przenikające przez szybki w ołowianych ramkach.

Stara kobieta w długiej granatowej sukni i zawiązanej na głowie chustce pochyliła się nad wiadrem z brudną wodą i wrzuciła do niej zdjętą dopiero co ze szczotki szmatę. Chwyciła za stalową rączkę i kołysząc się na boki, ruszyła środkową nawą w kierunku ołtarza.

Miała na imię Erwina i przychodziła tutaj sprzątać od dobrych dwudziestu lat. Może i było nawet tych lat więcej, nigdy nie liczyła. Była protestantką, ale pamiętała dawny wystrój kościoła i żal jej było kolorowych esów-floresów, które dekorowały niegdyś każdy filar, łuk tęczy i fragmenty sklepień. Nie wszystkie zmiany są dobre.

Wspięła się po trzech schodkach prowadzących pod ołtarz i postawiła wiadro na kamiennej posadzce. Echo metalicznego uderzenia rączki, która

z brzękiem opadła na blaszany ceber, odbiło się od starych ścian i brzmiało jeszcze w powietrzu, gdy Erwina uklękła pod samym ołtarzem i szybko się przeżegnała. Przez moment chciała zostać na kolanach dłużej i pomodlić się w intencji tych wszystkich problemów, czarnych myśli i obaw, które obsiadały ją jak stado wróbli, gdy tylko pozwalała sobie na chwilę słabości. Zamknęła oczy, odetchnęła głęboko, wciągając do płuc powietrze, jakby chciała zrzucić z piersi wielki kamień, i podniosła wzrok do góry.

Niegdyś stał tutaj pyszny ołtarz z hebanowego drewna, w którego czarne ramy wplecione były tablice z czystego srebra, przedstawiające sceny z życia Chrystusa. Imponujący, bogato rzeźbiony portal stał na tle barokowej nastawy, dopóki nie znalazł miejsca w południowej nawie, gdzie pozostał do dzisiaj. Jeszcze dawniej całą wnękę głównego ołtarza wypełniało ogromne, pociemniałe ze starości malowidło przedstawiające Chrystusa na łodzi podczas sztormu. Erwina wspominała je z nostalgią. Kojarzyło jej się z dzieciństwem. Pamięta, jak ściskając rękę matki, patrzyła zafascynowana na ogromne fale pochłaniające łódź i unoszących z przerażeniem rękę w kierunku Chrystusa ludzi.

Zdegradowany obraz wisiał teraz w bocznej nawie. Nie wszystkie zmiany są dobre.

Przynajmniej pozostał witraż, który wznosił się za ołtarzem niczym wielki klejnot oprawiony w ramy ogromnego okna. Kunszt wykonania tysięcy malutkich szybek oprawionych w ołowiane ramki był dla Erwiny niepojętym cudem, którego nie potrafiła objąć rozumem. Czasami przychodziła tutaj z samego rana, żeby zobaczyć, jak słońce, przedzierając się przez szklane meandry, rzuca na posadzkę kościoła kolorowe refleksy.

Westchnęła i dźwignęła się ciężko z kolan, zamiatając długą spódnicą posadzkę.

Zostało jej jeszcze całe morze czarno-szarych kamiennych płyt do wyszorowania.

*

Sieci nie były pełne nawet w połowie. No i tak to właśnie jest. Ryba lata, gdzie chce. Jauch patrzył, jak Noah i Elias zrzucają ostatnie wiadra dorsza pod pokład.

– Postawcie te włoki – mruknął do stojącego bliżej Eliasa. – Potrałujemy po dnie.

Morze w tym miejscu było czyste. Żadnych wraków czy żelastwa, sieci można było zniszczyć dopiero bardziej na wschód. Odwrócił się i omijając leżące na deskach ryby, które zdołały wyrwać się z wiader i rzucały się teraz desperacko po pokładzie, podszedł do nadbudówki i szarpnął za drewniane drzwiczki.

Popłyną wzdłuż brzegu, burtą do wiatru wprawdzie, ale dziś nie było nawet czwórki[1]. Łagodny wiaterek. Kurs 80°. Północno-wschodni.

*

Hans dźwignął się z zimnego granitowego kamienia, zaciągnął po raz ostatni papierosem i wyrzucił niedopałek do kratki kanalizacyjnej przy ulicy. Odwrócił się i wszedł szybko po trzech schodkach. Trochę zmarzł w samej marynarce, pod którą miał jedynie lekkie poło. Sięgnął do metalowej klamki i pchnął drzwi do środka. Lekko skrzypiąc, otwarły się, a drewniany dzwoneczek nad nimi ponownie zaklekotał. W odbiciu w szybie zauważył przez krótki moment, jak środkiem rynku przechodzi kobieta w kapelusiku, trzymając za rękę brzdąca w czapeczce z pomponem. Od strony południowego narożnika wtoczył się na plac wóz zaprzężony w ciężkiego gniadosza, a stara Greta, kuśtykając powoli, dochodziła właśnie do drzwi wejściowych hotelu. Jeszcze zdążył pomyśleć, że do szesnastej prawie cztery godziny nudy i że jakoś będzie musiał to wytrzymać. Jeszcze zdążyło przemknąć mu przez głowę, że to cholerna strata czasu, którego być może nie zostało mu wiele, zanim nie przyjdą także po niego, jak po wielu innych mężczyzn.

I wtedy oślepił go na moment nagły blask.

Odbił się w kwadratowej szybcie drzwi wejściowych niczym błysk flesza.

Hans odwrócił się gwałtownie i zobaczył, jak na niebie nad południowo-wschodnią pierzeją rynku rozlewa się chmura dymu, z której środka dopiero co błysnęły jęzory ognia. Nie trwało to nawet kilkunastu sekund, ale czas – jak zwykle w takich momentach – zwolnił, zamieniając się w zbiór pojedynczych slajdów, które odciskały się w pamięci obrazami niczym wypalone na skórze piętno. Stop-klatka z zatrzymanym ujęciem konia, który

stanął dęba, z przerażoną twarzą powożącego mężczyzny w starym kapeluszu i kobietą, która obronnym ruchem ramion zasłania małego chłopczyka.

Grzmot, który się rozległ, był tak potężny, że wszelkie inne dźwięki przestały istnieć. Przewalił się przez rynek jak ryk przedpotopowego potwora, a w ślad za nim zatrzęsała się ziemia. Hans, zastygły z przerażenia w otwartych drzwiach, widział, jak koń zrywa się do galopu, woźnica zaś, w beznadziejnej próbie opanowania oszalałych ze strachu kilkuset kilogramów mięśni, usiłuje go zatrzymać. Wóz, szarpnięty zbyt mocno pod ostrym kątem, przewraca się i szoruje po brukowej nawierzchni, gubiąc po drodze drewniane koła i rozsypując się w drzazgi. Kobieta, która zasłoniła ciałem chłopczyka, zgięła się wraz z nim do samej ziemi, wciskając głowę w ramiona. Grzmot nie zdołał jeszcze wybrzmieć do końca, wciąż hucząc w ogłuszonych bębenkach uszu, gdy nad rynkiem przetoczyła się fala uderzeniowa. Tak jakby czas na moment się zatrzymał, po czym wszystkie szyby w północnej pierzei rynku i w całym prawie ratuszu eksplodowały.

Sparaliżowany ze strachu Hans, z oczami wbitymi w niebo nad rynkiem, nawet nie zauważył, że z jego karku kilkoma wąskimi czerwonymi strumykami ścieka krew, a ostre kawałki rozbitej szyby powbijały mu się w skórę.

Gdy cały kościół się zatrzęsł, Erwina właśnie szorowała kamienną posadzkę pod samym ołtarzem, pracowicie polerując stare płyty granitu. Grzmot, który rozległ się gdzieś od strony południowej, zwielokrotniony przez pokutujące od średniowiecza w starym budynku echo, wdarł się do środka niby fala powodziowa. Erwina zdążyła zadrzeć do góry głowę, żeby zobaczyć, jak wszystkie okna na szczycie środkowej nawy, pod samymi sklepieniami, zamieniają się w migoczące chmury szklanych iskier.

– *Der Seebär!* – wydukała z przerażeniem, a przez głowę przemknęły jej wszystkie opowieści o starej klątwie, które słyszała w dzieciństwie.

Gdy niebo nad miastem eksplodowało, kustosz był w połowie drogi na drugie piętro zamku i wspinał się właśnie po kolejnym zakręcie spiralnych schodów. Przylepiona do zamkowych murów wieża, kryjąca kręcone schody, zatrzęsała się, a z samego jej szczytu – zamkniętego drewnianym stropem z podbitym od spodu deskowaniem i utrzymaną na siatce starą wapienną obrzutką – posypał się tynk. Stary człowiek znieruchomiał, kurczowo

zaciskając dłoń na drewnianej poręczy, i zamknął z przerażeniem oczy. Oczekiwał, że za chwilę stare mury zaczną się walić, i tylko modlił się w duchu, aby nie trwało to długo. Przeżył pierwszą wojnę i zdarzyło mu się być zamkniętym w gmachach, w które trafiały pociski armatnie. Walące się stropy, kruszące się ściany i potężne belki stropowe zamieniały się w mgnieniu oka z elementów zapewniających bezpieczeństwo w miażdżące maszyny śmierci.

Zamek zatrzęsł się w posadach, a po chwili kustosza dobiegł dźwięk pękającego szkła. Ogromnej ilości pękającego szkła.

*

Odgłos oddalonego o blisko trzydzieści kilometrów epicentrum wybuchu dotarł do zabudowań majątku po niecałych dwóch minutach. Z tak dużej odległości przypominał jedynie głuchy grzmot nadciągającej burzy. I tak też w pierwszej chwili pomyślał Wilhelm, gdy wjeżdżając pomiędzy drzewa parku, usłyszał dochodzące ze wschodu tąpnięcie.

Koń postawił czujnie uszy i parsknął z niepokojem.

Wilhelm zawrócił i spojrzał na niebo nad odległym może o kilkaset metrów pałacem. Było jasne i bezchmurne.

Piorun z jasnego nieba! – pomyślał z przekąsem.

Burza oczywiście nie stanowiłaby specjalnej przeszkody dla odbycia miłej przejażdżki, gdyby nie koń. Zdenerwuje się, spieni i jeszcze dostanie kolki. Paul będzie musiał go potem lonżować przez pół godziny. Diabli nadali!

Nagle zdał sobie sprawę, że piękna słoneczna pogoda chyba pomieszczą mu w głowie. Burza w listopadzie? To jak śnieg w lipcu. Zrobił kolejne kółko na wysypanej jasnym żwirem ścieżce i spojrzał po raz drugi podejrzliwie na niebo nad zabudowaniami.

Tymczasem fala uderzeniowa rozchodząca się po okolicy wokół miasteczka powoli zbliżała się do wsi. Osłabiona przez wysokie sosny i potężne dęby okolicznych lasów targała jedynie wierzchołkami drzew i zmuszała młode sosny do unizonych pokłonów.

Gdy wtargnęła na otwartą przestrzeń pól przed wsią, nabrała ponownie impetu, a po kilku sekundach dotarła do pałacu. W tym samym momencie,

w którym Wilhelm podniósł wzrok, żeby niezdecydowanie po raz któryś z kolei spojrzeć w kierunku folwarku, targnęła latarenką na wieży i szarpnęła kurkiem, który zatańczył obłąkańczego walca.

I prawie jednocześnie ogromne, feralne okno w wieży eksplodowało i z potwornym hukiem spadło na dach ganku nad wejściem, rozpryskując się na setki fragmentów drewna i szkła.

Wilhelm z niedowierzaniem patrzył na tę scenę. Zza drzew parku dobiegły go głośne krzyki. Miał nadzieję, że nikogo nie było akurat na podjeździe.

Spiął konia i po chwili wyjechał spomiędzy drzew na otwartą przestrzeń przed pałacem.

Na ganku stała załamująca ręce kucharka, a za nią jej dwie pomocnice. Na piętrze pootwierały się okna i wyglądali z nich zdezorientowani domownicy.

Spadające okno uszkodziło dachówkę nad gankiem. Porozbijane ceramiczne szczątki leżały przed frontonem pałacu.

Wilhelm wstrzymał niespokojnego konia, który ostrożnie stąpał pomiędzy fragmentami dachówek i szkła, i spojrział ponad koronami kasztanowców, ocieniających dach nad rządówką na drugim końcu dziedzińca.

Pięknie! To teraz nie tylko to cholerne okno będzie do wymiany, ale i cały dach nad wejściem.

Jakieś trzydzieści kilometrów dalej, dokładnie na wschód, do falochronów portu docierały pierwsze fale podwodnej eksplozji.

*

Krypa z głośnym mruzeniem płynęła, ciągnąc za sobą liny trałowe, na których rozpięte w głębinach sieci miały połyskać nieostrożne ryby. Jauch stał oparty o koło sterowe i patrzył, jak dziób łodzi, lekko się poddając bocznemu wiatrowi, rozcina niewysokie fale. Myślami był już w porcie, przy kuflu piwa. Dzień jakoś wyjątkowo mu się dłużył.

Noah i Elias siedzieli na pokładzie i gadali, głośno się co chwilę zaśmiewając. Wczoraj, gdy było zimno i pochmurno, nie dało się z nich słowa wydobyć, a dziś słońce rozwiązało im języki. Jauch martwił się, co pocnie, jak ich zabiorą. W miasteczku zostało jeszcze paru młodych mężczyzn, ale wojenna machina dopiero zaczynała się rozkręcać, co chwilę

pożerając nowe, młode życie. Jauch miał swoje poglądy na to wszystko, co działo się dookoła, ale wiedział, że nie należy się specjalnie z nimi afiszować.

Oderwał się od ponurych rozważań i wyjrzał przez boczne okienko na tył. Czuł, że sieć zaczyna się napęcznieć. Liny trałowe były napięte, mieli chyba szczęście i trafili na jakąś zdeorientowaną ławicę. Nieźle by było, wróciliby do portu z całkiem dobrym połowem jak na listopad. Pieniądze bardzo by się przydały.

Najpierw coś błysnęło.

Gdzieś od strony lądu. Nie było to nic aż tak dziwnego, na poligonie bez przerwy robili jakieś próby i ćwiczenia. Minutę później jednak doleciał do nich huk. Z tej odległości przytłumiony, ale skoro było go słychać wyraźnie kilkanaście mil od brzegu, musiało to być coś potężnego.

Jauch otworzył drzwi i wyjrzał na zewnątrz. Noah i Elias wstali i trzymając się burty, patrzyli w stronę brzegu. Noah wskazał palcem jakiś punkt. Jauch zdążył spojrzeć w tym kierunku, gdy nad ich głowami przeleciało nagle coś wielkiego, zostawiając za sobą ryczące w proteście powietrze.

Pocisk spadł jakieś dwieście metrów od łodzi. Wbił się w morze, wywołując fale, które po kilku sekundach uniosły krypę i szarpnęły nią w górę i w dół. Jauch wskoczył do środka nadbudówki i złapał za koło, jednocześnie wyłączając silnik.

Wszystko wydarzyło się praktycznie w jednej chwili. Morze po lewej burcie eksplodowało, a masy wody wysokości kilku metrów ruszyły na sunącą wciąż w poprzek fal krypę. Nawet gdyby zdążyli zrzucić liny i pozbyć się włoków, nawet gdyby łódź zdołała ustawić się dziobem do fal, i tak nie mieli żadnych szans.

Ostatnie, co Jauch zobaczył, to jak Noah chwyta się kurczowo burty, a rozwścieczona fala z białą grzywą odrywa go od niej niczym piórko i wciąga w wir.

Łódź przewróciła się na bok i gigantyczne masy wody przewaliły się nad nią jak stado galopujących mastodontów. Nie było czasu na powolne pogrążanie się w odmętach. Krypa nie miała szansy, żeby zwyczajnie zatonać.

Morze pożarło ją jak wielka, wściekła bestia, błyskawicznie wciągając na dno.

*

Kustosz ostrożnie otworzył oczy. Zza ścian dochodziły coraz rzadsze odgłosy pękającego szkła. Kryształowa kakofonia trwała jeszcze przez moment, po czym nastąpiła hucząca w uszach cisza. Stary człowiek po chwili zdecydował się poruszyć. Podniósł wzrok i spojrzał w górę zamkowej wieży. Od zamykającego ją stropu oderwały się całe płachty tynku i zwisały teraz na długich wążach stalowej siatki. Na stopniach schodów leżało mnóstwo wapiennych okruchów. Stary człowiek postawił ostrożnie nogę na kolejnym stopniu i powoli wszedł na półpiętro schodów. Przez niewielkie okienko można było stąd zobaczyć elewację północno-wschodniego skrzydła zamku. Szyba w okienku była rozbita, a posadzka pod parapetem usłana odłamkami szkła. Kustosz ostrożnie podszedł do otworu i wyjrzał na zewnątrz. Przez chwilę stał oniemiały.

Wszystkie okna w budynku pozbawione były szyb, a brukowany dziedziniec zamku zasłany był szklanymi okruchami.

Posadzka kościoła chrzęściła pod nogami. Erwina, omijając co większe kawałki szkła, podeszła w nabożnym wzruszeniu do drewnianego klęcznika, który stał przed samym ołtarzem, i uklękła ciężko na ciemnej, twardej powierzchni.

Podniosła wzrok i z wciąż bijącym głośno sercem rozejrzała się dookoła.

W wielkich oknach sterczały resztki pogruchotanych szyb, a z zewnątrz wdzierało się do wnętrza świątyni mroźne powietrze. Stary witraż, na którym ubrany w niebieską szatę Chrystus trzymał w rękach kielich, ostał się nietknięty.

Erwina odetchnęła z ulgą i przeżegnała się.

Błogosławione chwile, które nie nadeszły.

Kilkaset metrów dalej, za Kamienną Bramą, która murowaną kłamrą spinała kiedyś mury miejskie otaczające gród, stał inny kościół. Założony na prawie idealnym planie sześcioboku, nakryty był wielkim dachem, który

przypominał kapelusz czarownika. Tajemnicza kaplica Świętej Gertrudy, patronki żeglarzy, podróżników, bezdomnych i pokutujących dusz. Nikt już nie pamiętał, kiedy powstała i jakiemu celowi miała służyć, wszystkie bowiem spisane jej dzieje spłonęły w wielkim pożarze miasta w XVIII wieku. Otoczona starymi nagrobkami sprzed wielu stuleci, służyła jako kaplica cmentarna.

Gdy miastem targnął wybuch, nikogo wewnątrz nie było. Fala uderzeniowa zwała stare drzewo, które z łoskotem przewróciło się na kamienne płyty, powybiła okna w świątyni i rozwarła na oścież wielkie drewniane wrota.

Kiedy za kilka godzin przyjdzie tu wreszcie kościelny, który – jak prawie wszyscy mieszkańcy miasta – na razie zajęty był jeszcze zniszczeniami we własnym obejściu, minie wielkie wrota i kuśtykając, przejdzie na środek budynku, zobaczy pogruchotaną posadzkę, a wewnątrz zawaliska, tkwiące pomiędzy ziemią i gruzem, bielejące ludzkie kości.

Współcześnie, wczesną wiosną

Las był ciemny i nieprzystępny. Z pobliskiego miasteczka biegła przez sam jego środek linia kolejowa, a przejeżdżający tędy czasem pociąg wypełniał podmokłe łągi złowieszczym turkotem, strasząc przemykającymi wśród drzew oczami świateł. Chociaż do wschodu słońca została tylko niecała godzina, zaciągnięte ciemnymi chmurami niebo nawet nie pojaśniało. Jednak już za kilkanaście minut na wschodzie pomiędzy drzewami pojawi się charakterystyczna poświata, która o tej porze roku nie zwiastuje niczego przyjemnego, początek kolejnego, chłodnego jeszcze dnia, deszcz, może nawet śnieg. W powietrzu wisiała wilgoć, która podstępnie wdzierała się pod każdą warstwę odzieży. Idąc nieuważnie, można było bez trudu wdepnąć w głębokie, bagniste wądoły lub zboczyć na podtopione wodą zalewową całe pola mokradeł.

Wąską ścieżką pomiędzy rozchełstanymi gałęziami czarnej wierzby i topoli, wśród których gdzieniegdzie wyrastała jakaś pojedyncza sosna, przesuwały się dwa snopy światła, wydobywając z mroku kałuże i kępy rozczapierzonych, schowanych w ciemności samosiewów. Ukryte za

jaskrawym światłem długich latarek postaci dźwigały na ramionach zwoje drutu i żelastwa, a w rękach ścisnęły grube jutowe worki.

– Bolo, a ty wiesz, co mówią ludzie, nie? – stęknęła jedna z postaci, pokonując długim susem wielką kałużę błota.

– Niby o czym? – Idący przodem mężczyzna miał posturę średniej wielkości niedźwiedzia, a w tym momencie także i humor wyrwanego niespodziewanie ze swojego barłogu drapieżnika.

– No, o tych lasach tutaj.

– Nie wiem. Nie słucham bredni starych bab.

– Mówią, że lepiej po nocach tutaj nie przychodzić. – Mężczyzna przerzucił kłęb żelastwa na drugie ramię i obejrzał się za siebie. – Bo tu straszy.

– Straszy! Ja pierdołę, Stasiak, gdybyś ty się, kurwa, słyszał!

– Powtarzam tylko, co opowiadają.

– Opowiadają turystom ze Ślunska, co przyjeżdżają nad morze, żeby się obzerać świeżymi rybkami prosto z Tesco.

– Nie gadaj, Bolo, że nie słyszałeś o tym mordzie zaraz po wojnie, o którym starzy ludzie jeszcze pamiętają.

– Ja ci zaraz sam dam po mordzie, jak nie przestaniesz gadać głupot.

Przez chwilę szli w milczeniu. W mroku słyhać było tylko pobrzękiwanie wnyków.

Po kilku minutach marszu idący przodem wielki mężczyzna zatrzymał się i skierował promień światła w mrok pomiędzy drzewami. Wokół pni stały wielkie rozlewiska wody.

– Skręcimy tutaj. Pomiedzy tymi bagnami jest ścieżka.

Machnął latarką w kierunku wąskiej mierzei meandrującej wśród moczarów.

– Skąd to bagno się tutaj wzięło? – jęknął niższy z mężczyzn, zatrzymując się obok towarzysza. – Szedłem tędy dwa tygodnie temu i było sucho.

– Jak skąd? Woda się podniosła. Nie widziałeś, jak się Wieprza porozlewała po łąkach?

– A musimy akurat tędy leźć? Przez to gówno?

– Musimy. Tędy dziki chodzą pod domy. A teraz akurat dobry moment, że ta woda stoi. Większa pewność, że jakiś wlezie w potrzask, jak będą szły wąską ścieżką.

Mężczyzna zarzucił na ramię kłęb żelastwa i ruszył przed siebie, oświetlając wąski pas mokrej ziemi pomiędzy moczarami.

Ciszę panującą w lesie ponownie wypełniły odgłosy kroków, ciężkie oddechy i pobrzękiwanie stalowych drutów i sideł. Po kilkunastu minutach ścieżka się poszerzyła, omijając gruby konar starej olchy.

– Ale piżdzi. Wczoraj było z osiemnaście stopni, a teraz jest chyba zero.

– Sam jesteś zero. Kwiecień plecień, bo przeplata trochę gówna, trochę lata – Bolo kreatywnie sparafrazował ludową mądrość. – Patrz!

Po jednej stronie wielkiego drzewa rozciągała się bagnista łąka upstrzona porozrywaną darnią i długimi wyrwami wypełnionymi błyszczącą w świetle latarek wodą.

– Mówiłem? To świeże ślady. Ryły tutaj niedawno.

– Żebyśmy tylko nie wpadli na jakąś lochę z małymi.

– Stasiak, ty jesteś taka tchórzliwa menda, że mnie zaraz szlag trafi.

– Co się, kurwa, czepiasz! – Niższy z mężczyzn skierował latarkę na towarzysza. – Pierwszy raz na kłusowaniu jestem.

– Tak myślałem, że to kiepski pomysł, żeby cię zabierać. Nie świeć mi, kurwa, po oczach!

Bolo zdjął z ramion kłęb stalowych drutów i rzucił je sobie pod nogi.

– Tu postawimy. – Pokazał palcem na wąziutką ścieżkę po lewej stronie grubego pnia. Niecały metr dalej grunt się obniżał i ciągnęły się zalane wodą mokradła.

– Jak przyjdzie lato, to jakoś sobie dorobię po letniskach. Tu niedaleko nawet, pod lasem. – Stasiak machnął ręką w kierunku niknących w mroku drzew. – Zawsze potrzebują kogoś, kto będzie rąbał drewno na ognisko, czyścił staw, sprzątał po letnikach. A teraz mamy ze starą tylko jej rentę.

– Nie jęcz, tylko dawaj tę łapkę. – Bolo kilka razy podskoczył na wąskiej, wydeptanej ścieżce za drzewem. – Tu jest twardo, może być.

Stasiak podniósł z ziemi gruby potrzask i wzdrygnął się, patrząc na stalowe zębiska.

– A to nie utnie nogi temu dzikowi?

– Sprężyna nie jest taka mocna. Jak są szczęki z zębami, to wystarczy słabsza. – Bolo popisał się fachową wiedzą i wyjął z plecaka łom.

Postawił potrzask w trawie, a następnie wsadził pręt pomiędzy stalowe jarzmo i rozwarł je na całą szerokość.

– Ale i tak by ci nieźle poharatała nogę, jakbyś w nią wdepnął – zarechotał, spoglądając na stojącego obok z rękami wsuniętymi głęboko w kieszenie kurtki Stasiaka.

– Bardzo śmieszne.

– Dobra. – Bolo wetknął pręt do plecaka i cofnął się o krok, spoglądając na szczerzący zęby potrzask. – Idziemy dalej. Za jakieś dwieście metrów postawimy kolejny.

– Po co aż tyle?

– Jak nie wpadną w ten, to może w następny któryś wlezie. – Mężczyzna wzruszył ramionami. – Jak będziemy mieć szczęście, to wleżą dwa.

– Dwa razy więcej kłopotów – mruknął Stasiak pod nosem.

– Ale z ciebie menda. – Bolo pokręcił głową. – Jeden pójdzie na żarcie, a drugiego całego się opchnie na ognisko do jakiegoś letniska.

– Gdzie niby? Nie mogą kupować takiego mięsa bez papierów.

– Jakiś ty tępy. Myślisz, że jak w jakichś letniskowych barakach, jak ten na przykład, w którym sobie dorabiasz w sezonie... – Bolo machnął ręką w kierunku drzew, wśród których niknęła wąska ścieżka – ...organizują ognisko z pieczeniem dzika, to ktoś to sprawdza? Trzeba tylko wiedzieć, z kim gadać.

– Może los się do nas uśmiechnie w takim razie – mruknął posępnie Stasiak, sięgając po worek i kłębowisko stalowych drutów.

Los jednak postanowił tej nocy uśmiechnąć się do nich cokolwiek diabolicznym uśmiechem. Bolo, który właśnie zamierzał odwrócić się i ruszyć przed siebie, potknął się o wystający z ziemi gruby korzeń starej olchy i stracił równowagę. Światło latarki, którą trzymał w dłoni, zatańczyło

na konarach drzew historyczny taniec. Bolo, usiłując złapać równowagę, zrobił dwa kroki do tyłu i nagle grunt rozstał się pod jego nogami. Latarka wypadła mu z ręki i wylądowała w trawie, a mężczyzna, machając rękami, poleciał do tyłu, zapadając się po pas w mokradła.

Przerażony Stasiak stanął jak słup soli z latarką wycelowaną w bulgoczące bagno, wytrzeszczając oczy na miotającą się w błocie wielką, opakowaną w wojskową kurtkę bryłę.

– Ja pierdołę! – wrzasnął w końcu Bolo, gdy udało mu się złapać równowagę. – Pomóż mi, kmiecie! Co tak stoisz?

Z rękami podniesionymi do góry zaczął się szarpać, przesuując powoli w kierunku skarpy, na której ciągnęła się ścieżka. Stasiak rzucił wszystkie swoje bambetle w trawę i trzymając kurczowo w jednej ręce latarkę, drugą wyciągnął w kierunku mozołącego się kolegi.

– Kurwa! Co za pierdolone gówno!

Wściekły Bolo z zaciętym wyrazem twarzy złapał za wystające z mokradeł badyle. Za jego plecami woda zafalowała i pokryła się na moment bulgoczącymi bańkami. Bolo szarpnął z całej siły całym swym potężnym ciałem i wyciągnął rękę w kierunku stojącego na brzegu mokradła Stasiaka. Gdy już miał dosięgnąć jego dłoni, zobaczył nagle, jak oczy kolegi robią się okrągłe jak talerze, a twarz zastyga w niemym przerażeniu. Stasiak trzymał latarkę wycelowaną w bagno i patrzył z przerażeniem na coś za plecami Bola. Tkwiący wciąż w bagnie mężczyzna na moment znieruchomiał, po czym odwrócił się gwałtownie za siebie.

Jakieś pół metra od niego z wody wystawała pokryta brązową wyschniętą skórą ręka.

Na krótką chwilę zapanowała kompletna cisza. Obaj mężczyźni wpatrywali się ze zgrozą w bagno. Ręka powoli się poruszyła, a na powierzchni wody pokazały się na moment kolejne bańki wydobywających się z głębi gazów. Po chwili bagno zafalowało i na jego powierzchnię powoli wypłynęła głowa pokryta pomarszczoną brązową skórą i resztkami zmierzwionych włosów.

Bolo wrzasnął i całym swym wielkim cielskiem zaczął przeć do przodu niczym przerażony nosorożec. Stasiak wciąż stał sparaliżowany strachem i trzymając latarkę wycelowaną przed siebie, nie odrywał oczu od bagna.

Koszmarna głowa, poruszona przez rozbryzgujące się pod wpływem szarpaniny Bola mokradła, drgnęła i powoli zaczęła zmieniać położenie. Wyglądało to tak, jakby z wolna obracała się w kierunku brzegu. Bolo w tym czasie zdołał wypełznąć na skarpe i dysząc ciężko, tkwił na czworakach, usiłując złapać oddech. Martwa trupia maska, z oczami do tej pory wycelowanymi w konary drzew, powoli przekrzywiła się i spojrzała prosto na stojącego na brzegu mężczyznę. Tego już było dla Stasiaka za wiele. Wrzasnął i odruchowo rzucił się do tyłu. Latarka wypadła z jego ręki i gasnąc, spadła w mokrą trawę. W kompletnej ciemności lasem targnął mrozący krew w żyłach wrzask mężczyzny, na którego nodze zacisnęły się stalowe szczęki.

Rozdział 1

Poniedziałek, 7 września

Dzień właśnie się zaczynał. Sennie i bezwietrznie. Zapowiadała się piękna pogoda, ale na razie słońce wyglądało tak, jakby było jeszcze skacowane po sobotnio-niedzielnym upałach i plażowych balangach. Wisiało nad smętnym wschodnim brzegiem cieśniny, gdzie spomiędzy zdziczałej zieleni patrzyły na drogę wodną stare zabudowania portowe, magazyny, baraki jednostki wojskowej i ponure masywy starego fortu, pogrążonego w melancholijnych wspomnieniach dawnej świetności.

Wzdłuż długiego, wychodzącego w morze falochronu powoli płynął spory kuter. Mógł mieć około dwudziestu metrów długości. W połowie kadłuba wznosiła się duża nadbudówka, ze sterówką i górnym pokładem, za nim wyrastał maszt sygnałowy, a dalej na rufie stał potężny maszt bramowy, na którym mocowano zazwyczaj wielotonowe wyciągarki i bloki trałowe. Na burtach kutra gdzieś tam prześwitywały plamy rdzy, ale silnik pracował równo i ciągnął sto kilkadziesiąt ton stali bez specjalnego wysiłku.

Artiom stał oparty o reling górnego pokładu i co chwilę ziewając, wpatrywał się w brzegi oddalającego się portu. Nie znosił tego miejsca. Tych zarozumiałych żołdaków i urzędników, i tego brzydkiego kacapskiego miasta, w którym do niedawna jeszcze, żeby móc przejść przez ulicę z jednej strony na drugą, trzeba było zdobyć dziesięć pieczętek.

Miasta, w którym teraz mieszkał, też nie znosił. O niczym innym tak nie marzył jak o tym, żeby się stąd wyrwać. Czasem żałował, że po odbyciu służby w marynarce nie wrócił do siebie na Łotwę. Teraz już nie miał gdzie wracać. Jego rodzice nie żyli, z dalszą rodziną nie utrzymywał kontaktów, a powrót tam w ciemno to ryzyko zostania bez pracy i dachu nad głową, nie mówiąc o tych wszystkich formalnościach, które pewnie by go zabiły.

Westchnął i spojrzał w stronę wyjścia z zatoki. Po prawej mijał ich wracający do portu wielki brunatny, odrapany okręt z działem na dziobie.

Trzeba było uważać na tych cwaniaków i zawsze ustępować im miejsca. Dranie nawet nie zwalniali.

Sierowa poznał przez kolesia z marynarki, który przekazał mu informację, że jest taki jeden, co kompletuje załogę do jakichś poszukiwań. Dwa lata temu. Zgłosił się i tak trafił na ten kuter. Robota była wprawdzie tylko sporadyczna, sezonowa, ale szef dobrze płacił, więc nie miał co narzekać. W tym roku już po raz drugi płynęli na Bałtyk. Powtarzane przez kolegów plotki o ciemnych sprawkach Sierowa puszczał mimo uszu. Wszystkie papiery zawsze mieli legalne, paszporty, wize, pozwolenia na nurkowanie, wszystko bez zarzutu.

Kuter minął kraniec kosy długiego falochronu i wypłynął na otwarte morze. Za jakieś sześć godzin powinni być na miejscu. Artiom oderwał się od relingu, zszedł po drabince i po chwili zniknął za drzwiami sterówki.

*

Igor zacisnął zęby. Siedząca naprzeciw kierowniczką wydziału Śródmieście-Południe patrzyła na niego chłodnym wzrokiem, nie usiłując nawet ukrywać irytacji. Na biurku przed nimi leżał rozłożony projekt, który od dwóch miesięcy tkwił w urzędzie i oczekiwał na pozwolenie na budowę. A ściślej biorąc, inwestorzy oczekiwali na to pozwolenie, wskutek czego Igor właśnie spędzał te ciągnące się minuty w gabinecie szefowej wydziału, bezpowrotnie i beznadziejnie tracąc je z życia.

– Na jakiej podstawie twierdzi pani, że to jest sygnaturka?

– Takiej, że sygnaturka to mała wieżyczka będąca częścią budowli, o wymiarach poziomych mniejszych niż pionowe, złączona z bryłą budynku.

Kierowniczką oparła łokcie na biurku i podparła brodę zaciśniętymi w pięści dłońmi.

Igor uniósł brwi.

– I to właśnie jest sygnaturka. – Wskazała ruchem głowy rozłożony przed nią rysunek rzutu dachu.

– Ten... – Igor zawahał się przez moment, usiłując znaleźć jakieś neutralne określenie, żeby dodatkowo nie denerwować kobiety – element... to jest zakończenie wentylacji mechanicznej, zadaszony kominek ukrywający

wyrzutnię dachową, umieszczoną w dachu całkowicie zgodnie z przepisami.

– Ale obudował pan ten element i teraz ma on parametry wieżyczki lub sygnaturki!

– To jest przecież zwyczajny komin z zadaszaniem. Poza tym w prawie budowlanym nie ma definicji ani sygnaturki, ani wieżyczki.

– A to już nie moja wina, proszę pana. – Kierowniczką spojrzęła na Igora, kręcąc jednocześnie głową. – Proszę mieć pretensję do ustawodawcy.

– Do ustawodawcy mam pretensję swoją drogą, ale na razie, to administracja budowlana wydaje pozwolenie na budowę, a nie ustawodawca!

Igora oczywiście powoli opanowywała wściekłość i najchętniej powiedziałaby dokładnie i bez ogródek, co akurat myśli, ale doskonale wiedziała, że w ten sposób niczego nie załatwi. Za tydzień, dwa będzie musiał wrócić do tego cholernego urzędu z inną sprawą i nie mógł sobie, niestety, pozwolić na palenie za sobą mostów.

– Chciałbym wiedzieć, na jakiej podstawie prawnej twierdzi pani, że to nie jest element instalacji technicznej, tylko wieżyczka? – westchnął i spojrzęł chłodno na kierowniczkę.

– To, co pan zaprojektował, to element, który jest zgodnie z definicją wieżyczką lub sygnaturką, a na to nie zezwala miejscowy plan zagospodarowania przestrzennego[2].

Kierowniczką postukała palcem w rysunek upiornego dachowego elementu, który w takim akurat i żadnym innym kształcie wymarzyła sobie urocza skądinąd inwestorka Igora.

– Proszę pani, spytam jeszcze raz, skoro ani prawo budowlane, ani tenże plan miejscowy, na który się pani powołuje, nie definiują pojęcia wieżyczki ani sygnaturki, na jakiej podstawie prawnej kwestionuje pani to rozwiązanie?

– W przypadku braku prawnych definicji przyjmujemy zawsze definicje słownikowe. Tak samo robi sąd.

– Jakie definicje słownikowe? Według jakiego słownika? Pomijając już zupełnie to, że sygnaturka to termin z architektury sakralnej.

– Proszę pana, w naszym wydziale tak przyjmujemy definicję sygnaturki i jeśli panu to się nie podoba, to proszę iść rozmawiać z dyrektorem. Jeśli on wyrazi zgodę, to ja nie będę miała nic przeciwko temu rozwiązaniu – to

mówiąc, kierowniczką energicznym ruchem głowy wskazała na rozłożone przed nią na biurku papiery.

Przez chwilę patrzyli na siebie oboje złym wzrokiem.

Igor z jednej strony miał ochotę walnąć w cholerne biurko, tak żeby spadły z niego fikuśne obrazki, talerzyczek z pączusiem i kubeczek z kawusią, ale z drugiej doskonale rozumiał asekuracyjne motywy kierujące postępowaniem urzędniczką.

Trudno w to uwierzyć, ale w prawie budowlanym od dziesięcioleci brakuje definicji podstawowych terminów budowlanych. Nie wiadomo tak naprawdę, co to jest inwentaryzacja, ekspertyza czy na przykład projekt wykonawczy, chociaż oczywiście wielu jest takich, którzy wiedzą lepiej. Kolejne ekipy rządzące nie zajmują się takimi błahymi tematami. Zajmują się tym natomiast sądy, całymi latami zatrudniające bataliony rzeczoznawców, z których każdy ma inną opinię.

Plan, o który akurat teraz chodziło, zezwalał na usytuowanie w dachu elementów technicznych i kominów, ale nie zezwalał na budowę nowych wieżyczek, sygnaturek i tym podobnych, tyle tylko że wytłumaczenia tego, co twórcy planu mieli na myśli, pisząc „wieżyczka” i „sygnaturka”, nie mówiąc już o „tym podobne”, nie było. Pozostawały więc rozmaite definicje w różnych starych opracowaniach i poradnikach, często bardzo się od siebie różniące.

– Czyli jeśli pozostawię tę wyrzutnię dachową jako toporny blaszak, który będzie masakrycznie widoczny na dachu zabytkowego, neogotyckiego budynku, to będzie dobrze?

– Nie wiem, proszę pana, dobrze będzie jedynie wtedy, gdy dostosuje się pan do zapisów planu miejscowego. Instalacja techniczna jest dopuszczalna, sygnaturki nie.

Igor zacisnął szczęki. Jakakolwiek finezyjna obudowa topornej, ale niezbędnej instalacji była niedopuszczalna, natomiast umieszczenie w dachu ogromnego, wykonanego z blachy tałatajstwa jak najbardziej spełniało wyrafinowane wymogi administracji budowlanej. I to by było tyle, jeśli chodzi o tytuły prasowe na temat architektonicznych wpadek i rzygające obelgami fora internetowe. A to wyłącznie z tego powodu, że jakiś urzędnik zapomniał zamieścić w planie definicji przyjętych elementów budowlanych.

Urzednicy pózniej ustawiaj się w równej kolejeczce po trzynastki, czternastki i nagrody roczne, półroczne i kwartalne, a on będzie miał z czego żyć dopiero wtedy, gdy przyniesie w zębach inwestorowi pozwolenie na budowę. Pod warunkiem oczywiście, że inwestor zapłaci. Igor zgarnął z biurka plik papierów, pożegnał się chłodno i powstrzymując się przed trzaśnięciem drzwiami, wyszedł na korytarz.

*

Mężczyzna ubrany w jasne lniane spodnie, białą koszulę i kamizelkę khaki wyglądał na młodszego, niż był w rzeczywistości. Odmładzała go szczupła sylwetka i wzrost, a zniszczyć tego efektu nie były w stanie nawet całkowicie siwe włosy, które uczesane gładko do tyłu przywodziły na myśl emerytowanego wojskowego lub inżyniera. Ale osiemdziesiąt pięć lat to wiek, w którym nie można już swobodnie wejść po schodach nawet na pierwsze piętro, a tym bardziej, jeżeli odbyło się właśnie daleki spacer. Spacer, który kosztował mężczyznę dużo zdrowia i sporo nerwów. Jeszcze teraz czuł, jak kołacze mu serce. Stwierdził, że odpocznie chwilę, nim pokona te kilkaset metrów do hotelu, który znajdował się wśród drzew, na końcu wąskiej uliczki. Podeszedł do niskiej ławeczki przy nabrzeżu, tuż obok starego budynku, który służył obecnie jako pensjonat, usiadł i ciężko oddychając, patrzył na zalany słońcem port. Przy nabrzeżu kołysały się łodzie. Dwie lub trzy z nich dopiero co przypłynęły z morza i latały nad nimi stada mew, które wyczuwały świeżą rybę pod pokładami. Czekały na moment, aż rybacy zaczną wynosić kontenery pełne srebrnego przysmaku. Zawsze coś można było wtedy uszczknąć. Nieco dalej, przy wschodnim brzegu kołysał się, pokryty ciemnobrązową bejcą żaglowiec o pompatycznej nazwie „Król Eryk I”. Za parę godzin zaroi się wokół niego od dzieciaków, które z przejęciem będą się wspinały po drewnianym trapie na jego pokład.

Mężczyzna odetchnął głęboko i spojrział w kierunku wylotu Wieprzy na pełne morze. Po wschodniej stronie, na samym brzegu stała niepozorna stara latarnia morska z czerwonej cegły, która pod koniec XIX wieku zastąpiła jeszcze starszą, prawdopodobnie ryglową, zgodnie z historycznymi wzmiankami stojącą tutaj od 1718 roku.

Obiecał sobie, że to ostatni raz. Nie miał już sił, żeby tu przyjeżdżać.

Dzisiaj pożegnał się ostatecznie ze światłem umarłych.

*

Igor właśnie wjeżdżał na parking przed biurem, gdy leżący na siedzeniu pasażera telefon zaczął wibrować, podskakując niemrawo na czarnej skórze. Nie odblokował dzwonka po wyjściu z urzędu. Złapał komórkę, przejechał palcem po ekranie i wsadził ją sobie między ucho a ramię, dwiema wolnymi rękami natomiast wykonując wszystkie pozostałe czynności, niezbędne do zaparkowania samochodu.

– Igor, tu twoja matka. Kiedy zamierzałeś mi o tym powiedzieć? – głos w słuchawce brzmiał oskarżycielsko.

– O czym, mammo? – Igor pożałował w tym momencie, że nie spojrzał najpierw na wyświetlacz, zanim odebrał.

– Jak to o czym? Przez cały rok nawet nie zająknąłeś się na ten temat. Dopiero ojciec znalazł to w internecie!

– Mammo, o czym ty mówisz? – Igor wyłączył silnik i spojrzał w lusterko. Masz dzisiaj, chłopie, zły dzień, pomyślał, widząc swoje odbicie.

– No, że ten twój znajomy z Londynu jest lordem!

Igor przez chwilę patrzył w lusterko bez ruchu.

– I co z tego? – jęknął.

– Jak to co z tego? Czyś ty zwariował? Zaprosiłeś go do nas z jakimiś jego przyjaciółmi na weekend, a ja nie wiem takich rzeczy? Przecież czym ja ich przyjmę na tej wsi? Co ja im podam?

– Mammo, zrobisz im babkę ziemniaczaną i bigos, a na deser ciasto z truskawkami i bezą. Będą zachwyceni.

– Babkę ziemniaczaną? Bigos? Dla syna lorda Charlesa Francisa Williama, hrabiego Carley?! Czyś ty zgłupiał? Co oni o nas pomyślą?

– A co ty byś chciała im podać? Przepiórki? – Igor, jak zwykle w rozmowach z matką, poczuł, że irytacja podnosi mu ciśnienie.

– To jest poważna sprawa. Ja nie wiem, czy nie powinnam jakoś powiadomić burmistrza albo sołtysa przynajmniej...

– Zwariowałaś, mammo? Sołtysa? Tego buraka! – Igor trzasnął drzwiami

i kliknął pilotem. – Żadnego sołtysa ani burmistrza! Skąd ci taki pomysł w ogóle przyszedł do głowy?

– Wiesz, że jego ojciec jest dwieście siedemdziesiąty trzeci w kolejce do tronu? Wiesz, co to oznacza? Przyjadą tutaj, a tu co? Jeszcze jak zobaczą tych pijaków pod dawnym młynem... Przecież oni pomyślą, że ta polska wieś to ciemna jest. Tępa.

Igor oparł się o samochód i westchnął. Matka była jednak nieprzewidywalna. Johann chciał zobaczyć tylko postępy prac i odtworzony park oraz spędzić spokojnie dwa dni na wsi z angielskimi przyjaciółmi, którzy Pomorza nigdy nie widzieli, a tu matka gotowa zorganizować orkiestrę i wynająć wojsko do ochrony.

– Ja nie wiem, czy nie lepiej na przykład wynająć ten pałac niedaleko. Kilka kilometrów raptem. Na kilka dni. Tam jest restauracja, sala balowa, spa. Zorganizowałoby się przyjęcie, mają tam porządną obsługę. A u nas co? Te łobuzy ze wsi to nawet sztucców nie potrafią poukładać tak jak trzeba.

– Mamo! – Igor szarpnął drzwiami i wszedł do budynku. – Żadnego pałacu! Po prostu zwyczajnie przyjmujemy ich jak pozostałych gości. Przestań wymyślać głupoty! Johann był już przecież w Dalewie. Obzerał się twoimi ciastkami drożdżowymi i jakoś korona mu z głowy nie spadła.

– Ale...

– Mamo, muszę kończyć, mam klientów. – Igor jak zwykle poczuł, że jeszcze chwila rozmowy z matką i zacznie się dusić. – Potem porozmawiamy.

Wszedł do pracowni i spojrzał w kierunku swojego odseparowanego szklaną ścianą kąta. Wewnątrz, przy stole, czekało dwoje młodych ludzi. Kolejny typowy domek do adaptacji.

*

Dzień właśnie się kończył. Słońce powoli zmierzało ku zachodowi i za dwie godziny miało się schować między majaczącymi na horyzoncie zabudowaniami Helsingøru. Niebo na wschodzie i północy przybrało już ciemnoniebieską barwę, a nieliczne chmury zaczynały powoli pokrywać się złotymi i czerwonymi smugami, wyglądającymi jak maźnięcia pędzlem

malarza kończącego właśnie pracę nad wyjątkowo kiczowatym landszaftem, w którego samym centrum w dodatku tkwił zawieszony między wodą a niebem zamek. Najdalej na wschód wysunięty kraniec Zelandii, tworzący wąski przesmyk pomiędzy cieśninami Kattegat i Sund. W średniowieczu każdy przepływający tędy okręt musiał zwinąć żagle i rzucić kotwicę, a z wyspy, z potężnej fortecy Krogen, przypływała łódź z królewskimi poborcami cła, nazywanego od nazwy cieśniny sundzkim. Były czasy, że opłaty te stanowiły dwie trzecie całego dochodu Danii. Początkowo pobierane były od okrętu, później zaczęto je naliczać na podstawie zadeklarowanej wartości przewożonych towarów. Bywało, że kapitan, chcąc dodatkowo zarobić, zaniżał wartość ładunku, ale jeśli celnicy poddali okręt dokładniejszej kontroli, to mieli prawo zakupić towar po zaniżonych cenach. W połowie XVI wieku w taki właśnie sposób Dania weszła w posiadanie zamówionego przez gdańszczan wspaniałego gotyckiego ołtarza, który wykonany przez mistrzów z Antwerpii, płynął właśnie do Gdańska. Ołtarz do dziś stoi w katedrze w Roskilde, tuż obok sarkofagu królowej Małgorzaty.

Jako że jednak cła sundzkie zostały zniesione już w 1857 roku, wielki motorowy jacht mógł sobie teraz spokojnie przepływać po ciemniejących w popołudniowym świetle falach cieśniny, zostawiając za sobą kilwater spienionej wody i bezsilną w dzisiejszej sytuacji geopolitycznej twierdzę Krogen, nazywaną obecnie Kronborgiem.

– Wiecie, że na tym bastionie pod zamkiem stoi siedemnaście armat, które wycelowane są akurat dokładnie w naszą stronę? – Wysoki, potężnie zbudowany brunet w luźnej białej koszuli machnął ręką w kierunku brzegu.

Na górnym pokładzie, opierając się o reling sterburty, stało sześcioro względnie młodych ludzi – czterech mężczyzn i dwie kobiety – wpatrując się w brzegi duńskiej wyspy.

– Wstrząsające! – mruknął z przekąsem jeden z mężczyzn, pucułowaty szatyn o sylwetce zdradzającej niewielkie raczej zainteresowanie fitnesssem.

– Mogliśmy wpłynąć do przystani i zwiedzić zamek. – Dziewczyna z wielkimi zielonymi oczami i burzą brązowych włosów, targanych akurat zalotnie przez wiatr, odwróciła się w kierunku szczupłego blondyna o wyrazistych, nieco kanciastych rysach twarzy, który stał pochylony z głową opartą na rękach.

– Trochę za późno. Zanimbyśmy dobili, ogarnęli się i zeszedli na ląd, zrobiłoby się ciemno – odezwała się druga z kobiet, blondynka z włosami starannie związanymi na karku czarną wstążką. – Zresztą tam za bardzo nie ma co oglądać. Na początku siedemnastego wieku zamek spłonął, a zaraz potem ograbili go Szwedzi, wywożąc z niego wszystko, co się dało, z marmurowymi kaflami z podłóg włącznie.

– Byłaś tutaj, Alice? – spytał milcząco do tej pory szczupły opalony szatyn, ubrany w białą koszulkę z napisem „Keep calm and go to Hogwarts”.

– Dawno temu. – Blondynka uśmiechnęła się i spojrzała w bok na przyjaciół. – Nazwa miasteczka nic wam nie mówi? Helsingør?

– Racja! – Wysoki brunet pokiwał głową. – Ten zamek to przecież pierwowzór Elsynoru z *Hamleta*. Szekspir pożyczył nawet nazwę miasta.

– Na dziedzińcu jest teraz symboliczny grób Hamleta i regularnie wystawiają tutaj sztuki naszego narodowego wieszca.

Przez chwilę stali w ciszy, oparci o reling, wpatrując się w ciemniejące niebo i ciemnożółte słońce, które powoli zbliżało się do wysokich dachów Kronborga.

– Piękne, prawda? – Alice uśmiechnęła się do stojącego obok niej blondyna. Miał na imię Johann. Uniósł brwi i pokiwał głową.

Nie doczekała się jednak odpowiedzi, gdyż w tym momencie na schodach wiodących z dolnego pokładu pojawił się steward, dzierżący w rękach wielką tacę, na której stało sześć wysokich kieliszków i trzy butelki szampana. Na moment zrobiło się głośno, po czym brunet chwycił butelkę i machając nią do reszty pasażerów, usiłował ich przekrzyczeć, stanąwszy na środku pokładu.

– Jako że właśnie mijamy Sund i za chwilę wpłyniemy na mroczne i zimne morze wikingów, Braci Witalijskich[3] tudzież innych łotrów, by zmierzać ku wyspom na dalekiej, zimnej Północy...

– Alandy o tej porze roku przypominają bardziej Wyspy Kanaryjskie, Dermot, a nie żadną daleką, a tym bardziej zimną Północ. – Alice uśmiechnęła się protekcyjnie do bruneta, sprawiając, że zgubił wątek.

– Nie zabraliśmy puchowych kurtek! – krzyknął pulchny szatyn.

– Ani etoli z lisów – dodała ze śmiechem szatynka.

– Cisza! Zamknijcie się! Ku wyspom na dalekiej Północy, jak powiedziałem! – Dermot machnął butelką do rozbawionych przyjaciół i kontynuował swoją przemowę wśród śmiechów: – By dokonać spektakularnych odkryć i okryć się sławą...

– Ty się okrywasz właśnie wstydem! – krzyknął grubas.

– Brakuje tylko hymnu! – zakpił Johann.

– *God save our gracious Queen!*^[4] – celowo fałszując, zaryczał szatyn w białej koszulce, wzbudzając kolejny wybuch wesołości.

– Zamknąć się! – krzyknął brunet, przekrzykując głośne śmiechy i komentarze. – No więc... Po wielu trudach i długim przekonywaniu ojca Johanna, aby użyczył nam swojego ukochanego białego drakkara... – skinął kieliszkiem w kierunku kolegi – ...i jeszcze dłuższym żony Jamiego, żeby go z nami puściła...

W tym momencie ponownie rozległy się śmiechy, Dermot jednak energicznie zamachał rękami, nie dając sobie tym razem przerwać.

– Płyniemy, by stanąć oko w oko ze starożytną tajemnicą!

Podniósł wysoko kieliszek i popatrzył na rozbawionych przyjaciół.

– Za nas! – wrzasnął, kończąc mało kreatywnie przemowę i otwierając jednocześnie z hukiem szampana.

– Za nas! – krzyknął Johann, a za nim cała pozostała czwórka, stukając się kieliszkami.

Na górnym pokładzie ponownie zapanował gwar. Steward dyskretnie zszedł po schodkach i zniknął w czeluściach dolnych pokładów, pozostawiając rozbawione towarzystwo samemu sobie.

Wielki biały jacht majestatycznie sunął po prawie już granatowej tafli cieśniny, zostawiając za sobą malowniczo rysujące się na horyzoncie dachy Helsingøru i górujące nad renesansowymi attykami i bastionami Kronborga wieże zamczyska.

Rozdział 2

Wtorek, 8 września

Paulina przez dłuższą chwilę patrzyła na tajemniczą, opakowaną w szary papier paczkę, którą przed chwilą położył na jej biurku Paweł, po czym podniosła wzrok i spojrzała na niego z irytacją wymieszaną z niedowierzaniem.

– To jakieś żarty?

– Wiedziałem, że tak zareagujesz... – Paweł uśmiechnął się pod nosem i pokręcił głową.

– Jak zareaguję? – Paulina założyła nogę na nogę i defensywnie skrzyżowała ręce na piersiach, myśląc jednocześnie, że ma gdzieś, co tą mową ciała przekazuje Pawłowi. – Ciekawe, jak by zareagowała Baśka, gdybyś odebrał jej temat, nad którym siedziała już od kilku tygodni? Pewnie jej wrzask słychać by było na parterze.

– Nie byłoby to znowu aż takie wielkie osiągnięcie. Rezydujemy teraz na pierwszym piętrze... – Paweł wydał kpiąco wargi, a następnie oparł się o zagłówek skórzanego fotela i spojrzał na Paulinę z protekcyjnym uśmiechem.

Ta otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale zrezygnowała. Zaciśnęła szczęki i westchnęła.

Pierwszy e-mail dostała jakieś pół roku temu. Była akurat wczesna wiosna, piękna pogoda i wszystko układało się po jej myśli. Od kilku miesięcy miała umowę o pracę i wreszcie regularną pensję. Nie żeby dało się z niej utrzymać, ale od czegoś trzeba było przecież zacząć, a poza tym w dalszym ciągu pisała jeszcze dla internetowych portali, więc zawsze był z tego dodatkowy grosz. No i praca na umowę lepiej wyglądała w papierach, a o żaden kredyt raczej nie planowała się w najbliższej przyszłości starać. Kilka artykułów napisanych rok wcześniej przyniosło jej nawet pewną popularność, czego niestety efektem ubocznym były obecnie podobne

tematy, które konsekwentnie wciskał jej Paweł – redaktor naczelny „Dziennika Szczecińskiego” i jej obecny, oficjalny szef.

E-mail przyszedł na adres gazety, ale adresowany był do niej imiennie.

Szanowna Pani!

Z racji tego, że w swoich, jakże ciekawych, artykułach na łamach „Dziennika Szczecińskiego” porusza Pani kwestie nierozwiązanych tajemnic z okresu II wojny światowej, postanowiłem zwrócić się do Pani z pewną sprawą, której jestem depozytariuszem.

Rzecz dotyczy dokumentów, które w wyniku pewnego zrządzenia losu znalazły się w moich rękach. Nie mogę pisać o nich za dużo w tym liście, gdyż zbyt wiele osób czyha na to, żeby wejść w ich posiadanie. Muszę bowiem Pani zdradzić, że jestem śledzony, a mój dom jest pod ciągłą obserwacją.

Z uwagi jednak na wagę tej sprawy zdecydowałem się ujawnić pewne fakty, tym bardziej że prześladowające mnie osoby i organizacje mogą łatwo wpaść na jakiś trop i przechwycić posiadane przeze mnie informacje.

Jeśli jest Pani gotowa zapoznać się z posiadanymi przeze mnie informacjami i napisać o nich wiarygodny artykuł, to bardzo proszę o odpowiedź.

Z poważaniem

Karol Wyrzykowski

Znowu o drugiej wojnie – to było pierwsze, o czym pomyślała po przeczytaniu listu. Zawsze chciała być dziennikarką, ale marzyła raczej, by pisać teksty o aktualnych ważnych zagadnieniach społecznych, cywilizacyjnych, o ciekawych ludziach, tymczasem życie sprawiło jakoś, że jej kariera potoczyła się w zupełnie innym kierunku. Najpierw były to podrzucane przez Pawła w okresie, gdy pracowała jeszcze na umowę o dzieło, sponsorowane teksty techniczne, będące w zasadzie rozbudowaną do dłuższej formy reklamą, a potem nagle stała się redaktorką znaną z tekstów o tajemnicach drugiej wojny, tudzież innych tajemnicach miasta i okolic. W dodatku jakoś nigdy specjalnie się tą tematyką nie interesowała. Z drugiej strony jednak, gdyby rok temu nie wplątała się w aferę

z penetrowaniem szczecińskich podziemi, w wyniku czego o mały włos nie straciła życia, co notabene udało się Pawłowi dobrze sprzedać, pewnie do dzisiaj pisałaby sponsorowane nudziarstwa o nowych technologiach klejenia kafli ceramicznych do ścian lub o nowych typach pianek poliuretanowych. Ważkie tematy społeczne i cywilizacyjne musiały na nią, jak widać, jeszcze trochę poczekać.

E-mail przyszedł w momencie, gdy była akurat w świetnym humorze. Za oknem właśnie wybuchła setkami pąków na drzewach i morzem krokusów na Jasnych Błoniach wiosna, prognozy zapowiadały dwudziestostopniowe temperatury, a w najbliższej perspektywie miała majowy wyjazd z przyjaciółmi do Budapesztu, na który już się cieszyła jak dziecko.

Nie zastanawiając się specjalnie ani nie szukając żadnych informacji na temat autora, odpisała, że wiadomość bardzo ją zaintrygowała i chętnie zapozna się z pozostałymi faktami. Wcisnęła „wyślij” i z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku poszła zrobić sobie kawę.

Dziesięć minut później, gdy już siedziała ponownie przy swoim biurku i popijając czarną lurę, wpatrywała się w fotki stolicy Węgier na jakimś fotoblogu, zatrzymała się przy niej Baśka, starsza koleżanka obsługująca dział gospodarczy.

– Widziałam, że dostałaś mejla od tego Wyrzykowskiego... – uniosła brwi
– ...mam nadzieję, że nie odpisałaś?

Paulina zamarła z kubkiem w połowie drogi do ust.

– A czemu? Znasz go?

– Odpisałaś? – Baśka uniosła brwi jeszcze wyżej.

– A czemu miałabym nie odpisywać? – Paulina, czując rosnącą irytację, odstawiła kubek, a następnie zamknęła fotobloga i wpisała w wyszukiwarkę imię i nazwisko nadawcy e-maila.

– To świr. Wysyła różne bzdury do gazet. Parę lat temu jakiś lokalny dziennik usiłował z nim porozmawiać. – Baśka pochyliła się nad Pauliną i wskazała palcem link, z całego szeregu wyników, które wyskoczyły na monitorze Pauliny. – Skończyło się na tym, że facet zabarykadował się w domu i wezwał policję, a dziennikarza z tej gazety przesłuchano w kontekście napadu.

Paulina otworzyła skrót z „Dziennika Bałtyckiego” i szybko przebiegła wzrokiem tekst krótkiej wiadomości z lipca 2008 roku. Miesiąc wcześniej Wyrzykowski skontaktował się z dziennikarzem tej gazety, a następnie po krótkiej korespondencji umówił się z nim na rozmowę. Dziennikarz, który przyjechał na miejsce, zastał wszystko zamknięte na głucho. Po kilku minutach bezowocnego stukania do drzwi pod dom podjechał radiowóz, a dziennikarz wylądował na lokalnym posterunku.

– Następnym razem bądź ostrożniejsza. – Baśka pokiwała głową, odwróciła się i kręcąc protekcyjnie biodrami, poszła do swojej zagrodki.

Kolejny mejl przyszedł dwa dni później.

Szanowna Pani.

Bardzo dziękuję za błyskawiczną odpowiedź i za to, że zechciała Pani zainteresować się sprawą, z którą się do Pani zwracam. Na wstępie muszę jednak Panią ostrzec i zalecić daleko posuniętą ostrożność. Kilka lat temu zorientowałem się, że jestem pod obserwacją rządu amerykańskiego, który przysłał tutaj nawet swoich szpiegów. Wstrząsnęło mną, że spisek sięga tak wysokich kręgów, a dodatkowo z przerażeniem zorientowałem się, że w knowaniach obcych państw służalczo uczestniczą nasze lokalne władze, których przedstawiciele kilkakrotnie węszyli tutaj, przepytując mieszkańców wsi. Ja nie chciałem z nikim rozmawiać, ponieważ wiem doskonale, że wszyscy oni uczestniczą w jednym spisku.

Mam też powody podejrzewać, że knowania prowadzą także Niemcy, prawdopodobnie potomkowie byłych mieszkańców tych ziem lub jakieś organizacje militarne.

Tym bardziej jestem zadowolony, że udało mi się nawiązać z Panią kontakt. Zdaje się Pani osobą, której można zaufać. Postaram się w najbliższym czasie odezwać do Pani i przybliżyć temat. Bardzo będę rad, gdy uda mi się wreszcie podzielić z kimś tajemnicą, której od lat jestem pokutnikiem.

*Z poważaniem
Karol Wyrzykowski*

Paulina przez dłuższą chwilę wpatrywała się w monitor, po czym

ostrożnie podniosła wzrok i rozejrzała się po redakcji. Raczej mało prawdopodobne, że to był jakiś wkręt. Wprawdzie po tym, jak w zeszłym roku po kilku artykułach, które poszły na pierwszej stronie, zrobiło się przez moment o niej głośno – zwłaszcza że sama jako bohaterka kryminalnej afery udzieliła wywiadu w lokalnym radiu – kilka osób z redakcji nie patrzyło na nią przychylnie przez jakiś czas. Szczególnie Darek, który od lat pisał na specjalistyczne, historyczne tematy, a ona nagle odebrała mu pałeczkę pierwszeństwa w tej materii.

Szeptane po redakcji plotki o tym, że jest kochanką Pawła, także raczej nie pomagały.

Szlag ją trafiał z tego powodu, ale gdyby zaczęła to jakoś energiczniej dementować, oczywiście tym bardziej wszyscy gadaliby za jej plecami.

Zmarszczyła brwi. Kretyński pomysł z tym wkrętem. O Wyrzykowskim było kilka linków w necie, owszem, można to było spreparować, ale jej koledzy z redakcji raczej by się do tego nie posunęli. Nie z powodów etycznych oczywiście, skądże znowu. Po prostu nie chciałoby im się aż tak starać, w dodatku dla raczej marnego efektu.

Spojrzała na górę notatek, która leżała na jej biurku, a która za dwa dni miała się zamienić w artykuł do sobotniego wydania, i po krótkim wahaniu pochyliła się nad monitorem. Wpisała w przeglądarkę nazwę gazety, która kilka lat temu zamieściła notkę na temat Wyrzykowskiego. „Dziennik Bałtycki”. Gazeta należała obecnie do grupy wydawniczej będącej właścicielem kilkunastu dzienników regionalnych, tygodników i portali internetowych. Dziennikarz mógł już dawno tam nie pracować.

Przygotowała się na długi korowód i ciągnącą się w nieskończoność sztafetę sekretarek i połączeń automatycznych, była więc zaskoczona, gdy błyskawicznie połączono ją z numerem redakcji, a po chwili niski, męski głos zapytał, czym może służyć.

– Wyrzykowski? – Mężczyzna powtórzył nazwisko, gdy dość nieskładnie zreferowała temat, dla którego zawracała mu głowę. – Ten świr? Pamiętam. Przesiedziałem przez niego godzinę na posterunku, tłumacząc, że nie jestem żadnym gangsterem ani spiskowcem. Wystawił mnie po prostu jak jakąś kaczkę. Przez miesiąc pisał niestworzone rzeczy, a gdy zdecydowałem się z nim pogadać w nadziei, że uda mi się napisać jakiś artykuł

o hitlerowskich legendach – akurat był czerwiec, jak raz na takie główniane tematy – to facet zabarykadował się w chałupie i zadzwonił po policję.

– I nie wie pan, co go tak nagle spłoszyło?

– Gazeta znalazła jego syna. Mieszka w Poznaniu, jest anestezjologiem w Wielospecjalistycznym Szpitalu Miejskim, rzadko się kontaktuje z ojcem. Powiedział, że zdiagnozowano u ojca schizofrenię. To chyba wszystko tłumaczy.

– Ma pan jeszcze kontakt do tego syna?

– Chwileczkę...

Paulina usłyszała, jak facet klika w klawiaturę.

– Na pani miejscu nie liczyłbym jednak na żaden ciekawy materiał, to kupa bzdur, chyba że pisze pani na temat chorób psychicznych.

Paulina zanotowała podany numer, podziękowała i odłożyła telefon. Z zamyśleniem spojrzała w okno. Przy nabrzeżu kołysała się niewielka łódź, a na wodzie układały się świetlne smugi, leniwie migocząc w południowym słońcu.

Pół roku temu spółka, do której należała gazeta, nie mogąc doczekać się końca remontu ówczesnej siedziby, podjęła decyzję o przeprowadzce do nowego biurowca na Łasztowni, gdzie zwolniły się akurat biura na pierwszym piętrze. Paulina dostała biurko przy samym oknie, z którego to miejsca miała teraz piękny widok na nadodrzańskie bulwary, a także na wydzielony szklaną ścianą aneks Pawła. Często, gdy podnosiła wzrok znad klawiatury, napotykała jego oczy. Unosił wtedy łobuzersko brwi lub robił jakąś błazeńską minę albo co gorsza nerwowo stukał w cyferblat swojego szwajcarskiego zegarka Cartier Pasha, by dać jej do zrozumienia, że czas mija, a tekstu jeszcze nie ma. Najczęściej myślała wówczas, że z powodu tego zegarka mogą mu przecież w niektórych dzielnicach uciąć rękę.

Następne tygodnie początkowo upływały w spokojnej atmosferze zbliżającego się długiego weekendu majowego, by niebawem zamienić się w nerwowe szaleństwo – przygotowywano kilka dużych tematów, które niespodziewanie zaczęły się na ostatniej, zdawałoby się, prostej komplikować.

A potem przyszła w końcu majówka. Paulina dwa dni przed wyjazdem

spędziła na wybieraniu ciuchów, które miały dobrze wyglądać na zdjęciach, i przymierzaniu butów, mających jej zapewnić z jednej strony wygodne przemieszczanie się między poszczególnymi atrakcjami turystycznymi, a z drugiej wywarcie wrażenia na wszystkich przystojnych tubylcach. Wertowanie przewodników zostawiła sobie na drogę.

Budapeszt jej nie rozczarował; okazał się jednym z najpiękniejszych miast, jakie widziała w Europie. Dawna stolica rzymskiej prowincji Pannonii urzekła ją rozmachem krajobrazu rozciągającego się na dwóch brzegach Dunaju. Widok z pradawnego Wzgórza Gelerta, nieopodal którego w 89 roku Rzymianie założyli osadę Aquincum, oszałamiał.

Gmach parlamentu z miejsca zmuszał do porównania ze słynnym parlamentem londyńskim, także zbudowanym w stylu neogotyckim, i porównanie to, według Pauliny, wypadało na korzyść Budapesztu. Siedziba Zgromadzenia Narodowego zapierała dech ogromem. Dwieście siedemdziesiąt metrów długości elewacji frontowej mogło robić wrażenie.

Po odstaniu w kilometrowej kolejce udało się obejrzeć wnętrza, a także słynną węgierską relikwię – koronę św. Stefana, którą według legendy dokładnie w roku 1000 miał dostać od papieża Sylwestra II, pierwszy koronowany na króla władca Węgier, Stefan I Święty z dynastii Arpadów.

Most Wolności – XIX-wieczna koronkowa stalowa konstrukcja, pięknie wykończona w zielonym kolorze, wywołała natomiast w Paulinie nostalgię za starym Szczecinem, który znała jedynie z przedwojennych zdjęć, a który mógłby się poszczycić być może i piękniejszymi mostami, gdyby nie wysadzono ich w powietrze w ostatnich dniach wojny.

Cztery dni to było stanowczo zbyt mało, by zobaczyć choćby część atrakcji stolicy Węgier, więc po trzech dniach intensywnego uganiania się od muzeum do muzeum, zwiedzaniu kilometrów korytarzy i podziemi Zamku Królewskiego oraz pałaców i kościołów, ostatni dzień radośnie spędzili na Wyspie św. Małgorzaty, jeżdżąc rowerami po ogromnym parku i delektując obiadem nad brzegiem Dunaju.

W drodze powrotnej robiło się coraz zimniej, a Pomorze Zachodnie przywitało ich deszczem i temperaturą oscylującą w pobliżu temperatur późnej jesieni.

Natomiast dwa tygodnie później do Pauliny, która zdążyła już zapomnieć

o spiskowej korespondencji z tajemniczym osobnikiem, przyszedł kolejny e-mail.

To było dokładnie 11 kwietnia 1944 roku. Miałem wtedy osiem lat i byłem już całkiem dużym chłopcem. Była wiosna i było nawet jak na tę porę roku bardzo ciepło. Było na pewno późne popołudnie, około szesnastej, siedemnastej, pamiętam, bo przed szesnastą matka nie wypuszczała mnie nigdy z domu. Musiałem się uczyć, a potem sprzątać w obejściu. Dopiero potem mogłem gdzieś iść. Pętałem się najczęściej po wydmach albo szedłem plażą do przesmyku między morzem a jeziorem. I to wówczas właśnie, między drzewami, zobaczyłem, jak z morza wychodzi trzech ludzi. Byli w wojskowych mundurach i mieli plecaki. Dwaj zwalili się na piasek i leżeli bez ruchu, trzeci natomiast poszedł, dźwigając jakiś tobół, w kierunku wydm. Wiedziałem oczywiście, że to lotnicy, i siedziałem sparaliżowany ze strachu, bo mówiono nam, że lotnicy nas zabiją i jeśli jakiegoś zobaczymy, to musimy od razu dać znać policji albo wojsku. Od strony ścieżki, w kierunku wsi, rozległy się nagle strzały, a dwaj lotnicy poderwali się z piasku i zaczęli uciekać. Zobaczyłem, jak plażą biegną żołnierze w ich kierunku, a po chwili jeden z mężczyzn upada, trzymając się za ramię. Drugi także nie zdążył dobiec do drzew. Nie wiem, czy go zastrzelili, czy tylko zranili.

Zamierzałem biec do żołnierzy, żeby im powiedzieć o trzecim lotniku, który uciekł, gdy nagle ktoś złapał mnie za głowę i dłonią zasłonił usta. Wyrywałem się, szarpałem i udało mi się odwrócić i spojrzeć za siebie. To był on. Zmarszczył groźnie brwi i położył palec na ustach. Myślałem, że za chwilę zginę, siedziałem i patrzyłem, jak żołnierze zabierają dwóch lotników i wloką ich do mających pomiędzy drzewami samochodów. Kilku żołnierzy zostało na plaży i zaczęło powoli iść wzdłuż brzegu, co chwilę obserwując morze przez lornetki. Gdy oddalili się na jakieś sto metrów, mężczyzna szarpnął mnie i wciągnął głębiej pomiędzy drzewa. Na wydmach rosły głównie sosny, nie było tam gęstego listowia, w którym można by się schować, poza tym była wczesna wiosna i na nielicznych drzewach liściastych było niewiele jeszcze liści.

Doszliśmy tak do zagajnika młodych dębczaków i tam lotnik wreszcie usiadł, a mnie popchnął na ziemię. Wyciągnął manierkę i zaczął pić,

potem podał mi, ale pokręciłem głową. Umiał mówić po niemiecku, niezbyt dobrze, ale na tyle, że go rozumiałem. Powiedział, że jeśli powiem teraz, że go widziałem, to zabiją i mnie, i moją rodzinę. Nie wiedziałem, czy mu wierzyć, czy nie, ale kilka tygodni wcześniej mój kolega poszedł na wydmy za poligonem, żeby zobaczyć tę nową broń, o której gadali ludzie po wsiach... Poszedł tam wraz z dwoma jeszcze innymi chłopakami, ale ci się przestraszyli i zawrócili. Jego natomiast już więcej nie zobaczyłem, a dwa dni później pod ich dom we wsi podjechał samochód wojskowy i całą jego rodzinę zabrali. Też nikt ich więcej nie widział. Lotnik powiedział, że jak go gdzieś ukryję na dzień lub dwa, to sobie pójdzie i nikomu o mnie nie powie. I ja mam też milczeć, jeśli nie chcę ściągnąć nieszczęścia na siebie i swoją rodzinę. Miałem wtedy tylko matkę, ojciec i starszy brat byli na wojnie, a dziadek zginął na morzu kilka lat wcześniej.

Nasz dom stał na skraju wsi. Za nim rozpościerało się niewielkie pole, a dalej ciągnął się las, który przechodził w wydmy. Poszliśmy pomiędzy drzewami, trzymając się z dala od ścieżki i zabudowań, i dotarliśmy do naszego płotu. Weszliśmy od tyłu na podwórko. Od tej strony było wejście przez klapę do piwnicy. Wpuściłem tam lotnika i bijąc się z myślami, pobiegłem do domu.

Wzrok Pauliny zawisł w przestrzeni przed monitorem. E-mail różnił się od poprzednich, tak jakby napisała go zupełnie inna osoba. To nie był właściwie list, raczej fragment jakichś wspomnień, kartka wyrwana z dziennika. Czy to możliwe, że Wyrzykowski posłużył się czyimiś wspomnieniami? Może przysłał fragment czyjegoś pamiętnika. Wskazywała na to również merytoryczna zawartość. Ludność napływowa przybyła na te tereny dopiero w czerwcu 1945 roku. Nie mógł tutaj mieszkać. Jego rodzina nie mogła być też na robotach, bo wówczas nie miałyby tyle swobody. Może więc rzeczywiście jest to pisany przez jakiegoś Niemca dziennik, który z tajemniczych powodów znalazł się w posiadaniu Wyrzykowskiego. Może po prostu znalazł go na strychu, a jego postępująca choroba psychiczna z czasem pomieszała mu własne wspomnienia z cudzymi.

Zmarszczyła brwi. Nie mógł go znaleźć na strychu. Wspomnienia spisywał dorosły człowiek. Jeśli to jest pamiętnik Niemca, który przeżył wojnę, to skąd pamiętnik miałby się wziąć u Wyrzykowskiego na strychu?

W dodatku spisany po polsku. Chyba że Wyrzykowski znalazł ten tekst w necie i – o ile znał niemiecki – przetłumaczył na swój użytek.

Westchnęła i pokręciła głową. Niepotrzebnie się tym w ogóle zajmuje. Pewnie dokładnie tak samo i najpewniej za pomocą tych samych opowieści dał się wkręcić ten dziennikarz z „Dziennika Bałtyckiego”. Pomyślała, że zadzwoni później do niego i zweryfikuje te teksty.

Teraz miała do napisania artykuł na temat przedwojennych planów przebudowy układu komunikacyjnego miasta. Artykuł miał się ukazać jako uzupełnienie tekstu o planowanej właśnie budowie nowego mostu na Odrze, którego pierwsze wizualizacje wyciekły niedawno do internetu.

Życie osobiste Pauliny układało się ostatnio bardzo dobrze. Na tyle nawet, że praca stała się jedynie dodatkiem do pozostałych wydarzeń. Pochłaniały ją spotkania z przyjaciółmi, sobotnie imprezy, kolacje przy świecach, plany. No i najważniejsze, że dzieliła to wszystko z kimś jeszcze. Kimś, z kim właśnie wiązały się jej plany. Temat wojennej korespondencji ponownie wyleciał więc jej z głowy, aż do chwili, gdy przyszedł kolejny e-mail, który tym razem z lekka nią wstrząsnął.

Składał się praktycznie wyłącznie z oskarżeń. Pod adresem lokalnej władzy, policji, prokuratury, do których Wyrzykowski wysyłał wciąż doniesienia o nękanii i prześladowaniach, których był ofiarą. Jego podejrzenia dotyczyły praktycznie wszystkich. Sąsiadów, którzy przekupieni przez amerykańskie i niemieckie organizacje, zakładali mu podsłuchy, pomocy społecznej, która pod pretekstem troski o jego zdrowie, próbowała wydobyć od niego tajemnice, a także amerykańskich służb specjalnych, które chciały wykraść z domu Wyrzykowskiego przechowywane przez niego dokumenty, niemieckich organizacji neonazistowskich polujących na te same materiały i polskich władz, które były kompletnie zaprzędane obcym wywiadam i na ich skinienie robiły wszystko, żeby zniszczyć lub przynajmniej utrudnić Wyrzykowskiemu życie.

Spomiędzy wierszy absurdalnych oskarżeń i paranoicznych teorii wyzierała kompletna bezradność człowieka pozostawionego samemu sobie i niezdającego sobie sprawy z własnej, postępującej choroby.

Ja dziękuję, ale bełkot... – pomyślała Paulina, nawet nie zauważając, że za jej plecami stanęła Baśka.

– Kompletnie sfiksował, co?

– Jest chory. – Paulina rzuciła chłodne spojrzenie koleżance.

– Schizofrenia da się leczyć, o ile wiem. – Baśka oparła się o krzesło. – Zastanawiam się, czy on ma jakąś pomoc? Syn pewnie go nie odwiedza, żadnej innej rodziny, sąsiedzi, jak widać, nie mają raczej do niego dostępu. Jeśli nie bierze regularnie lekarstw, to możliwe, że jego stan jeszcze się pogorszy.

Paulina w zamyśleniu spojrzała na ekran.

– Tak czy siak, lepiej trzymaj się od tego z daleka. – Baśka odeszła dwa kroki od biurka i zatrzymała się. – Artykuł na ten temat od razu wywoła komentarze, że wykorzystujemy chorobę psychiczną nieszczęsnego człowieka dla komercyjnych nagłówków.

Paulina z irytacją przesunęła myszką, zamykając okno poczty. Doradczyni się znalazła! Sama cały czas pisze przecież o politykach.

Następne kilka godzin udało jej się spędzić w spokoju na przygotowywaniu materiałów do kolejnego artykułu, który miał wyjść za dwa dni. Gdy całość była mniej więcej gotowa, czyli rozpisany konspekt i wypunktowane linki do miejsc w sieci, na które będzie się można powołać w tekście, Paulina przeciągnęła się, wzięła kubek i ruszyła do aneksu kuchennego, by nalać sobie kawy. Mała przerwa, a potem zaczniesz pisać.

Po drodze przypomniała sobie o Wyrzykowskim i poczuła, że jej umysł znowu zaczyna zapętlać się wokół wojennego tematu niczym zawirusowany procesor. Myślała o tym, co powiedziała jej Baśka. Czy nikt nie może pomóc temu człowiekowi? A może właśnie pomaga? Przecież on sam pisał o jakiejś pomocy społecznej. A rodzina?

Właśnie, rodzina! Przypomniała sobie, że kilka tygodni temu wyciągnęła od faceta z „Dziennika Bałtyckiego” telefon do syna tego Wyrzykowskiego. Miał na imię Marek, o ile pamiętała. Nalała sobie kawy z ekspresu i szybkim krokiem wróciła do biurka. Po drodze złowiła spojrzenie Pawła, który postukał palcem w cyferblat swojego zegarka i pokazał, że zostały jej dwa dni.

Ciekawe, jak by wyglądał z takim pirackim hakiem zamiast dłoni?

Przekartkowała swój notes i zatrzymała się na literze W. Wystukała

dziewięć cyferek.

Pierwsze słowa mężczyzny, które padły po tym, jak się przedstawiła i zadała pytanie o Wyrzykowskiego seniora, nie były zbyt zachęcające.

– A czemu pani interesuje się moim ojcem? – Niski, chłodny głos nie brzmiał jakoś szczególnie przyjaźnie.

– Jeśli chodzi o ścisłość, to pański ojciec zainteresował się mną – zaryzykowała żart. – Piszę dość często na tematy związane z historią regionu i okresem drugiej wojny światowej. To dlatego pana ojciec zwrócił się do mnie.

Mężczyzna po dłuższej chwili i kilku neutralnych grzecznościowych formułkach zrobił się bardziej przystępny.

– Schizofrenię u mojego ojca zdiagnozowano bardzo późno. Miałem wówczas kilkanaście lat i po którejś z rzędu awanturze matka zagroziła, że się wyprowadzi. Wtedy żyli jeszcze dziadkowie, mieszkaliśmy razem. Ojciec zaczął brać leki i było w miarę dobrze. Pogorszyło mu się bardzo, gdy matka zmarła. To było w dwa tysiące dziewiątym roku.

– Czy ma teraz jakąś opiekę?

– Od lat usiłuję go umieścić w jakimś ośrodku, ale to nie jest takie proste. Potrzebna jest jego zgoda, a on nie chce o tym słyszeć. Musiałbym go ubezwłasnowolnić. – Mężczyzna westchnął ciężko. – Na dobrą sprawę on sobie całkiem nieźle radzi na co dzień, tylko od czasu do czasu ma takie poważne napady. Sądzę, że muszą je wywoływać jakieś sytuacje, które bierze za zagrożenie. Na miejscu jest pielęgniarka, zgodnie z umową odwiedza go dwa razy w tygodniu.

– A te historie z czasów wojny? Czy w ogóle jest w nich coś prawdziwego?

– Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia. Ojciec pisał dziennik. Zaczął, gdy byłem dzieckiem. Nigdy go nikomu nie pokazywał. Kiedyś matka wspomniała, że ojciec miał bardzo ciężkie dzieciństwo, ale nic więcej mi nie powiedziała. Dziadkowie też nie palili się do opowiadania o tamtych czasach. Naprawdę myśli pani o napisaniu jakiegoś artykułu na ten temat?

– Najpierw staram się poznać sytuację.

Paulina pomyślała, że wyszedłby z tego właściwie nie sensacyjny artykuł

o nazistowskich tajemnicach, ale smutna opowieść o chorym człowieku. Przemknęło jej przez głowę, że właśnie takie rzeczy chciała przecież pisać, ale teraz w obliczu faktów jakoś nie wydawało jej się to już pociągające. Wiwisekcja cudzego dramatu. Smutne i posępne.

Po kilku zdawkowych uprzejmościach pożegnała się z mężczyzną, popatrzyła na wyświetlacz i w zamyśleniu odłożyła telefon na biurko.

Minął kolejny tydzień. Wszędzie kwitły rododendrony, które uwielbiała. Szczególnie te najbardziej klasyczne w kolorze jasnego fioletu. W weekend wybrali się z przyjaciółmi do ogrodu dendrologicznego w Przelewicach, żeby obejść czterdzieści hektarów zabytkowego parku, obejrzyć dziesiątki odmian azalii i róż japońskich i zjeść lody na pałacowym tarasie. Paulina bardzo lubiła to miejsce, chociaż zawsze dziwiło ją, że niezwykle epicka historia majątku jest tak mało spopularyzowana. Pałac urządził bratanek króla Wilhelma Fryderyka II, księżę Fryderyk Wilhelm August von Preussen, dla swojej kochanki Augusty Arend, córki żydowskiego kupca z Berlina. Sprawa była takim skandalem, że w historiografii niemieckiej objęta była przez cały bez mała XIX wiek tajemnicą. Księżę nie dał się w żaden sposób przekonać do przerwania romansu, więc król, aby jakoś ograniczyć rozmiary blamażu, nadał pannie Arend szlachectwo, herb i nazwisko – od nazwy wsi, w której stał pałac – von Prillwitz. Fantastyczna historia, która dobrze podana, nagłośniona, okraszona pikantnymi szczegółami z życia księcia, znanego z ogromnej liczby kochanek i skandali, byłaby świetną reklamą, tymczasem gmina władająca aktualnie pałacem zadowoliła się szklaną gablotką z suchymi faktami.

I jako szczeciniankę, i jako dziennikarkę, bolał ją ten brak zainteresowania lokalnych władz i społeczności dla popularyzowania fantastycznych niekiedy i bardzo cennych pomorskich historii i anegdot. O cholernym paprykarzu na przykład wiedział oczywiście każdy warszawiak, ale o tym, że znany w całej Polsce i podawany już bez mała w połowie Europy, gdzie zaimplantowany został przez barmanów na zmywakach, słynny shot Wściekły Pies narodził się w Szczecinie, nikt jakoś nie pamiętał. A wymyślono go właśnie tutaj, w samym centrum, przy placu Odrodzenia, gdzie kilkanaście lat temu jeszcze mieścił się Pub Fiction – lokal, gdzie nazwy drinków i wystrój inspirowane były słynnymi tytułami filmów. Paulina od kilku miesięcy miała w planach duży artykuł na temat zagubionych szczecińskich marek i niewykorzystanych

brandów, ale ciągle odciągała ją od tego projektu codzienność.

Któregoś dnia z samego rana usiadła przy swoim biurku, włączyła komputer i odruchowo kliknęła na ikonkę poczty. Pomiędzy kilkunastoma wiadomościami i reklamami od razu zauważyła znajome imię i nazwisko.

Pamiętam, że wytrzymałem tylko pół dnia. Do wieczora. Byłem jeszcze dzieckiem, wojna tak naprawdę w swej najgorszej postaci nie dotarła jeszcze do naszej wsi. Nawet nalojów tutaj nie było. Słyszałem tylko, jak dorośli opowiadali straszne historie o bombach zrzuconych na Berlin i Szczecin, ale wówczas tak naprawdę nie różniło się to dla mnie od scen z kina, do którego raz na jakiś czas zabierał mnie dziadek.

Motka patrzyła na mnie z przerażeniem, gdy jej powiedziałem o lotniku w naszej piwnicy, a potem bez słowa poszła do kuchni, wzięła lampę naftową, otworzyła klapę w podłodze i zniknęła w mroku. Ukucnąłem na podłodze obok schodów i nasłuchiwałem. Motka po chwili wróciła, zabrała z apteczki bandaż, jodynę i jakieś lekarstwa. Okazało się, że lotnik był ranny. Musiał dostać jeszcze w powietrzu, gdy samolot został trafiony. Motka go opatrzyła, a potem długo siedziała w foielu i patrzyła w przestrzeń. Gdyby ktoś dowiedział się wówczas, że ukryliśmy w naszej piwnicy wroga, to prawdopodobnie ślad zaginęłby po nas jak po rodzinie mojego kolegi. Na szczęście niki nas nie odwiedzał, nasz dom stał na uboczu, a moja motka była szanowana i lubiana wśród mieszkańców wsi. Pewnie nikomu by do głowy nie przyszło, że może pomagać wrogom.

Przez trzy dni motka zmieniała opatrunki lotnikowi i zanosila mu jedzenie, ale rana była chyba zbyt poważna, poza tym chyba wcześniej zdołała się wdać infekcja. Motka nie miała antybiotyków ani żadnych prawdziwych lekarstw i pod wieczór lotnik leżał już na pół przytomny. Matka przewinęła mu ponownie bandaż i wymyła ranę, a ja siedziałem obok i patrzyłem.

I wtedy właśnie lotnik złapał nagle motkę za rękę i zaczął gorączkowo coś mówić. Gdy zaczęła go uciszać, sięgnął po swój plecak i wyciągnął jakąś saszetkę. Tłumaczył jej, że musi to koniecznie gdzieś zanieść i komuś przekazać i że ten ktoś będzie wiedział, co zrobić, że może uda się uratować tysiące ludzi.

Usłyszałem nazwę wsi i nazwisko dziedzica. Wszyscy ich tu znali.

Tej samej nocy lotnik zmarł. Zostaliśmy sami w położonym na uboczu domu z trupem alianckiego szpiega w piwnicy.

Po raz pierwszy tekst naprawdę Paulinę zaniepokoił. Na tyle, że zaczęła się zastanawiać, kiedy przyjdzie kolejna część. Niezrozumiałe w dalszym ciągu było, dlaczego Wyrzykowski pisze z punktu widzenia Niemca, który przeżył wojnę. Jeśli zaczął pisać pamiętnik, jak twierdził jego syn, może rzeczywiście pogłębiająca się choroba spowodowała, że zaczął mylić własne przeżycia z przeczytanymi gdzieś wspomnieniami tutejszych dawnych mieszkańców. Może naprawdę znalazł czyjś pamiętnik, może był on zbieżny z jego wspomnieniami z tego okresu na tyle, że zlał się w jego głowie w jedną historię. Paulina nie wiedziała zbyt wiele o schizofrenii, jakie wywołuje skutki i w jaki sposób zmienia umysł. Otworzyła notatnik i pod numerem telefonu syna Wyrzykowskiego zapisała sobie, żeby to sprawdzić. Jej dobra koleżanka była lekarzem, pediatrą wprawdzie, ale pewnie o schizofrenii i tak wiedziała o niebo więcej od niej. Zawsze też mogła ją do kogoś skierować. Przeszło jej przez myśl, że może jednak z tego tematu urodzi się jakiś ciekawy, społecznie zaangażowany artykuł.

Chciała zamknąć program pocztowy, gdy jej uwagę przykuły pewne drobne, powtarzające się błędy w przysłanym tekście. Podczas szybkiego czytania mózg pomija takie uchybienia, podpowiadając od razu właściwe znaczenie, ale gdy czytała to po raz drugi, zdołała wyłapać drobne niedokładności. W wielu miejscach zamiast a było o, a zamiast t litera i.

Paulina zmarszczyła brwi. Z czymś jej się to kojarzyło. Czy to może mieć jakieś znaczenie? Jeśli Wyrzykowski przepisywał tekst na przykład z rękopisu, to może po prostu mechanicznie robił błędy?

Wstała i zamyślona skierowała się do kuchenki. Przechodząc obok stołu, na którym stał ploter, przypomniała sobie, że musi zeskanować plik dokumentów, które wczoraj położył na jej biurku Paweł. Materiały wypożyczone od prywatnego kolekcjonera, mające posłużyć do artykułu. Gdy mijiała próg aneksu kuchennego, coś ją tknęło. Zrobiła sobie kawy i szybko wróciła do biurka. Ponownie otworzyła program pocztowy i wbiła wzrok w e-mail od Wyrzykowskiego. Oczywiście! Skaner!

Wyrzykowski musiał przekleić do wiadomości cały tekst z pliku wordowego na przykład, natomiast te błędy to najwyraźniej efekt zeskanowania jakiegoś dokumentu napisanego na maszynie do pisania, w której były uszkodzone niektóre młoteczki lub napisanego nawet ręcznie. Pewnie użył jakiegoś programu skanującego z aplikacją rozpoznawania tekstu.

Mam cię! – pomyślała i uśmiechnęła się triumfalnie.

Może w ogóle cała ta historia to motyw przepisany z jakiejś książki? Albo przynajmniej zainspirowany jakąś powieścią. Westchnęła, zamknęła pocztę i otworzyła katalog z materiałami do artykułu. Reszta dnia z konieczności upłynęła jej pracowicie.

Minął czerwiec i pierwszy tydzień lipca. Lato zrobiło się gorące i jakieś mocno poirytowane. Nie było tygodnia bez burzy. Paulina odliczała dni do sierpniowego urlopu, zajmując się jakimiś drobnymi artykułkami, które ukazywały się na stronach poświęconych wydarzeniom w regionie. Raz Paweł wysłał ją na zlot zabytkowych samochodów, innym razem pojechała z Bašką na jakąś uroczystość do Świnoujścia. Kiedy indziej znowu brała udział w zakończeniu prac konserwatorskich przy zabytkowej bramie miejskiej w jednym z miasteczek pod Szczecinem, przez cały czas trwania fety zastanawiając się, co ona tam do diabła robi.

Co jakiś czas sprawdzała pocztę, Wyrzykowski nie pisał. W końcu bijąc się z myślami, czy powinna, wysłała e-mail z zapytaniem, a gdy nie otrzymała odpowiedzi przez kolejne kilka dni, lekko zaniepokojona wysłała wiadomość do syna Wyrzykowskiego.

Odpowiedź przyszła jeszcze tego samego dnia. Zawierała suchą informację, że ojciec znajduje się w szpitalu, i prośbę, aby się z nim więcej nie kontaktować, bo to pogarsza jego stan. Paulina, rada nierada, stwierdziła, że być może będzie musiała pogodzić się z tym, że nigdy nie pozna zakończenia tajemniczej historii.

Urlop spędziła, rozkosznie przysypiając na leżaku nad samym morzem i włócząc się po wąskich uliczkach pomiędzy pastelowymi kamieniczkami lub zawieszonymi na skałach pasażami Korfu. Wynajęty na tydzień dom w przeliczeniu na sześć osób wypadł nawet niedrogo. Miał opleciony kwitnącą szaleńczo bugenwillą taras i trzy niewielkie sypialnie

z portfenetrami otwartymi na morze dachów. Pomędzy kończącymi się późną nocą kolacjami przy winie, zwiedzaniem wyspy a cudownie bezproduktywnym lenistwem Paulina zdołała ułożyć sobie w głowie plan od dawna planowanego artykułu na temat szczecińskich marek. Gdy wróciła do Szczecina, nie tracąc czasu, od razu wparowała do gabinetu Pawła i roztoczyła przed nim swoją wizję tematu, wypunktowując kilka najbardziej spektakularnych elementów.

Paweł przez chwilę milczał, wpatrując się w okno.

– Torcik Domino – powiedział z rozmarzeniem w głosie.

– Słucham? – Paulina spojrzała na niego z osłupieniem.

– Torcik Domino! – Paweł odwrócił się do niej i uśmiechnął szeroko. – Było takie ciastko podawane w Szczecinie w cukierniach. Leciutki biszkopt i bita śmietana jak puch, a na wierzchu plamki z czarnej czekolady. Boże! Jakie to było dobre!

Paulina zmarszczyła brwi. Faktycznie! Pamiętała z dzieciństwa. Specjał produkowany przez jakąś miejscową firmę. Wprawdzie teraz to ciasto można było kupić w całej Polsce, ale jego smak był już zupełnie inny. W niektórych cukierniach do ciasta dodawano nawet warstwę dżemu, co było kompletnym świętokradztwem. Po zamknięciu państwowej spółdzielni oczywiście nikt nie zadbał o zabezpieczenie receptur, praw autorskich. Czarna dziura.

– Świetny pomysł! – Paweł pokiwał głową, patrząc na Paulinę z uznaniem. – Będzie dużo roboty ze znalezieniem wszystkich adresów, dawnych nazw, producentów, ale temat jest doskonały i nikt tego do tej pory się nie podjął.

Paulina z entuzjazmem zabrała się do pracy i po dwóch tygodniach, po wielogodzinnych telefonach do różnych firm, syndyków, poszukiwaniu kontaktów z byłymi kierownikami, wytwórcami, szefami tudzież zwyczajnymi pracownikami, którzy byli w stanie jeszcze cokolwiek opowiedzieć o starych technologiach produkcji, miała już pokaźny materiał, a temat całkowicie ją pochłonął.

Któregoś wrześniowego poranka zajęta była czytaniem starego zeskanowanego artykułu, który dopiero co przesłała jej zaprzyjaźniona bibliotekarka z Książnicy, gdy nad jej biurkiem ktoś stanął. Paulina podniosła wzrok i spojrzała ze zniecierpliwieniem.

– Wy-rzy-kow-ski – przesyłabizowała bezgłośnie samymi wargami Baśka i podała jej słuchawkę.

Paulina zmarszczyła brwi i pokręciła głową. Może niech lepiej powie, że jej nie ma.

Baśka niecierpliwie potrząsnęła słuchawką.

– Sama tego chciałaś. Ostrzegałam cię. Teraz się z tego wyplątuj – wysyczała.

Paulina podniosła oczy ku niebu i chwyciła słuchawkę.

– Paulina Weber, słucham – przywitała się ostrożnie.

– Dzień dobry, pani redaktor. Mówi Karol Wyrzykowski. – Głos po drugiej stronie kabla był cichy i słaby, tak jakby mężczyzna nie był jeszcze w pełni sił. – Dzwonię do pani, żeby przeprosić za swojego syna.

– Syn mówił, że był pan w szpitalu. Powinien pan odpoczywać... – Paulina przypomniała sobie ostatnie e-maile od Wyrzykowskiego i poczuła, że budzi się w niej ponownie ciekawość. Postanowiła jednak poczekać, aż mężczyzna sam podejmie temat.

– W moim wieku to całkowicie normalne, że nie wszystko zawsze działa jak trzeba. Mój syn niepotrzebnie robi z tego aferę. Najchętniej zamknąłby mnie w domu wariatów.

– Jestem pewna, że myśli przede wszystkim o pana dobru.

– Niewątpliwie – prychnął starzec.

Odetchnął i zaczął ponownie mówić.

– Przesłałem pani początek swojego dziennika.

– Skan... – wtrąciła ostrożnie Paulina.

– Tak. – Usłyszała, jak mężczyzna się uśmiechnął. – Jest pani spostrzegawcza, ale proszę się nie niepokoić. Zeskanowałem te strony w trzech różnych miejscach, żeby nikt nigdzie nie poznał całości historii. Ostatnią w naszym ośrodku.

– Przyznaję, że ta opowieść mnie wciągnęła. Ciekawa jestem, jak się wszystko skończyło.

– Nic się nie skończyło, pani redaktor. Dostałem teraz leki i czuję się

lepiej, ale te koszmarne głosy w mojej głowie i światła... światła umarłych wrócą. Wiem to.

Głos męczyzny się zmienił. Stał się bardziej nerwowy, przerywany krótkimi oddechami.

– Panie Karolu, powinien pan odpocząć. Wrócimy do tej historii, jak pan wydobrzeje... – Paulina uznała, że powinna jak najszybciej skończyć tę rozmowę. Jeśli Wyrzykowski znowu wyląduje w szpitalu, to jego syn gotów wytoczyć jej proces.

– Podczas mojej nieobecności znowu ktoś się tutaj włamał. Oczywiście, syn jak zwykle mi nie uwierzył. Wmawia mi, że to tylko moje obsesje i że to wszystko wymyślam. Ale ja znam swój dom. Znam tu każdy centymetr, dobrze wiem, że ktoś tutaj węszył.

– Zawiadomił pan policję?

– Tak, ale oni gadają to samo co mój syn. Nawet przyjechać nie chcieli. Na szczęście dziennik i pozostałe dokumenty zdążyłem już do pani wysłać. Przestraszyłem się, że jak będę w szpitalu, ktoś to może ukraść i, jak widać, miałem rację. Ufam, że to wszystko znalazło się w dobrych rękach. Trudziło się na darmo.

Paulina poczuła się jak w pułapce. Jeśli przerwie tę rozmowę zbyt zdecydowanie, to może go wyprowadzić z równowagi, zdenerwować. Cholera wie, na co on jest chory. Bo jeśli to serce?

– Dalszą część historii przeczyta pani w mailu, wyślę go jeszcze dzisiaj. Wyrwałem te kartki z pamiętnika wcześniej. W piwnicy jest zakopana skrzynia z radiostacją. Pewnie już zardzewiała kompletnie. Nigdy jej stamtąd nie ruszałem. Tak jak i zwłok...

Paulina otworzyła szeroko oczy. Chyba źle usłyszała. Zwłok?

– Zwłok? – spytała słabym głosem. Zaczęła się poważnie obawiać. Nie zna się na postępowaniu ze schizofrenikami. Ta rozmowa przybiera coraz gorszy obrót. Facet bierze jakieś leki, a w tym momencie coraz bardziej się denerwuje. Jego syn mówił coś, że stan Wyrzykowskiego pogarsza się w sytuacjach zagrożenia.

– Ci wszyscy umarli wracają... Światła umarłych wracają. Zawsze wracają...

Przerazona Paulina zdała sobie sprawę, że Wyrzykowski mówi w tej chwili do siebie. Musi przerwać po prostu i zadzwonić natychmiast na pogotowie!

– Chwileczkę, pani redaktor! – Głos męczyzny stał się nagle ponownie wyraźny. – Ktoś tam chyba hałasuje. Muszę zobaczyć, co się dzieje. Proszę się nie rozłączać.

Paulina odetchnęła. Jak tylko Wyrzykowski wróci, grzecznie przerwie tę rozmowę i poprosi o telefon jutro. W międzyczasie natomiast zadzwoni do jego syna i powie, żeby się zajął ojcem. Spojrzała na zegarek. Zdążyło minąć już piętnaście minut!

Baśka spojrzała na nią z drugiego końca sali z protekcyjnym uśmiechem.

– Halo! – Usłyszała szmer podnoszonej słuchawki. – To chyba był tylko kot. Muszę mu dać jeść. Zaraz, chwileczkę...

Usłyszała ponownie cichy stuk i odgłos oddalających się kroków. Przycisnęła słuchawkę do ucha, ale w tle słyhać było tylko jakieś nieokreślone szmery. Przez moment wydawało się jej, że usłyszała głos Wyrzykowskiego, po czym nastąpiła cisza.

Cisza się przedłużała.

– Halo! – Paulina pomyślała, że może męczyzna po prostu zapomniał o rozmowie. Ile on może mieć lat? Osiemdziesiąt? Więcej?

W tle usłyszała nagle zbliżające się kroki. Stukot był nieregularny, ostrożny. Ktoś podniósł słuchawkę.

– Halo! Panie Karolu! Jest pan tam?

Przez moment panowała cisza, po czym usłyszała stuk, a po chwili sygnał.

Paulina oderwała słuchawkę od ucha i spojrzała na nią z konsternacją.

Co mu się stało? Może miewa jakieś zaniki pamięci? Poszedł coś zrobić, wrócił i nie pamiętał już, że rozmawiał przez telefon? Powinna chyba jednak zadzwonić do jego syna.

Sięgnęła po notes i otworzyła na stronie z literą W. Wykręciła numer i zastygła bez ruchu, układając sobie w głowie, co powie młodemu Wyrzykowskiemu.

Młodemu? On musi być po pięćdziesiątce.

Cztery sygnały i nic. Paulina wykręciła numer ponownie. Dalej nic.

Westchnęła z rezygnacją i spojrzała na monitor. Właśnie straciła pół godziny cennego czasu. Postanowiła spróbować później i odłożyła słuchawkę.

Następnego dnia rano, ledwie weszła do redakcji, Paweł zawołał ją do siebie.

Siedziała właśnie naprzeciw niego w fotelu obitym imitacją skóry, z ustami zaciśniętymi w wąską kreskę. Była naprawdę zła. Tym razem przesadził! Prawie cztery tygodnie żmudnej pracy nad artykułem, którego temat sama wymyśliła, który od dawna za nią chodził, a on teraz jak gdyby nigdy nic oznajmia jej, że dokończy go Baśka, bo dla niej ma coś innego! Jeśli okaże się, że to jakiś pilny sponsorowany tekst techniczny, za który gazeta ma zgarnąć dobrą kasę, to chyba nie powstrzyma się tym razem i czymś mu przyłoży!

Taksująco spojrzała na opakowaną w szary papier paczkę, oceniając na oko jej ciężar.

– Szczecińskie brandy prawie już skończyłaś. Baśka zbierze to tylko do kupy, a pod tekstem podpiszecie się obie... – Paweł wciąż uśmiechał się pod nosem, ale widząc, że Paulina jest naprawdę wściekła, westchnął i oparł łokcie na blacie biurka. – Od dłuższego czasu korespondowałaś na boku z tym Wyrzykowskim, prawda? – Spojrzał na Paulinę i uniósł brwi.

– No i co z tego? Pisał do mnie jakieś niestworzone rzeczy o tym, że jest prześladowany przez amerykańskie służby specjalne i opiekę społeczną.

Paulina była nadal wściekła, ale intuicja zaczęła jej podpowiadać, że coś się zmieniło. Popatrzyła na Pawła. Coś dziwnie kręcił.

– Dzisiaj przysłała od niego ta paczka. – Postukał dłonią w szary papier. – Jakieś stare dokumenty. Będziesz musiała to szybko przejrzeć. Nie ma czasu...

– Chwila! – Paulina zaczęła groźnie. – Jeśli zabrałeś mi mój temat po to, żebym pisała o schizofrenicznych podejrzeniach jakiegoś staruszka...

Przerwała. Paweł patrzył na nią jakimś dziwnym wzrokiem.

– Wczoraj ktoś go zamordował.

Rozdział 3

Igor oderwał wzrok od monitora i spojrzał z niechęcią na wibrującego i irytująco postukującego obudową po drewnianym blacie biurka iPhone'a. Westchnął i wyciągnął głowę, żeby spojrzeć na wyświetlacz. Matka. Jeśli nie odbierze, to będzie dzwoniła jeszcze ze trzy razy, a potem zadzwoni na numer stacjonarny pracowni. Uznał, że na dłuższą metę rozsądniej będzie, biorąc pod uwagę pracę, którą miał do zrobienia, odebrać jednak od razu.

– Tak, mammo?

– Igor? Dzwonię z taką sprawą... Igor? Halo?

– Przecież słucham...

– Bo coś cicho było. Eee... – W słuchawce słyhać było przez chwilę szelest kartek. – Czy nie mógłbyś mi powiedzieć, jak się nazywają ci znajomi Johanna, którzy do nas przyjadą... Chciałabym wiedzieć wcześniej, jak ich tutaj posadzić i w ogóle...

– Przecież to nie wesele – westchnął Igor. – Nie chcesz chyba robić kartek z nazwiskami na stołach?

– Chcę wszystko przygotować, żeby mnie potem coś nie zaskoczyło. Johann nie mówił nic, że ktoś z nich jest na przykład wegetarianinem czy kimś takim?

– Nie mówił. Poza tym przecież macie w karcie dań potrawy dla wegetarian.

– Oj tam. W karcie dań. To są specjalni goście i muszę się wcześniej przygotować. No więc...

Igor zauważył właśnie, że błędnie wkleił osłonę śmietnikową na planszę zagospodarowania terenu, wskutek czego wejście do niej prowadziło wyłącznie od strony sąsiedniego budynku. Zmarszczył brwi, włożył telefon między ramię a policzek i pochylił się nad klawiaturą. Jeśli teraz tego nie poprawi, to potem pewnie zapomni.

– Co mówiłaś?

– Miałeś mi powiedzieć, jak się nazywają znajomi Johanna.

Igor westchnął. Zdążył już zrobić wszystkie dojścia i zaszaflować nawierzchnie. Teraz nic się nie zgadzało i trzeba było to także poprawić.

– Dziewczyny to Alice Griffin-Norton...

– Czy to jego narzeczona?

– Nie, to jej koleżanka. Dziewczyna to Gwen Crichton-Stuart, ale w sumie nie jestem pewien, czy to narzeczona.

Matka Igora musiała się zakrztusić, bo przez chwilę słychać było nerwowy kaszel.

– Halo! Mamo! Albo jesz, albo rozmawiasz...

– Nic nie jem. Musiałam odchrząknąć.

W tle Igor usłyszał, jak jego ojciec coś komentuje.

– Przyjaciół Johanna to Dermot Carmondeley, jego kancelaria obsługuje ich firmę. Dwaj pozostali to koledzy z pracy chyba, ale nie poznałem ich osobiście. James McGowan i Rupert Wickham.

Igor usłyszał, jak matka powtarza szeptem „Carmondeley”, a w tle ojca, który coś do niej mówi.

– Halo! Co wy tam wyrabiacie?

– Nie, nic, nic. Muszę kończyć, bo mamy tutaj pracę z ojcem. Pa, pa.

Igor przez chwilę patrzył w ekran monitora, usiłując ogarnąć wszystkie zmiany, które jeszcze musiał wprowadzić, po czym zmarszczył brwi i spojrzął na telefon. Miał wrażenie, że jakoś dał się podejść, ale nie wiedział jeszcze, na czym to polegało.

*

Niebo nad zatoką Sviby było zaciągnięte chmurami. Chociaż daleko na południu jaśniejsze plamy błękitu usiłowały nieśmiało przedrzeć się przez brudne pierzaste zasłony, na północy nad horyzontem zbierało się coraz ciemniejsze kłębowisko, groźnie przepowiadając deszcz lub burzę.

Koniec lata mocno przerzedził tłumy gości popularnej tawerny na samym brzegu zatoki – przez całe wakacje gromadziły się one pod ogromnym

zielonym dachem, wspartym na drewnianych belkach zakończonych rzeźbionymi pyskami smoków, przywodzących na myśl nadbudowane rufy galeonów lub bojowe kasztele bałtyckich holców[5]. Przy pomostach przystani, ciągnącej się wzdłuż wąskiej drogi u podnóża skarpy porośniętej przez wysoko sklepione sosny, kołysało się wciąż jeszcze sporo masztów większych i mniejszych łajb, należących do zwabionych z całego Bałtyku na Wyspy Alandzkie żeglarzy. Nieopodal górowały nad zatoką trzy potężne maszty muzealnego żaglowca „Pommern”, po którego trapach wciąż ciągnęli na pokład turyści. Mariehamn szykowało się jednak nieodwołalnie, chociaż bez zbytniego pośpiechu, do końca sezonu.

Było wczesne popołudnie. Jeden ze stolików ustawionych na pomoście tawerny, tuż obok czerwonego płotu, za którym połyskiwały czyściutkie burty zabytkowego kutra, zajmowało niewielkie towarzystwo złożone z sześciu osób z raczej posępnymi minami. Przy samej barierce siedział Johann i z głową opartą na zaciśniętej pięści patrzył smętnie w kierunku drugiego brzegu zatoki.

– I tak po prostu powiedział, że nie, i już? – pucułowaty szatyn zadał pytanie, które w rozmaitych formach, różniących się jedynie składnią, zdążyło już paść nad stołem kilka razy.

– Ile razy mam to powtarzać? – Dermot spojrział na niego z nieukrywaną irytacją. – Nie chciał w ogóle gadać! Nie i już!

– I w żaden sposób tego nie wyjaśnił? Nic z niego nie wyciągnąłeś? – Alice pokręciła głową ze zniechęceniem, dłubiąc jednocześnie widelcem w porcji łososia z rusztu.

Dermot opuścił głowę i westchnął. Minęło już z pół godziny, odkąd wrócili z Johannem z miasta, a zdążyli przewałkować ten temat trzykrotnie. Liczba pytań, jakie można było zadać, była raczej ograniczona, więc w kółko kręcili się wokół tego samego.

– Może trzeba było argumentować w inny sposób? – Ubrana w luźną białą bluzkę szatynka z wielkimi zielonymi oczami podniosła wzrok znad sałatki.

– Niby jak? Miałem mu przywalić? – brunet podniósł głos. – W sumie chętnie bym to zrobił...

– Miałam na myśli raczej...

– Proponowałem mu trzy razy tyle, ile uzgodniliśmy – Johann wszedł jej w słowo, nie odrywając wzroku od horyzontu nad zatoką. – Nie chciał o niczym słyszeć.

– To jakaś paranoja – jęknął Rupert, ubrany dzisiaj w czarną dla odmiany koszulkę z napisem „Keep calm and kill zombies”.

– Planowaliśmy to wszystko przez bez mała pół roku... – Alice położyła łokcie na stole i oparła głowę na rękach. – Facet ani razu nawet się nie zająknął, że coś może być nie tak, i teraz nagle odwalił taki numer?

– Może naprawdę ktoś mu groził? – Korpulentny mężczyzna spojrzał na Dermota i przeniósł spojrzenie na wciąż wpatzonego w dal Johanna.

– Niby że marynarka? – Szatynka dziabnęła widelcem kawałek koktajlowego pomidorka i bez entuzjazmu włożyła go do ust.

– Może NATO? – zakpił Dermot.

– Albo NASA – mruknął Johann.

– Przestańcie pierdolić! – zirytował się grubas. – Sam Lindberg z Ocean X Team rozpowszechniał takie pogłoski, że to amerykańska marynarka wojenna skonfiskowała im wszystkie próbki i materiały.

– Nie zapominaj, że Amerykanie zagrozili mu pozwem za szkalowanie ich dobrego imienia – wtrącił Rupert.

– A jakie mieli wyjście? Mieli radośnie przytaknąć i pomachać gwiazdzistym sztandarem?

– Przecież mamy wszystkie niezbędne pozwolenia i od Szwedów, i od Finów. – Szatynka odłożyła widelec na talerz i sięgnęła po chusteczkę. – Johann! – rzuciła zniecierpliwiona w kierunku pleców blondyna.

– Wszystkie – przytaknął Johann, odwracając się w końcu do piątki towarzyszy.

– To co teraz zrobimy?

Cała piątka patrzyła na niego pytająco.

Wielką Wyprawę w poszukiwaniu Bałtyckiej Anomalii wymyślili z Dermotem pół roku temu podczas jakiejś imprezy charytatywnej, gdy śmiertelnie znudzeni przechadzali się pomiędzy londyńską śmietanką towarzyską, różnymi celebrytami i przedstawicielami biznesu. Należeli po

trochu do każdej z tych grup, ale nie będąc jakoś specjalnie reprezentatywni dla żadnej z nich, mogli się cieszyć względnym komfortem nierozpoznawalności. Z Dermotem znali się jeszcze ze szkoły średniej, gdzie na początku tłukli się i nie cierpieli wzajemnie, by zawiązać w rezultacie wymuszony przez wychowawców pakt o nieagresji, złośliwie nazywany przez nich konwencją „Floreat Etona”[6], który koniec końców przekształcił się ku ich zdumieniu w przyjaźń.

Dermot, wysoki, dobrze zbudowany brunet, na co dzień pracował w jednej z większych kancelarii prawniczych w Londynie, prywatnie zapalony żeglarz i nurek, swoim pasjom poświęcał prawie cały swój wolny czas. Bałtycka Anomalia pojawiła się w rozmowie najpierw jako żart, by przechodząc etapy pokpiwania i wyszydzania, stać się w rezultacie celem wakacyjnej wyprawy. Historia była im dobrze znana z wielu gazet i portali, które w 2011 roku często ją opisywały jako lokalną sensację. Dziewiętnastego czerwca tamtego roku szwedzki zespół poszukiwaczy wraków Ocean X Team natknął się na dnie Zatoki Botnickiej na tajemniczą strukturę, która ze względu na swój niespotykany kształt okrzyknięta została momentalnie przez gazety „Bałtyckim Sokołem Millennium” i skamieniałym statkiem kosmitów. Skandynawowie narobili wokół znaleziska mnóstwo szumu, podpisując nawet ze szwedzką telewizją umowę na kilka filmów dokumentalnych, co szybko zaowocowało oskarżeniem ich o sfałszowanie zdjęć z sonarów w celu pozyskania inwestorów dla swojej głównej działalności, czyli eksploracji wraków. Koniec końców nie wyjawili nigdy dokładnej lokalizacji znaleziska, tłumacząc to naciskami, jakie wywierały na nich agencje wywiadowcze i marynarka Stanów Zjednoczonych.

Wczesną wiosną Dermot, prowadząc dogłębny research tematu, dostał od jednego ze znajomych żeglarzy namiar na człowieka, który rzekomo brał udział w wyprawie Ocean X Team lub też znał jej członków i miał znać dokładną lokalizację anomalii. Po kilku tygodniach udało im się nawiązać z nim kontakt, a Fin, jak się okazało mieszkaniec Wysp Alandzkich, zgodził się na udział w wyprawie.

– Możemy popłynąć sami. – Johann wzruszył ramionami, patrząc bez przekonania na piątkę przyjaciół. – Mamy doskonałe sonary, może sami znajdziemy?

– Zatoka Botnicka jest większa niż cała Wielka Brytania. Przeszukiwanie

jej z sonarem w celu znalezienia obiektu, który ma średnicę sześćdziesięciu metrów, potrwa dwa miliony lat. – Alice postukała się palcem w czoło.

– Anomalia znajduje się mniej więcej na środku zatoki.

– Świetnie. To milion lat.

– No to co mamy robić? – zniecierpliwiał się Dermot. – Może to nie jest zły pomysł? Popływamy sobie i może coś znajdziemy. Przecież i tak mieliśmy pływać po Bałtyku.

– Ale nie bez celu – mruknął Rupert.

– Tyle zamieszania. Przez cały miesiąc musiałem negocjować z Bridget, żeby mnie puściła samopas na trzy tygodnie rejsu luksusowym jachtem z tym playboyem – jęknął grubas, wskazując brodą Johanna. – I wszystko szlag trafił przez jakiegoś fińskiego fiuta! Może spróbujemy pójść do niego całą grupą i przemówmy mu do rozumu?

– Jak to sobie wyobrażasz, Jamie? Zwiążemy go i wrzucimy pod pokład?

– Alice parsknęła śmiechem.

– Chociażby!

– Możemy zwiedzić Visby na Gotlandii... – Szatynka wzruszyła ramionami, sięgając po kawałek melona. – To piękne, historyczne miasteczko. I jest tam w dodatku teraz jakiś festyn średniowieczny.

– Był – wtrąciła Alice – pod koniec sierpnia.

– Gwen! Zlituj się! Festyn średniowieczny? – parsknął Jamie. – W Szkocji nie ma dnia, żeby nie urządzali gdzieś po wiochach takiego gówna.

– Przestańcie jęczeć – zniecierpliwiał się Johann. – Zawsze możemy wrócić. Możemy też ponurkować w okolicach Bornholmu lub Gotlandii. Zezwolenie dostaniemy tam od ręki. Kilka lat temu znaleziono niedaleko żaglowiec z szesnastego wieku.

– Bornholm, Gotlandia i festyn średniowieczny... – Dermot pokręcił głową i westchnął. – Z wyprawy w poszukiwaniu starożytnej tajemnicy zrobiła się wycieczka dla emerytów.

Siedzące po dwóch stronach stołu dziewczyny popatrzyły na siebie i parsknęły śmiechem. Jamie z irytacją machnął ręką.

– Na razie trzymajmy się po prostu planu. – Johann sięgnął po kufel

z piwem. – Mieliśmy przemocować w Mariehamn. Pilota i tak mamy umówionego na jutro, a poza tym psuje się pogoda i lepiej spędzić ten dzień spokojnie w porcie.

– W takim razie nie pozostaje nam nic innego, jak tylko się nawalić – ożywił się Jamie i ostentacyjnie pomachał do kelnera obsługującego gości kilka stolików dalej.

*

Paulina starannie zamknęła drzwi małej salki konferencyjnej i ściskając pod pachą owiniętą szarym papierem paczkę, podeszła do długiego stołu. Położyła pakunek przed sobą, a następnie odsunęła jedno z krzeseł i powoli usiadła. Przez chwilę siedziała nieruchomo, wpatrując się w kontrastujący z gładką płaszczyzną stołu szary papier, na którego wierzchu był wykaligrafowany wielkimi drukowanymi literami adres redakcji, a poniżej jej imię i nazwisko. Odetchnęła głęboko i rozpakowała paczkę, odsłaniając jej zawartość. Wewnątrz na wierzchu leżał gruby brulion w tekturowej okładce z niewielką tabelką na środku, taki, jakie sprzedawano w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych z kartkami w linie lub kratkę.

Wyjęła go ostrożnie i podniosła do góry. Dziennik. Przez chwilę wahała się, czy nie zajrzeć od razu do środka, ale pomyślała, że to może poczekać. Odłożyła brulion na bok i ponownie zerknęła do środka owiniętego w szary papier pakunku.

Wewnątrz zobaczyła plik jakichś starych dokumentów. Na wierzchu leżało kilka map. Papier był pożółkły ze starości i powycierany na krańcach. Ostrożnie wyjęła pierwszy ze złożonych na pół kartoników i delikatnie rozłożyła go na stole. Mapa była bardzo schematyczna, kartkę przecinała szachownica linii, oznaczonych na brzegach liczbami, a na ich tle narysowane były dwie grube krechy opisane dużymi drukowanymi oznaczeniami – RED i BLUE. Linie wybiegały z jednego punktu, okrężały cały naszkicowany teren i wracały ponownie w to samo miejsce. Pomyślała, że wygląda to jak zapis jakiejś trasy, linie poziome i pionowe to oczywiście równoleżniki i południki, a dwie linie określone jako czerwona i niebieska to po prostu kierunki – na przykład przelotu samolotów.

Paulina podniosła wzrok i spojrzała w okno. Samolotów... Lotnik ze

wspomnień Wyrzykowskiego... Czyżby to była jednak prawda? Ale jak to możliwe? Wyrzykowski pisał, że jego matka była szanowana we wsi, a brat i ojciec poszli na wojnę. Przecież to są wspomnienia jakiegoś Niemca z tych terenów, a nie syna powojennych osadników. Paulina zanotowała w pamięci, żeby sprawdzić tych Wyrzykowskich, skąd się tu wzięli? Może chodzi o jakąś zniemczoną polską rodzinę, która mieszkała tutaj przed wojną? Może to Kaszubi?

Odłożyła na bok starą mapę i sięgnęła po kolejny pożółkły karton. Także wyglądał jak mapa, ale tym razem znacznie dokładniejsza. Arkusz podzielony był na sieć kwadratów o boku czterech centymetrów. Na spodzie mapy była nawet adnotacja: *4 cm der Karte – 1 km der Natur*. Paulina dobrze знаła te mapy. Właściwie nie sposób było, sięgnąwszy do historii Pomorza w jakimkolwiek kontekście, nie oprzeć się na nich. Najdokładniejsze mapy Niemiec, na których długo jeszcze po wojnie bazowano podczas nowych prac kartograficznych. Mapy te potocznie nazywane były messtischblattami od stolika mierniczego, którym posługiwali się kartografowie wykonujący zdjęcia terenowe, a geneza ich powstania sięgała 1814 roku, kiedy to na polecenie Fryderyka Wilhelma III specjalny wydział Sztabu Generalnego rozpoczął pracę nad stworzeniem dokładnych map topograficznych całego kraju. Do wybuchu I wojny światowej powstało ponad trzy tysiące trzysta arkuszy w skali 1:25000, które w późniejszych pracach, praktycznie do końca II wojny światowej, były wciąż aktualizowane. W czasie wojny wykonywano specjalne ich egzemplarze dla wojska, oznaczone adnotacją *Deutsche Heereskarte*.

I taką właśnie miała przed sobą. Arkusz numer 1564, czyli Messtischblatt 317, według starej numeracji jeszcze z XIX wieku. Rügenwalde.

Rügenwalde? Kojarzyła tę miejscowość, miała nawet na końcu języka jej obecną nazwę...

Podniosła wzrok znad mapy. A właściwie skąd jest ten Wyrzykowski? Jak to możliwe, że się tym nie zainteresowała do tej pory?

Nie skąd jest, tylko skąd był, przecież wczoraj ktoś go zamordował.

Spojrzała na wierzch papieru pakowego. Dąbki.

Nagle przyszła jej do głowy myśl, która spowodowała, że poczuła się słabo.

Drgnęła, usłyszawszy, że ktoś otworzył drzwi za jej plecami.

– Obejrzałaś to wszystko? – Paweł z jakiegoś powodu mówił szeptem. Zamknął starannie drzwi i podszedł do stołu. – Ja tylko rzuciłem okiem, same mapy, jakieś zdjęcia i dokumenty. Gadałaś z nim przecież. Jest tu coś dziwnego w tej paczce? A co ty jesteś taka blada?

Zaraz, Wyrzykowski został rzekomo zamordowany wczoraj. Wczoraj z nim przecież rozmawiała. Musiała być jakaś ósma, po ósmej... Ten urwany telefon...

– Skąd ty wiesz, że on został wczoraj zamordowany? – zwróciła się niecierpliwie do Pawła.

– Serwis prasowy. – Wzruszył ramionami. – Napisały o tym dzisiaj „Dziennik Bałtycki” i „Głos Koszaliński”.

– Napisali, że został zamordowany wczoraj? – Paulina wbiła w niego wzrok.

– Po południu znalazła go kobieta, która u niego sprząta i gotuje.

– On do mnie dzwonił rano, koło ósmej. Boże... Mogę być w takim razie ostatnią osobą, która z nim rozmawiała...

Przez chwilę patrzyli na siebie, nic nie mówiąc.

– No to pięknie... Robi się coraz ciekawiej – mruknął w końcu Paweł, kręcąc głową.

– Czemu ty mówisz szeptem? Zaczyna mi się to udzielać.

– Lepiej na razie, żeby za wiele osób nie wiedziało o tych manelach. – Paweł wskazał głową rozłożoną na stole paczkę. – Rozmawiałaś z nim przez komórkę?

– Nie, zadzwonił na nasz numer redakcyjny. Odszedł na chwilę i potem ktoś odłożył słuchawkę...

– Nie sądzisz chyba... – Paweł przerwał i spojrzał na nią dziwnym wzrokiem.

W tym momencie Paulina przypomniała sobie o czymś.

– Chwila, przecież my nagrywamy wszystkie rozmowy.

*

Johann szarpnął ciężkie stalowe drzwi i wszedł do małego korytarza prowadzącego na prawo do ładowni, a na lewo do maszynowni, w której, oplecione rurami z błyszczącej nierdzewnej stali i kolorową płataniną kabli, królowały dwa potężne silniki. Drzwi do ładowni były uchylone, a z wnętrza dochodził jakiś hałas. Johann złapał się framugi i zajrzał do środka. Pod jedną ze ścian, przy rozwieszonej w równym szeregu kolekcji czarnych skafandrów, stał pochylony nad trzymanym w ręku tabletem Dermot.

– Przecież my tam na ciebie czekamy. – Johann wszedł do środka i spojrzał z wyrzutem na plecy przyjaciela.

– Mówiłem Gwen, że zostanę i zrobię przegląd sprzętu. – Dermot odwrócił się do Johanna. – Byłem w Mariehamn trzy razy. Widziałem wszystko, co tu można zobaczyć.

– Tak jak i Alice, ale ona jest bardziej towarzyska.

– Nie towarzyska, tylko woli łązić wszędzie za Rupertem. – Dermot ściągnął brwi.

– Siedząc pod pokładem, raczej temu nie zaradzisz – westchnął Johann z udawanym współczuciem. – Co biedny Rupert jest winny, że on taki ładny?

– Jasne, jeszcze bierz jego stronę. – Dermot spojrzał wilkiem na wykrzywającego się do niego komicznie Johanna. – Głupek!

Ten parsknął śmiechem.

– Zostaw te rupiecie i chodź z nami. Spędziliśmy dobę na morzu, trzeba trochę pochodzić po stałym lądzie. Sprawdzalesz to wszystko już milion razy. Poza tym przez ciebie czuję się jeszcze bardziej winny, że wymyśliłem tę wyprawę na Zatokę Botnicką i teraz Jamie jęczy i jęczy.

– Razem ją wymyśliliśmy. A Jamie jest niedzielnym nurkiem, zresztą tak jak i ty. – Dermot spojrzał na Johanna ze złośliwym uśmiechem. – Nurkowanie nawet w stawie w Carley byłoby dla was atrakcją. Nie to co Alice...

– Jezu! Dermot! – Johann westchnął. – Alice się świetnie bawi. Poza tym nurkowanie w Bałtyku też może się okazać ciekawe.

– Bałtyk to bajoro. Średnia głębokość tutaj to jakieś trzydzieści metrów. Większość jezior w Szkocji jest dziesięć razy głębsza, a Alice jest najlepszym nurkiem, jakiego znam.

– Dobra, to jak wolisz zostać w ładowni, zamiast zwiedzać Alandy, to sobie siedź. Jeśli zmienisz zdanie, to dzwoń. Pewnie skończymy w jakiejś knajpie. – Johann odwrócił się do wyjścia i stojąc już w progu, uśmiechnął się do naburmuszonego kolegi. – Nie zniesiesz nas potem, gdy wrócimy, a ty będziesz trzeźwy jak świnia. Znowu będziesz marudził.

– Bawcie się dobrze! – rzucił Dermot i odwrócił się z powrotem do rzędu czarnych skafandrów.

*

– O jakich on mówi zwłokach, na miłość boską? – Paweł spojrzał na Paulinę osłupiałym wzrokiem.

– Nie mam pojęcia – wzruszyła ramionami. – Pisał coś o pilocie z czasów wojny, ale to się wszystko nie trzyma kupy.

Siedzieli w gabinecie Pawła pochyleni nad jego monitorem. Redakcja dysponowała czterema numerami zewnętrznymi, podłączonymi do rejestratora zapisującego wszystkie rozmowy telefoniczne na twardym dysku serwera. Korporacje wykorzystywały takie urządzenia najczęściej do monitorowania prywatnych rozmów swoich pracowników, gazety traktowały je jako bazę informacji, które niezarejestrowane mogły zaginać. Ważne było też niekiedy dokładne, wręcz literalne brzmienie niektórych rozmów, tak aby wyeliminować ewentualne zarzuty o zmanipulowanie lub zmianę kontekstu czyichś słów. Wprawdzie „Dziennik Szczeciński” nie zajmował się generalnie dziennikarstwem śledczym, ale tego typu zabezpieczenie i tak się czasem przydawało. Tak jak na przykład teraz.

Paweł miał na uszach słuchawki.

– Może on bredzi po prostu? Teraz o jakimś świetle umarłych na dodatek... – Odwrócił się do Pauliny, która stała nad nim, wyżej słuch.

– Teraz! Teraz słuchaj! – syknęła. – Odejdzie od telefonu i już nie wróci.

Paweł przesunął myszką skalę głośności do wartości maksymalnej i znieruchomiał.

– Czyjeś kroki... Chyba czyjś oddech...

Przez chwilę siedział nieruchomo, po czym zdjął słuchawki i odwrócił się do Pauliny. Obrotowy fotel cicho zapiszczał.

– I co? – Paulina patrzyła na niego z napięciem.

– Posłuchaj sama. – Podał jej słuchawki. – Ktoś najwyraźniej odłożył słuchawkę.

Paulina zmarszczyła brwi i skinęła ręką, uciszając Pawła.

Cichy, nieregularny stukot kroków, a potem cisza. Tylko w tle słycać było czyjś oddech.

Zdjęła słuchawki i położyła je na biurku.

– Nie ma rady – westchnęła. – Musimy zawiadomić policję.

– A jeśli z tymi zwłokami to prawda?

– Tym bardziej musimy zawiadomić policję. Tylko co zrobimy z tymi dokumentami?

– Kserokopie. Zrobimy ksero wszystkiego. – Paweł wzruszył ramionami. – I zdjęć. Nie myślisz chyba, że wypuścimy teraz ten temat?

– Jest jeszcze ten jego dziennik. Nawet go nie przejrzałam.

– Masz teraz czas, żeby to zrobić. – Paweł zmarszczył brwi. – Możemy przeciągnąć sprawę do jutra. Nie musiałem przecież od razu zauważyć tej informacji o śmierci Wyrzykowskiego.

– Nie utrudniamy przypadkiem śledztwa policji czy coś?

– To Dąbki. – Paweł uśmiechnął się pobłaźliwie. – Pewnie jeszcze sami nie wiedzą, kto w ogóle będzie prowadził jakiegokolwiek śledztwo. Możliwe, że komenda w Darłowie, albo prędzej w Sławnie, ale jeden dzień w niczym im raczej nie zaszkodzi.

Paulina spojrzała na Pawła.

No oczywiście!

Rügenwalde. Darłowo!

Rozdział 4

Nurkowali dzisiaj po raz drugi. Pogoda była wciąż piękna, stan morza wahał się pomiędzy dwójką a trójką^[7] i wiał lekki wiaterek, może trójka w skali Beauforta. Artiom tym razem schodził na dno z Wadimem Woroninem, niedźwiedziowatym Rosjaninem, który cieszył się zaufaniem Sierowa. Znali się chyba dłużej, w każdym razie już w zeszłym roku, gdy rozpoczęli te poszukiwania, wydawali się zżyci ze sobą o wiele bardziej niż pozostali członkowie załogi. Woronin był dobrym nurkiem i właściwie tylko to interesowało teraz Artioma. Mogli zupełnie swobodnie opadać na dno, nie przejmując się sobą nawzajem, wiedząc, że obaj dadzą sobie doskonale radę niezależnie od okoliczności. Schodzili przy linii opustowej, ale bardziej chodziło o dokładne określenie miejsca, które penetrowali, niż o jakiegokolwiek bezpieczeństwo. Poza tym tutaj było raptem dwadzieścia metrów głębokości. Dla Artioma, który nurkował na głębokościach osiemdziesięciu metrów z długą dekompresją, pod lodem albo we wnętrzach zatopionych łodzi podwodnych, to była niepoważna zabawa. Jedynym, co mogło stanowić jakiegokolwiek problem, jeśli już w ogóle się nad tym zastanawiać, były stare sieci. Ale zanim w ogóle zaczną pływać między sieciami, musieliby najpierw cokolwiek znaleźć. Sonar po raz kolejny wychwycił jakieś nierówności dna, a echogram na monitorze wyglądał dość podejrzanie, jednak zapewne znów skończy się tym samym – resztkami jakiejś starej łajby albo śmietniskiem.

Byli w połowie drogi, ale już teraz na dnie – w odległości może kilkunastu metrów w poziomie od liny – pojawiły się jakieś zarysy. Woda miała dzisiaj wyjątkową przejrzystość i na odległość do dwudziestu metrów można było swobodnie dostrzec wszystko wokół siebie. Słońce docierało tutaj w postaci zielonej poświaty, zamieniając otoczenie w bajkową scenerię, niczym wnętrze ogromnej sali, przykrytej mieniącym się zielonkawo kryształowym sklepieniem.

Artiom opadał swobodnie, pozornie bez najmniejszego ruchu, zachowując idealnie poziomą pozycję ciała. Perfekcyjnej pływalności mogliby pozazdrościć mu nawet pływacy synchroniczni. Nie musząc specjalnie

angażować umysłu do wykonywanych automatycznie czynności, myślał o tej ich kolejnej wyprawie na Bałtyk i poszukiwaniach. W tym roku, inaczej niż poprzednio, Sierow i Woronin przyjechali do Darłowa drogą lądową i spotkali się dopiero w porcie. Załatwił dla nich wygodne kwatery pod miasteczkiem i jak zwykle wszystkie legalne papiery i zezwolenia. Artiom, także jak zwykle, grzecznie poprosił o ich pokazanie i dokładnie obejrzał, wzbudzając tym rubaszny śmiech Woronina i dwóch pozostałych załogantów – Iwana i Saszy. Miał to gdzieś, nie zamierzał wylądować w jakimś polskim mamrze. Pierwszą noc spędzili na łódzie, oczywiście opowiadając sobie jakieś stare, wysrane z palca historie. Artiom wymknął się dość wcześnie i poszedł spać przed północą, ale słyszał, że pozostali siedzieli jeszcze co najmniej z godzinę, głośno rechocząc i gadając.

Do dna zostało jeszcze ze dwa metry. Artiom poruszył płetwami i wskazał palcem Woroninowi majaczący w oddali kształt. Popłynęli powoli w tym kierunku, a po chwili ukazały się przed nimi pierwsze fragmenty ich celu. W świetle czołowych reflektorków zobaczyli melancholijne szczątki łodzi, a właściwie tego, co z niej zostało. Poszycie zachowało się w niewielu miejscach, pokład także składał się z marnych resztek, na których dryfowały sobie spokojnie pozostałości pozrywanych sieci. Dziób, który sterczał wyżej od rufy, pozbawiony był poszycia, a z jego martwego pyska wystawały, niczym fiszbiny jakiegoś płetwała, pokiereszowane wręgi. Przepłynęli powoli nad wrakiem, omiatając go światłem reflektorów. Na dnie obok resztek łodzi leżała zatopiona częściowo w piasku, pogruchotana nadbudówka. Artiom machnął ręką do Woronina i wskazał palcem do góry. Nie mieli tutaj nic do szukania. To był tylko trup starej niemieckiej krypy rybackiej.

*

Paulina otworzyła łokciem drzwi prowadzące do gabinetu ojca i balansując z kubkiem kawy w jednej ręce a pakunkiem zabranym z redakcji w drugiej, weszła do środka. W pokoju panował półmrok; na zewnątrz zapadał już zmierzch. Na biurku leżał jej laptop, który położyła tutaj po powrocie z pracy, a na nim zdążył się już ułożyć wygodnie kocur.

Postawiła ostrożnie kubek na blacie, obok położyła paczkę i westchnęła, patrząc z uśmiechem na szarego zwierzaka, który ukradkiem ją obserwował

spod półprzymkniętych powiek. Podrapała go za uchem. Kot zamruczał, ani myśląc zejść z laptopa. Wzięła go na ręce i położyła na poduszce wielkiego fotela stojącego pod regałem z książkami. Kot otworzył oczy, rozejrzał się wokół siebie krytycznie i bardzo niezadowolony z zamiany twardej pokrywy laptopa na miękką poduszkę, zeskoczył na ziemię, po czym obrażony wymknął się z pokoju przez niedomknięte drzwi.

Paulina upiła łyk gorącej kawy i jedną ręką odkryła papier pakowy, odsłaniając po raz drugi tego dnia zawartość paczki. Na wierzchu nadal leżał dziennik Wyrzykowskiego. Odstawiła kubek i wzięła do rąk brulion. Usiadła przy biurku i położyła go przed sobą. W redakcji zdążyła go jedynie przekartkować, zauważając, że jest w nim niespodziewanie mało zapisów. Gdzieś wklejone były jakieś zdjęcia i fragmenty starych gazet.

Powoli przewróciła tekturową okładkę.

Kilka kartek na początku było wyrwanych. Przypomniała sobie, że Wyrzykowski mówił coś o skanowaniu początkowych stron z dziennika. Czy to są właśnie te, po których zachowały się jedynie strzępy przy okładce?

Przejechała palcem w miejscu po wyrwanych kartkach. Brakowało kilku, góra kilkunastu. Pochyliła się nad pierwszą zachowaną i zaczęła czytać zdania napisane równo wykaligrafowanym pismem. Nic dziwnego, że skaner z funkcją rozpoznawania tekstu poradził sobie bez trudu, pomyślała.

Coś jednak było nie tak. Paulina zmarszczyła brwi i przewróciła kartkę. Na drugiej stronie, równiutko jedna obok drugiej, były wklejone cztery fotografie. Na kolejnych dwóch stronach widniały dalsze, razem dziesięć czarno-białych zdjęć. Bardzo złej jakości, przedstawiających jakieś wykopy, zwały ziemi i przewijające się w tle maszyny budowlane oraz robotników w kaskach. Spodziewała się jednak znaleźć coś innego – kontynuację opowieści z dwóch e-maili, które wysłał do niej Wyrzykowski, tymczasem zachowana strona dotyczyła już okresu powojennego. Dokładnie były to dwa wpisy z datami 15 i 16 listopada 1972 roku z bardzo enigmatycznymi opisami. Coś o prowadzonych pracach budowlanych i jakichś problemach dotyczących wykopów, w wyniku których roboty zostały przerwane.

Paulina podniosła wzrok i wbiła spojrzenie w przestrzeń, usiłując przypomnieć sobie słowa Wyrzykowskiego. W ostatniej rozmowie, którą kilka godzin temu przesłuchiwali razem z Pawłem ze trzy razy na

słuchawkach, nasłuchując każdego szmeru w tle, obiecał, że prześle jej e-mail z zeskanowanym dalszym ciągiem opowieści z czasów wojny. Jeśli więc wówczas ktoś go zabił, to pewnie wyrwane kartki i skan zostały u niego w domu.

Przekartkowała resztę dziennika, zostawiając sobie czytanie na później. Wpisy były rzadkie i krótkie. Im dziennik dalej przesuwał się ku teraźniejszości, tym częściej pojawiały się chaotyczne opisy prześladowających Wyrzykowskiego osób i wymaganych szpiegów. Wyraźny, kliniczny wręcz zapis stopniowo pogarszającego się stanu psychicznego. Tym bardziej na tym tle odcinała się przesłana e-mailem opowieść z okresu wojny. Coraz bardziej była przekonana, że początek dziennika stanowił wspomnienia innej osoby.

Spojrzała na szary papier, w którym tkwiły pozostałe przesłane przez Wyrzykowskiego materiały. Stare messtischblatty, mapy z zaznaczonym jakby torem lotu samolotów. Skąd więc one się wzięły? No i – zakładając, że to prawda – ta radiostacja w piwnicy. I zwłoki!

Sięgnęła po laptopa i otworzyła wyszukiwarkę. Jeśli w okolicach Dąbek w czasie wojny został naprawdę zestrzelony jakiś samolot aliancki, to może ktoś gdzieś o tym pisał?

Wpisała krótkie zdanie w okienko i wbiła wzrok w ekran. Od razu jej uwagę przykuł link do strony biuletynu informacji publicznych Urzędu Miasta Darłowa.

Otworzyła stronę i ze zdumieniem przeczytała krótki komunikat opublikowany 20 sierpnia 2012 roku.

*

Wysoki siwy mężczyzna stał z opuszczoną głową i wpatrywał się w kamienny krzyż, obok którego wystawały z ziemi dwie wykute w granicie stele. Obok wznosiła się masywna, nakryta ciemnym gontem sylwetka kaplicy, a nieco dalej stała drewniana dzwonnica. Wiatr łagodnie poruszał liśćmi klonów i szarpał zawadiacko gałązkami rozrośniętych żywotników, które równym szeregiem prowadziły ku cmentarnej bramie. Odnalazł to miejsce na początku lata, po rozmowie z pewną starą kobietą, która do Darłowa przyjechała jako młoda dziewczyna z jedną z pierwszych grup

polских osadników. Franz mógł leżeć tutaj, ale równie dobrze zupełnie gdzie indziej.

To miejsce powstało w 1990 roku, kiedy to podczas prac budowlanych związanych z przebudową schodów, prowadzących do kaplicy od strony ulicy Ojca Damiana Tynieckiego, odkryto sporą mogiłę nieznaną żołnierzy. Na ich czaszkach odznaczały się ślady broni białej. Kości przeniesiono bliżej kościoła, a dla upamiętnienia postawiono w tym miejscu ów krzyż i dwie kamienne tablice. Ponoć tutaj także pochowano w latach siedemdziesiątych szczątki niemieckich żołnierzy, wśród których mogły być prochy Franza. Wszystko wymieszane, splugawione. Nie dano tym wszystkim ludziom spokoju nawet po śmierci. I nawet ten krzyż i stele przywleczono tutaj z zupełnie innego cmentarza, z jakiejś wsi niedaleko Stolp[8].

Mężczyzna miał na imię Bruno. Jego rodzina nie pochodziła z Pomorza, nie miał tutaj żadnych innych przodków ani krewnych, poza bratem, którego wojna zagnała w to miejsce. Nie był żadnym rewizjonistą, równie mocno współczuł mieszkańcom tych ziem, których stąd usunięto, jak i tym, którzy nie z własnej woli zostali tutaj przywleczeni w bydzących wagonach ze wschodu. Po wojnie ocalał tu w całości cmentarz z nagrobkami sprzed stu i dwustu lat, kamiennymi pamiątkami czyjegoś życia. Wszystko zostało zrównane spychaczem, a kamienne płyty, dobrze wiedział, do czego posłużyły. Widział je w wielu miastach Pomorza na chodnikach, wmurowane w nawierzchnie parkingów albo murków przed sklepami. Po wykutych w granicie imionach i nazwiskach, których kiedyś strzegła ludzka pamięć, chodzili teraz inni ludzie w buciorach. Z tym pogodzić się mu było trudno.

Splótł ręce przed sobą i westchnął. Pojutrze stąd wyjedzie i już nie wróci. Nie odnalazł tego, czego szukał, ale miał już dość tych poszukiwań. Może wystarczyło, że znalazł to symboliczne miejsce, lapidarium? Czas teraz samemu znaleźć spokój.

Niepotrzebnie tam wczoraj poszedł. Jeszcze teraz na wspomnienie tego, co zrobił, zaczynało walić mu serce.

*

Poszukuje się wszelkich informacji na temat żołnierzy amerykańskich

zaginionych w czasie II wojny światowej lub ich szczątków...

Paulina przeczytała pierwszy akapit notatki i podniosła wzrok znad ekranu laptopa. Lotnik naprawdę istniał. Czy zatem to, co opisał Wyrzykowski, mogło się wydarzyć naprawdę? Jak to jednak możliwe? Przecież to nie mogą być jego wspomnienia!

Poczuła, że próby ogarnięcia tych faktów są bezcelowe, nim nie wyjaśni tego, kim byli i skąd pochodzili Wyrzykowscy. Dopóki tego nie zrobi, myśli w jej głowie wciąż będą obijały się o ściany z napisem „brak danych”. Może spróbować ponownie pomówić z synem Wyrzykowskiego? On chyba akurat jest na miejscu? Musiał przecież przyjechać na wieść o tym, że jego ojca zamordowano. Tylko czy zechce w ogóle z nią rozmawiać?

Pochyliła się nad laptopem i przebiegła wzrokiem resztę krótkiej notatki z miejskiego biuletynu informacji publicznych. Jej uwagę przykuł ostatni akapit.

...Wiadomym jest, że 11 kwietnia 1944 roku został zestrzelony nad Dąbkami bombowiec amerykański Boeing B-17 Flying Fortress, tzw. „Latająca forteca”, nr boczny B-17 F 42-3322, i wpadł do Morza Bałtyckiego tuż przy brzegu. Sześciu rozbitków dotarło do brzegu. Według nich, czterej pozostali utonęli. Poszukiwane są informacje dotyczące starszego sierżanta Burklunda Joela, sierżantów Caputo Carla G., Massie Johna Jr. i drugiego lotnika Munozę Ralphi, a także informacje o szczątkach ww. samolotu.

Paulina podniosła głowę, oparła łokieć na biurku i bezwiednie, dziecinnym zwyczajem, którego nie mogła się pozbyć, okręciła wokół wskazującego palca kosmyk rozpuszczonych włosów. Amerykański samolot! Nawet jego numer jest znany. I nazwiska wszystkich członków załogi. Czy to możliwe, że o jednym z tych pilotów napisał Wyrzykowski?

Przypomniała sobie w tym momencie, że oprócz tej jednej notatki ze strony urzędu miejskiego w Darłowie wyszukiwarka otworzyła całą masę innych linków na temat strąconych na Pomorzu samolotów. Pochyliła się ponownie nad laptopem i otworzyła kolejny artykuł, z internetowego portalu lokalnego dziennika tym razem. Przebiegła szybko wzrokiem treść, po czym

nie zamykając strony, otworzyła następną. Godzinę później miała za sobą lekturę większości portali i stron, które wspominały cokolwiek o zaginionych w czasie drugiej wojny światowej na Pomorzu samolotach i ich załogach.

Okazuje się, że w lipcu 2008 roku przyjechała na Pomorze tajemnicza amerykańska delegacja wojskowa, której przewodzili sierżant wojsk lądowych Cory Damm i starszy bosman marynarki wojennej John Gray. Amerykanie jeździli od miejsciny do miejsciny i wypytywali przedstawicieli lokalnych władz, historyków i najstarszych mieszkańców o miejsca zestrzelenia samolotów, losy zaginionych lotników i ewentualne miejsca ich spoczynku. Wypełniając prawdopodobnie jakieś odgórne rozkazy i kierując się wojskową tajemnicą, utajnili jednak wszelkie informacje na temat pilotów, ich nazwisk, rodzajów i numerów samolotów, a także wszelkich innych danych, które obiecywali zdradzić dopiero po znalezieniu szczątków. Wizyta nie przyniosła Amerykanom większych sukcesów, a jej efektem ubocznym stały się niestworzone historie, bajdy i plotki na temat prawdziwych, ukrytych motywów poszukiwania szczątków samolotów, jakie kierowały amerykańskimi władzami, a które zaczęły krążyć pomiędzy ludźmi, rozprowadane od wsi do wsi.

Rok później amerykańskie Biuro do spraw Jeńców Wojennych i Osób Zaginionych Departamentu Obrony Stanów Zjednoczonych poszło więc po rozum do głowy i ponownie wysłało na Pomorze swoich przedstawicieli, tym razem jednak kierując za pośrednictwem miejscowych władz apel do wszystkich, którzy mieli jakiegokolwiek informacje na temat zaginionych amerykańskich lotników.

Akcja z wolna zaczęła przynosić pierwsze owoce. Z lokalnych archiwów, starych roczników gazet, głębin ludzkiej pamięci zaczęły wydobywać się na światło dzienne zapomniane fakty i opowieści. O bombowcu zestrzelonym nad Policami w trakcie misji nad słynną fabryką benzyny syntetycznej, o samolocie, który wpadł do Bałtyku w okolicach Kołobrzegu, o lotnikach pochowanych na tutejszych, komunalnych cmentarzach.

W lipcu 2012 roku Amerykanie ponownie poprosili polskie władze o pomoc w poszukiwaniach. Tym razem zwrócili się do Rady Pamięci Walk i Męczeństwa, która w następstwie tego wystosowała odpowiednie pisma do wszystkich władz samorządowych. Tymczasem poszukiwania dostrzeżone zostały przez dziennikarzy i w pomorskich gazetach co jakiś czas zaczęły się

pojawiać artykuły o odnalezionych resztkach amerykańskich bombowców, mogiłach pilotów, a także wspomnienia żyjących jeszcze pierwszych powojennych osadników.

Najbardziej spektakularną historię wydobyło na światło dzienne szczecińskie stowarzyszenie działające pod nazwą Towarzystwo Wiedzy Historycznej Terra Stetinum.

W 1944 roku, podczas jednego z nalotów na Szczecin, strącony został samolot, który płonął i gubiąc koła oraz fragmenty kadłuba, spadł na położoną na Międzyodrze Wyspę Pucką. Wyspa, tak ówczasie, jak i dzisiaj, zabudowana była jedynie na obrzeżach malutkimi, biednymi domkami z zapleczem ogrodów warzywnych i sadów. Po wojnie wyrosło tutaj pole ogródków działkowych, ale główną część wyspy stanowiły w dalszym ciągu porośnięte gęstymi samosiewami bagna. I w owe bagna właśnie spadł amerykański bombowiec B-17, czyli słynny Boeing „Latająca forteca”.

W pamięci jednego z pierwszych powojennych mieszkańców Szczecina zachowały się próby penetracji wraku, jakich podjął się wraz z młodocianymi kolegami. Obwiązany w pasie liną, którą asekurowali go pozostali, po omacku wygrzebywał z bagna wszystko, co wpadło mu w ręce – skrzynkę z angielskimi i niemieckimi monetami, cenne, zamknięte w wodoszczelnych workach koce z wielbłądziej wełny, lornetki, a nawet porcje żywnościowe. Za którymś razem wyciągnęli w ten sposób urwaną przy biodrze nogę w wysokim skórzanym bucie...

Paulina wzdrygnęła się i oderwała wzrok od laptopa. Pamiętała artykuły na ten temat. Pisał o tym „Głos Szczeciński”, „Kurier”. Pisała „Wyborcza”. Grupa Terra Stetinum usiłowała zainteresować władze wciąż tkwiącym w bagnie samolotem ze szczątkami amerykańskich lotników, ale natknęła się na mur niechętej obojętności oraz nieprzychylnie komentarze szczecińskich urzędników. Nic nowego.

Samolot, który spadł koło Dąbek, to także był B-17. Paulina popatrzyła na okładkę leżącego obok laptopa dziennika Wyrzykowskiego. Jeżeli wszystko, co napisał, jest prawdą, to w jego piwnicy do dzisiaj leżą zwłoki któregoś z tych wymienionych w notatce Urzędu Miasta w Darłowie pilotów.

Igor popatrzył krytycznie na dwie pary bokserek, które dopiero co wrzucił do torby, po czym sięgnął do szuflady i dorzucił jeszcze jedną parę. Nigdy nie wiadomo, jaka tam będzie pogoda. Jeśli zmoknie albo się gdzieś wybrudzi na tej budowie, to lepiej mieć więcej ciuchów, niż kupować potem w supermarkecie jakieś szmaty, które po powrocie przeleżą rok w szafie, a potem trafią do śmietnika. Dołożył tyle samo skarpetek, dodatkowo bluzę na wszelki wypadek i zasunął zamek. Boże, jak mu się nie chciało nigdzie jechać... Noc w pociągu, a potem to użeranie się na budowie z inspektorami nadzoru i wykonawcą, którzy pewnie znowu zaproponują jakieś genialne zmiany w celu obniżenia kosztów. Doprowadzało go to zawsze do szewskiej pasji. Taki projekt robi się przez pół roku albo i dłużej, bierze pod uwagę różne rozwiązania, analizuje przepisy, negocjuje z poszczególnymi branżystami, rzeczoznawcami i wybiera w rezultacie optymalne rozwiązanie. Tymczasem później na budowie jakiś jeden z drugim myślał, że w ciągu dwudziestu minut gapienia się na rozłożoną na stole dokumentację wymyśla coś mądrzejszego.

Igor cisnął zamkniętą torbę na fotel pod oknem i wyszedł z sypialni.

Projektowanie ostatnio go wykańczało. Przede wszystkim dlatego, że w istocie strasznie mało go było. Może pięć procent, a pozostały czas zabierały korowody z urzędami, przepisami, prawem budowlanym. A to ostatnie wraz ze strzegącą go administracją budowlaną przypominało mityczną Hydrę. Mimo regularnych zapowiedzi i prób upraszczania, w miejsce jednego usuniętego paragrafu pojawiały się trzy nowe rozporządzenia, a w miejsce jednego przepisu trzy inne. Po ostatnich uproszczeniach procedur na przykład druk pozwolenia na budowę, który do tej pory mieścił się na jednej kartce, urósł do dziesięciu stron. Dziesięciu!

Poczuł, jak znowu niepotrzebnie się nakręca, zamiast myśleć pozytywnie. Odetchnął i przypomniał sobie, że ma dziś jeszcze przyjemną kolację, zanim ruszy w drogę. Uśmiechnął się pod nosem i spojrzął w lustro. Szare dżinsy i czarna koszula. W sam raz.

*

Paulina powoli wyjęła spomiędzy kartek dziennika niewielką saszetkę. Nie zauważyła jej wcześniej. Była wsunięta między dalsze strony i umknęła

jej uwadze. Przez chwilę trzymała ją w ręku, patrząc na stary, pożółkły materiał, a następnie powoli odchyliła skrzydełko i zajrzała do środka. Wewnątrz było kilka podłużnych pasków ciemnej folii.

Negatywy...? Sięgnęła po jeden i wyjęła, trzymając ostrożnie pomiędzy dwoma palcami. Podniosła pasek do góry i spojrzała pod światło stojącej przy biurku lampy. W malutkich okienkach negatywu widać było jakichś ludzi i samochody. Na jednym ze zdjęć rozpoznała czapki, charakterystyczne dla peerelowskiej milicji obywatelskiej, na innych chyba wojsko.

Jeśli to Wyrzykowski zrobił te zdjęcia, to pewnie gdzieś w tekście powinno być wyjaśnienie, czego dotyczą. Sięgnęła po kopertę i wsadziła dokładnie w miejsce, z którego ją wyjęła. W tym momencie zauważyła, że na drugiej stronie kartonika malutkimi cyframi zapisana jest data – 20 listopada 1972.

Trzeba będzie zrobić z tego fotki. Ciekawe, czy w redakcji dadzą sobie z tym radę, czy trzeba będzie szukać jakiegoś zakładu w mieście, który ma jeszcze ciemnię i takie rzeczy. Chyba niewiele ich już zostało.

Przekartkowała ponownie brulion. Zapisków nie było dużo. Wyrzykowski musiał pisać tylko w momentach, które uważał za ważne, a nawet wówczas, jak zauważyła, nie rozpisывał się szczególnie. Tak czy inaczej i tak było tego za wiele, żeby zapoznać się z tym przez jeden wieczór. Zamknęła dziennik i sięgnęła po dokumenty, których przeglądanie przerwał jej Paweł w redakcji.

Pod mapami, które już obejrzała, było kilka zapisanych kartek, jakiś brulion z liczbami i notatkami, pewnie dziennik pokładowy, a na samym spodzie pakunku spora metalowa kasetka. Wewnątrz coś brzęczało.

Paulina postawiła pudełko na biurku przed sobą i pochyliła się, usiłując dostrzec skraj pokrywy. Wyjęła z szuflady śrubokręt i ostrożnie podważyła metalowe wieko, unosząc je tylko z jednej strony. Wewnątrz, ułożone ściśle jedna obok drugiej, leżały małe rolki.

Kolejne rolki filmów. Jednak te były wyraźnie starsze. Nie wyglądały jak zwyczajne filmy do aparatów, były nieco większe. Paulina na wszelki wypadek zamknęła szczelnie kasetkę i odłożyła na bok. Pomyślała, że musi jutro porozmawiać z drukarnią albo kimś z działu technicznego w redakcji. Może uda się je wywołać albo przynajmniej powiedzieć, co z tym można zrobić.

W dalszym ciągu pozostawało zagadką, jak Wyrzykowski wszedł w posiadanie tych materiałów. Samolot spadł w kwietniu 1944 roku, a więc absolutnie przed czasem, gdy pojawili się tutaj pierwsi osadnicy. A może...

Zmarszczyła brwi, zastanawiając się nad nową koncepcją. Może do Dąbek przyjechał jakiś Niemiec, który urodził się tutaj przed wojną i który przeżył te wszystkie wydarzenia. Może to on prowadził dziennik i przywiózł go ze sobą. Pokazał Wyrzykowskiemu, gdzie ukryte były te dokumenty i gdzie zakopał zwłoki pilota. Dla niego osobista podróż pamięci, a dla Wyrzykowskiego być może nazbyt obciążające emocjonalnie przeżycie, które wpłynęło na jego stan psychiczny. Tylko to też nie wyjaśniało, po co domniemany Niemiec miałby zostawiać te wszystkie rzeczy Wyrzykowskiemu.

Drgnęła na dźwięk dzwonka u drzwi. Spojrzała na zegar w laptopie. Dwudziesta trzydzieści. Mieli zjeść dzisiaj kolację, zawsze był punktualny.

Otworzyła drzwi.

Stał na progu i uśmiechał się. Ubrany w szare spodnie i czarną koszulę z krótkimi rękawami. Ciemne włosy lśniły w świetle zapalonej nad drzwiami latarni.

Podniósł brwi, a następnie pochylił się i pocałował Paulinę w policzek.

– Cześć, Mateusz!

Rozdział 5

Środa, 9 września

Jacht nazywał się „Pandora”. Zarówno gabaryty, jak i obecność czterech pokładów bardziej go jednak kwalifikowały do kategorii niewielkich statków pasażerskich. Ponad czterdzieści metrów śnieżnobiałych burt, dziewięć metrów wysokości od poziomu wody i łagodnie wyprofilowane, arogancko nowoczesne linie górnych pokładów przykuwały wzrok w każdym porcie. Tak jak i wyposażenie, które bardziej przywodziło na myśl luksusowy penthouse w dzielnicy londyńskich doków niż wewnątrz jachtu. Na co dzień stał w przerażająco drogiej marinie w Docklands i służył jako miejsce organizowania sobotnich imprez, a jeśli wypływał, to raczej tam, gdzie można było – nie ruszając się całymi dniami z leżaków lub jednego z basenów jacuzzi na górnym pokładzie – dryfować po jakimś lazurowym akwenie.

Górny zewnętrzny pokład, nazywany przez producenta słonecznym, zajmowały wielkie wygodne sofy i otwierany jedynie podczas imprez barek. Biegające po łuku schody prowadziły na niższy poziom, gdzie znajdowała się mesa kapitańska oraz spory zewnętrzny pokład, a dalej w kierunku dziobu kajuta kapitana – choć bardziej adekwatne byłoby nazwanie jej apartamentem kapitańskim – i na końcu mostek, jakiego nie powstydzilby się Boeing Dreamliner. Kolejne schody prowadziły na główny pokład, gdzie znajdował się kambuz, główna mesa z wydzieloną jadalnią oraz dwa wielkie apartamenty. Najniższy pokład zajmowały, oprócz dodatkowych czterech dwuosobowych kajut, oddzielony od nich kambuz, niewielka mesa i sześć kajut załogi. W części rufowej natomiast mieściła się wielka ładownia z wyjściem na tylny pokład oraz bocznym otwieranym lukiem, z którego spuszczało się na wodę skutery wodne i pontony. Za ładownią, w śródkręciu, znajdowało się natomiast serce jachtu – komora silnikowa, w której uwięzione były dwa potężne diesle o mocy dwóch tysięcy koni mechanicznych każdy. O tym jednak, jak bardzo ta jednostka nie pasowała

do chłodnego bałtyckiego nieba, na którym co rusz gromadziły się sfory naburmuszonych chmur, świadczyły chociażby automatycznie wysuwane z bocznych burt, wyłożone tekowym drewnem tarasy, które przylegały do dwóch największych kajut trzeciego pokładu.

Zamiast więc się kiwać bezproduktywnie gdzieś na Morzu Śródziemnym, „Pandora” pruła teraz z prędkością dwudziestu węzłów, które wcale nie były końcem jej możliwości, chłodne wody północnego Bałtyku, zbliżając się do majaczącej już na horyzoncie Gotlandii.

*

Igor ominął kłębiący się i pstrykający fotki swoimi smartfonami i tabletami tłumek turystów i zadarł na moment głowę do góry. Wystarczyło to w zupełności, żeby potknąć się i o mały włos nie wpaść głową prosto pomiędzy obfite piersi dwóch stojących obok siebie dam, które również z zadartymi głowami robiły właśnie dynamiczne ujęcia króla Zygmunta III Wazy. Zaklął pod nosem i poprawił plecak.

Jeszcze się nie zdarzyło, żeby się nie potknął w tym miejscu. Niezależnie od tego, ile razy sobie powtarzał, żeby tym razem uważać, i tak zawsze zapominał o cholernym progu zaczynających się tutaj schodów. Przemknął pomiędzy tłumkiem dzieciaków z jakiejś szkolnej wycieczki, patrzących z rozpaczą w czeluść sklepionej bramy Zamku Królewskiego, w którą za chwilę przewodnicy mieli ich wciągnąć i przez trzy godziny torturować opowieściami o scenach biblijnych na różnych arrasach, portretach i plafonach. Wszedł w Piwną, szybkim krokiem pokonał jeszcze kilkaset metrów, skręcił i znalazł się wreszcie na miejscu.

Na początku roku, po długich namowach swojej dawnej, mieszkającej obecnie w Warszawie koleżanki, zgodził się zrobić „malutki projekt” rozbudowy niewielkiej restauracyjki, mieszczącej się na parterze pewnej kamieniczki na Starym Mieście. Chodziło o wybicie przejść w ścianach wewnętrznych i przyłączenie do lokalu dwóch pomieszczeń, zajmowanych do tej pory przez biuro administracji, reprezentującej wspólnotę mieszkańców, w której działała właśnie jego koleżanka. Zarówno kamieniczka, jak i całe Stare Miasto, wpisana była oczywiście do rejestru zabytków. Zrobienie projektu zajęło Igorowi dwa tygodnie, załatwianie

zezwoleń i uzgodnień pół roku. A teraz trwała budowa.

*

Krajowa szóstka, jeszcze dwa tygodnie temu permanentnie zatkana przez pielgrzymujących nad morze prawdziwych i niedzielnych turystów, teraz była praktycznie pusta. Co jakiś czas to w jedną, to w drugą stronę przemykały bagażówki i osobowe samochody, wyprodukowane najczęściej przez naszych sąsiadów na południu, obklejone reklamami, z bagażnikami pełnymi segregatorów, folderów, próbek rozmaitych materiałów i darmowych kubków, wiozące przesłicznych najczęściej przedstawicieli handlowych na kolejne spotkania. Chociaż do południa zostało jeszcze dwie godziny, słońce już zaczynało mocno grzać, zamieniając dokumentnie wyłożone jasną skórą wnętrze audi A7 Pawła w oranżerię.

– Nie możesz włączyć klimatyzacji? – Paulina uchyliła odrobinę okno.

Wdzierające się do wnętrza powietrze zaczęło histerycznie ryczeć.

– Zawsze się przeziębiam przez klimę. Nie jest jeszcze aż tak gorąco. – Paweł spojrzał w bok. – Jezu, też otworzyłaś okno, a ja się zastanawiam, czemu tu tak wyje.

– Jedziesz dokładnie o sto kilometrów za szybko, dlatego wyje. Będziesz musiał sprzedać nerkę, żeby opłacić mandat. Tu zaraz za Goleniowem często stoją.

Pobocza zlewające się po obu stronach drogi w jeden zielonożółty pas zmieniły się w sosnowo-dębowe lasy.

Paweł zamknął okna i przejechał palcem po monitorze, włączając klimatyzację.

– Lepiej?

Paulina westchnęła.

– Pamiętasz, że masz tu zaraz skręcić na Gdańsk?

– Pamiętasz, że jestem z Koszalina?

Przez chwilę słyhać było jedynie Sylwię Grzeszczak i Sound'n'Grace.

– Co ci powiedzieli w drukarni? – mruknął Paweł, nie odrywając oczu od drogi. – Z tymi filmami?

- Że to stara stowudziestka. Cokolwiek to znaczy.
- To musiało być z pięćdziesiąt lat temu?
- W siedemdziesiątym drugim dokładnie. Darek stwierdził, że te zdjęcia były robione najprawdopodobniej jakimś ruskim libitelem.
- Lubitelem. To była lustrzanka dwuobiektywowa, zerżnięta po wojnie z niemieckiego aparatu Voigtländer Brillant. Mój ojciec ma taką jeszcze na strychu.
- Znasz się na tym? – Paulina spojrzała na Pawła z niedowierzaniem.
- Kiedyś robiłem zdjęcia. – Paweł się uśmiechnął. – A te drugie? W tej skrzynce?
- Ponoć mogą być z tego samolotu. Darek zaczął mi opowiadać, że szpiegowskie samoloty miały aparaty zamontowane w kadłubach, a lotnik uruchamiał je manetkami przy sterach. Strasznie go to podkreśliło, ale powiedziałam, że na razie nic nie mogę powiedzieć. Nienawidzi mnie.
- E tam... Uda się coś z tym zrobić?
- Powiedzieli, że ze stowudziestek zrobią dobre zdjęcia, ale z tymi wojennymi to nie wiadomo. Nie wiadomo, czy w ogóle coś z nich będzie po tylu latach.
- Jeśli wyjdą, to będziemy mieć świetny materiał.
- Co właściwie powiemy policji? – Paulina przypomniała sobie w tym momencie, dokąd zmierzają.
- Nic. Powiemy, że zdjęcia już zaczęliśmy wywoływać. – Paweł wzruszył ramionami. – Te materiały dostaliśmy przecież wcześniej. Jaki one mogą mieć poza tym związek z tym, że jakiś tępny włamywacz, pewnie gamoń z wiochy, rąbnął Wyrzykowskiego?
- A skąd ty w ogóle znasz tego policjanta z Darłowa?
- Nie znam. Znam prokuratora z Koszalina, który z nimi współpracuje. Jeżeli niczego tam dzisiaj nie wykopią w tej piwnicy, to wyjdę przed nim na durnia. Jeżeli wykopią, to też nie będą za szczęśliwi... – Paweł parsknął śmiechem.
- Dlaczego?
- Znowu zamieszanie. Lekarz sądowy, w takiej sytuacji to chyba będą

musieli ściągnąć jakiegoś z Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego. Konserwator zabytków do tej radiostacji. No i dodatkowa kupa papierów. À propos... – Paweł zawiesił głos.

– À propos czego?

– À propos trupa w piwnicy. Przyszło mi coś do głowy. Bo co, jeśli ten trup to rzeczywiście jakiś Niemiec, który przyjechał tutaj w odwiedzinach? Były mieszkaniec Dąbek, a może i tego domu? Przywiózł ze sobą swój pamiętnik, może się zatrzymał tutaj na dzień, dwa. Pokazał Wyrzykowskiemu te wszystkie lotnicze artefakty...

– No i? – Paulina spojrzała na Pawła podejrzliwie.

– Wyrzykowski, któremu zaczęło już odbijać, zaszlachtował go, ukrył jego zwłoki i przywłaszczył sobie jego wspomnienia...

– Chyba zwariowałaś! – prychnęła Paulina.

Zmarszczyła brwi i spojrzała w szybę na uciekające pnie sosen i rozpychające się pomiędzy nimi rozchełstane młode dębczaki.

Właściwie to nie było znowu aż takie nieprawdopodobne.

*

– Aa, czyli to stara ściana jest. – Udzielająca się we wspólnocie mieszkańców pani Jadwiga, która mieszkała dwa piętra wyżej i pojawiała się na budowie praktycznie codziennie, żeby doglądać, jak posuwają się prace, pochyliła się nad wykutym dopiero co małym otworem i poprawiła okulary. – No, to teraz wszystko jasne. Ten grzyb, co się tu pojawiał co jakiś czas, i to zimno, które stąd ciągnęło.

– Był tu grzyb? – Inspektor nadzoru uniósł brwi.

– Tak, ale dawno temu. – Aleksandra Szumska, koleżanka Igora, założyła ręce na piersi i cofnęła się o krok od przepychającej się do ściany pani Jadwigi. – Chyba ze dwa lata temu robiliśmy remont tych pomieszczeń i wtedy zostało wszystko odgrzybione.

– Stara czy nie... – Kierownik budowy zrobił ruch rękami, jakby chciał odpędzić wszystkich od feralnej ściany. – Rezygnujemy z tych drzwi, tak jak zalecił pan konserwator, i koniec! Wracamy do roboty!

Igor zmarszczył brwi.

– Nie możecie zrezygnować z wykucia tych drzwi!

– Dlaczego? – Kierownik budowy znieruchomiał i spojrzał na Igora z przestraczem.

– To jest projektowane wyjście ewakuacyjne!

Kierownik budowy otworzył szeroko oczy i podrapał się w głowę.

– Kurwa! – zaklął. – To jest, przepraszam panie... – Spojrzał z niewinnym uśmiechem na koleżankę Igora i panią Jadwigę.

– Panie Władysławie! – ryknął inspektor nadzoru w kierunku drzwi prowadzących do pozostałej części restauracji. Po chwili pojawił się w nich młody mężczyzna z modnie wygolonymi po bokach włosami i przewieszoną przez ramię torbą.

Wykonawca prac, popędzany przez inwestora oraz wspólnotę mieszkańców budynku, którzy zmęczeni remontem i hałasem chcieli jak najszybciej mieć święty spokój, zdążył dzień wcześniej skuć tynki ze ścian wewnętrznych i rozpocząć wykuwanie projektowanych drzwi do sieni, gdy na budowie pojawił się inspektor Stołecznego Konserwatora Zabytków. Ściana, za którą znajdowała się owa sień, jak się okazało, wymurowana była z niepokojąco wielkich cegieł o jaśniejszej niż współczesna barwie, porządnie przemurowana i połączona konstrukcyjnie ze ścianą frontową kamienicy.

– To jest oryginalna ściana z okresu stanisławowskiego! – zawyrokował i zakazał wykuwania w niej nowych otworów, w następstwie czego Igor został natychmiast wezwany na nadzór autorski.

– To co teraz zrobimy? – Aleksandra Szumska popatrzyła na Igora z niepokojem. Obawiała się blamażu przed wspólnotą i właścicielem restauracji. Czuła się współwinna, w końcu to ona ściągnęła Igora do tej pracy.

– Projekt przecież został uzgodniony przez państwa. – Igor sięgnął po dokumentację i wyciągnął kilka papierów, spoglądając chłodno w kierunku urzędnika. – Tutaj jest państwa zezwolenie na prowadzenie prac, a tu decyzja o pozwoleniu na budowę.

– Tak – pokiwał głową młody inspektor z urzędu Stołecznego

Konserwatora Zabytków miasta Warszawy. – Ale zaszły nieprzewidziane okoliczności. Nie możemy się zgodzić na dodatkowe rujnowanie tej oryginalnej ściany. Tym bardziej że można bez problemu zrezygnować z tych drzwi. Są przecież inne wyjścia z sali.

– Właśnie nie można! – Igor powiedział dobitnie, pilnując się jednak, by nie podnosić głosu. – Przepisy ochrony przeciwpożarowej tego zakazują!

– Trudno! – Młody inspektor wyjął miarkę ze swojej torby i podszedł do ceglanej ściany. – O, proszę! Dwadzieścia osiem centymetrów na czternaście. Cegła gotycka. Pewnie kamienicę wybudowano z cegły rozbiórkowej w osiemnastym wieku.

Igor ściągnął brwi. Za chwilę pewnie inspektor nadzoru zacznie się dopytywać, czy projektant nie mógł tego przewidzieć.

– Mimo wszystko, jednak można to było przewidzieć, panie Igorze.

Igor zaklął w duchu.

– Niby jak? – Uśmiechnął się chłodno. – Zarówno dostarczona inwentaryzacja, jak i dokumentacja z czasów Zachwatowicza[9] stwierdzały jednoznacznie, że ze starej kamienicy zachowała się jedynie frontowa ściana parteru. Nic więcej!

– Przepisy ochrony przeciwpożarowej można ominąć, robiąc ekspertyzę budowlaną i uzgadniając odstępstwo. Prawo budowlane to dopuszcza. –

Młody konserwator uśmiechnął się protekcjonalnie do Igora. – Skoro nie przewidział pan tego wcześniej, trzeba to teraz zrobić.

Igor zacisnął zęby.

– Ile to potrwa? – spytał kierownik budowy, który stał z boku i wyglądał, jakby za chwilę miał się rozpłakać.

– Miesiąc na ekspertyzę, a potem dwa albo trzy będzie leżała w Wojewódzkiej Straży Pożarnej – parsknął inspektor nadzoru. – I w dodatku nie jest powiedziane, że się na to zgodzą.

– Czy naprawdę cztery metry kwadratowe cholernej starej cegły to taka ważna rzecz? – wybuchnęła Szumska, machając ręką w kierunku feralnej ściany. – Reszta to i tak cegła ze Szczecina i Wrocławia!

– Prawdziwych reliktyw Starego Miasta jest tak niewiele, że każdy fragment jest cenny. – Młody urzędnik spojrział na Szumską z wyższością. –

Ściągają jakichś znajomych architektów z prowincji, a potem się dziwią, że wszystko jest schrzanione.

Igor zmarszczył brwi i spojrzął na kilka leżących pod ścianą cegieł, które dzień wcześniej wykuli robotnicy. Coś mu przyszło na myśl, ale właśnie zadzwonił telefon.

*

„Pandora” ze swoimi czterdziestoma siedmioma metrami długości, ściśle poinstruowana przez kapitanat portu w Visby, dobiła do zachodniego nabrzeża mariny, gdzie zazwyczaj stawały ponadnormatywne jednostki, których nie dało się upchnąć przy pomostach zarezerwowanych dla jachtów. Tuż obok wznosił się ogromny śnieżnobiały silos, w sąsiedztwie niskiego czerwonego pawilonu, w którym sprzedawano mapy i pamiątki, a jeśli ktoś chciał, mógł wynająć samochód albo skuter. Ogromny jacht od razu ściągnął spojrzenia z licznych zacumowanych łodzi, których maszty kołysały się jeszcze na poruszanej przez białego lewiatana wodzie. Spacerujący po porcie ludzie, niczym fala przypływu, z wolna ściągali na nabrzeże i osłaniając dłońmi oczy przed słońcem, obserwowali z ciekawością niecodziennego gościa.

Podczas gdy dwaj członkowie załogi uwijali się przy linach cumowniczych, wiążąc je do stalowych pierścieni na nabrzeżu, Johann stał z kapitanem na mostku i konferował z nim o tym, co należy załatwić w kapitanacie.

Kapitan Liam Robert Whitmore, na którego przyjaciele wołali Bill, był doświadczonym marynarzem, nawet za bardzo doświadczonym, jak na pracę dla lorda Carleya, czego doskonale był świadom. Kilka lat spędził w marynarce, potem pływał dla rozmaitych krajowych i obcych armatorów, by w końcu wylądować na długim kontrakcie, który zresztą dwukrotnie przedłużał, na duńskim statku typu Diving Support Vessel[10], który obsługiwał budowane na Morzu Północnym platformy wiertnicze. To tam nabrał doświadczenia we wsparciu nurkowania, a nawet sam zaczął nurkować. Długie miesiące odseparowania od rodziny skomplikowały mu jednak w końcu życie na tyle, że gdy dowiedział się, iż pewien angielski dżentelmen poszukuje kapitana z doświadczeniem we wsparciu nurkowania

na swój jacht, nie bez oporów, ale zgłosił swoją kandydaturę.

Praca u lorda Carleya była absurdalna, a doświadczenie we wsparciu nurkowania okazało się zawracaniem głowy. Większość czasu spędzał, ubrany w galowy biały mundur, na zabawianiu gości podczas letnich imprez w Docklands. Kilka razy do roku „Pandora” wypływała w morze na krótkie wyprawy połączone z nurkowaniem. Carley wyposażył ją w profesjonalny sprzęt, miała nawet malutką komorę dekompresyjną i dźwig zdolny podnieść wprawdzie tylko do kilku ton, ale więcej i tak uniemożliwiała konstrukcja jachtu. Potężne silniki czyniły ją szybszą od większości podobnych jednostek, a wszystko to tylko po to, żeby dwa razy do roku zawieźć kilku zblazowanych arystokratów, by mogli ponurkować sobie w okolicach jakiejś wyspy z bielutkimi plażami. W zamian za to jednak miał pensję, jakiej nie dostałby u żadnego armatora, i praktycznie cały rok spędzał w domu w Camden. Za morzem trochę jednak tęsknił, gdy więc któregoś dnia lord Carley spytał go, czy zechce popłynąć z jego synem i jego towarzystwem na jakąś głupawą hipsterską wyprawę na Zatokę Botnicką, zgodził się bez wahania.

Znał dość dobrze zarówno Visby, jak i cały Bałtyk i orientował się, gdzie należy się zgłosić w celu załatwienia odpowiednich zezwoleń na nurkowanie i uiszczenia ewentualnych należności. Po drodze trzeba było jeszcze załatwić formalności w biurze maryny. Opłaty za ponadnormatywną jednostkę oscyływały w pobliżu tysiąca koron, ale to i tak było dużo mniej niż w Londynie czy w południowej Europie. Skinął głową swojemu tymczasowemu szefowi i zszedł po trapie na brzeg.

Johann pomachał ręką do dwóch stojących przed wejściem do pawilonu i uśmiechających się do niego dziewczyn i wbiegł na główny pokład. Na jednej z sof leżał rozwalony Jamie i trzymając się za głowę, popijał wodę mineralną z wysokiej szklanki.

– Wyszedłem z wprawy w picie – stęknął na widok Johanna. – Kilka piw i od razu takie zamieszanie.

– Kilka piw? – prychnął Johann. – Od kilku piw to ty wczoraj zacząłeś, a potem wypiliśmy chyba litr wody, z czego ze dwie trzecie wytrąbiłeś sam.

– To podłe oszczerstwo.

Na schodach prowadzących z górnego pokładu pojawił się Dermot

z bardzo naburmuszoną miną. Podszedł do Johanna i marszcząc brwi, wskazał skinieniem głowy za siebie. Za szybą, we wnętrzu jachtu, przy jednej z ław siedzieli Rupert i Alice i popijając kawę z kolorowych kubków, mówili do siebie przyciszonymi głosami, co chwilę wybuchając śmiechem.

Johann westchnął i pokręcił głową.

– Zobacz, co on ma na sobie! – Dermot, nie odwracając głowy, wbił wzrok w Johanna. – Przecież mnie szlag zaraz trafi! On te cholerne koszulki zakłada po to, żeby mnie wkurzyć.

– Jasne. – Johann uśmiechnął się na widok blad różowego T-shirtu z napisem „Keep calm and chuj z tym”.

– No a nie? Przecież on jest podobno modelem! I co, nie wie, jak się tutaj ubrać? Widziałem, jak chodzi po Londynie, tam nie ma jakoś problemów! I co to w ogóle, do diabła, znaczy?

– Nie mam pojęcia. – Johann pokręcił głową.

– To chyba po polsku. Masz przecież teraz znajomych w Polsce i nie wiesz, co to znaczy?

– Ty masz znajomych na Islandii. Wiesz, co znaczy cokolwiek po islandzku?

Dermot przez chwilę zezował w kierunku Ruperta i Alice, markując rozglądanie się po porcie.

– Ja nie wiem, jak ty się w ogóle z nim skumałeś? Nie ma u was w robocie prawników, dyrektorów artystycznych albo przynajmniej księgowych? A ty musiałeś się zaprzyjaźnić akurat z modelem?!

– Fotomodelem. To fajny facet, tylko ty się uprzedziłeś. Jest poza tym doskonałym fotografem. Widziałem jego zdjęcia podwodne. Obłęd! Pomijając wszystko inne, on u nas nie pracuje. Jest z agencji, z którą matka najczęściej ma kontakty.

– Wiekopomnych zdjęć archeologiczno-paleoastronautycznej anomalii z Zatoki Botnickiej to już raczej nie robi. Można by go w takim razie wysadzić i podrzucić na lotnisko? – Dermot spojrzał z nadzieją na śmiejącego się Johanna i zmienił temat: – Miałem ci przypomnieć, żebyś zadzwonił do tego całego Ajgora.

– Igora! – Johann uniósł brwi i pokiwał głową.

Rzeczywiście. Miał go zawiadomić, że zjawią się w Szczecinie o kilka dni wcześniej i zapytać, czy to nie będzie jakiś problem.

*

– Trzy miesiące opóźnienia! – jęczał kierownik budowy.

– Cały czas uważam, że można było inaczej rozwiązać tę funkcję. – Inspektor nadzoru pokręcił głową. – Architekt mógł przewidzieć, że ściana, którą chce podziurawić, może się okazać zabytkowa. W Szczecinie w końcu też są jakieś zabytki.

– Co pan opowiada?! – Szumska nie wytrzymała. Mimo wszystko sama była ze Szczecina. – Skoro się dostarcza dokumenty, które stwierdzają, że ściana jest wtórna, to skąd projektant ma wiedzieć, że pod tynkiem ukrywał się jakiś cholerny fragment stanisławowski? Może to konserwator powinien mieć bardziej aktualne dane?

– Proszę pani... – młody urzędnik pokiwał głową z pobłażaniem – ...w przypadku obiektu zabytkowego nigdy nie ma pewności.

Igor stał z boku i wpatrywał się w komórkę. Przed chwilą odrzucił połączenie. Dzwoniła matka. Pewnie znowu z jakimiś piekielnymi pytaniami w związku z wizytą Johanna. Właśnie dzwoniła po raz drugi.

Odrzucił połączenie po raz drugi i spojrzał z rezygnacją w kierunku grupki czterech osób, pomiędzy którymi temperatura rozmowy ciągle rosła. Na kartonach w rogu pomieszczenia siedziało kilku robotników i z nieukrywanym zainteresowaniem śledziło przebieg wydarzeń.

Igor spojrzał na kupę cegieł pod ścianą. O czym przed chwilą myślał?

Podszedł bliżej i sięgnął po jedną z cegieł, którą zdążyli dzień wcześniej wydłubać robotnicy. Była czerwona i ciężka. Jak zwyczajna cegła. Odwrócił ją i ze zdumieniem zobaczył wyryty na niej napis DIDIER.

Didier? Coś mu to mówiło. Sięgnął po telefon i wpisał słowo w przeglądarce. Zmarszczył brwi. A to dopiero...

– Wy nie macie pewności, a projektant miał mieć? – Szumska patrzyła wrogo na konserwatora.

– Projektant powinien rzetelnie zweryfikować inwentaryzację, zrobić

odkrywki, zbadać próbki. – Inspektor nadzoru wczuł się w końcu porządnie w swoją rolę.

– À propos tego, co kto powinien... – Igor podszedł do kłócącego się towarzystwa i wyciągnął cegłę w kierunku inspektora. – Czy pan w ogóle obejrzał tę cegłę?

Przez chwilę panowało milczenie. Wszyscy patrzyli na siebie podejrzliwie. Robotnicy na kartonach wyciągnęli szyje, żeby nie przegapić ani minuty przedstawienia.

– Przecież to jest szamot! – warknął Igor. – Ze szczecińskiej fabryki Ferdynanda Didiera, która powstała na początku dziewiętnastego wieku[11]. – Murarze za czasów Stanisława Augusta musieli mieć zaiste wyjątkowe kompetencje – dodał złośliwie, spoglądając na inspektora z urzędu Stołecznego Konserwatora Zabytków.

– Czyli to jest cegła rozbiórkowa ze Szczecina? – upewniła się Szumska, patrząc na Igora z niedowierzaniem.

Igor pokiwał głową.

– Jak pan mógł nie poznać, że to cegła szamotowa? – Inspektor nadzoru dyplomatycznie wybrał jako cel ataku kierownika budowy.

– A kiedy miałem poznawać? Pan od konserwatora od razu kazał wstrzymać prace!

– Poza tym miała pani rację... – Igor uśmiechnął się do pani Jadwigi. – Szamot ma kilkakrotnie większy współczynnik przewodności cieplnej, więc nic dziwnego, że przy ścianie było zawsze zimno. Ma także dużą nasiąkliwość, więc łatwo wchodziła tutaj wilgoć z sieni i siłą rzeczy pojawiał się grzyb.

– No patrzcie państwo. – Pani Jadwiga pokręciła głową.

Przez chwilę panowała cisza. Na kartonach kręcili się tylko robotnicy, niepomernie szczęśliwi z powodu tak ciekawej przerwy w pracy.

– Jeśli pan nadal się upiera przy wstrzymaniu robót... – Szumska odetchnęła z ulgą i popatrzyła wrogo na pobladłego urzędnika Stołecznego Konserwatora Zabytków – ...to proszę o uzasadnienie na piśmie.

Igor wyszedł na ulicę i zadarłszy głowę, spojrział ponad dachy pastelowych kamieniczek. Co za koszmarna strata czasu. Przyплыw

adrenaliny równoważyło pulsowanie pod czaszką i zapowiedź bólu głowy. Poczuł, że jest sfrustrowany. W perspektywie miał kilka godzin w pociągu i trzysta złotych za nadzór. Czy muszą mu się przytrafiać tylko takie wydarzenia jak kłótnie na budowie i mało satysfakcjonująca praca? Czy nie mogłoby się wydarzyć coś ciekawszego?

Niektóre życzenia wypowiada się doprawdy w złym momencie.

*

Komenda policji w Darłowie mieściła się w paskudnym dwukondygnacyjnym budynku z płaskim dachem, wciśniętym w miejsce po dawnej zabudowie na narożniku ulic Rzemieślniczej i Kościelnej. Zgodnie z niepisaną tradycją lat powojennych, budowla została cofnięta w stosunku do dawnego przebiegu pierzei ulicznych, dzięki czemu uzyskano tak pożądany w latach siedemdziesiątych chaos urbanistyczny, a na uzyskanym w ten sposób miejscu przed elewacją można było założyć wyleniały na co dzień trawniczek i posadzić świerczki, które obecnie wybijały już wysoko ponad dachy sąsiedniej zabudowy i rozglądając się wokół z niedowierzaniem, zastanawiały się, co robią w samym centrum Starego Miasta. Styropianizacja baraku oraz pomalowanie go na tak zwany ciepły kolor nie dodały mu szlachetności, może w jakimś tam stopniu zmniejszyły rachunki za ogrzewanie, chociaż i co do tego nie można mieć pewności, biorąc pod uwagę, że ocieplono jedynie ściany kondygnacji nadziemnych, nie przejmując się przyziemiem ani dachem.

Policjant dyżurny, któremu Paweł zreferował pokrótce powód, dla którego odrywają go od internetu, zaprowadził ich do małej salki na parterze i kazał poczekać. Pomieszczenie miało kształt kwadratu, dwa okna wychodzące na wściekle zielony budynek po drugiej stronie ulicy oraz stół z krzesłami jako jedyne wyposażenie.

– Pamiętaj tylko, by nie chlapanąć, że dopiero dzisiaj rano oddaliśmy te filmy do wywołania. – Paweł ruchem głowy wskazał paczkę, która opakowana w sfatygowany szary papier leżała na kolejnym stole.

– Ciszej bądź! Zwariowałaś? – syknęła Paulina, rozglądając się wokół siebie. – A jak tu jest jakiś podsłuch albo lustro weneckie?

– Jakie lustro weneckie? Widzisz tu jakieś lustro?

Paulina spojrzała niepewnie na trzy ściany, na których wisały zdjęcia oprawione w ramki i antyramy. Czwarta ściana była kompletnie zaanektowana przez dwa okna.

- Poza tym lustro weneckie jest zawsze w pomieszczeniach bez okien.
- A skąd ty to wiesz? Nie słyszałam o takiej regule.
- We wszystkich serialach kryminalnych tak jest.
- No, to jasne...

Na korytarzu rozległy się kroki i chwilę później drzwi się otworzyły. W progu stanął wysoki szpakowaty mężczyzna pod czterdziestkę, ubrany w elegancki grafitowy garnitur, a za nim niepozorny łysiejący człowiek w czarnej koszulce polo.

– Prokurator Teodor Olszański – przedstawił się mężczyzna w garniturze, podał rękę Paulinie i skinął głową Pawłowi. – A to starszy aspirant Piotr Matuszek z wydziału kryminalnego Komendy Powiatowej w Sławnie, który prowadzi sprawę Wyrzykowskiego. Proszę bardzo. – Wskazał ręką stół, po czym wszyscy usadowili się dookoła, mimowolnie wbijając wzrok w leżący na blacie pakunek w szarym papierze. – Paweł mi przekazał, że to z panią kontaktował się Wyrzykowski przed śmiercią.

Brunet miał świdrujące, chłodne spojrzenie, co nie przeszkodziło Paulinie dostrzec, że mu się podoba. Sięgnęła do teczki, którą położyła po wejściu do pokoju na krzesło obok, i wyjęła z niej kilka kartek A4.

– Tak, tutaj mam wydruki wszystkich e-maili, jakie od niego dostałam. Od kwietnia, kiedy po raz pierwszy do mnie napisał.

Opowiedziała pokrótce historię swoich kontaktów z Wyrzykowskim, jego synem i swoje wątpliwości co do autorstwa kilku stron dziennika.

– Od razu rozwieję pani obiekcje na temat Wyrzykowskich – odezwał się słuchający do tej pory w skupieniu i notujący sobie coś w notesie aspirant Matuszek. – Wyrzykowscy przybyli do Darłowa w lipcu czterdziestego piątego roku z Bierzenik koło Dukszt na Braślawszczyźnie. Z malutkim synkiem.

Paulina podniosła brwi i pokiwała głową. Teoria Pawła stała się niniejszym jeszcze mniej nieprawdopodobna.

- Czy w tych dokumentach jest coś, co wydało się pani dziwne lub

zastanawiające albo może jakoś wyjątkowo cenne?

– To są stare mapy, dziennik pokładowy, jakieś papiery z czasów wojny, ale poza wartością historyczną to wszystko jest niewiele warte. Messtischblattny nie są zbyt cenne, można pojedyncze egzemplarze znaleźć w antykwariatach za kilkadziesiąt złotych.

– Były w tym negatywy – wtrącił Paweł. – Oddaliśmy je jednak już do wywołania. Prześliśmy odbitki e-mailem, jak tylko je zrobimy.

Prokurator pokiwał głową.

– Czynności dochodzeniowe, jak do tej pory, pozwalają przypuszczać, że to było zwyczajne włamanie i zabójstwo popełnione przy okazji przez nieudolnego złodzieja lub złodziei. Z domu zginęło trochę cennych rzeczy, w tym komputer, aparat cyfrowy...

– A nasze nagranie? – Paulina podniosła głowę. – Czy to możliwe, że zginął właśnie wtedy?

– Nagranie zaczyna się o ósmej dwadzieścia. Zwłoki zostały znalezione tego samego dnia, ale i tak nie jesteśmy w stanie ustalić dokładniejszej daty zgonu niż szacunkowe od dwunastu do dwudziestu godzin, zresztą wyniki z sekcji będą dopiero za kilka dni. Zakładaliśmy początkowo, że zgon nastąpił w nocy, pani telefon dowiódł jedynie, że stało się to nad ranem.

– Jak on w ogóle został zabity?

Prokurator przez chwilę patrzył na Paulinę, tak jakby się zastanawiał, na ile szczegółowy opis ją interesuje.

– Mówiąc kolokwialnie, ktoś mu skręcił kark. Mocnym chwytem od tyłu. Miał złamaną przegrodę nosową, ale możliwe, że to się stało, gdy upadł na podłogę.

Matuszek drgnął nagle i zaczął energicznie kręcić się na krześle, usiłując wyciągnąć z kieszeni dzinsów wibrujący telefon. Po uwiecznionych sukcesem staraniach przyłożył go do ucha, a w chwilę później spojrzał porozumiewawczo na prokuratora.

– Dobra, będziemy tam za pół godziny – powiedział do kogoś po drugiej stronie i odłożył telefon na stół. Przeniósł spojrzenie na Paulinę, która ze ściągniętymi brwiami patrzyła na niego uważnie. – Znaleźli zwłoki zakopane w piwnicy domu Wyrzykowskiego.

Rozdział 6

Gotlandia, największa wyspa na Bałtyku, osiemdziesiąt kilometrów piaszczystych plaż, jaskinie, w których czas zatrzymał się tysiące lat temu, i baśniowy świat dzieciństwa Pippi Langstrumpf. To również najprawdziwsza wyspa piratów, a według wielu legend i morskich opowieści także i wyspa skarbów. Skandynawskie sagi wspominają o ważnym ośrodku handlowym na szlaku wschodnich wypraw wikingów do Bułgarii, na Ruś czy do Bizancjum, który mieścił się właśnie na Gotlandii. Dla wikingów wyspa była tajemniczym i trudno dostępnym miejscem, w zimie skutym lodem i spowitym mgłami, a w lecie zielonym i słonecznym, stwarzającym idealne warunki do ukrycia łupów przywożonych z dalekich krain. Potwierdzeniem tych opowieści może być fakt, że prawie osiemdziesiąt procent skarbów wikingów znaleziono właśnie tutaj. Zakopane na polach cebry pełne złotych i srebrnych monet czy kufry pełne kosztowności.

Od XI wieku stolica Gotlandii Visby stała się ważnym portem Ligi Hanzeatyckiej – związku miast handlowych Europy północnej. W 1361 roku wyspa zajęta została przez Duńczyków, by pod koniec XIV wieku stać się kartą przetargową pomiędzy Danią, Szwecją a Meklemburgią i w rezultacie wpaść w ręce wynajętych początkowo przez Albrechta III, księcia Meklemburgii i króla Szwecji, do walki z Duńczykami korsarzy Braci Witalijskich, którzy szybko zerwali się z jego smyczy, stając się piratami szerzącymi postrach na całym Bałtyku. W marcu 1398 roku gigantyczna flota osiemdziesięciu czterech okrętów Zakonu Krzyżackiego, dowodzona przez Konrada von Jungingena, podbiła wyspę i ustanowiła ją swoim północnym morskim dominium. Nie na długo jednak. Koszty utrzymania Gotlandii były ogromne, a zakon już wówczas zbierał środki na wojnę z Polską, tak więc w 1408 roku, za niewygórowaną kwotę dziewięciu tysięcy angielskich nobli[12], Gotlandia przeszła ponownie na własność Danii.

Alice odłożyła tablet na stół i sięgnęła po kubek z kawą. Siedzieli w jadalni i jedli spóźnione śniadanie. Czytała im znalezione w sieci wybrane fakty historyczne z dziejów Gotlandii, które co rusz ktoś urozmaicał jakimś

żartem lub przytykiem.

– Co robimy? – spytał Jamie, pakując sobie do ust porcję jajecznicy na bekonie.

– Idziemy zwiedzać – powiedziała Alice z uśmiechem.

Siedzący obok niej Rupert pokiwał zgodnie głową.

– W mieście są dwadzieścia cztery zabytkowe średniowieczne kościoły...
– zaczęła Alice, patrząc w ekran tabletu.

– Chryste! – jęknął Jamie. – Nie zamierzacie chyba obejść ich wszystkich? Połowy nawet?

– Z czego dwadzieścia trzy w ruinie – dodał zjadliwie Dermot.

– Zgadza się – przytaknęła Alice. – Została tylko katedra, ale jest za to mnóstwo zachowanych cudownych średniowiecznych budynków, mury z basztami...

– Czy jest coś, czego nie ma w choliernej Szkocji?

– Skończ już z tą Szkocją, Jamie – burknął Johann.

– Wyżebrałeś od ojca tego „Titanica”, bo mieliśmy nurkować do Sokoła Millennium, a zamiast tego zwiedzamy teraz starówki.

– Wróci Bill, to zobaczymy, gdzie można by nurkować. Na razie możemy iść na spacer po mieście.

– O wilku mowa – przerwała Gwen, patrząc ponad głowę Johanna.

Na schodach z dolnego pokładu pojawił się kapitan i szybkim krokiem przeszedł przez mesę. W rękach trzymał plik dokumentów.

– Dzień dobry państwu. Załatwiłem wszystko w kapitanacie, sir – kapitan zwrócił się do Johanna. – Generalnie nie ma z niczym problemów, ale...

– Nie trzeba żadnych zezwoleń?

– Na nurkowanie do tych wraków nie trzeba. – Kapitan podał Johannowi plik kilku kserokopii. – Tu są dokładne lokalizacje praktycznie wszystkich wraków na szwedzkich wodach, ale to są same współczesne wraki, kilka z dziewiętnastego wieku, kilka starszych. Leżą na głębokościach do około pięćdziesięciu metrów.

– A co z tym żaglowcem z szesnastego wieku, o którym mówiłeś? – Jamie

oderwał się od resztek śniadania i spojrzał z zaciekawieniem na trzymane przez Johanna wydruki.

– Bez szans, proszę pana. – Kapitan pokręcił głową. – Nurkowanie wokół historycznych żaglowców jest zabronione. Zresztą lokalizacja większości z nich jest utajniona.

– Czyli mamy do wyboru jakieś barki, chłodniowce, kutry. Generalnie złom po prostu... – Dermot zająrzył przez ramię Johanna.

– Do wnętrza kilku z nich można wpłynąć, sir. Ponoć bardzo ciekawe.

– Jakieś fatum chyba – jęknął Jamie. – Ta wyprawa jest jakoś wyjątkowo pechowa.

– Model na pokładzie – mruknął pod nosem Dermot, a następnie zmarszczył brwi i spojrzał pytająco na Johanna, który kopnął go pod stołem.

– Jeśli można coś zaproponować...

Kapitan pochylił się nad Johannem, który bezradnie wpatrywał się w udostępnioną przez kapitanat portu listę wraków.

– Proszę, siadaj, Bill. – Johann wskazał wolne krzesło. – Notabene, nie wiem, czemu uparliście się jeść osobno w kambuzie dla załogi, skoro przy tym stole jest dwanaście miejsc.

– Przestrzegamy zasad pana ojca, sir.

– Jak uważasz, ale zawsze zapraszamy tutaj. Co chciałeś zaproponować?

Kapitan usiadł przy stole i położył przed sobą mapę, którą przyniósł wraz z innymi dokumentami z kapitanatu. Były na niej zaznaczone wraki wokół wybrzeży Szwecji.

– À propos tego zatopionego żaglowca z szesnastego wieku, o którym mówiliście... – powiódł spojrzeniem po wpatrzonych w niego z zainteresowaniem twarzach – ...prawdopodobnie chodzi o odnaleziony w dwa tysiące jedenastym roku wrak największego okrętu wojennego tamtych czasów, galeonu „Mars”, który został zatopiony w tysiąc pięćset sześćdziesiątym czwartym w jednej z bitew podczas wojny siedmioletniej.

– Racja! Czytałam o tym. – Alice spojrzała na kapitana z ożywieniem. – Szwedzi prowadzą tam teraz prace archeologiczne, niewykluczone, że wyciągną go tak jak galeon „Vasa”[13].

– No właśnie. – Kapitan pokiwał głową. – I w związku z tym jakiegokolwiek nurkowanie w tym rejonie zostało zabronione, ale jest pewna ciekawa sprawa...

Wszyscy przy stole umilkli, wpatrując się w kapitana, który zawiesił głos i przejechał dłonią po gęstej brodzie.

– Podczas badań „Marsa” Szwedzi prowadzili, niejako przy okazji, poszukiwania w najbliższym sąsiedztwie, czyli na wodach pomiędzy Gotlandią a Olandią, i natknęli się na wrak transportowca z lat czterdziestych, który przewoził węgiel. Leży na głębokości jakichś pięćdziesięciu metrów i jest doskonale zachowany, z mnóstwem wyposażenia i detalu. Wbrew temu, co pisała prasa, był on już wcześniej znany ekipom nurków, choć nie został zinwentaryzowany i wciągnięty na żadne oficjalne listy.

– Możemy więc tam popłynąć? – odezwał się Jamie, przerywając ciszę.

– Nie ma go w rejestrach. – Kapitan wzruszył ramionami. – Więc nie ma kogo pytać o zgodę. Nie jest też powiedziane, że tam trafię. Pamiętam lokalizację w zaokrągleniu do kilku minut i musielibyśmy włączyć sonary.

– Super! – ożywił się Dermot. – Czyli zajmiemy się chociaż w części tym, co było planowane.

– Jeśli natomiast nie znajdziemy go, to proponuję inny program. U wybrzeży Olandii, na wysokości portu rybackiego w Bläsinge, leży wrak zatopionego w czasie wojny innego transportowca, „Ady Gorthon”. Nie jest tak interesujący, bo wyciągnęli z niego praktycznie wszystko, co było można, ale jest bardzo malowniczy i ma ciekawą historię.

– To ja mam lepszą propozycję – odezwała się niespodziewanie Gwen.

Ponownie zapanowała cisza.

– No co jest? Nie patrzcie tak na mnie. – Uśmiechnęła się. – Nie jestem w tym kręgu najlepszym nurkiem. Prawdę powiedziawszy, nie jestem w ogóle dobrym nurkiem, ale słyszałam od znajomych o wraku chińskiego kontenerowca, który leży między Bornholmem a Ystad. Prawie dwieście pięćdziesiąt metrów długości, wyobrażacie sobie coś takiego? Sama nadbudówka ma ponoć trzydzieści metrów wysokości. Obłąd!

– „Fu Shan Hai” – mruknęła pod nosem Alice, ale po chwili oczy jej rozblęły. – Faktycznie! Do niedawna był tam zakaz nurkowania, zresztą to

podobno trudny wrak. Będziemy musieli przemyśleć wszystko logistycznie i działać absolutnie zespołowo. Genialny pomysł! – zakończyła z entuzjazmem.

– W takim razie dziś nurkujemy koło Olandii, noc spędzimy na morzu, a jutro będziemy mieli cały dzień na tego „Chińczyka”! – Dermot poderwał się od stołu i przeciągnął, rozkładając ramiona na całą szerokość. – Może to jednak nie będą zupełnie stracone dwa tygodnie.

*

Dąbki wyglądały tak jak większość miejscowości nad morzem. Z dawnej zabudowy nie pozostało prawie nic. Pojedyncze, przypudrowane kolorowymi tynkami domy, przechowujące w pamięci czasy nadmorskiej rybackiej wsi, w której lubili zatrzymywać się letnicy, by z okien gościnnych pokojów patrzeć na porozwieszane na drągach, suszące się sieci i mieniające się w oddali srebrną łuską morze. Dzisiaj po tym klimacie nie pozostał żaden ślad, a miejscowość przypomina raczej obóz uchodźców. Po wojnie wybudowano tutaj, porozrzucane nieregularnie po całym miasteczku, kilkupiętrowe boczki, desperacko udające w latach siedemdziesiątych luksusowe nadmorskie hotele.

W ostatnim okresie je odnowiono, przemalowując na groteskowe pastelowe kolory. Pomiędzy nimi wyrosły plantacje nowych gargamelowatych pensjonatów, obwieszonych reklamami wolnych pokojów i nazywających się najczęściej Krab, Rybitwa, Mewa albo Posejdon. Przy głównych ulicach stały baraki oblepione napisami nawołującymi do konsumpcji tak zwanych świeżych ryb, kupowania muszli lub pamiątek, wśród których niezmiennie od lat wciąż można było nabyć symbol prawdziwie polskiej nadmorskiej tradycji, czyli ciupagę. Do tego dochodziły nieśmiertelne lody „włoskie”, którym wyrosła ostatnio konkurencja w postaci lodów „amerykańskich”, oraz niepodzielnie panujące od dziesięcioleci gofry z bitą śmietaną. W tych dekoracjach w ciągu krótkich trzech miesięcy, w czasie których właściciele owych przybytków musieli za wszelką cenę zarobić trochę pieniędzy, przemierzali się, ogłupieni hałasem z setek głośników, asymetrycznie najczęściej opaleni, objuczeni krzeselkami, parawanami, parasolami i nadmuchiwanyymi rekinami, desperacko chcący

wypocząć wczasowicze ze Śląska i Małopolski.

Paulina, która wciąż jeszcze miała przed oczami świeże wakacyjne wspomnienia z Korfu, patrzyła przez przednią szybę audi Pawła na rozstępujące się przed maską samochodu przeredzone już wrześniowe tłumy letników i myślała, że tak mogłoby wyglądać piekło, gdyby porzuciła tu jeszcze gdzieś beczki ze smołą. Jak większość mieszkańców Szczecina, prawie nigdy nie odwiedzała w sezonie takich miejsc. Unikała kultowych Międzyzdrojów, Pobierowa, trzymała się z daleka od Pogorzelic. Nad morze jeździli z przyjaciółmi na Wolin, gdzie pozostawiając samochód na parkingu pola namiotowego, przemykali się przez wydmy i spędzali zazwyczaj dzień na dzikiej plaży, u stóp klifów porośniętych sosnowymi lasami.

Zamyślona, po chwili dopiero zarejestrowała, że Paweł coś do niej mówił.

– Pokazywałem ci kościół.

Skinął głową w kierunku szarego budynku, nad którym wznosiła się masywna dzwonnica z dwóch betonowych pylonów. Od tyłu przylegała do niego dwukondygnacyjna przybudówka przykryta płaskim dachem, z którego sterczały anteny.

– Straszny – powiedziała Paulina, kręcąc głową z niesmakiem na widok słupków ogrodzenia wyłożonych białymi płytkami.

– Bardzo nowoczesny. – Paweł się uśmiechnął. – Ma ładne, surowe wnętrze. Stoi tam w środku krzyż, a wiszący na nim Chrystus nie ma korony cierniowej. Plotka głosi, że rzeźbiarz umarł i nie zdążył jej już wyrzeźbić, ale miejscowy ksiądz upiera się, że tak miało być, by pokazać, że chrześcijaństwo to nie tylko cierpienie i pokuta, ale i radość. Podobno dlatego też wyrzeźbiony Chrystus jest pogodny... Ależ ja tutaj dawno nie byłem. Dużo się zmieniło, wszystko takie kolorowe, odświeżone.

Paulina spojrzała na Pawła, który rozglądał się z zainteresowaniem dookoła. Ciekawe, jak można tak inaczej wszystko postrzegać. A może to ona jest snobką? Zauważa tylko brzydotę tej architektury, pomalowanej na pomarańczowe i żółte kolory, i niesprawiedliwie porównuje ją do bajkowych uliczek Korfu? Może ludzie tutaj starają się, jak mogą, żeby wydobyć z tych pozostałości po komunie choć odrobinę uroku?

Z postanowieniem bardziej liberalnego poszukiwania piękna ponownie

spojrzała na krajobraz za oknami samochodu. Niestety, z prawej strony mijali właśnie gargantuiczny, upstrzony balkonami ośmiokondygnacyjny gmach z płaskim dachem, do którego przylegało wymalowane na kolory czerwieni i fioletu parterowe skrzydło. Po lewej natomiast stały szare bloki udające ośrodki wypoczynkowe.

Paulina westchnęła.

Audi Pawła przetoczyło się wąską ulicą i skręciło na niewielkim placyku. Po jednej stronie ciągnęły się parterowe betonowe baraki, po drugiej stało kilka kolorowych domów. W perspektywie uliczki, niczym przekleństwo epoki późnego Gierka, wznosiły się kolejne kilkupiętrowe bloki. Kolejny zakręt i kolejna uliczka, i wreszcie jadący przed nimi bordowy citroën prokuratora Olszańskiego zatrzymał się przy ogrodzeniu.

W głębi posesji stała piękna, przykryta strzechą, niczym przeniesiona z innego świata, rybacka chata z pruskiego muru, ukryta w kwitnących jeszcze różach, pelargoniach i wylewających się z zawieszonych na parapetach doniczek petuniach.

*

Władimir Sierow wyjrzał na wąski korytarz i rozejrzał się w obie strony. Słysząc tu było równomierny terkot silnika kutra. Cofnął się do środka kabiny i dokładnie zamknął drzwi.

– Nie ufam im – mruknął do siedzącego na koi i pijącego colę z puszki potężnego mężczyzny w białym opiętym podkoszulku bez rękawów.

– To tępaki – parsknął Wadim Woronin.

– Ten Łotysz nie wygląda na tępaka.

– Jest dobrym nurkiem. To wystarczy. Nie sprawia kłopotów.

– Co on wie?

– Zetlers?

– Pytam o tego szwaba. Nie pij tyle tej coli, bo ci wyżera mózg. Wiesz, że można ją stosować jako odrdzewiacz?

– Głupie gadanie. – Woronin oparł się o ścianę nad koją i spojrzał na stojącego nad nim Sierowa. – Myślę, że nic. Szukał szczątków brata. –

Wzruszył ramionami. – No i znalazł, obok tego dziwnego kościoła.

– Pytał o światło umarłych.

– Nic nie wie. Tak jak i ten rąbnięty staruch. – Woronin roześmiał się rubasznie. – Rąbnięty, czai pan, szefie?

Sierow uśmiechnął się samymi ustami. Woroninowi też nie ufał.

– Ile nam zostało jeszcze tych namiarów?

– Prawie połowa.

– A co, jak nic nie znajdziemy?

– Znajdziemy!

Sierow popatrzył na niego twardo. Woronin pokiwał głową.

– Na studzience dziobowej w maszynie znowu co parę godzin wchodzi alarm[14].

Podniósł wzrok.

– Szlag! – Sierow zacisnął szczęki. Stał już przy drzwiach z ręką na klamce. – W porcie niech go Sasza sprawdzi. To pewnie ta cholerna rura od chłodzenia silnika.

– Oglądanie nic nie da. Woda cieknie, bo rury są skorodowane, a opaski na nich już przeciekają. Długo to nie pociągnie.

– Teraz tego nie wymienimy. Zróbcie, co się da. Załóżcie obejmy.

Sieriow szarpnął za klamkę i zniknął za drzwiami.

Woronin zaklął pod nosem.

Artiom oderwał się od ściany przy drzwiach, do której stał przyklejony od momentu, gdy przechodząc przez korytarz, usłyszał rozmowę, w której padło jego nazwisko. Cicho jak kot przemknął korytarzem i zniknął na schodach prowadzących na pokład.

*

Loch był bardzo niski i wilgotny. Prowadziły tutaj strome ceglane schodki z dwoma drewnianymi słupkami, do których niegdyś była przybita ścianka z desek. Paulina ostrożnie stawiała kroki, żeby nie poślizgnąć się na wypolerowanych przez lata ceramicznych krawędziach i nie zlecieć w dół.

Przed jej oczami na moment stanęły wydarzenia sprzed roku, kiedy to wejście do podobnego lochu w centrum Szczecina uruchomiło lawinę wydarzeń, w wyniku których omal nie straciła życia. Wzdrygnęła się i spojrzała w głąb. Piwniczka była niewielka i całkiem ciemna. Stały tutaj dwa przenośne reflektory, których splątane kable niknęły w klapie prowadzącej do kuchni. Pod ścianami wznosiły się hałdy dopiero co wydobytej ziemi wymieszanej z gliną, a w samym prawie centrum lochu ziała wielka dziura, w której stało obwinięte szmatami pudło, a tuż obok leżały upiorne szczątki w resztkach zbutwiałego ubrania.

Paulina przełknęła ślinę i zrobiła krok w kierunku wykopu. To był naprawdę trup! Wyrzykowski pisał prawdę! Ciekawe, czy Paweł miał rację?

Jezus Maria!

Ktoś położył rękę na jej ramieniu. Paulina podskoczyła, prawie uderzając głową o nisko zawieszony drewniany strop i nie mając pewności, czy ostatnie słowa wykrzyknęła rzeczywiście, czy tylko w myślach.

Odwróciła się i zobaczyła Pawła, który z pochyloną głową usiłował jakoś znaleźć miejsce dla swoich bez mała dwóch metrów wzrostu.

– Co się tak skradasz? Mało nie umarłam ze strachu!

– Skradam? A jak inaczej miałem schodzić po tych schodach, żeby nie zlecieć tutaj na pysk? O kurwa!

Ostatnie słowo Paweł wypowiedział, patrząc otwartymi szeroko oczami w środek dołu i jego zawartość.

– Naprawdę trup! – Przepchnął się dalej i pochylił nad dziurą. – Zrobiłaś jakieś fotki?

– Nie zdążyłam, bo właśnie prawie udało ci się przyprawić mnie o zawał.

– To zrób szybko, zostawiłem komórkę w aucie. Zaraz nas stąd wyrzucą.

Paulina wyciągnęła telefon i pochylając się ostrożnie, kliknęła kilka fotek.

Parę minut później, poganiani z góry przez prokuratora Olszańskiego, wydostali się przez drewnianą klapę w podłodze i znaleźli w przestronnej, otwartej na spory salonik z drewnianym stropem kuchni. Po przyjeździe na miejsce Olszański zabrał ich od razu do wnętrza i poprosił ekipę dochodzeniową, żeby umożliwili im zajrzenie do piwnicy, nie miała więc nawet okazji, by się rozejrzeć. Zajrzała teraz z ciekawością do wnętrza

pokoju.

Stylizowana sofa z kompletem foteli, ława, a pod ścianą regał i biblioteczka. Telefon był na małym stoliku przy wejściu do pokoju z korytarza. Więc to tutaj stał Wyrzykowski, gdy z nią rozmawiał, a potem poszedł do drzwi. Jego zwłoki znaleźli w korytarzu, więc to morderca przeszedł po tych starych, wypolerowanych dębowych deskach i podniósł słuchawkę telefonu. Oczami wyobraźni widziała ciemną postać bez twarzy, stojącą przy stolyczku i w milczeniu słuchającą przez chwilę jej gadania na drugim końcu linii.

Wyjrzała przez okno na widoczny stąd trawnik przed frontem domu. Na sąsiednich działkach w wypielęgnowanych ogródkach stały nowe domy. Ich ściany wznosiły się zaledwie kilka metrów od ogrodzenia, a z okien widać było dokładnie trawnik przed zabytkową chatą. Jak to możliwe, by nikt nie zwrócił uwagi na to, że ktoś tutaj wszedł? Przy sąsiednich domach stały letnie pawilony, które prawdopodobnie ich właściciele wynajmowali w sezonie. Chyba nawet ciągle jeszcze ktoś tam mieszkał, sądząc po liczbie samochodów stojących na podjazdach. Może po prostu nie zwrócili uwagi? Może ten ktoś przyszedł, na przykład udając listonosza albo jakiegoś inkasenta?

Odwróciła się, usłyszawszy za plecami kroki.

Paweł, który rozmawiał przez chwilę z Olszańskim i lekarzem sądowym, podszedł do niej i pochylił się dyskretnie.

– Olszański mi obiecał, że da nam do wykorzystania zdjęcia od techników. Przysługa za przysługę – dodał, uśmiechając się.

– Co ten lekarz ci mówił? Wiadomo już coś z tym trupem?

– Pytałem go, czy można określić datę zgonu. Powiedział, że to potrwa parę dni.

– Jeśli nie więcej – wtrącił Olszański, który niezauważenie stanął za plecami Pawła i wyciągnął paczkę papierosów z wewnętrznej kieszeni marynarki. Ścisnął ją niezdecydowanie w rękę i schował z powrotem. – Rzucam palenie – rzekł wyjaśniająco, widząc zdziwione spojrzenie Pauliny.

Kobieta odwróciła się i ponownie spojrzała na telefon w salonie. Niepokojąca wizja ciemnej sylwetki, cicho stąpającej po starych deskach

i szperającej po szafach w poszukiwaniu czegoś cennego, znowu stanęła jej przed oczami.

– Czy znaleźliście w domu kartki z tego pamiętnika Wyrzykowskiego? Jeśli załatwiono go w czasie naszej rozmowy telefonicznej, to na pewno nie zdążył ich nigdzie schować. Musiały zostać gdzieś na wierzchu.

Olszański pokręcił głową.

– Niestety. Laptop też zginął. A ponadto, według syna Wyrzykowskiego, aparat i trochę pieniędzy. Możliwe, że te papiery były w jakiejś torbie, którą ukradł napastnik.

– Jego syn jest tutaj?

– Tak, przyjechał wczoraj rano. Zatrzymał się w pensjonacie po drugiej stronie ulicy. – Olszański obejrzał się w kierunku kręcącej się po domu ekipy dochodzeniowej. – Muszę was przeprosić. Obowiązki.

– Kiedy dostaniemy z powrotem te stare dokumenty? – Paweł włożył ręce do kieszeni dzinsów i wskazał brodą Paulinę. – Koleżanka musi zacząć pisać artykuł.

Prokurator Olszański spojrzał na nią, ściągając brwi.

– Proszę mi dać swój numer telefonu, to zawiadomię panią od razu, jak to będzie możliwe.

Paulina uśmiechnęła się i pokiwała głową, sięgając do torby i wyjmując portfel, w którym trzymała plik wizytówek.

Paweł za plecami Olszańskiego uniósł brwi i wydał znacząco usta.

Paulina, omijając go wzrokiem, podała wizytówkę Olszańskiemu.

– Będę czekała na pana telefon.

Prokurator uśmiechnął się do niej, po czym odwrócił i podał rękę Pawłowi.

– Ty lepiej na niego uważaj. – Paweł spojrzał na nią znacząco, gdy Olszański był już odpowiednio daleko. – Rozwodnik. Ma córkę i co rusz inną dziewczynę. I w ogóle jest jakiś dziwny.

Paulina pokiwała głową, patrząc na Pawła z politowaniem, i z westchnieniem schowała portfel do torby.

*

Mostek „Pandory” tonął w półmroku, rozświetlonym jedynie łagodnym światłem urządzeń pokładowych, rozmieszczonych na długim pulpicie pod wielkimi panoramicznymi oknami. Jacht powoli oddalał się od Olandii, która została już tylko wąskim paskiem na horyzoncie, a wyżej na granatowym zachodnim niebie przebijały jeszcze różowe i fioletowe światła zachodzącego słońca. Zbliżał się powoli zmierzch.

Przed pulpitem stały dwa wielkie fotele pokryte czarną skórą. W jednym z nich siedział Bill i wpatrywał się w ekran komputera, na którym system ECDIS[15] przedstawił właśnie optymalną, przewidywaną wcześniej trasę na Bornholm, uwzględniającą czynniki pogodowe i stan morza. Tyle że trzeba było ją teraz zmodyfikować, tak by uwzględnić także współrzędne tego cholernego wraku chińskiego kontenerowca, który wymyśliła sobie ta lalunia syna lorda Carleya. „Chińczyk” leżał na pozycji 5521.07 N 01443 E, a to było raczej nie po drodze, jeśli mieli płynąć do Nexø. Zamiast minąć więc od wschodniej strony wyspę Christiansø, trzeba będzie mocno odbić na zachód. „Fu Shan Hai” był zatopiony gdzieś w połowie drogi z Ystad do Rønne, tuż obok toru wodnego.

Bill nie był zbyt zadowolony z tego pomysłu. Nie wszyscy z towarzystwa na jachcie dobrze nurkowali, a „Chińczyk” dla początkujących mógł stanowić bardzo niebezpieczną próbę. Wysoka na trzydzieści metrów nadbudówka pełna była dogorywającego wyposażenia, kabli, resztek pogruchotanych sprzętów. Ściany i bulaje, upstrzone tłustymi plamami oleju, jeżyły się nagromadzonymi od kilku lat warstwami osadów. A co najgorsze, gigant miał pootwierane ładownie z tak ogromnymi włączami, że przy mało przejrzystej wodzie można było ich po prostu nie zauważyć.

No i ten cały rejs zaczął się w piątek. Mimo jego protestów. Trudno o bardziej feralny początek. Bill jako człowiek był raczej sceptykiem, jako marynarz natomiast znał wiele morskich przesądów, w które teoretycznie nie wierzył, ale w praktyce starał się nie kusić losu. Mogli wypłynąć przecież w sobotę rano, nic by się nie stało.

Wiara w przynoszące nieszczęście rozpoczęcie podróży w piątek była rozpowszechniona wśród marynarzy na Wyspach od niepamiętnych czasów. Pochodziła ponoć od przekonania, że to w piątek ukrzyżowano Chrystusa.

Rzekomo pod koniec XIX wieku brytyjska Admiralicja, żeby zwalczyć ten przesąd, jeden z nowych okrętów wojennych nazwała HMS „Friday”. Nawet stępkę pod jego budowę położono w piątek właśnie. W piątek został zwodowany i w piątek wyruszył w dziewiczy rejs. Od tego dnia wszelki słuch o nim zaginął.

Kapitan westchnął i wbił wzrok w ekran komputera, na którym kolorowo zamigotały punkty wytyczonej właśnie ponownie, optymalnej trasy.

*

Prokurator Teodor Olszański spojrział na wyświetlacz telefonu. Dzwonił Matuszek.

– Dobry wieczór, panie prokuratorze.

– Rozumiem, że skoro dzwoni pan, panie starszy aspirancie, po osiemnastej, to musiało stać się coś interesującego.

Sarkazm zazwyczaj pozwalał Olszańskiemu ukryć irytację. Właśnie zdjął z siebie garnitur i w samych gatkach stał przed szafą, usiłując znaleźć drugie spodnie od dresu. Pierwsze, o ile pamiętał, leżały od dwóch dni w bębnie pralki.

– Ogólnie średnio interesującego, ale w kontekście naszej sprawy z Dąbek powiedziałbym, że nawet bardzo interesującego.

Olszański wyjął spod sterty bluz i swetrów szaroniebieskie spodnie dresowe i podtrzymując telefon ramieniem, podjął próbę włożenia ich na siebie. Osiem na dziesięć takich prób kończyło się zazwyczaj upadkiem komórki na posadzkę i kolejną rysą na obudowie. Biorąc jednak pod uwagę, że stał akurat na miękkiej wykładzinie dywanowej, tym razem powinno się udać.

– Mów – stęknął, wciągając jedną nogawkę. – Podkręcanie napięcia o tej porze, zwłaszcza że jeszcze nie jadłem, daje średnie rezultaty.

– Pojawił się świadek, który widział, jak o godzinie dziewiętej z domu Wyrzykowskiego wychodził pewien mężczyzna.

Komórka wyslizgnęła się i z głuchym uderzeniem upadła w szorstką sierść wykładziny. Olszański zaklął pod nosem, podciągnął spodnie, pochylił się i podniósł telefon.

– Zapamiętał jakieś szczegóły? Coś istotnego?

– Tak, opisała go dość dobrze. To sąsiadka z domu obok. Wysoki, siwy, szczupły. Po siedemdziesiątce. Co więcej, wsiadł do samochodu i odjechał. Zapamiętała nawet markę. Błyszczący, nowiutki mercedes.

– Widziała go wcześniej? Kojarzyła skądś?

– No właśnie nie była pewna. Wydaje jej się, że już go widziała.

– Wydaje się? Kto z nią gadał?

– Jeden z policjantów od nas. Marchlewski. Kazałem mu połączyć po domach i popytać.

– Niech ktoś do niej jutro jedzie, a najlepiej pojedź sam i porozmawiaj z nią osobiście. Temu Marchlewskiemu na bank coś umknęło. Na przykład, skąd miała taką pewność, że to było dokładnie o dziewiątej.

Wiedział, że świadkowie najczęściej nie są pewni co do godziny. Jeśli zaś są, to z jakiegoś konkretnego powodu. Niewielka różnica czasu w tym przypadku mogła oznaczać, że mężczyzna znalazł się w domu Wyrzykowskiego prawie równocześnie z mordercą.

O ile to on nim nie był...

*

Paulina postawiła plastikowy kubek z kawą na stoliku pod oknem i usiadła, odsuwając sąsiednie krzesło, żeby położyć na nim torbę. Zatrzymali się w małej karczmie przy drodze pod samym Karlinem. Spojrzała na zegarek. Osiemnasta dziesięć. Zrobiło się bardzo późno, zmitrężyli mnóstwo czasu. Początkowo chcieli zostać na miejscu dłużej, ale Olszański sam im powiedział, że nie warto. Ani zwłok, ani pudła z radiostacją ekipa dochodzeniowa nie zamierzała ruszać do momentu przyjazdu patologów z Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego i inspektora z urzędu Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków. Na nic ciekawego zatem liczyć tam nie mogli. Postanowili porozmawiać z synem Wyrzykowskiego, ale nie odbierał telefonu. W zasadzie nie było w tym nic dziwnego. Policja pewnie poprosiła go o pozostanie na miejscu przez dzień, dwa, dopóki czynności związane z odkryciem w piwnicy się nie skończą, a jeszcze dochodziło do tego załatwianie pogrzebu ojca i tak dalej. Paulina pomyślała, że sama

w takiej sytuacji nie odbierałaby żadnych telefonów, zwłaszcza od dziennikarzy.

Pochyliła się nad stolikiem i umoczyła usta w gorącej kawie. Zastanawiała się nad myślą przewodnią artykułu na temat Dąbek. Trup alianckiego lotnika w piwnicy starego domu, odnaleziony w dodatku po siedemdziesięciu latach, radiostacja i pamiętnik Wyrzykowskiego składały się na sensacyjny materiał, coś na kształt *Sensacji XX wieku* Bogusława Wołoszańskiego. Z drugiej strony jednak, Wyrzykowski cierpiał na schizofrenię, która niszczyła jego życie i życie jego bliskich przez wiele lat, a w końcu został zamordowany przez jakichś włamywaczy. Dwa zupełnie odrębne wątki, które kolidowały ze sobą i utrudniały stworzenie spójnej koncepcji artykułu. Nie chciała niczego dopowiadać i tworzyć spiskowych bzdur, nawet gdyby się miały dobrze sprzedać. Nurtowało ją, gdzie się podziały kartki z pamiętnika Wyrzykowskiego. Jeśli rzeczywiście były w jakiejś torbie, którą ukradł bandzior, to możliwe, że nigdy się już nie znajdą, spalone albo gdzieś bezpowrotnie zniszczone. Chyba że...

Wyrzykowski powiedział przecież, że te fragmenty, które jej przysyłał, skanował w różnych miejscach, a ten ostatni, który zaginął – w „naszym ośrodku”. Jaki ośrodek mógł mieć na myśli? Czy chodziło o jakiś miejscowy, wyjątkowo znany ośrodek w Dąbkach, z którego tubylcy byli dumni, czy też jakieś miejsce, z którym sam był związany, lub raczej jego rodzina, biorąc pod uwagę słowo „naszym”. A może...

Nurt jej myśli bezceremonialnie przerwał Paweł, głośno moszcząc się na krześle i ustawiając przed sobą kubek z kawą i talerzyk z czekoladowym całuskiem.

I w dodatku zadzwonił telefon. Darek.

– Słuchaj, wywołaliśmy te lotnicze fotki. Wpadnij do redakcji, to zobaczysz! Są niewiarygodne! – powiedział przejętym głosem.

– My jesteśmy dopiero w połowie drogi do Szczecina.

– Aa... Strasznie długo wam to zajęło. Coś ciekawego?

– Jutro ci opowiem. Co z tymi fotkami?

Paulina pomyślała, że jeśli zacznie opowiadać Darkowi o radiostacji i trupie lotnika, to gotów ją ciągnąć za język przez godzinę i nigdy by się nie

dowiedziała, co ze zdjęciami.

– No właśnie! – Darek powrócił z przejęciem do przerwane go na moment tematu. – To są zdjęcia szpiegowskie, miałem rację! Niesamowite! Wydaje mi się, że to mógł być nawet wywiad lotniczy RAF-u. Są tutaj doskonałe ujęcia, tak jakby specjalne robione pod kątem analizy. To mogą być nawet fotki przeznaczone dla Medmenham.

– Czego?

W słuchawce przez chwilę panowała cisza.

– Nie wiesz, co to jest Medmenham? Przypomnij mi, dlaczego ty dostajesz takie tematy od Pawła?

– Darek...

– Medmenham. Tajna baza szpiegowska RAF-u, która zajmowała się analizą i interpretacją zdjęć wykonywanych nad Europą. O Bletchley Park i Enigmie pewnie słyszałaś, bo nakręcili kilka filmów z doklejonymi wątkami romantycznymi. Natomiast o Medmenham mało kto wie, chociaż była to jedna z najbardziej spektakularnych historii drugiej wojny światowej.

– A czego oni mogli szukać nad Dąbkami? – Paulina zacisnęła usta. Te doklejone wątki romantyczne to mógł sobie darować.

– Jak to czego? Czy ty dziś nie kontaktujesz, czy co?

– Darek. Jestem zmęczona. Cały dzień spędziłam w samochodzie i na łożeniu po tym pieprzonym kurorcie. Nie denerwuj mnie!

– Wunderwaffe przecież! Cudownej broni Hitlera!

Rozdział 7

Czwartek, 10 września

Igor obudził alarm antywłamaniowy. Przez chwilę leżał nieruchomo z zaciągniętą na głowę kołdrą, zaciskając powieki, żeby nie wpuszczać dziennego światła do resetującego się właśnie świata snów. Dźwięk był jednak na tyle koszmarny, że gorzej mogłoby być chyba jedynie, gdyby ktoś stanął nad jego głową z nożem i szorował nim po szkłe. Z westchnieniem wyciągnął rękę i sięgnął po komórkę, usiłując wymacać guziczek wyłączający upiorny dzwonek. Alarm antywłamaniowy budził go dość często, szczególnie w sobotę lub niedzielę. Zazwyczaj go ignorował, chociaż coraz częściej niepokoiło go wrażenie, że jak kiedyś odezwie się ten właściwy, to wyniosą z jego domu wszystko z pralką i lodówką włącznie, a on nawet nie otworzy oczu.

- Mamo, dlaczego ty mnie budzisz o takiej porze?
- O jakiej porze? Dziecko, przecież ludzie już pracują od dwóch godzin!
- Ale ja nie mam tutaj krów, żeby wstawać skoro świt do udoju.
- Jest po dziewiątej! Co ty, jesteś chory? Nie w pracy?

Igor otworzył oczy i spojrział na wyświetlacz. Faktycznie było późno, ale po chwili przypomniało mu się, że dzisiaj miał przecież pospać dłużej, a potem popracować w domu.

– Wróciłem wczoraj przed północą – westchnął i siadł na łóżku. – Mam chyba prawo się wyspać, tak? A w ogóle to ty dzwonisz do mnie z jakąś konkretną sprawą czy żeby mi zwyczajnie pozatruwać życie?

- Znowu to głupie gadanie! Człowiek dzwoni jak do człowieka z troską...
- Mamo...
- Dzwonię, bo ojciec tu się denerwuje...

W tle Igor usłyszał, jak jego ojciec głośno coś powiedział.

- Tak, tak, kochanie, przecież mówię. Niczego na ciebie nie zwałam.
- Mamo! O czym wy mówicie?
- Denerwujemy się tutaj z ojcem pewną sprawą.
- Jaką sprawą?
- Ojciec sprawdził w internecie... Nieprawda, do niczego cię nie zmuszałam!

Igor wstał i licząc powoli do dziesięciu, podszedł do szafy, z której wyciągnął białe bokserki.

– Czy ty wiesz w ogóle, kim są ci znajomi Johanna? Jego narzeczona? Crichton-Stuart! Przecież jej rodzina pochodzi w prostej linii od królów Szkocji! Ojciec tego Dermota to wicehrabia Carmondeley, zasiada w Izbie Lordów!

Igor rzucił bokserki na łóżko i zmierzwił włosy palcami. Gwen poznał w czerwcu, gdy wybrał się do Johanna w odwiedziny. Bardzo miła, sympatyczna dziewczyna. Pracowała w jakimś londyńskim biurze handlu nieruchomościami. Nie przyszło mu do głowy, żeby robić research w sprawie jej pochodzenia. Podobnie jak Dermota, którego także poznał na jakimś wypadzie do Londynu.

– No więc my z ojcem stwierdziliśmy, że to już jest zbyt poważna sprawa. Jak my im zapewnimy bezpieczeństwo? Jak ktoś ich tutaj napadnie? Porwie! Tym bardziej że ludzie już zaczęli gadać...

– Kto ich porwie? Co ty pleciesz, mamo! – Igor w pierwszej chwili, jak zwykle, poczuł, że ogarnia go irytacja, po czym przeszło mu przez myśl, że ich rodziny mają rzeczywiście jakieś gigantyczne pieniądze. Może obawy rodziców nie są takie całkiem bezpodstawne. Ale zaraz... „gadać”? Jacy ludzie?

– Ojciec musiał coś pewnie powiedzieć, bo ludzie zaczęli plotkować. Ja też możliwe, że powiedziałam coś kucharce, że ma się postarać. À propos...

– Jezu! Mamo! Jeszcze tylko tego brakuje, żeby ludzie ze wsi przychodzili ich oglądać jak mały w klatkach. Co wam strzeliło do głowy?

– No przecież plotki się rozchodzą. Co na to można poradzić? I będziemy musieli chyba catering zamówić, bo kucharka powiedziała, że jestem gorsza niż Gessler i że ona ma za słabe serce, aby się ze mną wyklócać. Nie wiem,

co ta kobieta ma w głowie.

– Mamo! – Igor głęboko odetchnął i usiadł na łóżku.

Trudno, najwyżej odwoła ten wyjazd na wieś i zostaną w Szczecinie. Już teraz powinien popytać o rezerwacje w hotelach, żeby potem nie było jakiejś wtopy.

– Macie dementować wszystkie plotki! Mówcie, że to brednie. I że przyjeżdżają po prostu moi znajomi z Anglii!

– Tego to mi nie musisz tłumaczyć! – zachnęła się matka Igora. – Ja się tylko zastanawiam, czy nie wynająć jakiejś ochrony na te kilka dni? Wiesz, co się będzie działo, jak jakaś lokalna gazeta o tym napisze?

Igor zamknął oczy. Myślał, że już chyba nie można bardziej skomplikować zwykłej wizyty znajomych na wsi, ale skoro matka wspomniała o gazetach...

*

Sześćdziesiąt kilometrów na zachód od Londynu, niedaleko Marlow w hrabstwie Buckinghamshire, w malowniczym zakolu Tamizy, na wysokim wzniesieniu stoi ogromny dwór w stylu Tudorów, którego najeżone wieżyczkami i krenelażami, lśniące w słońcu ściany wyłożone są białym, miejscowym piaskowcem. To Danesfield House, ogromna rezydencja wybudowana w 1901 roku przez Roberta Williama Hudsona, syna i dziedzica magnata przemysłowego Roberta Hudsona, producenta słynnego w owym okresie mydła Sunlight. Dzisiaj posiadłość pełni funkcję luksusowego hotelu, ale w czasie drugiej wojny światowej była siedzibą pewnej tajemniczej jednostki angielskiego wywiadu, której historia, mimo ogromnych zasług, pozostaje wciąż bardzo mało znana.

Centralna Jednostka Interpretacji Materiału Fotograficznego, nazywana RAF Medmenham od nazwy miejscowości nieopodal Danesfield House, początkowo była komórką jedynie eksperymentalną, ale wraz z udoskonalaniem aparatów fotograficznych oraz samolotów stała się, obok kryptologów z Bletchley Park[16], jedną z najważniejszych służb brytyjskiego wywiadu.

– Czyli to był po prostu wywiad lotniczy, który robił zdjęcia niemieckich

baz i poligonów? – spytała Paulina, wpatrując się w duże błyszczące fotografie lotnicze, które koledzy Darka dopiero co wywołali ze starych filmów. Siedzieli w małej salce konferencyjnej redakcji. Na stole leżał plik kilkudziesięciu zdjęć o zaskakująco dobrej jakości. Miały format A4 i na każdej widać było jakieś nadmorskie tereny z łąkami i zabudowaniami. Na kilku był chyba port, bo wzdłuż jasnych pasów nabrzeży rysowały się podłużne kształty łodzi, a na ciemnej tafli wody kładły się długie, wyraźnie widoczne cienie masztów.

– Nie. – Darek pokręcił głową. – To było coś więcej. To była jednostka interpretacji fotografii lotniczych. Interpretacji, czyli wyciągania wniosków na podstawie bardzo nikłych śladów lub szczegółów. Zespół ludzi o różnych specjalnościach, którzy pracowali na zasadzie burzy mózgów i wpadali czasem na pomysły, pozwalające aliantom przewidzieć o kilka kroków zamierzenia Niemców. Na przykład pewien zatrudniony tam fizyk opracował prekursorski sposób obliczania prędkości statku na podstawie tylko kształtu kilwata, który się za nim ciągnął. Archeolodzy potrafili na podstawie kształtu wykopów określić domniemane ich przeznaczenie, rozmaici specjaliści z obrazu na przykład zniszczeń jakiejś fabryki broni umieli wnioskować czas potrzebny na wznowienie tam produkcji.

– Zdjęcia na ich potrzeby musiały w takim razie robić także jakieś wyszkolone ekipy lotników. – Paulina podniosła jedną z fotografii i wpatrzyła się w dużą falującą łąkę lub mokradła niedaleko brzegu morza.

– Dokładnie. Dla tej jednostki latały specjalnie przygotowane samoloty. Pozbawione większości niepotrzebnego sprzętu, lekkie, rozwijające tym samym o wiele większą szybkość niż myśliwce, które usiłowały je przechwycić.

Darek sięgnął po kubek z herbatą, wypił łyk i spojrzał na Paulinę.

– Dobra, powiesz teraz, co to za tajemnice? Skąd wzięliście te filmy i o co w tym chodzi?

Paulina westchnęła i w kilku zdaniach opowiedziała Darkowi o zwłokach lotnika.

– Paweł zakazał mi o tym rozpowiadać, bo tylko dzięki temu, że zna skądś prokuratora z Koszalina, mogliśmy tam w ogóle wejść i wszystko obejrzeć.

– Ale czad! – Darek pokręcił głową wstrząśnięty. – Zajebisty temat!

– Tylko masz być cicho. Paweł nie może się dowiedzieć, że ci powiedziałam. Poszperałam w necie i dowiedziałam się, że w Dąbkach w czterdziestym czwartym został rzeczywiście strącony aliancki samolot B-17. Jak lotnik znalazł się w domu tego Wyrzykowskiego, dalej jest dla mnie niejasne, ale trup wykopany w piwnicy to koszmary, bo koszmary, ale fakt.

– B-17? „Latająca forteca”? – Darek zmarszczył brwi. – No, to troszkę sprawę komplikuje.

– Dlaczego?

– W Medmenham nie latały takie krowy. Oni używali lekkich, szybkich samolotów, jak Spitfire lub Mosquito, a to był ciężki, powolny bombowiec.

– A Amerykanie?

Darek spojrzał na Paulinę w zamyśleniu.

– Faktycznie, Amerykanie używali w pierwszych latach wojny B-17 do własnego zwiadu lotniczego w Afryce Północnej, ale stracili tyle maszyn, że szybko je zastąpili przystosowanymi do robienia zdjęć myśliwcami Lockheed P-38.

– A oni nie współpracowali ze sobą?

Darek potarł czoło.

– Chyba w czterdziestym pierwszym na prośbę Amerykanów przeszkolono w Medmenham grupę amerykańskich oficerów, a później Amerykanie założyli własną jednostkę tego typu w Pensylwanii. Ściśle współpracować zaczęli chyba od czterdziestego trzeciego roku.

– Samolot w Dąbkach spadł w kwietniu czterdziestego czwartego.

– Tym bardziej więc nie wiadomo, dlaczego użyli do robienia zdjęć B-17 zamiast lekkiego myśliwca.

– To skąd te zdjęcia? – Paulina przerwała kontemplowanie falującej łąki i spojrzała na Darka. – I co ten samolot tam właściwie robił?

Darek wzruszył ramionami. W milczeniu patrzyli na stertę czarno-białych fotografii. Zza drzwi dochodziły zwykłe odgłosy pracy redakcji.

*

Trzydziestego pierwszego maja 2003 roku z Windawy na Łotwie wyruszył z ładunkiem 60 tysięcy ton nawozów sztucznych oraz zbiornikami wypełnionymi prawie dwoma tysiącami ton ropy naftowej w drogę do Chin gigantyczny masowiec „Fu Shan Hai”. Trzy mile od północnego brzegu Bornholmu, dokładnie w południe, w słoneczny piękny dzień został staranowany przez należący do szczecińskich Linii Żeglugowych Euroafrica transportowiec „Gdynia”, który z ładunkiem trzystu kontenerów płynął do Wielkiej Brytanii.

Na mostku „Gdyni” wachtę pełnił młody, niedoświadczony oficer, który błędnie zinterpretował dane z pokładowych systemów antykolizyjnych i źle obliczył promień zwrotu, wskutek czego statek zamiast bezpiecznie minąć „Chińczyka” za rufą, wyrznął przy pełnej prędkości niemal prostopadle w jego lewą burtę. Znacznie mniejszy transportowiec miał dziób wzmocniony i przystosowany do kruszenia pokrywy lodowej, wyszedł więc z kolizji praktycznie bez szwanku. Natomiast gigantyczny „Fu Shan Hai” utrzymywał się na wodzie jeszcze przez kilka godzin i w końcu widowiskowo pogrążył się w odmętach, czemu ze zgrozą przypatrywała się z kilku szalup ratunkowych załoga, która wcześniej zdołała się w całości ewakuować z pokładu. Po kilku latach zdołano opanować widmo katastrofy ekologicznej, która zagrażała północnym brzegom Bornholmu oraz wybrzeżom Szwecji, a jakiś czas później udostępniono wrak żadnym przygód nurkom, dla których penetrowanie giganta stało się jedną z najatrakcyjniejszych, ale i najbardziej niebezpiecznych bałtyckich misji.

„Pandora” tuż po godzinie jedenastej osiągnęła pozycję zatopionego masowca, a system dynamicznego pozycjonowania^[17] unieruchomił ją praktycznie w miejscu z dokładnością do kilku metrów. Gdyby można było spojrzeć na nią oczami przelatującej wysoko na niebie mewy i gdyby morskie wody były bardziej przezroczyste, to wielki przecież, ledwo mieszczący się w bałtyckich przystaniach oceaniczny jacht wyglądałby jak maleńki przecinek na tle spoczywającego na dnie martwego, mrocznego kolosa – największego statku, jaki kiedykolwiek zatonął na Bałtyku.

*

– Wczoraj przez telefon wspomniałeś coś o Wunderwaffe? – Paulina

sięgnęła po stojącego z boku laptopa i pochyliła się nad klawiaturą.

– Te zdjęcia i Medmenham od razu mi się z tym skojarzyły.

Darek oderwał wzrok od sterty czarno-białych fotografii i spojrzał w przestrzeń nad stołem.

– Teraz mi się przypomniało, że według Tomka te filmy mogą być z aparatów Fairchild – mruknął w zamyśleniu. – Właśnie takich używali Amerykanie w czasie wojny, więc to by się zgadzało z tym amerykańskim lotnikiem. Tylko dlaczego polecili tam B-17?

– Ale co z tą Wunderwaffe?

Darek, wlepiający nieobecne spojrzenie w ścianę, odwrócił się i zogniskował wzrok na patrzącej z uwagą Paulinie.

– W maju czterdziestego drugiego roku w trakcie jakiejś misji rozpoznawczej portu w Kilonii jeden z samolotów z Medmenham sfotografował ogromne prace budowlane na wyspie Uznam. Wykarczowane hektary lasów i jakieś wielkie betonowe konstrukcje nad samym Bałtykiem. Początkowo to zlekceważono, tymczasem to tam od trzydziestego siódmego roku, w całkowitej tajemnicy, prowadzono eksperymenty z pociskami raketowymi.

– Peenemünde? – Paulina otworzyła szeroko oczy

– No właśnie. – Darek pokiwał głową. – A zaczęło się od tego, że pewien młody niemiecki arystokrata i naukowiec dostał od armii ogromne dotacje i zielone światło na swoje prace, które prowadził na odludnej i zapomnianej wyspie Uznam. Gdyby nie zwiad lotniczy, to wojna pewnie zakończyłaby się zupełnie inaczej, a ten niemiecki szlachciura nigdy by nie został dyrektorem Centrum Lotów Kosmicznych NASA i nigdy nie skonstruowałby rakiety Saturn V, dzięki której Amerykanie wylądowali na Księżycu.

– Mów jaśniej. Jestem po materiałoznawstwie, a nie po historii. – Paulina spojrzała na Darka z irytacją.

– Wernher Magnus Maximilian von Braun. Amerykanie po wojnie przejęli go razem z całym jego zespołem i częścią dokumentacji pocisków V-2. W Peenemünde był jednym z głównych filarów niemieckich prac nad bronią raketową.

– A co z tym zwiadem lotniczym? – Paulina przeleciała wzrokiem po

informacjach na temat niemieckiego naukowca, które na poczekaniu znalazła w Wikipedii. – Na czym polegał ich dalszy udział, skoro zrobili już zdjęcia i alianci dowiedzieli się o tej bazie?

– Niczego się nie dowiedzieli. – Darek pokręcił głową. – Ze zdjęć nic nie wynikało. Nie było tam pasów startowych dla myśliwców, nie było niczego, co zgodnie z ówczesną wiedzą mogłoby stanowić zagrożenie. Nie znano wówczas pocisków rakietowych o własnym napędzie, nie było zatem do czego porównywać. Wielkie leżące przy barakach podłużne kształty dowództwo armii zinterpretowało jako nowy rodzaj bomb lub torped. Dopiero w czerwcu czterdziestego trzeciego roku zrobiono zdjęcia raket ze statecznikami oraz wielkich zbiorników, w których magazynowano nowy rodzaj paliwa przeznaczonego do silników rakietowych, a przede wszystkim nowego samolotu, który później zidentyfikowano jako Me 163 Komet, pierwszy niemiecki samolot o napędzie rakietowym. W dodatku okazało się, że od trzydziestego dziewiątego roku wywiad brytyjski dysponuje przekazanym przez norweskich szpiegów dokumentem, w którym ostrzegano, że Niemcy w wielu miejscach nad Bałtykiem prowadzą eksperymenty z pociskami rakietowymi, samolotami o napędzie rakietowym i inną bronią odwetową. Dokument ten jednak, nazywany „Raportem z Oslo”, uznano za fałszywkę mającą zmylić aliantów i schowano w archiwach.

– I co dalej? – Paulina oparła łokcie na blacie i patrzyła z ciekawością na Darka.

– W końcu RAF się ocknął. Ośrodek został zbombardowany. Zniszczono kilka budynków mieszkalnych dla naukowców, trochę infrastruktury i przede wszystkim, niestety, wielkie, celowo przyciągające uwagę baraki, w których miały się znajdować magazyny broni, a w rzeczywistości mieszkali w nich robotnicy. Zginęło kilkuset cudzoziemskich jeńców i generalnie straty nie były jakoś wyjątkowo spektakularne, ale i tak miało to wielkie znaczenie. Spowodowało ogromne opóźnienia w projekcie V-2, a część prac Niemcy przenieśli gdzie indziej. Między innymi na południe Polski, do wsi Blizna pod Rzeszowem i w Bory Tucholskie.

– Słuchaj, Darek. – Paulina westchnęła i wyciągnęła się w niezbyt wygodnym, pokrytym imitacją czarnej skóry fotelu, krzyżując ręce na piersiach. – Mam propozycję. Napiszmy ten artykuł razem. Pogadam o tym

z Pawłem. Zaczyna mi być głupio, że wyciągam od ciebie informacje, a sama nie mam nawet podstawowej wiedzy o tych sprawach i cię wykorzystuję.

Darek uśmiechnął się szeroko.

– Spoko. Nie przejmuj się. To twój temat, w końcu Wyrzykowski napisał do ciebie.

– Nie jesteś zły?

– Nie wygłupiaj się. Najwyżej wspomnisz o mnie pod artykułem, że pomoc czy coś.

– Okej. To się jakoś dogadamy w takim razie. – Paulina uśmiechnęła się i sięgnęła ponownie po jedno ze zdjęć. – A wracając do tematu. Co z tym wszystkim mają wspólnego Dąbki?

– Tuż obok był przecież poligon artylerii najcięższego kalibru, a w samym DarłóWKu tajna stocznia eksperymentalnych statków o kadłubach zbudowanych z betonu. Całe pbrzeże Bałtyku to była jedna wielka strefa doświadczalna. Koło Międzyzdrojów prowadzono pierwsze prace eksperymentalne z tak zwanymi „stonogami”, czyli wielkimi działami wystrzeliwującymi pociski, którym za pomocą dodatkowych eksplozji nadawano prędkość, pozwalającą im pokonywać ogromne odległości. Na Rugii, według pewnych dokumentów, prowadzono prace nad bombą atomową i ponoć dokonano pierwszej eksplozji, na dowód czego jest nawet jakieś zdjęcie z pałdziernika czterdziestego czwartego roku wykonane ze Stralsundu.

– Bombą atomową? – Paulina spojrzała na Darka wstrząśnięta.

– To nie jest oczywiście potwierdzone. Zdjęcie powszechnie uważane jest za fałszerstwo. – Darek wzruszył ramionami.

– Dobra! Tak więc, reasumując... – Paulina postukała palcem w fotografię – ...zwiad lotniczy latał nad tymi terenami przez całą wojnę, było co śledzić aż nadto. Tyle że w dalszym ciągu pozostaje tajemnicą, co robił tutaj ciężki bombowiec B-17, który w dodatku wykonał serię zdjęć szpiegowskich?

– No właśnie! Sam bombowiec mógł od biedy zabłądzić we mgle, lecąc na przykład nad Szczecin lub Berlin. Z tym że naloty robiły całe eskadry bombowców. Trudno zrozumieć, dlaczego jeden nagle się odłączył i przepadł. A w dodatku wykonał tutaj serię zdjęć.

– A może to był przypadek? – Paulina zmarszczyła brwi. – Zgubili się, zobaczyli coś ciekawego, więc zrobili zdjęcia.

– Bombowce nie były standardowo wyposażone w aparaty.

– A numer boczny samolotu? Nie można jakoś dojść po tym, skąd on przyleciał?

– Można spróbować. – Darek pokiwał głową w zamyśleniu. – Prześlij mi link do tego komunikatu Urzędu Miasta w Darłowie. Spróbuję poszperać. Może na angielskich stronach coś znajdę.

Drzwi do salki konferencyjnej nagle się otworzyły i do środka wsadziła głowę Baśka.

– A co wy tu robicie? – popatrzyła podejrzliwie na Paulinę i Darka.

Paulina zebrała stertę zdjęć i wsadziła je do koperty.

– Nic.

– Jak nic? Przecież widzę, że coś knujecie. – Baśka spojrzała na Darka, a potem ponownie na Paulinę – Zresztą, co mnie to obchodzi. Paweł cię szuka! – rzuciła w kierunku Pauliny.

*

Johann oparł się o reling górnego pokładu i wyjął z kieszeni szortów telefon. Spojrzał z góry na Dermota, który razem z Jamiem wyciągał właśnie z ładowni na rufie boje i butle z gazem. Jacht lekko kołysał się na łagodnych falach, od których błyszczących grzbietów odbijały się złote słoneczne refleksy.

– Rusz się! – Dermot zadarł głowę do góry i pomachał ręką. – Szkoda takiej pięknej pogody. Widoczność będzie lepsza, jak się pośpieszymy.

– Tam jest ciemno jak w grobie, niezależnie od pogody – dobiegł gdzieś z boku kobiecy głos.

Johann usłyszał cichy pomruk otwieranej bocznej platformy. Wychylił się i popatrzył w dół, gdzie w półotwartych wrotach stała Alice. Spojrzała na niego i uśmiechnęła się szeroko, odgarniając jasne włosy z twarzy.

– Schodź na dół. Na co czekasz?

– Już schodzę. – Odwzajemnił uśmiech. – Muszę tylko zadzwonić.

Właściwie nie miał żadnego planu. Przyszło mu to do głowy wczoraj wieczorem, kiedy po średnio udanym nurkowaniu u wybrzeży Olandii jedli późną kolację. Pozostałości węglowca, o którym opowiadał Bill, nie udało się znaleźć, mimo że pływali z sonarem bite trzy godziny. „Ada Gorthon” natomiast okazała się malowniczym wrakiem, ale leżącym w tak płytkiej wodzie, że dała się obejrzeć w całości z poziomu górnego pokładu „Pandory”. Nurkowanie przy niej było tak proste, że mogło stanowić w zasadzie atrakcję jedynie dla kompletnych amatorów, co oczywiście od razu stało się punktem wyjścia do kolejnej porcji utyskiwań Jamiego, że po co w ogóle wkładać skafandry, skoro równie dobrze można nurkować w samych gaciach bez butli, i do kolejnego narzekania na wyprawę dla emerytów.

Skrzywił się. Może niepotrzebnie się wtrąca? A zresztą, co będzie, to będzie.

Wystukał na klawiaturze numer polskiego operatora i przyłożył telefon do ucha.

– Johann? – Głos w słuchawce był wyraźnie zaskoczony. – Co za niespodzianka.

– Witam, Paulina!

– Jesteś już w Szczecinie? Myślałam, że będziesz dopiero za tydzień.

– No właśnie będziemy chyba wcześniej, może nawet już w sobotę. Dlatego dzwonię, żeby się upewnić, czy się spotkamy.

– Jasne, że się spotkamy. – Głos w słuchawce zabrzmiał radośnie. – Nie wyjeżdżam nigdzie w najbliższym czasie, więc z dziką radością się z tobą zobaczę.

– Super! Wybieramy się też na wieś, wiesz do kogo? Nie chciałabyś pojechać z nami? – Johann postanowił spytać wprost. Pomyślał, że na karierę w dyplomacji nie ma raczej szans, co zresztą już dawno przepowiedziała mu matka.

– Johann... – Usłyszał, jak Paulina się zawahała. – Mówiliśmy o tym z dziesięć razy...

– Zachowujecie się oboje jak dzieci.

– Johann...

– Okej, okej. – Johann westchnął. – Nie będę nalegał, ale wiesz, co o tym myślę.

– Wiem, tylko po co do tego wracać.

Z dolnego pokładu dobiegł nagle ryk Dermota, wzywającego go do wszystkich diabłów na dół, bo już dostatecznie długo czekają.

– Jak chcesz – westchnął ponownie i przechylił się przez reling, machając do Gwen, która kiwała na niego niecierpliwie, dźwigając dwie żółte butle. – Muszę kończyć! Zadzwoń, jak wpłyniemy do Szczecina.

Przez chwilę patrzył na ekranik telefonu, po czym pokręcił głową.

Łatwo nie będzie.

*

– Teraz? – Paulina patrzyła na Pawła ze złością.

– A kiedy? Poza tym nie teraz, tylko jutro!

– Chodziło mi, że akurat na weekend. Być może ostatni ładny weekend lata, a ja mam jechać w teren?

– No toż właśnie masz jechać nad morze. – Paweł wzruszył ramionami. – Opłacam ci pobyt w hotelu do niedzieli, masz diety na wyżywienie. Czego chcesz więcej?

– Tego, że chciałam spędzić ten weekend z przyjaciółmi, niekoniecznie nad morzem.

– Śledztwo w sprawie tego morderstwa nie będzie czekało. Trzeba wykorzystać, że mamy jeszcze dojście do prokuratora. Jak coś się skomplikuje, to pewnie się na mnie wypnie.

– Dopiero co mówiłeś, że to wieś i że sami nie wiedzą, kiedy będzie jakiegokolwiek śledztwo.

– Nie łap mnie za słówka. Odkąd znaleźli te alianckie zwłoki, pewnie wszyscy zaczną patrzeć im na ręce. Poza tym teraz w Dąbkach jest syn Wyrzykowskiego. Może uda ci się z nim pogadać. A właśnie, à propos prokuratora Olszańskiego. Dzwonił jakąś godzinę temu, że można odebrać te bambetle Wyrzykowskiego, tak więc po drodze wpadniesz jeszcze do Koszalina.

Paulina ściągnęła brwi i spojrzała wilkiem na rozpartego w swoim skórzanym fotelu Pawła. Pomysł wyjazdu na weekend do Dąbek w sumie nawet jej się podobał, ale nie chciała tego pokazać Pawłowi, by sobie nie pomyślał, że tak łatwo się na wszystko zgadza. Najpierw odrywa ją od artykułu, który w efekcie kończy Baśka, a teraz wyrzuca na zesłanie do tego pieprzonego kurortu z betonowymi, pomalowanymi na pomarańczowo blokhauzami wypoczynkowymi. Ale z drugiej strony, może uda jej się po raz ostatni tego lata wykąpać w morzu albo przynajmniej położyć po plaży wieczorem. Mateusz i tak nie będzie miał czasu. Jutro znowu leci do Londynu. Ledwie przyjechał do kraju, gdzie objął przedstawicielstwo angielskiej firmy, w której do tej pory pracował, a już znowu go nosi. Odsunęła od siebie niepokojącą myśl, że to już przecież było, że znowu przerabiają to od nowa, i podniosła wzrok na Pawła. A co tam. Na weekend zapowiadają trzydziestostopniowe upały. Zrelaksuje się, pochodzi po piasku na bosaka, a przy okazji z kimś tam porozmawia i coś tam napisze. Musi tylko wysłać wiadomość Johannowi, że jednak do niedzieli nie będzie jej w mieście.

Po namyśle stwierdziła, że w zasadzie weekend zapowiada się nieźle.

*

Mimo pięknej słonecznej pogody woda wcale nie było taka przejrzysta, jak się spodziewali. Piękny lazur poprzątkany złotymi blaskami skończył się już na głębokości kilku metrów i powoli opadali w coraz mroczniejszą przestrzeń, poniżej której czaiła się już całkowita ciemność. To prawdopodobnie dlatego, pomyślał Johann, że są niedaleko od uczęszczanego toru wodnego pomiędzy Bornholmem a Szwecją i wody są nieustannie niepokojone przez śruby okrętowe promów i kutrów, które tędy przepływają.

Nurkował w Bałtyku tylko jeden jedyny raz. Wiele lat temu ojciec zabrał go ze sobą na Gotlandię, gdzie wraz z przyjaciółmi nurkowali w poszukiwaniu jakiegoś starego okrętu, który wedle kronik, jakie wpadły w ich ręce, zatonął w połowie XIX wieku, płynąc z południowej Francji do Rosji z ładunkiem kilku tysięcy butelek drogiego wina, zamówionego przez cara Mikołaja I. Nurkowanie w Bałtyku całkowicie różniło się od tego, które

znał z ciepłych mórz na południu, i tym, z czym mu się już na zawsze miało kojarzyć, była groza. W porównaniu do przejrzystych, wypełnionych bogatą florą i fauną wód przybrzeżnych południowego Atlantyku czy Morza Śródziemnego, Bałtyk był mroczny i martwy. Panowała tutaj ciemność, z której nagle wyłaniały się upiorne szkielety martwych, zatopionych lata temu statków, przypominających grobowce. Z drugiej strony, dzięki temu właśnie, że wody Bałtyku miały niewielkie zasolenie oraz małą zawartość tlenu, nie rozwijały się tutaj organizmy, gdzie indziej pożerające doszczętnie drewniane szczątki wraków. Morze było więc wielkim cmentarzyskiem okrętów, w którym zatopione setki lat temu, doskonale zachowane niczym w formalinie, trwały ponad czasem w nienaruszonym często stanie.

Podzielili się na dwie grupy. Razem z Dermotem i Jamiem zamierzali zejść do poziomu głównego pokładu u stóp nadbudówki, opłynąć ją dookoła, po drodze oglądając ogromną śrubę na rufie zatopionego statku, i wrócić od drugiej strony do liny opustowej. Bez zbytniego pośpiechu potrzebowali na to jakieś pół godziny i taki ustalili ostateczny czas denny. Gwen, Alice i Rupert natomiast wybrali opłynięcie nadbudówki, w której zachowane było ponoć mnóstwo wyposażenia, z książkami, dokumentami i zastawą stołową włącznie, co Rupert chciał koniecznie uwiecznić na zdjęciach. Generalnie, żeby obejrzeć dokładnie cały wrak, potrzeba było co najmniej kilkunastu zejść. Nawet sama nadbudówka ze swoimi wszystkimi pomieszczeniami, do których można było wpłynąć, wymagała kilku nurkowań. Postanowili więc potraktować to jako rekonesans i od jego powodzenia i tego, co zobaczą na dole, uzależnili ewentualne ponowne nurkowanie.

Minęła minuta, odkąd opadali w chłodną toń. Dermot, który nurkował praktycznie od dziecka, poruszał się w wodzie z gracją delfina, jego ciało nie wykonywało żadnych zbędnych ruchów. Tuż obok niego jego przeciwieństwo – Jamie, który radził sobie dość dobrze, ale przy Dermocie wyglądał jak spłoszona gruba foka, machająca krótkimi odnóżami we wszystkich możliwych kierunkach.

Johann uśmiechnął się do siebie. Spojrzał w dół i zobaczył majaczące w ciemności zarysy czegoś wielkiego. Poczł, jak po plecach przechodzą mu ciarki. Z kompletnego mroku, rozjaśnionego tylko trzema latarkami, wyłoniła się ogromna sylweta kanciastego, upstrzonego antenami dachu nadbudówki

masowca. Wyglądała jak dach wieżowca zatopionego w jakiejś apokaliptycznej katastrofie. Lina opustowa niknęła w głębinie tuż obok jego ścian. Do poziomu pokładu zostało im jeszcze dwadzieścia metrów, tyle, co siedem pięter budynku.

Gwen była pełna entuzjazmu jedynie na dolnym pokładzie „Pandory”. Słońce, złote grzywy niewielkich fal, prawie trzydzieści stopni w cieniu i lśniące bielą poszycie jachtu. Czują się prawie jak na Morzu Śródziemnym, ale gdy zeszli po linie opustowej na dwadzieścia metrów, jej dobre samopoczucie zniknęło. Kompletna ciemność, która ich otoczyła, była wroga, no i cały czas miała w głowie niczym mantrę ostrzeżenia Billa, że pogoda na Bałtyku może się zmienić w ciągu godziny. Nurkować zaczęła kilka lat temu, namówiona przez Alice. Ich rodziny znały się od dawna. Także dzięki niej poznała Dermota, a potem Johanna. Nurkowanie w szmaragdowych wodach Morza Czerwonego kojarzyło się jej z cudownymi, płytko leżącymi wrakami, takimi jak parowiec „Carnatic”, który zatonął w połowie XIX wieku, a teraz opleciony warstwą gąbek i koralu, rozświetlony dochodzącym na głębokość czterdziestu metrów światłem, wyglądał jak wyjęty z opowieści o wyspach skarbów i piratach.

Albo zatopiony bombowiec w pobliżu wyspy Vis na Adriatyku, który mimo że spoczywa prawie siedemdziesiąt metrów pod powierzchnią, z około czterdziestu metrów pod wodą jest już całkowicie widoczny. Obejrzenie go było jednym z najwspanialszych przeżyć w całej jej dotychczasowej przygodzie z nurkowaniem. No i to mieniące się wszystkimi kolorami życie, które migotało, falowało i dawało poczucie chwilowej obecności w świecie baśni. Natomiast Bałtyk to zupełnie coś innego. Jedyne skojarzenia, które jej się ciągle narzucały, wiązały się głównie z horrorami. Kiedy oglądali wczoraj zdjęcia i filmy na YouTube, zamiast zaciekawienia czuła strach. Upiorne, zniszczone pozostałości okrętów z wnętrznościami pełnymi zakonserwowanych resztek wyposażenia.

Gdy więc na głębokości trzydziestu kilku metrów z kompletnej ciemności wyłoniły się nagle anteny na dachu „Chińczyka”, pomyślała, że najchętniej wróciłyby szybko na pokład „Pandory”.

Opadali w ciemność, mijając kolejny rząd okien ogromnej nadbudówki.

Widoczność ograniczona do kilku metrów sprawiała wrażenie, że stalowa ściana, pokryta już prawie dokumentnie porostami, ciągnie się w nieskończoność praktycznie we wszystkich kierunkach. Zarówno nad nimi, pod nimi, jak i z obu stron ciemnozielone w świetle latarek połączone nadbudówki niknęły w mroku. Johannowi zdawało się, jakby od momentu, gdy minęli pokład antenowy i zaczęli opadać wzdłuż ginącej w ciemności liny opustowej, upłynęło jakieś dwadzieścia minut. A w istocie, przy prędkości schodzenia kilkunastu metrów na minutę, było to zaledwie kilka dłuższych chwil.

Minęli kolejny rząd okien. Dermot łagodnie obrócił się w kierunku Johanna i Jamiego, dając znak, że powinni odejść od liny opustowej i zacząć powoli płynąć w prawo. Jego latarka wydobyła z mroku kolejne rzędy okien, a pod nimi rysujący się jakiś metalowy balkon. Poranek spędzili na studiowaniu znalezionych w necie zdjęć i rysunków „Chińczyka”. Pod ostatnim rzędem okien był jeszcze kilkumetrowy fragment ściany, za którym znajdował się najniższy pokład sześciopoziomowej nadbudówki. Po obu jej stronach od górnego pokładu schodziły w dół schody zewnętrzne, którymi zachwycały się prawie wszystkie opisujące swoje wrażenia ekipy nurków. Oplecione porostami, niknęły w mroku, zdając się prowadzić na dno morza. Johann odczekał moment, aż Jamie odpłynie na odległość kilku metrów, i popłynął za nim. Żeby dotrzeć do tych schodów, mieli do pokonania jeszcze około trzydziestu metrów. Światło latarki Jamiego migotało przed nim w zielonej plamie otoczonej zewsząd czernią. Mijali właśnie najniższy poziom okien. Najniższy pokład, z którego prowadziły zejścia do ładowni i gdzie mieściły się pomieszczenia, o ile pamiętał, szpitala pokładowego. Przemknęło mu przez głowę, że to lekkomyślność schodzić do wraku, którego żadne z nich nie zna. Dlatego przewidzieli wprawdzie dość łatwe misje, bez głębokiej penetracji wewnątrz, ale zastanawiał się, czy jednak i tak nie było to trochę za wiele.

Płynął przez chwilę powoli, przyglądając się pokrytym porostami linom, balustradom i fragmentom blach, gdy jego uwagę zwróciło jedno z okien. Było lekko uchylone. Pomyślał, że podpłynie i spróbuje zajrzeć do środka. Wykonał kilka ruchów płetwami i po chwili znalazł się tuż obok brudnej zielonkawej płaszczyzny, spod której pobłyskiwały gdzieś tam fragmenty blachy. Okienko było pokryte zielonymi naroślami, które wsunęły już swoje

macki do środka wraku. Wyciągnął rękę i przejechał rękawicą po szybie. Na powierzchni bulaja została brudna, ciemna oleista smuga. Podniósł rękawicę do oczu i stwierdził, że takie same oleiste ślady zostały i na niej. Zaklął w duchu. No oczywiście, przecież na kilku filmach, które obejrzeli, ostrzegano, żeby niczego nie dotykać, bo może być wysmarowane olejem. Szlag by to! Wierzgnął mocniej płetwami i oddalił się od ściany. Kilka metrów przed nim niknęło właśnie światło latarki Jamiego. Jeszcze trochę i miną narożnik nadbudówki, i znajdą się nad bocznym pokładem. Potem mieli dopłynąć do relingu, a następnie posuwając się wzdłuż niego, dotrzeć na rufę i wtedy ostrożnie zejść jeszcze kilkanaście metrów w dół, żeby zobaczyć ogromną śrubę napędową.

Mostek pełen był brudnych, pokrytych osadami, ale dobrze zachowanych urządzeń pokładowych. Echosondy, komputery, tablice z martwymi lampkami i walające się po podłodze resztki sprzętu. Rupert pływał wokół i z zachwytem robił zdjęcia każdej zardzewiałej śrubie. Gwen zatrzymała się na środku pomieszczenia i jak zahipnotyzowana wbiła wzrok w panoramiczne, odchyłone na zewnątrz okna, przez które niegdyś z wysokości prawie trzydziestu metrów nad poziomem wody widać było morze po horyzont. Teraz czaiła się za nimi kompletna ciemność. Alice powoli przepłynęła obok i skierowała się do sąsiedniego pomieszczenia. Gwen wzdrygnęła się i popłynęła za nią. Wołała trzymać się blisko. Nie знаła lepszego nurka niż Alice. Chyba nikt nie znał.

W jednym z pomieszczeń na zniszczonym biurku stał trup komputera, a na którejś z półek zobaczyła ustawione w rzędzie książki. Wyciągnęła rękę i dotknęła jednego z grzbietów z napisem złożonym z chińskich „krzaczków”. Pod jej dotknięciem fragment książki rozsypał się w proch, a właściwie rozpląnął w chmurze brudnych papierowych strzępów. Przypomniała sobie w tym momencie wszystkie filmy o martwych hotelach i upiornych pozostałościach miasta przy elektrowni w Czarnobylu. Ta wycieczka miała być, zdaje się, rozrywką, a coraz bardziej przypominała horror.

Na głębokości czterdziestu metrów wpłynęli korytarzem do pomieszczeń mieszkalnych niższego pokładu. W kajucie kapitana było zachowane duże

łóżko z półkolistym zagłówkiem, obok którego na nocnej szafce stały resztki radia. W sąsiednim pomieszczeniu na jednym ze stołów leżała komputerowa mysz, która wyglądała tak, jakby jeszcze przed chwilą ktoś jej używał, a tuż obok na szafce stała wieża z dwoma głośnikami. Rupert z wytrzeszczonymi w zachwycie oczami podpłynął ze swoim aparatem i zaczął robić zdjęcia, obracając się co chwilę wokół własnej osi.

Gwen podpłynęła do otwartych drzwi i wyjrzała ostrożnie na ciemny korytarz, kierując do środka snop światła latarki. Ciągnął się w głąb wraku, a po jego bokach ziały ciemnością otwory prowadzące do różnych pomieszczeń. Odwróciła się, by spojrzeć w drugą stronę, i na sekundę zamarła z przerażenia, czując, że za chwilę serce wyskoczy jej z piersi przez skafander. Z głębi korytarza patrzyły na nią puste, martwe oczodoły.

Jamie płynął powoli, wyławiając latarką z mroku pogruchotane fragmenty balustrad, poskręcane i obrosnięte porostami żelastwo, będące kiedyś szkieletem dźwigów pokładowych, oraz ślepe bulaje, za którymi przez chwilę można było zobaczyć, jak światło przemyka po zniszczonych fragmentach wyposażenia. Spojrzał przed siebie. Dermot był kilka metrów przed nim, widział przebiegające po zzieleniałych ścianach nadbudówki promienie jego latarki. Na plecach Dermota błyszczały też dwie butle, odbijając światło trzymanej przez Jamiego latarki. Odwrócił się na moment, by skontrolować, jak daleko za nim jest Johann. Czuł się bezpieczniej, wiedząc, że obaj płyną blisko niego. Zdawał sobie doskonale sprawę, że jest gorszym nurkiem niż oni, dlatego też tak dobrali się w zespołach, by w każdym był ktoś, kto pływa i nurkuje doskonale, i ktoś znacznie słabszy, jak on lub Gwen. Zobaczył, że Johann podpłynął na chwilę do ściany, żeby zajrzeć do wnętrza, a teraz poprawia coś przy swojej rękawicy. Odwrócił się i skierował lekko w dół. W oddali migotało światło latarki Dermota. Po kilku metrach mieli zacząć schodzić w dół, żeby popłynąć nad samym relingiem głównego pokładu.

Przez moment płynął powoli w głąb. Minał resztki jakiegoś pomostu lub trapu, z których zwisały fragmenty podziurawionych sieci, i zaczął płynąć równo. Za chwilę powinien dopłynąć do narożnika nadbudówki, której mroczny masyw majaczył z jego lewej strony, a potem skrócić w lewo i płynąć wzdłuż relingu. To już chyba powinno być jakoś zaraz. Trochę za

bardzo się oddalił od ścian, które były teraz na granicy widoczności. Wyrównał lekko w lewo i zobaczył pordzewiałą, obrośniętą brązowymi naroślami blachę. To chyba najniższy poziom nadbudówki. Pomyślał, że powinien być tuż nad głównym pokładem. Poświecił w dół.

Pod sobą miał nieprzeniknioną ciemność. Coś było nie tak. No i światła latarki Dermota w ogóle nie było widać. Jest już za zakrętem?

Przez chwilę płynął przed siebie, czując rosnący niepokój, gdy niespodziewanie, dokładnie na wprost niego, wyrosła nagle zardzewiała, brudna ściana. Gładka, pozbawiona okien, pokryta osadami, opadała pionowo w dół, prosto w ciemność.

Reling bocznego pokładu biegł łagodnie po łuku, by na rufie zakręcić pod ostrym kątem i prosto jak strzelił zniknąć w mroku. Odcinek rufowy miał dwadzieścia kilka metrów długości, a w jego połowie, dokładnie na osi podłużnej statku, znajdował się kilkumetrowej wysokości maszt rufowy. Przy nim właśnie mieli zejść pionowo w dół, by na głębokości sześćdziesięciu pięciu metrów od powierzchni obejrzeć gigantyczną śrubę napędową.

Johann, rozglądając się po leżących na pokładzie resztkach wyposażenia, płynął powoli nad relingiem. Przed nim migotało światło latarki Jamiego, który dopływał właśnie do masztu na rufie. Od tego poziomu do dna mieli około osiemnastu metrów. Znowu kilka pięter w dół. Podpłynął powoli do Jamiego i wykonując powolne ruchy ramionami, zatrzymał się jakieś dwa metry od niego. Dermot musiał być już za balustradą. Jamie odwrócił się i wyciągnął przed siebie rękę z kciukiem skierowanym do góry.

Zdezorientowany Johann zobaczył przed sobą uśmiechnięte oczy Dermota!

Przez moment nie wiedział, o co chodzi, i dopiero po chwili poczuł na plecach ciarki.

Jamie zniknął!

*

Paulina zasunęła szklane drzwi w przepierzeniu, oddzielającym aneks Pawła od reszty pomieszczenia, i wyszła na korytarz. Musiała się napić kawy

i pomyśleć o tym wszystkim, co opowiedział jej Darek. Mnóstwo informacji, które układały się w puzzle z brakującymi elementami. Musi to sobie poukładać w głowie przed wyjazdem do Dąbek, żeby wiedzieć, o co ewentualnie pytać, gdyby okazało się na przykład, że znajdzie tam kogoś, kto na ten temat będzie coś wiedział. Może ten apel, który urząd w Darłowie skierował do mieszkańców, przyniósł jakieś rezultaty? Może znalazł się ktoś, kto wiedział coś na temat tego samolotu. Jacyś pionierzy powojennego osadnictwa? Sięgnęła po pudełko z kawą i wyspała do kubka dwie łyżeczki, kiedy zadzwonił telefon.

– Dzień dobry, pani Paulino. Prokurator Teodor Olszański.

– Witam, panie prokuratorze. Paweł mnie już uprzedził, że nasze materiały są do zwrotu.

– Zgadza się. Na niewiele się zdały. Nie mają zupełnie związku ze sprawą zabójstwa Karola Wyrzykowskiego, więc zapraszam po ich odbiór. Niemniej będzie się nimi pewno interesował ktoś inny w związku ze sprawą zwłok domniemanego lotnika. Podobno jutro rano wybiera się pani nad morze?

– Tak, około dziesiątej powinnam być w Koszalinie.

– No, to zapraszam. Władysława Andersa trzydzieści cztery A. Głównym wejściem, prawe skrzydło, pierwsze piętro, pokój sto czterdzieści jeden. Przy okazji będę miał do pani parę pytań.

Paulina patrzyła przez chwilę w ekran smartfonu. W prokuraturze żadnej to jeszcze nie była. Ciekawe, czy uda się jej czegoś dowiedzieć na temat tego śledztwa.

*

Płynęli z powrotem. Dermot, gdy zorientował się, co się stało, machnął ręką w kierunku, z którego dopiero co przyплыnęli, i od razu puścił się gładko wzdłuż rufowego relingu. Nie było rady. Należało zapomnieć o największej śrubie okrętowej na dnie Bałtyku. Johann miał wyrzuty sumienia. Jak mógł nie spostrzec tego, że Jamie się gdzieś zawieruszył? I kiedy to się mogło stać? Ustalili przecież, że nie ma żadnego wpływu do wnętrza, opływają tylko całą rufę i wracają. Siedemdziesiąt metrów głębokości, pół godziny czasu dennego i półtorej godziny dekompresji. Po drodze były jakieś otwarte

wejścia, między innymi pod bocznymi schodami, prowadzące do szpitala pokładowego. Może Jamie nie wytrzymał i tam wpłynął? Szlag by to trafił! Jeśli nawet teraz wylazł i zaraz na niego wpadną, to nie mieli już czasu na zaplanowaną misję. Spojrzał na komputer na prawej ręce. Dziewiętnaście minut. Akurat starczy na porozglądanie się dookoła i dopłynięcie do liny opustowej.

A może to się stało wtedy, gdy niepotrzebnie walczył z tym zaświnionym oknem? Wtedy na chwilę stracił Jamiego z oczu. Czy to możliwe, że on się obejrzał, stracił orientację i po dopłynięciu do relingu przy głównym pokładzie, zamiast płynąć w lewo na rufę, popłynął w prawo? Reling był w odległości jakichś sześciu metrów od ściany nadbudówki. Na granicy widoczności. Jeśli tak się stało, to Jamie popłynął wzdłuż głównego kadłuba. Który miał ćwierć kilometra długości!

Nie, to absurd! Jamie nie jest kretynem. Zresztą śledzi komputer. Jeśli zobaczy, że zabłądził, wypuści bojkę i najwyżej spuszcza mu na dół linę z trzema butlami, tak jak było ustalone. Gaz denny, nitrox i tlen. Generalnie nic się nie stało, tylko Bill się wkurwi.

Dotarli do bocznej ściany nadbudówki, przy której wznosiły się schody. Pod nimi, z poziomu głównego pokładu, były uchylone stalowe wierzaje.

Dermot podpłynął do drzwi i zajrzał do środka. Johann wyhamował łagodnie za jego plecami. Ze środka nie dobiegał żaden odgłos ani nie widać było świateł. Niemożliwe, by Jamie był takim durniem, żeby ładować się głębiej do tych pomieszczeń! Dermot odwrócił się do Johanna i wskazał głową, że wpłynie i się rozejrzy, pokazał ręką, że on ma płynąć dalej. Johann kiwnął dłonią i skierował się wzdłuż ściany, rozglądając się dookoła. Po chwili minął narożnik nadbudówki. Zadarł głowę. Ściana wznosiła się ku górze, niknąc w mroku. Jamiego ani śladu. Powoli zaczęła go ogarniać panika. Popatrzył na komputer. Jeszcze osiem minut czasu dennego. Jeśli zostaną tu dłużej, czas potrzebny na dekompresję także się zwiększy i sami będą potrzebować nowych butli z gazem. Spojrzał na licznik. Tylko na tym odcinku od schodów, coraz bardziej się denerwując i oddychając coraz mniej regularnie, zużył aż pięćdziesiąt atmosfer!

Płynął przez chwilę wzdłuż frontowej ściany nadbudówki, a następnie zatrzymał się w miejscu i obrócił dookoła własnej osi. Od tej strony nie było

żadnych wejść do wnętrza statku. Czując, że zaczyna panikować, odetchnął głęboko, odpłynął od ściany na parę metrów i nagle znieruchomiał. Powoli spojrzał w dół.

Ładownia! Chryste...

Rozdział 8

Starszy aspirant Piotr Matuszek przyglądał się dyskretnie krzątającej się po dużej jasnej kuchni kobiecie. Spodziewał się raczej jakiejś zaaferowanej, ciekawskiej matrony, która pomiędzy chaotycznymi zeznaniami będzie za wszelką cenę usiłowała wyciągnąć z niego szczegóły na temat morderstwa. Tymczasem Zofia Pawelczyk, sąsiadka Wyrzykowskiego, ubrana w jasną koszulę z podwiniętymi rękawami i szarą spódnicę, z krótko obciętymi włosami, przypominała raczej surową nauczycielkę ze szkoły podstawowej, której wejście do klasy powoduje, że zapada pełna respektu cisza. Mówiła niewiele. Na zadawane pytania odpowiadała krótko chłodnym i opanowanym głosem.

Zalała gorącą wodą wsypaną do filiżanki kawę, na spodeczku obok położyła łyżeczkę i postawiła całość na stole przed Matuszkiem.

– Obawiam się, że nie powiem panu więcej niż pana koledze. Przygotowywałam właśnie śniadanie dla letników, które podajemy piętnaście po dziewiątej. Stałam przy stole, przy którym teraz siedzimy, i wtedy zobaczyłam, że przez furtkę u Wyrzykowskich wychodzi ten starszy mężczyzna.

Matuszek podążył za wzrokiem kobiety. Z kuchennych okien widać było wyraźnie ogrodzenie sąsiedniej posesji i drewnianą, bejcowaną na ciemny brąz furtkę. Okna pozbawione były firanek, a na parapecie z jasnego drewna nie było żadnych bibelotów, świeczek ani innych dekoracji. Cała kuchnia miała minimalistyczny skandynawski, surowy w odbiorze wystrój, który dobrze pasował do jej właścicielki.

– Skąd pewność, że to była dokładnie dziewiąta?

– O dziewiątej kończy sprzątać obejście nasz pracownik. To jego obowiązek. Oczywiście plus minus pięć minut.

Matuszek pomyślał, że jednak już usłyszał coś więcej. Olszański miał rację. O żadnym pracowniku Marchlewski nie wspomniał.

– Czym się zajmuje ten człowiek?

– Generalnie robi porządki na zewnątrz. – Kobieta wzruszyła ramionami.
– Sprząta wokół grilla, przygotowuje drewno na ognisko, opróżnia śmietniczki przy domkach. Mamy zasadę, że gdy goście wstają o dziewiątej na śniadanie, wszędzie musi być czysto.

– Jak długo ten człowiek u państwa pracuje?

– Od maja. Jest z Bukowa, przyjeżdża rowerem o siódmej i zawsze kończy tuż przed dziewiątą. Nie zatrudniamy go, w sensie, wie pan... – Kobieta zmarszczyła brwi i spojrzała niepewnie na rozmówcę.

– To akurat nie moja sprawa. – Matuszek uśmiechnął się półgębkiem. – A on nie mógł widzieć tego mężczyzny dokładniej?

– Nawet go o to pytałam na drugi dzień. – Pawelczyk, uspokojona brakiem zainteresowania Matuszka w kwestii zatrudniania na czarno pracowników, odetchnęła z ulgą. – Powiedział mi, że nikogo nie zauważył, ponieważ musiał się użerać z psem. Mamy tutaj od tygodnia gości z młodym labradorem, który uwielbia wciągać wszystkich do swoich zabaw.

– Poznałaby pani tego mężczyznę?

– Tak. Wysoki, szczupły, na pewno po siedemdziesiątce, chociaż mógł być starszy.

– A samochód?

– Zapamiętałam go przede wszystkim dlatego, że stanął przy naszym ogrodzeniu, tarasując częściowo bramę. Zwróciłam uwagę, bo niekiedy stają tutaj po uliczkach turyści. Teraz jest dość luźno, ale w środku sezonu nie ma czasem gdzie igły wcisnąć.

– Podobno nie była pani pewna, czy już nie widziała tego mężczyzny?

– Tak, mam wrażenie, że mógł się już tutaj kręcić. – Kobieta zmarszczyła brwi. – Ale głowy za to bym nie dała.

Matuszek dokończył kawę i dźwignął się od stołu.

– Czy ma pani jakiś kontakt do tego waszego pracownika? Jak on się nazywa?

– Oczywiście. – Kobieta wstała i podeszła do szafki, na której leżał blok kolorowych karteczek. – Zapiszę panu komórkę. Stasiak się nazywa. Jarosław.

– Dziękuję. – Matuszek schował zieloną karteczkę do kieszeni dzinsów. – Czy wszyscy goście są u siebie?

– Tak. Tak jak pan polecił. Uprzedziłam, żeby zostali po obiedzie na miejscu, bo będzie pan miał do nich kilka pytań.

Matuszek skinął głową kobiecie i wyszedł na przylegający do kuchni wielki zadaszony taras, na którym stały okrągłe stoliki i krzeselka z wikliny. Posesja nie było specjalnie duża, ale na jej tyłach swobodnie mieściło się sześć drewnianych, skandynawskich domków letniskowych. Stały po trzy po obu stronach działki, tuż przy płocie oddzielającym sąsiadów z jednej i drugiej strony. Pomiedzy nimi było miejsce na ognisko i grilla, a na środku rosły dwie sosny z podciętymi od dołu konarami. Od strony domu letnisko było oddzielone wysokimi na kilka metrów żywotnikami, tworzącymi krótki, równo przycięty żywopłot. Według informacji, którą Matuszek uzyskał od gospodyni, tylko dwa domki były obecnie zajęte. Oba po prawej stronie działki. Ze stojącego bliżej ktoś dyskretnie wyglądał przez uchylone drzwi.

*

Igor od dziesięciu minut wpatrywał się kompletnie bezmyślnie w monitor, na którym kontrastował z szarym tłem kolorowy rysunek elewacji budynku zarządu portu. Projekt remontu, który trzeba skończyć do końca października. Pozornie było jeszcze sporo czasu, ale ten czas z pewnością zleci jak z bicza strzelił i okaże się, że znowu będzie opóźnienie. Westchnął i ściągnął brwi. Czuł się zmęczony i nie mógł się skupić. Położył się wczoraj spać o pierwszej i chyba przepadła mu jakaś najbardziej wartościowa część snu, ponieważ do rana budził się co jakiś czas, a wreszcie o dziewiątej obudziła go matka. To pewnie tamta męcząca podróż pociągiem. Nie lubił tych nowych wagonów bezprzedziałowych, w których nie można było wyjść na korytarz i postać z nosem przyklejonym do szyby, tylko należało siedzieć bez ruchu w fotelu i udawać, że się śpi, by nie dać się wciągnąć sąsiadowi w rozmowę.

Westchnął ponownie, najchętniej by się wyciągnął na łóżku i zdrzemnął. Sięgał właśnie po kubek z chłodną już herbatą, kiedy zobaczył, jak wyciszony telefon zaczyna terkotać na drewnianym blacie biurka. Pochylił się i spojrzał na wyświetlacz. Przez chwilę rozważał odrzucenie połączenia,

ale wiedział, czym by się to skończyło.

– Mamo, jeśli znowu chcesz rozmawiać o kolejności do angielskiego tronu, to uprzedzam, że się rozłączę i zmienię numer.

– Znowu to głupie gadanie, a człowiek jak do człowieka dzwoni. Mamy tutaj problem z tym zezwoleniem na wycinkę krzaków i samosiewów. To znaczy ojciec ma, bo to on złożył ten wniosek, który nam przysłałeś...

Igor jęknął.

– Przecież prosiłem, żebyście go jeszcze nie składali. Brakuje tam jednego załącznika.

– Aj tam, jak będzie załącznik, to się doniesie, to nie problem.

– A jaki jest problem?

– Dzwoniła do mnie Hanka. Wiesz, ta, co pracuje w wydziale inwestycji, taka ruda.

– No i...

– I powiedziała, że tam jakiś facet będzie robił problemy. Nie wiem, kto to jest. Pewnie jakiś nowy szef wydziału albo cholera wie kto. Nazywa się Jerzy Ostoja.

– Jakie problemy?

– No, a skąd ja mam wiedzieć! Hanka powiedziała, że musimy to jakoś załatwić, bo ta wycinka to z nim nie przejdzie.

– Jak nie przejdzie? Przecież to jest teren parku! Oni nic do tego nie mają, to formalność. Wojewódzki Konserwator Zabytków to zatwierdził!

– Ja w sumie nie wiem, czego on chce. Już powiedziałam ojcu, że nie ma rady, trzeba kupić dobrego koniak, wziąć kopertę...

– Chryste! Poczekajcie z tymi kopertami, bo was zamkną. Zadzwoń tam i się zapytam.

Policzył do dziesięciu, a następnie odszukał w wyszukiwarce telefon do Wydziału Ochrony Środowiska. Zaczął wystukiwać numer, gdy zobaczył, że wśród nieodebranych ma jedno połączenie. Po chwili namysłu uznał, że to jednak jest ważniejsze, i kliknął „oddzwoń”.

Kobieta z wielką szopą ufarbowanych na kasztanowo włosów trzymała za obrozę popiskującego cicho szczeniaka, który patrzył na Matuszka z sympatią i machał z entuzjazmem ogonem.

– Wstaliśmy dopiero przed dziewiątą. Pamiętam, bo spojrzałam na zegarek i obudziłam męża.

– Robiliśmy tutaj w niedzielę grilla i popiliśmy trochę, wie pan – wtrącił łysejący mężczyzna koło pięćdziesiątki, siedzący na plastikowym krześle obok żony.

– Czy rozmawialiście państwo z tym panem, który tutaj sprzątał?

Kobieta pokręciła głową, wydymając lekko usta.

– Nie mieliśmy ochoty z nikim rozmawiać tego ranka. Zresztą on chyba też nie. Uwijał się tylko z tymi grabiami w naciągniętym na głowę kapturze. Pamiętam, jak pomyślałam, że pewnie też ma biedak kaca. Nawet psa nie wypuszczałam, żeby mu nie zawracał głowy.

Matuszek, patrzący do tej pory w swój notatnik, podniósł wzrok.

– A o której państwo wypuścili psa? Ponoć przeszkadzał.

– Przeszkadzał? – Kobieta spojrzała zdziwiona na męża. – Ja go specjalnie trzymałam w domku, żeby nie latał za tym człowiekiem. Pies jakiś nerwowy był zresztą. W nocy szczekał, obudził mnie, ale pomyślałam, że pewnie jacyś młodzi letnicy wracają z imprezy. A rano warczał przy drzwiach. Poczekalam, aż ten pracownik sobie pójdzie, i dopiero wtedy go wypuściłam na zewnątrz, a właściwie mąż wypuścił.

Matuszek spojrzał na mężczyznę, który pokiwał energicznie głową.

– Czy między ósmą trzydzieści a dziewiątą nie zauważyli państwo niczego dziwnego? Nie wiem, kogoś za płotem? Może jakieś hałasy?

Mężczyzna i kobieta zgodnie pokręcili przecząco głowami.

*

Johann zdjął kryzę skafandra i rozpiął zamek, wyswobadzając obie ręce z manszet i rękawów neoprenowej powłoki. Zdjął skafander z ramion i zsunął go do pasa. Pod spodem miał ocieplacz i bieliznę. Mimo że na powierzchni, na słońcu, panowała temperatura dwudziestu siedmiu stopni,

trząsł się jeszcze ciągle z zimna. Temperatura wody w Bałtyku, zwłaszcza na tak dużej głębokości, rzadko przekracza kilka stopni. Usiadł ostrożnie na ławeczce, rzucił obok siebie rękawice i oparł plecy o gładką powierzchnię ściany. W ładowni panował półmrok, podkreślony przez jasną plamę światła w otwartych na całą szerokość wrotach, prowadzących na zalany słońcem pokład rufowy. Stukając buciorami, do środka wszedł Dermot i szarpiąc ze złością rękawy swojego skafandra, wyzwolił się z jego górnej części. Stał na środku ładowni i spojrzał wilkiem na Johanna.

– Jesteśmy prawdziwymi kretynami! – warknął. – Wszyscy! Jak mogłeś nie zauważyć, że Jamie, który płynął ze swoim wielkim tyłkiem tuż przed twoim nosem, zniknął? Jak to w ogóle technicznie było możliwe?

– Przez moment zająłem się rękawicą – westchnął Johann i oparł głowę o ścianę. – Musiał wtedy ostro popłynąć w dół.

– I naprawdę wzięłeś mnie potem za niego? Jestem od niego wyższy o dwadzieścia centymetrów. I nie mam brzucha!

– Widziałem cię od tyłu, w skrócie – jęknął Johann. – Poza tym rozglądałem się. W końcu popłynęliśmy tam zobaczyć ten cholerny wrak, a nie gnać jak torpedy dookoła nadbudówki.

– Wszystko słyszałem, ty fiucie! Wyobraź sobie, że niektórzy mają życie osobiste i nie mogą całego wolnego czasu spędzać na siłowni i w salonach tajskiego masażu – rozległ się gniewny głos i we wrotach, w wielkiej plamie światła, niczym na środku sceny pojawił się Jamie.

– Ty cały swój wolny czas spędzasz koło lodówki. – Dermot rzucił mu poirytowane spojrzenie. – Nigdy nie byłem na żadnym tajskim masażu, durniu!

– Jasne! – Jamie, stękając przy zdejmowaniu kryzy i walcząc z rękawami skafandra, podszedł do Johanna i opadł ciężko na ławkę obok niego. – Jezu! – westchnął ciężko. – Myślałem, że się zesram w ten skafander, jak nagle wyrosła przede mną ta zardzewiała ściana. A w dodatku jak popłynąłem do góry, to trafiłem na tony pogiętego żelastwa.

– Wpłynąłeś do ładowni. Pod jakiś zwalony dźwig pokładowy chyba. – Johann, widząc czerwone policzki Jamiego, mimowolnie się uśmiechnął.

– Wiesz, co by było, gdyby Johann nie wpłynął tam i nie wskazał ci drogi?

– stęknął Dermot, wyplątując nogi z neoprenowych nogawek. – Nawet bojkibyś nie mógł wypuścić, boby się zaplątała w ten złom.

– Bill jest wściekły. – Z głębi ładowni doszedł do nich głos Alice.

Niezauważona weszła do środka od strony schodów na górny pokład.

– Przejdzie mu. – Johann wziął od niej kubek z gorącą herbatą i podał Jamiemu. – Jak się czuje Gwen?

– Gwen? – Alice wzruszyła ramionami. – Powinieneś bardziej się martwić o Ruperta. O mało go nie zabiła, jak rzuciła się do ucieczki od tych drzwi na korytarz.

– A co tam się w ogóle, do diabła, stało? – Jamie wypił kilka łyków gorącej herbaty.

– W korytarzu była martwa foka!

– Foka? – Dermot znieruchomiał na moment, trzymając w jednej ręce nogawkę skafandra. – Chryste! A ja myślałem, że to jakiś trup.

– No, trup. – Alice uśmiechnęła się do niego. – Musiała tam wpłynąć biedaczka przez ciekawość i nie mogła się potem wydostać. Biedny Rupert ma wielkiego siniaka na czole. Walnęła go butlą. Gwen znaczy – dodała wyjaśniająco, widząc zdezorientowane spojrzenie Johanna. – Bill kazał wam się pospieszyć. Chce już stąd odpływać.

– Nigdzie nie będziemy się spieszyć! – Dermot zdecydowanie pokręcił głową. – Zostaniemy tutaj do popołudnia.

– Po co? – Johann oparzył sobie usta herbatą z rumem i podskoczył, klnąc, gdy kilka gorących kropel wylało mu się na rękę.

– Zamierzam jednak zobaczyć tę największą na Bałtyku śrubę okrętową.

– Chyba nie chcesz znowu nurkować? – Alice zmarszczyła brwi. – Miałeś ponad dwie godziny dekompresji.

– Nic mi nie będzie, jak zejdę drugi raz po kilku godzinach.

– Bill się wścieknie... – Alice uśmiechnęła się pod nosem.

– A tam! – Dermot strzepnął skafander i przewiesił go sobie przez ramię. – Skoro tu już jesteśmy, to na pewno tego nie odpuszczę.

*

Matuszek obszedł powoli całą posesję. Niewiele się dowiedział. Oprócz małżeństwa z młodym labradorem mieszkała tutaj jeszcze tylko jedna para. Dwoje emerytów, którzy jednak, jak się okazało, w poniedziałek rano byli już poza ośrodkiem. Przyzwyczajeni do bardzo wczesnego wstawania, nie mogli się pozbyć tego nawyku nawet podczas urlopu.

Jedyna rzecz, która budziła wątpliwości, to ten pies. Czemu Stasiak skłamał, że się z nim użerał? Może po prostu powiedział cokolwiek, żeby szefowa się od niego odczepiła? Z tego, co usłyszał od właścicielki labradora, wynikało, że to musi być jakiś mruk.

Przystanął przy ostatnim domku po lewej stronie działki. Wszystkie trzy praktycznie przylegały do granicy. Stały pod lekkim kątem, zwrócone frontami do środka posesji. Od strony domu Wyrzykowskiego ogrodzenie z siatki było przesłonięte przez drewniane panele, a dodatkowo obrośnięte ciemnozielonymi liśćmi bluszczu.

Matuszek, sam nie wiedząc, czego szuka, przeszedł za domkiem i stanął przy ogrodzeniu. Wszystko dookoła było porządnie zagrabione i zamiecione. Cokolwiek by mówić o Stasiaku, porządnie wykonywał swoją robotę. Będzie musiał wybrać się do niego i pogadać o tym poniedziałkowym poranku. Gdzie on niby mieszka? Ta Pawelczyk mówiła, zdaje się, Bukowo Morskie!

Matuszek ruszył wzdłuż ogrodzenia, przechodząc za domkami i kierując się w stronę domu, gdy jego uwagę przykuł fragment siatki. Zatrzymał się obok metalowego słupka konstrukcyjnego, do którego siatka była przymocowana. Drewniany panel zasłaniający ogrodzenie stał oparty obok. Pierwotnie był pewnie przymocowany drutem do tego słupka. Akurat w tym miejscu zwój siatki się kończył i zaczynał następny. Oba odcinki spletał ze sobą stalowy drut. Wiecheć bluszczu był odgarnięty na bok, a luźne gałązki z małymi liśćmi w kształcie serc splecione w grubą kiść.

Matuszek zmarszczył brwi. Chyba całkiem niedawno ktoś to naprawiał.

*

Połączenie z numerem, który usiłował dodzwonić się do Igora w czasie jego rozmowy z matką, okazało się nadspodziewanie trudne. Udało się dopiero późnym popołudniem, a efekt rozmowy był taki, że Igor ponownie wyciągnął swoją podróżną torbę i stał właśnie przed otwartą szafą,

zastanawiając się, które z czystych rzeczy da się zabrać na niespodziewany wyjazd weekendowy. Na szczęście tym razem jako transport występował jego samochód, logistycznie więc wszystko było o wiele prostsze.

Natomiast telefon do gminnego Wydziału Ochrony Środowiska wprowadził go w osłupienie. Nie czuł się na siłach, żeby od razu dzwonić do matki. Odłożył to na wieczór.

Oczywiście, jak można było się spodziewać, pani Anna Fleming go ubiegła.

– No i czemu ty nie dzwonisz? My tu z ojcem przecież czekamy. Ojciec się denerwuje.

– Mamo, czy pamiętasz, jak mówiłem, żeby nie składać tego wniosku, dopóki nie doślę wam pewnego dokumentu?

– Oj tam, a ja mówiłam, że dokument się doniesie. Zawsze mogę podjechać do Hanki i ona tam wepnie, gdzie trzeba.

– Ten dokument to ekspertyza oddziaływania na środowisko. W poniedziałek będzie gotowy.

– Igor! Ale co z tym facetem? Tym Ostoją? O jakimś dokumencie tutaj mi opowiadasz!

– Mamo! W tym dokumencie są określone warunki wycinki i różne działania ochronne dla miejscowej fauny...

– No ale ten Ostoja się zgodzi?

– To nie żaden Jerzy Ostoja! To jest ostoja jeży!

– I co to za różnica?

– Ostoja jeży! Jeżów!

– Igor, czy ty jesteś pijany?

– Jeży! Na miłość boską! To takie małe czarne, kolczaste chomiki!

– I znowu jakieś głupie...

Pani Anna nagle zamilkła.

Przez chwilę trwała cisza, po czym Igor usłyszał, jak słuchający najwyraźniej za plecami matki ojciec się zakrztusił.

*

Paulina stała właśnie przed otwartą szafą w swoim pokoju i zastanawiała się, które z czystych rzeczy da się zabrać na niespodziewany wyjazd weekendowy, kiedy oderwał ją od tej czynności telefon. Spojrzała niechętnie w kierunku stolika przy łóżku, na którym leżała komórka, a następnie rzuciła do stojącej pod nogami torby reglan z miękkiej grubej wełny w jasnym piaskowym kolorze. Była przekonana, że będzie się pięknie prezentował, spływając z jej ramion i odsłaniając ramiączka stroju kąpielowego. Wciąż mając przed oczami wizję siebie idącej plażą o zachodzie słońca, przejechała palcem po ekranie smartfonu i mruknęła „słucham”.

– Coś znalazłem! – W głosie Darka słychać było zaaferowanie. – Na angielskich stronach samolot z Dąbek jest opisany jako „zaginiony w akcji Sorau”.

– Sorau? – Paulina zmarszczyła brwi, z niechęcią odrywając się od wizji gorącego piasku i złotego słońca niknącego w granatowych wodach Bałtyku.

– Dzisiaj to Żary, miasteczko w Lubuskiem. Jedenastego kwietnia tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku z lotniska w Snetterton niedaleko Norwich wystartowała eskadra bombowców B-17, której celem miały być właśnie Żary oraz leżący niedaleko Jasień, czyli niemieckie Gassen. Znajdowały się tam zakłady produkujące bardzo szybkie i doskonałe myśliwce Focke Wulf 190, a także inne nowe typy samolotów. Według niektórych doniesień Niemcy mogli tam produkować także samoloty niewidoczne dla radarów.

– Żary są raczej daleko od Dąbek – zauważyła Paulina, siadając na kanapie. Wizja plażowego lansu powoli gasła w jej wyobraźni, wypierana przez klucz mknących po niebie „Latających fortec”.

– Poczekaj! – Darek prychnął niecierpliwie. – Eskadra zbombardowała Żary. Całe stare miasto i większość zabudowy legła w gruzach. Renesansowe zamczysko Bibersteinów do tej pory stoi w ruinie, ale Jasienia nie zdążyli zbombardować, ponieważ bardzo zepsuła się pogoda i nadciągnęła burza. Amerykanie zrezygnowali z nalotu w ciemno, bowiem w Jasieniu była filia obozu Gross-Rosen dla pracujących w niemieckich fabrykach jeńców, których mogliby w ten sposób zabić. Wykonali więc plan awaryjny.

– Jaki plan awaryjny? – spytała Paulina niecierpliwie, gdy Darek dla wywołania większego efektu na moment przerwał.

– Polecieli zbombardować Szczecin!

– A to dranie!

– No co ty! Dzięki tym nalotom Niemcy poniosły takie straty w przemyśle, że losy wojny zdecydowanie się już wtedy przechyliły na rzecz aliantów.

– A co z tymi Dąbkami? – Paulina sięgnęła po laptopa i otworzyła mapę zachodnich granic Polski. – W dalszym ciągu nie wiemy, co jeden z tych samolotów tam robił. Gdzie Szczecin, a gdzie Dąbki? Nie mógł aż tak zabłądzić, lecąc znad Żar.

– Oni wtedy nie mieli zbyt precyzyjnych urządzeń. Posługiwali się na dobrą sprawę mapami, które trzymali na kolanach.

– Ale tylko jeden by się okazał takim pechowcem? Poza tym przecież lecąc w eskadrze, raczej staraliby się zachować kontakt wzrokowy.

– No więc właśnie jest inne wytłumaczenie...

– Jakie?

– Załoga dostała jakąś tajną misję.

Paulina podniosła wzrok znad klawiatury. Wyrzykowski przecież pisał we wspomnieniach, że umierający lotnik zostawił jakieś instrukcje dla jego matki...

– Tajna misja tłumaczyłaby, dlaczego ci lotnicy robili zdjęcia nad Dąbkami. A może mieli dokonać jakiegoś zrzutu? Coś tam komuś dostarczyć.

– No oczywiście! – Paulina patrzyła niewidzącym wzrokiem w przestrzeń.
– Radiostację!

– Czyli wszystko się jakoś składa. – Słysząc było w tle, jak Darek uderza w klawiaturę. – Ale mam coś jeszcze. Mówiłaś na początku o podejrzeniach, że Wyrzykowski przywłaszczył sobie czyjeś wspomnienia...

– No tak, ale w świetle tego, o czym mówimy, i przede wszystkim tego znalezionego trupa w piwnicy, już sama nie wiem...

– W Stanach została wydana książka *Chłopiec z Niemiec. Opowieść*

uchodźcy[18] autorstwa Wolfganga Samuela, amerykańskiego pisarza, który urodził się w Niemczech, a dzieciństwo spędził w Żarach. W tych wspomnieniach opisuje amerykańskie samoloty nadlatujące nad miasto i swoją fascynację lotnikami z „kraju Mohikanów”, która sprawiła, że jako dzieciak zaczął się identyfikować z pilotami, zapominając o tym, że on i jego bliscy byli ich ofiarami.

Paulina wstukała tytuł w przeglądarkę. Książka nie została wprawdzie przetłumaczona na język polski, ale cały tekst można było przeczytać w oryginale w Google. Przeleciała wzrokiem kilka linijek. Będzie musiała potem to przejrzeć. Sama już nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć. Historia zaczynała się coraz bardziej komplikować. Trup trupem, ale w dalszym ciągu nie wiadomo, co Wyrzykowskiego, który przecież w czterdziestym piątym roku jako dzieciak przyjechał z rodzicami z Kresów, łączyło z przedwojennymi mieszkańcami leżącego niegdyś na skraju małej pomorskiej wsi – domu z pruskiego muru.

*

Dermot postawił na swoim. Mimo że kapitan usiłował wszelkimi sposobami odwieść go od zamiaru ponownego nurkowania na „Chińczyka”, uparł się i nie dał sobie wmówić, że to głupi pomysł. Bill Whitmore odwołał się nawet do przesądów i obyczajów morskich, w myśl których ponowne nurkowanie w momencie, gdy morze pogroziło im palcem, to niebezpieczna brawura i szukanie guza, na co Dermot odparł, że nic nie słyszał o takim przesądzie, i pewnie Bill wymyślił go przed chwilą. Sceptyczny początkowo Johann, po dobrym obiedzie i krótkiej poobiedniej drzemce, sam zapalił się do pomysłu ponownego zejścia na pokład „Fu Shan Hai”. Podobnie Alice. Gdy do projektu włączył się także Rupert, stwierdzając, że zrobi fantastyczne zdjęcia, Bill machnął ręką i poszedł na mostek, mrużąc pod nosem coś o bogatych kretynach.

Cała czwórka spędziła więc wczesne popołudnie w ładowni, przygotowując sprzęt, sprawdzając mieszanki gazów, obliczając czas denny i instruując się nawzajem, co i jak mają robić. Gwen jako jedyna z towarzystwa była całkowicie pewna, że na jakiś czas ma dość nurkowania w Bałtyku, w związku z czym cały niemal czas spędziła na leżaku

i w basenie na górnym pokładzie. Jamie, który przez większą część dnia po obiedzie odpoczywał na sofie w mesie, oglądając duński program telewizyjny, niczego wszakże z niego nie rozumiejąc, w końcu nie wytrzymał i także zszedł na najniższy pokład. Gdy jednak napomknął coś o nurkowaniu, wszyscy zaczęli na niego wrzeszczeć i kazali mu wracać na sofę. Naburmuszony odburknął, że na wakacjach w Szkocji, u matki swojej żony, bawiłby się pewnie lepiej, i wrócił na górę, zahaczając po drodze o wypełnioną piwem lodówkę w kambuzie.

Kolejne zejście na „Chińczyka” tym razem odbyło się bez niespodzianek. Łagodnie opadając wzdłuż liny opustowej, dotarli do głównego pokładu masowca, a potem, nauczeni doświadczeniem, trzymając się jedno za drugim, dopłynęli na rufę ogromnego wraku, skąd już tylko osiemnaście metrów dzieliło ich od dna. Gigantyczna śruba napędowa, wyłaniająca się z mroku spod sterczącej nad nią jak skała rufy, wyglądała niczym jakiś starożytny monument, wykuty w zamierzchłej przeszłości przez zaginioną cywilizację. Johann, zawieszony nieruchomo w toni i wpatrujący się w ogromny stalowy mechanizm, pomyślał, że to namiastka tego, czym mieli się według pierwotnych planów zajmować, a więc penetrowania tajemniczej Bałtyckiej Anomalii. Natomiast szczęścia Ruperta ze zrobienia wyjątkowych zdjęć nie była w stanie zepsuć nawet kolejna dwugodzinna dekompresja. Gdy znaleźli się ponownie na powierzchni, morze było już powleczone czerwonym, mieniącym się lukrem zachodzącego słońca.

Kolejne dwie godziny upłynęły na porządkowaniu sprzętu, wciąganiu na pokład pontonu, sprawdzaniu butli i robieniu porządków. Dermot, przywiązujący maniackalną wagę do kontroli każdego elementu skafandrów, automatów oddechowych i pozostałego sprzętu, wyszedł z ładowni dopiero wtedy, gdy wszystko było starannie powieszona na swoim miejscu i przygotowane do kolejnego nurkowania. Zrobiło się więc już prawie całkiem ciemno, kiedy wszyscy powoli zaczęli ściągać do mesy na głównym pokładzie.

– Za kilka godzin będziemy w Nexø. Może znajdzie się tam jakiś fajny nocny lokal? – Rupert postawił na stole przed sobą pękatą butelkę fuller’sa i usiadł obok Gwen, patrząc na wszystkich po kolei z nadzieją na znalezienie sprzymierzeńców.

– Nocny lokal? Na Bornholmie? – Johann uśmiechnął się kpiąco. – Nie

wiem, czy to nie jest tam przypadkiem zabronione. Poza tym Jamie wypił już ze cztery piwa, odkąd leży przed telewizorem. Jak znajdziemy się na miejscu, to pewnie będzie już trupem.

– Ja wszystko słyszę! Ale z ciebie zrzęda i kanalia! – z drugiego końca rozległej mesy dobiegł głos Jamiego. – Jestem trzeźwy!

– Nie podoba mi się to. – Dermot pokręcił głową. – Ten rejs to miała być przygoda, a tymczasem łazimy po nocnych klubach w portach i robimy to, co w każdy piątek w Londynie.

– Kto mógł przewidzieć, że ten Fin nas tak załatwi... – Johann skończył jeść grillowanego pstrąga i sięgnął po kufel z piwem.

– Wiecie, jaką teorię na ten temat mają chłopaki? – Gwen się uśmiechnęła.

– Chłopaki? – Dermot spojrział pytająco.

– No, Patrick i Harry. Nasza załoga.

– Jaką?

– Wypłynęliśmy w piątek.

– No tak... – Johann pokiwał głową. – Poza tym mamy dwie kobiety na pokładzie. To już potrójny pech.

– I jednego Jonasza. Poczwórny – mruknął Dermot znad talerza, zezując porozumiewawczo w kierunku Johanna, który zgromił go wzrokiem.

Kiwająca się łagodnie na falach „Pandora” nagle drgnęła, a z jej trzewi dobiegł cichy pomruk. W drzwiach stanął Bill i kiwnął głową wszystkim przy stole.

– Płyniemy, sir – zwrócił się do Johanna. – Na mostku jest Harry. W Nexø będziemy przed północą. Ma dość porządnie wiać. Prosiłbym o sprawdzenie tarasów w pańskiej i pani Alice kajutach. Górny pokład jest już zabezpieczony.

– À propos morskich przesądów. – Gwen uśmiechnęła się do Johanna. – Gwizdałeś dzisiaj rano przy goleniu[19].

*

Bukowo Morskie to malutka wieś położona przy drodze wijącej się wzdłuż brzegów jeziora o tej samej nazwie. Do morza stąd jest niedaleko,

zaledwie o mocniejszy rzut kamieniem. We wsi, na rozstaju dróg, stoi stary kościół, jedyny ocalały budynek z założonego na przełomie XIII i XIV wieku opactwa cystersów, których na te ziemie sprowadził w 1252 roku z Meklemburgii książę pomorski Świętopełk II. Gdy w roku 1535, po Sejmie Trzebiatowskim, oddającym Pomorze luteranom, cystersi stąd wyjechali, kościół przeszedł na własność Pomorskiego Kościoła Ewangelickiego. Zabudowania klasztorne pochłonęły wojny i mroki dziejów, a dzisiaj nikt już nawet nie wie, gdzie dokładnie się znajdowały. Przy wjeździe do wsi z gąszczu zieleni wyrasta wysoka ceglana, nakryta blaszanym hełmem wieża świątyni. Tuż obok stoi stary zapuszczony dom z ładnym wykuszem w dachu, a droga na wprost prowadzi do niedalekich Dąbek.

Trochę dalej, zza rozrośniętych przy drodze, zdziczałych bzów, wyłaniał się niewielki, skromny dom, za którym stała stara ceglana stodółka. Wałący się płot z drewnianych słupków i siatki otaczał dawno już niepielęgowane byliny i krzewy, a w jednym z okien domu paliło się światło.

Późnym wieczorem na niebo ściągnęły kłębiaste, ciemne chmury i zaczął wiać wiatr, a gdy zapadła już całkowita ciemność, niebo przecięły pierwsze błyskawice.

*

Rupert w ostatniej chwili schwytał opróżnioną do połowy butelkę swojego fuller'sa i uniósł brwi, zdziwiony. „Pandora” przechyliła się na prawą burtę, na moment zatrzymała, po czym wróciła do pozycji wyjściowej. Dziób jachtu zaczął powoli wspinać się do góry.

– Nie mamy żadnej rei, ale możemy go za karę za to gwizdanie przywiązać do relingu na górnym pokładzie – parsknął śmiechem Jamie, wskazując brodą Johanna.

– Ty się lepiej martw o wcześniejsze zajęcie strategicznej pozycji przy muszli, jak zacnie wiać jeszcze mocniej.

– Nie chorowałem na Morzu Północnym, to i na Bałtyku nie będę.

– Wyobrażam sobie w taką pogodę te drewniane żaglowce... – Gwen się wzdrygnęła, patrząc w okno, za którym w ciemności widać było rozbryzgujące się smugi piany. – Łamiące się maszty, trzaskające reje...

– Armaty przesuwające się po drewnianych podłogach, beczki z wędzonym mięsem toczące się po ładowniach i kufry ze skarbami pogrążające się w głębinie – teatralnym szeptem wpadł jej w słowo Dermot.

– Może lepiej tak sobie nie żartujcie. – Rupert wstał od stołu i gwałtownie złapał za niski reling wokół blatu, gdy jacht przechylił się na rufę, pokonując kolejną wysoką falę. – No właśnie. – Spojrzał na Dermota oskarżycielsko.

– A na tym Bałtyku są w ogóle jakieś zatopione wraki ze skarbami? – Jamie popatrzył powątpiewająco na Dermota.

– Zwłaszcza na Bałtyku – mruknął Bill, który zaproszony do środka, przysiadł przy stole i popijał gorącą herbatę z wielkiego kubka z napisem „Londyn”. – W Bałtyku nie ma świdra krętownca.

– Czego? – Jamie odwrócił się w kierunku Billa i spojrzał na niego z ciekawością.

– Małża, odżywiającego się drewnem i celulozą, który potrafi w mgnieniu oka zeżreć całe kadłuby drewnianych łodzi i okrętów. Występuje głównie w Morzu Karaibskim, ale jest go także sporo w innych ciepłych wodach. Bałtyk jest dla niego za mało słony i za zimny.

– Dokładnie – mruknął Johann. – Pamiętam, że ojciec mi o tym mówił. Bałtyk jest jak wielki słoik z formaliną, w którym zatopione żaglowce tkwią w niezmiennym stanie od setek lat. Opowiadał mi kiedyś o holenderskim kupieckim żaglowcu, który zatonął u wybrzeży Finlandii pod koniec osiemnastego wieku, wioząc do Petersburga, zakupione przez Katarzynę Wielką, obrazy holenderskich mistrzów, porcelanę, złote i srebrne precjoza.

– Nazywał się „Vrouw Maria” i zatonął dokładnie trzeciego października tysiąc siedemset siedemdziesiątego pierwszego roku w okolicach archipelagu tysiąca wysp u wybrzeży Finlandii – powiedział Bill, kiwając głową. – Został odnaleziony w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym roku przez Finów. Rosjanie prowadzili wieloletnią batalię o zwrot wraku, ale sąd przyznał prawo własności Finlandii. Koszt wydobycia skarbów Katarzyny jest jednak zbyt duży i wrak nadal spoczywa na dnie, a jego lokalizacja jest utajniona.

– Pomyślcie – mruknął Dermot. – Dziesiątki obrazów holenderskich mistrzów od ponad dwustu lat leży na dnie Bałtyku.

– Pamiętam, że najbardziej uderzyło mnie w opowiadaniu ojca o poszukiwaniach tego okrętu to, w jaki sposób trafili na jego ślad... – Johann patrzył w zamyśleniu w przestrzeń. – Nie szperając bez końca sonarami po dnie, ale przeszukując holenderskie archiwa morskich manuskryptów w Amsterdamie. To tam natrafiono na dokładny opis statku, a nawet na prawdopodobną przyczynę jego zatonięcia, czyli źle zamocowaną podczas jednego z remontów pompę pokładową.

– Bajeczne skarby ponoć miał wywozić z Prus Wschodnich „Gustloff”, zatopiony pod koniec wojny w pobliżu Półwyspu Helskiego, z dziesięcioma tysiącami osób na pokładzie. – Bill wypił ostatni łyk herbaty i odstawił kubek na stół. – Bogaci junkrzy, arystokracja, wysocy oficerowie Wehrmachtu i Kriegsmarine zabrali ze sobą prawdopodobnie wszystko, co miało jakąkolwiek wartość.

– I co się z tym wszystkim stało? – Jamie wstał z sofy i czepiając się mebli, ruszył w kierunku lodówki, ulokowanej w dębowej zabudowie przy jednej ze ścian mesy.

– Po wojnie Rosjanie porznęli praktycznie cały statek palnikami i wykradli z niego wszystko, co było cokolwiek warte.

– Nie przejmując się zbytnio dziesięcioma tysiącami trupów uwieczonych w jego wnętrzu – dodał w zamyśleniu Johann. Widmo uznanego za wojenną mogiłę niemieckiego liniowca na chwilę pojawiło się przed oczami wszystkich w mesie, powodując, że zastygli w milczeniu.

Harry, zatopiony w jednym z pokrytych czarną skórą foteli w sterówce, siedział przed mrugającym kolorowymi lampkami pulpitem i obserwował urządzenia pokładowe, którymi bez jego udziału z powodzeniem zajmował się autopilot. Przez panoramiczne okna widział długi, zwężający się ku dziobowi nos „Pandory”, który co chwilę tonął w bryzgach czarnej spienionej, kotłującej się wody. Wiatr wiał z szybkością 45 kilometrów na godzinę, dobra szóstka w skali Beauforta. Fale miały już ponad cztery metry wysokości, a według meteo to jeszcze nie był koniec. W ciągu najbliższej godziny wiatr miał dojść do ósemki.

Harry drgnął, gdy na jednym z monitorów zapaliła się czerwona lampka i rozległ się niski buczący sygnał. Pochylił się i spojrział na ekran komputera.

Pomyślał, że to niemożliwe, i zaklął. Patrick odsypiał swoją wachtę w kajucie. Harry przejechał palcem po dotykowym ekranie wewnętrznej rozgłośni pokładowej i wezwał go na mostek. Po namyśle zadzwonił do Billa. Nie było potrzeby wywoływania paniki, ale wiedział, że kapitan lubi wszystko wiedzieć.

To musi być jakaś awaria czujników. Nieszczelność kadłuba! No kurwa mać!

– A „Mars”? – Johann spojrział na siedzących przy stole przyjaciół.

Porozumiewanie się pomiędzy wielkimi sofami w głównej części mesy okazało się zbyt skomplikowane podczas sztormu, więc w rezultacie wszyscy przenieśli się do stołu w części jadalnej, gdzie reling wokół blatu zapewniał dodatkowo większą stabilność kufłom z piwem i kubkom z herbatą.

– Mówię o galeonie, który leży u brzegów Olandii, o czym wspominał wczoraj Bill. Wiecie, że odkryto na nim kilka tysięcy srebrnych monet w glinianych dzbanach?

– A to są tylko te najbardziej spektakularne zatopione statki, o których pisano wszędzie i które najczęściej były własnością koronowanych głów lub ich dobra przewożyły – powiedział Dermot znad kufła z kolejnym piwem. –

Podejrzewam, że takich okrętów kupieckich, co przez setki lat tonęły w Bałtyku i o których po prostu zapomniano, są dziesiątki.

– Dlatego właśnie te znane firmy, które poszukują skarbów na dnie mórz, przez miesiące najpierw prowadzą badania dokumentów, przeszukują archiwa, rejestry sądowe, a dopiero gdy mają konkretne dane, wydają setki tysięcy dolarów na podwodne badania. – Johann postukał palcami w swój kufel.

– I trwa to niekiedy latami – wtrąciła Alice.

– Największy wydobyty do tej pory skarb odkrył w osiemdziesiątym piątym roku Amerykanin Mel Fisher. Złoto, srebro i szmaragdy o wartości prawie czterystu milionów dolarów, które zatoneły w tysiąc sześćset dwudziestym drugim roku wraz z hiszpańskim galeonem „Nuestra Señora de Atocha” u brzegów Florydy. – Bill spojrział z uśmiechem na zasłuchane towarzystwo. – Poszukiwania tego żaglowca zajęły mu jednak szesnaście lat!

Ciszę, która zapadła na moment, przerwał dźwięk telefonu. Bill sięgnął do kieszeni i przyłożył aparat do ucha. Przez chwilę słuchał w milczeniu, po czym przeprosił, mruknął „mostek” i szybko wyszedł.

Harry przejechał palcem po ekranie komputera, powiększając widok. Stuknął w świecący punkt, otwierając schemat jednego z pokładów. Główny. Kabiny pasażerów. Pod samym mostkiem niemal. Gdzie tam może być nieszczelność kadłuba? Ponownie przejechał palcami po ekranie, powiększając schemat jednej z kabin.

– Co się dzieje? – Za plecami Harry’ego stanął Bill.

– No kurwa mać! – Harry z niedowierzaniem patrzył na mały świecący punkt i opis, który pojawił się tuż obok.

– To kabina szefa! – jęknął do patrzącego mu przez ramię Billa.

– Bierz klucz, leć tam i zobacz! – Bill rzucił do Patricka, który pojawił się właśnie na mostku, przecierając oczy.

– Ja pierdzielę. Zaleje całą kabinę przy tych falach – jęknął Harry. – Może zostawić to i wyłączyć jakoś ten czujnik?

– Nie da rady! – Bill pokręcił głową. Boże! Co za koszmarna głupota! Albo pech! Wypłynęli w piątek, no jak w mordę!

„Pandora” wspięła się na kolejną falę, by po chwili zanurkować w dół. Talerz z owsianymi ciasteczkami, niezłapany w porę przez Alice, przejechał wzdłuż stołu i brzdąknął w kufel piwa, który miał właśnie podnieść do ust Dermot. Jamie, mimo heroicznych deklaracji, że choroba morska mu nie grozi, miał jednak niepewną minę.

– Może nie pij więcej – mruknął Johann, patrząc na niego podejrzliwie.

– Mówiłem, że nie będę chorował. Na Morzu Północnym wiała siódemka i jakoś to przetrwałem.

– Akurat wtedy byłeś trzeźwy.

– Nie wiem, czy to jest właściwy argument – Gwen uśmiechnęła się do Johanna.

– Bill coś mówił, zdaje się, że ma wiać ósemka. – Dermot wypił duszkiem ostatni łyk piwa i odstawił kufel na stół. – Dwa piwa i wystarczy. Lepiej nie kusić losu.

– Albo straży przybrzeżnej... – Alice spojrzała na Dermota z rozbawieniem.

– Straży przybrzeżnej to mogą się bać Harry z Patrickiem, mnie może być co najwyżej wstyd.

– Swoją drogą dziwnie się czuję na tym jachcie. – Alice rozejrzała się dookoła. – Nie mam tutaj żadnych zajęć. Zazwyczaj pływałam na żaglach. Tam nie ma czasu na takie siedzenie i pieprzenie.

– Dlatego niektórzy twierdzą, że to żadne pływanie. Praktycznie jak prom. – Gwen wzruszyła ramionami.

– Pamiętajcie, że naszym celem była Bałtycka Anomalia? Mieliśmy szukać jej z sonarem za łodzią, mapować dno, nurkować – mruknął Johann.

– No właśnie – Jamie westchnął. – A tak, pętamy się po tym Bałtyku bez celu. A w ogóle, jak zaczęliście gadać o piciu, to przypomniała mi się jeszcze jedna historia – ożywił się i spojrzał na Johanna i Dermota. – Kilka lat temu czytałem, że jacyś Szwedzi znaleźli niedaleko Alandów zatopiony transportowiec z dziewiętnastego wieku z najstarszym na świecie szampanem.

– Pamiętam. – Dermot kiwnął głową. – Też o tym czytałem. Szampan z najdroższej ówczesnej winnicy Veuve Clicquot, który płynął właśnie do Rosji. Jedną butelkę na aukcji w Mariehamn sprzedano za trzydzieści tysięcy euro.

– Podobno na dnie Bałtyku, według szacunkowych obliczeń, może leżeć nawet sto tysięcy wraków. – Alice spojrzała zamyślonym wzrokiem w czarną, kłębiącą się przestrzeń za oknem.

– Wyobrażacie sobie te drewniane okręty kilkaset lat temu? – Gwen założyła ręce na piersi i podążyła wzrokiem za spojrzeniem Alice. – A my tu siedzimy sobie w bezpiecznym suchym salonie.

– Dno Bałtyku jest usiane nowoczesnymi liniowcami i pełnomorskimi jachtami – mruknął grobowym głosem Patrick, który niezauważony stanął w progu.

Alice, siedząca przy stole najbliżej drzwi, drgnęła.

– Boże! Jak mnie przestraszyłeś. Stałeś mi tak nagle za plecami.

– Przepraszam. – Patrick uśmiechnął się półgębkiem.

– Czy coś się stało? – Johann spojrział z niepokojem na chłopaka, który miał mokre włosy i zaczerwienione policzki.

– Można tak powiedzieć – mruknął. – Nie zamknęliście państwo balkonu w kajucie. Zamknął się wprawdzie automatycznie, bo tam są czujniki wilgoci, ale...

– Boże! – Gwen pobladła. – Ale ja sprawdziłam przecież na panelu! Miały się same zamknąć po uruchomieniu silników.

– Jakby to powiedzieć... – Patrick ściągnął usta w zakłopotaniu – ... pewna należąca do pani część garderoby zaklinowała się między panelami. Mało nie dostaliśmy zawału, jak komputer zaczął piszczeć, że jest nieszczelność poszycia.

– Ja pierdolę. – Jamie słuchał z otwartymi szeroko oczami.

– Są jakieś uszkodzenia? – Johann wstał i ruszył w kierunku drzwi.

– Powiedzmy. – Patrick odgarnął mokre włosy z twarzy. – Musiałem otworzyć na moment balkon i wyszarpnąć tę rzecz...

– A właściwie co to za rzecz? – Jamie nagle zmarszczył brwi.

– Jakie to ma teraz za znaczenie? – Gwen spiorunowała go wzrokiem i zerwała się od stołu. Podtrzymując się za reling, ruszyła za Johannem.

– Wlało się trochę wody. Wykładzina i łóżko są przemoczone. Obawiam się, że dzisiejszą noc będziecie musieli państwo spędzić w którejś z kabin na dolnym pokładzie.

Patrick spojrział na stojącego w progu Johanna z ledwie zauważalnym protekcjonalnym uśmiechem.

*

Burza rozpętała się na dobre. Zerwał się wiatr, który szarpał konarami starych, udreńczonych przez larwy szrotówka kasztanowców i gałęziami wysokich, kłaniających się nad dachami domów żywotników. Deszcz dudnił o pokierszowaną asfaltową nawierzchnię drogi i o blaszany hełm wieży

kościelnej. Niebo nad wsią co jakiś czas przecinały błyskawice, a zaraz po nich, w regularnych odstępach czasu, odliczanych na palcach przez pochowane po domach dzieciaki, przetaczały się nad dachami głucho grzmoty.

Stary dom, ukryty za walącym się parkanem z siatki, niknął w strugach deszczu, który zdążył już utworzyć niewielkie kałuże w błocie wokół zaniedbanych kwiatów, pełzających przy ziemi gałęzi irgi i płożących jałowców. Od furtki zawieszanej na stalowych słupkach biegła wzdłuż bocznej ściany domu ścieżka wyłożona betonowymi płytami. Za narożnikiem budynku skręcała w bok, przecinała małe podwórko i kończyła się przed wejściem do murowanej z cegły stodoły. Skryte w całkowitej ciemności drewniane wrota co jakiś czas ukazywały się na moment w stroboskopowym świetle błyskawic i niknęły znowu w czerni. Jedno ze skrzydeł, lekko uchylone, skrzypiało w porywach buszującego po podwórzu wiatru.

Za drzwiami była pograżona w mroku sień, którą oświetlała pojedyncza brudna żarówka, zwisająca z jednej ze stropowych belek. Po bokach sieni znajdowały się wejścia do komórek i boksów ze słomą oraz pustymi klatkami, w których walały się jeszcze kurze pióra. Na końcu sieni drewniane, drabiniaste schody prowadziły na poddasze, niknąc w ciemnej dziurze stropu. Strych ciągnął się na całej długości budynku, nakryty szpalerem krokwi i zawieszonych kilka metrów nad podłogą poziomych belek. Na końcu, w ścianie szczytowej, ziało pozbawione szyb okno, przez które wpadały do środka krople deszczu i które co chwilę rozjaśniało się jaskrawym błękitnym światłem.

Na środku strychu, obok kilku starych skrzyń, stała ciemna postać w narzuconym na głowę kapturze. Przez chwilę trwała nieruchomo, czekając, aż kolejna błyskawica wydobędzie kontury więźby, po czym wspięła się na skrzynię i jednym mocnym ruchem przerzuciła przez drewnianą belkę długi sznur z zawiązaną na końcu pętlą.

Rozdział 9

Piątek, 11 września

Paulina wyjęła słuchawkę z ucha i rzuciła cienki kabelek na siedzenie pasażera. Nie miała zestawu głośnomówiącego, a nie cierpiała jeździć ze słuchawkami wetkniętymi do uszu. Zresztą gdyby ktoś zadzwonił, to pewnie ze wzrokiem wbitym w szosę przed sobą zaczęłyby nerwowo macać kabel w poszukiwaniu cholernego klikadła do odbierania komórki, a petent w tym czasie i tak by się w końcu rozłączył. Jeszcze ewentualnie telefon mógł wypaść z uchwytu i wpaść pod fotel. Bałaby się sięgać po niego w czasie jazdy, więc pewnie, niepomiernie ją denerwując, przeleżałyby tam do momentu, gdy znalazłaby miejsce na poboczu, żeby się zatrzymać i go podnieść.

Westchnęła i spojrzała na wyświetlacz. Nawigacji też nie miała, korzystała z teźże komórki właśnie, z której co jakiś czas dobiegał aksamitny głos Krzysztofa Hołowczyca informujący ją, że ma się trzymać drogi krajowej numer sześć. Była zirytowana. Głównie wczorajszą rozmową z Mateuszem. Dlaczego ona akurat dzisiaj wyjeżdża? Miała go przecież odwiedzić rano na lotnisko, a tak on musi brać taksówkę. Na komentarz, że na lotnisko jeżdżą wygodne busy z samego centrum, tylko parsknęła ze złością. Wkurzało go dodatkowo, że praktycznie jechali w tym samym kierunku. Goleniów był po drodze, ale Paulina uparła się wyjechać wcześniej, bo odwożąc Mateusza na jedenastą trzydzieści, byłaby w Koszalinie o czternastej, a już się przecież zapowiedziała do Olszańskiego na dziesiątą. Nie wiadomo, czy miałby potem dla niej czas.

Usiłowała przez całą drogę skupić się na opracowaniu jakiegoś planu działania na weekend, ale jej myśli ciągle rozbiegały się we wszystkich kierunkach, niby stado niesfornych kurcząt. Pośpne myśli o rozmowie z Mateuszem przerywały co chwilę wspomnienia tego, co wyszperał Darek na temat „Latającej fortecy”, która znalazła się nad Dąbkami z jakąś misją. Czy rzeczywiście mogło chodzić o zrzucenie komuś radiostacji? To by

oznaczało, że w Dąbkach działał w tym okresie jakiś aliancki szpieg. A może szpiegiem był ten ziemianin, którego wspominał Wyrzykowski w swoim dzienniku?

Usłyszałem nazwę wsi i nazwisko dziedzica. Wszyscy ich tu znali.

Pewnie da się ustalić nazwisko tego junkra. Wielkich majątków ziemskich w okolicach Dąbek nie było znowu aż tak dużo. Czy chodziło o zdobycie jakichś materiałów dotyczących poligonu w Darłównu, o którym wspominał Darek? Może tej stoczni betonowych okrętów? Szkoda, że nie miała wczoraj więcej czasu, by zrobić dokładniejszy research tych spraw, ale może na miejscu czegoś się dowie. Poza tym przejrzeć istniejące archiwalia i dokumenty zdąży nawet potem, po powrocie do Szczecina, kiedy zacznie pisać artykuł. Teraz powinna skupić się na Wyrzykowskim i tym, co go łączyło z mieszkańcami domu w Dąbkach. To teraz największa zagadka.

Spojrzała na wyświetlacz. Do Koszalina została jej jeszcze prawie godzina drogi.

*

Grafitowy minibus marki Peugeot z zielonym logo „Europcar” wjechał na niewielki parking, przy którym stało kilka osobowych samochodów, i zatrzymał się na wolnym miejscu obok starej hondy. Drzwi od strony pasażera otworzyły się prawie równocześnie z tylnymi przesuwными, przez które jako pierwszy wysiadł Jamie. Gwen wysunęła się ostrożnie ze swojego fotela i zeskoczyła na asfaltową nawierzchnię parkingu. Z małego plecaczka wyciągnęła kolorowy przewodnik i włożyła go pod pachę.

– Mimo wszystko uważam, że Patrick nie powinien się tak zachować. – Johann, który wysiadł zaraz za Jamiem, stanął obok Gwen i zmarszczył brwi z niezadowoleniem. – Mógł powiedzieć o tym na boku, a nie robić z tego takie przedstawienie.

– Nie odgrywaj pana na zamku. – Jamie przeciągnął się, szturchając niechcący wyciągniętą ręką Dermota, który stanął za nim nieopatrznie. – Ups, przepraszam...

– Nie machaj tak tymi grabiami. A Patrickowi należy się order

biustonosza i hańba temu, kto źle o tym pomyśli[20].

Wszyscy, oprócz Gwen, która postukała się palcem w czoło, parsknęli śmiechem.

– Jak ty to w ogóle zrobiłaś? Suszyłaś ten biustonosz na balustradzie czy jak? – Alice chichocząc, podeszła do koleżanki.

– Skończcie już z tym tematem. – Gwen pokręciła głową ze zniecierpliwieniem. – Bredzicie o tym bez przerwy, odkąd wyjechaliśmy z Nexø. Niczego nie suszyłam. Musiał mi upaść na podłogę, gdy stałam przed panelem i ustawiałam zamykanie. Upadł niefortunnie na styku pomiędzy ścianą a podłogą tarasu i zaklinował się, kiedy płyta tarasu się zamknęła. Dopiero jak zaczęło chlapać, czujniki wilgoci to wykryły.

– Czujniki wilgoci wykryły twój biustonosz... – pisnął Dermot, udając powagę. – Bardzo niepokojąco to brzmi.

– Skończcie już gadać i idziemy. – Johann odwrócił głowę, kryjąc przed Gwen mimowolny uśmiech. – Stoimy u bram największej tajemnicy Bornholmu.

Za niskim ogrodzeniem pyszniły się kunsztownie przycięte żywopłoty, a na lekkim wzniesieniu, górującym nad domami niewielkiego miasteczka Østerlars, pomiędzy strzelistymi kolumnami cyprysów wyrastała biała rotunda, nakryta szarym kapeluszem podbitego gontem dachu.

*

Piotr Matuszek przyglądał się w milczeniu, jak Teodor Olszański wypełnia jakieś papiery i układa je starannie przed sobą na biurku. Prokurator w mniej ważnych dokumentach zrobił otwory dziurkaczem, te istotniejsze, odpisy i protokoły, włożył do koszulek, a następnie jedne i drugie wpiął do segregatora z napisem na boku „Akta podręczne – Wyrzykowski, Dąbki”.

– Niewiele na razie tego jest – mruknął, kartkując jeszcze raz protokół z oględzin miejsca i protokoły przesłuchań świadków.

– Dwa mętne tropy. – Matuszek wzruszył ramionami. – Podejrzany cieć u sąsiadki Pawelczyk i ten dziadek, który rzekomo wyszedł od Wyrzykowskiego około dziewiątej.

– Ten cieć... – Olszański zajrzał do notatki – ...Stasiak. Wiemy o nim

coś?

– Nie był nigdy notowany. Mieszka w Bukowie Morskim, jego żona zmarła dopiero co, w lipcu. To by mogło w zasadzie tłumaczyć, dlaczego jest mrukliwy i mało rozmowny.

– Niech ktoś podjedzie i z nim pogada albo złapię go u tej Pawelczyk.

– Telefon ma cały czas wyłączony.

– Pewnie na kartę i nie ma nic na koncie.

– Pewnie tak. – Matuszek drgnął na dźwięk telefonu. Przez chwilę zdezorientowany patrzył na biurko, po czym uśmiechnął się i sięgnął do kieszeni.

Olszański, patrząc co chwilę na słuchającego kogoś po drugiej stronie linii Matuszka, zanotował w swoich papierach: „sprawa z artykułu 148, paragraf 1 kodeksu karnego”.

Matuszek skończył słuchać, rzucił coś do telefonu i w końcu się rozłączył.

Olszański podniósł na niego pytający wzrok.

– Chłopaki namierzyli tego mężczyznę od mercedesa. Opis i wiek się zgadzają. Auto też. Nowy W222, S klasa.

– Gdzie?

– Mieszka w hotelu Apollo w Darłównku. To Niemiec.

*

Zbudowano je w czasach, gdy o Bornholm toczyły walki dwa ludy zamieszkujące wyspę – oba od momentu wyparcia z niej na początku tysiąclecia wikingów poddane duńskiemu królowi – plemię Danów i przybyli tutaj z pobraża Bałtyku Wendowie, słowiańscy potomkowie Wenedów. Ostały się tylko cztery, a może zresztą nigdy ich więcej nie było, genezę ich powstania spowiły bowiem mroki przeszłości. Cztery kościoły, założone na planie koła, których śnieżnobiałe ściany przykrywają stożkowe dachy niczym kapelusze skrzatów. Trzy z nich mają po trzy kondygnacje, czwarty, najmłodszy, tylko dwie. Powszechnie przyjęło się uważać, że te unikalne w formie, niespotykane poza Bornholmem budowle pełniły, oprócz sakralnej, przede wszystkim funkcję obronną. W dobie ciągłych wojen pomiędzy

zwaśnionymi ludami najwyższa kondygnacja służyła za schronienie i pozwalała na odpieranie ataków. Przyziemie pełniło funkcję liturgiczną, a druga kondygnacja była po prostu magazynem żywności. Ta wciąż obecna w podręcznikach i przewodnikach teoria jest jednak coraz częściej krytykowana. Poddasze, które miało odgrywać rolę schronienia dla okolicznej ludności, ma w rzeczywistości rozmiary pozwalające ukryć się niewielkiej garstce ludzi, a ściany wewnątrz pokryte są w dodatku dziwnymi malowidłami, które przywodzą na myśl inne świątynie, z dalekiej południowej Francji, budowane przez pewien znany w średniowiecznej Europie zakon...

– Jaki zakon? – Jamie odwrócił się w kierunku Gwen, która trzymała w ręku przewodnik i czytała z niego przyciszonym głosem informacje.

– Templariuszy oczywiście – mruknął Dermot.

– A o które niby malowidła chodzi? – Alice zrobiła kilka kroków wokół potężnego centralnego filara, w którego wnętrzu tkwiła kamienna stela wypełniona święconą wodą.

– Jakieś postacie ludzkie z głowami psa, przedstawienia gwiazdozbiorów... – Gwen wzruszyła ramionami, obrzucając spojrzeniem malowidła na filarze. – To nowy przewodnik, powołują się tutaj na jakąś książkę autorstwa duńskiego dziennikarza[21], w której autor dowodzi, że templariusze mieli na Bornholmie swój ostatni przyczółek. Mało tego, pisze, że pod posadzką kościołów są wciąż niezbadane podziemia.

– I co? – Jamie zadarł głowę do góry. – Że niby tę kaplicę tutaj zbudowali templariusze?

– Konkretnie założony na Łotwie i w Estonii Zakon Kawalerów Mieczowych. – Gwen zajrzała do przewodnika. – Według teorii autora książki odłam templariuszy, który w tym okresie władał południowym Bałtykiem i Bornholmem.

– Ukryte podziemia? – Alice spojrzała pod nogi. – Oczywiście z ukrytymi skarbami?

– Oczywiście – parsknął Dermot.

Johann stał nieruchomo, ze wzrokiem wbitym w malowidła pokrywające górną część potężnego filara, tuż nad łukowymi otworami prowadzącymi do

jego wnętrza.

Templariusze. Minął rok od wydarzeń, które zaprowadziły jego, Paulinę i Igora do podziemi szczecińskiego zamczyska. Pamiętał tamte spory i utarczki, pamiętał, jak kpili na początku z Igora, i to, jak później wszystko potoczyło się w zupełnie nieprawdopodobnym kierunku. Od tamtego czasu przeczytał chyba wszystkie wydane książki na temat Zakonu Ubogich Rycerzy Chrystusa i Świątyni Salomona i wiedział, że pozostała dwójka także.

Tę książkę, o której wspomniała Gwen, również znał. Kolejna dziennikarska teoria oparta na domniemaniach, półprawdach, półfaktach i legendach. Tyle że w świetle tego, co wiedział po wydarzeniach sprzed roku, stanowiła całkiem sensowne dopełnienie hipotezy Igora, mówiącej o tym, iż templariusze po upadku Królestwa Jerozolimskiego postanowili ukryć swoje dobra na Północy, doskonale przewidując, że i Francja, i Rzym staną się już zaraz ich wrogami...

– Hej, mówię do ciebie!

Zamyślony Johann dopiero teraz zauważył, że Gwen macha mu przed oczami dłonią.

– Zawiesiłem się, przepraszam – rzekł z uśmiechem.

– Idziemy na górę. – Gwen wskazała brodą wejście na wąziutkie, prowadzące na wyższe kondygnacje kościoła, wykute w ścianie schody, na których właśnie zniknął Rupert.

Ostatnie piętro miało kamienną posadzkę z otoczków i ściany z wąskimi otworami, z których kiedyś strzelano z łuków i kusz do wroga lub wylewano mu na głowę gorącą smołę. Johann z trudem oderwał się od tej wizji i podszedł do przyjaciół, którzy z zadartymi głowami oglądali odkrytą więźbę dachową.

– W przewodniku napisali, że pierwotnie był tutaj płaski dach. – Gwen odwróciła kartkę i ponownie spojrzała do góry.

– Czyli pewnie było gdzieś tutaj wyjście na górę, a tam znajdowały się blanki, zza których obserwowano okolicę... – Dermot rozejrzał się wokół.

– Wszystkie cztery kościoły są takie same, jak widzę. – Jamie zajrzał Gwen przez ramię. – Musimy je oglądać?

– Musimy! – Gwen spojrzała na niego wilkiem. – Ja nigdy nie byłam na Bornholmie.

– Jezu, mam nadzieję, że w tym Szczecinie nie będzie za wiele do zwiedzania. À propos, będziemy tam jutro czy dziś?

– Nie płyniemy do Szczecina. – Johann pokręcił głową.

– Jak to? – Alice uniosła brwi ze zdziwieniem. – Chciałam obejrzeć tę nową filharmonię. Nie płyniemy?

– A co będziemy robić? – spytał Dermot, patrząc na Johanna podejrzliwie. – Coś kręcisz.

– To znaczy płyniemy tam oczywiście... – Johann kiwnął uspokajająco głową, widząc wlepione w siebie pięć par oczu. – Ale najpierw zatrzymamy się w Darłowie.

– Gdzie? – Jamie uniósł brwi.

– W Darłowie? A co tam jest ciekawego? – Gwen zamknęła przewodnik i popatrzyła na Johanna pytająco.

– Nie wiem w sumie. – Johann wyduł wargi.

– Super! – Jamie uśmiechnął się z niedowierzaniem. – Genialny plan! A mogłem...

– James! Jak powiesz znowu coś o Szkocji, to zdejmę ten plecak i walnę cię nim w łeb! – Gwen ściągnęła brwi. – Johann, co to za pomysł?

– Oj, akurat przez weekend będzie tam Paulina! – Johann podniósł do góry dłonie. – Umówiłem się, że się tam spotkamy.

– A to po to były te tajemnicze telefony – mruknął Dermot.

– Co jest? Gdzie się podziała wasza spontaniczność? Nie ma w was ducha przygody? – Johann powiódł spojrzeniem po wpatrującej się w niego podejrzliwie piątce przyjaciół.

– Jasne! – Jamie pokiwał głową. – Pewnie w jakimś prowincjonalnym muzeum komunizmu przeżyjemy niezwykłą przygodę, ślizgając się na wyfroterowanej sowieckiej posadzce.

*

– Cholerna nazistowska posadzka! – Paulina o mały włos nie wywinęła orła na wyślizganej granitowej nawierzchni korytarza Urzędu Wojewódzkiego w Koszalinie.

Prokuratura Okręgowa mieściła się we wschodnim skrzydle wielkiego gmachu, więc do przejścia był jeszcze spory kawałek. Sprawdzając wczoraj na mapie trasę, Paulina obejrzała przy okazji budynek, w którym urzędował prokurator Olszański. Ogromny, jak na średniej wielkości miasto, jakim był i przed wojną Koszalin, mieścił dawniej siedzibę rejencji, a wybudowano go w 1939 roku, tuż przed wybuchem wojny. Jak większość powstających w tym okresie gmachów publicznych, siedziba władz miała budzić respekt i strach, a jednocześnie imponować potęgą. Budynek nie miał wyraźnego stylu architektonicznego ani do żadnego konkretnego się nie odwoływał, budził skojarzenia totalitarno-militarne, zwłaszcza jego fronton, podkreślony portykiem wspartym na sześciu potężnych kolumnach, w których detalu pobrzmiwały echa architektury klasycznej. Przed gmachem, na dwóch obłożonych granitowymi płytami postumentach, patrząc groźnie na interesantów śpieszących do urzędu, leżały dwa kamienne lwy.

Paulina zapukała i nieśmiało zajrzała do pokoju z numerem sto czterdzieści jeden. Olszański, ubrany w elegancki grafitowy garnitur z perfekcyjnie dobranym krawatem i poszetką, siedział przy biurku, na którym leżały starannie poukładane w równiutkie kupki akta i dokumenty.

– Dzień dobry, pani Paulino. Zapraszam. Właśnie na panią czekałem.

Olszański podniósł się z krzesła i wskazał ręką miejsce przy biurku. Sięgnął po jedną ze stert dokumentów i położył ją przed Pauliną.

– Przejrzałem to wszystko dla formalności, ale wydaje się, że nie ma tu żadnego związku z zabójstwem. Przeczytałem nawet dziennik tego człowieka, ale kończy się na jakiś tydzień wcześniej i nie ma tam nic ciekawego. W kontekście śledztwa oczywiście.

– Jestem wdzięczna, że prokuratura tak szybko oddaje nam te materiały. Mój naczelny za chwilę będzie mnie poganiał z artykułem. – Paulina uśmiechnęła się do Olszańskiego.

– Prokuratura to pewnie chętnie by je zatrzymała na czas nieokreślony, ale obiecałem Pawłowi, że nie będziemy robić wam problemów.

– To bardzo miłe z pana strony.

– Oczywiście, jak mówiłem wcześniej, wolałbym, żeby na temat morderstwa pisała pani jak najmniej.

– Oczywiście. A propos, są już jakieś ustalenia?

Olszański spojrzał na Paulinę nieodgadzionym wzrokiem.

– Mężczyzna, Karol W., lat siedemdziesiąt osiem, został zamordowany w poniedziałek rano, najprawdopodobniej przed godziną dziewiątą. Policja i prokuratura przypuszczają, że padł ofiarą włamywacza, ale nie wykluczają też zabójstwa popełnionego z premedytacją. Nikomu nie postawiono jeszcze zarzutów.

Paulina uśmiechnęła się sarkastycznie.

– Zdradził mi pan mniej, niż prawdopodobnie wie już każda baba w Dąbkach.

– Nie byłoby wskazane, żeby więcej pojawiło się w mediach.

– W Koszalinie, a tym bardziej w Dąbkach, raczej trudno znaleźć „Dziennik Szczeciński” w kioskach.

– O waszym portalu internetowym pani nie wspomina.

– No, niech mi pan zdradzi jakiś drobny wątek... – Paulina pochyliła się w stronę Olszańskiego i uśmiechnęła kusząco.

Przez twarz prokuratora przemknął cień uśmiechu.

– Mamy dwóch podejrzanych, którzy mniej więcej w czasie, w którym dokonano zabójstwa, znajdowali się w pobliżu domu Wyrzykowskiego.

– I to wszystko?

– Nie mogę pani nic więcej zdradzić, a i o tym wolałbym, żeby pani nie pisała. – Olszański pochylił się i wyciągnął z szafki przy biurku kopertę. – Tu są zdjęcia zwłok pilota i radiostacji, które obiecałem Pawłowi. Nikt poza wami nie będzie miał tego materiału. To i tak bardzo dużo.

Paulina wzięła do ręki fotografie. Były dobrej jakości, zrobione z porządną lampą. Pomyślała, że w zasadzie Olszański ma rację. Sprawa lotnika jest znacznie bardziej interesująca niż to przypadkowe pewnie morderstwo staruszka.

– Chciałbym zadać pani jeszcze kilka pytań. – Olszański sięgnął po notatnik i spojrzał z namysłem na Paulinę.

Podniosła wzrok znad zdjęcia i popatrzyła na niego wyczekująco.

– Jakie wrażenie zrobił na pani Marek Wyrzykowski? Mówiła pani, że rozmawiała z nim przez telefon w trakcie swojej korespondencji z denatem.

Paulina uniosła brwi. Denatem. Boże, jak to okropnie zabrzmiało.

– Bardzo niechętnie odnosił się do moich kontaktów z ojcem. Twierdził, że takie zainteresowanie mu szkodzi.

– Nie sprawiał wrażenia, jakby problemy z ojcem mu jakoś wyjątkowo ciążyły?

– Mówił, że próbował umieścić ojca w jakimś ośrodku, ale on nie chciał się zgodzić. – Paulina spojrzała w przestrzeń z namysłem. – Zdiagnozowano u niego schizofrenię, mieszkał daleko. To oczywiste, że te problemy mu ciążyły. Nie ma chyba w tym nic szczególnie dziwnego.

Spojrzała na Olszańskiego. Ciekawe, co się kryje za tymi pytaniami.

– Podejrzewacie o coś tego człowieka?

– Po prostu sprawdzamy wszystkie wątki. Powiązania rodzinne w przypadku każdego zabójstwa to pierwszy trop. – Wzruszył ramionami. – Co nie zmienia faktu, że najbardziej prawdopodobne jest jednak, iż zabił go jakiś włamywacz. – Czy w trakcie tej rozmowy telefonicznej... – Olszański przerwał, zmarszczył brwi i popatrzył na Paulinę, jakby przez moment się nad czymś zastanawiał.

– Tak?

– Czy nic nie zwróciło pani uwagi? Coś dziwnego? Coś charakterystycznego? Nie wiem, cokolwiek.

Paulina przez chwilę milczała. Sama się nad tym zastanawiała już wiele razy. I wtedy, gdy słuchała nagrania z Pawłem, i później jeszcze wielokrotnie.

Pokręciła głową.

– Przykro mi.

– Mam do pani jeszcze jedną prośbę. – Olszański wstał od biurka i odprowadził Paulinę do drzwi. – Wiem, że jedzie pani do Dąbek, żeby się rozejrzeć i porozmawiać z ludźmi. Niech pani będzie ostrożna. Jeśli Wyrzykowskiego zabił niechący jakiś włamywacz, to może się poczuć

zagrożony, kiedy zacznie pani wypytywać i interesować się tą sprawą.

– Jestem ostrożna z natury, ale będę pamiętała, dziękuję. – Paulina podała rękę Olszańskiemu i ściskając pod pachą grubą teczkę z kompletem lotniczych artefaktów, zamknęła za sobą drzwi.

Pierwszą rzeczą, o jakiej pomyślała po wyjściu na korytarz, było to, że musi dodzwonić się do młodego Wyrzykowskiego i w końcu z nim porozmawiać.

Olszański usiadł przy biurku i otworzył segregator ze swoimi aktami podręcznymi. Wśród kilku dokumentów, które dostarczył mu jak do tej pory Matuszek, była pewna umowa sprzed kilku lat, a konkretnie z 2008 roku. Umowa, którą Karol Wyrzykowski podpisał z dużym towarzystwem ubezpieczeniowym. Polisa na życie na trzysta tysięcy złotych.

*

Kuter z cichym terkotem starego diesla płynął powoli wzdłuż falochronu. Wejścia do portu na wschodnim nabrzeżu Wieprzy strzegła XIX-wieczna, pękata latarnia morska z czerwonej, wysmaganej przez sztormy cegły, na zachodnim brzegu stał całkiem współczesny niewielki budynek bosmanatu, którego frontowy, nakryty fikuśnym daszkiem wykusz podparty był przez rachityczne kolumnienki.

Po prawej burcie kutra wyrosły pamiętające dwa poprzednie stulecia, odświeżone na pastelowo domy, a nieco dalej cumowała atrapa galeonu „Król Eryk I”. W oddali już rysowała się niebieska konstrukcja jedyne go w Polsce rozsuwanego mostu, którego wieżyczkę sterowniczą z uwagi na kształt dysku mieszkańcy Darłowa ochrztili mianem UFO. Niegdyś w tym miejscu był inny most – równie nietypowy, zbudowany w 1684 roku holenderski most zwodzony. Gdy w latach siedemdziesiątych minionego wieku przebudowywano port w Darłowie, most, który stanowił rzekomo zawadę dla większych jednostek, rozebrano i przeniesiono z niewyjaśnionych powodów do niedalekiej wsi Krąg, gdzie ustawiony został pod tamtejszym zamkiem, na małej rzeczce, gdzie powoli się rozsypując, dotrwał do roku milenijnego, kiedy to wrócił do Darłowa i złożony w kawałkach gdzieś pod płotem na jednej z uliczek leżał tam do dziś.

Ani Artiom, ani Iwan, którzy oparli o reling górnego pokładu stali

i wpatrywali się w nabrzeża miasteczka, nie mieli o tym oczywiście zielonego pojęcia. Pewnie też specjalnie by ich to nie zaciekało, gdyby ktoś chciał się z nimi tą historią podzielić. Iwan już się cieszył na obiad i piwo w którejś z tych małych budek ze smażonymi rybami, które poutykane w różne dziury stały w całym miasteczku. Dzisiaj skończyli wcześniej, jutro zapowiadał się luźniejszy dzień na odpoczynek i sprawdzenie sprzętu, ale za to w niedzielę mieli spędzić cały dzień na kutrze. Artiom był pogrążony w rozrządaniu podsłuchanej dwa dni temu rozmowy szefa z Woroninem. Nie podobała mu się. Nie był oczywiście na tyle naiwny, by przypuszczać, że te ich rejsy wzdłuż wybrzeża i nurkowanie mają całkowicie niewinny charakter, ale chciał wierzyć przynajmniej, że nie robią jakichś przekrętów. Przed wypłynięciem Sierow powiedział mu, że będą poszukiwać zaginionego radzieckiego okrętu podwodnego, który zatonął między Darłowem a Bornholmem, a na którym służył ponoć dziadek zleceniodawcy.

Ale ta podsłuchana rozmowa była jakaś dziwna. Jak on powiedział? Światło umarłych czy jakoś tak... I po jaką cholerę była im cała ładownia wypełniona palnikami, lancami do podwodnego cięcia metalu pioruńsko drogiej firmy Broco Ultrathermic, agregatami, szklami, karabinkami, sprzętem oświetleniowym i całą resztą tego szmelcu do prac inżynierskich na dnie?

*

Wąska asfaltowa droga wiodła w kierunku widocznych już z oddali zabudowań. Po lewej stronie rozciągało się wielkie jezioro Bukowo, po prawej ciągnęły wyleniałe w słońcu, porośnięte rachitycznymi drzewkami łąki. Po chwili mignęła na poboczu zielona tablica z napisem „Dąbki”, a zaraz za nią, po lewej stronie pojawiły się pierwsze zabudowania w postaci zapuszczonego bloku w niepewnie różowym kolorze z wielkim napisem „Baltic”. Nawigacja w komórce Pauliny kazała jej jechać „lekką w prawo” ulicą Darłowską. Zabudowania zaczęły się zagęszczać, pojawiły się pierwsze knajpki pod zadaszeniami, doklejone do pomarańczowych i żółtych budynków. Pierwsza nazwa, jaka rzuciła się Paulinie w oczy, to oczywiście Bar Posejdon, a zaraz potem Krab.

Kobieta westchnęła. Minęła skrzyżowanie. Po lewej stronie wyrósł

znajomy betonowy kościół, którym kilka dni temu zachwycał się Paweł. Zakręcił w prawo, w kierunku na Darłówko, i po chwili po prawej stronie wyłoniło się ogrodzenie, za którym majaczył cel podróży, a przynajmniej tak twierdził Krzysztof Hołowczyc w komórkowej nawigacji. Spory dwupiętrowy budynek w bladożółtym kolorze, przykryty dachem, w którym za dużymi wykuszowymi oknami kryła się jeszcze jedna kondygnacja. Hotel Rekin.

Paulina wjechała na teren ośrodka i zatrzymała się na parkingu. Stało na nim kilka aut, głównie z niemieckimi rejestracjami. Z tego, co się zdążyła zorientować, Rekin był dość drogi jak na tutejsze warunki. Paweł się szarpnął. Chociaż właściwie to tylko dwie doby.

Weszła do dużego jasnego holu i podeszła do recepcji, w której przed monitorem siedziała kobieta ukryta pod kunsztownym masywem brązowobordowofioletowych włosów.

– Dzień dobry. Mam tutaj rezerwację. Paulina Weber.

– Dzień dobry. Pani na tę konferencję stomatologów?

– Broń Boże!

– Tylko na weekend? – Kobieta uśmiechnęła się i obrzuciła Paulinę dyskretnie taksującym spojrzeniem. – Szkoda takiej pięknej pogody na tak krótki urlop.

– Niestety, też jestem tutaj służbowo.

– Rozumiem. – Kobieta wstała i sięgnęła po klucz z plastikowym breloczkiem. – Domek czwórka – powiedziała, kładąc klucz na ladzie.

No tak, domek. Paweł jednak zaoszczędził. Jak mogła go tak niesprawiedliwie podejrzewać o rozrzutność. Paulina przypomniała sobie dziwaczne dwupiętrowe baraczki, ciągnące się w kilku szeregach obok głównego budynku. Ze swoimi asymetrycznymi dachami wyglądały jak kostki z płaskim dachem, które z jednej strony częściowo zapadły się w ziemię.

– W drugim rzędzie. Basen, fitness i jacuzzi w hotelu w cenie. – Kobieta uśmiechnęła się do Pauliny, intensywnie, choć dyskretnie, się jej przyglądając. – Przepraszam, że zapytam... – nie wytrzymała – ...jest pani dziennikarką? Bo rezerwację zrobiła jakaś gazeta, jak zauważyłam.

Paulina pomyślała, że nie ma po co ukrywać tego faktu. Baba pewnie się zastanawia, czy przypadkiem nie chcę pisać o hotelu. Może to i dobrze, bo jak pójdzie jakaś plotka, to niewykluczone, że ktoś sam się do niej zgłosi.

– Tak. Zamierzam napisać artykuł o Dąbkach, o latach powojennych, o historii, zmianach, jakie zaszły w ostatnim okresie.

– O tym powinna pani porozmawiać najlepiej ze starą Wieliszewską. Mieszkała do niedawna w Bobolinie, to najbliższa wieś w kierunku Darłowa. – Kobieta skinęła głową w stronę drogi przed budynkiem. – Ale teraz rodzina ją oddała do jakiegoś domu starców. Pewnie w Bobolinie będą wiedzieć.

– Dziękuję, na pewno zapytam. – Paulina pomyślała, że to rzeczywiście może być dobry pomysł. Pod warunkiem że ze staruszką będzie można się porozumieć.

– Przez chwilę myślałam, że pani w sprawie tego morderstwa przyjechała... – Kobieta nachyliła się do Pauliny. – Straszna sprawa. Całe Dąbki gadają. Nigdy jeszcze u nas niczego takiego nie było, żeby takie morderstwo. Wiadomo, czasem jakieś bandziory miejscowe się pobiją czy kogoś okradną, ale morderstwo? I to taki staruszek był w dodatku.

Paulina pokiwała głową, zastanawiając się, czy kobieta może jej powiedzieć coś ciekawego.

– O takich sprawach powinniście pisać. – Kobieta skrzyżowała ręce i oparła się o kontuar. – Morderstwo w biały dzień! Praktycznie w sezonie, prawie w centrum naszego miasteczka. Pytałam Pawelczykową, sąsiadkę tego biednego Wyrzykowskiego. Nic nie widziała ponoć, ale ona milcząca jest, nigdy nie gada za dużo. Może się boi zresztą.

Paulina zanotowała w pamięci drugie nazwisko, obiecując sobie oba natychmiast zapisać, jak już znajdzie się w końcu w pokoju.

W drzwiach pojawiła się para nobliwie wyglądających starszych osób. Recepcjonistka oderwała się od lady i uśmiechnęła szeroko na widok gości. Paulina stwierdziła, że w tym momencie już nic więcej raczej się nie dowie. Podniosła torbę, uśmiechnęła się do dwojga staruszków, kiwnęła głową rudej kobiecie i ruszyła ku drzwiom.

Domek, cholera! Połowa ceny pokoju.

*

Matuszek ociężale pokonał siedem betonowych stopni przyściennego podestu schodów wejściowych, pchnął wysłużone skrzydło drzwi, nad którym w pięciobocznym kartuszu wisiał polski Orzeł Biały, i znalazł się w ciemnym korytarzu Komendy Powiatowej w Sławnie. Policjant dyżurny oderwał wzrok od monitora i kiwnął mu głową, uśmiechając się służbowo.

– Jest już Fenger?

– Jeszcze nie wróciła. – Młody policjant pokręcił głową.

– Jak wróci, to przyślij ją natychmiast do mnie. Pojedzie ze mną na rozmowę ze świadkiem.

– Fenger? – Policjant podniósł brwi ze zdziwieniem. – Z drogówki?

– Niemiecki dobrze zna. Nie wiem, czy świadek mówi po angielsku.

Matuszek wspiął się po schodach na pierwsze piętro, pokonał krótki korytarz i wszedł do swojego pokoju, gdzie przy biurku obok drzwi siedział młody sierżant i pracowicie stukał w klawiaturę.

Matuszek opadł na krzesło, rzucił torbę na podłogę i położył na blacie plik papierów, które przyniósł ze sobą. Życie byłoby piękniejsze bez tych cholernych raportów. Spojrzał na młodego policjanta – ten pisał w skupieniu, co chwilę zaglądając do rozłożonych na biurku kartek.

– Notatka z oględzin?

– Yhmm...

Matuszek pokiwał głową i spojrzał w zamyśleniu w okno. Pokój był od strony wschodniej i jeszcze o tej porze wpadało tutaj słońce, kładąc się rozleniwiającymi smugami późnego lata na meblach i szarej wykładzinie.

– Pawelczyk widziała, jak ten Niemiec wychodzi od Wyrzykowskiego o dziewiątej, ale nie widziała, kiedy wchodził – mruknął do siebie.

– Yhmm...

– Jeśli to nie on go zabił, to musieli się wręcz minąć z mordercą. Tylko po co zwykły turysta z Niemiec miałby mordować pomyłonego staruszka? Nawet jeśli uwzględnimy te mapy i trupa z piwnicy. Czy to się w ogóle może jakoś wiązać? – Matuszek wyciągnął nogi na całą długość i założył ręce za

głowę.

– Wiesz, skąd ten Niemiec jest?

– Myślałem, że piszesz raport. – Matuszek spojrzał ze zdziwieniem na kolegę.

– Mam podzielną uwagę – mruknął pod nosem młody sierżant, nie odrywając oczu od monitora. – Dzwoniłem do tego hotelu, w którym się zatrzymał. Przyjechał z Börgerende.

– I co z tego?

– To w Meklemburgii. Śliczne miasteczko. Po cholereę ktoś, kto mieszka w pięknym kurorcie nad Bałtykiem, przyjeżdża na urlop do Darłowa?

*

– Ma pani szczęście... – Ubrana w jasnofioletowy fartuch siostra uśmiechnęła się do Pauliny i wskazała ręką kierunek.

Korytarz pomalowany był na pastelowy zielony kolor, który łagodnie kontrastował z drzwiami z naturalnego drewna. Niektóre stały otworem, a w głębi sal widać było łóżka z patrzącymi ciekawie, ze smutkiem lub rezygnacją staruszkami.

– Niektórzy z naszych pacjentów znajdują się w stanie terminalnym... – pielęgniarka podążyła za spojrzeniem Pauliny – ...postępujące, nieuleczalne choroby nowotworowe, demencja starcza, schyłek życia.

Paulina pokiwała głową. Czuła się trochę przytłoczona tym miejscem. Trafiała tutaj nadspodziewanie łatwo. Gdy tylko rozpakowała się w swoim domku, postanowiła nie marnować czasu. Nastawiona na długie wypytywanie mieszkańców Bobolina o starą Wieliszewską, została mile zaskoczona, gdy w pierwszym domu, przy którym się zatrzymała, miła starsza pani udzieliła jej wyczerpujących wyjaśnień. Okazało się, że rodzina umieściła staruszkę w hospicjum w Darłowie, w nowo wybudowanym, prowadzonym przez Caritas ośrodku opieki paliatywnej.

Czuła się teraz trochę nie w porządku. Przyjechała tutaj, żeby wyciągnąć z jakiejś biednej staruszki jej wspomnienia z czasów, gdy była młoda, możliwe, że piękna, gdy życie w niej płonęło. Sama wyjdzie stąd za jakieś pół godziny na własnych sprawnych nogach, zostawiając tę biedną kobietę

z jej myślami, zalem, tkwiącą na wózku inwalidzkim lub w jednym z tych łóżek, z których pewnie wychodzi z pomocą pielęgniarek tylko raz, może dwa razy dziennie. Podzieliła się swoimi wątpliwościami z siostrą.

– Zupełnie niepotrzebnie się pani martwi. – Pielęgniarka uśmiechnęła się do niej, otwierając oszklone drzwi, prowadzące na kolejny korytarz. – Pani Helena ma wprawdzie postępującą demencję, cierpi także na różne schorzenia somatyczne, ale generalnie nie jest z nią najgorzej. Bardzo lubi, jak odwiedzają ją goście. Rodzina bywa u niej tylko kilka razy w miesiącu, ale za to nie jest pani pierwszą dziennikarką, która do niej zawitała.

– Naprawdę?

– Pisali o niej już w Sławnie i w Koszalinie. Ma przecież dziewięćdziesiąt dwa lata, a wciąż potrafi wiele opowiedzieć. Sporo pamięta. Jest obecnie najstarszą mieszkanką Darłowa. Jak ma dobry dzień i dobrze się czuje, to gdy nikt nie przyjdzie, mówi sama do siebie. Rodzina nie ma nic przeciwko takim wizytom, bo dzięki nim pani Helena czuje się potrzebna. Wspomniałam, że ma pani szczęście, bo dzisiaj nasza Helenka jest w wyjątkowo dobrym nastroju.

Pielęgniarka zatrzymała się przed ostatnimi drzwiami na korytarzu, nacisnęła klamkę i wpuściła Paulinę do środka.

Wewnątrz stały trzy łóżka. Na jednym spała jakaś wymizerowana, siwiutka jak gołąbek staruszka, jedno było puste i posłane, a obok trzeciego, przy oknie, na wózku siedziała starsza pani, z gładko zaczesanymi do tyłu siwymi włosami, i uśmiechała się przyjaźnie do Pauliny. Nie wyglądała na dziewięćdziesiąt dwa lata i miała całkiem bystry wzrok.

Paulina podeszła do niej i nieśmiało skinęła głową.

– Dzień dobry, dziecko. – Staruszka uśmiechnęła się promiennie. – Jesteś z mojej dawnej klasy? Nie pamiętam cię.

Paulina przypomniała sobie, że siostra mówiła o Helenie Wieliszewskiej jako jednej z pierwszych nauczycielek szkoły w Darłowie.

– Nie, nie. – Uśmiechnęła się. – Jestem dziennikarką. Przyjechałam ze Szczecina. Chciałam z panią porozmawiać na temat pierwszych lat po wojnie. Piszę właśnie...

– Wojna i wojna. – Staruszka pokręciła głową z niechęcią. – Ciągle was ta

wojna interesuje. Siedemdziesiąt lat minęło, a ta wojna wciąż jeszcze wszystkich fascynuje.

– Może nie tyle o wojnie... – Paulina przestraszyła się, że zniechęci kobietę do rozmowy – ...co o pierwszych latach tutaj, na tych terenach. Pani przyjechała jednym z pierwszych transportów?

– Pierwszym transportem. – Starsza pani pokiwała głową. – W czerwcu czterdziestego piątego roku. Miałam dwadzieścia dwa lata. Byłam przerażona. I zupełnie sama. Całą moją rodzinę Sowieci wywieźli do łagrów. Nigdy ich więcej nie widziałam. Pisałam później listy do różnych instytucji, Czerwonego Krzyża, na darmo...

Paulina milczała, nie bardzo wiedząc, czy lepiej słuchać, czy naprowadzić kobietę na temat, który ją interesował najbardziej. Wciąż się obawiała, że dobry nastrój staruszki i łatwy kontakt z otoczeniem pod wpływem jakiegoś niezręcznego pytania nagle znikną jak zdmuchnięty płomycek.

– A co konkretnie cię interesuje, dziecko? – Kobieta spojrzała na nią uważnie i Paulina pomyślała, że chyba niepotrzebnie się obawia.

– Konkretnie historia związana z pewnym starszym panem, który mieszkał w sąsiednich Dąbkach, prawie od tak dawna, jak pani w Darłowie.

– Wyrzykowski?

– No, tak. – Paulina spojrzała z zaskoczeniem. – Karol Wyrzykowski.

– Już ktoś mnie pytał o niego. Kilka miesięcy temu... – Staruszka spojrzała z namysłem w okno. – Nie pamiętam dokładnie. Jakoś lepiej pamiętam to, co było kilkadziesiąt lat temu, niż dwa, trzy miesiące.

Widząc, że kobieta się zamyśliła, Paulina chrząknęła.

– Kilka miesięcy temu... – zaczęła – ...Wyrzykowski przysłał do mnie wiadomość i opisał swoje wspomnienia. Problem w tym, że to są wspomnienia z ostatnich lat wojny, a on pisał tak, jakby mieszkał tutaj od dawna. Wiem, że jest Polakiem, przyjechał tu z rodzicami z Kresów jako dziecko...

– Pamiętam jego rodziców. Stary Wyrzykowski nazywał się chyba Wiesław, a jego żona Halina... – Staruszka spojrzała na Paulinę zamyśloną. – I pamiętam też matkę Karola...

Paulina zmarszczyła brwi.

– Nie rozumiem?

– Może on tam się i czuł Polakiem, moje dziecko, ale tak naprawdę nazywał się Karl Jauch i urodził się w Dąbkach, a właściwie to w Neuwasser.

Rozdział 10

Zaskoczona Paulina wpatrywała się z niedowierzaniem w staruszkę, która zaciskała bezwiednie usta ze wzrokiem wbitym w okno.

– To były straszne czasy. Szczególnie dla kobiet, a zwłaszcza Niemek, które nie zdążyły lub nie mogły stąd wyjechać. Matkę Karla zamordowali Sowieci, a najpierw zgwałcili. Ludzie mówili potem, że było ich z dwudziestu. Po wszystkim strzelili jej w tył głowy i wyrzucili na hałdę obornika za domem.

Paulina, która do tej pory stała oparta o metalowe wezglowie łóżka, poczuła, że musi jednak usiąść. Sięgnęła po jedno z krzeseł stojących przy stoliczku obok wejścia i postawiła je przy wózku, na którym siedziała pogrążona we wspomnieniach staruszka.

Wyrzykowski był Niemcem! Nie żadnym szaleńcem, który przywłaszczył sobie cudze wspomnienia, ale dzieckiem, które zostało samo w swoim własnym domu, podczas gdy cała jego rodzina zginęła. Znała ten temat. Dwa lata temu „Dziennik Szczeciński” zamieścił duży artykuł o wysiedleniach niemieckiej ludności z Pomorza i o losach cywilów. Dzieci, kobiety. Czytała zresztą o tym w innych lokalnych gazetach. Przeróżająca tragedia setek tysięcy mieszkańców wsi i miasteczek. I nie o same wysiedlenia tutaj chodziło.

W lipcu 1942 roku radziecka gazeta „Krasnaja Zwiezda” zamieściła apel skierowany do sowieckich żołnierzy, którego autorem był Ilja Erenburg[22].

...Jeśli zabiłeś jednego Niemca, zabij drugiego – nie ma dla nas niczego weselszego od niemieckich trupów. Nie licz dni. Nie licz wiorst. Licz jedno: zabitych przez ciebie Niemców. Zabij każdego Niemca!...

Fragmety tej odezwy, często zmienione i jeszcze brutalniejsze, były kolportowane później w radzieckich oddziałach. Do dzisiaj w Niemczech panuje pogląd, że apel Ilji Erenburga był jednym z głównych zapalników, które przyczyniły się do odwetowych masakr w Prusach Wschodnich i na

Pomorzu. Gdy 23 października 1944 roku oddziały niemieckie odbiły, zajęta wcześniej przez Rosjan, wieś Nemmersdorf w Prusach Wschodnich, odkryły na miejscu kilkadziesiąt ciał zamordowanych z wyjątkowym okrucieństwem kobiet, dzieci i starców. Tragedia posłużyła niemieckiej machinie propagandowej jako narzędzie do zwiększenia oporu wśród niemieckiej ludności, ale wywołała także efekt, nazywany później „syndromem Nemmersdorfu”, w wyniku którego tysiące owładniętych nieludzkim strachem ludzi rzuciło się w środku mroźnej zimy do ucieczki z Prus Wschodnich, a ludność, uwięziona w swoich domach w miastach i wsiach Pomorza, na wieść o zbliżającej się Armii Czerwonej popełniała zbiorowe samobójstwa. Ten strach nie był bezzasadny. Gdy Rosjanie weszli do Lęborka i odkryli zachowane tutaj wielkie zapasy alkoholu w magazynach firmy Koch & Kaspar, nie trzeźwiejąc przez kilka dni, zgwałcili i zamordowali kilkadziesiąt kobiet i dzieci. W jedną noc samobójstwo popełniło aż sześćset osób. W Słupsku Rosjanie zamknęli miejscową ludność niemiecką w tak zwanym obozie filtracyjnym, by po wieczornych popijawach tym łatwiej gwałcić na miejscu nawet dziewięcioletnie dziewczynki. Ofiarom później strzelano w tył głowy, a zwłoki wyrzucano na pobliskie śmietniki. Niekiedy ofiarami padały także i Polki. Wprawdzie kodeks Armii Czerwonej przewidywał surowe kary za przestępstwa popełnione na ludności cywilnej i bywało nawet, że w przypadku polskich przesiedleńców NKWD karało sprawców, jednak w przypadku ludności niemieckiej mordercy i gwałciciele pozostawali całkowicie bezkarni.

Zamyślona Paulina niewidzącym spojrzeniem wpatrywała się w przestrzeń przed sobą. Dopiero po chwili dotarło do niej, że staruszka nadal mówi.

– Zmarł na tyfus...

– Słucham? – Paulina zmarszczyła brwi. – Przepraszam, zamyśliłam się i nie słyszałam.

– Ten chłopiec Wyrzykowskich. Miał na imię Wojtuś. Umarł na tyfus. – Kobieta pokiwała głową. – W lato, zaraz na koniec wojny, wybuchły straszne epidemie. W Słupsku, Koszalinie. Zmarło kilka tysięcy ludzi. To chyba ze Słupska właśnie ktoś przywłókł tę zarazę. Wyrzykowscy już wcześniej opiekowali się tym małym Karlem, a po śmierci syna go zaadoptowali. Po prostu zaczęli nazywać go Karolem. Obaj byli w tym

samym wieku, mieli jasne włosy. W papierach miał potem, o ile wiem, Karol Wojciech. Nawet nie wiem, czy coś załatwiali, czy ot, po prostu podali, że jest ich synem, i tak zostało. Nie chodził do szkoły na początku. Sami uczyli go języka. Do mojej klasy trafił dopiero po roku. Miał ciężkie życie wśród dzieciaków, ale poradził sobie.

– Czyli Karol Wyrzykowski został w swoim domu. To były jego wspomnienia... – Paulina, cały czas zamyślona, spojrzała w okno. – To, co pisał, to były jego własne przeżycia. Zaraz...

– Tak było, moje dziecko. – Helena Wieliszewska uśmiechnęła się łagodnie i splotła ręce na kocu, kręcąc młynka palcami. – Ale pamiętam, że z jego matką to było jakoś dziwnie...

Pamiętnik! Paulina przypomniała sobie w tym momencie o skradzionych, brakujących kartkach z dziennika Wyrzykowskiego. Tam musiało być coś więcej o tej historii z lotnikiem. Z jakiegoś powodu jej to przysłał. Zdała sobie sprawę, że teraz, kiedy okazało się, że jednak opisywał własne wspomnienia, nabrało to jakoś innej wagi. Te brakujące kartki... Coś na ten temat wspominał...

– Czemu dziwnie? – Dopiero teraz dotarły do niej słowa staruszki.

– Dziwna historia jakaś... – Pani Helena zmarszczyła brwi i nagle przytknęła dłoń do ust, spoglądając z zaaferowaniem na Paulinę. – Pamiętam już, kto mnie pytał o Karola, a właściwie o inne sprawy! Taki starszy pan. Bardzo elegancki...

– Inne sprawy? Ale co było dziwne? – Paulina poczuła, że przestaje nadążać za myślami staruszki. Kto by przypuszczał.

– Niemiec. Nie znał polskiego. Była z nim miła młoda pani i ona tłumaczyła. Szukał grobu swojego brata, który zginął w Darłowie pod koniec wojny. Pytał o cmentarze, chciał wiedzieć, czy nie ma w okolicy jakichś niezidentyfikowanych mogił...

– Pomogła mu pani? – Paulina miała nadzieję, że staruszka nie zapomni z kolei o historii z matką Wyrzykowskiego. Niemiec poszukujący grobów bliskich był ciekawym tematem, ale wolałaby raczej, by pani Helena skupiła się na jednym wątku. Tym bardziej że lada chwila może wpaść tutaj siostra i stwierdzić, że pensjonariuszki nie można dłużej męczyć.

– Pamiętałam, że kiedyś koło kościoła Świętej Gertrudy zakopano jakieś szczątki odnalezione na poligonie. Jacyś Niemcy. Wszystko tajne było wtedy. SB się tutaj kręciło... – Staruszka zamyśliła się znowu, patrząc w okno. – I ten mord zaraz po wojnie teraz sobie przypominam. Tyle nieszczęść...

Paulina pogratulowała sobie w duchu, że cały czas miała włączony dyktafon, bo zaczynała gubić się w rozlatujących się we wszystkie strony, jak domowe ptactwo, wspomnieniach staruszki.

– Pani Heleno – zaczęła delikatnie. – Co było dziwnego z matką Karola? Rozumiem, że chodziło o tę Niemkę?

– A tak, tak... – Staruszka spojrzała na Paulinę z namysłem. – Pamiętam, że dziwnie wówczas się to odbyło wszystko. Ludzie też gadali. Nikt się wówczas nie przejmował Niemcami, mało kto był w stanie zdobyć się wobec nich na litość. Sowieci gwałcący niemieckie kobiety... Oni uważali, że im się to należy. Tymczasem wtedy pod dom Wyrzykowskich przyjechali jacyś oficerowie tych kacapów i przesłuchiwali długo tych swoich. Nie zabrali ich ze sobą, tylko na miejscu z nimi gadali, a potem i dom przeszukali. I w końcu kilku zastrzelili. Ot tak, kulka w łeb i koniec. NKWD wówczas się nie certoliło, ale jednocześnie nie karało swoich za Niemców. No, a zaraz potem gruchnęła ta wieść o zamordowanych Polakach...

– Polakach?

– Wracali do domów, do Polski, z obozów, z robót. Sześćdziesiąt osób. Z tobołami, z całym swoim nędznym dobytkiem. Poprosili o nocleg w mieście. Wtedy był już tutaj w Darłowie pierwszy burmistrz, Dulewicz. No i dostali taki dom za miastem, pod lasem, samotny. A rano okazało się, że wszyscy zostali zamordowani...

Paulina cicho wciągnęła powietrze, nie chcąc przerywać staruszce.

– Ludzie potem gadali o tym długo, bali się chodzić samotnie do lasu. Oficjalnie było, że to niemieckie bandy, ale ludzie po cichu gadali, że to Ruskie ich zabili. Dla ich dobytku. Tylko że co to był za dobytek. Ja pamiętam te ich szmaty powiązane w tobołkach. Może i mieli tam jakieś oszczędności, jakieś drobne drogocenneści, ale po co by to było Ruskim, skoro do szabru tu w okolicy całe domy stały otworem...

– I co było dalej? – Paulina nie wytrzymała, gdy staruszka umilkła na

dłuższą chwilę.

– Pochowali ich gdzieś w tym lesie, a potem zapomnieli gdzie. Pisali w gazetach po upływie lat, że szukają, że śledztwo prowadzą. Prokurator z Koszalina przyjeżdżał, ale nigdy nic nie znaleźli. Ludzie gadają, że w tym lesie tam straszy teraz...

Przez chwilę panowała cisza, po czym zaskrzypiały drzwi. Do sali weszła siostra i spojrzała na Paulinę z lekkim zniecierpliwieniem.

– Pani Helenka powinna już odpocząć. – Stanęła nad wózkiem staruszki. – To za dużo emocji jak na jeden raz.

– Tak, dziecko. – Pani Helena pochyliła się do Pauliny i dotknęła jej ręki. – Jestem rzeczywiście zmęczona. Jakbyś chciała mnie jeszcze odwiedzić, to będzie mi bardzo miło.

*

– Nie wiem dokładnie, która była wtedy godzina. – Bruno Schliemann, z nogą założoną na nogę i dłońmi splecionymi na brzuchu, z doskonale wystudiowaną obojętnością siedział na jasnej, obitej imitacją skóry sofie i patrzył na dwoje policjantów.

Matuszek, pozornie skupiony na notowaniu, dyskretnie go zlustrował. Szczupły, wysportowany, jak na swój wiek wyglądający doskonale, co zapewne zawdzięczał nie diecie i ćwiczeniom, ale długim latom właściwych wyborów i zdrowemu trybowi życia. Wojskowy? Na pewno zamożny, chociaż sam fakt, że stać go było na apartament w tutejszym hotelu, nie musiał o tym świadczyć, w końcu przyjechał z innej strefy płatniczej. Matuszek dyskretnie rozejrzał się po wnętrzu. Salonik miał duży taras z widokiem na morze. Ściany w kolorze burgunda i do tego jasne wyposażenie, drewno w kolorze wiśni. Siedząc tutaj i patrząc na morze, można było przez chwilę poczuć się jak w Grecji.

Posterunkowa Fenger siedziała na krześle naprzeciw Niemca w pozycji grzecznej dziewczynki, z nogami splecionymi pod krzesłem, i idealnym niemieckim powtarzała pytania, które kierował do Schliemanna Matuszek.

– Spojrzałem na zegarek dopiero w samochodzie, gdy ochłonałem. Była wtedy dziewiąta pięć. To akurat pamiętam dokładnie. Więc gdy nacisnąłem

klamkę i otworzyłem drzwi, była może za pięć, sześć dziewiąta. Zadzwoiłem dwa razy, a gdy nic się nie działo, odruchowo sięgnąłem do klamki.

– I drzwi były otwarte? – Matuszek pochylony nad notesem narysował małe kółeczko nad literą i.

– Tak jak już mówiłem. – Niemiec kiwnął głową. – Wszedłem do środka i zobaczyłem, że ten człowiek tam leży. Jakiś metr od wejścia. Przez moment byłem zaskoczony, a potem podszedłem szybko, by sprawdzić, co się stało. Wtedy myślałem po prostu, że się przewrócił lub zasnął. Tymczasem on już nie żył. I wtedy dopiero się przestraszyłem.

– Dlaczego pan nie wezwał pogotowia? Jaką pan miał pewność, że nie można było mu pomóc?

– Nie żył. Wpadłem wtedy w popłoch. Wiem, to głupio może brzmieć, ale ja się naprawdę przestraszyłem, że morderca jest gdzieś w pobliżu i mnie obserwuje. Ochłonąłem dopiero w samochodzie. Nie wiedziałem, co robić, więc pojechałem na parking i poszedłem na długi spacer, a potem pomyślałem, że o tej porze za chwilę i tak ktoś go znajdzie.

Matuszek podniósł głowę i spojrzał beznamiętnie na Schliemanna.

– Skąd pan wiedział, że to było morderstwo? Przecież mógł się na przykład udławić?

– Zasinienie twarzy, drobne krwawe wybroczyny pod powiekami. Przez moment myślałem rzeczywiście, że się udławił, ale siniaki na szyi były zbyt rozległe. Poza tym miał najwyraźniej uszkodzoną przegrodę nosową, tak jakby ktoś go mocno przytrzymał... – Niemiec patrzył przez chwilę na nieruchomą twarz Matuszka, na której wyczytał zapewne odrobinę powątpiewania. – Jestem lekarzem. Onkologiem. Prowadzę niewielką klinikę w Lubece.

Matuszek pokiwał głową.

– Proszę mi powiedzieć, po co pan przyjechał do Darłowa? To wyłącznie turystyczna wyprawa? Sentymentalna?

– Przyjechałem odszukać grób swojego brata. Był oficerem. Służył w oddziale ciężkiej artylerii kolejowej w Darłowie.

Matuszek pomyślał, że jakoś dziwnie to brzmi, gdy ktoś szuka grobów

swoich przodków wśród oprawców, którzy założyli tutaj obóz pracy przymusowej, gdzie zginęło ponoć kilkanaście tysięcy więźniów.

– Skąd pan znał Karola Wyrzykowskiego?

– Nie znałem go. – Niemiec pokręcił głową. – Kilka miesięcy temu dowiedziałem się, że Wyrzykowski naprawdę nazywa się Jauch i że urodził się tutaj, w Neuwasser.

Matuszek spojrział ze zdziwieniem na posterunkową Fenger, która beznamiętnie przetłumaczyła słowa Schliemanna.

– Wyrzykowski? Skąd ta informacja?

– Od pewnej staruszki z Darłowa. Znalazłem ją, wypytując o najstarszych mieszkańców. Skierowano mnie do ośrodka pomocy na obrzeżach miasta, gdzie mieszka pewna emerytowana nauczycielka. I to ona właśnie opowiedziała mi o dzieciństwie Wyrzykowskiego.

Matuszek przez chwilę patrzył zaskoczony na Niemca. Miał przecież ostatnio w rękach odpisy aktów urodzenia i inne dokumenty, z których wynikało, że Wyrzykowski przyjechał do Darłowa ze swoimi rodzicami jednym z pierwszych transportów, jakie tu dotarły. Gdzieś z Kresów, o ile pamiętał.

– A czego właściwie pan chciał od Wyrzykowskiego?

– Chciałem z nim porozmawiać, dowiedzieć się czegoś na temat mojego brata. Liczyłem, że powie mi cokolwiek.

– A dlaczego właściwie miałby cokolwiek wiedzieć? Był wtedy przecież jeszcze dzieckiem. – Matuszek spojrział na Fenger. Wzruszyła ramionami.

– Jego matka pracowała w jednostce. Sprzątała, pomagała w domach oficerów. Nazywała się Marianne Jauch. Musiała mieć styczność z moim bratem. Miałem nadzieję, że może usłyszał coś od niej. – Niemiec chrząknął, zasłaniając usta dłonią, i spojrział przez otwarte drzwi tarasowe, za którymi po horyzont ciągnęło się morze. – Mój brat zginął w niezbyt jasnych okolicznościach. To był wyrok. Niewiele na ten temat zachowało się dokumentów, większość akt została zniszczona, inne do tej pory są tajne.

Matuszek i posterunkowa Fenger wymienili się spojrzeniami. To nie był pierwszy Niemiec, który szukał tutaj śladów swojej lub cudzej przeszłości. Ludzie opowiadali różne historie o podziemiach, zalanych schronach

i tunelach w Darłótku. I o Wunderwaffe, rzecz jasna. Generalnie bzdury. Tyle że tutaj był jeszcze trup lotnika w piwnicy i zrzucona przez aliantów radiostacja. Czy to ma jakiś związek? A w kontekście tego przede wszystkim, jaki motyw mógłby mieć ten stary Niemiec, żeby zabić Wyrzykowskiego? Zemsta z przeszłości? Chęć zdobycia jakichś materiałów, które rzekomo Wyrzykowski posiadał? Nic z tego, co przywiozła ta dziennikarka, nie miało żadnej wartości materialnej.

– Czy zabrał pan coś z domu Wyrzykowskiego?

Niemiec, zaskoczony, spojrzał na Matuszka szeroko otwartymi oczami.

– Skądże! Nie wszedłem nawet dalej do środka. Nawet dokładnie nie zdążyłem się rozejrzeć. Czemu pan pyta? Czy coś zginęło? Okradziono go?

– Nie możemy udzielać takich informacji, oczywiście. – Matuszek wzruszył ramionami i powoli podniósł się z krzesła. – No dobrze, to dziękujemy panu za rozmowę... Poproś o jego numer telefonu, w razie gdybyśmy mieli jeszcze jakieś pytania – rzucił do posterunkowej Fenger, skinął głową Niemcowi i skierował się do wyjścia.

Doświadczenie mówiło mu, że Schliemann powiedział raczej prawdę. Tyle że nie całą...

*

Paulina wyszła spod prysznic, owinęła się ręcznikiem i szcietkując włosy jedną ręką, drugą otworzyła laptopa. Na ekranie pojawiło się jej imię, nazwisko i okienko logowania. Jakimś cudem udało jej się specjalnie na ten wyjazd zapamiętać cholerne hasło, którym na co dzień się nie przejmowała. W redakcji miała maleńką różową karteczkę samoprzylepną przyczepioną do monitora, na której jak wół widniało niezwykle trudne do zapamiętania słowo „Paula85”. Pocieszała się, że była zapewne statystycznie najbardziej typowym użytkownikiem, tym bardziej że tego samego hasła używała także do Facebooka, Skype’a i kilku jeszcze innych miejsc. Głupota. Oczywiście. Absolutnie się z tym zgadzała, ale jak, do cholery, miała zapamiętać dziesiątki różnych haseł, w których trzeba było użyć jakiejś ściśle określonej jako minimalna liczby cyfr, często małych i wielkich liter, albo jednego i drugiego jednocześnie? W dodatku nigdzie ich nie zapisując? Może to i lepiej jednak, że nie zajmuje się dziennikarstwem śledczym.

Po spotkaniu z Heleną Wieliszewską postanowiła się zresetować i udała się na spacer po plaży. Potem długo szła wydmami, usiłując rozkoszować się wciąż piękną pogodą i czystym błękitem nieba, ale miała wrażenie, jakby wszystko z lekka straciło smak. Czuła się wyrwana ze swojej bezpiecznej rzeczywistości, tak jakby na chwilę otarła się o tamte czasy i nie pozostało to bez wpływu na jej nastrój. Wracając, w małej restauracyjce przy plaży wydała diety przeznaczone na wyżywienie na kawałek grillowanego pstrąga i sałatkę Cezar. Mimo wszystko zachowała dobry humor, powiedzmy, potencjalnie dobry humor.

Biorąc pod uwagę wyłącznie racjonalne względy, nie było źle. Znalazła element łączący dwa oddzielne tematy, które wcześniej do siebie nie pasowały. Historia Wyrzykowskiego, który jako mały chłopiec został w Polsce, w swoim własnym domu, przez lata ukrywając tajemnicę śmierci lotnika i jakiejś szpiegowskiej afery, była fantastyczna! W dodatku ten kontekst wojennej zawieruchy, losów niemieckich kobiet i mocny finał w postaci przypadkowej śmierci, zadanej przez jakiegoś włamywacza. Miała wreszcie wielki, wręcz szekspirowski temat. Nawet jak już niczego więcej nie zdoła ustalić, to z tego materiału będzie rewelacyjny artykuł. Wprawdzie dość niepokojąco zabrzmiała wzmianka o tajemniczym mordzie na sześćdziesięciu Polakach w lasach pod miasteczkiem, ale to był temat na zupełnie inną historię. Dla porządku jednak chciała jeszcze porozmawiać z młodym Wyrzykowskim. Czuła się wprawdzie przez to jak hiena, ale wiedziała, że Paweł by jej nie darował, gdyby przynajmniej nie spróbowała. Tylko że Wyrzykowski wciąż nie odbierał telefonów.

Wstała i sięgnęła po leżące na łóżku dzinsy. Wieczorem czekała ją jeszcze kolacja z Johannem, ale do tego czasu miała kilka godzin. O ile bardzo się cieszyła na spotkanie z dawno niewidzianym przyjacielem, o tyle jego arystokratyczne towarzystwo wprawiało ją w lekki popłoch. Sprawdziła godzinę na monitorze. Była szesnasta. W tym momencie zauważyła leżącą na stole kartkę, na której dzisiaj rano, po przyjeździe, zapisała sobie dwa nazwiska. Wieliszewska i to drugie, Pawelczyk. Zofia Pawelczyk. Sąsiadka Wyrzykowskiego.

O tej porze na pewno jest już w domu. To raptem kilka minut drogi stąd.

*

Schliemann patrzył jeszcze przez chwilę w kierunku przedpokoju, w którym dopiero co zniknęli młoda policjantka w mundurze i śledczy w cywilnym ubraniu, tak jakby chciał się upewnić, czy nie zdecydują się jednak zawrócić. Przez moment nasłuchiwał, po czym wstał z sofy, podszedł do drzwi i przekręcił zamek. Ostatnia część rozmowy z policjantem wyprowadziła go z równowagi, mimo że od początku przygotowywał się do odpowiedzi na takie właśnie pytanie i od początku wiedział, że wcześniej czy później ono padnie. Nie zabrał stamtąd nic, ponieważ nic tam nie było. Ten cholerny psychol niczego przy sobie nie miał. Możliwe, że gdzieś ukrył te dokumenty albo, co bardziej prawdopodobne, ukradli je z jego plecaka ci złodzieje. Prawdopodobnie zostawili sobie potem jedynie portfel, a resztę zawartości wyrzucili na jakiś śmietnik. Podszedł do szafy, szarpnął za drzwi i wyciągnął swoją kamizelkę. Wyjął z kieszeni zmiętolone elastyczne, białe rękawiczki i przez chwilę rozglądał się wokół siebie. Nie może ich wyrzucić nigdzie tutaj. Co będzie, jeśli jednak zechcą przeszukać pokój? Kojarzył, że rękawiczki zostawiają jakieś mikroślady, które można zidentyfikować. Uderzył nerwowo białym lateksowym materiałem o wierzch dłoni, po czym zwinął go w małą kulkę i wepchnął do kieszeni spodni. Pozbędzie się ich gdzieś na zewnątrz.

*

Paulina zatrzymała się na jednym z wolnych miejsc parkingu usytuowanego niedaleko wjazdu do dużego ośrodka wypoczynkowego, przed którym rozciągał się spory skwer porośnięty wybujałymi iglakami. Zamknęła drzwi, samochód pisnął niepewnie i błysnął światłami. Pieszozjezdna uliczka przed domem Wyrzykowskiego i sąsiednimi nowymi willami była dość wąska, na podwórza domów prowadziły z niej szerokie zjazdy, a w kilku miejscach stały przytulone do płotów samochody, utrudniając przejazd w głąb ulicy.

Rozejrzała się dookoła i powoli ruszyła w kierunku pierwszego z sąsiadujących ze skwerem domów. W głowie cały czas miała artykuł, którego plan w postaci kilku najważniejszych punktów zdążyła zapisać przed wyjściem. Zastanawiała się, czy z brakujących fragmentów pamiętnika Wyrzykowskiego dowiedziałaaby się czegoś więcej ponad to, o czym opowiedziała jej staruszka. Skoro ani zwłok lotnika, ani radiostacji nikt do tej

pory nie odnalazł, to pewnie matka Karla nikomu o tym nie powiedziała. Najwyraźniej zatem ten szpieg, do którego wysyłał ją lotnik, nigdy o niczym się nie dowiedział. Ciekawe tylko, o ratowanie jakich ludzi mogło chodzić? Może jeńców? Może pracowników przymusowych? No bo raczej nie tamtych przypadkowych sześćdziesięciu Polaków, którzy wracali z robót do kraju. To jakaś całkiem inna sprawa. Poza tym tych ludzi, o ile pamiętała, miały być tysiące. Może chodziło zatem o jakiś nowy rodzaj broni, który tutaj testowano? Darek coś mówił na ten temat. O próbach z bombą atomową na Wolinie.

Skrzywiła się pod nosem. Najlepiej będzie, jak o tych sprawach jedynie wspomni, tyle tylko, ile potrzeba w kontekście lotnika. Bez żadnych bzdur o Wunderwaffe, Shangri-La[23] czy nazistach na Księżycu zgoła.

Zatrzymała się przed ogrodzeniem, za którym stał duży, pomalowany na jasnokremowy kolor, przykryty czerwoną dachówką dom. Przy schodach na ścianie wisiała tablica z napisem „Pokoje do wynajęcia. Zofia Pawelczyk”. Niżej był telefon i e-mail. Za płotem podskakiwał z entuzjazmem młody labrador. Paulina pomyślała, że jeśli gdzieś tam biega jego matka, to nie będzie raczej zachwycona tym, że ktoś bez pozwolenia wchodzi na podwórze. Nacisnęła dzwonek.

– Dzień dobry, czym mogę pani służyć? – Na schodach pojawiła się kobieta przed sześćdziesiątką, z krótko obciętymi włosami.

– Pani Pawelczyk? – Paulina uśmiechnęła się niepewnie. – Chciałabym z panią porozmawiać. Nazywam się Paulina Weber.

– W jakiej sprawie? – Kobieta podeszła do furki i obrzuciła Paulinę uważnym spojrzeniem.

– Na temat pani sąsiada, pana Wyrzykowskiego...

Pawelczyk zmarszczyła brwi.

– Kim pani jest? Rozmawiałam już z dwoma policjantami. Nic więcej nowego pani nie powiem, jeśli pani także jest z policji.

– Nie, nie. – Paulina pokręciła przecząco głową. – Jestem dziennikarką. Z „Dziennika Szczecińskiego”...

– Przepraszam panią... – Kobieta podniosła obie dłonie. – Jeśli chce pani rozmawiać ze mną na temat morderstwa, to nie mam nic do powiedzenia.

Żegnam panią. Proszę stąd odejść.

– Proszę zaczekać. – Paulina złapała za ramię furtki. – Nie piszę na temat morderstwa. Pan Wyrzykowski skontaktował się ze mną przed śmiercią. Przysłał mi pewne materiały. Chciał, żebym napisała artykuł na temat... – zawahała się – ...pewnych wydarzeń ze swojego życia – dokończyła, sama uznając w duchu, że zabrzmiało to kiepsko.

Pawelczyk odwróciła się i obrzuciła Paulinę taksującym spojrzeniem.

– Proszę pani. Ja nic nie wiem na temat żadnych wydarzeń z jego życia.

– Wiedziała pani, że był Niemcem?

– A niech pani nie powtarza tych bzdur! – Kobieta pokręciła gniewnie głową. – Może jeszcze powie pani, że miał ojca w Wehrmachcie? Niektórzy ludzie to przyzwoitości nie mają, żeby tak bredzić. To był nieszczęśliwy, chory człowiek. Znałam jego rodziców. Uczciwi, porządni ludzie i mimo że nic do Niemców nie mam, Polacy. Co pani powiedziała? Z jakiej pani jest gazety? Czy to nie jakiś nacjonalistyczny szmatławiec?

– Ja tego nie wartościuję! – Paulina pokręciła nerwowo głową. – Wyrzykowsky adoptowali małego opuszczonego chłopca, który błąkał się tutaj po wojnie.

Pomyślała, że rozmowa idzie zupełnie nie po jej myśli. To ona miała się czegoś dowiedzieć, a wychodzi na to, że jest na odwrót. Pomijając, cholera, wszystko inne, Wyrzykowski miał ojca w Wehrmachcie.

Pawelczyk przez chwilę wpatrywała się w Paulinę bez słowa.

– Niech pani wejdzie. Nie będziemy rozmawiać przez furtkę.

Paulina pchnęła stalową kratę i weszła na teren ogrodu. Labrador z radością zaczął wokół niej podskakiwać.

– Nie znałam go zbyt dobrze. Był bardzo zamknięty, a gdy pojawiły się u niego objawy schizofrenii, stał się w ogóle nieprzystępny. – Kobieta wskazała ręką stolik i wiklinowe fotele przed wejściem do domu. – Napije się pani czegoś?

– Nie, proszę się nie kłopotać. – Paulina pokręciła głową, zaskoczona zmianą nastawienia kobiety. – Czym on się w ogóle zajmował?

Dotarło do niej, że aż dotąd nie zainteresowała się tym, kim był z zawodu

Wyrzykowski i co robił, zanim przeszedł na emeryturę.

– Był technikiem budowlanym. Pracował jako kierownik budowy w jakiejś państwowej firmie. W tamtych latach budowano wiele nowych ośrodków wypoczynkowych. Podobno nawet był niezłym fachowcem. Pod koniec życia natomiast pracował jako kierownik administracyjno-techniczny w Wojskowym Domu Wypoczynkowym Sił Powietrznych w Darłównu. O ile wiem, to pracował w latach siedemdziesiątych przy jego budowie, a później został już na stałe. Okłamałam panią...

– Słucham? – Paulina zaskoczona uniosła brwi.

– Wiem oczywiście, że był Niemcem. To była tajemnica, o której przez długi czas nikt nie wiedział. Wyrzykowsy nie rozmawiali o tym z nikim, ale plotki oczywiście krążyły po wsi. Gdy zmarła mu żona, jego stan bardzo się pogorszył, a ludzie zaczęli jeszcze więcej gadać. Jego syn, chodziliśmy razem do szkoły, jest młodszy ode mnie o dwa lata, zamierzał go gdzieś umieścić, ale Wyrzykowski nie chciał o tym słyszeć. Trochę mu ciężko było z ojcem...

– Przez jego chorobę?

– To oczywiście też, ale nie tylko... – Pawelczyk zawiesiła głos. – Nie chciałabym, żeby to źle zabrzmiało... Kilka lat temu trafili tutaj Amerykanie. Jakaś komórka poszukująca szczątków lotników z czasów wojny. Pewnie przez te plotki we wsi dotarli do Karola. Niczego się od niego nie dowiedzieli, bo i czego mogliby się dowiedzieć, ale on po tym wydarzeniu bardzo się zmienił. I wtedy wykupił tę polisę na życie...

– Ubezpieczenie? – Paulina zmarszczyła brwi.

– Właśnie. Zaczął powtarzać, że dybią na jego życie. Chciał, by w razie czego Jadwiga mogła się utrzymać po jego śmierci. Wtedy jeszcze to nie było dla nich jakieś wielkie obciążenie, chociaż w jego wieku i stanie musieli mu z pewnością nieźle wycenić tę polisę. Wynajmowali wówczas pokoje dla lotników, mieli dwie emerytury. Gorzej było potem. Rok później Jadwiga umarła, o lotnikach można było zapomnieć, a Wyrzykowski uparł się przy utrzymaniu kwoty ubezpieczenia. Szło na to pół jego emerytury, do tego doszło honorarium pielęgniarki, a to wszystko spadło na Marka... –

Pawelczyk westchnęła, po czym spojrzała na Paulinę z namysłem. – Naprawdę chce pani opisać historię Karola?

– To niezwykła historia... – Paulina wzruszyła ramionami. – Jego życie otarło się o tyle ważnych spraw społecznych, na tle tylu wydarzeń historycznych. I ta śmierć przypadkowa, bezsensowna...

Pawelczyk pokiwała głową. Przez chwilę trwała cisza.

– Czy tutaj często zdarzają się takie włamania? – spytała w końcu Paulina.

– W sezonie do aut, do domków letniskowych to tak, ale żeby poważniejsze, to rzadko, a już z zabójstwem to w ogóle. Ostatnia głośna sprawa to z Darłowa sprzed dwóch lat, kiedy jakiś pijak zadźgał nożem drugiego w nocy nad Wieprzą.

– I naprawdę nikt niczego nie zauważył? Przecież to było o ósmej rano? W centrum miasteczka prawie.

– Poza tym Niemcem, niczego nie zauważyłam.

– Niemcem? – Paulina spojrzała zaskoczona.

– O dziewiątej z ogrodu Wyrzykowskiego wyszedł starszy mężczyzna, który wsiadł do samochodu na niemieckich blachach. Mówiłam o tym policji. Dziwne tylko, że Stasiak go nie zauważył.

– Stasiak?

– Pracownik. Sprząta tutaj w obejściu.

– Można z nim porozmawiać?

– Ze Stasiakiem? – Pawelczyk spojrzała zdziwiona.

Paulina przytaknęła.

– Nie pojawił się w pracy od środy, a telefon ma wyłączony. Pewnie zapił gdzieś, z tymi pracownikami sezonowymi zawsze tak jest... – Kobieta westchnęła. – Jeśli chce się pani jechać, to może pani spróbować go odwiedzić. Mieszka niedaleko, w Bukowie. Pierwszy dom przed kościołem.

*

Wysłuzony kuter z wymalowanym cyrylicą na burcie napisem „Zaria” stał spokojnie przy zachodnim brzegu portu w DarłóWKu. Słońce zaszło prawie trzy godziny temu, tonąc powoli w spokojnych wodach Bałtyku i stopniowo ustępując pogłębiającej się ciemności. Dawno zniknęły nawet czerwono-fioletowe błyski na zachodnim niebie, które do niedawna jeszcze

o tej porze dnia czyniły spacer na koniec falochronu magicznym. Miasteczko pogrążone w mroku wciąż starało się zatrzymać powoli dobiegające końca lato ze swoimi całonocnymi imprezami, muzyką, światłami błyskającymi z sal tanecznych hoteli i ośrodków wypoczynkowych, ale każdego wieczoru robiło się tu coraz spokojniej i coraz ciszej. Podstępnie i niezauważenie skradała się powoli jesień.

Artiom miał dzisiaj wachtę na kutrze. Teoretycznie można było kuter zamknąć i zostawić na noc, ale Sierow upierał się, żeby zawsze ktoś na nim zostawał. Może bał się, że ktoś obrobi tę wypchaną sprzętem ładownię. Artiom wykorzystał popołudnie na kontrolę wszystkich butli, sprawdzenie ciśnienia, mieszanek gazów. Zawsze to robił, nie ufał Iwanowi i Saszy, gdy to oni się tym zajmowali. Obawiał się, że przez ich niekompetencję zostanie kiedyś na dnie z napełnioną do połowy butlą z tlenem albo ze złą mieszanką gazów, skutkiem czego dostanie konwulsji i się utopi lub do końca życia będzie się użerał z następstwami choroby kesonowej – bólami stawów, uszkodzeniami układu nerwowego lub martwicą kości. Miał też okazję, żeby się rozejrzeć, a coraz częściej chodziło mu to po głowie.

Zszedł na dolny pokład i długim wąskim korytarzem doszedł do kabiny Sierowa. Mimo że na pokładzie nie było nikogo poza nim, to i tak nerwowo obejrzał się parę razy za siebie. Na złodzieju czapka gore. Nacisnął klamkę, by zgodnie z przewidywaniem przekonać się, że drzwi są zamknięte na klucz. Otwarcie zamka nie byłoby oczywiście większym problemem, gorzej z zamknięciem. Zacisnął szczęki, westchnął i stukając butami o metalową podłogę, wrócił na pokład. Do portu wpływał właśnie jakiś spory statek. Zbliżał się do przyczółków niebieskiego, rozsuwanego mostu, by po chwili minąć je i ukazać się w pełnej krasie na szerokiej w tym miejscu Wieprzy. Długi na jakieś pięćdziesiąt metrów, z białymi lśniącoymi burtami, na których migotały odbicia palących się na nabrzeżu latarni i świateł. Wyraźnie zwolnił i rozpoczął manewr przybijania do zachodniego brzegu portu, może z trzydzieści, czterdzieści metrów od miejsca, w którym stał ich odrapany kuter.

Artiom pomyślał, że chciałby chociaż raz w życiu znaleźć się na takim jachcie, nawet niekoniecznie jako pasażer, wystarczyłoby mu, gdyby był członkiem załogi.

Rozdział 11

Sobota, 12 września

Paulina zaparkowała w wąskiej uliczce i spojrzała w lusterko. Poprawiła włosy, oblizwała wargi i wysiadła. Wzdłuż wąziutkiego chodnika, na którym stała dwoma kołami, ciągnęło się ogrodzenie z siatki, a za nim gęsto krzewił się żywopłot. Nieco dalej, przy samym chodniku, wyrastała ślepa ściana niewielkiego, pomalowanego na różowo budynku, na której ktoś zdążył już nabazgrać kilka mądrości, mających pretensje do miana graffiti. Paulina ruszyła środkiem uliczki w kierunku mającego u jej wylotu zachodniego nabrzeża portu. Przy chodniku stało sporo samochodów, czyniąc go kompletnie bezużytecznym dla komunikacji pieszej, nie miała więc wyrzutów, że dołożyła do tego jeszcze swoje małe auto. Minęła różową ścianę i po kilku krokach miała już widok na Wieprzę oraz stojące przy jej brzegach jachty i kutry.

Wiedziała, czego się spodziewać, ale i tak widok ogromnego, idealnie białego jachtu z lekka nią wstrząsnął. Od razu poczuła się uboga i źle ubrana w niebieskiej rozkloszowanej dołem letniej sukience by Sonia Rykiel. Kosztowała ją półtorej pensji, a to nawet nie była prawdziwa Sonia, co pewnie te angielskie arystokratki od razu zauważą. Sukienkę zabrała ze sobą specjalnie z myślą o tej kolacji na jachcie, na którą zaprosił ją Johann, żeby go szlag trafił. Tymczasem wczoraj przybili do Darłowa na tyle późno, że musieli przełożyć spotkanie na dziś. Czy sukienka wybrana na kolację będzie pasowała na wczesny obiad? A co, jeśli oni przestrzegają jakiegoś dress code'u i wszyscy będą ubrani według jakichś sztywnych, niepodważalnych dogmatów elegancji? Wprawdzie Johann, jakiego pamiętała, był raczej daleki od takiego odzieżowo-konsumpcyjnego fundamentalizmu i w duchu była pewna, że nawet gdyby ubrała się w dresy, to i tak byłoby dobrze – ale widok białego jachtu wielkości „Daru Pomorza” poważnie zachwiał jej pewnością siebie w tym względzie.

Po nabrzeżu chodziło sporo spacerowiczów, w małych knajpkach ze

smażonymi rybami roiło się już mnóstwo klientów, a całkiem spora grupa letników stała przy ogromnym jachcie i robiła sobie na jego tle zdjęcia. Paulina, rada nierada, stukając wysokimi obcasami letnich sandałów, ruszyła po brukowanej nawierzchni nabrzeża w kierunku trapu, przy którym niewielka grupka turystów z kilkorgiem dzieci negocjowała najwyraźniej z jakimś chłopakiem w granatowej marynarce możliwość wejścia na pokład.

Stanęła za plecami dwóch kobiet, które łamaną angielszczyzną dopytywały się, z jakiego portu w Anglii przybył jacht i jak długo zostanie w DarłóWKu. Chłopak z jasną czupryną i miłym uśmiechem cierpliwie odpowiadał, a następnie spojrzał na Paulinę. Pytająco uniósł brwi.

– Nazywam się Paulina Weber. Pan Carley mnie oczekuje. – Uśmiechnęła się nieśmiało.

Dwie kobiety odsunęły się nieco na bok i obrzuciły ją taksującymi spojrzeniami.

– Proszę bardzo. Jestem Patrick, zaprowadzę panią. – Blondyn uśmiechnął się szeroko i zrobił krok do tyłu, przepuszczając Paulinę na pokład. Przeprosił dwie kobiety, ukłonił się dwornie pozostałej grupie spacerowiczów na nabrzeżu i ruszył zadaszonym bocznym pokładem na tył jachtu. Paulina, uśmiechając się niepewnie, dreptała za nim. Wspięła się wąskimi schodami na górny pokład, rejestrując z przerażaniem, że na jachcie jest bardziej luksusowo niż w pięciogwiazdkowym hotelu, i z zainteresowaniem, że Patrick ma bardzo zgrabne pośladki. Kolejne schody i nagle stanęła na najwyższym pokładzie, gdzie najwyraźniej dobrze się już bawiło siedem osób. Ze spłoszonym lekko uśmiechem rozejrzała się, szukając znajomej sylwetki i jasnych włosów, gdy niespodziewanie ktoś porwał ją w objęcia i uniósł do góry.

– Paulina! – wrzasnął. – Jak dobrze cię w końcu zobaczyć!

– Boże, Johann – syknęła z zawstydzeniem, wyswobadzając się z jego ramion. – Co z twoją angielską flegmą i windsorskimi manierami?

– Jestem w połowie Niemcem, nie pamiętasz? – Uśmiechnął się szeroko. – Ostatnią osobą w Anglii, która wiedziała coś na temat angielskich manier, była, obawiam się, Hiacynta Bouquet[24]. Boże, jak się cieszę, że cię widzę! Wyglądasz bosko.

– Ty także.

Paulina uśmiechnęła się do niego, obrzucając spojrzeniem jego szczupłą sylwetkę, jasne, zawadiacko rozczochrane włosy i intensywnie niebieskie oczy. W tym samym momencie kobieca intuicja podpowiedziała jej, że w tych oczach kryje się jakaś niepewność. Spojrzała w stronę przypatrującego się im z zainteresowaniem towarzystwa. W pierwszej chwili go nie poznała, dopiero gdy zrobił kilka kroków w jej kierunku, poczuła, że błędnie. Miał dłuższe niż kiedyś, zaczesane do tyłu włosy i ciemną, starannie przystrzyżoną na policzkach brodę. Tylko to spojrzenie jak zwykle chmurne.

– Ładnie wyglądasz – powiedział cicho.

– Dzięki... – Chciała powiedzieć: „ty też”, ale ugryzła się w język. – Nie wiedziałam, że tu będziesz. Mielicie się spotkać z Johannem w Szczecinie.

– Czy tylko dlatego zgodziłaś się tu pojawić? – W jego oczach dostrzegła leciutki cień ironii. Przypomniała sobie, jak ją zawsze denerwował swoją pewnością siebie. – Na pocieszenie zdradzę ci: ja też nie wiedziałem, że Johann cię zaprosił.

– Bardzo pocieszające. – Uśmiechnęła się z przekąsem i spojrzała na Johanna, który na wszelki wypadek umknął wzrokiem.

Przez chwilę stali naprzeciwko siebie, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć. Oboje rzucali pełne wyrzutu spojrzenia w kierunku Johanna, który wyraźnie nierad z rozwoju sytuacji uśmiechnął się nerwowo i podszedł do Pauliny.

– Chodź, poznasz wszystkich. – Złapał ją pod ramię i pociągnął w kierunku reszty towarzystwa, które z nieukrywaną ciekawością obserwowało ich powitanie. Paulina ze zgrozą spostrzegła, że jest tutaj najbardziej elegancka. Dwie dziewczyny miały na sobie dżinsy i kolorowe bluzki, a jeden z mężczyzn, bardzo przystojny szatyn, koszulkę z napisem „Keep calm and I’m only 30”.

*

Po raz pierwszy zobaczył ją pod domem Wyrzykowskiego. Zaraz po jego śmierci. Przyjechała z policją i prokuratorem. Myślał, że jest z ekipy dochodzeniowej, kręciła się tam z tymi wszystkimi ważniakami, nawet do domu ją wpuścili. Tymczasem wczoraj przez przypadek zobaczył, jak wysiadła z samochodu pod domem Pawelczyk, a potem długo z nią gadała.

Pojechał za nią, dzięki czemu wiedział teraz, że zatrzymała się w Rekinie i że jest dziennikarką. Na szczęście niektórzy mają długie języki. Pomyślał, że może powinien z nią pogadać. Niepokoiły go sprawy Stasiaka. Ten dureń wplątał się niepotrzebnie w jakieś gówno i tylko czekać, aż będzie z tego kolejne nieszczęście. Poza tym przepadł gdzieś i cholera wie, co się z nim dzieje. Skoro to dziennikarka, to zaraz oczywiście zacznie węszyć i może narobić im obu dodatkowych kłopotów.

Schowany za brudną szybą starego golfa patrzył, jak kobieta wysiada z samochodu i idzie w kierunku nabrzeża.

*

Łosoś był pyszny. Trudno uwierzyć, że został wyjęty z przepastnej zamrażarki jachtowej kuchni, a nie złowiony godzinę wcześniej w jakimś wartkim strumieniu. Długi stół na najwyższym pokładzie, nakryty białym obrusem, zalany wrześniowym, wciąż jeszcze gorącym słońcem, z prostą białą zastawą, wyglądał jak wielka lodowa kra, przy której urządziło sobie biesiadę wesole towarzystwo. Paulina słuchała z rozbawieniem opowieści Johanna o nieudanej wyprawie na Zatokę Botnicką, która – wielokrotnie przerywana żartami, kpinami i głośnym śmiechem przez jego londyńskich przyjaciół – z jej punktu widzenia zdawała się jakąś wyjątkowo atrakcyjną rozrywką, a nie pasmem porażek, jak przedstawiał to Johann.

Z ulgą stwierdziła w duchu, że obawy co do jego przyjaciół były kompletnie wydumane. Wszyscy okazali się sympatyczni, niezmanierowani i w najmniejszym nawet stopniu nie traktowali jej protekcyjnie. Inna sprawa, że to właśnie mogło być oznaką tej kasty społecznej: całkowita, pozorna asymilacja z resztą społeczeństwa, za którą kryje się skrzętnie skrywany dystans. Skarciła się w myślach za takie teorie i uśmiechnęła uprzejmie do siedzącego obok niej Jamiego, który właśnie opowiadał o tym, jak zgubił się w ładowni jakiegoś koszmarnego wraku. Z portu dobiegały piski uganiających się po nabrzeżu dzieciaków, przenikliwe krzyki krążących nad kutrami mew, gdzieś czekał pies. Zwyczajny harmider nadmorskiej miejscowości, który o dziwo stanowił całkiem niezłe tło dla tego wyszukanego obiadu na pokładzie łodzi niczym z francuskiej Riwiery. Pomyślała, że byłoby całkiem miło, nawet bardzo miło, gdyby nie bolesna

świadomość tego, że dokładnie naprzeciw niej siedział Igor.

Pomyślała – „bolesna”? Naprawdę? Irytująca, cholera, raczej.

Gdy odwrócił się w bok, by odpowiedzieć na pytanie, które zadała mu siedząca nieco dalej Gwen, dyskretnie podniosła na niego wzrok. Zapuścił brodę, jak obecnie osiemdziesiąt procent facetów w Europie. Prawdziwa pandemia. Ale z niechęcią musiała przyznać, że wyglądał dobrze. Do tego te dłuższe włosy. Pamiętała, że kiedyś strzygł się krótko, przy skórze. Ciekawe, co w niej się zmieniło przez ten rok, a co mógł zauważyć. Miała także nieco dłuższe włosy, w dodatku prostowała je teraz na prośbę Mateusza, chociaż kosztowało ją to dodatkowo więcej zachodu.

– A co tam u Doroty?

Pytanie Johanna zabrzmiało w jej głowie prawie jak wystrzał. W zamyśleniu zapomniała, że patrzy na Igora. W jednej chwili złowiła jego spojrzenie, jakim przemknął po jej twarzy, i minę Johanna, który najwyraźniej od razu pożałował, że się odezwał.

Dorota! Upiorna była żona Igora.

– Nie widziałem jej już ze cztery miesiące. – Igor wzruszył ramionami i schował się za wielkim kieliszkiem czerwonego wina. – Mieszka w Berlinie.

– Związki na odległość wymagają poświęceń.

Boże! Czy ona naprawdę powiedziała to głośno? Dlaczego się nie powstrzymała! Igor przez dłuższą chwilę patrzył na nią nieodgadnionym wzrokiem.

– Kto jak kto, ale ty powinnaś to wiedzieć najlepiej.

No i właśnie. Dokładnie tego mieli uniknąć! Kurwa!

Johann gwałtownie odwrócił się do Gwen i zaczął ją o coś wypytywać.

– Nie miałam nic złego na myśli. To nie była złośliwość. – Paulina to zdanie wypowiedziała po polsku, czym paradoksalnie od razu zaintrygowała resztę biesiadników, którzy ucichli i w skupieniu pochyłili się nad swoimi talerzami.

– Związki, jak widać na waszym przykładzie, rzeczywiście wymagają poświęceń.

– A to akurat była złośliwość, prawda? – Podniosła do ust kielich z winem, zastanawiając się, czy jeśli wypije połowę, to będzie jeszcze mogła prowadzić.

– À propos, a co tam u Mateusza?

– W porządku. Mieszka w Szczecinie... – Odstawiła kieliszek. – W odróżnieniu od Doroty.

– Dorota w maju wyszła za mąż. Za Kurta, swojego niemieckiego szefa.

Przez chwilę panowała cisza. Paulina dyskretnie spojrzała w bok, na pogrążone w irytującym milczeniu towarzystwo. Czy oni naprawdę myślą, że jak będą w skupieniu nasłuchiwać, to zrozumieją coś po polsku?

– Przykro mi. – Spojrzała na Igora, zastanawiając się jednocześnie, co czuje.

– Z jakiego powodu? – We wzroku Igora ze zdziwieniem dostrzegła irytację.

– No, że wam nie wyszło... – Wzruszyła ramionami. – No, zwyczajnie, przykro mi. Tak się chyba mówi w takiej sytuacji.

– Ty naprawdę myślałaś, że ja i ona wróciliśmy do siebie?

– Nie, skądże. Siedziałeś u niej w szpitalu codziennie, trzymając ją za rękę.

– Postrzelili ją, miała dwie operacje.

– I całą rodzinę w Szczecinie, która mogła się nią zająć.

– Jej stosunki z rodziną nie były najlepsze.

– Biedulka.

Wszyscy troje poznali się w ubiegłym roku, kiedy to Paulina prowadziła dziennikarskie śledztwo w sprawie zaginionego sarkofagu jednego z książąt zachodniopomorskich. Wplątali się w awanturę, która mogła się skończyć gorzej, niż się skończyła, a i tak na koniec wynikło dochodzenie i śledztwo w sprawie włamania i nieumyślnego spowodowania śmierci. Weszli w drogę opryszkom, którzy nie przebierali w środkach, a była żona Igora, jak się później okazało, właśnie dla nich pracowała.

– Dzięki jej zeznaniom odczepili się od nas.

Doskonale pamiętała, co się wtedy działo w Szczecinie. Przez całe prawie

lato ulica Jana z Kolna wyłączona z ruchu, piekło korków, prace inżynierskie przy zabezpieczaniu zawalonych podziemi. Gdyby oskarżyli ich choćby o współudział w wywołaniu tej awantury, prawdopodobnie skończyłoby się na tym, że zostaliby obciążeni częścią tych kosztów.

– I sama także uniknęła odpowiedzialności.

– Ona niczego w gruncie rzeczy nie zrobiła. – Igor spojrzął na Paulinę spod zmarszczonych brwi. – A poza tym ciebie na przesłuchaniach trzymał za rękę Mateusz.

– Nikt mnie nie trzymał za rękę! – Rzuciła mu gniewne spojrzenie.

Rozstali się z Mateuszem dwa lata temu w Londynie. Wróciła wtedy do Szczecina i przestała o nim myśleć. Niespodziewanie przyjechał dokładnie tydzień po tej całej aferze i oznajmił, że był to z jego strony błąd. Tylko że spotykać się zaczęli ponownie dopiero trzy miesiące później, a nie na drugi dzień, jak Igor z Dorotą. Ale co to ma za znaczenie, kto się z kim spotykał? Przecież nie to ją obchodziło, że się ze sobą zeszli, tylko że po tym wszystkim nagle stanął po jej stronie. Po tym jak współpracowała z oprychami, przez których mogli stracić życie. Zresztą – o czym oni w ogóle rozmawiają? Po co to w ogóle roztrząsać?

Odłożyła sztucce na talerz i sięgnęła po chusteczkę.

– Na mnie już czas – zwróciła się z uśmiechem do Johanna.

– Już uciekasz? – Zrobił zbolałą minę. – Ledwie zamieniliśmy kilka słów.

– Muszę jeszcze dzisiaj porozmawiać z dwiema osobami, bo jutro wracam do Szczecina. Rano muszę opuścić swój luksusowy domek.

– Zawsze możesz zatrzymać się u nas. – Johann machnął ręką za siebie, w ogólnie pojętym kierunku wnętrza jachtu. – Ale w takim razie koniecznie wpadnij wieczorem. Przedtem połazimy pewnie po mieście, a wieczorem zrobimy jakąś imprezę.

Pożegnała się ze wszystkimi i spojrzała na Igora z uśmiechem. Odwzajemnił go chłodno.

– Zadzwoń! – Johann machnął do niej ręką, gdy schodziła po kręconych schodach, odprowadzana przez czarująco uśmiechającego się Patricka.

*

Wąską, ciągnącą się wzdłuż niskich ogrodzeń pensjonatów ulicę Sosnową zamykały schody, które kaskadami wznosiły się na oddzielającą deptak od plaży wydnię, by po drugiej stronie łagodnie opadać między kępami rachitycznej roślinności w kierunku żółtego piasku. U stóp schodów stała odrapana tablica informacyjna, a przed nią dwa pokraczne baraki, z których jeden, pomalowany na zielono, pełnił funkcję publicznej toalety. Na szczycie schodów, oparci o metalową balustradę, stali dwaj mężczyźni, wpatrzeni w ciągnące się ku horyzontowi morze. Jeden z nich, w ciemnych okularach przeciwsłonecznych i w szarej bluzie z kapturem, wyciągnął z kieszeni krótkich szortów telefon, spojrział na wyświetlacz i przesunąwszy palcem po ekranie, odrzucił połączenie.

– Niemożliwe, żeby tam niczego nie było. On musiał mieć jeszcze jakieś dokumenty, papiery, cokolwiek – powiedział, chowając telefon do kieszeni i opierając łokcie na balustradzie.

– Nie miał przy sobie ani tego dziennika, ani żadnych pojedynczych stron. Musiał je chyba zniszczyć wcześniej. Notes z datami wizyt u lekarzy, i to wszystko – mruknął niechętnie drugi mężczyzna, wysoki, łysiejący, z szerokimi barami ukrytymi pod kolorową koszulą z krótkimi rękawami.

– Nigdzie tego nie ukrył. W każdym razie nie w domu. W piwnicy też nic nie było poza zwłokami i radiostacją.

– Jesteś pewny? Prasa nie podawała takich informacji.

– Jestem. – Mężczyzna w ciemnych okularach krótko parsknął.

– W takim razie musiał to schować gdzieś poza domem. Musiały tam być chociażby dokumenty z samolotu, dziennik pokładowy, mapy. Czy możliwe, że on to na przykład sprzedał?

– Prędzej by zdechł z głodu, niż sprzedał cokolwiek z tych śmieci.

– W takim razie nie ma siły, gdzieś ukrył.

– Mieliście czas, żeby przetrząsnąć dom, gdy był w szpitalu.

– Myśmy niczego nie znaleźli.

– Jest jeszcze ten jego ośrodek, gdzie skanował tekst, ale tam już nie pracuje nikt z jego dawnych znajomych. O ile w ogóle jakichś miał.

– Sprawdź. Możesz?

– Sprawdzę.

*

W kościele panował półmrok. Światło, wpadające przez wykute wysoko w ścianach nawy głównej okna, nie docierało do kamiennej posadzki, gubiąc się gdzieś po drodze w ostrołukowych blendach i lizenach, wznoszących się prosto jak strzełił aż do kryształowych sklepień, którymi nakryta była środkowa nawa bazyliki. Zamykająca kościół od wschodu absyda z pięcioma gotyckimi, ostrołukowymi oknami, przez które do jej wnętrza wpadało jasne światło, wyglądała na tle mroku pozostałej części świątyni jak jasno oświetlona scena. W panującej tutaj ciszy słyhać było przy każdym kroku postawionym na posadzce z granitowych płyt czające się we wnętrzu echo, gotowe zwielokrotnić najcichszy nawet dźwięk, odbijając się od ceglanych ścian i kamiennych dekoracji.

– Kościół jak kościół – mruknął cicho Jamie, rozglądając się bez specjalnego zainteresowania dookoła.

Zbliżała się osiemnasta. Słońce powoli opadało ku czerwonym dachom kamieniczek. Po obejściu portu w Darłótku, uliczek Starego Miasta w Darłowie oraz rynku z pomnikiem rybaka trafili do kościoła Mariackiego, a Igor, chcąc nie chcąc, musiał wziąć na siebie rolę przewodnika.

Gwen popatrzyła na Jamiego, pokręciła głową i westchnęła z rezygnacją.

– Generalnie masz rację. – Igor się uśmiechnął. – Dlatego nie będę was niczym zanudzał, a pokażę tylko te rzeczy, które tutaj są akurat naprawdę wyjątkowe.

– Na przykład co? – Jamie popatrzył z powątpiewaniem.

– Kościół zbudowano w tysiąc trzysta dwudziestym pierwszym roku. Od szesnastego wieku do czasów drugiej wojny był to kościół protestancki. Po wojnie przywrócono wystrój gotycki, zachowując jedynie ocalałe cenne elementy późniejsze. Dobra, dobra... – Igor roześmiał się, widząc, jak Jamie ostentacyjnie ziewa – ...teraz trochę ciekawsze rzeczy. Do początków dziewiętnastego wieku w ołtarzu głównym wisiał obraz przedstawiający Chrystusa błogosławiącego ludzi w tonącej na morzu łodzi. Wisi teraz w bocznej nawie. – Igor kiwnął ręką w kierunku wysokiego, pociemniałego

malowidła w drewnianej, połyskującej ramie.

– Noo, to o wiele ciekawsze – zakpił Jamie, przewracając oczami.

– Jamie! Zamknij się! – syknął Dermot.

– Na początku dziewiętnastego wieku trafił tutaj ołtarz ze Szczecina – Igor bohatercko kontynuował opowieść. – Zamówiony został na przełomie szesnastego i siedemnastego wieku do szczecińskiej kaplicy zamkowej przez księcia Filipa Drugiego, największego mecenasa sztuki w dynastii Gryfitów. Ołtarz składał się z dwudziestu siedmiu płyt z czystego srebra, które docelowo miały zdobić renesansowe retabulum.

– Co miały zdobić? – nie wytrzymał Jamie.

– Ołtarzową... – Igor skrzywił się, szukając angielskiego słowa.

– Nastawę – przyszła z pomocą Alice.

– Właśnie. Na płytach znalazły się rysunki wygrawerowane przez złotnika z Brunszwiku, Johanna Karvera, dla których inspiracją była *Wielka Pasja* Albrechta Dürera. Ołtarz nigdy nie trafił do zamkowej kaplicy. Po śmierci ostatniego Gryfity, Bogusława Czternastego, srebrne płyty otrzymała wdowa po nim księżna Elżbieta i umieściła je w kaplicy zamku darłowskiego, skąd następnie po jej likwidacji trafiły do tego kościoła.

– I gdzie one są? – Alice rozejrzała się dookoła.

– Pod koniec wojny, w czterdziestym piątym roku, zostały zdemontowane i ulokowane w sejfie bankowym w pobliskim Sławnie, natomiast wykonaną z hebanu szafę ołtarzową zdeponowano w muzeum zamkowym. Zaraz potem, dziwnym zbiegiem okoliczności, zarówno srebrne panele, jak i hebanowa szafa zaginęły, najprawdopodobniej wywiezione przez sowieckie trofiejne komanda, czyli jednostki zajmujące się szabrem.

– I co było dalej? – spytał Johann. – Rosjanie nie zwrócili ich po wojnie?

Igor wzruszył ramionami.

– Chyba żartujesz. Jedno z najcenniejszych renesansowych dzieł w Europie. W niejasnych okolicznościach osiem płyt znalazło się dziesięć lat później w jakiejś stodole w Zamościu. Wiszą teraz w muzeum w Słupsku. Pozostałej części nigdy nie odnaleziono.

Paulina założyła torbę na ramię i rozejrzała się dookoła. Młody Wyrzykowski wciąż nie odbierał telefonu, postanowiła więc spróbować go odnaleźć. Najwyżej wyrzuci ją za drzwi. Nie chce go przyjąć do Mahometa, przyjdzie Mahomet do góry. Tylko że dość niejasna była informacja od Olszańskiego, jakoby Wyrzykowski zatrzymał się w pensjonacie po drugiej stronie ulicy. Albo prokurator zwyczajnie się pomylił, albo określenie „po drugiej stronie ulicy” należało rozumieć szerzej, a wtedy w rachubę wchodziła bez mała połowa Dąbek. Popatrzyła niezdecydowanie na wielki, ukryty za niskim ogrodzeniem kawał terenu, który rozciągał się mniej więcej naprzeciw domów Wyrzykowskiego i Pawelczyk. Parking, jakieś boiska i tak zwana zieleń urządzona. Teren należał do ośrodka wypoczynkowego, którego zabudowania stały jakieś dwieście metrów dalej. Oprócz nich, po drugiej stronie ulicy w najbliższym sąsiedztwie niczego innego nie było. Problem w tym, że młoda dziewczyna w recepcji stanowczo zaprzeczyła, aby ktoś o takim imieniu i nazwisku był tam zameldowany.

Paulina ruszyła wąskim chodnikiem wzdłuż ogrodzenia w kierunku głównej ulicy, z której wjeżdżało się na dojazdówkę do tutejszych posesji. Może Olszański miał na myśli tę główną ulicę, chociaż Bogiem a prawdą, to ona ani specjalnie szersza, ani lepiej wyposażona w infrastrukturę nie była. Na wprost rozciągały się jakieś nieużytki, w głębi stały szare betonowe baraki, a po lewej stronie, kilkadziesiąt metrów dalej, widać było gęstą zieleń, w której tonął pomalowany na kremowo budynek przykryty płaskim dachem. Może to tam?

Do głównego wejścia prowadziła ścieżka wysadzana żywotnikami. Wewnątrz, w niewielkiej recepcji, siedziała kobieta w szarej garsonce. Wpatrywała się w ekran monitora. Na widok Pauliny uśmiechnęła się i podeszła do kontuaru.

– Dzień dobry. – Paulina położyła torbę na ladzie, przygotowana na prośbę o pokazanie legitymacji prasowej lub dowodu. – Chciałabym się dowiedzieć, czy zatrzymał się tutaj pan Marek Wyrzykowski?

Kobieta pochyliła się nad klawiaturą i spojrzała na monitor.

– Tak – powiedziała po chwili. – Jest naszym gościem.

A jednak! Paulina uśmiechnęła się do kobiety, myśląc jednocześnie, że Wyrzykowski może równie dobrze jej nie przyjąć. Najwyżej.

– Nie jestem pewna, czy jest na miejscu. Wychodził. – Recepcjonistka sięgnęła po słuchawkę. – Czy mam ewentualnie powiadomić pana Wyrzykowskiego, że pani przyszła?

– Będę wdzięczna. Paulina Weber, „Dziennik Szczeciński”.

Recepcjonistka kiwnęła głową i wykręciła numer. Chwilę czekała, a potem powiedziała przyciszonym głosem kilka słów do słuchawki.

– Proszę chwilę poczekać. – Wysunęła się znad kontuaru i wskazała ręką fotele i stół w kącie holu, gdzie w narożniku, na wysokim taboretostumencie rozpierała się rozrośnięta paprotka. – Pan Wyrzykowski zaraz zejdzie.

*

Igor zatrzymał się w połowie nawy głównej i podniósł wzrok na misternie rzeźbioną ambonę, która oplatała środkowy filar, z kaskadą złościście drewnianych schodów wiodących ku mównicy, nakrytej sześciobocznym baldachimem.

– A to barokowa ambona z końca siedemnastego wieku. Wspiera się na rzeźbie dzwigającego ją anioła, a wieńczy ją baldachim, na którym mamy scenę z Sądu Ostatecznego.

– Tej przynajmniej nie ukradli – bąknął Jamie.

Gwen i Alice spojrzały na niego z rezygnacją.

– Na balustradzie mównicy oraz schodów są wyrzeźbione sceny biblijne, oddzielone gałązkami z liśćmi akantu. – Igor wskazał ręką pas płaskorzeźb, obiegających dolną część ambony. – Stworzenie Ewy, Grzech pierworodny, Ofiara Izaaka i tak dalej. Natomiast legenda głosi, że jedna z tych scen nie przedstawia opowieści z Biblii, tylko prawdziwe wydarzenia, które rozegrały się w Darłowie pięćset lat temu. – To mówiąc, wskazał palcem ostatni panel balustrady schodów, na którym wezbrane wody pochłaniały jakiś budynek z trzema półkoliście zamkniętymi oknami, ludzi uciekających na koniach i tonące zwierzęta. Na pierwszym planie widać było nieszczęśników, którzy wyciągali ręce ponad wodą.

– Przecież to biblijny potop. – Gwen precyzyjnie się wską kościelną ławką i stanęła pod samą balustradką okalającą ambonę. Pochyliła się

i zrobiła zdjęcie.

– No właśnie. – Johann stanął obok niej i przekrzywił głowę, patrząc na wyrzeźbioną w drewnie scenę. – Czyżby w Darłowie w średniowieczu był jakiś potop?

– Tsunami.

– Co takiego? – Dermot otworzył szeroko oczy. – Na Bałtyku?

– W niemieckich kronikach to wydarzenie nazwano „Der Seebär”, czyli Niedźwiedź Morski, a dokładnie opisał je mnich z klasztoru kartuzów, który niegdyś przebywał w Darłowie. Wydarzyło się to szesnastego września tysiąc czterysta dziewięćdziesiątego siódmego roku, za czasów panowania na Pomorzu Bogusława Dziesiątego...

*

Wyrzykowski przywitał się chłodno z Pauliną i usiadł w fotelu, poprawiając odruchowo róg zawiniętej na blat stołu żółtej serwety.

– Zszedłem do pani tylko dlatego, że prawdopodobnie nie dałaby mi pani spokoju do końca weekendu – rzucił z nieukrywaną irytacją. – Co jest tak ważnego, że musiała mnie pani oderwać od niezbyt wesołych spraw związanych z pogrzebem?

Paulina uśmiechnęła się z zażenowaniem.

– Przepraszam, że panu przeszkadzam. Bardzo mi przykro z powodu śmierci pańskiego ojca. Chciałabym jedynie zapytać o kilka spraw, które dotyczą także pana.

– Słucham. – Wyrzykowski spojrzał z niechęcią.

– Pana ojciec przed śmiercią przysłał do mnie swój dziennik oraz kilka starych dokumentów. – Paulina otworzyła torbę, wyjęła z niej obwiązaną sznurkiem paczkę i położyła na stole. – Mapy, dziennik pokładowy, jakieś dokumenty z samolotu.

– Policja nic mi o tym nie mówiła. – Wyrzykowski patrzył z zaskoczeniem na leżący przed nim pakunek.

– Pan Karol chciał, żebym napisała artykuł o tej historii, i szczerze mówiąc, traktuję to obecnie jako wypełnienie jego ostatniej woli. To

fantastyczna opowieść i chciałabym to zrobić rzetelnie.

– Nie sądzi pani, że w obecnej sytuacji na ujawnianie zapisów prywatnego dziennika mojego ojca powinna pani mieć moją zgodę?

– Także i dlatego chciałam się z panem spotkać. – Paulina zanotowała w pamięci, żeby zażądać od Pawła konsultacji z prawnikiem gazety. – Te materiały zresztą w świetle prawa są pana własnością i nie zamierzamy ich zatrzymywać, a jedynie wykorzystać.

– O co chciała pani mnie zapytać? – Wyrzykowski wciąż patrzył w skupieniu na leżącą na stole paczkę.

– Czy naprawdę nikt w domu, pan, pana matka, nie wiedzieliście o tym, że pański ojciec ukrywał taką tajemnicę? Nigdy nic nie wspomniał o tym lotniku w piwnicy?

Wyrzykowski podniósł wzrok i spojrzał na Paulinę z namysłem.

– Pierwszy raz usłyszałem o tym w dwa tysiące ósmym. „Dziennik Bałtycki” napisał prześmiewczy artykuł na temat zwariowanego staruszka i jego fantasmagorii. Dziennikarz natrząsał się z awantury z policją i całą sprawę przedstawił jako wygłup. To wtedy zacząłem poważnie myśleć o tym, żeby umieścić ojca w jakimś ośrodku.

– Czyli nie uwierzył pan wówczas w tę historię?

– Oczywiście, że nie – parsknął Wyrzykowski. – Mój ojciec zachowywał się jak wariat. Zaczął opowiadać, że prześladowuje go wywiad amerykański, i inne brednie.

– I to wtedy wykupił polisę na życie?

– Skąd pani o tym wie? – Mężczyzna ściągnął brwi.

Paulina przez chwilę się zastanawiała, czy ujawniać źródło tej informacji.

– Sąsiadka pana ojca mi o tym powiedziała.

– To wścibska krowa! – Wyrzykowski rzucił ze złością. – Niektórzy ludzie zawsze muszą włączyć z butami w cudze sprawy.

Paulina pomyślała ze zdziwieniem, że Pawelczyk raczej nie wyglądała na wścibską, a nawet wręcz przeciwnie.

– Ojciec uparł się na tę polisę! Każda próba przekonania go o tym, żeby ją zamknąć, kończyła się awanturą.

– To w ogóle nie moja sprawa. – Paulina pokręciła głową. Czuła się zażenowana, że zmusiła Wyrzykowskiego do rozmowy na ten temat. – Nie mam oczywiście zamiaru o tym pisać, może pan być spokojny. Bardziej mnie interesuje, co mogło się stać z brakującymi kartkami z dziennika.

Sięgnęła po skoroszyt i otworzyła na pierwszej stronie, wskazując ślad po wyrwanych kartkach.

– Te wpisy dotyczyły akurat najciekawszych kwestii z czasów końca wojny i tych skanów pan Karol nie zdążył mi przesłać.

– Nie mam pojęcia. – Wyrzykowski z namysłem pokręcił głową. – Włamywacz ukradł torbę ojca i jakieś drobne, ale wartościowe rzeczy. Aparat fotograficzny, zegarek. Możliwe, że te papiery ojciec miał w torbie.

– Pisał coś o „naszym ośrodku”, w którym skanował dziennik. Domyśla się pan, o jaki ośrodek może chodzić?

Wyrzykowski podniósł wzrok. Paulina pomyślała, że wygląda na trochę zdezorientowanego, ale w zasadzie trudno mu się dziwić, biorąc pod uwagę cały kontekst.

– Nie mam pojęcia. – Pokręcił głową. – Chodził na rehabilitację dla osób z problemami psychicznymi do ośrodka w Dąbkach. Tu niedaleko... – wskazał brodą okno – ...sanatorium Dukat. To stamtąd także przychodziła pielęgniarka raz w tygodniu. Może więc ten ośrodek miał na myśli?

Paulina zanotowała w pamięci nazwę sanatorium. Miała wrażenie, że chyba nawet obok przejeżdżała. Czy to nie był ten wieżowiec z fioletową przybudówką?

Zamienili jeszcze parę zdań na temat prowadzonego śledztwa, zaginionego samolotu, którego pilot spoczywał do niedawna w piwnicy Wyrzykowskiego, oraz spraw dotyczących terminu i miejsca pogrzebu, po czym Paulina sięgnęła po swoją torbę.

– Bardzo dziękuję, że poświęcił mi pan swój czas. W sprawie tych materiałów gazeta skontaktuje się z panem. Obiecuję, że mój artykuł będzie rzetelny, a pana ojca przedstawię z szacunkiem.

Wyrzykowski wstał i podał Paulinie rękę, a następnie, lekko utykając, poszedł w kierunku schodów. Paulina pomyślała, że pewnie ścierpła mu noga. Sama też to właśnie czuła. Głęboki fotel był cholernie niewygodny.

*

Ósmego dnia po narodzinach Maryi, roku 1497, w piątek w południe, zerwał się sztorm z północnego zachodu i trwał do późnego wieczora, wywołując straszliwą powódź...

Od tych słów zaczął swoją relację z wydarzeń, które rozegrały się owego pamiętnego dnia w Darłowie, skryba z klasztoru Kartuzów Marienkron. W ten jeden dzień pod koniec lata dwudziestometrowe fale wdarły się do Darłówka, pochłaniając wszystko, co napotkały na drodze, topiąc ludzi i zwierzęta, niszcząc nabrzeża portowe, domy, wyrzucając w głąb łądu łodzie, a nawet wielkie statki. Stojące w porcie cztery żaglowce, w tym jeden bardzo duży, „Kreyer”, zostały porwane i osadzone bardzo daleko od brzegów. Dwa zatrzymały się na murach klasztornych w Darłowie, a jeden z nich u wrót kościoła Świętej Gertrudy, co stało się przyczynkiem do późniejszych legend o duńskiej księżniczce Gertrudzie, która rzekomo w podzięce za uratowanie życia podczas sztormu ufundowała ową kaplicę. Woda wdarła się do kościoła Mariackiego, niszcząc witraże i część dachu, oraz do klasztoru, gdzie stała do wysokości ołtarzy. Zwaliała się część jednej z bram miejskich, runął stojący nieopodal wiatrak, a w okolicznych wsiach utonęło sporo ludzi i zwierząt inwentarskich. Zniszczone były sady, warzywniki i zmagazynowane w spichlerzach zapasy. Wielu mieszkańców miasta opowiadało później, że tuż przed uderzeniem fali z głębi morza dał się słyszeć potworny dźwięk, niczym ryk wielkiego niedźwiedzia. I tak właśnie nazwane to wydarzenie przeszło do historii miasta. Następnego ranka przerażeni mieszkańcy z burmistrzem i proboszczem na czele, zgromadzeni w kościele Mariackim, ślubowali, że od tego dnia w rocznicę tragedii będą rok w rok obchodzić uroczyste nabożeństwo oraz organizować procesję pokutną ulicami miasta w podziękowaniu za ocalenie i błagając, by więcej tak straszliwa powódź nigdy się nie wydarzyła.

Igor powiódł spojrzeniem po całym słuchającym go towarzystwie. Chyba za mocno się wczuł w rolę przewodnika, ale chcieli – to mają.

– I to naprawdę się wydarzyło czy to tylko legenda? – spytała Alice.

– Badania prowadzone na wybrzeżu potwierdziły, że w owym czasie

rzeczywiście nastąpiło wymieszanie osadów i warstw geologicznych. Poza tym niedawno dokopano się do źródeł, według których w owym czasie miało miejsce trzęsienie ziemi w okolicach szwedzkiego jeziora Wener. To trzęsienie spowodowało eksplozję metanu w dnie Bałtyku, która mogła być odpowiedzialna za tak gigantyczne fale. Eksplozji towarzyszył także potężny huk, stąd pewnie przekaz o morskim niedźwiedziu.

Chwilę ciszy, która zapanowała na moment, przerwał pisk migawki aparatu i błysk flesza. Rupert oddawał się swojej pasji, uwieczniając na zdjęciu stojącego przed amboną Igora i siedzącą w ławkach grupkę zamyślonych osób.

– W dziewięćdziesiątym pierwszym roku ówczesny proboszcz kościoła Mariackiego wznowił zwyczaj procesji przebłagalnej i od tej pory co roku, w rocznicę tego wydarzenia, odbywa się ona nadal. – Igor się uśmiechnął. – Bardzo ładna tradycja.

Johann drgnął i spojrzał na cyferblat zegarka.

– To przecież za pięć dni.

– Faktycznie! – Jamie się ożywił. – Jaki przypadek.

Igor spojrzał na nich zaskoczony. Rzeczywiście. Zupełnie uszło to jego uwadze.

– Ale to w zasadzie i tak bez znaczenia. – Johann wzruszył ramionami. – Nie zostaniemy przecież tutaj do czwartku.

*

Władimir Sierow usiadł przy małym stoliku, tuż obok swojej koi, i otworzył laptopa. Przez chwilę przeglądał mapę, na której dużymi czarnymi kropkami zaznaczone były punkty, obok których umieszczono współrzędne. Zostało ich jeszcze kilka. Kilka do kilkunastu zejść pod wodę. Współrzędne nie były precyzyjne, raczej orientacyjne, i za każdym razem należało dodatkowo szperać sonarem. Z reguły dokładnie badali dno w promieniu wielu metrów, ale zawsze pozostawała wątpliwość, czy czegoś jednak nie przegapili. Dopóki Aleks daje na to kasę, mogli to robić dalej, gorzej – jak nic nie znajdą, a lista namiarów się skończy. Cała ta akcja sprzed tygodnia była głównie warta. Niepotrzebne zamieszanie i w dodatku wciągnęli w to

jakichś cholernych Polaków, którzy w każdej chwili mogą zacząć kłapać jadaczkami. Zaklął i zamknął program graficzny. Miał właśnie zatrzasnąć pokrywę laptopa i iść na mostek, żeby omówić jutrzejszą trasę, gdy jego spojrzenie przyciągnęła ikonka w rogu monitora. Kto miał wczoraj wachtę? Zetlers chyba? Powoli najechał kursorem na mały znaczek i poczekał, aż na ekranie uruchomi się program. Wpatrywał się przez moment w monitor, po czym kilka razy przesunął mały znaczek, przyśpieszając działanie aplikacji. Nagle dojrzał coś, co go zaniepokoiło. Cofnął program i wbił oczy w monitor. Zmarszczył brwi. Przejrzał jeszcze plik do samego końca i zamknął laptopa. Zacisnął zęby, po czym wstał i wyszedł na korytarz. Kilka metrów dalej były drzwi do kabiny Woronina.

*

– No i wreszcie prawdziwy powód, dla którego każdy powinien przyjechać do Darłowa... – Igor powiódł spojrzeniem po sześciu wpatrujących się w niego twarzach.

– Te sarkofagi? – Gwen pochyliła się nad poczerniałą ze starości, misternie dekorowaną skrzynią.

– To akurat szczątki księżnej Jadwigi brunszwickiej, żony księcia na Darłowie Ulryka, ale mnie konkretnie chodziło o ten. – Igor wskazał brodą kamienny grobowiec, przykryty grubą płytą z jasnego piaskowca. – Sarkofag władcy trzech królestw, nazywanego Cesarzem Północy i ostatnim piratem na Bałtyku.

Spojrzał z triumfalnym uśmiechem na Johanna i pozostałych, z pewną konsternacją spostrzegając, że wszyscy patrzą na niego zdziwieni, nie mając chyba bladego pojęcia, o kim mówi.

– Przywódca Unii Kalmarskiej[25], król Danii, Szwecji i Norwegii, jedna z największych postaci swoich czasów – dodał wyjaśniająco, a na widok uniesionych brwi Johanna westchnął z rezygnacją. – Widzę, że o Eryku Pomorskim statystyczni Anglicy wiedzą chyba mniej więcej tyle samo co Polacy.

– Ja jestem Irlandczykiem – mruknął Jamie.

– To cię nie tłumaczy, że nie wiesz nic o Eryku Pomorskim. – Dermot

spojrzał na niego z wysokości swoich prawie dwóch metrów wzrostu.

– A ty wiesz?

– Ja wiem! – Alice uśmiechnęła się szeroko i spojrzała triumfalnie na pozostałą grupkę. – Przepływaliśmy przed jego zamkiem! Nawet chciałam powiedzieć, ale właśnie mijaliśmy Sund, wpływaliśmy na Bałtyk i zaczęliście hucznie świętować.

– Helsingør! Zamek Hamleta! – ożywił się Dermot.

– Właśnie. – Alice pokiwała głową. – Nie wiedziałam, że jest tutaj pochowany. W ogóle to myślałam, że był Niemcem.

– Był Pomorzanie z dynastii Gryfitów. – Igor pomyślał, że pewnie równie niewiele wiedziałby o jakimś losowo wybranym królu angielskim czy szkockim, więc fakt, że Alice w ogóle kojarzyła, kim był Eryk Pomorski, i tak był zdumiewający.

Spojrzał na nią z uznaniem.

– Królowa Małgorzata Pierwsza była rodzoną siostrą jego babki. Gdy więc jej syn Olaf Drugi, niedługo po tym, jak został królem Danii i Norwegii, zmarł, zaadoptowała chłopca i nadała mu imię Eryk. Naprawdę nazywał się Bogusław. W ten sposób młody pomorski książę stał się królem Danii, Norwegii, a zaraz potem także i Szwecji.

– Czyli to on zbudował ten zamek Hamleta w Kronborgu? – Dermot pochylił się nad sarkofagiem i dotknął z szacunkiem białego piaskowca.

– W dodatku dokładnie na wzór zamku w Darłowie. – Igor pokiwał głową. – Można więc powiedzieć, że tutejszy zamek Gryfitów to prawdziwy pierwowzór szekspirowskiego zamku Elsynor księcia Hamleta.

– No, przecież one w ogóle nie są do siebie podobne – parsknął Jamie.

– Helsingør był wielokrotnie przebudowywany, to, co jest teraz, to efekt renesansowej rozbudowy. W jednej z sal na parterze stoi gablota z makietą przedstawiającą jego pierwotny wygląd z czasów budowy. Wyglądał identycznie jak Darłowo w tamtym okresie.

– Jak to się stało, że Eryk został tutaj pochowany? – spytała Gwen.

– To długa historia – westchnął Igor.

Zaczął się zastanawiać, czy nie wyjdzie przed nimi na jakiegoś maniaka,

gdy się przyzna, że na wiadomość o planowanej wizycie w Darłowie po prostu przygotował się do tematu. Nic na to nie poradzi. Historia Pomorza zawsze interesowała go jak mało co.

– W takim razie idziemy na zamek! – zakomenderował Johann. – Opowiesz nam o tym na miejscu.

Rozdział 12

Nim wybiło południe gorącego lipcowego dnia roku 1396, na wielką łąkę, rozciągającą się na południe od Uppsali, zaczęły ścigać tłumy mieszkańców okolicznych miast i wsi. Dziesiątki rycerzy, ubranych w pełne zbroje, dźwigających tarcze, topory i ciężkie, wykute z najlepszej północnej stali kopie, jechało na koniach okrytych paradnymi siodłami, o uzdach nabijanych guzami, puśliskach z drogiej skóry i czaprakach z herbami możnych rodów. Damy w długich kolorowych sukniach, w czepcach nakrywających głowy, podążały piechotą lub jechały w kolebkach, których dziesiątki wolno toczyły się po wąskich brukowanych duktach z pobliskich siół i miasteczek.

Czereda mieszczan, rzemieślników i pospólstwa podążała wielkim tłumem od strony bram miejskich, a polnymi drogami ciągnęło ubrane w białe świąteczne, lniane kubraki chłopstwo. Na wielkiej łące, nazywanej od niepamiętnych czasów Morą, gromadziło się już duchowieństwo. Grajkowie, niosąc długie, wydrążone z drewna lury i wyciosane z krowich rogów trąby, z bębniami z koziej skóry, ustawiali się w grupach, a służba szykowała miejsca dla dworu, biskupstwa i najmożniejszych stanów. Nieco dalej ustawiano namioty i przygotowywano ogniska. Wzdłuż naprędce zbitych z desek ogrodzeń szykowano miejsca na turnieje i rycerskie potyczki, a dookoła placów wbijano długie pale, na których pod wieczór miały zapłonąć pochodnie.

Na samym środku łąki leżał ogromny płaski głaz, a dookoła w regularnych kręgach wbite były mniejsze kamienie z wyrytymi na nich napisami. To tutaj od najdawniejszych, opisanych w skandynawskich sagach czasów wybierano władców tej krainy, a później także królów. Na pamiątkę tego wydarzenia w granitowym kamieniu wykuwano imię nowego króla, a kamień ten przez cały okres jego panowania leżał w centrum wielkiego królewskiego głazu. Gdy nastawała nowa epoka, stary kamień przenoszono do kolejnego kręgu, a na środek Mory trafiał kamień z imieniem nowego króla.

I to tutaj właśnie, w gorący lipcowy dzień, wszystkie stany i poddani złożyli hołd kolejnemu królowi Szwecji i władcy rodzącej się właśnie Unii

Kalmarskiej, królewskiej wspólnoty trzech północnych krajów.

Legendarny głaz z Mory zaginął na początku XVI wieku podczas wojny z Danią, a po świętych kręgach władców zostało do dzisiaj jedynie dziewięć wyszczerbionych fragmentów. Można je obejrzeć w niewielkim lapidarium niedaleko Uppsali. Wśród nich zachował się kamień pamiątkowy księcia ze słupskiej linii pomorskiego rodu Gryfitów, który owego lipcowego dnia został Cesarzem Północy.

Igor przerwał i spojrzał na słuchające go gremium pasażerów „Pandory”, jak w myślach zaczął nazywać przyjaciół Johanna.

– Brzmi prawie jak jakaś *Gra o tron* – mruknął Dermot, rozglądając się dookoła.

Stali na niewielkim placu, z którego wybrukowana dróżka wiodła do zamkowej bramy. Po lewej stronie wznosił się niewielki klasycystyczny pałacyk, gdzie mieściło się obecnie przedszkole, a po lewej, w adaptowanych pozostałościach po dawnych spichlerzach, ulokowała się restauracja. Przy ceglanych ścianach z drewnianymi okiennicami, kutymi latarniami i dekoracjami z drewnianych belek stały stoliki chronione przez parasole, na których widniało logo znanego producenta piwa.

– Boże! Jak ja nienawidzę średniowiecza – jęknął Jamie.

– Mogłeś zostać na kanapie przy lodówce z piwem. – Gwen spojrzała na niego z niechęcią. – Zamiast jęczeć teraz.

– Jakbyś była katowana takimi opowieściami przez teściową, to też byś miała dość.

– Nie mam teściowej.

– Zamknijcie się! – warknął Dermot. – Nie chcę już nic słyszeć o Szkocji!

– Co wy macie z tą Szkocją? – Igor z rozbawieniem spojrzał na Johanna, który wzruszył ramionami i oparł się o niski kamienny murek.

– Nie my mamy, tylko Jamie. Ja lubię Bridget. Jej matkę także.

– Idziemy zwiedzić zamek. – Alice oderwała plecy od ogrodzenia i wskazała brodą sklepioną bramę, prowadzącą na dziedziniec zamkowy. – A co było dalej? O ile pamiętam, to ta ceremonia na łące należała tylko do

starego obyczaju, a właściwa koronacja odbywała się w jakimś zamku.

– W Kalmarze, w starej szwedzkiej fortecy, która dzięki temu wraz z miastem przeszła do historii. – Igor pokiwał głową. – To tam Eryk został koronowany na władcę Unii Kalmarskiej, a na sporządzonym dokumencie unijnym postawiono łącznie sześćdziesiąt siedem pieczęci. Trzy królestwa miały od tej chwili, zachowując samodzielność i niezależność, współdziałać pod względem gospodarczym i militarnym.

– Taka pierwsza mała Unia Europejska? – Rupert przyłożył oko do obiektywu i zrobił zdjęcie starego spichlerza.

– Nie taka mała w sumie. Jej obszar obejmował, oprócz trzech północnych królestw, także Grenlandię w teoretycznie nieodkrytej, a od dawna odwiedzanej przez skandynawskich żeglarzy Ameryce, oraz liczne wyspy od Atlantyku aż po Ocean Arktyczny. Blisko półtora miliona kilometrów. Do tego dochodziło oczywiście sprzyjające całkowicie Erykowi Pomorze. Największy związek państwowy ówczesnej Europy. To była od tej pory potęga, która zdołała przeciwstawić się na Bałtyku dominacji Hanzy, no i Zakonowi Krzyżackiemu.

– Eryk miał wówczas raptem trzynaście lat... – Johann oderwał oczy od ekranu tabletu.

– Do swojej śmierci rządziła Małgorzata Pierwsza, jako regentka. Umarła dość niesamowicie. Znowu wam się z *Grą o tron* skojarzy.

– Czyli jak? – Jamie, który właśnie wchodził pod sklepioną bramę wieży, odwrócił się do Igora, tarasując przejście.

– W tysiąc czterysta dwunastym roku w czasie rokowań pokojowych we Flensburgu zaraziła się panującą wówczas w Europie dżumą. Umarła, siedząc na drewnianym zydłu na pokładzie swojego okrętu. Jej trumny, która została umieszczona w sarkofagu w katedrze w Roskilde, w obawie przed zarazkami, nigdy później nie otwierano.

– Wyobrażam sobie ten skrzypiący pokład i zawodzące mewy... – Gwen się wzdrygnęła.

– I upiorną postać w czarnej sukni na drewnianym tronie – dodał teatralnym szeptem Dermot.

– I zastygłych ze zgrozy marynarzy... – podsumował Jamie, wznosząc

oczy do nieba.

Igor uśmiechnął się pod nosem i jako ostatni zniknął w czeluści zamkowej bramy.

*

Wielki Rosjanin, z marsowo ściągniętym czołem, w milczeniu przypatrywał się temu, co zobaczył na ekranie laptopa, który przed chwilą postawił przed nim Sierow.

Na monitorze widać było wąski korytarz i drzwi do kabin. Właśnie przeszedł nim szczupły, wysoki mężczyzna i stanął niezdecydowanie przed drzwiami do jednej z kajut. Rozejrzał się na boki, po czym złapał za klamkę i nacisnął.

– I co o tym myślisz? – Sierow patrzył na Woronina zimno. – Ty go ściągnąłeś na pokład.

– Może to zwyczajna ciekawska menda?

– Zawsze chciał oglądać papiery i pozwolenia. Musiałem mu pokazywać wszystkie dokumenty, żeby go uspokoić, że wszystko jest legalne.

– Gdzie jeszcze masz te kamery? – Woronin spojrzał na Sierowa spode łba.

– A co cię to obchodzi. Mówiłem, że nie ufam tym tępakom, i miałem rację.

– To zwykła ciekawska menda – powtórzył Woronin i wzruszył ramionami. – W najgorszym przypadku drobny złodziejaszek. Może chciał coś podwędzić?

– I liczył na to, że tego nie zauważę? Aż tak głupi to nawet ty nie jesteś.

– Uważaj, co mówisz! Powiedz lepiej co, kurwa, robimy? Może dać mu wycisk?

– Nic nie robimy – parsknął Sierow. – Miej na niego oko.

– Nie sądzisz chyba, że to jakaś wtyka szefa?

Sierow nic nie odpowiedział. Ze zmarszczonymi brwiami wpatrywał się w monitor, na którym Artiom Zetlers oddalał się właśnie w głąb korytarza.

*

Paulina wróciła do hotelu, gdy słońce zbliżało się już powoli do dachów domostw. Niebo stało się intensywnie niebieskie, a im bliżej zachodu, tym bardziej zabarwiała się fioletem i purpurą. Po spotkaniu z Wyrzykowskim poszła na długi spacer po plaży. Chciała poukładać sobie w głowie wszystkie informacje i zastanowić się, co jeszcze powinna zrobić, zanim jutro stąd wyjedzie. Im wcześniej, tym lepiej zresztą, bo więcej jej zostanie niedzieli do zagospodarowania wyłącznie dla siebie w domu. Wyrzykowski, jak się zresztą spodziewała, nie powiedział jej nic szczególnego. Na temat morderstwa więcej dowiedziała się na miejscu zdarzenia i od Olszańskiego. Początkowo rozważała, czy nie spytać go o tę schizofrenię ojca – kiedy zaczęła się rozwijać, czy pamiętał te ataki, jak ojciec się zachowywał, ale po namyśle uznała, że to może być dla niego zbyt przykre i że w ogóle nie zechce z nią rozmawiać. Uznała, że później o tym poczyta albo skonsultuje się z jakąś lekarką i będzie miała wystarczające podstawy do krótkiej wzmianki na ten temat.

Zbliżający się zmierzch zamienił plażę niedaleko Dąbek w bajkowy pejzaż z folderów reklamowych, trudno więc było jej powstrzymać myśli, które zaczynały bojkotować i artykuł, i pracę, i rozpraszały się wśród lżejszych tematów. Obiad na luksusowym jachcie Johanna zdecydowanie do nich należał, ale już wspomnienie Igora, który pojawił się przed jej oczami niczym duch, kompletnie od tego odbiegało. Johann mógł ją uprzedzić. Widok Igora ją zaskoczył i wyprowadził z równowagi. Nawet teraz czuła, jakby to spotkanie coś zmieniło. Jakby ta komfortowa wygoda emocjonalna, w której żyła do tej pory, została zachwiana. I skąd się jej to, do cholery, wzięło? No i, oczywiście, o czym musieli od razu rozmawiać? O tej cholernej Dorocie! Może gdyby Johann o nią nie zapytał, udałoby się im uniknąć tego tematu. Tylko co by to zmieniło? W każdym razie wie, że nie są razem. Pewnie go po prostu wykorzystwała w Szczecinie jako opokę, kogoś, na kim mogła się wesprzeć, a gdy poczuła się lepiej, wróciła do Berlina i odprawiła go z kwitkiem. Wyglądała na manipulatorkę. Wodziła za nos całą bandę oprychów, musiała być mistrzynią w tej dziedzinie. Z drugiej strony jednak, o ile Paulina pamiętała, Igor nie był kimś, kim można było manipulować do woli. Ale może nie znała go zbyt dobrze? W końcu spędzili ze sobą jedynie

dwa tygodnie w czasie tamtego całego śledztwa. Może wciąż kochał byłą żonę, tylko nie dawał tego po sobie poznać?

Po co ona w ogóle o tym, do ciężkiego diabła, myśli? Co ją to obchodzi?

Ale musiała przyznać, że dobrze mu z tą brodą. Mateusz też nosił brodę, ale jemu nie rosła taka ciemna i intensywna. Mateusz... Mateusz znowu był w Londynie...

Gdy słońce zeszło prawie do horyzontu, stwierdziła, że jest głodna. Jadła jedynie ten lekki lunch na jachcie i nic poza tym. Pójdzie do restauracji i zamówi sobie jakąś pyszną sałatkę. Na przykład z grillowanym kurczakiem i sosem winegret.

*

Źle się działo w państwie duńskim. Wysoki mężczyzna z długimi jasnymi włosami stał za blankami kasztelu na rufie wojennej kogi, na której burcie widniał wymalowany na deskach złotą farbą napis „Den Store Ark”[26] i wpatrywał się w horyzont, za którym znikwały właśnie wieże Kopenhagi.

Przez długie lata wszystko układało się znakomicie. Unia się bogaciła, a zwłaszcza Dania, gdzie Eryk rezydował przez większą część roku. Cła sundzkie, które król nałożył na wszystkie okręty przepływające przez cieśninę, przyczyniły się do wielkiego rozkwitu miast duńskich, a przede wszystkim Kopenhagi, będącej siedzibą Eryka i największym portem na Bałtyku. Sundu strzegła forteca Krogen w mieście Helsingør, a z zatrzymanych tam angielskich, holenderskich czy należących do portów Hanzy statków handlowych spływały ogromne dobra do skarbców królestwa. Z czasem jednak nad głową Eryka zaczęły się gromadzić ciemne chmury.

Panowanie nad ogromnym terytorium Unii Kalmarskiej okazało się bardzo trudne, stany Norwegii i Szwecji coraz częściej narzekały, że król faworyzuje Danię ich kosztem. Nie pomagała Erykowi jego polityka nadawania dóbr i wysokich godności zaufanym krewnym z Pomorza, a tocząca się praktycznie bez ustanku i na dodatek bez specjalnych sukcesów wojna z Holsztynem o będący starym lennem Danii Szlezwik coraz bardziej podkopywała królewski autorytet i budziła protesty niższych stanów, na które nakładano ciągle nowe podatki. Co gorsza jednak, Filipa Lancaster, córka króla Anglii Henryka IV, z którą małżeństwo było doskonałym posunięciem

dyplomatycznym, nie urodziła mu potomków. Eryk nie miał następcy, a wysuwana przez niego kandydatura kuzyna, księcia słupskiego Bogusława IX, nie została uznana przez rady państw Unii Kalmarskiej.

Gdy więc w 1439 roku Szwecja i Dania, a w ślad za nimi Norwegia, podjęły decyzję o detronizacji Eryka, urażony w swojej dumie król wraz z wiernymi mu kompanami opuścił Danię na zawsze. Zanim to jednak uczynił, opróżnił skarbiec koronny na zamku w Kalundborgu, skąd zabrał także duńskie klejnoty koronne, a z Gęsiej Wieży, legendarnego zamku w Vordingborgu, który postawił w XII wieku król Waldemar I, kazał zdjąć złotą gęś, co według późniejszych legend sprawiło, że zamek podupadł i nigdy już nie odzyskał świetności.

Cesarz Północy stał się piratem, nazywanym przez ówczesnych ostatnim wikingiem na Bałtyku.

Słońce zaszło jakąś godzinę temu. Na plac przed zamkiem powoli wkradał się zmrok, podkreślany dodatkowo przez zapalone przed chwilą latarnie na ścianach starego spichlerza. Siedzieli przy dwóch zestawionych stolikach, tuż obok ceglanego murku. Na białym obrusie stały przed nimi kufle z piwem i wysokie szklanki z sokiem, a sympatyczny kelner przyniósł wszystkim koce, gdyby nagle poczuli, że zrobiło się chłodniej.

Mimo narzekań Jamiego, obeszli cały zamek i zajrzeli do wszystkich dostępnych pomieszczeń. Obejrzelikaplicę z barokową amboną ufundowaną przez księżną Elżbietę, salę, w której wystawione były XIX-wieczne przedmioty użytkowe, salę przyjęć z portretami książąt pomorskich związanych z Darłowem. W zamkowej sypialni podziwiali renesansowe, pochodzące z zamku Podewilsów w Krągu, łóże z wyrzeźbioną na wezgłowiu sentencją „Zwalczaj sen miłością”, co oczywiście momentalnie posłużyło za pożywkę do niekończących się żartów i komentarzy. W jednej z sal muzealnych ze zgrozą obejrzelispreparowane truchło dwugłowego cielaka, który urodził się w Darłowie w 1917 roku, oraz mumię kota, zamurowanego żywcem podczas któregoś z remontów zamku.

– Wyobrażacie sobie, jak zupełnie inaczej wyglądałaby dzisiaj mapa Europy, gdyby Erykowi udało się zrealizować swoje plany? – Alice spojrzała przez dno pustej szklanki na mieniące się w światłach latarń zamkowe mury.

– Gdyby udało mu się zjednać do swojego pomysłu Jagiełłę, powstałby związek państw skupiający Unię Kalmarską i unię polsko-litewską. Bałtyk stałby się morzem wewnętrznym, a Krzyżacy musieliby się stąd wynosić... –

Igor uśmiechnął się pod nosem i sięgnął po kufel z piwem. – Tymczasem sama Unia Kalmarska doczekała się ataków ówczesnych ekstremistów, pospólstwa i niższej szlachty, którzy zaczęli głosić, że „niegdyś wolne państwa stały się niewolnikami obcego króla i cudzoziemskich urzędników”.

– Skąd ja to znam? – Johann wzruszył ramionami. – Ludzie się wcale nie zmieniają.

*

Sałatka z grillowanym kurczakiem była mniej niż średnia. Paulina zostawiła połowę na talerzu, co raczej rzadko jej się zdarzało, a przynajmniej w przypadku tej potrawy. Zapłaciła i wyszła z restauracji hotelowej. Na dworze panowała już szarość, a od wschodu nadciągał coraz bardziej intensywny mrok. Wieczór był ładny, wciąż utrzymywało się ciepło, a całe niebo usiane było gwiazdami. Otworzyła drzwi swojego domku, rzuciła klucz i torebkę na szafkę i rozejrzała się po pokoju. Spakuje się jutro rano, do dwunastej będzie miała czasu aż nadto. Dzisiaj mogłaby coś jeszcze zrobić. Może przejść się i obejrzeć ten ośrodek, w którym leczył się Wyrzykowski? Może tam jest jakiś cieć. Ale to bez sensu. Jeśli Wyrzykowski tam skanował swój dziennik, to raczej w jakimś biurze, sekretariacie, ale nie w kantorku ciecia przecież. Wyprawa tam niczego więc nie przyniesie. Może jutro rano zajedzie i popyta. A dzisiaj? Coś chodziło jej po głowie. Gdzieś planowała się wybrać, z kimś porozmawiać... Kto to mógł być?

I nagle sobie przypomniała. Rozmowa z sąsiadką Wyrzykowskiego, panią Pawelczyk. Kobieta dała jej przecież numer telefonu do tego pomocnika, który sprzątał u niej obejście. Stasiak się nazywał. Mieszkał w jakiejś wsi.

Paulina podeszła do szafki i wyjęła z torby notes. Przerzuciła kilka kartek i zatrzymała się w zaznaczonym miejscu. Sama wetknęła tutaj jakąś pocztówkę. „Porozmawiać ze Stasiakiem! Bukowo Morskie. Pierwszy dom przed kościołem”.

Sięgnęła po komórkę i wstukała numer, który podała jej Pawelczyk. Rozmówca był „poza zasięgiem albo miał wyłączony telefon”. Włożyła

komórkę do torby.

Pomyślała, że to przecież tylko pięć minut drogi stąd.

*

Zaraz po Wielkanocy 1449 roku, późną nocą, do brzegów Gotlandii, tuż pod wznoszącą się na wysokim brzegu fortecą w Visby, przybiła szalupa z jednego ze stojących na morzu duńskich okrętów wojennych. Wsiadł z niej odziany w galowy mundur mężczyzna i z trzema marynarzami ruszył w kierunku fortyfikacji, które ciągnęły się wzdłuż kamienistych brzegów. Wysokie, spienione fale rozbijały się o granitowe skały, a mrok rozświetlały jedynie pochodnie niesione przez towarzyszących mężczyźni marynarzy. Pod zamkiem, ukryta w skałach, znajdowała się grotta, w której głębi kamienne schody wiodły ku sekretnemu wejściu do zamku.

Czasu było niewiele. W porcie w Visby stali już Szwedzi, a w mieście trwały zamieszki. Forteca uchodziła wprawdzie za najpotężniejszą na Bałtyku, ale i tak nie byłaby w stanie długo się bronić przed siłami szwedzkimi i załogami okrętów wojennych Hanzy z Lubeki i Gdańska. Załoga zamku trwała w pogotowiu, a w ukrytym wśród skał porcie stało siedem gotowych do ucieczki żaglowców. Pod osłoną nocy, w kompletnych ciemnościach, sekretnym wyjściem wydostali się do grotty, a stamtąd na gotowe do drogi okręty. Eskortowani przez duńską flotę wojenną, pod samym nosem niczego nieświadomych Szwedów, siedem żaglowców Eryka Pomorskiego, z ładowniami pełnymi niezmiernych bogactw zdobytych w korsarskich potyczkach z Hanzą, z zawartością królewskiego skarbcza zamku Kalundborg i klejnotami koronnymi Danii, wypłynęło na morze, kierując się ku brzegom Księstwa Pomorskiego.

Igor przerwał i sięgnął po kufel z piwem. Przy stoliku panowała cisza, a sześć par oczu wpatrywało się w niego w skupieniu.

– Jak to możliwe, że duńska flota wojenna pozwoliła Erykowi wywieźć skarby koronne Danii? – spytał w końcu Johann.

– Gotlandię chcieli zająć Szwedzi, uważali, że mają do niej prawa. Eryk w zamian za wpuszczenie tajemnym wejściem do zamku w Visby

Duńczyków i tym samym postawienie Szwedów przed faktem dokonanym, otrzymał od panującego wówczas nowego króla Danii gwarancje bezpieczeństwa. Do tego owym umundurowanym oficerem, który nocą przedostał się do zamku, był marszałek Oluf Axelsen Thott, syn jednego z wiernych dowódców Eryka.

– Eryk naprawdę zajmował się piractwem? – Gwen podciągnęła nogi na krzesło i nakryła się kocem. – Ile jest w tym prawdy?

– Zdaniem historyków uważał po prostu Gotlandię za swoją własność i każdy, kto przepływał przez jej wody terytorialne, musiał płacić cła, takie same jak sundzkie. Według niego było to legalne i w pełni zgodne z prawem, a według Hanzy i Szwedów to było piractwo. Jedna z legend mówi, że nieopodal Gotlandii zatonął w czasie sztormu, wiozący kosztowności dla korony, królewski okręt Danii. Eryk sprowadził z Lubeki nurków, którzy posługując się skórzanymi skafandrami i rurkami doprowadzającymi powietrze, wydobyli ów skarb, po czym mimo protestów Duńczyków zatrzymał go dla siebie.

– Już widzę tych średniowiecznych nurków w skórzanych skafandrach – parsknął Jamie.

– A i tak pewnie by się nie zgubili w ładowni tak jak ty – zakpił Dermot, wzbudzając krótki wybuch śmiechu.

– Co było dalej? – Alice spojrzała na Igora. – Co się stało z tymi siedmioma okrętami?

– Eryk zatrzymał się na krótki postój na Bornholmie, a następnie wyruszył w ostatni etap podróży. Po drodze jednak dopadł ich potężny sztorm...

*

Zanim Paulina dotarła do Bukowa Morskiego, zrobiło się prawie całkiem ciemno. Najpierw zadzwonił Mateusz i przez dwadzieścia minut leżała na łóżku, wysłuchując narzekań na jego londyńskiego szefa, który niezadowolony z wyników finansowych szwajcarskiego przedstawicielstwa firmy, prawdopodobnie zleci kontrolę oddziału. Potem szukała kluczyków, które okazało się, spadły na podłogę, gdy niemiłosiernie znudzona opowiadaniem o spadku sprzedaży produktów w Polsce podrzucała je sobie

do góry. Szukając ich po całym pokoju przez następne dziesięć minut, stwierdziła, że tak naprawdę nie ma pojęcia, co właściwie firma Mateusza sprzedaje, i będzie musiała się później jakoś dyplomatycznie dowiedzieć, bo znowu wyjdzie na to, że nie interesuje się jego życiem zawodowym. Gdy wyszła wreszcie z domku, panował już półmrok, a kiedy wyjechała z parkingu i pokonała kilka kilometrów asfaltową drogą wśród pól, zapadł zmrok.

Światła wyłowiły z ciemności na poboczu zieloną tablicę z nazwą wsi, a zaraz potem pojawiły się pierwsze zabudowania. Po prawej stronie ciągnęły się łąki aż do brzegów jeziora Bukowo. Przez uchyloną szybę słyszała równomierny dźwięk cykad znad wody i popiskiwanie jakichś nocnych stworzeń. Z mroku wyłaniały się kolejno ogrodzenia i kępy przydrożnej zieleni. Nad jezdnią wisiały latarnie zawieszane na wysokich betonowych słupach. Nie wszystkie się paliły i miejscami jedynym oświetleniem były strużki światła padające z obejść i okien domów. Zabudowa tej części wsi wyglądała na dość luźną – gospodarstwa nie przylegały jedno do drugiego. Paulina przejechała wolno jeszcze kawałek, pochylona nad kierownicą, wypatrując przez przednią szybę, czy któryś z domów nie będzie odpowiadał opisowi Pawelczyk. Dlaczego kretynka nie spytała jej o numer? Chociaż możliwe, że sama Pawelczyk go nie znała. Po prawej stronie zamajaczyły w ciemności jakieś budynki, a po chwili światła wydobyły z mroku gęste krzewy, którymi przysłonięte było obejście. Nieco dalej ciągnęła się siatka, za którą, kilka metrów od granicy posesji, stał skromny, zaniedbany dom. Po lewej w pewnej odległości majaczyły wielkie drzewa i wyłaniająca się zza nich strzelista wieża kościoła.

Paulina zatrzymała się przy ogrodzeniu i zgasiła silnik. To musi być tutaj. Pierwszy dom przed kościołem. Wysiadła i podeszła do furtki. Na stalowym słupku był przycisk dzwonka. Wewnątrz domu ktoś musiał być, w jednym z okien paliło się światło. Rozejrzała się dookoła. Pomyślała, że o tej porze za przyjemnie to tutaj nie jest. W oddali było widać plamę światła rozlewającą się przed wejściem do kościoła, sama droga niknęła w mroku.

Na dzwonek nikt nie zareagował. Paulina przycisnęła go ponownie i przeszła się wzdłuż siatki, zaglądając w głąb posesji. Może ten Stasiak coś robi za domem? Gdzieś z daleka dobiegało szczekanie psa, ale tutaj psa raczej nie było. Już dawno szalałyby przy ogrodzeniu albo za drzwiami domu.

Tymczasem panowała cisza.

Paulina wróciła do furtki i ostrożnie nacisnęła klamkę. Stalowa bramka nie była zamknięta. Czy to nie jest wtargnięcie na cudzy teren? W zasadzie przecież chce tylko zobaczyć się z właścicielem. Wejdzie i zapuka do drzwi, to raczej nie jest żadne przestępstwo.

Cichutko pchnęła furtkę i weszła na chodnik z betonowych płyt, który prowadził prosto do schodków przed drzwiami wejściowymi. Zapukała. Czekala na jakiś hałas ze środka. Może jakiś stary pies w końcu by się obudził, a może właściciel drzemie w fotelu przed ryczącym telewizorem i nie słyszy. Zastukała jeszcze raz, tym razem zdecydowanie energiczniej.

Nic. Pochyliła się do drzwi i przez chwilę nasłuchiwała, ale we wnętrzu domu panowała całkowita cisza. Paulina odwróciła się i chciała wyjść za płot, gdy jej uwagę przykuła wąska ścieżka z płyt, prowadząca za dom. Może zajrzy tam tylko? Przywita się i przeprosi za najście, w razie gdyby właściciel rzeczywiście coś tam robił. Może coś naprawia albo majsterkuje? Lekki podmuch wiatru poderwał z dróżki kilka zeschniętych liści. Wielkie, rozrośnięte krzewy bzu zakołysały się niespokojnie.

Paulina zeszła ze schodów, przeszła kawałek przed frontem budynku i stanęła niezdecydowanie tuż za rogiem, usiłując dojrzeć cokolwiek w ciemności panującej za domem. Obejrzała się za siebie, a następnie powoli ruszyła ścieżką w głąb posesji.

*

Pierwszą oznaką nadchodzącego sztormu są zawsze chmury i kolor nieba. Bywa, że niebo jest całkiem czyste, ale z czasem gromadzą się na nim kłębiaste, białe kępy puchu, które przepływają wolno po błękitnie, zasłaniając co chwilę słońce. Meteorolodzy nazywają je *cumulus humilis*, czyli chmurami pięknej pogody. Gdy jednak zmienia się front, wysoko nad wodą więcej coraz silniejsze wiatry i zaczynają przemieszczać się wielkie masy powietrza, chmury pięknej pogody zbijają się niczym przestraszone owce w większe grupy, tworząc kłębiaste chmury deszczowe – te rosnąc, przeistaczają się w cumulonimbusy, czyli groźne, czerniejące na horyzoncie chmury burzowe, poprzetykane łamiącym się w kryształkach lodu światłem, które barwi niebo na kolory od czerwieni do fioletu.

Na północnym niebie tworzył się właśnie, ukośnie nachylony do płaszczyzny horyzontu, bajecznie piękny landszaft, na którego tle po coraz bardziej niespokojnym morzu płynęło siedem żaglowców. Średniowieczne, wyposażone w zaledwie jeden maszt z rejowym ożaglowaniem kogi nie były ani specjalnie zwrotne, ani szybkie, a i ich rozbudowane i unowocześnione wersje z trzema masztami, z przełomu XIV i XV wieku, rozwijały szybkość zaledwie pięciu, sześciu węzłów. Siedem żaglowców Eryka, które zmierzały ku wybrzeżom Księstwa Pomorskiego, nie miało zatem najmniejszych szans, żeby uciec przed ścigającą je burzą, i już po kilku godzinach dopadły je wielkie fale ze spienionymi wściekle grzywami i zaczęły szarpać ich drewniane burty na wszystkie strony. Pociemniałe niebo raz po raz przecinały błyskawice, a grzmoty przewalały się nad ryczącym przeraźliwie morzem. Nim sztorm się skończył, z siedmiu wojennych okrętów Eryka zostało tylko pięć. Dwa, z połamanymi przez huragan masztami i burtami pogruchotanymi przez wyrwane z mocowań armaty, poszły na dno gdzieś w połowie drogi pomiędzy Bornholmem a Darłowem. I wszelki ślad po nich zagaął.

*

Gdyby nie światło księżyca, za domem byłoby kompletnie ciemno. Srebrna poświata wydobywała z mroku zarysy dwóch budynków gospodarczych. Jeden, mniejszy, stał w głębi działki, drugi – spora ceglana stodoła – ciągnął się wzdłuż bocznej granicy. Paulina stanęła niezdecydowanie i rozejrzała się dookoła. Nic nie wskazywało na to, żeby ktoś tutaj był. Wielkie wrota stodoły były zamknięte. Gdyby nie szum liści i nocne dźwięki dochodzące z szuwarów nad jeziorem, panowałaby kompletna cisza. Poczowała się nieswojo. Pomyślała, jak bardzo podejrzenie musi to wyglądać z boku – ktoś obcy kręci się cichaczem po obejściu, skrada na podwórze. Bała się z jednej strony głośno zawołać, żeby nie zwrócić uwagi sąsiadów, z drugiej natomiast podejrzewała, że obca baba kręcąca się w milczeniu po cudzym obejściu musi zainteresować kogoś siedzącego w jakimś sąsiednim domu za firanką i czujnie obserwującego rozwój wypadków. Poza tym było tutaj dość strasznie.

Chciała już się odwrócić i wracać do samochodu, kiedy jej uwagę przyciągnęły wrota do stodoły, które pod wpływem wiatru lekko się uchyliły, po czym zamknęły z głuchym trzaskiem. Na krótką chwilę dało się widzieć

palące się w środku nikłe światło. Na moment zamarła. Walczyła ze sobą przez chwilę, by natychmiast nie zabrać się z tego miejsca, kiedy przyszło jej na myśl, że może ten biedny Stasiak po prostu potrzebuje pomocy. Pawelczyk coś mówiła, że jego żona umarła niedawno. Może był chory, może zasłabł. To chyba jakiś starszy człowiek.

Przez moment stała niezdecydowana i wpatrywała się we wrota do stodoły, które tymczasem znowu powoli, z cichym skrzypieniem, lekko się uchylły, a na bruku przed nimi na chwilę utworzyła się świetlista pręga. Westchnęła i wyjęła z kieszeni komórkę. Niebieskawe światło wyłoniło z mroku brudną ścianę z czerwonej cegły, pokierszowane, drewniane odrzwia na stalowych, pasowych zawiasach oraz jakieś skrzynie i beczki stojące pod budynkiem. Podeszła do wrót i po chwili wahania sięgnęła po metalową klamrę. Skrzydło lekko się uchyliło, ukazując ponure wnętrze, w którego głębi, przy schodach na poddasze, paliła się jedna brudna żarówka.

Paulina zdławiła w zarodku rodzącą się panikę i chęć natychmiastowej ucieczki z tego miejsca, policzyła po cichu do dziesięciu i weszła do środka.

Rozdział 13

Można powiedzieć, że płynęliśmy śladami Eryka Pomorskiego – rzekła w zadumie Gwen, podciągając koc i okrywając szczerne nogi.

– Zrobiło się trochę chłodno... – Johann spojrzął na grubą tkaninę w kolorowe esy-floresy, którą owinęła się Gwen, i odstawił kufel na stół. – Kończcie to piwo i wracamy. Mamy trzy kilometry do przejścia.

– Damy radę. – Dermot oderwał wzrok od oświetlonych latarniami zamkowych murów i spojrzął na Igora. – A co się działo tutaj dalej? Dania dała za wygraną? Nie upomniała się o klejnoty koronne? Nikt go nie ścigał?

– Upominała się wielokrotnie, ale nic to nie dało. Eryk po przybyciu do Darłowa, mimo kilku zatargów z miejscową ludnością, w czasie których użył armat przywiezionych ze sobą z Gotlandii i ustawionych na wałach pod murami obronnymi, rządził spokojnie i bez większych problemów Księstwem Słupskim aż do śmierci w tysiąc czterysta pięćdziesiątym dziewiątym.

– Pamiętacie te armaty na bastionie Kronborga w Helsingør? – Alice spojrzała w przestrzeń. – Ile ich było? Szesnaście?

– Siedemnaście. – Dermot zdecydował się zjeść ostatni słony paluszek, który został w szklance.

– Tamte armaty są dużo późniejsze. Ustawiono je po przebudowie zamku wiele lat po Eryku. – Igor, ubrany w bermudy, poczuł na nogach lekkie ukłucie zimna.

W liściach drzew stojących nieopodal zaszumił przez moment wiatr.

– I to wszystko? – Jamie wypił do końca piwo i odstawił wysoki kufel na stół. – Takie awanturnicze życie, wojny na morzu, korsarstwo... i osiadł jak dziadek w wiejskim zamku?

– Ty jako dziadek osiadiesz w wiejskim domu w Szkocji – rzucił złośliwie Dermot.

– Nawet tak nie żartuj.

– No niezupełnie. – Igor uśmiechnął się pod nosem, patrząc na rozbawione po uwadze Dermota towarzystwo. – Dopiero tutaj narodziły się legendy o pozostawionych przez niego skarbach.

– Są jakieś legendy o skarbach?

– Według nich te wielkie łupy, które Eryk przywłókł ze sobą na pięciu okrętach, zostały ukryte gdzieś w Darłowie i do dzisiaj czekają na znalazcę. Pomorski kronikarz Thomas Kantzow wymienił niektóre z tych bogactw w jednej ze swoich prac[27]. Miały tam być, oprócz klejnotów koronnych Danii, takie osobliwości, jak róg jednorożca, posąg Chrystusa naturalnej wielkości ze szczerego arabskiego złota, posągi dwunastu apostołów ze srebra, ogromna złota monstrancja i ta słynna szczerozłota, legendarna gęś z wieży zamku w Vordingborgu. Poza tym zastawy stołowe ze złota i srebra, cenne meble i pewnie kufry ze złotymi monetami, w końcu Eryk ponoć opróżnił także duński skarbiec.

– I co? – Jamie popatrzył z niedowierzaniem na zamkowe mury. – To wszystko miałyby być ukryte gdzieś w tym zamku?

– Pewnie w lochach – mruknął Johann.

– Według różnych opowieści początkowo te bambetle zostały zamknięte w najwyższej komnacie zamkowej wieży. Potem Eryk przed samą śmiercią ukrył je pod dnem Wieprzy, specjalnie w tym celu zmieniając jej bieg, po czym ponownie zalewając koryto wodą... – Igor uśmiechnął się z przekąsem.

– To chyba tylko jakaś bajka? – odezwała się Gwen, chowając ręce pod koc.

– Pewnie, że bajka. – Igor wzruszył ramionami.

– Może chcesz drugi? – Dermot kiwnął głową do Gwen, wskazując wzrokiem złożony materiał, leżący obok niego na oparciu fotela.

– No co? Jestem zmarzluchem z natury.

– Nie nabijam się. Pytam poważnie.

– Dawaj. – Gwen sięgnęła po koc i spojrzała na Igora. – Więc wszystko to było bajką? Czy tylko o tym skarbie pod dnem Wieprzy?

– Sama ta opowieść jest cenna, ale raczej z powodów antropologicznych. – Igor uśmiechnął się na widok Gwen owijającej się drugim kocem. – Wyraźnie widać, że powstała na kanwie różnych innych legend o skarbach.

Nie więcej w niej prawdy niż we wszystkich pozostałych.

– Skarby niekiedy się znajdują. – Alice uśmiechnęła się do Igora.

W ciszy, która na moment zapadła, rozległ się głośny dźwięk telefonu.

– To twój. – Gwen skinęła głową w kierunku Johanna.

Chłopak wyprostował się na krześle i z trudem wyciągnął telefon z ciasnych dżinsów.

– Kto może do mnie tutaj dzwonić? – jęknął.

– Ale cała reszta tej opowieści o skarbach Eryka ma przecież solidne podstawy. – Alice też podciągnęła nogi na krzesło. – Zrabowanie majątku Unii Kalmarskiej to przecież fakt.

– Tak, ale żadnego skarbu nie ma i nie było.

– Jak to nie było? – Jamie spojrzał zawiedzionym wzrokiem na Igora. – Gadamy o nim od pół godziny i nie było?

– Coś się stało? – Igor nagle zobaczył, że na twarzy Johanna trzymającego telefon przy uchu maluje się coraz większe napięcie.

Johann pokręcił głową niecierpliwie, słuchając czegoś z uwagą.

– Dobra. Nie ruszaj się z samochodu – rzucił w końcu do telefonu. – Zaraz będziemy.

– Gdzie będziemy? – Gwen spojrzała na niego z niepokojem. – Z kim ty rozmawiasz?

Johann przejechał palcem po ekranie smartfona.

– To Paulina. Miała jakiś wypadek, z tego, co zrozumiałem. – Podniósł głowę i powiódł zdezorientowanym wzrokiem po wszystkich po kolei. – Chyba spadła z drabiny.

– Z drabiny? – Gwen poruszyła się gwałtownie, strącając na ziemię jeden z koców.

– A co ona robiła na drabinie o tej porze? – Jamie wstał z krzesła. – Nie była chyba na sianie? – Uśmiechnął się rubasznie.

– Musimy jechać! – Johann, ignorując Jamiego, wstał i spojrzał na Igora.

– Jak? Czym? Mój samochód stoi obok jachtu.

– A gdzie masz kluczyki?

Igor zmarszczył brwi.

– Racja. Na mojej koi leżą czarne dzinsy, w których przyjechałem. Kluczyki są w prawej kieszeni.

– Okej. Dzwonię do Billa.

*

Prokurator Teodor Olszański wrócił do swojego wynajmowanego mieszkania po dziewiętnastej. Zjadł coś, co udało mu się wygrzebać z lodówki, a co nadawało się jeszcze do jedzenia, i w samych bokserkach zasiadł przed telewizorem. Z założenia miał to być relaks i format C dzisiejszej zawartości umysłu, ale po piętnastu minutach poczuł się bardziej zdenerwowany, niż był, wychodząc z biura. W dodatku rozboleła go głowa. Mamrocząc pod nosem coś na temat tańca z durniami, pogrzebał w szafce nad umywalką i znalazł ostatni listek apapu. Przełknął dwie tabletki i popił w miarę świeżym sokiem pomarańczowym. Poczuł, że musi się położyć i zdrzemnąć. Wstanie za dwie godziny i wtedy będzie mógł dalej pisać ten pieprzony protokół.

Około dwudziestej pierwszej wyrwał go ze snu telefon. Sięgnął na szafkę i mrużąc oczy, spojrzął na wyświetlacz. Pomyślał, że jeśli to Matuszek, to go zwymyśla. Przynajmniej to go trochę odstresuje. Na wyświetlaczu widniało dziewięć nieprzypisanych do nikogo konkretnego cyfr, które mu się jednak z kimś kojarzyły. Przez chwilę walczył ze sobą, żeby nie odbierać, po czym przypomniał sobie, do kogo należał ten numer.

Dziesięć minut później wkładał szybko spodnie, wstukując jednocześnie numer Matuszka.

*

Grafitowy mercedes W 210 zjechał z ulicy Darłowskiej na teren należący do hotelu Rekin. Przejechał przed oszklonym pawilonem, w którym mieściło się główne wejście, i zatrzymał w głębi posesji na jednym z miejsc parkingowych, tuż obok dziwacznych domków kempingowych o charakterystycznej asymetrycznej formie, wyraźnie wskazującej na rodowód z lat siedemdziesiątych XX wieku. Z samochodu wysiadło dwóch

mężczyzn i skierowało się w stronę recepcji. Po chwili weszli do wnętrza budynku. Przez wielkie oszklone okna widać było, jak przez chwilę konferują z kobietą w recepcji, a następnie zniknęli za drzwiami restauracji, z której dochodziła głośnie muzyka. W lokalu trwała właśnie impreza integracyjna dla uczestników odbywającej się tutaj konferencji stomatologicznej, ale goście z zewnątrz też mogli liczyć na obsługę. Na dworze było cicho i spokojnie. W tę ciszę wdzierały się tylko głośnie dźwięki muzyki, dobiegające zza otwieranych co jakiś czas okien i drzwi tarasowych.

Grafitowy mercedes stał na trzecim miejscu postojowym, licząc od prawej strony. Dochodziła dwudziesta druga, a większość stojących niedaleko parkingu domków była pogrążona w ciemności.

*

Ulica przed samotnym domem była opustoszała. Mrok wypełzał na jezdnię spod rozrośniętych krzewów na poboczach i zakamarków pomiędzy domami. Najbliższa świecąca latarnia znajdowała się kilkadziesiąt metrów dalej. W domu wciąż paliło się światło, a z okna, rzucając długie mroczne cienie na jezdnię, padała blada poświata. W oddali huczał masyw starych drzew wokół kościoła, po drugiej stronie drogi kołysał się na wietrze samotny, ogromny świerk, którego konary na tle nieba wyglądały jak szpony jakiegoś ptaszyska. Wiatr wzmógł się i szarpał gałęziami drzew i krzewów.

Na poboczu przy płocie z wyłączonymi światłami stała zielona micra.

Paulina rozcierała łokieć, na którym rozlewał się powoli wielki siniak. Czuła się cała obolała. Bolały ją plecy i noga. Nie miała pewności, czy przypadkiem nie jest złamana. Wiedziała, że ból przy złamaniu przychodzi z czasem. Podstępnie się zwiększa wraz z opuchlizną. Gdy wspięła się na poddasze, w pierwszej chwili pomyślała, że to, co zwisało z jednej z belek, to jakaś stara kapota, sztormiak czy coś tego rodzaju. Nie przyglądała się więc temu dokładniej, zawadziła jedynie promieniem światła o skrawek jakiegoś materiału. Odwróciła się i oświetlając poszczególne fragmenty strychu komórką, zaczęła się rozglądać po kątach. Z opóźnieniem dotarła do niej świadomość, że to, co przez moment mignęło jej przed oczami, to były b u t y! Zamarła i poczuła fizycznie wręcz, jak po plecach przechodzą jej ciarki. Ponownie odwróciła się, podnosząc telefon do góry. To, co zobaczyła,

sprawiło, że cofnęła się gwałtownie i tracąc równowagę, spadła z drabiny. W ostatniej chwili zdołała chwycić się jednej z desek, dzięki czemu upadek na ziemię nie był aż tak druzgocący, jak mógłby być. Nie pamiętała, jak stamtąd wyszła. Tylko komórkę trzymała kurczowo, wiedząc, że bez niej nie wezwie pomocy. Dobrze jakoś do samochodu, zamknęła się w środku i zadzwoniła do dwóch mężczyzn, którzy przyszli jej od razu na myśl.

Spojrzała przez okno w kierunku narożnika budynku. Tak jakby ten trup miał zaraz wyleźć stamtąd i ruszyć niby zombie w kierunku samochodu. To nie *The Walking Dead*, pomyślała zgryźliwie. Ironia jednak nie pomagała w momencie, gdy wiatr szarpał gałęziami i stukał nimi o szyby samochodu, a ciemność wyczierała spoza jasnych plam sztucznego światła. Nie miała co się oszukiwać, była przerażona. Gdy więc w lusterku nagle zabłysło jasne światło, najpierw poczuła, jak strach chwyta ją za gardło, a dopiero po chwili pomyślała, że to pewnie policja albo Johann. Światła zbliżyły się i zalały całe wnętrze niewielkiego auta. Wielki terenowy samochód zaparkował tuż za przytuloną do ogrodzenia micrą.

*

Stary niebieski golf stał zaparkowany na parkingu po drugiej stronie drogi, z której szeroką bramą prowadził wjazd na teren hotelu Rekin. Parking należał wprawdzie do jednego z licznych ośrodków wypoczynkowych, ale w najbliższej okolicy nie było gdzie zostawić samochodu. Wzdłuż drogi przebiegał chodnik, a obok niego ciągnął się pas wyleniałego na słońcu trawnika. Zakaz parkowania. Mężczyzna odgryzł kawałek bułki z szynką, którą przed chwilą wyjął z foliowej torebki, i ponownie spojrzał w kierunku bramy wjazdowej.

Czekał na tę dziennikarkę. Musiała gdzieś pojechać, bo jej samochodu nie było na parkingu przy hotelu. Chciał z nią porozmawiać. Chciał wybadać, ile kobieta wie. Ile zdołała się dowiedzieć. Chociaż nabijał się ze Stasiaka, jego też dręczyło od kilku miesięcy to, że nic nie zrobili z tą sprawą z lasu. Stasiak, oczywiście, jak jakaś menda bredził coś, że to ściągnęło na nich nieszczęście, ale to był cały on.

No, a teraz w co się wpakował? Potrzebował pieniędzy, a to miał być szybki i prosty zarobek. Żadnych kłopotów, kurwa. No i jak to się skończyło?

W piątek byli u niego dwaj z policji. Pewnie w Bukowie jakaś kutwa im powiedziała, że się ze Stasiakiem koleguje. Zadali kilka pytań. Jak długo zna Stasiaka? Gdzie był w poniedziałek rano między ósmą a dziesiątą? Dobrze, że matka była w domu i powiedziała, że wtedy siedział w chałupie.

Zaklął cicho pod nosem i obejrzał się za siebie, czy nie idzie ktoś z ośrodka, żeby go stąd wyprosić.

*

Johann otworzył drzwi od strony kierowcy i oświetlił wnętrze długą latarką, którą trzymał w dłoni, tak jakby chciał się nią na kogoś zamachnąć.

– Proszę mi nie świecić w oczy, na miłość boską! – Paulina, oślepiąca przed chwilą potężnymi reflektorami toyoty Igora, a teraz latarką Johanna, wciąż nie była do końca pewna, kto właśnie zagląda do jej samochodu. Zdecydowała się na język polski, bo tak wyszło jej ze zwyczajnego rachunku prawdopodobieństwa. Johann był tylko jeden, pozostałe osoby, które od biedy spodziewałyby się teraz zobaczyć, mówiły w jej języku ojczystym. Z przypadkowo przejeżdżającymi, którzy mogliby się przy niej zatrzymać, włącznie.

Johann wprawdzie nie zrozumiał nic z tego, co Paulina powiedziała, ale intonacja jej głosu zupełnie wystarczyła, żeby skierował latarkę pod nogi.

– Johann? – Paulina odetchnęła z ulgą. – Po jaką cholere świecisz mi w oczy?

– Nie wiem. Myślałem, że jesteś ranna, chciałem obejrzeć może... – zawahał się.

– Co obejrzeć? Ja spadłam z drabiny. Nie zostałam pogryziona przez rekina!

– Wezwałaś pogotowie? – odezwał się stojący za plecami Johanna Igor.

– Olszański wezwał – jęknęła Paulina, usiłując wysiąść z samochodu. – To prokurator.

– Nie wychodź. Niech lepiej najpierw obejrzy to lekarz. – Igor zmarszczył brwi, patrząc na widoczne ślady obtarć na nogach Pauliny i siniaki na jej ramionach. – Zaraz, jaki prokurator? – spytał, gdy dotarło do niego, co przed chwilą usłyszał.

– Przecież ja sama doszłam tu z tej stodoły. Nic mi nie będzie.

– Superbohaterką zostaniesz kiedy indziej. Teraz lepiej siedź i czekaj na karetkę. Jaki prokurator? – powtórzył.

Paulina westchnęła. Nikt nie potrafił irytować jej tak skutecznie i szybko jak Igor.

– Co się stało? – Johann skierował latarkę na pogrążony w mroku dom. – Co ty tu robiłaś o tej porze?

– Chciałam porozmawiać z właścicielem. – Paulina dostrzegła spojrzenie Igora, przesuujące się po jej udach, i obciągnęła mocniej sukienkę, zakrywając kolana. – On chyba... – zawahała się – ...się powiesił. Boże, jakie to straszne!

Przez chwilę panowała cisza. Johann i Igor na moment zaniemówili.

– Powiesił się?! – Igor w końcu odzyskał mowę. – Powiesił się akurat teraz? Jak właśnie przyjechałaś z nim porozmawiać?

– O czym ty mówisz? – Johann nadal stał nieruchomo i patrzył na Paulinę, jakby zwariowała.

Paulina zacisnęła zęby i potarła dłonią plecy. Ból się chyba nasilał. A oni ją jeszcze wkurwiają!

– Piszę artykuł na temat pewnego morderstwa. On akurat był świadkiem.

Johann spojrzał na Igora, a potem obaj wpatrzyli się w Paulinę.

– Jakiego morderstwa, na miłość boską? Jeszcze morderstwo? – Igor miał szeroko otwarte oczy.

– Boże! To długa historia. Musiałabym tłumaczyć przez godzinę. Nie teraz!

– Jesteś pewna, że on nie żyje? – Johann odwrócił się w kierunku obejścia domu i popatrzył na Paulinę. – Sprawdziłaś?

– Wisi tam już chyba kilka dni. Nie jestem kretynką. Opuchnięty i fioletowy.

– Może powinniśmy jednak zajrzeć? – Johann popatrzył niezdecydowanie na Igora.

– Niby po co? – Paulina wyjrzała z samochodu. – Zatrzenie tylko jakies ślady. Policja zaraz tu będzie.

– Jakie ślady? Skoro to samobójstwo, to jakie tam mogą być ślady?

– Gdzie masz latarkę? – spytał nagle Igor.

– Nie mam latarki.

– I byłeś tam bez latarki? A na tym strychu jest światło?

– Nie ma. To znaczy miałam latarkę.

– No więc miałas czy nie?

– A co to za przesłuchanie? – Paulina popatrzyła na Igora ze złością. – Miałam telefon. Z aplikacją latarki.

– Z aplikacją latarki... – Igor jęknął. – Idziemy! – Machnął ręką do Johanna. – Może to w ogóle nie żaden trup, tylko jakiś wiszący fioletowy kubrak.

– Sam jesteś wiszący fioletowy kubrak! – Paulina wychyliła się z samochodu i wrzasnęła za oddalającym się Igorem.

Minęło może kilkanaście minut, kiedy wrócili. Przez chwilę stali, nic nie mówiąc, obok samochodu. Paulina z satysfakcją obserwowała zielonego na twarzy Igora.

– To naprawdę wisielec... – Johann oparł się o dach micry. – Wisi już ze dwa dni. Opuchlizna nóg, plamy opadowe...

Igor pozieleniał jeszcze bardziej i spojrzał na Paulinę.

– W coś ty się znowu wplątała? Co to za morderstwo? Zajął się dziennikarstwem śledczym?

Paulina nie odpowiedziała. Z oddali usłyszeli głośny dźwięk sygnału karetki pogotowia i policji. Po chwili w perspektywie ulicy zobaczyli światła samochodów.

– Po co ten sygnał? – zdenerwowała się Paulina. – Przecież zaraz cała wiocha się tu zbiegnie. Dziwne, że jeszcze dotąd nikogo nie ma.

*

Mężczyzna w starym golfie zaczął się niecierpliwić. Zrobiło się już późno, a dziennikarki ciągle nie było. Może gdzieś się postanowiła zabawić przed wyjazdem. Wiedział, że jutro wraca do Szczecina, dzięki długiemu językowi

z Rekina. Tyle że po co by brała samochód? Na tym ogromnym jachcie z Beverly Hills też jej nie było. Widział, jak stamtąd odjeżdża. Westchnął i przymknął okno. Nie było zimno, ale ciągle brzęczały mu koło nosa komary. Kilkanaście minut wcześniej na hotelowy parking wjechał grafitowy mercedes okularnik. Wydał mu się jakiś podejrzany albo znajomy i teraz cały czas chodziło mu to po głowie. Trzasnął ręką w szyję, prawdopodobnie zabijając kolejnego insekta, gdy nagle go oświeciło, co w tym mercedesie wydawało mu się znajome. Jeden z pasażerów! Gdzieś go widział albo skądś kojarzył.

Zastanawiał się nad tym przez dłuższą chwilę, po czym wysiadł z samochodu, przeszedł na drugą stronę drogi i ruszył w kierunku hotelu. Samochód stał na parkingu, niedaleko domku, który zajmowała ta laska. Gdy się do niego zbliżał, idąc skrajem alei, żeby być jak najmniej widocznym, jakaś postać wyszła spomiędzy domków i wsiadła do auta. Mercedes zamruczał, powoli wycofał się na dróżkę, zawrócił i potoczył w kierunku bramy wyjazdowej. Mężczyzna odwrócił głowę, udając, że szuka w kieszeni kluczy, a gdy samochód zniknął za zakrętem, poszedł w stronę pogrążonego w ciemności domku.

Wewnątrz było ciemno, w sąsiednim baraku także. Pomyślał, że chyba wszyscy bawią się na imprezie, której odgłosy dochodziły tutaj z wnętrza hotelu. Podszedł do drzwi i złapał za klamkę. Były otwarte. Z cichym skrzypieniem otworzyły się, ukazując panującą we wnętrzu ciemność. Zdążył dostrzec jedynie leżącą na podłodze torbę i kilka łachów, gdy za jego plecami ktoś krzyknął. Nie czekając na rozwój wydarzeń, doświadczony w sytuacjach, kiedy trzeba od razu brać nogi za pas, rzucił się do ucieczki. Przebiegł koło szeregu domków, dobiegł do zielonej siatki, przeskoczył i zniknął pomiędzy drzewami.

*

Jako ostatni na miejsce przyjechał Teodor Olszański. Jego bordowy citroën zatrzymał się na wolnym odcinku pobocza, a prokurator wysiadł, rozglądając się dookoła z niezadowolaniem. Ciche, ustronnie położone miejsce zamieniło się w scenę znaną z filmów kryminalnych. Błyskające światła karetki, policjanci odgradzający powiększające się zbiegowisko

i ratownicy medyczni stojący przy małym zielonym nissanie.

Paulina, która zauważyła idącego właśnie w ich kierunku mężczyznę, pomyślała, że nie ma co się dziwić, że przyjechał jako ostatni. Olszański był ubrany w elegancki garnitur, a z kieszonki wystawała mu dobrana kolorystycznie do bordowego krawata poszetka. W zasadzie nie było niemożliwe, żeby on też był jakimś psychopata.

– Musimy panią zabrać do szpitala. – Lekarz oderwał w końcu dłonie od jej nóg i spojrzał na nią z troską. – Te stłuczenia wyglądają wprawdzie niegroźnie, ale trzeba zrobić prześwietlenie. Musimy sprawdzić, czy nie ma pani złamanych żeber. I czy nie uszkodziła pani przypadkiem nerek.

Paulina popatrzyła na niego z irytacją wymieszaną ze strachem. Optymista, cholera!

– Czy to konieczne? Miałam rano wracać do Szczecina.

– Nie może pani prowadzić w tym stanie. – Lekarz stanowczo pokręcił głową.

– Zanim pani pojedzie, musimy zadać pani kilka pytań. – Olszański stanął obok samochodu i kiwnął ręką do Matuszka, który konferował na boku z lekarzem sądowym. – Spotykamy się znowu w raczej niecodziennych okolicznościach – mruknął, czekając, aż policjant do nich podejdzie.

– Mam nadzieję, że to nie stanie się regułą. Co nie znaczy oczywiście, że proponuję panu spotkanie w innych okolicznościach.

Olszański uśmiechnął się półgębkiem.

– Wchodziła pani do tego domu?

– Do domu? – Paulina spojrzała ze zdziwieniem w kierunku drzwi wejściowych. – Stukałam, ale nikt nie otworzył. Nie sprawdzałam, czy są otwarte, szczerze mówiąc.

– Skąd pani wiedziała, że Stasiak tu mieszka? Skąd w ogóle pomyśli, żeby z nim rozmawiać?

– Sąsiadka Wyrzykowskiego powiedziała mi, że pracował u niej i że nie pokazał się w pracy od dwóch dni.

– Rozumiem. – Olszański kiwnął głową z ironicznym uśmiechem. – Jednak prowadzi pani jakieś własne dziennikarskie śledztwo.

– Niczego nie prowadzę. Przed wyjazdem chciałam porozmawiać ze wszystkimi, którzy mieli kontakt z panem Karolem. To w dalszym ciągu ma być reportaż o nim jako człowieku. Bez żadnych sensacji.

– To „bez sensacji” średnio pani wychodzi. – Olszański uśmiechnął się protekcyjnie i spojrział w kierunku przypatrującego mu się wilkiem Igora.
– A panowie? Koledzy?

– Tak. – Paulina kiwnęła głową. – Zatrzymali się w Darłowie.

– Musisz podpisać papiery o wejście do domu. – Matuszek podetknął Olszańskiemu plik kartek.

– A my musimy panią zabrać. – Sanitariusz podszedł do drzwi micry i wyciągnął rękę do Pauliny.

– Do Koszalina? – Olszański postawił kilka parafek na podanych przez policjanta dokumentach i odsunął się, robiąc miejsce ratownikom, którzy pomogli Paulinie wysiąść.

– Tak. Do wojewódzkiego.

– Jedziemy z tobą – powiedział Igor, który oparty o samochód, stał niedaleko i przysłuchiwał się rozmowie.

– Po co? – Paulina rzuciła Igorowi złe spojrzenie, opierając się na ramieniu jednego z ratowników. Plecy bolały ją coraz bardziej. Wciąż miała jednak nadzieję, że to tylko stłuczenia.

– Na wszelki wypadek. Może będziesz czegoś potrzebowała.

– To dobry pomysł. – Lekarz kiwnął głową. – Możliwe, że nie zostawimy pani na oddziale i ktoś będzie musiał panią zabrać.

– Hotel kończy mi się w południe. Musiałabym sprawdzić, czy mogę przedłużyć pobyt. – Paulina potarła czoło. Szpital. Boże! Nie planowała takich atrakcji. Jutro miała już być w Szczecinie. Całe popołudnie i wieczór dla siebie. Kąpiel, maseczka, relaks.

– U nas jest mnóstwo miejsca – wtrącił Johann. – Dostaniesz kabinę z łazienką, a Patrick już zadba o wszystko, co trzeba.

Igor uśmiechnął się do Johanna.

– No, to załatwione.

Rozdział 14

Niedziela, 13 września

Johann zapukał i wszedł do kabiny Igora. Zamknął za sobą drzwi. Igor, który leżał na koi i drzemał, obudził się. Zamrugał i półprzytomnie spojrzął na stojącego nad nim przyjaciela.

– Coś się stało? – spytał, przecierając oczy. – Która godzina?

– Dziesiąta. Przespałeś śniadanie. Chciałem pogadać.

Igor podciągnął nogi i usiadł na łóżku. Spojrzął na Johanna i uniośł brwi.

– Zastanawiam się, na ile można wtajemniczyć we wszystko moich znajomych. Jak myślisz?

– W sprawie tych kryminalnych przygód Pauliny?

– No właśnie. – Johann usiadł na łóżku. – Już oczywiście pytali. Co myśmy właściwie robili przez prawie całą noc? I gdzie Paulina się tak urządziła?

– Z tego, co zauważyłem, ona ma jakiś dziennikarski układ z tym prokuratorem... – Igor ziewnął, zasłaniając usta pięścią. – Powinniśmy najpierw przynajmniej z nią to skonsultować.

Do szpitala w Koszalinie przyjechali około jedenastej. Paulinę od razu zabrano na badania, a oni kilka dobrych godzin siedzieli we dwóch w holu, umierając z nudów i czekając na wyniki. Była trzecia, gdy w końcu wyszedł do nich lekarz i powiedział, że mogą ją zabrać do domu. Stłuczenia okazały się dotkliwe, ale żadnych groźnych szkód nie było. Nerki całe, żebra także. Boleć będzie przez kilka dni, a siniaki znikną dopiero za parę tygodni.

Przed czwartą wchodzili na trap jachtu. Już zaczynało się rozwidniać na wschodzie. Wszędzie panowała doskonała cisza, ale gdy, przemieszczając się po pokładach, zaczęli stukać i hałasować, obudził się najpierw Bill, a zaraz po nim Dermot. Obaj wyszli ze swoich kabin i zaspani jęli dopytywać, co się właściwie stało. Uzgodniona wstępna wersja brzmiała, że Paulina poślizgnęła

się i spadła ze schodów w hotelu. Jako że Dermot od razu zaoferował swoją pomoc w kwestii pozwu i żądania odszkodowania, wiadomo było, że ta historia długo się nie utrzyma.

– A ona jeszcze śpi?

– Tak. – Johann wstał i przeciągnął się. – Niech śpi. Pewnie jest w szoku po tym wszystkim. Jak wstanie, to z nią pogadamy.

*

Bruno Schliemann ze złością ścisnął lateksowe rękawiczki w małą kulkę i wepchnął do bocznej kieszeni torby. Ze strachu przestał logicznie myśleć. Przez całą sobotę nosił je w kieszeni spodni, bojąc się wyrzucić. Ubzdurał sobie, że mogą stanowić jakiś dowód w prowadzonym śledztwie, który go obciąży. Z piątku na sobotę prawie nie spał. W sobotę rano chciał od razu wsiadać w samochód i wracać do domu. Dzisiaj jednak nieco się uspokoił. Kto mu cokolwiek zarzuci tylko dlatego, że ma lateksowe rękawiczki? Jest lekarzem, ma prawo mieć je przy sobie, tak samo jak miał prawo użyć ich tak, jak tylko mu się podobało. Wizyta dwojga policjantów wyprowadziła go z równowagi, a w istocie nie było żadnego powodu do zdenerwowania. Niczego nie mogą mu zarzucić. Przekonanie, że powinien natychmiast stąd wyjechać i wracać do domu, nieco w nim przygasło. Hotel ma wykupiony do końca tygodnia i nie będzie uciekał jak jakiś tchórz tylko dlatego, że polska policja prowadzi śledztwo. Poza tym miał umówione w poniedziałek spotkanie z prokuratorem w Instytucie Pamięci Narodowej w Koszalinie. Niewiele się spodziewał po tej rozmowie, ale niczego nie chciał sobie odpuścić. Nikt się nie zgodzi na ekshumację zwłok na podstawie tak nikłych podejrzeń. Poza tym teraz to już jest mogiła zbiorowa i Polacy nie będą chcieli rozkopywać cmentarza tylko dlatego, że on szuka prochów swojego brata. Wiedział, że to absurdalne i zupełnie irracjonalne, ale dałby wiele, by móc zabrać szczątki brata do rodzinnej Lubeki i pochować w rodzinnym grobowcu. Kiedyś śmiał się z takich uczuć. Wydawało mu się, że śmierć to śmierć, a człowieka zachowuje się w pamięci i sercu. Miejsce, w którym spoczną jego doczesne szczątki, jest nieistotne. Mylił się. Po śmierci kogoś bliskiego budzi się w człowieku atawizm, który sprawia, że nie ma nic ważniejszego dla spokoju duszy niż ostatnie pożegnanie.

Miał wtedy czternaście lat. Mieszkał w Lubece z rodzicami. Była zima, mroźny, ale bezśnieżny styczeń czterdziestego czwartego roku. Piątego roku wojny. W dzieciństwie miał anemię i to było powodem, dla którego nie wcielono go do Hitlerjugend. Jego ojciec był lekarzem w miejscowym szpitalu i to tam zaczął pracować jako pomocnik, a później pielęgniarz, co prawdopodobnie przesądziło o wyborze dalszej drogi życiowej. Któregoś dnia, tuż przed zimowymi feriami, w drodze do swojej wsi pod Kilonią zatrzymał się w Lubece młody podoficer, służący razem z jego bratem. Przywiózł listy od Franza. Jeden do rodziców i drugi do niego. Pozdrowienia, żarty z jego słabego zdrowia i docinki. Była między nimi duża różnica wieku i brat traktował go trochę po ojcowsku, może nawet nieco protekcjonalnie. Miał wówczas trzydzieści dwa lata i był kapitanem jednego z okrętów, które w ramach uzgodnień z Kriegsmarine pływały pod rozkazami pułkownika Roberta Böhma, dowódcy jednostki ciężkiej artylerii w Rügenwalde.

W liście było jedno zdanie, którego nie zrozumiał, ale które na zawsze pozostało w jego głowie. Franz napisał to tak, jakby to był cytat z jakiegoś marynistycznego wiersza lub pieśni:

*Gdy przyjedziesz do Rügenwalde,
to poszukaj światła umarłych.
W samym środku, pod różą wiatrów,
znajdziesz nadzieję swoją na morzu
i wieczny spokój.*

Nawet jako czternastoletni chłopiec wiedział dobrze, że list, zanim opuścił jednostkę, był otwierany i sprawdzany przez komórki wywiadowcze Abwehry, która strzegła jednostki brata jak oka w głowie. Nie miał pojęcia, czym jest światło umarłych ani o jaką różę wiatrów może chodzić. Kilka miesięcy później dostali lakoniczną informację, że Franz wraz z całą rodziną oraz grupą podoficerów został rozstrzelany za zdradę.

*

Alarm rozległ się z leżącego na szafce obok łóżka telefonu. Igor, który po wyjściu Johanna wyciągnął się jeszcze wygodnie z zamiarem odbycia

półgodzinnej drzemki, otworzył oczy i zaklął głośno.

– Tak? – jęknął do słuchawki.

– A co ty tak jęczysz? – W jego uchu rozległ się głos pani Anny Fleming.

– Tym razem cię chyba nie obudziłam? Jest prawie południe.

– Jedenastej nawet nie ma. Właśnie że mnie obudziłaś.

– O tej porze? Jesteś chory?

– Nie jestem chory.

– A co, źle się czujesz?

– Nie czuję się źle!

– Pewnie jakaś impreza wczoraj. No tak, sobota. Zrujnujesz sobie zdrowie.

– Nie byłem na żadnej imprezie wczoraj! Mamo, na pewno dzwonisz z jakąś konkretną sprawą, chyba że znowu ot tak, żeby mi zatruć życie.

– Przestań gadać głupoty, Igor. Człowiek zawsze dzwoni jak do człowieka...

– Mamo...

– Przecież my tu czekamy! Mieliście przyjechać w weekend, a zaraz niedziela się skończy. Ja nie wiem, co mam powiedzieć burmistrzowi, bo zapowiedział się dzisiaj do nas na obiad.

Igor zamknął oczy i policzył do dziesięciu. Rzeczywiście uprzedził matkę, że przyjadą z Johannem o tydzień wcześniej do Dalewa. Tyle że Johann, zamiast na przystani przy Łasztowni w Szczecinie, wylądował w Darłowie.

– Mamo, zaszły pewne zmiany. Jesteśmy teraz w Darłowie – zaczął spokojnie, ale nie wytrzymał: – Po coście, do diabła, zaprosili burmistrza na obiad?!

– Nikt go nie zapraszał! Plotki się rozchodzą. Sam zadzwonił i zaczął wypytywać, czy to prawda, że do hotelu przyjeżdża ktoś z rodziny królewskiej. W Darłowie? A skąd nagle w Darłowie?

– I co powiedziałaś? Miałaś dementować wszystkie plotki!

– Przecież ojciec Johanna jest dwieście siedemdziesiąty trzeci w kolejce do tronu! Miałam kłamać?

- Mamo...
- Poza tym to dobra reklama dla hotelu.
- Kosztem mojego zdrowia.
- Przestań gadać głupoty! Lepiej powiedz, kiedy wy w takim razie w końcu przyjeżdżacie?

Igor stwierdził, że w zasadzie sam nie wie. Nie rozmawiał z Johannem na ten temat. Nie zdążył. Wtorek? Środa?

- Jak będę wiedział, to zadzwonię.
- Ale ja muszę wiedzieć wcześniej.
- Mamo, zadzwonię, jak wszystko uzgodnię z Johannem.
- Może lepiej daj mi numer tego Johanna. Sama z nim wszystko ustalę.
- Wykluczone! Zadzwonię! Pa!

*

Paulina otworzyła oczy. Przez moment zastanawiała się, gdzie jest. Satynowa pościel była mięciutka jak puch. Nad głową miała gładki sufit z wtopionymi weń punktami świetlnymi. Przekręciła głowę. Obok łóżka stała mała szafka, a na niej lampka, nieco dalej, pod ścianą, sofa, która nawet na pierwszy rzut oka wyglądała na droższą od jej samochodu. W zajmowanym przez nią pokoju w domku przy hotelu pościel była z kory, a szafki z płyt meblowych. Nagle przypomniała sobie, gdzie jest, a zaraz za tym wszystko, co wydarzyło się dzisiejszej nocy. Podniosła się na łokciach. Poczowała gwałtowny ból, który o mało nie przyprawił jej o omdlenie. Boże! Ketonal! Wczoraj dostała dwie tabletki w szpitalu, ale ich działanie dawno się skończyło. Miała nadzieję, że mają tutaj w apteczce jeśli nie ketonal, to jakiś dobry angielski środek przeciwbólowy. Tu chyba mają wszystko. Ostrożnie przekręciła się na bok i odetchnęła z ulgą. Na szafce obok łóżka leżał jej telefon i mrugał z wyrzutem zieloną lampką. Z trudem wyciągnęła rękę i chwyciła go. Dziewięć połączeń, wszystkie z jakiegoś stacjonarnego numeru. Kto to mógł być, do diabła?

Hotel! Cholera jasna!

Która może być godzina? Miała opuścić pokój o dwunastej. Pewnie

myśla, że popłynęła na jakiejś imprezie. Spojrzała na wyświetlacz. Czternasta dwadzieścia! Chryste! Przespała cały dzień. Musi zadzwonić do tego hotelu! Zaczęła wstukiwac numer, gdy ktoś cicho zapukał.

– Proszę! – zawołała. – Nie śpię już.

Do pokoju zajrzał Patrick. Pomagając sobie ramieniem, otworzył drzwi i wniósł do środka tacę z jedzeniem.

– Śniadanie. – Powiedział z uśmiechem.

Paulina odwzajemniła uśmiech, zawstydzona, że leży posiniaczona i co gorsza nieumalowana, w rozbabranym łóżku, a taki przystojny chłopak wchodzi tutaj bezkarnie.

– Jest czternasta. Jak na śniadanie, to raczej średnia pora.

– O, zdziwiłaby się pani, jak często o tej porze podajemy tutaj śniadania. – Patrick mrugnął do Pauliny.

– Macie jakiś środek przeciwbólowy? Może ketonal?

– Na pewno. – Patrick postawił tacę na specjalnym stoliku w poprzek łóżka. – Proszę coś zjeść, a ja przyniosę zaraz jakieś piguły.

Wychodząc, minął się w drzwiach z Johannem.

Paulina ponownie podciągnęła kołdrę pod brodę. Następny facet. Czy tu nikt nie rozumie, że kobieta rano potrzebuje co najmniej dwóch godzin, żeby dobrze wyglądać w pościeli? Zwłaszcza po tym, jak spadła z drabiny.

– Jak się czujesz? – Johann usiadł na sofie i podrapał się w łydkę. – Ale mnie wczoraj pocięły komary.

– Mogłoby być lepiej, ale nie najgorzej. – Paulina spojrzała na tacę, na której leżały malutkie rumiane bułeczki, i poczuła, że jednak jest głodna.

– Muszę coś powiedzieć swoim przyjaciółom, bo pytają, co się wczoraj stało. Czy ten prokurator...

Paulina przypomniała sobie w tym momencie o połączeniach z hotelu i sięgnęła po telefon.

– To morderstwo nie jest tajemnicą – powiedziała, łącząc się z recepcją. – Pisała o tym lokalna prasa. Pewnie o samobójstwie Stasiaka też dzisiaj będzie w gazetach.

– A co ty masz z tym wszystkim wspólnego?

– Poczekaj chwilę... – Paulina czekała na połączenie. – Dzień dobry. Mówi Paulina Weber...

– A, to pani! – Głos w słuchawce był pełen ulgi. – Boże! Ile ja się do pani nadzwoniłam.

– Tak, wiem, przepraszam. Miałam się wyprowadzić dziś o dwunastej...

– To też, ale nie o to chodzi...

Paulina przez chwilę słuchała tego, co mówiła recepcjonistka, po czym położyła telefon na łóżku obok siebie i spojrzała na Johanna zdezorientowanym wzrokiem.

– Ktoś się włamał w nocy do mojego domku.

*

Mężczyzna nazywał się Bolesław Kukła, ale jego imienia mało kto używał w oryginalnym brzmieniu. Wszyscy sąsiedzi, znajomi i rodzina mówili do niego Bolo. Mieszkał niedaleko Dąbek, w małej wsi Bobolin, leżącej przy drodze do Darłowa. Był dobrze znany miejscowej policji. Głównie z powodu kłusownictwa, ale też drobnych wykroczeń w rodzaju włamań czy zatargów z sąsiadami. Miał i pobicia na swoim koncie, ale to było dawniej, gdy był młodszy i miał więcej energii. Ze Stasiakiem znali się praktycznie od dzieciństwa. Razem się wychowywali, chodzili razem do podstawówki, a potem razem wpadali w większe i mniejsze tarapaty. Z reguły to on był prowodyrem. Stasiak był ostrożniejszy, bardziej tchórzliwy, jego zdaniem. Ale to właśnie Stasiak teraz wplątał się w kłopoty. Robota miała być prosta i miał dostać kasę do ręki. Tymczasem skończyło się tym, że ten zwariowany staruch kopnął w kalendarz.

A dzisiaj Bolo czuł, że zaczyna się dziać coś bardzo niedobrego. Wczoraj, po ucieczce z hotelu, zrobił spore kółko przez sąsiedni lasek i wyszedł jakiś kilometr dalej na drogę. Na szczęście wokół działki, na której stał Rekin, rosło sporo drzew, w których można było się zaszyć. Jak gdyby nigdy nic, wrócił chodnikiem na parking sąsiedniego ośrodka i zabrał swojego starego niebieskiego grata. Postanowił pojechać jeszcze raz do Stasiaka i zobaczyć, co się z nim dzieje. Był u niego wcześniej, ale nikt nie otwierał. Stasiakowi zdarzało się oczywiście już wcześniej spać na tyle, że potem trzeźwiał przez

dwa dni, ale z reguły dom był wtedy otwarty. Minęła dwudziesta druga, kiedy wjechał do Bukowa Pomorskiego i już z daleka zauważył, że przed domem kolegi coś się dzieje. Stała karetka i policja. I to na światłach. Postanowił nie zatrzymywać się. Zwolnił jedynie i rozejrzał się dyskretnie. Od razu zauważył samochód tej dziennikarki. Stał przy płocie, a ona w otoczeniu jakichś facetów i sanitariuszy siedziała w środku i coś opowiadała. Wokół domu Stasiaka kręcili się policjanci, a na ulicy zaczęli się już zbierać sąsiedzi. Coś było bardzo nie tak.

*

– Włamał? – Johann patrzył na Paulinę szeroko otwartymi oczami.

– W nocy była jakaś impreza w hotelu i pewnie ktoś, korzystając z okazji, chciał obrobić domki. – Paulina patrzyła niewidzącym wzrokiem w przestrzeń. Coś ją zaniepokoiło. – Nieszczęścia chodzą parami.

– Miałaś tam coś cennego?

– Na szczęście niewiele. – Uśmiechnęła się. – U mnie się nie obłowił.

Na stoliku przy łóżku zostawiła złoty łańcuszek z dwoma serduszkami z białego złota. To jedyne, czego mogła żałować. No i bransoletka. Kolczyki miała w nocy na sobie. Sukienki by Sonia Rykiel złodziej raczej nie ukradł. Dokumenty...

Teczka od Wyrzykowskiego! Gdzie ją zostawiła?!

– A co z moim samochodem? – Paulina spojrzała na Johanna. – Został w tej wsi?

– Dałaś mi przecież kluczyki. Przyjechałem nim tutaj. – Johann się uśmiechnął.

Dzięki Bogu!

– Czy mógłbyś do niego pójść i przynieść mi teczkę w takich starych szarych okładkach? Taki komplet starych dokumentów. Muszą leżeć na tylnym siedzeniu pod bluzą od dresu.

Chyba tam ją zostawiła. Pamięta, że miała ją ze sobą u młodego Wyrzykowskiego. Zapomniała zabrać ją z samochodu, kiedy wróciła do hotelu. Może to i dobrze się stało, jak się okazuje. Gdyby ktoś ukradł te

dokumenty, Paweł by ją wyrzucił z pracy. Jak nic! Albo zabił.

– Okej. – Johann podniósł się z sofy. – Zaraz ci przyniosę, a ty zjedz w końcu to śniadanie.

Pomachał jej ręką i zamknął za sobą drzwi.

*

Sierow grzebał łyżką w talerzu z zupą rybną i patrzył chmurnym wzrokiem w stół. Siedzieli w mesie. Za bulajami łagodnie chlupotały objajające się o burty fale, a z trzewi kutra dobiegał cichy, miarowy terkot. Kuter płynął na kolejne „łowisko”, jak między sobą nazywali miejsca, w których nurkowali. Nie było wśród nich Artioma, który miał wachtę na mostku. Siedzący obok Sierowa Woronin patrzył podejrzliwie na Saszę i Iwana. Pochyleni nad talerzami, nie wykazywali specjalnie wielkiej skruchy z powodu fiaska operacji.

– Jesteście pewni, że to był właściwy domek? – spytał w końcu, zezując na Sierowa.

– No co ty, Wadim? – Jeden z mężczyzn, młody chudy blondyn z kościstymi ramionami, spojrzał na Woronina z urazą. – Nie rób z nas głupków!

– Wszystko sprawdziliście? Iwan? – Woronin spojrzał na drugiego z mężczyzn.

– Wszystko. – Szatyn z okrągłą twarzą i czerwonym nosem pokiwał głową. – Specjalnie dużo to ona tam nie miała.

– W takim razie ma to w samochodzie – mruknął Woronin. – No, chyba że w jakimś sejfie w tym hotelu zamknęła.

– Nie mają tam żadnego sejfu. – Sasza pokręcił głową. – Pytałem wczoraj recepcjonistki, jak wchodziliśmy do tej knajpy.

– No to, kurwa, miała to w samochodzie i zabrała ze sobą – zaklął Woronin. – Poza tym najprawdopodobniej nic w tych papierach nie ma.

– Dokumenty i mapy z samolotu – mruknął Sierow. – Cholera wie, co tam było w rzeczywistości. Mogli nic nie mieć, mogli mieć jakieś dane. Stary był za głupi, żeby cokolwiek z tego zrozumieć, i w dodatku pokręciło mu się

potem we łbie.

– A co mogli mieć Amerykańcy? – Woronin parsknął. – Do ostatnich dni wojny nie wiedzieli nawet, co tutaj budowano. Skąd mieliby mieć zamiary na miejsce zatopienia łodzi?

– Mieli swoich szpiegów. – Sierow spojrział na niego z politowaniem. Ten Woronin to jednak kiep. – Ale nawet jeśli masz rację, to wolałbym to sprawdzić osobiście. To ja, nie ty, będę się tłumaczył z tego przed Aleksiejem.

– Pod rurami od chłodzenia silnika ciągle jest wilgoć – zwrócił uwagę Sasza. – Uszczelniłem to wczoraj, jak mogłem, ale pewnie kołnierz gdzieś się już wyrobił. Żeby te rury nie zaczęły przeciekać...

– Ee, gdzie tam. Wilgoć była już miesiąc temu w Bałtysku. Nic im nie będzie, to dobra rosyjska stal.

Sierow pokiwał głową i wrócił do jedzenia.

– A co, jeśli to ten szwab zabrał dokumenty? – spytał nagle Iwan.

Sierow, który akurat miał wsadzić łyżkę z zupą do ust, znieruchomiał. Dobrze mówi. Niemiec przyjechał rzekomo szukać szczątków brata. Niby po to poszedł do Wyrzykowskiego, ale to od początku wydawało mu się podejrzanym. Po co miałyby szukać jakiegoś grobu? A co, jeśli coś im umknęło? Albo Niemiec wyciągnął coś od tego starucha wcześniej? Wydzwaniał do niego przecież. Mógł wiedzieć więcej. Trzeba będzie to jakoś sprawdzić. Jutro! Wsadził łyżkę z gorącą zupą do ust i przełknął.

Woronin ściągnął brwi i spojrział na dwóch marynarzy.

– Tylko pamiętać! Mordy w kubeł! Żadnego gadania z Zetlersem! Zrozumieliście?

Sasza i Iwan zgodnie pokiwali głowami.

*

Johann położył teczkę z dokumentami na łóżku obok Pauliny, podniósł kluczyki i potrząsnął nimi.

– Kładę na stoliku – powiedział, jeszcze raz brzdąkając metalowymi kółkami. – Żebyś potem nie szukała.

– Co to za dokumenty? – spytał Igor, który tym razem odwiedził Paulinę wraz z Johannem. Wskazał brodą szarą teczkę.

– Materiały do artykułu, nad którym właśnie tutaj pracuję.

Paulina odetchnęła z ulgą. Szczęśliwym trafem zostały w samochodzie. Złodziej mógł je ukraść razem z torbą i potem wywalić, tak jak ten morderca Wyrzykowskiego zrobił pewnie z kartkami z jego pamiętnika.

– To ma związek z tym morderstwem?

Paulina spojrzała na Igora. Będzie tak pytał pewnie do skutku. Z drugiej strony, pomyślała, jednak jest im winna jakieś wyjaśnienia, skoro ściągnęła ich w nocy do opustoszałego domu z wisielcem na strychu.

– Pewien staruszek przysłał mi do redakcji swój pamiętnik i stare dokumenty. Zaczęłam robić o tym artykuł, ale nie zdążyłam go nawet poznać. Tydzień temu został zabity przez złodziei, którzy włamali się do jego domu.

– A ten wisielec?

– Pracował w domu obok. Mógł coś wiedzieć, dlatego chciałam z nim porozmawiać.

– I on akurat teraz się powiesił? Zaraz po tym, jak zamordowano tego twojego staruszka? Taki dziwny zbieg okoliczności?

– Jego żona niedawno umarła. Ostatnio podobno był w depresji.

– Zaraz, ty piszesz jakiś artykuł śledczy?

Paulina spojrzała na Igora z lekką irytacją. Musi się tak dopytywać?

– Piszę o fascynującej historii życia tego staruszka. Morderstwo zakończyło je dość symbolicznie, dlatego chciałam poznać trochę szczegółów.

– A czemu niby życie tego staruszka było takie fascynujące? – Igor nie ustępował.

Paulina westchnęła i spojrzała na niego ze zniecierpliwieniem. Była w rozterce. Czy może im zdradzić kulisy śledztwa lub szczegóły tej historii z lotnikiem? Chociaż właściwie to czemu nie? Raczej nie zaszkodzi dochodzeniu, a o ich dyskrecję w kwestii lotniczych artefaktów powinna być spokojna. Akurat im może zaufać. Historię sprzed roku wszyscy troje

zachowali dla siebie.

Hotel! Cholera!

Przypomniała sobie w tym momencie, że ktoś powinien pojechać tam, sprawdzić, co się stało, co zginęło, i zabrać jej ciuchy.

– Słuchajcie.

Obaj spojrzeli na nią uważnie.

– To dość niezwykła historia. Opowiem wam wszystko spokojnie wieczorem, ale teraz powinnam się jakoś dostać do hotelu i wszystko tam pozajątwiać.

Johann spojrzał na Igora, który wzruszył ramionami.

– Zadzwoń i uprzedź, że my przyjedziemy.

*

Na mszę Bolo oczywiście chodził co niedzielę. W coś trzeba przecież wierzyć. Razem z matką. Miała siedemdziesiąt pięć lat, ale nie chciała zrezygnować ze swoich zwyczajów. Ubierał się w czystą koszulę, czyścił buty, pomagał matce wsiąść do swojego golfu i jechali na mszę do Dąbek. Do kościoła parafialnego Matki Bożej z Góry Karmel. Bolo uważał wprawdzie, że kościół jest koszmarnie brzydki, ale za to był blisko. Jechać do Darłowa i przedzierać się jednokierunkowymi uliczkami mu się nie chciało. Poza tym tam trzeba było przejść kawałek z parkingu, a dla matki to byłaby duża trudność. Zresztą ona lubiła ten paskudny kościół w Dąbkach. Podczas mszy zwrócił uwagę, że kilka kobiet patrzyło w jego kierunku, wymieniając jakieś uwagi między sobą. Nie obeszło go to specjalnie, pewnie znowu gadają, że złodziej i bandyta, a do komunii idzie. Zołzy! Same nie są lepsze. Plotki, obmawianie, a córka tej małpy w czerwonym berecie to już drugie dziecko w drodze, a męża żadnego. Wszystkie one siebie warte.

Po mszy, wychodząc z kościoła, natknął się na dwie sąsiadki z Bobolina. Zamieniły kilka słów z matką, po czym jedna z nich nagle wypaliła.

– A ty, Bolek, słyszałeś o Jarku Stasiaku?

Bolo od razu poczuł, jak napinają mu się mięśnie karku. Pokręcił głową.

– Powiesił się! Wczoraj w nocy.

W jednej chwili poczuł, jakby go coś złapało za gardło. Mieszanina strachu i niedowierzania. Te samochody wczoraj w nocy! Karetka! Momentalnie zakręciło mu się w głowie. Chybaby upadł i skompromitował się przy tych babach, gdyby nie samochód. Oparł się ciężko o dach i usiłował poskromić galopadę myśli pod czaszką.

Ten durny Stasiak gadał wprawdzie od miesiący, że wszystkie ich kłopoty to kara boska. Bo nie zrobili nic i nie powiedzieli nikomu o tym lesie, ale z tego powodu przecież on by się nie powiesił. Znał go aż za dobrze.

To pewnie przez tych bandziorów, z którymi się zadali.

Przypomniał sobie nagle zielonego nissana, który stał przy płocie. A co, jeśli ta dziennikarka sprowadzi jakieś nieszczęście również na niego? Była u Wyrzykowskiego, Pawelczyk. Po co się kręciła w nocy u Stasiaka? Co robić?

*

Granatowa toyota land cruiser wjechała na parking przed hotelem Rekin. Zatrzymała się niezdecydowanie przy głównym budynku, a następnie z cichym pomrukiem potoczyła w kierunku miejsc postojowych obok pokrytych ciemnym gontem dwukondygnacyjnych domków kempingowych.

– Szukaj numeru cztery – powiedział Igor, wysiadając i wskazując Johannowi brodą rząd dziwacznych budyneków. – Ja pójde się zameldować w recepcji.

Johann kiwnął głową i ruszył chodnikiem pokrytym czerwoną kostką polbrukową w kierunku domków, stojących w kilku rzędach wzdłuż ogrodzenia.

– Stróż, który robił obchód po dziesiątej, zauważył, że ktoś ucieka pomiędzy domkami. Przeskoczył przez siatkę i zniknął między drzewami od tamtej strony. – Kobieta, która przysłała razem z Igorem, wskazała ręką południową granicę posesji i rozciągający się za nią las. – Wezwaliśmy policję, spisali protokół, ale z uwagi na to, że nikt nie potrafił stwierdzić, czy coś zginęło, nie podjęli żadnych kroków. Państwa znajoma nie odbierała telefonów z recepcji.

Igor, doskonale świadomy obaw kierowniczkii o ewentualną skargę lub

nawet sprawę sądową, milczał dyplomatycznie, czekając, aż kobieta otworzy drzwi jednym z kilkunastu kluczy na wielkim stalowym kółku.

W pokoju na łóżku i podłodze rozrzucone były ubrania. Lekka kurteczka, najwyraźniej zrzucona z wieszaka, wyglądała, jakby ją ktoś przeszukiwał. Tak samo jak częściowo opróżniona torba, leżąca na podłodze koło łóżka.

– Proszę się dokładnie rozejrzeć, czy coś nie zginęło. Szkoda, że pani Weber nie mogła przyjechać. Chcielibyśmy uniknąć późniejszych skarg, gdyby potem coś się państwa znajomej przypomniało.

– Nasza znajoma wylądowała w szpitalu tej nocy.

– Bardzo mi przykro z tego powodu.

Igor rozejrzał się po pokoju. Wszystko rzeczywiście wyglądało tak, jakby ktoś przeszukał rzeczy i ubrania Pauliny, próbując znaleźć coś cennego.

Johann podniósł torbę z podłogi, postawił ją na łóżku i zaczął zbierać porozrzucane ubrania.

– Czy okradziono tylko ten jeden domek? – spytał Igor, podchodząc do stolika pod oknem. Na wykładzinie coś tam błyszczało.

– Nasz stróż chyba spłoszył tych złodziei. Nie zdążyli włamać się gdzie indziej.

– Trochę to dziwne, biorąc pod uwagę, że ten domek stoi najdalej od płotu.

– Ja nie jestem policjantką.

Igor pochylił się i podniósł z podłogi łańcuszek, który musiał spaść ze stolika. Kołysały się na nim dwa serduszka. Na stoliku leżała bransoletka z kilkoma zawieszkami.

Johann zapiął zamek błyskawiczny czerwonej torby i położył na niej kurtkę Pauliny.

– To chyba wszystko! – Kiwnął głową do Igora.

Rozejrzeli się kolejny raz po pokoju, a następnie wyszli na zewnątrz. Zamienili jeszcze parę słów z kierowniczką, po czym ruszyli do samochodu.

Kobieta, jakby obawiając się, że jednak się rozmyśli i przedłożą jej długą listę rzeczy, które rzekomo zginęły z domku, szybkim krokiem oddaliła się w kierunku hotelu.

*

Gdy skończyła się wojna, Bruno Schliemann poszedł na studia medyczne. Kilkuletnia praca w szpitalu w Lubece wydała swoje plony. Jego rodzice nadal mieszkali w spokojnej dzielnicy willowej na obrzeżach miasta, a ojciec wciąż pracował jako pediatra. W 1948 roku Bruno miał osiemnaście lat i właśnie zaczął studiować. Poznał wielu nowych znajomych, którzy tak jak i on usiłowali otrząsnąć się z wojennego koszmaru, rzucając się w wir nauki i sobotnich zabaw. Któregoś dnia odwiedzili go w jego małym pokoju na poddaszu kamienicy w samym centrum, który wynajmował z dwoma innymi chłopakami, dwaj dziwni mężczyźni. Ubrani w prochowce, ponurzy i smutni. Zabrali go do jakiegoś biura, gdzie wypytywali długo o Franza i jego z nim kontakty. Wówczas także padło pytanie o światło umarłych. Czy wie, co to znaczy, czy kiedykolwiek słyszał to określenie? Bruno domyślił się, że nieznanymi wiedzą o liście, który dostał od brata przed jego śmiercią, więc nie próbował nawet niczego ukrywać. Powiedział, że nie zrozumiał tego i nie wie, o co chodziło. Spędził w tym smętnym szarym gmachu kilka godzin, a mężczyźni wypytywali go jeszcze o każdy szczegół, który pamiętał, i każdą rzecz, jaka łączyła go z bratem. Dopiero potem dowiedział się, że tajemniczy tajniacy byli z Organisation Gehlen[28], powojennego zachodnioniemieckiego wywiadu.

*

Dermot postawił na stole talerz z kilkoma plasterkami polędwicy i pokrojonymi warzywami, wziął z koszyka na stole kromkę ciemnego pieczywa i usiadł naprzeciwko Jamiego, który pałaszował makaron z kurczakiem.

– I chcesz się tym najeść? – zakpił Jamie. – Będziesz głodny za pół godziny.

– Nie będę. – Dermot podniósł rękę i napiął mięśnie. – Nie wyglądałbym tak, gdybym się obzerał co wieczór jak ty.

– Makaron jest dobry do budowy masy mięśniowej.

– O dwudziestej pierwszej to raczej masy dupowej.

– Głupek! – Jamie parsknął i sięgnął po butelkę z piwem. – A co robią

dziewczyny? Wszyscy się gdzieś pochowali.

– Siedzą na górnym pokładzie i gadają o fotografii z Rupertem.

– Podobno ktoś się włamał do pokoju hotelowego tej laski. – Jamie wepchnął do ust kolejną porcję makaronu.

– Ja nie wiem, co to za hotel, do diabła? Najpierw ta laska spada ze schodów, a teraz ktoś ją okrada? Takiemu klientowi w Anglii to bym emeryturę na Seszelach załatwił.

– A gdzie jest Johann i ten cały Ajgor?

– No właśnie coś knują. Zamknęli się teraz z tą lalą i gadają po cichu. Nie podoba mi się to.

Piętro niżej Igor i Johann siedzieli na łososiowej sofie i z niedowierzaniem wpatrywali się w Paulinę, która kończyła właśnie opowiadać o wykopanych w piwnicy Wyrzykowskiego zwłokach amerykańskiego lotnika.

– Niesamowita historia! – Johann przejechał dłonią po swoich jasnych włosach. – Gdyby rzeczywiście stał za tym RAF Medmenham, to nawet mógłbym ci pomóc. Mój ojciec ma dobre stosunki w Royal Air Force. Możliwe, że dałoby się wyciągnąć coś z archiwów, jeśli nie jest to nadal utajnione, oczywiście.

– To by za długo trwało. – Paulina pokręciła głową. – Ten artykuł ma wyjść w dodatku do „Dziennika Szczecińskiego”. Jeszcze we wrześniu. Po sezonie spada zainteresowanie takimi tematami.

Igor usiadł na podłodze po turecku i położył przed sobą teczkę ze starymi dokumentami. Z namaszczeniem otworzył tekturowe skrzydełko, odsłaniając zawartość.

– To pewnie ten dziennik? – powiedział, biorąc do rąk stary zeszyt.

Paulina kiwnęła głową i przesunęła się na kant łóżka.

– A to Messtischblatt. – Igor wziął do ręki jedną z map i delikatnie rozłożył ją na miękkiej wykładzinie. – Arkusz numer trzysta siedemnaście. Rügenwalde.

Johann wstał i uklęknął obok Igora.

– Widziałaś te zwłoki? – zwrócił się nagle do Pauliny.

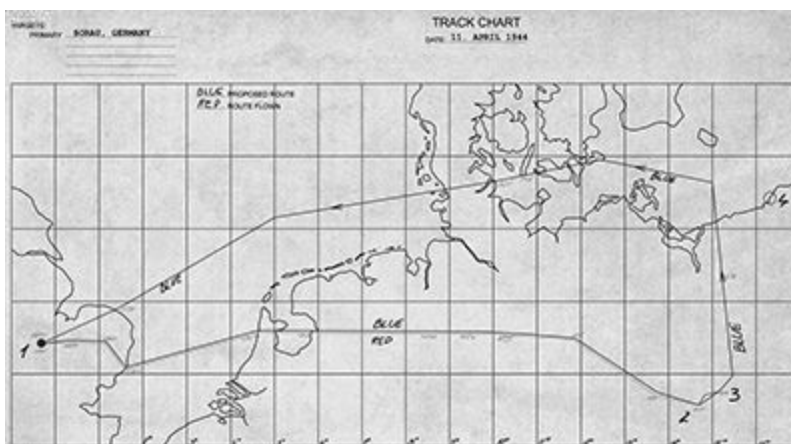
Ta w pierwszej chwili nie zrozumiała. Najwyraźniej malowało się to na jej twarzy.

– No, tego pilota...

– Widziałam. – Pokiwała głową. – Mój szef dogadał się z prokuratorem i wpuścili nas do piwnicy pod domem Wyrzykowskiego. Ten trup przeleżał zawinięty w koc pod ziemią siedemdziesiąt lat.

– Koszmar. – Igor, pochylony nad starą teczką, w skupieniu oglądał dokumenty. – A to wygląda jak zapis trasy – powiedział, rozkładając na podłodze następną mapę. – Te linie oznaczone jako RED i BLUE to pewnie trasa przelotu eskadry. – Wskazał palcem wypłowiwały ślad na pożółkłym papierze.

– Nawet jest to napisane tam na górze. – Paulina wychyliła się i wskazała palcem zamazany napis w górnej części mapy. – *Track chart*, czyli schemat lotu.



Szkic przelotu eskadry został opracowany na podstawie autentycznej zachowanej mapy z 1944 roku.

1. Snetterton 2. Żary 3. Jasień 4. Dąbki

– Eskadra bombowców wystartowała z lotniska Snetterton w Anglii z misją zniszczenia zakładów zbrojeniowych w Żarach i Jasieniu. Planem awaryjnym w przypadku niepowodzenia miało być bombardowanie Szczecina. – Igor przejechał palcem wzdłuż jednej z linii na mapie. – Jeżeli lecieli zatem znad Żar na Szczecin, to popatrzcie, jak daleko od tej trasy są Dąbki. Nawet na tym schemacie lotu to widać.

– No, dokładnie to samo powiedziałam Darkowi – zgodziła się Paulina. –

Ale z historią opisaną w dzienniku Wyrzykowskiego to się doskonale uzupełnia. Załoga samolotu otrzymała najwyraźniej jakąś misję. W dodatku mały Wyrzykowski wspomina o jakimś junkrze, z którym miała się skontaktować jego matka. Oczywiście, że to musiał być szpieg, który pracował dla aliantów.

– Tamtego ziemianina można spróbować wytropić. Na tym terenie, w jakiejś rozsądnej, nieutrudniającej kontaktów odległości, nie było aż tak dużo wielkich majątków.

– Wiedzielibyśmy to bez tropienia, gdyby te kartki z pamiętnika nie zginęły. – Johann wzruszył ramionami.

– Właściwie to jest pewien sposób... – Paulina podciągnęła nogi i objęła je ramionami, po czym syknęła i ostrożnie wyprostowała plecy, opierając się o wezłowie łóżka.

– Sposób na co? – Igor podniósł głowę i spojrzał na nią wyczekująco.

– Wyrzykowski wspomniał coś, że skanował te kartki w jakimś, jak się wyraził, „naszym ośrodku”. Może to być albo ten wojskowy dom wczasowy, w którym pracował, albo sanatorium, dokąd chodził na rehabilitację.

– Zakładając, że ktoś, kto mu tam skanował te dokumenty, zachował je na dysku.

– Można pójść i zapytać. – Johann spojrzał na oboje z entuzjazmem. – Bardzo mnie ciekawi dalsza część opowieści, to, czy jego matka skontaktowała się z tym szpiegiem i jak się to wszystko skończyło.

– Jak to się skończyło, to akurat wiadomo z relacji pani Heleny Wieliszewskiej. – Paulina wzruszyła ramionami. – Jego matkę zamęczyli na śmierć Rosjanie.

– Ale co było z tym szpiegiem? Może dalej było o tym coś więcej.

– Weź pod uwagę, że ten pamiętnik to relacja ośmioletniego chłopca – wtrącił Igor. – Nie wszystko, co widział, mógł rozumieć właściwie.

– To relacja ośmioletniego chłopca, jednak spisana po wielu latach przez dorosłego już mężczyznę – zwróciła uwagę Paulina.

– W dodatku chorego na postępującą już wówczas schizofrenię.

– Tak czy siak, chciałbym przeczytać pozostałą część... – Johann

wyciągnął się na miękkiej wykładzinie, przypatrując się leżącej przed nim starej mapie.

– Reasumując... – Igor oparł się o łóżko i podrapał po brodzie. – Załoga bombowca z eskadry przelatującej nad Pomorzem dostaje jakąś tajną misję. Biorąc pod uwagę, że w piwnicy Wyrzykowskiego oprócz zwłok lotnika znalazła się także radiostacja, chodziło prawdopodobnie o zrzucenie jej temu szpiegowi. Niestety, samolot zostaje zestrzelony, radiostacja i wszystkie dokumenty trafiają do piwnicy położonego na uboczu domu i pozostają tam na zawsze. Jaki z tego wniosek?

– Że matka Wyrzykowskiego nie dostarczyła niczego temu szpiegowi – westchnęła Paulina.

– Niekoniecznie. – Johann pokręcił głową. – Być może się skontaktowała, a on uznał, że to ryzyko wywlekać wielką skrzynię z piwnicy i wieźć przez wiele kilometrów, w dodatku pod samym nosem żołnierzy z pobliskiego poligonu wojskowego...

Igor sięgnął po wydruk ostatniego listu Wyrzykowskiego.

– Słuchajcie, a jak rozumieć to zdanie? – spytał i przeczytał fragment.

...sięgnął po swój plecak i wyciągnął jakąś saszetkę. Tłumaczył jej, że musi to koniecznie zanieść gdzieś i komuś przekazać i że ten ktoś będzie wiedział, co zrobić, że może uda się uratować tysiące ludzi.

– No właśnie – powiedziała Paulina. – Też mnie to nurtowało. Co mógł mieć na myśli z tymi tysiącami ludzi?

– A ta saszetka tutaj była? – Igor pochylił się nad teczką i zaczął wertować stare dokumenty.

– Może chodziło o taką kopertę z negatywami. Nie ma jej tutaj. Została w redakcji, ale mam te zdjęcia. Wywołali je w naszym dziale fotograficznym.

– Zdjęcia? No oczywiście! – Johann podniósł się na łokciu i spojrzał zaaferowany na Paulinę. – Przelatując, zrobili zdjęcia czegoś, co mogło być istotne dla tych specjalistów z RAF Medmenham. Tylko ciekawe czego?

– Jak to czego? – Igor spojrzał na niego ze zdziwieniem. – Myślałem, że to akurat jest oczywiste.

– Mieszkam w Londynie, pamiętasz?

– Toż tutaj pod nosem był poligon doświadczalny artylerii najcięższej. Schwere Artillerie Ersatz Abteilung.

– No właśnie, Darek mówił o tym poligonie. Cały praktycznie obszar nadmorski na Pomorzu był rzekomo jedną wielką strefą eksperymentów Wunderwaffe. Podobno nawet nad bombą atomową pracowali.

Igor pokiwał głową. Przypomnił sobie rozmowy na ten temat z jednym ze swoich inwestorów, pasjonatem wszystkiego, co się wiązało z drugą wojną światową.

– Bombą atomową? – Johann zmarszczył brwi z powątpiewaniem.

– Amerykański program kosmiczny powstał w oparciu o nazistowskie eksperymenty z raketami – wyjaśnił Igor. – Możliwe, że bombę atomową także zbudowali dzięki dobrej pracy swoich szpiegów. Ale to jest jakiś ślad...

– Bomba atomowa? Ślad czego?

– Te zdjęcia i tysiące ofiar... – Igor podrapał się znowu po brodzie.

Paulina zerknęła na niego dyskretnie. Broda, jak zauważyła, u wielu facetów wywołuje potrzebę ciągłego jej dotykania. Znany z literatury i starych filmów gest głaskania brody, jak widać, nie jest wymysłem scenograficznym. Zmarszczyła brwi. Myślała, że dzisiaj wyjedzie i prędko go nie zobaczy, chyba że przypadkiem, kiedyś. Tymczasem siedzą teraz we trójkę, jak rok temu, i znowu prowadzą dochodzenie w sprawie kolejnej spiskowej teorii dziejów. Jak to się stało?

Zamyślona nie zauważyła, że Johann spytał ją o coś.

– Słucham? – Spojrzała zdezorientowana. – Przepraszam, zamyśliłam się.

– Może źle się czujesz? – zainteresował się Igor. – Wzięłaś sporo tych środków przeciwbólowych?

– Wszystko jest okej. Po prostu się zamyśliłam – zaprzeczyła stanowczo. – O co pytałeś? – zwróciła się do Johanna.

– Igor przypuszcza, że piloci mogli zrobić zdjęcia czegoś, co wzięli za jakąś nową broń. W obawie o to, że materiały zaginą albo wpadną w ręce nazistów, pilot prosił matkę Wyrzykowskiego, by przekazała je temu

szpiegowi.

– Ciekawe, czyby się zdecydował w ten sposób zdradzić jego tożsamość... – Paulina powątpiewająco ściągnęła brwi.

– Pomogła mu, ukrywała go w domu pod samym nosem Wehrmachtu. W obliczu śmierci uznał pewnie, że może zaryzykować.

Od strony korytarza rozległo się ciche pukanie. Spojrzeli jednocześnie w kierunku drzwi, które po chwili powoli się uchyliły, a do środka jasnowłosą głowę wsadził Patrick.

– Na górze pytają się, czy nie chcecie zjeść kolacji? – Uśmiechnął się.

– Zaraz idziemy. – Johann dźwignął się z kolan. – Faktycznie jestem głodny. Wy nie? – Spojrzał na Igora i Paulinę.

– Powinam chyba wstać i się rozruszać. – Paulina pokiwała głową. – Jutro czeka mnie podróż do Szczecina, a w dalszym ciągu czuję się połamana.

– Nad tą podróżą to się lepiej zastanów.

– Jutro powinnam być w pracy, a i tak zawałę cały dzień.

– A nie wolisz jednak wyjaśnić do końca tej historii z pamiętnikiem? – spytał Igor, umykając wzrokiem.

– Właśnie – podchwycił Johann. – Jutro wybierzemy się do tego ośrodka. Jeśli mają tamte skany, to będziesz miała fantastyczne zamknięcie artykułu.

Paulina zmarszczyła brwi. Poukładała sobie już w głowie, że tekst będzie się skupiał na historii życia Wyrzykowskiego, nazistowskie tajemnice miały być tylko w tle, ale faktycznie, gdyby znała dalszy ciąg jego opowieści sprzed wojny, historia byłaby ciekawsza i domknięta. Ciekawe, czy Paweł będzie wściekły? Z drugiej strony, nie wyda przecież nic na hotel, a w pracy i tak wzięłaby ze dwa dni wolnego, żeby dojść do siebie po tym cholernym upadku z drabiny...

Spojrzała na entuzjastycznie uśmiechniętego Johanna i Igora z nieodgadnionym wyrazem twarzy i sięgnęła po telefon.

Rozdział 15

Poniedziałek, 14 września

Na początku lat siedemdziesiątych Bruno Schliemann wraz z przyjacielem ze studiów założył, początkowo niewielką, praktykę onkologiczno-dermatologiczną, która z czasem rozrosła się do rozmiarów sporej kliniki. Druga wojna światowa rozdzieliła go z bratem, a zimna wojna[29] z siostrą. Inga tuż przed wybuchem wojny wyprowadziła się pod Rostock, gdzie zamieszkała z mężem w jego majątku. Po wojnie pisała do rodziców w Lubece listy, a oni wysyłali jej paczki z żywnością. Bruno zobaczył ją dopiero w latach siedemdziesiątych, gdy po raz pierwszy pojechał do wschodnich Niemiec. Długo potem, gdy szukał z żoną domu nad morzem, żeby spędzać tam weekendy, a z czasem przenieść się na emeryturę, to właśnie Inga wynalazła dla nich piękny dom w Börgerende. Kupili go w 1993 roku, a trzy lata później mieszkali tam już na stałe. Klinika w Lubece działała nadal, ale Bruno bywał w niej tylko raz czy dwa w tygodniu.

Od siostry dowiedział się, że w 1951 roku została zatrzymana na kilka tygodni przez Hauptabteilung I – wywiad wojskowy Stasi[30], gdzie była długo przesłuchiwana i wypytywana o najdrobniejsze rzeczy związane z Franzem i jego służbą w Rügenwalde. Ją także pytali o światło umarłych.

*

Rozmowa przy śniadaniu nie kleiła się jakoś. Johann i Igor, wciąż pod wrażeniem historii z morderstwem w tle, o którym opowiedziała im Paulina, siedzieli trochę nieobecni. Paulina, nadal nieco obolała po upadku, unikała gwałtownych ruchów, przez co sprawiała wrażenie sztywnej i zdystansowanej. Dermot rzucał co chwilę pełne dezaprobaty spojrzenie to na Johanna, to na Igora, podejrzewając ich, całkowicie zasadnie zresztą, że coś ukrywają przed resztą towarzystwa. Jedyne Gwen i Alice beztrąsko rozmawiały o mumii kota, którą dwa dni temu oglądały na darłowskim

zamku.

– To co z tym skarbem w końcu? – W ciszy, która na moment zapanowała, gdy Gwen przestała opowiadać o koszmarnych, wybałuszonych kocich oczach, pytanie Jamiego zawisło w powietrzu nad stołem.

– Jakim skarbem? – Paulina podniosła wzrok i spojrzała na Igora.

Ten, jedząc właśnie kanapkę, znieruchomiał na moment i zauważył, że wszyscy przyglądają mu się z ciekawością.

– Nie szukacie chyba jakiegoś skarbu? – zapytała podejrzliwie Paulina. – No, właściwie to mogłam się tego domyślić... – parsknęła i od razu skrzywiła się z bólu, prostując plecy.

– Nie szukamy żadnego skarbu! – Igor wyduł wargi i spojrzał na nią urażony. – Oprawdzałem ich przecież po Darłowie – dodał, wskazując głową w stronę zabudowań na zachodnim brzegu.

Paulina spojrzała w kierunku nabrzeża i po chwili uśmiechnęła się.

– Eryk Pomorski! Racja! Zapomniałam, że jestem w Darłowie.

– Więc co ostatecznie z tym skarbem? – upominał się Jamie. – Zanim pojechaliście ratować Paulinę po jej upadku ze schodów, wspomniałeś, że żadnego skarbu nie było. To w końcu był jakiś skarb czy nie było?

– Eryk niewątpliwie przywiózł do Darłowa wielki majątek... – Igor wzruszył ramionami. – To, że ogołocił skarbiec Unii Kalmarskiej i wywiózł z Danii klejnoty koronne, to fakt i zapewne ma potwierdzenie nie tylko w pomorskich archiwach, ale i duńskich czy szwedzkich. To, że miał sporo łupów po korsarskich potyczkach z Hanzą na Gotlandii, to też raczej nie ulega wątpliwości. Tyle że po wylądowaniu w Darłowie miał tutaj ogromne wydatki. Przebudował zamek, rozbudował go o nowe skrzydło i wały obronne, na których stały te słynne armaty z Gotlandii. Według niektórych opisów to on zbudował kaplicę Świętej Gertrudy na cmentarzu. Kolejny wydatek. Poza tym samo życie na poziomie, do jakiego przywykł jako Cesarz Północy, było bardzo kosztowne.

– Czyli co? – Jamie sięgnął po kolejnego rogalika i przekroił go na pół. – Eryk wszystko wydał?

Igor pokręcił głową.

– Po jego śmierci, w tysiąc czterysta pięćdziesiątym dziewiątym roku, ów

mityczny skarb odziedziczyła po nim księżna Zofia, córka jego stryjecznego brata Bogusława Dziewiątego. Podobno ciesząc się dzięki temu niezależnością, zazdrośnie strzegła go nawet przed mężem, księciem wołoskim Erykiem Drugim.

– Skąd ty wiesz takie rzeczy? – Paulina popatrzyła na Igora z niedowierzaniem. – Nazwiska, daty? Jak można to wszystko spamiętać?

– Po prostu kiedy Johann mi powiedział, że się tu zatrzymają, to się przygotowałem. – Igor spojrział na nią urażonym wzrokiem. – Jestem gościnnie.

– Nie gadajcie po polsku – mruknął Johann. – I co było dalej?

– Zofia była tak zazdrosna o swoją fortunę, że nie podzieliła się nią nawet ze swoim synem, naszym wielkim pomorskim Bogusławem Dziesiątym. Na czas wojny z Brandenburgią wszystkie kosztowności złożyła w klasztorze Dominikanów w Słupsku i zabrała je stamtąd po jej śmierci dopiero żona Bogusława Dziewiątego, nasza Anna Jagiellonka, córka Kazimierza Jagiellończyka.

– Czy ty nie jesteś przypadkiem złośliwy? – Paulina popatrzyła na Igora podejrzliwie.

– Oczywiście. Zawsze mnie wkurza, że Bogusław Dziesiąty jest znany tylko z tego powodu, że ożenił się z córuchną króla Polski.

– Jesteś po prostu nacjonalistą pomorskim.

– Nie gadajcie po polsku – mruknął tym razem Dermot. – Co było dalej?

– Anna Jagiellonka spieniężyła wszystko, co zostało po teściowej, i wysłała do Wenecji, gdzie akurat gościł wracający z pielgrzymki do Ziemi Świętej Bogusław Dziesiąty. Zabrakło mu kasy po prostu. Z jego wizyty na dworze papieskim znane są natomiast opisy, jak to zadając szyku, on i jego świta z powozów rozsypywali wśród gawiedzi złote monety. I to tyle, jeśli chodzi o skarb po Eryku Pomorskim.

Igor sięgnął po kubek i wypił łyk chłodnej już herbaty.

– Wyjątkowo mało romantyczna interpretacja – parsknęła śmiechem Gwen i wstała od stołu. – Nie pij tej zimnej herbaty. Zaraz przyniosę gorącą.

– I te wszystkie artefakty... – Dermot strzelił palcami, usiłując przypomnieć sobie opis skarbu. – Róg jednoroźca, szczerozłota rzeźba

Chrystusa naturalnej wielkości... Wszystko to sprzedali i przetopili na złoto?

– Opis tych skarbów znamy jedynie z kroniki Thomasa Kantzowa i jest on bardzo wątpliwy. Sam Kantzow pisał, że widział na własne oczy jedynie monstrancję i róg jednoroźca, przerobiony podobno na świecznik. Opis pozostałych skarbów poprzedził słowami: „Miały to być podobno...”.

– To skąd by się wzięły takie konkretne opisy tych skarbów? – Alice odsunęła talerz i oparła łokcie na stole. – Ludzie zapamiętują właśnie rzeczy unikalne.

– Ludzie wierzą w to, w co chcą wierzyć. – Igor wzruszył ramionami i mimochodem spojrział na Paulinę. – Opis tego skarbu to taka średniowieczna miejska legenda. Na przykład złota gęś z zamku w Vordingborgu. Eryk zabrał ją podobno, wyjeżdżając na Gotlandię. W niektórych opracowaniach podają, że gdy w tysiąc siedemset dwudziestym czwartym roku podczas pożaru kościoła zapadła się krypta, w trumnie Eryka znaleziono właśnie złotą gęś.

– I co? Nie mogło tak być? – Dermot ściągnął brwi.

– Jeśli ta gęś była zwieńczeniem zamkowej wieży, to zastanówcie się, jaka musiała być duża, żeby była widoczna. Krzyże na wieżach kościołów, które z daleka wydają się takie delikatne, w rzeczywistości miewają po trzy metry wysokości. Gęś musiałaby mieć jakiś metr średnicy, żeby to miało sens. Jak by się zmieściła w trumnie? Poza tym kto, oprócz faraonów, zrobiłby coś takiego ze szczerego złota? W średniowieczu podobne elementy wykonywano z blachy miedzianej, pokrytej cienką warstwą złota. A to już zmienia kompletnie wartość tej gęsi.

– A co z tamtą trumną? – zainteresowała się Paulina. – Też czytałam, że coś w niej znaleźli i wysłali na dwór królewski do Berlina.

– Najprawdopodobniej złoty naszyjnik z wizerunkiem Ducha Świętego w postaci gołębic, który Eryk przywiózł ze swojej pielgrzymki do Jerozolimy. Zwyczajny złoty naszyjnik. Żaden wielki skarb. A róg jednoroźca był prawdopodobnie kłem narwala. Takie rzeczy uchodziły w średniowieczu za bardzo cenne, ale też nie była to jakaś ogromna fortuna. – Igor wzruszył ramionami.

Paulina obrzuciła go taksującym spojrzeniem.

– Zrobiłeś się cyniczny. W zeszłym roku byłeś prawdziwym entuzjastą historii o skarbach.

– Nadal jestem, gdy są ku temu jakieś podstawy.

Na moment zapadła cisza, którą zakłócały jedynie hałasy dochodzące z portu i chłupot fal przy nabrzeżu. Przerwał ją Patrick, który wbiegł po schodkach na górny pokład i pochylił się nad Johannem. Po chwili Johann ściągnął brwi.

– Masz gościa – zwrócił się do Pauliny. – Ktoś z policji.

*

Z morza wrócili w nocy. Koło trzeciej. Artiom, który z wyjątkiem dwóch zejść na dno praktycznie przez całą niedzielę miał wachtę, był zły. Zastanawiał się, po jaką cholerę trzymali go na tym mostku. Od tego byli Sasza i Iwan, którzy mieli zaledwie podstawowe przeszkolenie do nurkowania głębinowego. Tymczasem oni zajmowali się jakimś gównianym przygotowaniem sprzętu, a Woronin pomiędzy nurkowaniami siedział z Sierowem w kabinie. I tylko Artiom musiał i nurkować, i jeszcze zajmować się nawigacją. Sprzęt i tak cały sprawdzał ponownie, chociaż pyszczyli, że marnuje czas. Sasza i Iwan chyba się obrazili o to sprawdzanie po nich, bo jakoś trzymali się na boku i nie gadali z nim. Pies im mordę lizał. Rano sam zaproponował, że zostanie na kutrze. Nie miał ochoty spędzać całego wieczoru z tymi matołami na kempingu. Prześpi się w kabinie albo na pokładzie na leżaku. Ale Sierow przyjął to z jakimś wahaniem. Ciekawe, o co mogło mu chodzić? No i kazał zostać także Iwanowi, dzięki czemu ten o mała nie zabił Zetlersa wzrokiem. Pies im mordę lizał, powtórzył w myślach, patrząc na ogromny biały jacht, na którym całe towarzystwo jadło właśnie śniadanie.

*

Prokurator Teodor Olszański siedział w mesie na dolnym pokładzie i rozglądał się dyskretnie wokół siebie. Weber zostawiła mu informację, że zatrzyma się na jachcie „Pandora” przy zachodnim brzegu w Darłówwku. Spodziewał się więc jachtu. Takiego z żaglami. Choćby i sporego, z dużą

kabiną, nawet kilkoma, kambuzem. Tymczasem to tutaj to była jakaś scenografia do amerykańskiego filmu. Nawet nie wiedział, że takie jachty w ogóle pływają po Bałtyku. Z przerażeniem pomyślał, ile coś takiego musi kosztować. Czy gdyby pracował przez całe życie za swoją urzędniczą pensję, to stać by go było na o połowę mniejszy egzemplarz? Pewnie sama ropa na rejs z zachodniej Europy musiała kosztować więcej niż jego roczne pobory. Poluzował perfekcyjnie zawiązany węzeł windsorski swojego ciemnego krawata i poprawił kołnierzyk koszuli, akurat gdy dobiegł go cichy dźwięk odsuwanych szklanych drzwi. Ubrany na biało steward wpuścił do środka Paulinę i z grzecznym uśmiechem zasunął z powrotem szklaną taflę.

– Dzień dobry! – Olszański podniósł się i podał Paulinie rękę. – Jak się pani czuje?

– Dziękuję, wczoraj cały dzień sobie poleżałam i już zdecydowanie lepiej.
– Paulina usiadła i spojrzała z niepokojem na prokuratora. – Czy coś się stało?

– Wprost przeciwnie. – Olszański pokręcił głową. – Wpadłem, żeby zadać pani jeszcze kilka pytań, ale sprawę najprawdopodobniej w tym tygodniu zamkniemy.

– Chodzi o to samobójstwo? Nie sądziłam, że wymaga postępowania prokuratorowskiego?

– Miałem na myśli Wyrzykowskiego.

Olszański splótł ręce i położył je na kolanie. Czuł się nieswojo w tym miejscu. Skąd ona ma takich znajomych?

– Znaleźliście tych włamywaczy?

– Znaleźliśmy w tej stodole, w której powiesił się Stasiak, aparat fotograficzny, portfel i torbę Wyrzykowskiego. Jego syn potwierdził to dzisiaj rano.

Paulina otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale uderzyło ją nagle, że wybrała się w nocy jak kompletna idiotka do jakiegoś podejrzanego typu. Do mordercy, jak się okazało!

– W płocie między posesjami była stara dziura, zardzewiały fragment siatki. Akurat tydzień wcześniej Stasiak zaczął ją naprawiać. W poniedziałek pewnie widział, że Wyrzykowski wyszedł, i postanowił się włamać. Okazja

czyni złodzieja. Pewnie wiedział także, że nie ma tam alarmu...

Paulina wbiła wzrok w blat ławy. Usiłowała sobie przypomnieć rozmowę, którą prowadziła przez telefon z Wyrzykowskim. To przecież wtedy się stało. Co on mówił? Że słyszy jakiś hałas. I poszedł to sprawdzić.

– Prawdopodobnie starszy pan wrócił wcześniej i go zaskoczył – kontynuował Olszański. – Nie słyszała pani żadnych hałasów, bo Wyrzykowski go znał. Możliwe, że się lekko zdziwił, ale nie na tyle, by wszczynać awanturę...

Zaraz, pomyślmy, gdy Wyrzykowski się oddalił, a ona została ze słuchawką, rzeczywiście słyszała w tle jego głos. A potem ktoś cicho podszedł i odłożył słuchawkę...

– Prawdopodobnie przestraszył się i go uderzył. Na słuchawce znaleźliśmy odciski jego palców...

Paulina wciągnęła głośno powietrze.

– A potem, gdy się dowiedział, że Wyrzykowski nie żyje, wpadł w panikę. Przestał się pokazywać u Pawelczyk. I popełnił w końcu samobójstwo.

– Strasznie to bezsensowne. Przecież takie włamanie pewnie od razu wyszłoby na jaw.

– Ten człowiek był ostatnio w depresji. Umarła mu żona. Miał długi. Nie myślał racjonalnie. Takie przestępstwa bywają wręcz banalne.

Paulina wpatrywała się w okno. Przez moment milczeli.

– Mam jeszcze jedną sprawę do pani... – Olszański spojrzał na nią z namysłem. – Czy w tym dziennikarskim śledztwie na temat Wyrzykowskiego poznała pani kogoś o nazwisku Schliemann?

Paulina podniosła brwi. Wciąż jeszcze była myślami przy zwłokach Stasiaka zwisających z belki na strychu stodoły. Pokręciła głową.

– Bruno Schliemann. Niemiec. Zatrzymał się w Darłowie.

– Zdecydowanie pierwszy raz słyszę. Czy coś go łączyło z Wyrzykowskim?

– Przeszłość chyba jedynie. W poniedziałek rano, tuż po śmierci Wyrzykowskiego, był u niego w domu. Przez moment nawet go podejrzewaliśmy.

Paulina przypomniała sobie, że Pawelczyk mówiła o jakimś starszym mężczyźnie, który wyszedł około dziewiątej z ogrodu Wyrzykowskiego i wsiadł do samochodu na niemieckich blachach.

– Teraz sobie przypomniałam, że sąsiadka, Zofia Pawelczyk, o nim wspomniała.

– Ten Niemiec opowiedział nam, że matka Wyrzykowskiego, ta prawdziwa matka, pracowała jako sprzątaczką w jednostce u jego brata, który był jednym z dowódców. Schliemann przyjechał tutaj szukać jego grobu. Miał nadzieję czegoś się dowiedzieć. To chyba ciekawy wątek dla pani.

Paulina, zagryzając wargi, zatrzymała wzrok w przestrzeni ponad ramieniem Olszańskiego. Matka Wyrzykowskiego pracowała dla jednego z dowódców jednostki? To coś kompletnie nowego. I mimo to chroniła alianckiego lotnika? A może wprost przeciwnie. Może właśnie doniosła o tym wszystkim i cała ta historia skończyła się zupełnie inaczej?

– Czy on jeszcze jest w Darłowie? – spytała.

Prokurator się uśmiechnął.

– Wiedziałem, że temat panią zainteresuje. Tak, zatrzymał się tu niedaleko. – Kiwnął głową w kierunku wschodniego brzegu Wieprzy, który majaczył w słońcu za wielkimi szklanymi ścianami jachtu. – W hotelu Apollo.

– Co tu robi policja? To w sprawie tej kradzieży? – Dermot patrzył podejrzliwie na Johanna, za którym poszedł do kuchni i stał mu teraz nad głową.

– Nie wiem. – Johann wzruszył ramionami. – Możliwe.

– Przecież mówiłeś, że ci z hotelu wezwali policję, ale w końcu nie było żadnego zgłoszenia, bo niczego nie ukradli.

– Może to w sprawie tego samobójstwa... – Johann z opóźnieniem ugryzł się w język. Kłamstwo ma krótkie nogi. Zwłaszcza jak się je serwuje dobremu kumplowi.

– Jakiego samobójstwa? – Dermot patrzył z osłupieniem.

– O Jezu...

– Nie o Jezusa, tylko coś kręcicie z tym Ajgorem! Jakiego samobójstwa?

– Nic nie kręcimy – westchnął Johann. Dał się zapędzić w kozzi róg. Jak powie teraz coś o tym wisielcu, to zaraz się to z kolei oprze o morderstwo.

– Jestem twoim prawnikiem, łajzo! Jak potrzebna ci pomoc, to jakoś mi ufasz.

Johann wyjął z szafki pudełko ze szwedzkimi ciastkami korzennymi i postawił na blacie.

– Dermot! Kiedy skończą gadać i ten prokurator sobie pójdzie, to pogadam z Pauliną. Ona prowadzi śledztwo dziennikarskie, nie wiem, co można mówić, a czego nie.

– Więc to jest prokurator? Coraz lepiej.

*

Gdy Bolo ledwie otworzył oczy i przypomniał sobie o Stasiaku, momentalnie poczuł, jak stalowa obręcz ściska mu żołądek. Żał mu było kumpla. Wiedział, że będzie mu go brakowało. Stasiak jaki był, taki był, ale Bolo z nikim nie miał tak bliskiego kontaktu jak z nim.

No i strach. Co będzie, jak teraz policja wydobędzie na światło dzienne wszystkie ich wspólne sprawy? Za kłusownictwo nic im nie zrobią, chociaż jeśli znajdą u Stasiaka wnyki i łapki, to może i do tego się przyczepią. Ten głąb pewnie trzymał wszystko w tamtej stodole za domem. Gorzej, jak odkryją włamania do garażów i obejść. Kilka razy obrobili domy letniskowe. Ze sprzedaży sprzętu i różnych maneli można było trochę pożyć.

Wciąż nie wiedział, gdzie podziała się ta dziennikarka. W Rekinie mu powiedzieli, że się wyprowadziła i że podobno była w nocy w szpitalu. Może nadal jest? W Koszalinie?

I kto ją okradł? Głowę by dał, że to ci z tego merca. Drzwi były otwarte, a wewnątrz burdel. I w tym momencie przypomniał sobie faceta, który wydał mu się znajomy. No jasne! Już wiedział, skąd go zna.

Zacisnął pięści. Poczuł wściekłość.

Skurwysyny!

*

Gdy Paulina skończyła mówić, zapadła na moment cisza. Rozpięte nad słonecznym pokładem białe płótno rzucało cień na niski stół, dookoła którego siedzieli, wpatrując się w osłupieniu w lekko onieśmieloną prelegentkę.

– I poszłaś na ten strych z komórką? – Dermot patrzył na nią z niedowierzaniem. – Ciemną nocą? Nie bałaś się?

– Kobiety są nieprawdopodobne – wtrącił Jamie. – Dopiero co Gwendolyn omal nie zatopiła naszego jachtu, zostawiając w automatycznych drzwiach swój...

– Jamie! – Gwen spojrzała na niego groźnie.

– No przecież ja tylko...

– James!

– Skupiliście się na najmniej interesującym wątku mojej opowieści. – Paulina pokręciła niecierpliwie głową.

– To z powodu szoku. – Dermot spojrzał na Johanna, który z niewinną miną wpatrywał się w stół. – Wciskaliście nam, że spadłaś ze schodów, a okazuje się, że jesteś zamieszana w czyjeś samobójstwo i jeszcze morderstwo.

– Czyli ten wisielec okazał się mordercą? – Igor westchnął. – Poszłaś ciemną nocą do opuszczonego domu na pustkowiu, żeby porozmawiać z mordercą...

– Nie na pustkowiu, tylko w sąsiedniej wsi. – Paulina zmarszczyła brwi niezadowolona. – Teraz wiem, że się narażałam, ale skąd miałam o tym wiedzieć wcześniej.

– Ten prokurator zdaje się, ostrzegał cię przed prowadzeniem śledztwa na własną rękę, tak?

– I kto to mówi? A kto nie tak dawno zorganizował włamanie do prezydenta?

Igor był rad, że ten fragment rozmowy prowadzili po polsku, bo opowiadanie o kulisach wydarzeń sprzed roku trwałoby do jutra.

– A moglibyśmy zobaczyć te stare dokumenty? – spytała Alice.

– I zdjęć? – wtrącił nieśmiało Rupert.

– Właśnie... – Igor spojrział na Paulinę. – Mówiłaś coś, że masz te stare fotografie na dysku.

– Mam w laptopie, ale mam i odbitki. Musiałabym zejść do kabiny i przynieść.

Gwen podniosła się z sofy.

– To może wszyscy przenieśmy się na dolny pokład, bo tu jest i tak za dużo słońca na oglądanie archiwaliów.

*

Artiom nigdy nie uczył się języka polskiego. Mieszkając jednak w Kaliningradzie, na tyle często stykał się z Polakami, że potrafił wyłowić ogólny sens z każdej wypowiedzi. Tym bardziej oczywiście, że mnóstwo słów polskich i rosyjskich brzmiało podobnie. Gdy służył w Bałtysku, w marynarce, często musiał rozmawiać z załogami polskich jachtów, które coraz częściej zapuszczały się w te rejony, przyciągane egzotyką zakonserwowanego brudnego i szarego komunizmu, i przede wszystkim zrujnowanych portów głównej bazy morskiej Rosyjskiej Floty Bałtyckiej. Turystów przyciągała szczególnie długa sztuczna mierzeja, Bałtyjska Kosa, gdzie ciągnęły się hektary walących się, opuszczonych magazynów i kilometry zniszczonych żelbetowych nabrzeży, najeżonych rdzewiejącymi zębami prętów zbrojeniowych. Często trzeba było zatrzymywać chwackie załogi polskich jachtów, które bez zezwoleń, narażając się na niebezpieczeństwo, zbliżały się do zakazanych stref. Wiele więc rozumiał, a i dogadać się w mieszaninie polskich i rosyjskich słów, czasem przetykanych jakimś pojedynczym angielskim wyrazem, potrafił bez problemu.

Gdy więc zszedł na ląd i zatrzymał się w małym sklepie przy jednej z uliczek Darłówka, żeby zrobić jakieś zakupy, od razu wpadła mu w ucho rozmowa, którą prowadziły dwie zażywe, stojące przed nim w krótkiej kolejce do kasy panie.

– I to w biały dzień... – Kobieta w żółtej sukience wyciągnęła portfel i zaczęła odliczać banknoty. – Czegoś takiego dawno tutaj nie było. Biedny staruszek.

– Tak po prostu się włamali i rąbnęli go w łeb? – Druga z kobiet pokręciła z niedowierzaniem głową. – We własnym domu człowiek nie może już się czuć bezpiecznie. Kiedy to było? Jakoś na początku tygodnia?

– W poniedziałek rano. „Dziennik Sławieński” napisał.

Artiom przypomniał sobie w tym momencie rozmowę, którą kilka dni temu podsłuchał na korytarzu. Woronin wspomniał coś o „rąbniętym staruchu”. Pamiętał jego rechot. Mógł to być oczywiście kompletny przypadek, nieporozumienie, ale intuicja zapaliła mu w głowie malutkie światełko alarmowe.

*

Rupert z nabożeństwem wziął do ręki jedną z odbitek, które Paulina wyjęła przed chwilą z szarej koperty i rozłożyła na stole.

– Popatrzcie, co za jakość – mruknął z zachwytem. – Widać pojedyncze krzewy. Jeśli to byli Amerykanie, to musiała to być jakaś najlepsza wówczas marka, Fairchild.

– Co takiego? – Jamie spojrział na niego podejrzliwie.

– Aparat. – Rupert wziął kolejne zdjęcie i pochylił się nad stołem, wpatrując w szczegóły czarno-białej odbitki. – Jakie piękne cienie od drzew i masztów.

– Jedenastego kwietnia czterdziestego czwartego roku była ładna, słoneczna pogoda. – Paulina zajrzała do swojego notesu. – Wyrzykowski znalazł się na plaży tuż po strąceniu samolotu. Była jakaś szesnasta, siedemnasta.

– No, to by się zgadzało. O tej porze roku słońce nad horyzontem... – Rupert powiódł spojrzeniem po jednym z długich czarnych kształtów. – To pewnie cienie wysokich drzew.

Igor sięgnął po pamiętnik. Otworzył twardą tekturową okładkę i przejechał palcem po śladach wyrwanych kartek.

– Czemu on je w ogóle wyrywał? – spytała, zaglądając mu przez ramię Alice.

– Zaczęło mu się już wówczas mieszać w głowie. – Paulina zmarszczyła

brwi, usiłując przypomnieć sobie e-maile Wyrzykowskiego, w których pisał o tym, że jest prześladowany przez wywiad i różne inne organizacje. – Bał się, że go okradną i że ktoś znajdzie te zapiski. Pierwsze kartki, które zeskanował dla mnie, potem zniszczył. Pewnie z tymi brakującymi zrobiłby to samo.

– A co z resztą zapisków? – Igor przekartkował dziennik. – O te się nie bał?

– Te, które wyrwał, dotyczyły okresu wojennego. Pozostałe są już pisane długo potem. Popatrz na datę. Pierwszy wpis jest z piętnastego listopada siedemdziesiątego drugiego roku.

– Jest ich niewiele. – Igor zatrzymał się nad stroną, na której obok kilku krótkich zdań widać było postrzępione skrawki gazety. – A tu też coś było. Tak jakby wklejony jakiś wycięty artykuł, a potem wyrwany.

– Tego nawet nie zauważyłam. – Paulina pochyliła się nad stołem i spojrzała do środka zeszytu, który Igor przesunął w jej kierunku. – W zasadzie to nie przeczytałam nawet dokładnie tego dziennika. Przejrzałam jedynie.

– Popatrz na te daty. – Igor przerzucił kilka kartek. – Te wpisy są bardzo nieregularne. Pomiędzy niektórymi są całe lata przerwy. Spójrz tutaj, na początku lata siedemdziesiątego, tylko kilka wpisów, a potem aż dziesięć lat później.

– Tak, zauważyłam to – przytaknęła Paulina. – Młody Wyrzykowski wspominał coś, że ojciec pisał rzadko. Możliwe, że w ogóle pisał tylko wtedy, gdy działo się coś według niego istotnego.

– Tutaj dalej jest mnóstwo nieskładnych zapisów o jakichś prześladowaniach. Podsłuchy w ścianach, głosy...

– Schizofrenia zaczęła się powoli nasilać. Być może w ogóle początkowo jakoś sobie radził i tylko w dzienniku wyładowywał te ataki. Syn twierdził, że jego stan pogorszył się zdecydowanie po śmierci matki, w dwa tysiące dziewięćdziesiątym.

– Te skrawki wyrwanych gazet są w ogóle bardzo świeże. Dwa tysiące dwunasty i trzynasty rok. Pewnie można by dojść, co to za artykuły, bo on tu w komentarzu pisze coś o „Dzienniku Bałtyckim” i „Sławińskim”.

– Mam koleżankę, która pracuje w Książnicy Pomorskiej w Szczecinie. Tam gromadzą, zdaje się, wszystkie wydawane czasopisma. Tylko co z tego, że mamy datę? W tej gazecie było pewnie kilkadziesiąt artykułów. Cholera wie, co go zainteresowało. A mogło być i tak, że to znowu jakieś maniakalne, schizofreniczne podejrzenia.

– No, w sumie tak. Na przykład jakaś budowa stacji telefonii komórkowej w pobliżu albo coś w tym stylu, à propos tych jego głosów i podsłuchów.

– No właśnie. – Paulina pokiwała głową.

Przez moment patrzyła na Igora, zastanawiając się nad czymś. Uniósł pytająco brwi.

– Może wynotuję jednak te daty i prześlę tej swojej znajomej. Niech sprawdzi... – sięgnęła po komórkę – ...na wszelki wypadek.

– Okej. – Igor otworzył ponownie brulion i znalazł pierwszą stronę ze śladami wyrwanej gazety. – Podam ci chronologicznie. Pierwsza data to piętnasty marca siedemdziesiąt jeden.

Przewrócił kilka kartek.

– Następne są dużo później. Nie! Czekał. Tu są jakieś strzępy. Dwudziesty trzeci września siedemdziesiąt cztery. I potem aż dwa tysiące dwunasty. Zapisujesz?

– Tak.

Igor podał Paulinie jeszcze sześć dat z miejsc, gdzie znajdowały się wyrwane artykuły z gazety.

– To wszystko jest „Dziennik Bałtycki”?

– Tak, nie... Czekał. Te dwie daty z lat siedemdziesiątych były z „Bałtyckiego”, a te późniejsze z jakiegoś „Dziennika Sławińskiego”.

– To to samo – wyjaśniła Paulina. – Dodatek lokalny. Okej. Wysyłam. – Przejechała palcem po ekranie. Wiadomość została wysłana.

– A co to za mapa? – Dermot podniósł poźółkły kartonik i zajrzał ostrożnie pod jego spód.

– To mapa przelotu eskadry ze Snetterton. – Johann zajrzał mu przez ramię.

– Ale tu jest jeszcze coś... – Dermot złapał za mały odstający skrawek

kartonu. – Chyba się skleily dwa kawalki.

– Uważaj, bo podrzesz. – Gwen zmarszczyła czoło. – Lepiej to zostaw.

Komórka Pauliny pisnęła. Zniecierpliwiona oderwała wzrok od starej mapy i spojrzała na ekranik telefonu. Karolina z Książnicy. Przeczytała tekst i pokręciła głową. Idiotka ze mnie, pomyślała. Napisała koleżance, żeby szukała czegoś niezwykłego o Dąbkach i Darłowie. Karolina odpisała, że dziewięćdziesiąt dziewięć procent artykułów w „Dzienniku Sławieńskim” będzie pewnie o Dąbkach i Darłowie. Fakt! Pochyliła się nad komórką i uściśliła, żeby szukała czegoś o wojnie i lotnikach. Po namyśle dopisała jeszcze: Wunderwaffe.

Podniosła wzrok.

Dermot delikatnie pociągnął za maleńki fragment papieru, który powoli odspoił się od spodu mapy.

– Rzeczywiście tam coś jest. – Paulina pochyliła głowę, zaglądając z ciekawością pod starą mapę, którą trzymał w dłoniach Dermot. – Boże, ja tego w ogóle nie miałam kiedy dokładnie przejrzeć. Najpierw w pracy wszyscy lekceważyli ten temat, a potem to całe morderstwo, i zabrała to prokuratura.

– No, to teraz jest akurat dobry moment – wtrącił Igor.

– Podrzesz! – Gwen patrzyła z niepokojem na Dermota, który uparcie dłubał przy dwóch sklejonach kartonikach.

– Już prawie. Podaj mi ten nóż. – Wskazał brodą mały nożyk do przystawek.

Powoli odgiął pozostałą część papieru. Na odchylonym fragmencie było widać jakieś esy-floresy i napisy. Pociągnął powoli za ostatni sklejony kraniec i po chwili cały tajemniczy skrawek znalazł się w jego ręku.

Niegdyś dobrej jakości gruby papier był obecnie pomarszczony i pożółkły. Miał kształt kwadratu, wielkość mniej więcej formatu A3 i postrzępione przez czas brzegi. Na mapie ktoś ręcznie naniósł kilka notatek i pracowicie wykaligrafował sześcioramienną różę wiatrów.



– To też jakaś mapa – mruknął zaintrygowany Jamie, nachylając się nad ramieniem Dermota.

Przez dłuższą chwilę wpatrywali się w leżący na stole schemat linii i napisów.

– Wybrzeże Bałtyku i Bornholm – powiedział cicho Igor. – Jakaś mapa nawigacyjna?

– A ten odręczny napis na środku? – Jamie przekrzywił głowę. – Co to znaczy?

Paulina pochyliła się nad mapą.

– „Totenleuchte” – przeliterowała. – Martwe światła? Johann?

– Światła zmarłych? – Johann wzruszył ramionami. – Może to jakaś latarnia morska na brzegu Bornholmu?

– Na jakim brzegu? To jest zaznaczone w połowie drogi z wybrzeża.

– Faktycznie – zreflektował się Johann.

Igor westchnął.

– Niemcy mieli na Bornholmie stację pomiarów balistycznych na potrzeby

tutejszego poligonu i tych eksperymentalnych dział, które budowali. Może to ma coś wspólnego?

– Co wy z tym Bornholmem? Przecież to punkt na środku morza.

Paulina nagle zamarła. Gdzieś już słyszała to określenie. „Światło zmarłych” albo „światła umarłych”. Ktoś już o tym mówił. Kiedy to mogło być?

– A skąd ten Wyrzykowski to miał? – spytał Johann. – To było wśród materiałów z tego samolotu czy to jego?

Wyrzykowski! Oczywiście. Gdzie indziej mogłaby to słyszeć? Paulina przypomniała sobie, że te słowa padły w rozmowie, którą prowadziła z nim przez telefon. Tuż przed jego śmiercią. Mówił chyba, że światła umarłych wracają... Będzie musiała zadzwonić do Pawła i poprosić, żeby to odsłuchał i jej powtórzył. Albo jeszcze lepiej, żeby przesłał plik audio z tą rozmową. Może coś jeszcze tam było?

– Halo! – Johann pomachał ręką przed jej oczami. – Pytałem o coś.

– Przepraszam, zamyśliłam się... – Paulina spojrzała na niego nieprzytomnie. – Słyszałam. Nie wiem. Wszystkie te dokumenty przysłał w paczce. Na wierzchu był dziennik, poniżej mapy i te papiery lotnicze oraz kasetka z filmami.

– Popatrzcie tutaj – odezwał się nagle, milczący i pogrążony w skupionym oglądaniu zdjęć, Rupert. – Albo źle widzę, albo tu jest coś nieprawdopodobnego.

Wziął do ręki jedno ze zdjęć i pokazał palcem ciemny kształt rysujący się nieopodal jakichś zabudowań.

Dermot pochylił się nad fotografią i zmarszczył brwi.

– I co to ma niby być?

– Popatrz uważnie.

– Nie rób zagadek, tylko powiedz, o co chodzi!

– Popatrz uważnie!

– Daj to! – Gwen zabrała fotkę sprzed nosa Dermota i podniosła do oczu.

Przez chwilę stała nieruchomo ze wzrokiem wbitym w odbitkę, po czym na jej twarzy odmalowało się kompletne zaskoczenie.

– Boże! Rzeczywiście.

– Co tam jest? – Dermot podniósł się i wlepił wzrok w trzymane przez nią zdjęcie.

– Tutaj zobacz. – Postukała palcem w fotkę. – Czeka! Mamy jakieś szkło powiększające?

– Pewnie na mostku coś by się znalazło. – Johann dźwignął się od stołu i zniknął w drzwiach prowadzących do schodów na wyższy pokład.

– Powiedz, co zobaczyłaś, do diabła.

– Nie chcę, żebyś się sugerował tym, co powiem.

– Boże! Co za dziecinada!

– Dajcie to zdjęcie! – Jamie jako kolejny wbił wzrok w fotografię. Po chwili podniósł głowę i powiedział: – *Arbeit macht frei?* Zgadłem?

– Co takiego? – Paulina poderwała się, obeszła stół i zajrzała mu przez ramię. – Boże! Rzeczywiście!

Przypomniała sobie, co mówił Darek. O tym, że w Darłówku był obóz pracy przymusowej dla więźniów, najpierw jugosłowiańskich, a potem także radzieckich i polskich. Kilkanaście tysięcy ludzi, po których ślad zaginął. Nie wyzwoliła ich Armia Radziecka ani nie odkryto nigdy ich grobów. Na bramie głównej miał być umieszczony napis. Taki sam jak ten, który wisiał nad bramą prowadzącą do obozu Auschwitz.

...ten ktoś będzie wiedział, co zrobić, może uda się uratować tysiące ludzi.

Czy o to chodziło temu pilotowi? Może alianci szykowali się, żeby zbombardować Darłowo i ten poligon, tak jak zrobili to z Peenemünde? Tam zginęło mnóstwo zwyczajnych robotników. Może tutaj bali się popełnić ten sam błąd? Z tego powodu przecież ich eskadra zrezygnowała z bombardowania Jasienia obok Żar. Fatalna pogoda spowodowałaby, że zamiast zakładów przemysłowych zniszczyliby obozy dla jeńców.

Rozległ się stukot kroków i po chwili do środka wpadł Johann z dużym szkłem powiększającym.

– Bill się nieco zdziwił, gdy go poprosiłem o to. – Machnął szkłem i usiadł

przy stole obok Ruperta. Jamie podał mu zdjęcie. Pochylił się nad blatem i spojrział przez szkło na fotografię.

– *Arbeit macht frei?* – Popatrzył wstrząśnięty na Ruperta, który pokiwał głową.

Johann odwrócił się i spojrział z niedowierzaniem na Paulinę i Igora.

Paulina usiadła przy stole i opowiedziała wszystko, co przypomniała sobie z rozmowy z Darkiem. Przez chwilę panowała cisza.

– I tu jeszcze jest coś dziwnego... – Rupert pochylił się nad kolejnym zdjęciem, jednocześnie patrząc w ekran swojego smartfona. – Oglądam okolicę w Google Earth i topografia się mniej więcej zgadza. Tylko tutaj nie wiem, skąd się wzięło to jezioro...

Igor przesiadł się bliżej Ruperta i pochylił nad wskazanym przez niego zdjęciem.

– Możliwe, że po wojnie zasypali to jezioro albo że wyschło?

Igor pokręcił głową.

– To nie jest jezioro.

– A co? – Teraz Jamie zajrzał przez ramię Ruperta. Gwen i Alice stanęły obok i także pochyliły się nad stołem.

Igor podniósł oczy i spojrział na nich dziwnym wzrokiem.

– Koloseum śmierci...

Rozdział 16

Dzień 25 listopada 1941 roku, wbrew zimowej porze, był słoneczny i piękny. Z portu w nieodległym DarłóWKu, z nadzieją dobrych połowów, wypłynęło na morze wiele kryp rybackich. Po wąskich uliczkach Darłowa, zmierzając ku swoim codziennym sprawom, wolnym krokiem podążało sporo ludzi. Ktoś śpieszył się z dzieckiem do lekarza, właściciel sklepu kolonialnego otworzył szeroko drzwi, żeby nacieszyć się rzadkim o tej porze roku słońcem, niedaleko w małej mydlarni na rogu młody subiekt usiadł na kamiennym stopniu i zapalił papierosa, a do muzeum regionalnego w starym zamku Gryfitów jechał na rowerze kustosz. Kilka kilometrów dalej, na podwórzu rybackiej chaty z pruskiego muru, bawił się kilkuletni chłopiec, rzucając kamieniami przez płot w kierunku widocznego za wąskim pasem zieleni morza. Na wydmach za domem, rozpięte na drewnianych palach, suszyły się na słońcu rybackie sieci.

Sielskie obrazki zatrzymane w kadrach na pocztówkach w sepia.

Tuż obok, pomiędzy wsią a miasteczkiem rozciągały się tereny, oddzielone pasem gęstego sosnowego lasu, pilnowane dniem i nocą przez wojskowe patrole. Gdy w miasteczku zbliżało się południe, za kilkanaście minut miały zabrzmieć kuranty na wieżach, a ludzie krzatali się wokół swoich codziennych obowiązków, za gigantycznym murem po czterech torach z mrozącym krew w żyłach jazgotem sunęło największe działo, jakie kiedykolwiek powstało na ziemi. Jego rozmiary przywoływały na myśl raczej maszyny z innego świata, stworzone przez wyobraźnię Herberta George'a Wellsa w *Wojnie światów*, niż jakiegokolwiek urządzenie zbudowane przez człowieka.

Miało wysokość kamienicy, a gabaryty całego kwartału zabudowy, ważyło prawie półtora tysiąca ton, sama zaś jego lufa była długa na ponad trzydzieści metrów. Miotła pociski, których waga dochodziła do siedmiu ton, na odległość pięćdziesięciu kilometrów. Było w stanie przebić stalową płytę ośmiometrowej grubości i skorupę ziemi na głębokość kilkudziesięciu metrów. Strzegł go, ciągnący się na kilka kilometrów, gigantyczny żelbetowy

mur dwunastometrowej wysokości, którym opasano cały poligon, a który po wojnie miejscowa ludność nazwała „Koloseum śmierci”.

Tamtego słonecznego listopadowego dnia działo oddało swój pierwszy wystrzał.

– Naprawdę Niemcy zbudowali coś takiego? – Jamie patrzył z niedowierzaniem na Igora. – Dlaczego tak mało o tym piszą?

– Bo okazało się w gruncie rzeczy kompletnie bezużyteczne. – Paulina wzruszyła ramionami.

O tym akurat przeczytała przed wyjazdem. Praktycznie każdy portal, opisujący uroki kurortu, poruszał nieodmienne dwa tematy – historię Eryka Pomorskiego oraz gigantycznej armaty, którą Niemcy nazwali „Dora”.

– To prawda – przytaknął Igor. – Dora wzięła udział w zaledwie jednej bitwie, pod Sewastopolem. Potem wróciła do Darłowa. Pod względem logistycznym była to kompletna porażka. Jej transport odbywał się czterema specjalnymi pociągami, a ustawienie na pozycji ogniowej zajmowało kilku tysiącom ludzi, bo tylu potrzeba było do jej montażu i obsługi, sześć tygodni.

– W dodatku działo było bardzo niecelne. Pod Sewastopolem trafili dopiero za trzydziestym razem – dodała Paulina.

– To akurat nie jest prawda. – Igor pokręcił głową. – Rzeczywiście tak piszą wszędzie, ale sprawa wyglądała nieco inaczej. Pod Sewastopolem był fort Maksim Gorki, który miał ogromne magazyny amunicji pod dnem morza. Niemcy nie znali dokładnego ich usytuowania, ale wiedzieli, że jak trafią chociaż raz, to będzie po zabawie. Dlatego zamiast ostrzeliwać fort, celowali trochę po omacku dookoła. Gdy w końcu trafili, wszystko wyleciało w powietrze, a kula ognia nad fortem była większa niż grzyb po wybuchu atomowym.

– No dobrze, ale co to wszystko ma wspólnego z tym jeziorem? – Rupert wskazał brodą zdjęcie przed sobą.

– Po wojnie opowiadano legendy, że Niemcy nad całym poligonem zamontowali szklany dach, na który wylali wodę, żeby wprowadzać w błąd alianckich lotników.

– Naprawdę? – Rupert zaintrygowany pochylił się nad zdjęciem.

– Nie – roześmiał się Igor. – To bzdury oczywiście. Prawdopodobnie chodziło o siatkę rozwieszoną na tym ogromnym żelbetowym płocie i słupach, których resztki jeszcze się tam zachowały. Siatka falowała i jak widać, całkiem przekonująco udawała wodę. Cały teren ma w dodatku kształt jeziora polodowcowego. I właśnie takie rzeczy miał weryfikować RAF Medmenham.

– Wiedzieliście, że w Medmenham jako interpretatorka fotografii pracowała córka Churchilla Sarah? – Alice podniosła głowę znad ekranu tabletu i spojrzała dookoła.

– I Derek van den Bogaerde – dodała, zaglądająca jej przez ramię Gwen.

– Czyli kto? – spytał Jamie.

– Czyli Dirk Bogarde[31].

– A tam. Też mi informacja. – Jamie wzruszył ramionami. – A co się stało z tą Dorą? Taki gigant nie mógł się przecież rozpląnąć w powietrzu.

– Niemcy w czterdziestym trzecim roku zabrali ją do Chemnitz, do składnicy Urzędu Wyposażenia Wojsk Lądowych, a przed nadejściem Rosjan wysadzili ją w powietrze. Po wojnie Rosjanie ocalałe części wywieźli w głąb Rosji, gdzie ślad po nich zaginął.

– Tu piszą, że była druga Dora... – Paulina pochylona nad laptopem śledziła artykuł na jednym z licznych portali, zajmujących się historią Darłowa. – Jeszcze większe działo, Schwere Gustav czyli Ciężki Gustaw, nazwane tak na cześć producenta Gustawa Kruppa. Też było testowane na tym poligonie. I też je wywieźli i wysadzili w powietrze w jakiejś wsi niedaleko Bayreuth w Bawarii.

– Może to, co powiedział pilot do matki Wyrzykowskiego, dotyczyło w takim razie Dory? – Johann patrzył na zamieszczone w artykule zdjęcie gigantycznej maszyny. – Być może wtedy jeszcze nie wiedzieli o tym, że logistycznie ten projekt miał się okazać katastrofą. Bali się, że takie monstrum zabije tysiące ludzi jednym wystrzałem.

– Popatrzcie, jeśli założymy, że te słowa dotyczyły obozu jenieckiego, to chodziło o to, by powstrzymać RAF przed bombardowaniem. – Paulina zmarszczyła brwi. – Gdyby natomiast chodziło o Dorę, to wprost przeciwnie – RAF miał zbombardować Rügenwalde.

Igor sięgnął po jedno ze zdjęć i patrząc na nie z namysłem, potarł czoło.

– Na temat tego poligonu jest mnóstwo różnych opowieści. W kilku książkach o tajemnicach Pomorza czytałem relacje wojskowych z lat powojennych, którzy twierdzili, że pod ziemią są tam ogromne, zalane teraz wodą, wielopiętrowe podziemne bunkry, w których mieściły się tajne laboratoria i stacje badawcze. Podobno w połowie lat siedemdziesiątych wojsko próbowało je penetrować...

*

Artiom wziął do ręki gazetę ze stojaka przy ścianie i spojrzał na datę. Dzisiejsza. To jakiś dziennik chyba. Jeśli baby w kolejkach gadają o morderstwie, to musieli już o tym gdzieś napisać. Przekartkował gazetę. Na jednej z ostatnich stron były informacje lokalne z poszczególnych miast regionu. Przebiegł wzrokiem tekst, wyłapując znane słowa i dopowiadając sobie w głowie sens poszczególnych wzmianek. Włamanie jakieś w Darłowie było. W Bukowie jakaś stłuczka. Nic ciekawego. Przekartkował dziennik jeszcze raz, tym razem od tyłu. Nagle na trzeciej stronie zobaczył artykuł na pół szpalty, z dużym zdjęciem jakiegoś domu i stojących przy nim samochodów. Nie zwrócił na to początkowo uwagi, bo artykuł wyglądał jak relacja z wypadku albo coś w tym stylu. Teraz zauważył, że w nagłówku pisali coś o jakimś samobójstwie i że facet był podejrzany o popełnienie tego morderstwa sprzed tygodnia.

Artiom zamarł na moment i wbił wzrok w przestrzeń. Cholera!

Zanim zaczął czytać tekst, zwrócił uwagę na jedno zdjęcie. Był na nim mężczyzna z twarzą zasłoniętą na wysokości oczu czarnym paskiem.

Przecież on go skądś znał! Nawet z tym paskiem na oczach. Swoją drogą, co za kretynstwo. Pewnie wszyscy w tych wiochach i tak od razu wiedzieli, o kogo chodzi. Zdecydowanie widział już tego faceta! W zeszłym tygodniu! Chyba w poniedziałek, zaraz jak tu przyplłynęli!

*

Nakryty jasną plandeką, ubłocony samochód zatrzymał się przed bramą 28. Eskadry Ratowniczej Marynarki Wojennej w DarłóWKu. Z niewielkiego

budynku za bramą wyszedł szeregowy żołnierz. Przerzucił karabin przez ramię i od niechcienia podszedł do samochodu. Kierowca gazika podsunął mu pod nos przepustkę i wskazał na tylne siedzenie, na którym było dwóch mężczyzn w mundurach Marynarki Wojennej. Wartownik machnął ręką i zielony samochód ruszył z warkotem, tocząc się prostą jak strzeżoną asfaltową drogą w głąb ogromnego terenu zajmowanego przez jednostkę. Dwaj młodzi żołnierze z ciekawością wyglądali przez okna gazika. Żaden z nich nigdy tu jeszcze nie był. Obaj służyli w garnizonie w Gdyni, w Ośrodku Szkolenia Nurków i Płetwonurków Wojska Polskiego. O tym miejscu słyszeli mnóstwo niesamowitych opowieści, więc gdy tylko pojawiła się możliwość przekroczenia bramy tutejszej jednostki, od razu zgłosili się na ochotnika. Dowództwo 28. Eskadry zwróciło się z zapotrzebowaniem na dwóch dobrych nurków do wykonania pewnego zadania, o którym jednak ich przełożeni nie chcieli zbyt wiele na wstępie opowiadać, zasłaniając się tajemnicą służbową.

Po prawej stronie, nad ceglаныmi budynkami koszar, wznosiła się wysoka, przypominająca latarnię morską wieża obserwacyjna. Dalej rozciągał się sosnowy las. Droga biegła przez kilka kilometrów i wreszcie po lewej stronie zobaczyli lotnisko, na którym wygrzewały się w lipcowym słońcu brązowe helikoptery. Po prawej natomiast ciągnął się ów, legendarny wśród miejscowych, najeżony żelbetowymi słupami, wznoszącymi się na wysokość kilkunastu metrów mur. Gazik przemknął wyłomem w gigantycznej konstrukcji i zniknął w lesie, by po chwili wjechać na wielki betonowy plac, upstrzony resztkami zniszczonych torów, urywających się przed ścianą zieleni i betonowymi słupami, z których sterczały szpony montażowych prętów. Plac zamykał ogromny betonowy sarkofag. Na jego szczycie tkwiła stalowa pordzewiała konstrukcja, w której środku zwiślał gigantyczny hak. Kierowca zatrzymał samochód obok wielkiej cysterny, gdzie stała grupka osób, i wyłączył silnik. Gdy wysiedli na zewnątrz, usłyszeli dobiegający gdzieś zza wysokich wałów i wzdłuż szum morza.

– To wy jesteście tymi ochotnikami? – Z grupki wojskowych odłączył się mężczyzna w mundurze z czterema gwiazdkami na naramienniku.

– Tak jest, obywatelu kapitanie – odpowiedzieli prawie równocześnie.

– Dobra, przebierzecie się, zabierzecie swój sprzęt i pójdziecie z sierżantem. – Wskazał ręką chudego jak szczapa mężczyznę, który stał obok i palił papierosa.

Młodszy z ochotników ze stopniem starszego marynarza służył w marynarce od roku, a od sześciu miesięcy w ośrodku w Gdyni. Nurkować zaczął już w szkole, więc zajęcie było dla niego przyjemnym urozmaiceniem monotonnych, żołnierskich obowiązków. Starszy z marynarzy, w stopniu mata, za kilka miesięcy kończył służbę i już nie mógł się doczekać, kiedy wróci do Szczecina i wstąpi do szkoły morskiej. Marzył o nawigacji i miał to już w zasięgu ręki.

Przebrali się w lekkie skafandry, zabrali ze sobą butle i ruszyli za chudym sierżantem prosto w paszczę żelbetowego potwora. Wzdłuż jego wnętrza ciągnął się wysoki na kilkanaście metrów korytarz, w którego suficie ziały wielkie dziury, a na ścianach widać było odcisnięte ślady po drewnianych szalunkach oraz poszarpane rany, zadane grubym na dwa metry betonowym ścianom. Z ziemi gdzieniegdzie sterczały skorodowane pręty zbrojeniowe i ucięte grube kable. Przez otwór z pokancerowanymi ścianami przeszli do wąskiego korytarza i w końcu znaleźli się w sporym pomieszczeniu, skąd biegły w dół betonowe schody. Kilkanaście stopni niżej był spocznik, z którego kolejny bieg prowadził kiedyś na niższą kondygnację, ale teraz jego stopnie niknęły w brudnej wodzie. Sierżant przekręcił umieszczony na ścianie włącznik zaimprovizowanego oświetlenia i schodzące w głąb schody zalało sztuczne blade światło. Do pomieszczenia za marynarzami wszedł jeszcze jeden mężczyzna w poszarpanych spodniach moro.

– Motopompy pracowały przez trzy dni i nic. – Wskazał ręką zatopione schody. – Nawet centymetra nie ubyło. Jestem technikiem budowlanym – dodał, widząc pytające spojrzenia marynarzy.

– Nie ma żadnych planów? – spytał starszy.

– Niczego nie ma – mruknął sierżant, kucając obok schodów i patrząc, jak marynarze nakładają butle z tlenem na ramiona. – Niemcy pewnie i mają, ale my nic.

– Uważajcie na pręty zbrojeniowe. – Budowlaniec zszedł kilka stopni w dół. – Te schody powinny prowadzić do jakiejś komory pod tym żelbetowym bunkrem. Rozejrzyjcie się, ale nie zapuszczajcie za daleko, to zbyt ryzykowne.

Marynarze pokiwali głowami i po chwili dwie sylwetki w czarnych kombinezonach zniknęły pod taflą brudnej wody unoszącej się nad schodami.

Długie latarki podwodne wydobyły pokierszowane ściany i stopnie nikiące w mroku. Marynarze zeszli w dół i dotarli do szczytu kolejnych schodów, prowadzących jeszcze niżej. Na dolnym odcinku zachowane były stalowe poręcze, które powyginane w pływających dookoła drobinach brudu wyglądały jak narzędzia tortur. Poniżej w ścianie ział wielki otwór prowadzący do kolejnego pomieszczenia. Starszy z marynarzy wpłynął do środka, odpychając się ostrożnie od ścian, które, przy grubości około dwóch metrów, zamieniały otwór w krótki korytarz. Na jego końcu czaił się mrok. Marynarz podpłynął dalej i zajrzał do środka. Słyszac w uszach swój własny głośny oddech, czuł się nieswojo. Pokazał kciukiem koledze, żeby płynął za nim, i zniknął w ciemnym otworze. Wycelował latarkę w głąb pomieszczenia. Było wielkie. Długi, nakryty betonowym stropem loch, w którym pod ścianami walały się jeszcze jakieś stalowe pozostałości stołów i mechanizmów. Młodszy marynarz przepłynął obok i oświetlając latarką ściany, zbliżył się do wielkiego włazu przy końcu pomieszczenia. Był częściowo otwarty, a na jego pokrywie znajdował się wielki stalowy uchwyt. Niewiele myśląc, marynarz złapał za niego i pociągnął. Ze słyszalnym nawet w wodzie zgrzytem właz otworzył się, ukazując zejście na jeszcze niższy poziom. Przy ścianie studni widać było stalową drabinę, której koniec nikiął w mroku. Nurkowie przez chwilę patrzyli na siebie nieruchomo. W schowanych za maskami do nurkowania oczach obu czaiła się niepewność.

Po chwili starszy pokazał palcem, że schodzi w dół. Odwrócił się powoli i złapał rękami za stalową drabinę. Młodszy marynarz pochylił się nad włazem i skierował latarkę w dół. Studnia miała kilka metrów głębokości, a dalej widać było kolejne spore pomieszczenie. Mężczyzna powoli opuścił się w dół i dotarł do dna studni. Pomyślał, że poświeci do wnętrza i rzuci tylko okiem, żeby oszacować wielkość. Chwycił kurczowo drabinę jedną ręką i wyciągając drugą z latarką, pochylił się w dół i zajrzał do środka zatopionego lochu. Przez chwilę patrzył w czeluść podwodnego bunkra, gdy coś musnęło jego ramię. Przestraszony odwrócił się gwałtownie, a jego oczy zrobiły się ogromne. Szarpnął się do tyłu, uderzając plecami o ścianę i czując, jak drze się materiał na karku. Z przerażeniem rzucił się w bok. Nie zauważył wielkiej stalowej rury, zwisającej tuż obok z sufitu, i z impetem uderzył w nią głową. Przed oczami zawirowały mu pęcherzyki powietrza

i brudne osady z pogrążonych od lat w brudnej wodzie stert żelastwa, gdy tracił przytomność. Latarka wypadła mu z ręki i rozświetlając ciemności, zniknęła w mroku bunkra.

Młodszy marynarz po dłuższej chwili zaczął się niepokoić. Widoczna na końcu studni smuga światła z latarki kolegi zniknęła, a na dole zrobiło się kompletnie ciemno. Odczekał jeszcze kilka minut, po czym mocno zdenerwowany zaczął schodzić w dół. Na dole studni na ścianie znalazł fragment materiału skafandra i unoszącą się w wodzie czerwoną plamę krwi.

Zwłok starszego marynarza nigdy nie odnaleziono. Schody prowadzące do zalanych bunkrów zasypano gruzem i zabetonowano, a po latach nikt nie wiedział nawet, gdzie ich szukać...

Wszyscy w milczeniu wpatrywali się w Igora.

– To się naprawdę wydarzyło czy to jakaś lokalna legenda? – spytał w końcu Jamie.

– Tę opowieść przytaczają wszyscy autorzy artykułów i książek na temat poligonu w Darłowie. Nawet w kilku miejscach podają nazwisko oficera, który o tym opowiadał. Ponoć historia pochodzi od żołnierzy służących w tej jednostce w latach siedemdziesiątych.

– A ten ogromny bunkier nadal tam stoi?

Igor sięgnął po laptopa, odwrócił go, wpisał kilka słów w przeglądarce i przesunął tak, żeby wszyscy mogli zobaczyć.

– Można go obejrzeć od strony plaży, stoi tuż za wydumą. Tylko to kawałek drogi. Trzeba iść plażą kilka kilometrów.

– Niesamowity – mruknął Rupert, wpatrując się w zdjęcia szarego, masywnego bunkra. – A ta wieża na nim... fantastyczna. Ależ by tam były fajne zdjęcia. W dodatku z morzem w tle.

– Masz na myśli zdjęcia do jakiejś sesji mody? – Dermot uśmiechnął się pod nosem.

– Nie, po prostu zdjęcia. – Rupert spojrział na niego z urazą. – Tobie za to kilka sugestii związanych z modą by nie zaszkodziło.

– Co masz na myśli konkretnie? – Dermot zmarszczył brwi.

– Konkretnie powinieneś zacząć od lustra.

– Zamknijcie się! W Londynie umówicie się z moją żoną i pójdziecie sobie do Selfridges. – Jamie przyciągnął laptopa do siebie. – A tam do środka nie można wejść?

– I kto to mówi? Ty się ubierasz w Marks & Spencer.

– Snob! Ty nosisz garnitury od Bossa, a i tak według Ruperta wyglądasz jak ćwok.

– Wielki mi autorytet!

– Skończcie z tym lepiej! – Johann szturchnął Dermota. – Przynosicie wstyd koronie!

– Cały teren jest ogrodzony. To teren wojskowy. – Igor spojrzął z rozbawieniem na zezujących wciąż na siebie Dermota i Ruperta. – Chodzą tam patrole.

– Szkoda... – westchnął Jamie. – Kolejne potencjalnie fajne miejsce do obejrzenia poza zasięgiem.

– Wisi nad nami klątwa Bałtyckiej Anomalii – parsknęła śmiechem Alice.

– Wracając do tych podziemnych bunkrów... – Paulina patrzyła z namysłem na jedną z fotografii – ...o których notabene w wielu miejscach piszą, że to bzdury. To może, zakładając, że coś się jednak za tym kryje, były jeszcze jakieś inne powody do przylotu tutaj alianckiego szpiegowskiego samolotu.

– Na przykład jakie? – Igor popatrzył z rezerwą.

– Może produkowali tutaj coś jeszcze, co naprawdę stanowiło zagrożenie, a przynajmniej według aliantów.

Igor spojrzął w przestrzeń. Zastanawiające.

– Wprawdzie w czterdziestym trzecim przyjechał tutaj Hitler, żeby oglądać specjalnie zgromadzone dla niego prototypy nowej broni, czołgi, działa, nowe technologie...

– No właśnie! – podchwyciła Paulina. – Radiostacja była na pewno dla tego szpiega. Może alianci chcieli mieć więcej informacji na temat jakiejś nowej broni.

– A co z tym pamiętnikiem? – spytał nagle Johann. – Mieliśmy iść

sprawdzić, czy nie zachowały się skany w którymś z tych ośrodków. Stamtąd pewnie się dowiemy, co było dalej z tym szpiegiem i radiostacją.

– Super! – ucieszyła się Gwen. – Bardzo chętnie w końcu wyjdę na zewnątrz. Zaraz będzie pora obiadu, a my siedzimy tutaj od rana.

– Jak się nazywał ten ośrodek? – Igor pochylił się nad ekranem.

– Dukat. – Paulina postukała palcem w mapę na monitorze. – Wiem, gdzie to jest.

*

Artiom kupił gazetę, zapłacił za wszystko i wyszedł ze sklepiku. Przypomniawszy sobie, skąd znał faceta ze zdjęcia. Mężczyzna pracował na tym kempingu, gdzie mieli noclegi i gdzie Wadim z tymi dwoma durniami chlali wodę, jak trafił im się wolny wieczór. Sprzątał, pilnował grilla i takie tam. Pamiętał go dlatego, że widział, jak w poniedziałek tydzień temu Sierow z nim gadał.

Czyli to mógł być po prostu zwyczajny przypadek.

Tylko że w takim razie jak rozumieć słowa Woronina o „rąbniętym staruchu”, które podsłuchał pod drzwiami? Co oni mieli z tym wspólnego?

*

– Wydmowa. – Igor patrzył na ekran nawigacji. – Gdzieś tutaj.

– Najwyższy budynek w Dąbkach. Wyjrzyj przez okno, zamiast gapić się na ten GPS. – Paulina pokazała palcem przez przednią szybę.

– Ale jakoś tam trzeba dojechać, nie? Tu jest akurat jednokierunkowa.

– Następna i jesteśmy na miejscu.

Po chwili toyota Igora zatrzymała się przed siedmiokondygnacyjnym, wymalowanym na kolor piasku gmachem ze sterczącymi szarymi balkonami.

– To sanatorium? – Dermot wysiadł z samochodu i zadarł głowę do góry.

– Wyrzykowski miał tutaj jakieś zabiegi. – Paulina przerzuciła torbę przez ramię i zamknęła drzwi. – Rehabilitację.

– Wszyscy tam pójdziemy? – Johann spojrzał na Igora, a potem Paulinę

i Dermota.

– Możemy iść sami z Igorem. – Paulina wzruszyła ramionami. – Może rzeczywiście lepiej nie robić zamieszania, bo recepcjonistka się przestraszy i nic nie powie.

Johann pokiwał zgodnie głową.

– To idziemy. Nie wpakujcie się w jakieś kłopoty... – Paulina się uśmiechnęła i ruszyła za Igorem w kierunku głównego wejścia do budynku.

– Nie wolałeś zostać z Alice i resztą? – Johann oparł się o samochód i popatrzył na Dermota.

– Poszli na plażę. Pewnie Alice z Gwen będą cały czas gadać z tym twoim Rupertem, a James będzie jęczał, że się spieczą za mocno.

– Uprzedziłeś się do biednego Ruperta. – Johann pokręcił głową.

– Nie uprzedziłem się.

– Uprzedziłeś.

– Nieprawda. Nie wiem po prostu, co ta Alice w nim widzi.

– Jest fotomodelem. – Johann zagryzł wargi, pilnując, żeby się nie uśmiechnąć.

Dermot spojrział na niego, tak jakby się zastanawiał, czy zrobić urażoną minę, czy go ochrzanić.

– Jakiś dziwny typ się gapił... – Odwrócił się za przejeżdżającym powoli samochodem. – Taki typowy Polak z Wysp. Bez karku, łysy i patrzący spode łba.

– Ty masz chyba jakiś okres dzisiaj.

– Naprawdę się gapił!

– No to co, że się gapił. Może nie miał co robić.

Pięć minut później w drzwiach pojawili się Paulina z Igorem.

– I jak? – spytał Johann.

Po minach obojga było jednak wyraźnie widać, że niczego nie zdołali.

– Owszem... – Paulina włożyła komórkę do torebki – ...Wyrzykowski robił tutaj skany swojego pamiętnika, ale w czerwcu. Więc chodziło o te strony, które mi przysłał przed wakacjami. Pomijając wszystko inne,

dziewczyna już dawno to skasowała.

– I co teraz?

– Jeszcze ten drugi ośrodek mamy do sprawdzenia. – Paulina zmarszczyła brwi. – Pawelczyk mówiła, że to Wojskowy Dom Wypoczynkowy Sił Powietrznych w DarłóWKu.

– Wiesz, gdzie to jest?

– No właśnie nie. Nie sprawdziłam.

Igor wyjął komórkę i nachylił się nad ekranem.

– Właściwie to po drodze. – Machnął ręką w kierunku drogi na Darłowo.
– Cały czas prosto, a przed Darłowem trzeba odbić w lewo. Ulica Zwycięstwa.

*

Rupert zdjął z zabezpieczonego linami regału wielkie czarne pudło i postawił je na podłodze ładowni. Uklęknął obok i otworzył pokrywę. Zajrzał do środka, po czym wyjął spore urządzenie przypominające wielkiego czarnego pająka. Ostrożnie postawił je obok siebie i sięgnął do pudła po resztę elementów składowych. Gdyby nie to, że klęczał, prawdopodobnie podskoczyłby przerażony do góry, gdy niespodziewanie za jego plecami ktoś nagle głośno odchrząknął.

– Odbiło ci, palancie? – warknął, zobaczywszy stojącego w wejściu do pomieszczenia i uśmiechającego się szeroko Jamiego.

– Na złodzieju czapka gore, co? – Jamie podszedł bliżej i zajrzał Rupertowi nad głowę. – A co ty tu w ogóle robisz?

– A ty nie miałeś iść na plażę?

– To ty miałeś iść na plażę. Ja bym się spiekł na różowo, nawet jakbym się posmarował sześćdziesiątką.

Rupert wyjął resztę części i poukładał na podłodze wokół siebie.

– Co to jest?

– A na co to wygląda?

– I co będziesz z tym robił?

- A co się według ciebie z tym robi?
- Coś knujesz. Jak mi nie powiesz, to powtórzę Dermotowi i Johannowi.
- Nie bądź dzieckiem, głąbie.
- Gdzieś się wybierasz? Oj, no nie bądź fiutem, Rupert, powiedz.
- O Jezuu... Nie dzisiaj. Jutro rano.
- Gdzie? – Jamie przez chwilę patrzył na Ruperta, po czym uniósł brwi i otworzył szeroko oczy. – Nie wierzę. Naprawdę? Idę z tobą!
- Wykluczone!
- Idę! Albo pójdą wszyscy i będzie piekło. Nie pozwolimy ci dostać World Press Photo bez naszego udziału!
- Rupert, w dalszym ciągu zirytowany, nie mógł powstrzymać uśmiechu.
- Dlaczego ty nie pojechałeś do tej Szkocji?
- Ilekroć gadam z tobą, też się nad tym zastanawiam.
- Jak nie wstaniesz o szóstej, to nie idziesz.
- Wstanę!

*

Ośrodek Wypoczynkowy Sił Powietrznych w Darłówku był to, ukryty za ogrodzeniem ze stalowej siatki, zespół kilku budynków z lat siedemdziesiątych. Nazwanie stylu, w jakim zostały zbudowane, modernistycznym stanowiłoby ciężką potwarz dla twórców kierunku z początku XX wieku, wyznających maksymę niemieckiego architekta Adolfa Loosa – „Ornament to zbrodnia”. Typowe dla lat siedemdziesiątych płaskie dachy i loggie z rachitycznymi balustradkami uzupełnione zostały całkiem niedawno, jakby gorzej już być nie mogło, o nowy element dekoracyjny – kolorystykę nawiązującą do pastelowych cytryn i pomarańczy. Na dodatek całość nazywała się, z wybitną dla nadmorskiej lokalizacji oryginalnością, Neptun.

Johann z Dermotem, którzy ponownie zostali na zewnątrz, czekając na Paulinę i Igora, rozglądali się dookoła.

- Jedyne, co tu jest ładne, to ta zieleń. Te wysokie sosny są piękne. Aż żal,

że nie stoi tutaj jakiś nowoczesny, biały budynek z wielkimi przeszkleniami. Szkoda takiej ładnej działki.

Johann wzruszył ramionami.

– Pewnie polskie siły powietrzne mają inne wydatki.

– A tam to nie jest ta wieża obserwacyjna, o której opowiadał Ajgor? Ta od tego marynarza, którego coś porwało w lochach? – Dermot zrobił kilka kroków w kierunku ogrodzenia, przypatrując się widocznej pomiędzy gałęziami drzew zabudowie sąsiedniej posesji.

– Przecież on wcale nie mówił, że coś go porwało. Chłop walnął się w łeb i utonął.

– To twoja interpretacja.

Johann westchnął i spojrzał na Dermota z mieszaniną rozbawienia i irytacji.

– Ale wieża to chyba ta. Tam przecież jest właśnie brama wjazdowa do jednostki wojskowej.

– Możliwe. Wróć, to pójdziemy popatrzeć.

– Nikt nas tam nie wpuści.

– Przez płot pójdziemy popatrzeć.

W tym momencie usłyszeli trzask drzwi i na podeście schodów wejściowych pojawiła się Paulina, a zaraz za nią Igor.

– I jak? – Johann spojrzał na nich z nadzieją.

– Nijak. – Igor wzruszył ramionami. – Okazało się, że pamiętają Wyrzykowskiego, ale skanowała mu te kartki jakaś kierowniczką, której akurat dziś nie ma.

– Jutro mamy przyjść – dodała Paulina z zawiedzioną miną. – O dziesiątej.

– Zastanawiamy się, czy to nie jest brama wjazdowa do tej jednostki wojskowej, o której opowiadałeś. – Dermot podszedł i machnął ręką w kierunku widocznej za gęstą zielenią budki strażnika.

– Oczywiście – potwierdził Igor. – Okazało się, że ten ośrodek należy do tamtej jednostki. Czy jakoś tam jej podlega.

– Przecież mówiłeś, że to była jednostka marynarki wojennej, a to jest

ośrodek lotnictwa.

– W latach siedemdziesiątych to była Dwudziesta Ósma Eskadra Ratownicza Marynarki Wojennej, a później ją kilka razy przemianowywali. Jak Wyrzykowski szedł na emeryturę, to była Dwudziesta Dziewiąta Eskadra Lotnicza. A teraz to jest część Czterdziestej Czwartej Bazy Lotnictwa Morskiego Marynarki Wojennej. – Paulina spojrzała do notesu. – Dobrze, że to wszystko zapisałam.

– Na pewno to jest w necie – mruknął Igor.

Paulina chciała coś odpowiedzieć, ale właśnie odezwała się komórka w jej torebce. Westchnęła i sięgnęła do środka. Spojrzała na wyświetlacz.

– Karolina – rzuciła w stronę Igora i podniosła telefon do ucha.

– Mam dobrą wiadomość i złą. Zacznę od dobrej – koleżanka Pauliny mówiła wesołym głosem, zadowolona, że coś ją oderwało od inwentaryzacji katalogów czytelnicy. – Z tajemniczych powodów Książnica w ogóle nie ma zarchiwizowanego „Dziennika Sławieńskiego”. „Dziennik Bałtycki” oczywiście jest, ale dodatków do niego nie ma.

– Jak to możliwe? Przecież one były pewnie sprzedawane razem – Paulina jęknęła. – To jest ta dobra wiadomość?

– Poczekaj. Nie martw się na zapas. Dzwoniłam do spółki Polska Press, która jest właścicielem „Dziennika Bałtyckiego” i oni niestety też nie mają archiwalnych numerów „Dziennika Sławieńskiego”...

– I tym się mam nie martwić na zapas?

– Chwilę! Odesłali mnie do redaktora naczelnego, żebym spytała o szczotki drukarskie. Stwierdził, że nie ma w ogóle mowy, aby je znaleźć.

Paulina pomyślała, że jej koleżanka, być może przez tę pracę w zakurzonych archiwach i stertach starych gazet, zatraciła pojęcie o tym, co stanowi dobrą, a co złą wiadomość. Taki biblioteczny synkretyzm.

– Karolina...

– Chwila, mówię! Zadzwoiłam jednak do biblioteki w Darłowie i tam wprawdzie także nie mają tego dziennika, ale...

Paulina poczuła, że chyba będzie się musiała rozłączyć pod jakimś pretekstem. Dawno nie rozmawiały. Ludzie się zmieniają.

– Ale mają w bibliotece w Sławnie! – Karolina zakończyła z triumfem. – Wszystkie archiwalne numery „Dziennika Sławieńskiego”. Masz tam piętnaście minut drogi!

– Jesteś pewna? – spytała słabym głosem Paulina. Sama nie była pewna, czy w tej sytuacji ma ochotę słuchać tej złej wiadomości.

– Tak. Rozmawiałam z szefową biblioteki. Bardzo miła kobieta. Czynne do osiemnastej. A teraz druga wiadomość. W tym numerze „Dziennika Bałtyckiego” z siedemdziesiątego pierwszego roku jedyna dziwna i bardzo zła wiadomość to jakieś morderstwo. O żadnej wojnie ani żadnych lotnikach nic tam nie było.

– Morderstwo? – Paulina poczuła, że jej intuicja się ocknęła.

– Artykuł o zatrzymaniu jakiegoś bandziora, który zabił współnika. Chodziło o nurkowanie do jakiejś łodzi czy czegoś i podział łupów. I co dziwniejsze...

Nurkowanie? Czy mogło chodzić o ten samolot? Może ktoś szukał w nim tych materiałów? Może właśnie dlatego Wyrzykowski tym się zainteresował.

– ...w tym drugim numerze z siedemdziesiątego czwartego też był artykuł o śmierci jakiegoś nurka. Pracownik Hydrobudowy, który zginął podczas prac głębinowych w Gdyni. Nic innego w tym numerze interesującego nie było. Potem zeskanuję te artykuły i ci wyślę.

Paulina wyłączyła telefon i powoli schowała do przewieszanej przez ramię torby.

Wygląda na to, że ktoś po wojnie szukał tego samolotu. Tylko po co? Co tam mogło być cennego, czego by nie wyciągnęli ci piloci, których widział mały Wyrzykowski? Jeszcze jakieś dokumenty? Materiały szpiegowskie? Cenny sprzęt? Jacyś ludzie ryzykowali życie, nurkując do tego samolotu. Po co? I mordowali się nawzajem w dodatku?

Zamyślona podniosła wzrok. Na twarzy Igora malowało się oczywiste pytanie.

– I co?

– Mówcie po angielsku! – zażądał Johann.

Paulina powtórzyła rewelacje, które przed chwilą usłyszała od koleżanki.

– To jedziemy do Sławna. – Igor wzruszył ramionami. – Tylko ten dziennik będziemy musieli zabrać z jachtu. Bo nie masz go przy sobie?

Paulina pokręciła głową. Został w jej kabinie. Ale tam był raczej bezpieczny.

Dermot otworzył drzwi samochodu.

– Najpierw to wracamy na obiad. Jestem głodny.

Paulina ściągnęła brwi. Przypomniała jej się poranna rozmowa z Olszańskim.

– W takim razie podrzucicie mnie pod hotel Apollo. Muszę tam z kimś porozmawiać.

– Z kim? – zainteresował się od razu Igor.

Paulina westchnęła.

– Z pewnym Niemcem, u którego podobno w czasie wojny sprzątała matka Wyrzykowskiego.

*

Bolo energicznie grabił wyleniały trawnik przed domem. Nie podlewał go dobry tydzień i miejscami zrobił się już żółty od słońca. Trzeba by go spulchnić, nawieźć i dosypać trochę nasion trawy. Miał jeszcze wielki wór w piwnicy, który jakiś czas temu ukradł z domku letniskowego w Dąbkach. Aż się prosiło, żeby go obrobić. Żadnego alarmu, zwyczajne drzwi. Wprawdzie utarg był na tym niewielki, ale deskę i narty wodne sprzedali po całkiem niezłej cenie na targowisku w Darłowie. Jacyś ludzie z Mazowsza wzięli. Sądząc po ich minach, to pewnie nawet i domyślali się, skąd to pochodzi. Ze Stasiakiem to oczywiście zrobili.

Bolo zatrzymał się, przetarł czoło rękawem i pociągnął nosem. A teraz Jara Stasiaka nie ma. Czytał już gazety. Matka przyniosła z gieesu, czyli prywatnego sklepiku, który z żadną gminną spółdzielnią nigdy nie miał nic wspólnego, ale i tak ludzie tak o nim mówili. Zdjęcie Stasiaka z durnym czarnym paskiem na oczach. Redaktory chciały pewnie, żeby bardziej światowo było, a przecież wszyscy od Darłowa po Bytowo i tak wiedzieli, o kogo chodzi.

Mordercę sobie znaleźli. Wszyscy już po wiochach gadają, że Stasiak to morderca!

Bolo przypomniał sobie faceta z czerwoną gębą, którego poznał w tym szarym mercu koło Rekina. Pamiętał dobrze, że widział go na tamtym letnisku, gdzie Stasiak dorabiał. Chyba w poniedziałek. Tak! Wtedy przyjechał po niego, żeby go zabrać na jakieś piwo, bo Stasiak chciał o czymś pogadać. Czekał na niego przy ogrodzeniu kilkanaście minut i widział, jak idzie ten jełop z tamtym właśnie koleś z czerwoną gębą i coś gadają. I to oni ponoć jakąś robotę mu naraili. Miał tylko coś zwędzić z jakiegoś domku, nic więcej. I za to mieli mu dać dwa klocki. Kurwa! Już samo to powinno go zaniepokoić. Dwa klocki? Tyle to się czasem z całego włamu nie dobije, a musi się człowiek napracować, najeździć na targowiska, szukać kupców, a tu dwa klocki za kradzież jakiegoś gówna.

I co ten koleś robił w Rekinie? Po co włamali się do tej dziennikarki? Bo że to oni, to już by dał sobie rękę odciąć. A w ogóle to chyba mu się zdawało, że mu mignęła przy Dukacie. Przejeżdżał tam z pół godziny temu. Nie jest już w szpitalu? Poza tym miała przecież wyjechać w niedzielę?

*

Hotel Apollo w Darłówku niewątpliwie prezentował się bardzo efektownie. Jaśniejący w słońcu czystymi fasadami w kolorze kości słoniowej, z tarasem nad wejściem wspartym na czterech filarach, wyglądał, jakby czas zatrzymał się tutaj mniej więcej w latach dziewięćdziesiątych XIX wieku. Tego efektu nie psuła nawet asymetria frontowej elewacji, zdradzająca etapy powstawania budynku, i fakt, że wojna pewnie przerwała plany inwestycyjne właścicieli, wskutek czego gmach zachował się z jednym skrzydłem piętrowym, przykrytym dwuspadowym dachem, z pięknymi kroksztynami pod okapem, i z drugim parterowym jedynie. Całkiem niedawno od strony plaży powstała nowa część z dwukondygnacyjną wieżą i nanizanym na nią balkonem widokowym.

Przed wojną hotel Friedrichsbad był najelegantszym pensjonatem w Darłówku, a i teraz jako Apollo dzielnie bronił tego tytułu.

– Pan Schliemann twierdzi, że pani nazwisko nic mu nie mówi i że nie wie nic o żadnym wywiadzie. – Młoda recepcjonistka spojrzała na Paulinę

podejrzliwie.

– Oczywiście, że mnie nie zna, i ja nie mówiłam nic o wywiadzie – westchnęła Paulina, a następnie uśmiechnęła się ugodowo. – Chciałabym z nim porozmawiać, ponieważ piszę artykuł na temat niemieckiej jednostki wojskowej w Darłówku.

– I na temat Dory – podpowiedział Johann z boku, domyślając się, o czym Paulina mówi.

– I na temat Dory.

Dziewczyna odsunęła rękę ze słuchawki i powiedziała kilka słów do rozmówcy po drugiej stronie. Słuchając, pokręciła głową i spojrzała na Paulinę ze zniecierpliwieniem.

– Pan Schliemann nie zna żadnej Doroty.

– Jakiej Doroty? Co pani opowiada?

– Proszę pani, ja powtarzam tylko, co mówi pan Schliemann.

– Proszę przekazać, że chcemy porozmawiać na temat światła umarłych – wtrącił czystym niemieckim Johann.

Dziewczyna przez chwilę patrzyła na niego, jakby zastanawiając się, co ma właściwie zrobić z tymi namolnymi petentami.

– Totenleuchte?

– Totenleuchte! – powtórzył Johann dobitnie.

W słuchawce chyba przez moment panowała cisza, bo dziewczyna powtórzyła pytająco nazwisko Niemca, jakby obawiała się, że się rozłączył. Przez chwilę słuchała, po czym odłożyła słuchawkę i spojrzała na Johanna.

– Pan Schliemann czeka na państwa. Apartament z widokiem na morze. Drugie piętro, korytarzem do końca.

Pierwsze, co rzuciło się Paulinie w oczy, to piękny widok na morze, wycięty wielkimi tarasowymi drzwiami ze ścian w wiśniowym odcieniu. Pomyślała, że tutaj zdecydowanie bliżej jest do skojarzeń z Korfu, niż z tych wypoczynkowych bloków porzucanych w latach siedemdziesiątych przez urbanistów po całym Wybrzeżu.

Odprawili krótki rytuał, dziękując za kawę i herbatę, i padło pytanie, którego oczywiście oboje się spodziewali.

– Skąd państwo znają to określenie? – Niemiec patrzył na nich pozornie chłodno i spokojnie, ale Paulina czuła, że jego oczy, schowane pod siwymi krzaczastymi brwiami, przewiercają ją na wylot.

Westchnęła i opowiedziała mu pokrótce historię swojej znajomości z Wyrzykowskim.

– Kilka razy wspomniał o świetle umarłych podczas rozmowy telefonicznej.

– Te materiały z samolotu są teraz w pani posiadaniu?

Niemiec patrzył na nią, z trudem hamując emocje.

Bez słowa skinęła głową.

– Mogę wiedzieć, co się w nich znajduje?

Paulina pomyślała, że to już kolejna osoba, która podczas rozmowy zadaje więcej pytań, niż udziela odpowiedzi.

– Przede wszystkim dziennik Wyrzykowskiego. Opisana w nim historia interesuje mnie najbardziej. Matka małego Karla pracowała dla pańskiego brata...

Niemiec patrzył na nią przez chwilę, po czym westchnął i sięgnął po filiżankę z kawą.

– Wolę sobie sam zaparzyć, na dole podają dużo gorszą – wyjaśnił.

Paulina pokiwała głową ze zrozumieniem.

– To prawda, powiedział mi o tym Wyrzykowski, który zapamiętał nazwisko Schliemann. Mój brat, wraz ze swoimi najbliższymi podwładnymi oraz całą rodziną, która towarzyszyła mu w Rügenwaldermünde, został rozstrzelany w czterdziestym czwartym roku. Rzekomo za zdradę. –

Schliemann odstawił filiżankę i westchnął. – Rozumie pani, że stanowiło to dla rodziny tragedię w kilku co najmniej aspektach, nie mówiąc o śledztwie po wojnie, które prowadziły niezależnie wywiady zarówno Niemiec Wschodnich, jak i Zachodnich. Nigdy nie zdradzono nam oczywiście, o co chodziło, ale z moich prywatnych ustaleń wynika, że zostali oskarżeni o szpiegostwo i współpracę z aliantami.

Paulina spojrzała na Johanna. Potwierdzało to ich domysły dotyczące celu przylotu tutaj amerykańskiego samolotu. Już wtedy wielu Niemców widziało, w jakim kierunku zmierza sytuacja. Klęski na froncie wschodnim, straty na Zachodzie. Może grupa oficerów postanowiła zabezpieczyć sobie przyszłość w obliczu nieuchronnie nadciągającej przegranej i nawiązała kontakt z aliantami. Efektem tego była próba zrzućenia radiostacji i współpraca z operującym tutaj alianckim szpiegiem.

– Mój brat był dowódcą jednego z...

Paulina sięgnęła do torebki.

– Nie będzie pan miał nic przeciwko temu, że włączę dyktafon?

Niemiec przez chwilę patrzył na Paulinę.

– Proszę mi powiedzieć, o czym właściwie pani pisze. Czego dotyczyć ma artykuł?

– Historii życia niezwykłego człowieka, który urodził się w Niemczech, a umarł w Polsce. Otarł się o najmroczniejsze wydarzenia wojny, a przez przypadek został wplątany w fascynującą historię szpiegowską. Nie zamierzam nikogo osądzać.

Niemiec pokiwał głową.

– Mój brat nazywał się Franz Karl Schliemann. W chwili śmierci miał trzydzieści dwa lata. Posądzenie o szpiegostwo było dla rodziny, mimo całego nazistowskiego kontekstu i pani optyki tych spraw, dużym ciosem. Brat był odznaczony Krzyżem Żelaznym i Krzyżem Rycerskim za udział w kampanii na Atlantyku. Oskarżenie o zdradę było cieniem, które wbrew pozorom zaciążyło na rodzinie także po wojnie. Razem z nim zginęła jego żona Witruła, z domu Engelbrecht, i ich mała córeczka. Moja bratanica. Przyjechałem do Darłowa, żeby odnaleźć ich groby z niewielką nadzieją na możliwość sprowadzenia szczątków do Lubeki.

Przez chwilę trwała cisza.

– Pewnie kontakt brata z rodziną był utrudniony ze względu na ściśle tajny charakter jednostki?

– Franz służył właściwie w Kriegsmarine. Była procedura, wprowadzona jeszcze w trzydziestym szóstym roku, o współpracy i obsłudze z morza prób strzeleckich nowych typów dział. Franz był kapitanem jednego z kilku

trałowców, które się tym zajmowały. – Niemiec ponownie spojrzął z uwagą na Paulinę. – O „Totenleuchte” mój brat wspomniał w liście do mnie na kilka miesięcy przed śmiercią.

– Nie wie pan, co to mogło oznaczać?

– Brzmiało jak fragment jakiegoś wiersza, ale on wiedział, że ja nigdy nie lubiłem poezji. Po co miałyby mi to wysyłać? Napisał dokładnie:

*Gdy przyjedziesz do Rügenwalde,
to poszukaj światła umarłych.
W samym środku, pod różą wiatrów,
znajdziesz nadzieję swoją na morzu
i wieczny spokój.*

Paulina, która mimo włączonego dyktafonu notowała sobie najbardziej interesujące wątki, podniosła wzrok i spojrzała na Schliemanna.

– To mógł być jakiś szyfr. Korespondencja z jednostki była pewnie ściśle kontrolowana przez Abwehrę.

Niemiec pokiwał głową.

– Oczywiście, ale brat przecenił moje możliwości. Przez lata usiłowałem dotrzeć do ludzi, którzy tutaj służyli. Jednak oni nie powiedzieli za wiele. Zasłaniaли się tajemnicą służbową. Jedyne, czego się dowiedziałem, to pewne teorie na temat Wunderwaffe i tajnych doświadczeń z różnymi latającymi aparatami i antygravitacją. Niektórzy podpierają się nawet jakimiś faktami na temat znalezienia szczątków takich obiektów w okolicach Ustki i Darłowa. Podobno „Totenleuchte” miało być jakimś tajnym kryptonimem jednego z tych projektów, ale to wszystko jest mało wiarygodne.

Paulina pomyślała, że wkraczają właśnie na teren spraw, którymi desperacko nie chciała się zajmować. Tematyka różnych nazistowskich latających spodków, tajnej broni odwetowej, sprowadzałaby jej artykuł do poziomu wakacyjnej sensacji, a tego chciała uniknąć, mimo że Paweł byłby zapewne takim obrotem spraw zachwycony.

– Czy może mi pani teraz powiedzieć, co znajdowało się w tych materiałach Karla Jaucha?

Paulina spojrzała na niego. No tak, to oczywiście on był u staruszki z hospicjum.

– To pan był u pani Heleny Wieliszewskiej?

– Tak. Od niej się dowiedziałem o przeszłości Wyrzykowskiego, ale kontaktowałem się z nim wcześniej. Po artykule w pewnym piśmie, które zrobiło z niego wariata.

– „Dziennik Bałtycki” z dwa tysiące ósmego roku?

– Tak właśnie. Wtedy skontaktowałem się z dziennikarzem, a on mnie odesłał do syna Wyrzykowskiego.

Paulina zmarszczyła brwi. Tego Marek Wyrzykowski jej nie powiedział. Może uznał to za mało istotne.

– Nie powiedział mi nic ciekawego. Ostrzegał jedynie przed kontaktowaniem się z ojcem ze względu na jego chorobę psychiczną.

Paulina westchnęła. Pomyślała, że jest chyba teraz rzeczywiście winna Schliemannowi kilka słów na temat zawartości dokumentów Wyrzykowskiego.

– To jest dziennik pokładowy, obliczenia, notatki nawigacyjne, trasa lotu, zdjęcia zrobione przez lotników – dokończyła, po kilku słowach na temat lochu w piwnicy.

– Nie było tam żadnej mapy?

– Była radiostacja. – Paulina spojrzała na Niemca, myśląc, że ta wiadomość potwierdzi tylko to, czego się pewnie obawiał. Że jego brat rzeczywiście był zdrajcą.

– Była pewna mapa – wtrącił nagle Johann. Paulina przypomniała sobie w tym momencie o szkicu znalezionym przez Dermota.

– I nie było tam żadnej informacji? Niczego? – Niemiec patrzył na nich z konsternacją, po krótkim opisie dokumentu, który roztoczył przed nim Johann.

– To właściwie nie była mapa, tylko odręczny rysunek na jakiejś mapie nawigacyjnej czy czymś takim. Linia brzegowa na wysokości Darłowa i Bornholmu. I było tam to właśnie określenie: Totenleuchte. Nic poza tym.

– Czy mógłbym to zobaczyć?

Paulina spojrzała na Johanna. Zastanawiała się, czy nie powinni byli jednak zatrzymać tej informacji dla siebie. Ale mleko się już rozlało.

– Nie mam tego przy sobie, niestety.

– Niech pan przyjdzie do nas na kolację – zaproponował Johann i skinął głową w kierunku drzwi balkonach. – Zapraszam. Jacht „Pandora”.

Paulina rzuciła mu przelotne spojrzenie. Zastanawiała się, czy nie popełniają jakiegoś błędu. Niemiec budził wprawdzie zaufanie i jedyne, co mogło zastanawiać, to jego wizyta w domu Wyrzykowskiego. Ale skoro policja znalazła winnego... Zdała sobie sprawę, że coś nie daje jej spokoju. Jakaś zadra, która siedziała jej w głowie. Coś, co się wiązało z tym włamaniem. Coś, co ominęła...

Oderwała się od swoich myśli i spojrzała na Schliemanna. Uśmiechnęła się.

Właściwie czemu nie? Może wspólne z nim przejrzanie tych dokumentów rzuci jakieś nowe światło na historię Karla Jaucha vel Karola Wyrzykowskiego.

*

Iwan wyciągnął z kieszeni komórkę i spojrzał na wyświetlacz. Sierow. Podniósł telefon do ucha i przez chwilę słuchał w milczeniu. Miał się spotkać z Saszą i Woroninem w porcie, niedaleko niebieskiego mostu. Około dziewiątej. Była jakaś sprawa do załatwienia. I miał nic nie mówić Zetlersowi.

*

Na słonecznym pokładzie nawet pod markizami było tak gorąco, że obiad wszyscy zjedli na dolnym, gdzie był cień, a zwłaszcza klimatyzacja. Początkowo planowali wyjść gdzieś do knajpy. Johann proponował, żeby zjedli jakieś lokalne potrawy, ryby albo dania w którejś z miejscowych restauracji, ale został od razu wyśmiany przez Paulinę i Igora, którzy stwierdzili, że z lokalnych dań to pewnie znajdą się tutaj pizza, kiełbasa z grilla albo ryba i frytki. Mimo ostrzeżeń Dermota, że jak wypiją do obiadu wino, to nikomu potem nie będzie się chciało nigdzie ruszyć, i tak dwie

butelki chablis z kambuzowej „piwniczki” Patricka bardzo szybko zostały opróżnione. Paulina, która stwierdziła, że czuje się głupio, nic tu nie robiąc, zabrała się do zbierania talerzy i zmywania. Gwen z Alice zaczęły protestować i w końcu wszystkie trzy znalazły się w sporym kambuzie pod pokładem, skąd po chwili zaczęły dobiegać głośne wybuchy śmiechu.

– A gdzie właściwie jest Patrick? – zainteresował się Dermot.

– Poszedł spać. Nie widziałeś, jak wyglądał rano? – Johann uśmiechnął się pod nosem.

– Nie przypatrywałem mu się jakoś szczególnie. A co on robił w nocy?

– Johann dał im wczoraj wolne, wrócili z Harrym o trzeciej. – Jamie wyciągnął nogi pod stołem i parsknął śmiechem. – Nie zauważyłeś tych dwóch lasek, które się stąd cichcem wymykały o ósmej?

– Naprawdę? – Dermot spojrzał zaskoczony na Jamiego. – Może ci się przyśniło?

– Nie przyśniło. To łobuzy, a teraz jeszcze śpią sobie smacznie.

– Dałem im wolne, dopóki stąd nie odpłyniemy. Niech się bawią. Żarcie możemy sobie robić sami.

– Poczciwy z ciebie chłop – zakpił Dermot, patrząc ironicznie na Johanna.
– Bill pewnie nie był szczęśliwy z tego powodu.

– Bill też nie ma tutaj za wiele do roboty.

– A gdzie Rupert?

– Jak tak, to bez przerwy na niego warczysz, a teraz „gdzie Rupert”?

– Zastanawiam się, czy czegoś nie knuje po kryjomu. Wolę mieć go na oku.

Johann parsknął i popukał się palcem w czoło.

– Chcecie coś zobaczyć?

Igor, który zjadł najszybciej, zabrał Paulinie dziennik Wyrzykowskiego, rozłożył się na kanapie i pogrążył w czytaniu zapisków i przeglądaniu zdjęć.

Siedział teraz ze szkłem powiększającym w ręku i przyglądał się jednej z fotografii.

– Co takiego? – Johann usiadł obok niego i zajrzał w stare papiery, które

Igor trzymał na kolanach.

– To są te zdjęcia, które były wklejone w dzienniku na początku. Są pod datą szesnastego listopada siedemdziesiątego drugiego roku. Weź szkło i popatrz tutaj. – Wskazał palcem na środek jednej fotografii. – Słabo widać, ale widać.

Na pierwszej zachowanej stronie dziennika było kilka zdań napisanych przez Wyrzykowskiego, na drugiej i trzeciej natomiast – wklejone, jedna przy drugiej, czarno-białe fotografie. Na kilku widać było milicjantów i żołnierzy. Gdzieś w tle stał wojskowy samochód i karetka. Zdjęcia były słabej jakości, a czas odcisnął na nich dodatkowe piętno, czyniąc jeszcze mniej czytelnymi. Na fotografii wskazanej przez Igora widać było nad głowami żołnierzy charakterystyczną wieżę z antenami i obiegającym ją balkonem dla wartowników.

– To ta wieża z jednostki. – Johann zmarszczył brwi i pochylił się nad zdjęciem. – Coś się musiało tam stać. Policja i wojsko.

– A teraz popatrz tu. – Igor wskazał palcem kolejne zdjęcie. – Tu, pomiędzy tymi dwoma facetami.

W centrum fotografii stali tyłem dwaj ubrani w ciemne mundury mężczyźni. Pomiedzy nimi widać było wykop w ziemi. Gdzieś z boku zdjęcia stała koparka i usypana była sterta ziemi. W tym punkcie, który wskazał Igor, było jednak coś szczególnego. Coś, co spowodowało, że gdy Johann wreszcie dopatrzył się tego na zdjęciu, poczuł na plecach ciarki. W wykopie, na połaci jasnego piasku, widać było wyraźnie ludzką czaszkę.

Rozdział 17

Miejska Biblioteka Publiczna w Sławnie mieści się przy wąskiej uliczce, za zakrętem meandrującej w tym miejscu Wieprzy. Tuż obok stoi stary młyn miejski, do wybuchu wojny będący własnością mistrza związku piekarzy w Sławnie, Hugona Gottschalka, który, jak wielu innych Żydów z pomorskich miasteczek, wraz z całą rodziną zginął w jednym z licznych niemieckich obozów koncentracyjnych. Biblioteka zajmuje bladuróżową kamieniczkę, podkreśloną od frontu nadwieszonym wykuszem, pod którym znajdują się główne drzwi prowadzące do wnętrza.

Po burzliwej dyskusji na wycieczkę do Sławna zostali wydelegowani jedynie Paulina, Igor i Johann, mimo że początkowo chcieli jechać wszyscy. Przeważył argument Igora, który uświadomił im, że biblioteka w Sławnie mieści się w malutkich pomieszczeniach i najazd ośmiorga anglojęzycznych czytelników może wywołać panikę wśród obsługi. Sympatyczna bibliotekarka, uprzedzona wcześniej telefonicznie, przygotowała roczniki „Dziennika Sławieńskiego” i znalazła dla całej trójki wygodne, zaciszne miejsce w rogu pomieszczenia, pod zwisającą z regału paprotką.

– Sprawdź, czy Karolina przysłała w końcu te skany. – Igor stuknął w obudowę laptopa Pauliny.

– Sprawdzalam w drodze. Jeszcze nie było.

– Dobra. – Igor sięgnął po oprawioną w tekturowe okładki grubą teczkę i rozłożył na stole. – To po kolei. Najpierw mamy rok dwa tysiące dwunasty. Cztery daty tam były.

– Tak, cztery wyrwane artykuły. – Paulina przekartkowała dziennik Wyrzykowskiego. – Pierwsza to trzynasty stycznia.

Igor przerzucił kilka kartek i zatrzymał się na podanej przez Paulinę dacie.

– Jest. No, to szukamy czegoś ciekawego – mruknął i zaczął śledzić artykuły na poszczególnych stronach dziennika. – Śnieg, odśnieżanie, trudności w dostawach, braki prądu...

Paulina i Johann siedzieli po dwóch stronach i także uważnie śledzili kartki pisma. Johann oczywiście niewiele rozumiał, ale patrzył na twarze przyjaciół, czekając na jakiś ślad emocji.

– Strona szósta... – Igor przełożył kolejną kartkę i zamarł – ...o rany! Tutaj! – Wskazał palcem krótki wpis pod wielkimi, krzyczącymi literami.

– *Niewyjaśniony mord!* – przeczytała Paulina i pochyliła się nad gazetą.

– Po angielsku! – zażądał Johann, patrząc z napięciem na Paulinę.

Artykuł opisywał wspomnienia siedemdziesięciodziewięcioletniego mężczyzny, który jako kilkunastoletni chłopiec pamiętał dziwną zbrodnię dokonaną zaraz po wojnie, w czterdziestym piątym roku, na sześćdziesięciu wracających do kraju z robót przymusowych Polakach. Zatrzymali się w ustronnym domu w lesie pod Darłowem, a nad ranem znaleziono wszystkich zamordowanych.

– Zaraz... – Paulina podniosła głowę. – Ja już to przecież słyszałam. Opowiadała mi o tym Helena Wieliszewska, ta emerytowana nauczycielka. To przecież ta sama historia.

– Dlaczego Wyrzykowski zainteresował się akurat tym? – Igor spojrzał na Paulinę.

Wzruszyła ramionami.

– *Zostali napadnięci przez nieustalonych zbrodniarzy... Ciała ich ukryte i niepogrzebane zostały znalezione w jednym z domów przy trasie kolejowej między Darłowem i Sławnem...* – przeczytała.

– Ciekawe, czy ten dom tam jeszcze stoi? – odezwał się Johann.

Igor pochylił się nad gazetą i zrobił zdjęcie artykułu.

– Wieliszewska mówiła, co ludzie dzisiaj gadają, że tam straszy.

– Jasne. – Igor uśmiechnął się ironicznie i pochylił nad notesem Pauliny. – Jaka jest kolejna data?

– Dwudziesty stycznia.

– To następny numer. – Igor przełożył kilka kartek i wbił wzrok w kolejną stronę dziennika. – Dalej piszą o tym samym: ...*Nasz rozmówca opisuje, że okolicę, gdzie zamordowano Polaków, znał bardzo dobrze, bo wcześniej (przed tym zdarzeniem – red.) bawił się tam z kolegami wielokrotnie.*

Aktualnie wskazane miejsce jest lasem, gdzie widać ruiny opisanych powyżej domów...

– Masz odpowiedź na pytanie, czy ten dom tam jeszcze stoi. – Paulina spojrzała na Johanna.

– Można by się tam wybrać – mruknął Johann z namysłem. – Najlepiej wieczorem – dodał i łypnął okiem na Paulinę.

– To raczej beze mnie.

– Ciekawe, czy mały Wyrzykowski też tam z tymi chłopakami biegał? – Igor zrobił kolejne zdjęcie. – Jesteś dziennikarką. Śledczą nawet teraz.

– To nie znaczy, że mam znowu po nocy, w czasie burzy, kopać doły na cmentarzu. To akurat nie jest główne zajęcie dziennikarzy. Nawet śledczych.

Wydarzenia sprzed roku na moment znów stanęły jej przed oczami. Mały leśny cmentarz i oni z łopatami, w pałatkach. Burza, pioruny i grzmoty przetaczające się nad drzewami. Spojrzała dyskretnie na Igora. Kolejne déjà vu. Tak się obawiała spotkania z nim, unikała zaproszeń Johanna, a teraz siedzą we trójkę, całkiem jak rok temu, i gadają o kolejnych tajemniczych grobach w lesie. Życie jest dziwne.

– Wyrzykowski miał wówczas osiem lat. Ten człowiek z artykułu dwanaście. – Wzruszyła ramionami. – Chyba za duża różnica wieku.

– Nie wiadomo. Zaraz po wojnie były inne relacje między ludźmi.

– Wiecie, co jest nam potrzebne do tego, żeby to stwierdzić? – odezwał się Johann.

– No właśnie. Też jestem ciekawa, co jest w tych zaginionych stronach z dziennika, ale zaczynam wątpić, czy uda nam się je odzyskać.

– Skoro zachowały się na komputerze w ośrodku, to możliwe, że odzyskamy – mruknął Igor. – Następną data?

Paulina pochyliła się nad notesem.

– Dwudziesty czwarty lutego.

*

Matuszek siedział naprzeciw prokuratury Olszańskiego i czekał, aż ten skończy wypełniać dokumenty. Podrapał się po nieogolonym policzku

i westchnął. Nie znosił upałów, a w tym roku jakoś wyjątkowo długo to lato trwało. Jego wysokie ciśnienie bardzo dawało mu się we znaki w czasie takiej pogody.

– Powinieneś jakoś bardziej dbać o swój ubiór. – Olszański popatrzył z dezaprobatą na jego szarą bluzę od dresu, rozpiętą teraz, z widoczną pod spodem białą koszulką z nadrukiem „New York City”. – Ludzie nie powinni oglądać takich policjantów.

– Dziś mam same papiery i urzędowe sprawy. Żadni ludzie nie będą mnie oglądać.

– A gdyby ktoś niezapowiedziany z czymś przyszedł?

– To kazałbym komuś powiedzieć mu, żeby przyszedł jutro.

Prokurator pokręcił głową i strzepnął nieistniejący okruszek z wyprasowanych spodni.

– Jak ty wytrzymujesz w tym gajerze?

– Jestem prokuratorem, a nie dostawcą do warzywniaka. – Olszański wzruszył ramionami. – Co ma z tym wspólnego pogoda?

– Żeby wam chociaż klimatyzację zapewniali.

– Te mury zapewniają wystarczająco dużo chłodu.

To akurat była prawda. Wielki poniemiecki gmach, wybudowany w czasach nazistowskich wpływów na każdą dziedzinę życia, emanował zimnem wyślizganych granitów jak najlepsza klimatyzacja.

– Zamykamy sprawę – powiedział, stawiając swój podpis na końcu akt. – Chociaż mam pewne wątpliwości, przyznam.

– Ty masz zawsze jakieś wątpliwości... – Matuszek podrapał się po udzie. Dobrze, że jego krótkich bermudów nie było widać zza biurka, bo Olszański dalej by marudził.

– Ciekawi mnie, jaką rolę odegrał w tym wszystkim Kukła? Mówiłeś sam, że kręcił.

– Żadnej. – Matuszek pokręcił głową. – Nigdzie nie było jego śladów. Mamy jego odciski, znamy go dobrze. Owszem, to kumpel Stasiaka, ale nie było go tam na pewno. Kręcił z pewnością, ale to mały złodziejasek i kłusownik. Pewnie się bał, że inne jego sprawki wyjdą na jaw.

– Coś mi nie daje spokoju. – Olszański podpisał ostatnią stronę i podniósł wzrok na Matuszka. – Tak jakbyśmy przeoczyli jakiś ważny drobiazg.

– Nie pierwszy i nie ostatni raz. – Matuszek uśmiechnął się z przekąsem.

Olszański zamknął teczkę z aktami i podał Matuszkowi kilka dokumentów.

– No, to sprawa zamknięta.

*

– IPN INTERESUJE SIĘ MORDEM W DARŁOWCU – Igor przeczytał nagłówek w kolejnym numerze „Dziennika Sławieńskiego”.

– Chyba postanowili wycisnąć z tego tematu, ile się da. – Paulina uśmiechnęła się pod nosem. – Małe miasteczko. Rzadko tu się dzieją kryminalne afery.

– Co to jest IPN? – Johann przeliterował napis z gazety.

– Instytut Pamięci Narodowej. Teoretycznie zajmuje się badaniem zbrodni przeciwko narodowi polskiemu.

– Tu piszą, że sprawą zajmowała się prokuratura z Koszalina. – Igor spojrzął na Paulinę. – Może ten twój prokurator coś ci powie na ten temat?

Paulina pokiwała głową. W zasadzie czemu miałyby o to nie zapytać? To nie jest już chyba żadna tajemnica.

– Następną datą to trzydziesty lutego. – Igor przerzucił kartki dziennika i pochylił się nad pierwszą stroną kolejnego numeru. – Jest! Znowu o tym mordzie. Ale nic więcej niż to, co już wiadomo, nie napisali tutaj.

– To zostały nam jeszcze dwa artykuły z kolejnego roku. Trzydziesty sierpnia i dwudziesty piąty października. – Paulina sięgnęła po drugą z grubych teczek i położyła na środku stołu. Tym razem trzeba było przerzucić sporo stron i numerów, żeby dotrzeć do połowy grubości rocznika. Na jednej z pierwszych stron numeru od razu rzucił im się w oczy duży tytuł artykułu. Przejechała szybko wzrokiem cały tekst i przeczytała głośno najważniejszy fragment:

Instytut Pamięci Narodowej potwierdza masowy mord, ale jednocześnie zdecydował się umorzyć podjęte śledztwo w tej sprawie...

Formalnie śledztwo zostało umorzone z powodu niewykrycia sprawców mordu – informuje Krzysztof Bukowski, prokurator IPN.

– Czyli nie ustalili ani miejsca pochowania tych ludzi, ani tego, kto mógł stać za tą zbrodnią – Igor parsknął i uśmiechnął się ironicznie. – Kolejny sukces.

– Mamy jeszcze jedną datę. Zaczekajcie...

Paulina otworzyła dziennik Wyrzykowskiego i przerzuciła kilka kartek.

– Pod tamtymi wklejonymi i później wydartymi artykułami nie robił żadnych komentarzy, poza datą i nazwą dziennika. Tutaj natomiast napisał kilka zdań.

Pochyliła się nad skoroszytem i przeczytała:

5 października 2013. „Dziennik Bałtycki”. I znowu wracają do tych starych spraw. Kręcą się i węszą. I Niemcy, i Polacy. Jakiś zły dzień chyba. W jednej gazecie dwa artykuły. W głównej i w lokalnym dodatku.

Igor przerzucił ponownie kilka numerów dziennika i zatrzymał się na październiku. Czytał po kolei nagłówki artykułów, przerzucał kolejne strony. Na czwartej zatrzymał się, podniósł wysoko brwi i gwizdnął.

– Co tam jest? Czytaj! – Paulina pochyliła się nad teczką, zaglądając Igorowi przez ramię.

Artykuł był na całą stronę. Ilustrowany w dodatku wielkimi, kolorowymi zdjęciami. Na samej górze wielki tytuł głosił:

IPN WYJAŚNIA ZAGADKĘ MASOWEJ MOGIŁY!

*

Bolo zadał sobie wiele trudu, a trzeba wiedzieć, że trudu, jak mógł, to zawsze unikał. Nie dawała mu spokoju ta sprawa. No i Stasiaka nie mógł sobie odpuścić, że go jacyś bandyci podeszli i wmanewrowali w morderstwo. Dręczyło go także poczucie winy. Mógł wybić z głowy Stasiakowi udział w tej imprezie. Mógł mu, kurwa, nie pomagać. Ale przecież nie chciał, żeby tak się stało. Kto by przypuszczał, że ten staruch kopnie w kalendarz?

Kierowany determinacją, pojechał na leżący nieco za miastem, pod lasem, ośrodek kempingowy, gdzie widział Stasiaka z tym fagasem z czerwoną gębą, i zasięgnął języka. Wypatrzył jakiegoś chłopaka, pomocnika, który tam pętał się przy kajakach, i zadał mu kilka pytań. Czerwonego na gębie kolesia od razu udało się namierzyć. I bandę jego kumpli. Chłopak powiedział mu, że to Ruscy. Ponoć jakieś poszukiwania prowadzą naukowe. Mają kuter w DarłóWKu i wypływają nim, żeby nurkować. Tego akurat, o którego pytał Bolo, nie było, bo podobno miał wachtę. Bolo wcisnął chłopakowi w rękę dziesięć złotych na piwo i zakazał mówić, że się dopytywał. Na pytanie, czemu się właściwie nimi interesuje, Bolo odparł w zasadzie szczerze, że szuka tego z czerwoną gębą, żeby mu tę gębę obić. Brzmiało to na tyle realistycznie i wymownie, że chłopak już więcej nie dociekał.

Następnie Bolo pojechał do DarłóWka. Zaparkował niedaleko wschodniego nabrzeża i poszedł na spacer. W porcie było sporo kutrów, ale te należące do polskich rybaków łatwo było rozpoznać, choćby po nazwach na burtach. Przeszedł przez most i ruszył na spacer zachodnim nabrzeżem. Od budynku bosmanatu do zwodzonego mostu nabrzeże było puste. Po drugiej stronie Wieprzy kołysał się żaglowiec „Król Eryk I”. Bolo okrążył zachodni przyczółek mostu i wyszedł na nabrzeże po jego drugiej stronie, gdzie Wieprza rozlewała się szeroko. Stał tam ten ogromny biały jacht. Na wszelki wypadek minął go dyskretnie, przechodząc wąskimi uliczkami równoległymi do nabrzeża, i wyszedł kilkanaście metrów dalej. I teraz od razu zobaczył kuter. Duży, z masztem bramowym na rufie, pordzewiały i mocno zużyty. Na burcie wymalowana była cyrylicą nazwa „Zaria”. Na pokładzie sterczał, gapiąc się na ludzi na nabrzeżu, zwalisty typ z okrągłą twarzą i czerwonym nosem.

*

Na początku lat siedemdziesiątych zabudowa DarłóWka kończyła się praktycznie na wysokości dzisiejszych ulic Pomorskiej i Władysława IV. Na skrzyżowaniu z ulicą Pomorską zaczyna się ulica Zwycięstwa i dzisiaj po jej obu stronach stoją liczne ośrodki wypoczynkowe, a od strony wschodniej powstało całe osiedle domów jednorodzinnych. Wtedy jeszcze ciągnęły się tutaj pola i gęste lasy sosnowe, którymi ulica Zwycięstwa prowadziła aż do samej bramy jednostki wojskowej. Na początku 1972 roku podjęto

decyzję o budowie wojskowego ośrodka wczasowego, który miał stać wśród sosen i młodych dębczaków, niedaleko wjazdu do jednostki. We wrześniu zaczęły się pierwsze prace, a w październiku pomiędzy stare drzewa wjechały koparki i buldożery. Już po rozpoczęciu pierwszych wykopów pod fundamenty, w brązowej torfowej ziemi natrafiono na ludzkie szczątki. Dwudziestego listopada na plac budowy przyjechali prokurator, lekarz sądowy i okręgowy sędzia. W trakcie ekshumacji odnaleziono szczątki dwudziestu dziewięciu osób, złożonych do czterech mogił. W dwóch zwłoki poukładane były rzędem obok siebie, w jednej pochowano mężczyznę oraz kobietę z małą dziewczynką, a w ostatniej mężczyznę z krzyżem i różańcem w ręku. Przy zwłokach znaleziono okulary, fajkę, wieczne pióro oraz niemieckie monety z lat trzydziestych. Mężczyzna pochowany w oddzielnym grobie z kobietą i dzieckiem miał przy sobie wysokie odznaczenia – Krzyż Żelazny oraz Krzyż Rycerski z Liśćmi Dębowymi i Mieczami. Kobieta natomiast miała na palcu złoty sygnet z wygrawerowanym napisem:

W...TE 1886

Dochodzenie nie ujawniło, kim były ofiary. Z uwagi na zachowane przy zwłokach przedmioty, można było z dużym prawdopodobieństwem stwierdzić, że nie zginęli z rąk Rosjan. Sposób, w jaki zostali zamordowani, także nie wydawał się jasny. Nie stwierdzono w czaszkach śladów po kulach, co także eliminowało z kręgu podejrzanych Sowietów, którzy takie wyroki wykonywali strzałem w tył głowy. Najprawdopodobniej więc była to egzekucja przez powieszenie, a że z kolei rozstrzelanie było w niemieckiej armii bardziej honorową śmiercią, pozwala to przypuszczać, że zabici byli Niemcami, którzy okryli się hańbą.

Przez moment siedzieli w milczeniu, usiłując ogarnąć przeczytane przed chwilą informacje.

– Przecież to jest ten brat Schliemanna i jego rodzina – wykrztusiła w końcu Paulina. Sięgnęła do swojego notesu i przerzuciła kilka kartek.

– Podał nawet imię bratowej – przypomniał Johann.

– Witruda, z domu Engelbrecht – przeczytała Paulina. – Ten pierścień mógł należeć na przykład do jej ojca lub matki, stąd inicjały TE, a później, gdy go odziedziczyła, dodała tylko literkę W.

– I wspominał także o odznaczeniach brata.

– Ciekawe, czy on do tego dotarł? – Igor patrzył na pożółkłą stronę starej gazety.

– Zapytamy wieczorem – odrzekł Johann. – Ja dziękuję. To wszystko robi się coraz bardziej niesamowite.

– Chyba nawet bardziej niesamowite, niż myślicie... – Paulina wpatrywała się w gazetę. Na jej twarzy malowało się niedowierzenie.

– Dlaczego? – Johann spojrzał na nią ze zdziwieniem.

– Przypomnijcie sobie to zdjęcie z pamiętnika Wyrzykowskiego...

Johann pochylił się nad segregatorem, wbijając spojrzenie w czarno-białe zdjęcia.

– Boże! Rzeczywiście! Zdjęcie z trupa czachą w wykopie! To przecież ta sama sprawa!

– Sprawdźmy daty. – Igor sięgnął po dziennik. – Zdjęcia Wyrzykowski wkleił piętnastego i szesnastego listopada. Pewnie te zwłoki znaleźli właśnie wtedy. Zanim się ogarnęli, ściągnęli prokuraturę i milicję, to akurat te kilka dni minęło. Wszystko się zgadza.

– Wyrzykowski pracował tam jako kierownik budowy – dodała Paulina. – Więc mógł się tam kręcić i robić fotki. Pewnie potem, jak przyjechała prokuratura i zaczęło się śledztwo, toby mu już nie pozwolili.

– To zobaczcie! – Igor przesunął rocznik gazet w kierunku Pauliny i Johanna i przeczytał:

Przesłuchany przeze mnie w tej sprawie świadek, który co prawda nie był bezpośrednim uczestnikiem wydarzeń, twierdzi, że zabici byli pracownikami jednostki wojskowej w DarłóWKu, których rozstrzelano za udzielenie informacji brytyjskim szpiegom. Miało to dotyczyć kwestii ustalenia tras lotów alianckich samolotów w głąb Rzeszy – mówi prokurator Krzysztof Bukowski. – Ale ta wersja jest badana i trudno ustalić jej wiarygodność.

– No, to mamy rodzinę Schliemanna i aliancki samolot, który zestrzelili nad Dąbkami. – Johann oderwał wzrok od kolorowych fotografii

znalezionych przy zwłokach drobiazgów.

– Nawet więcej. – Paulina spojrzała z namysłem przed siebie. – Samolot spadł w kwietniu w czterdziestym czwartym. Z dziennika Wyrzykowskiego wynika, że dwóch innych pilotów Niemcy złapali. Tamci być może zaczęli sypać...

– I wyszło na jaw, że jacyś Niemcy z jednostki przekazują informacje alianantom – dodał Igor.

– Więc ich zabili – dokończyła Paulina.

– A co z tym drugim artykułem? – Johann wskazał brodą dziennik Wyrzykowskiego.

– Właśnie. – Igor pokiwał głową. – Miały być dwa w tym numerze.

– Ten był w „Dzienniku Sławieńskim”, a to dodatek, więc drugi musi być w „Bałtyckim”. – Paulina obejrzała się w kierunku siedzącej cicho przy biurku bibliotekarki. – Może mają tutaj także roczniki „Dziennika Bałtyckiego”. Pójdę i zapytam.

Przeszła cicho przez salkę i pochyliła się nad biurkiem korpulentnej bibliotekarki.

– Niestety – mruknął Igor, widząc, jak kobieta kręci głową. Paulina skrzywiła się, uśmiechnęła grzecznie do kobiety i ruszyła w drogę powrotną do stolika.

– Dzwonię do Karoliny – powiedziała, siadając. – Zresztą przypomnę jej o skanach, bo chyba zapomniała.

Przez moment wybierała numer na klawiaturze telefonu.

– Pamiętam, pamiętam! Już właśnie wysyłam. Skaner był cały czas okupowany. Mamy tu inwentaryzację.

W tle słychać było ściszoną muzykę i głośną pracę jakiegoś urządzenia.

– Mogłabyś jeszcze spojrzeć na jeden numer i mi przysłać? – Paulina podała Karolinie datę numeru „Dziennika Bałtyckiego”. – Musimy poczekać kilka minut – powiedziała, odkładając telefon na stół.

– Zrobię jeszcze zdjęcie tego artykułu i możemy jechać. Skany obejrzymy po drodze na tablecie. – Igor podniósł się i zrobił fotkę rozłożonego na stole dziennika.

*

Iwan stał na pokładzie i przyglądał się spacerującym ludziom. Szwendali się po nabrzeżu, gapiąc bezmyślnie na kutry i łodzie, jedząc lody, gofry, frytki i wszystko, co można było kupić w budach porozstawianych w każdej dziurze. Najwięcej gapiów ściągał oczywiście ogromny biały statek, który stał jakieś trzydzieści metrów od nich. Wczoraj pomiędzy nim a ich kutrem ustawily się dwie małe łódki, ale jacht był tak wielki, że i tak było go dobrze widać. Stał tyłem. Na rufie miał na każdym poziomie pokłady zewnętrzne, schodkowo odsunięte do tyłu. Najniższy służył jako pokład przed ładownią, w której były pewnie jakieś pontony, narty wodne i inne badziewie za kilkadziesiąt tysięcy euro. Wrota ładowni były otwarte. Ze dwie godziny temu jeden z tych typów z jachtu łaził tam i grzebał w czymś, a teraz jakiś inny zaczął przeglądać sprzęt. Iwan patrzył na to bez specjalnego zainteresowania, gdy nagle jego uwagę przykuł pewien szczegół. Zmarszczył brwi. Przez chwilę się zastanawiał, po czym szybkim krokiem poszedł do sterówki i przyniósł stamtąd wielką wojskową lornetkę. Podniósł ją do oczu i markując oglądanie krajobrazów portu, zajrzał do ładowni białego jachtu.

*

Bruno Schliemann opuścił gmach sądu w Koszalinie z mieszanymi uczuciami. Prokurator, który kilka lat temu z ramienia IPN prowadził wznowioną sprawę zbiorowego grobu odnalezionej na terenie jednostki wojskowej w Darłówwku, nie powiedział mu nic ponad to, co Bruno sam wiedział od dawna. Mało tego, zdał sobie sprawę, jak niewiele w istocie Polacy wiedzą i jak mało zrobili, żeby cokolwiek ustalić. Nie znają nawet nazwisk pochowanych Niemców, a Bruno wiedział, że listy takie istniały. Gdyby Polacy chcieli współpracować, to pewnie niemieckie organizacje kombatanckie i wojskowe by pomogły.

Na ekshumację nie było szans, według prokuratora. Powiedział to bez ogródek. Przede wszystkim z tego powodu, że nie mieli pewności, gdzie szczątki zostały pochowane, po tym jak je wydobyto z wykopów w siedemdziesiątym drugim. Według zachowanych dokumentów tamtej sprawy prokuratura wydała polecenie ówczesnym władzom miasta, aby szczątki zostały pochowane na cmentarzu komunalnym, gdy jednak w 2013

roku, kiedy sprawa została wznowiona, prokuratura zwróciła się do miasta z prośbą o podanie informacji o dokładnym miejscu pochówku, okazało się, że nie ma żadnych danych na ten temat. Jedyne, czym więc dysponowano, to opowieści starych mieszkańców miasta, a ci twierdzili, że dwadzieścia dziewięć szkieletów pogrzebano we wspólnym grobie przy kaplicy Świętej Gertrudy.

Koło się zamknęło. Trafił tam kilka dni temu dzięki tej staruszce z hospicjum pod Darłowem. Na przeniesienie brata, jego żony i córeczki do rodzinnego grobowca w Lubece nie było najmniejszych szans. Czas najwyższy wracać do domu. Jeszcze tylko wieczorem obejrzy tę legendarną mapę, o której dowiedział się wiele lat temu. Tylko tyle, że istniała i że potem gdzieś przepadła. Może u Rosjan. Na wyjaśnienie tajemnicy o kryptonimie „Totenleuchte” były marne widoki. Możliwe, że już nigdy się nie dowie, co miał na myśli Franz, chyba że tej miłej dziennikarce uda się ustalić coś więcej.

*

Granatowa toyota zwolniła do sześćdziesięciu kilometrów na godzinę i wjechała pomiędzy pierwsze domy sporej wsi, za którymi w głębi pól stały smukłe słupy farmy wiatrowej. Rozrzucona po polach zabudowa, w miarę zbliżania się do centrum miejscowości, robiła się gęstsza. Przy drogach stały równo przycięte żywopłoty. Dawna ulicówka była obecnie przetrzebiona z historycznej zabudowy. Przy drodze zachowały się tylko pojedyncze, pamiętające XIX wiek domy z czerwonej cegły. Dominowała architektura nowych budynków z wysokimi dachami i gankami wspartymi na niezgrabnych słupach, którym śniły się po nocach doryckie kolumny polskich dworaków.

Paulina, z nosem wbitym w krajobraz za oknem, pogrążona była w niewesołych myślach na temat Mateusza. Nie odzywał się od piątku, od tej ich kłótni przed wyjazdem. Zazwyczaj gdy wyjeżdżał, dzwonił od razu, jak tylko znalazł się na miejscu. Ot tak, żeby porozmawiać. A teraz czwarty dzień milczał. Może czekał, aż ona pierwsza zadzwoni? Może zadzwonić? Nie! To on się wściekał bez powodu. Jakby jego praca była ważniejsza.

Skupiona na roztrząsaniu piątkowej rozmowy, drgnęła przestraszona, gdy

zadzwoił jej telefon. W pierwszej chwili, wciąż będąc myślami przy Mateuszu, pomyślała, że to on. Spojrzenie na wyświetlacz rozwiało te domysły. Karolina.

– O czym ty tam piszesz? Same morderstwa. Właśnie zeskanowałam ci jeszcze ten jeden artykuł z października, o który prosiłaś, i wysłałam wszystko.

– Super! Dziękuję za pomoc. – Paulina, trzymając komórkę w jednej ręce, drugą sięgnęła po laptopa i otworzyła, patrząc na ikonkę poczty. Ściągało się coś sporego. Pewnie Karolina nie przejmowała się specjalnie tym, żeby zmniejszyć rozmiary plików. Pożegnała się z koleżanką i postawiła komputer na kolanach.

– Wysłała w końcu? – Johann odwrócił się i spojrzał na nią z ciekawością.

– Tak, ściąga się.

Ikonka wreszcie zamrugała i Paulina otworzyła folder poczty, patrząc na kilka wiadomości, które wpadły właśnie do jej skrzynki. Oprócz spamu i kilku reklam był wśród nich e-mail od Karoliny. Niecierpliwie ściągnęła jego zawartość na pulpit i otworzyła. Karolina nazwała skany numerami według dat. Otworzyła pierwszy z nich i wbiła wzrok w monitor.

Artykuł był krótki. Wzmianka o zatrzymaniu przez Milicję Obywatelską pewnego bandziora, podejrzewanego o zamordowanie współnika, z którym razem wydobywali z dna Bałtyku jakieś łupy z wraku zatopionego statku. Ciekawsza okazała się druga część wiadomości, w której opisano, że bandyta podejrzewany był także o udział w innej zbrodni sprzed kilku lat. Zginął wówczas nurek, który wynajęty przez dwóch współników, zszedł pod wodę, żeby wydobyć jakieś skrzynie.

Paulina podniosła wzrok znad ekranu. Co wspólnego z tymi ludźmi mógł mieć Wyrzykowski? W artykule wprawdzie napisano o wraku statku, ale może była to tylko pomyłka albo nierzetelność dziennikarza. Musiało przecież chodzić o wrak samolotu. Otworzyła następny skan i zaczęła czytać kolejny artykuł z 1974 roku. Była to właściwie tylko sucha wzmianka o śmierci pracującego dla Hydrobudowy nurka w porcie Marynarki Wojennej przy oczyszczaniu toru wodnego z pozostałości wraków i zatorów.

Zainteresowanie Wyrzykowskiego tym akurat wypadkiem zdawało się jeszcze bardziej zagadkowe. Był przecież budowlańcem; Pawelczyk mówiła,

że pracował dla wielu firm jako kierownik budowy. Może po prostu znał tego nurka?

Ostatni skan był najdłuższy. Tekst z 2013 roku ukazał się w popularnej serii artykułów, które wychodziły w „Dzienniku Bałtyckim” pod wspólnym tytułem HISTORIA Z PARAGRAFEM. Paulina zaczęła czytać i zaskoczona zdała sobie sprawę, że artykuł jest bezpośrednim nawiązaniem do obu wcześniej przeczytanych wzmianek. Wiele także tłumaczył, poza – znów – związkami, jakie miał z tymi sprawami Wyrzykowski.

W 1993 roku do redakcji „Dziennika Bałtyckiego” zgłosiły się córki i syn Kazimierza S., owego nurka, który w 1974 roku zginął podczas prac na dnie w porcie w Gdyni. Opowiedzieli historię, która rzuciła światło na wydarzenia opisane wcześniej.

Pod koniec roku 1964 do rodziny S. przyszedł elegancko ubrany mężczyzna. Przyniósł drogie, niedostępne wówczas w Polsce zabawki dla dzieci, a rodziców zaprosił na bardzo wystawny obiad, podczas którego zaproponował Kazimierzowi S. udział w pewnym przedsięwzięciu. Miał wypłynąć wraz z mężczyzną i jego towarzyszami w morze, gdzieś pomiędzy Szczecinem a Gdynią, i wydobyć z jakiegoś wraku, z dużej głębokości, skrzynię. Mimo proponowanych ogromnych pieniędzy za udział w wyprawie, Kazimierz S. odmówił. Jakiś czas później wyszło na jaw, że na propozycję przystał inny nurek, specjalista z Marynarki Wojennej. I to jego właśnie mieli zamordować schwytani kilka lat później bandyci. Po tym, jak wyciągnął dla nich tajemniczą skrzynię, zostawili go na dnie i skazali na śmierć z braku tlenu. A zaraz potem zginął, rzekomo w wypadku, Kazimierz S. Jego córki i syn nigdy jednak nie uwierzyli w przypadkowość tej śmierci. Sprawdzili kilka tropów i okazało się, że mężczyzna, który lata temu proponował ich ojcu wyprawę w morze, miał niezwykle kontakty i znajomości. W tamtych czasach wynajęcie kutra i wypłynięcie nim w morze nie tylko było trudne, ale i niemożliwe dla kogoś spoza marynarki lub wysoko postawionych urzędników państwowych. Sprawy tej nigdy nie wyjaśniono, a to, kim był ustosunkowany zleceniodawca sprzed lat, pozostało tajemnicą.

Paulina podniosła wzrok znad ekranu tabletu i odetchnęła. W lusterku napotkała zaintrygowane spojrzenie Igora.

– Przeczytałaś? To rzeczywiście coś interesującego?

Po prawej stronie mijali właśnie piękny neogotycki kościółek z czerwonej cegły, ukryty za murem z granitowych kamieni i wielkimi, rozrośniętymi lipami.

– Zaczynam mieć wrażenie, że dziennik Wyrzykowskiego to czubek jakiejś góry lodowej.

*

Artiom został na pokładzie sam. Powoli zbliżał się wieczór. Słońce zdążyło się schować za horyzontem, a nad miasteczkiem wisiał już mrok, który z wolna wciskał się pomiędzy budynki i zakamarki portu. Iwan jakiś czas temu oznajmił, że idzie sobie połączyć po nabrzeżach i obejrzeć z bliska latarnię morską, i poszedł. Artiom był mu za to wdzięczny, dzięki temu miał święty spokój. Zrobił sobie kolację w ich obskurnym kambuzie i zjadł ją w spokoju na pokładzie, gapiąc się na odbijające się w wodzie światła nabrzeża.

Coraz bardziej niepokoiły go ciemne sprawy Sierowa, ale pocieszał się, że zostało już niewiele z tego planu, który mieli do wykonania. Wrócą do domu i będzie mógł się cieszyć zarobioną kasą. Gorzej, jeśli znajdą tę łódź, której szukali. Miał obawy, że wówczas ich pobyt tutaj zdecydowanie się przedłuży. W końcu do czegoś potrzebny był ten sprzęt w ładowniach.

*

Bruno każdego wieczoru wychodził na długi spacer. Pomijając powody, dla których tutaj przyjechał, przechadzka o tej porze, kiedy mrok zaczynał spowijać miasteczko, na plaży zostawały tylko pojedyncze grupki rozbawionej młodzieży, a w wodzie odbijały się liczne kolorowe światła, była bardzo przyjemna. Obszedł budynek hotelu Apollo i mijając go od strony bocznej elewacji z charakterystyczną przysadzistą wieżą, wokół której zawieszony był ażurowy balkonik, ruszył plażą wzdłuż ciągnących się na wschód gęsto zalesionych wydm. Miał ochotę na spacer, zanim pójdzie na kolację do tych młodych ludzi. Jeszcze nie minęła dziewiąta, więc wszystko będzie akurat. Był strasznie ciekaw dokumentów, które odkąd tylko się

dowiedział, że istnieją, tak bardzo chciał obejrzeć, licząc na to, że znajdzie w nich jakieś okruchy wspomnień po bracie i jego rodzinie. Może właśnie dobrze się stało, że trafiły w ręce dziennikarki. Może jej się uda wydobyć na jaw wszystkie te tajemnice, które przez całe prawie jego życie wlokły się za nim jak kula u nogi.

Ruszył wolnym krokiem wzdłuż plaży.

To miejsce było dla Darłowa szczególne. To tutaj właśnie, według podań, wylądowały okręty wracające z Gotlandii Eryka Pomorskiego i to w tym miejscu, w 1812 roku, miejscowy lekarz Georg Friedrich Buettner założył pierwsze oficjalne uzdrowisko morskie na Pomorzu, a możliwe, że i w całych Niemczech, gdyż najstarsze w Bad Doberan nazywano jedynie kąpieliskiem. Ośrodek stał podobno dokładnie w miejscu, gdzie znajduje się dzisiaj wzniesiony w 1850 roku hotel Apollo. Ciągłą się na wschód od tego miejsca plażę dzieli od pełnego morza długi kamienisty pas wąziutkiej mierzei, która nie dopuszcza tutaj większych fal. Miejscami spłacheć złotego piasku zwęża się, a gęste szuwary szumiących wierzb i brzoź wiszą prawie tuż nad wodą. Wieczorami, gdy robi się ciemniej, niebo nad horyzontem staje się coraz mniej przejrzyste. Na zachodzie jaśniej jeszcze trochę ciemnym błękitem, który im dalej w głąb lądu, tym ciemniejszą przybiera barwę.

Rosnąca na wydmach zieleń zlewa się w jedną ciemną, szumiącą niepokojąco plamę.

Rozdział 18

Wtorek, 15 września

Dermota obudził jakiś hałas. Coś się zważyło na schodach prowadzących na wyższy pokład. Przeciągnął się i spojrział na zegarek. Szósta. Za drzwiami ktoś cicho zaklął, a zaraz potem słychać było ostrożnie stawiane kroki na miękkiej wykładzinie dywanowej.

Patrick i Harry pewnie. To dranie. Albo dopiero wracają z imprezy, albo może znowu jakieś laski się od nich wymykają. Pomyślał, że tym razem zrobi im kawał i je nastraszy.

Zerwał się cicho z łóżka. Przejechał palcami po włosach i twarzy, żeby nie wyglądać gorzej niż one po całonocnej balandze z tymi dwoma kretynami, i powoli podszedł do drzwi. Przyłożył ucho do framugi. Ktoś tam cicho dyszał i dreptał po korytarzu. Co one tam robią? Może to jakieś mewki i przy okazji chcą coś zwędzić? Powoli otworzył drzwi i wyjrzał przez szparę. To, co zobaczył, wprawiło go w osłupienie. U stóp schodów zgięty wpół Jamie zbierał do niewielkiego plecaka jakieś bambetle.

– A co ty, do cholery, robisz tu o tej porze?

– Kurwa! – Jamie poderwał się gwałtownie, wypuszczając z rąk swój plecak. Butelka z colą i plastikowy pojemnik na żywność potoczyły się po podłodze.

– Co się tu dzieje? – Dermot patrzył na Jamiego z wysokości swoich blisko dwóch metrów wzrostu. – Dokąd ty się wybierasz?

Jamie, przez moment zaskoczony i przestraszony, szybko odzyskał rezon. W dodatku ogarnęła go złość, że dał się zaskoczyć.

– Nie twój interes! Wracaj spać! – Pozbierał rzeczy do plecaka i odwrócił się w stronę schodów.

– Nigdy tutaj nie udało ci się wstać przed dziewiątą! A jest szósta! Dokąd się wybierasz? – Dermot w samych gatkach ruszył za nim.

– Odczep się, psycholu! Patrick i Harry łażą po nocach, a ja nad ranem nie mogę?

– I tak się dowiem.

– W samych gaciach za mną nie pójdziesz.

– Ubiorę się szybciej, niż ty zleziesz z trapu, grubasie.

Jamie zatrzymał się i westchnął. Szlag by to trafił! Rupert go chyba zabije.

*

Bolo znowu obudził się z bólem głowy. Nie było w tym nic szczególnie dziwnego, biorąc pod uwagę, że dzień wcześniej wypił trzy piwa. W dodatku myślenie go wczoraj zmęczyło. Czasem tak miał, że nie pamiętał, co robił wieczorem. Jak wypił ze dwa piwa, to zaczynał się czuć pewniej. Wszystko wydawało się łatwiejsze, ale lepiej, żeby mu nikt wtedy w drogę nie wchodził. Miał problem z agresją. Tak mu powiedzieli kiedyś, że jest niby chory. Rzeczywiście, bo to trzeba być chorym, by wpaść we wściekłość, jak jakiś baran do ciebie podskakuje.

Typ z czerwoną gębą albo z czerwonym nosem, pal diabli, ważne, że zapamiętał, to był ten sam, którego widział na kempingu ze Stasiakiem. To on i jego banda wmanewrowali Stasiaka w to gówno. Ciekawe, czego oni szukają w tym morzu? I co im było do tego starego? Problem w tym, że nie bardzo wiedział, co robić. Na policję nie miał zamiaru iść, bo raz, że za nim tam nie przepadają, a dwa, że co właściwie miałyby im powiedzieć? Że widział Stasiaka z tą łajzą z czerwonym nosem? Nie, trzeba samemu coś wymyślić, ale najpierw musi załatwić swoje sprawy z dziennikarką. Swoje i Stasiaka. Niech mu ziemia lekką będzie.

*

Paulina otworzyła oczy i przez moment jak zwykle usiłowała sobie przypomnieć, gdzie jest. Rozejrzała się dookoła, przekręcając głowę na poduszce. Przez chwilę czuła się jak Audrey Hepburn w *Rzymskich wakacjach*, gdy jako księżniczka Anna budzi się w kolejnym hotelu podczas swojej podróży po Europie. Uśmiechnęła się na wspomnienie sympatycznego filmu. Kabina na jachcie, oczywiście. Przeciągnęła się i spojrzała na zegarek.

Po ósmej. O dziewiątej mieli zjeść śniadanie, a potem skoczyć ponownie do tego ośrodka przy jednostce i wydobyć wreszcie skany dziennika. O ile ta kierowniczką zachowała je na twardym dysku. Artykuł! Myśl o pracy obniżyła poziom jej humoru o kilka punktów na skali szczęścia. Materiał jest wprawdzie coraz ciekawszy, ale będzie musiała go w końcu napisać. Lada chwila zadzwoni Paweł i zacznie się awanturować. Oczywiście przyjął do wiadomości, że miała wypadek i jest na kilka dni unieruchomiona, nawet przejął się nieco, ale za chwilę zacznie się dopominać. Wspomniała mu wprawdzie o tym, że historia się skomplikowała i że robi się coraz bardziej sensacyjna, ale i tak interesowało go przede wszystkim samobójstwo tego biednego Stasiaka. Na wieść o tym, że to ona odkryła zwłoki, wpadł wręcz w zachwyty.

Przez chwilę myślała o kolacji ubiegłego wieczoru. Ciekawe, dlaczego Schliemann nie przyszedł. Może potraktował to zaproszenie jako wyłącznie grzecznościowe. Może się krępował. Powinna chyba odwiedzić go przed wyjazdem i pokazać tę mapę, o której mówili. Swoją drogą, co w niej było tak interesującego, zakładając oczywiście, że to w ogóle ta mapa? Mogło przecież chodzić o coś zupełnie innego.

Zsunęła się z miękkiego prześcieradła i wstała. Obejrzała się w dużym lustrze, tuż obok wejścia do łazienki. Mogłaby spędzić urlop w takim luksusowym miejscu. Jakies dwa, trzy tygodnie na tych białych pokładach, w basenie na górze albo jacuzzi, z pysznym jedzeniem podawanym przez blondwłosego przystojniaka. Marzenia.

Wzięła szybki prysznic i wskoczyła w dżinsy, do tego dobrała lekką białą bluzkę. Akurat gdy podchodziła do drzwi, ktoś zapukał.

Otworzyła. Na progu stał Igor.

– Myślałem, że jeszcze śpisz – uśmiechnął się jakoś nieśmiało. – Musimy się pośpieszyć. Ta księgowa może nam znowu uciec. Pamiętasz, że przychodzi tylko na godzinę, dwie, żeby uporządkować papiery?

– Zdamy! – Przeszła obok niego i zamknęła drzwi. – Kierowniczką, nie księgowa. Marzę o kawie.

W kambuzie krzątały się już Alice i Gwen. Przy kuchennym stole siedział Johann. Uśmiechnął się na widok Igora i Pauliny.

– Jedziemy sami do tego ośrodka. Dziewczyny mówią, że w niczym nam

nie pomogą, a chciałyby w końcu połączyć po mieście.

– No i słusznie. – Paulina wzruszyła ramionami z uśmiechem. – W końcu jesteście, było nie było, na urlopie.

– A chłopaki? – spytał Igor.

– No właśnie gdzieś zniknęli. – Johann sięgnął po kubek z kawą. – Bill mówił, że wyszli już po szóstej.

– A Patricka i Harry’ego do tej pory nie ma – parsknęła śmiechem Gwen. – Ja nie wiem, czy ten urlop, który im tutaj dałeś... – spojrzała na Johanna – ...wyjdzie im na zdrowie.

– Mam nadzieję, że to rozsądni chłopcy i wiedzą, jak się zabezpieczać.

– Nie do końca to miałam na myśli...

Paulina podeszła do bulaja i wyjrzała na zewnątrz. Słońce zalewało nabrzeże, po którym przechadzały się już pierwsze grupy spacerowiczów. Połowa września, a lato nie dawało za wygraną.

Śniadanie zajęło im jakieś pół godziny.

Była dziewiąta trzydzieści, gdy zeszli z trapu i ruszyli w kierunku wąskiej uliczki, przy której zaparkował swoją toyotę Igor.

*

Samochód wjechał przez otwartą na oścież stalową, zawieszoną na murowanym ogrodzeniu bramę, przetoczył się wolno asfaltową alejką i zatrzymał na jednym z miejsc parkingowych obok budynku ośrodka. Z samochodu wysiadł mężczyzna w przeciwsłonecznych okularach, rozejrzał się dookoła i ruszył w kierunku drzwi wejściowych. Przystanął na chwilę w holu i rozejrzał się po wnętrzu. Hotel lata świetności dawno miał za sobą, a obecnie nikt, jak widać, nie kwapił się z podniesieniem standardu do aktualnych norm. Za ladą recepcji siedziała młoda kobieta. Uśmiechnęła się do mężczyzny wymuszonym, znudzonym uśmiechem. Na ścianie nad jej głową duży owalny zegar wskazywał dziewiątą trzydzieści pięć.

– Dzień dobry, mam pewną sprawę. Tydzień temu starszy pan skanował u państwa pewne zapiski. Nic ważnego. Fragment swojego pamiętnika. Chciałbym zapytać, czy ten tekst przypadkiem nie zachował się na państwa

komputerze?

Dziewczyna podniosła wzrok i obrzuciła mężczyznę taksującym spojrzeniem.

– Tak. Skanował pan Wyrzykowski. Niemniej jest pan kolejną osobą, która o to pyta. Mogę wiedzieć, czemu pan się tym interesuje?

Mężczyzna zdjął okulary, wyjął dowód i położył na ladzie.

Kobieta przechyliła głowę i przeczytała dane. Przytaknęła ze zrozumieniem. Przez chwilę rozmawiali.

– Niestety, w tym momencie nie mogę pomóc. – Recepcjonistka uśmiechnęła się przepaszająco. – Pomagała panu Wyrzykowskiemu nasza kierowniczką. Tylko u niej jest skaner. A ona będzie dopiero za jakąś godzinę.

– Wrócę w takim razie później. Jeśli mogłaby pani uprzedzić tę panią...

– Oczywiście, powtórzę jej.

Mężczyzna skinął głową i pochylił się nad ladą.

– Mam jeszcze jedną prośbę. Gdyby ktoś pytał o te skany ponownie, proszę nie udzielać żadnych informacji. Tymi materiałami może interesować się prokuratura.

– Oczywiście. – Kobieta pokiwała głową.

– Dziękuję pani bardzo. Do zobaczenia.

Mężczyzna nałożył okulary, kiwnął grzecznie głową i wyszedł z hotelu.

Recepcjonistka przez chwilę odprowadzała go wzrokiem, po czym wróciła do przerwanej zajęcia. Stawiania pasjansa. Zauważyła jeszcze tylko, jak sprzed wejścia odjeżdża grafitowy mercedes okularnik.

*

– Jak to sześć kilometrów? – Jamie zatrzymał się i autentycznie przestraszony spojrzał na Ruperta. – O tym to nic nie mówiłeś.

– Sam chciałeś ze mną iść. Ja cię do niczego nie zmuszałem.

– Ale nie ma tam jakiegoś autobusu albo czegoś?

– Szczególnie czegoś – parsknął Dermot, patrząc z rozbawieniem na

Jamiego. – Chciałeś iść, to nie kwękaj. Nie tędy! – krzyknął do Ruperta, który z telefonem w jednej ręce i wielką czarną torbą w drugiej skręcał właśnie w prawo, zgodnie z przebiegiem wąskiego chodnika, znikającego pod koronami kasztanowców.

Po przeciwnej stronie drogi na rogu stał parterowy budynek z wysokim dachem, do którego od frontu przylegał taras, z możliwością wjechania nań z poziomu chodnika ukrytą w oszklonej wieży windą.

– Jak nie tędy? Przecież pokazuje mi, że tędy na plażę. – Rupert zatrzymał się i pochylił nad ekranem komórki.

– Matoły... – Dermot uśmiechnął się protekcjonalnie i spojrzał kolejno na Ruperta i Jamiego. – Gdybyście zadali sobie trochę trudu umysłowego, to wiedzielibyście, że iść plażą jest trudniej, bo jest tam grząsko. Trzeba iść tą alejką. – Wskazał ręką na skręcającą za budynkiem wąską, wybrukowaną drogę. – Na samym końcu dopiero należy wejść na plażę.

– A ty skąd to wiesz? – Jamie wytarł pot z czoła i popatrzył na Dermota podejrzliwie. – Pytałeś Ajgora?

– Google Earth i wszystko wiadomo.

– No, nie wiem... – Jamie popatrzył podejrzliwie w głąb wąskiej ścieżki. – To wygląda raczej jak dojście do budynków. Poleziemy kilka kilometrów i okaże się, że będzie jakiś płot.

– Okej. Jest tam przejście. Idziemy tędy! – Rupert, patrząc na swój telefon, pokiwał głową i nie czekając, ruszył wybrukowaną alejką w głąb parku.

Jamie westchnął, poprawił swój plecak i poszedł za nim.

*

Igor zdjął przeciwsłoneczne okulary i wrzucił je do skrytki. Na zewnątrz robiło się już gorąco, a była dopiero dziesiąta. Pomyślał, że lato w tym roku jest bardzo długie i wyjątkowe nieustępliwe.

– Mam nadzieję, że baba zachowała te skany... – Paulina położyła laptopa na tylnym siedzeniu i zamknęła drzwi toyoty. W czasie krótkiej drogi z Darłówka przeglądała materiały, które wczoraj przysłała jej Karolina. Bardzo liczyła, że pozna dalszy ciąg historii małego Karla. Cały ranek w jej

głowie kiełkował zarys artykułu. Wiedziała, że zacznie od morderstwa. W małej, urokliwej miejscowości letniskowej (różowe blokhauzy wczasowe można pominąć milczeniem) zamordowany zostaje pewien staruszek. Pięknego dnia, nad samym ranem...

– Może jednak weź tego laptopa? – Igor przywołał ją do rzeczywistości. – Może się przyda? I kabel USB. Zamiast drukować, może nam po prostu wklei.

Paulina kiwnęła głową, otworzyła ponownie drzwi i zabrała ze sobą komputer.

Igor przepuścił ją przodem i ruszyli w kierunku drzwi wejściowych do budynku.

W toycie pozostał Johann, zdecydowany poczekać. Nie było po co robić tłumy, skoro chodziło tylko o przegranie kilku skanów.

Za ladą recepcji siedziała ta sama młoda dziewczyna, z którą rozmawiali wczoraj. Na ich widok jednak zmarszczyła brwi i utkwiała wzrok w monitorze.

– Dzień dobry. – Paulina stanęła przy kontuarze i uśmiechnęła się do kobiety. – Pamięta mnie pani? Mieliśmy wpaść dzisiaj do pani kierowniczkii. Chodziło o skany pewnych materiałów. Czy ta pani już jest?

– Tak, pamiętam panią. – Kobieta spojrzała niechętnie. – Pani jest dziennikarką, prawda?

– Tak, wspominałam wczoraj. – Paulina sięgnęła do torby po legitymację.

– Nie, proszę nie pokazywać. Nie trzeba. – Dziewczyna, nieco skrępowana, pokręciła głową. – Trochę się zmieniło. Stwierdziliśmy, że jednak nie możemy państwu udostępnić tych materiałów.

– Ale dlaczego? – Paulina spojrzała na nią zaskoczona. – Co się zmieniło?

– Nie wiemy, czy wolno nam dysponować tymi dokumentami. To może być jakiś dowód. Wolałabym, żeby obejrzała to najpierw policja.

– Policja zamknęła już dochodzenie, o ile wiem. Poza tym prokuratura oglądała te materiały i stwierdziła, że nie mają związku ze sprawą.

– Proszę pani, ja nie wiem. – Kobieta pokręciła głową. – Powtarzam zalecenie pani kierownik.

– Czy ta pani jest już u siebie? – Paulina uznała, że dalsza dyskusja z dziewczyną nie ma sensu.

– Tak, ale raczej rozmowa nic pani nie da, przepraszam bardzo.

– Ale mogę z nią porozmawiać?

– Tak, oczywiście, do końca tym korytarzem, ostatnie drzwi.

Paulina uśmiechnęła się chłodno do kobiety i skinęła głową do Igora.

– Co jest? – spytał, podchodząc do niej. – Jakieś problemy?

– Teraz znowu twierdzą, że nie mogą nam pokazać tych skanów. – Paulina wzruszyła ramionami. – Boją się policji. Idziemy pogadać bezpośrednio z kierowniczką.

– A nie możesz zadzwonić do kolegi prokuratora?

– To nie jest żaden mój kolega – obruszyła się Paulina. – Obcy facet, urzędnik. Dlaczego miałyby mi pomagać w takiej sprawie?

– Ale może zechce rzeczywiście sam to sprawdzić i wtedy mógłby ci pokazać.

– Możliwe, że tak to się właśnie skończy, cholera!

Pokój kierowniczkowski był niewielki. Pod oknem stało biurko, na oko z lat dziewięćdziesiątych, w modnej wówczas brązowej drewnopodobnej okleinie. Królował na nim wielki płaski monitor, do którego obudowy przyklejone były pojedyncze różowe karteczki. Przy ścianie stał regał, wypełniony kolorowymi segregatorami. Nad biurkiem wisiała korkowa tablica, do której przypięte były pocztówki, notatki, takie same kolorowe karteczki jak przy monitorze i kserokopie jakichś dokumentów.

Na ścianie naprzeciwko wisiał kalendarz z dużym zdjęciem ginącego w zieleni budynku.

– Czym mogę państwu służyć? – Kobieta w ciasnej bordowej garsonce i z upiętymi wysoko, farbowanymi na kolor burgunda włosami uśmiechnęła się do nich zachęcająco.

Paulina podeszła do biurka i usiadła naprzeciwko kierowniczkowski.

– Jestem dziennikarką. Chciałabym zapoznać się ze skanami pamiętnika,

które robił tutaj pan Wyrzykowski. Mówiłam recepcjonistce o tym...

Już na dźwięk pierwszych słów Pauliny kierowniczką przybrała urzędową, nieprzeniknioną minę i poprawiła nerwowo włosy.

– Tak, powtórzono mi to. Niemniej zdecydowałam, że dopóki policja nie zapozna się z tymi materiałami, nie możemy ich udostępniać osobom postronnym.

– Nie jestem postronna. Pan Wyrzykowski mnie właśnie przesłał cały swój pamiętnik. Nie zdążył jedynie tych ostatnich stron. Pisząc ten artykuł, można powiedzieć, wypełniam jego ostatnią wolę.

– Rozumiem, oczywiście, ale pani musi zrozumieć mnie. Powiadomimy policję i proszę się wtedy kontaktować z prokuraturą lub rzecznikiem prasowym.

– A jeśli zadzwonimy do pana prokuratora teraz? – wtrącił Igor, który stał za plecami Pauliny. – Może jak pani z nim pomówi...

– Nie, nie. – Kierowniczką zatrzepotała rękami. – To nie jest sprawa na telefon. Morderstwo to poważna rzecz. Nie mam pewności, z kim będę rozmawiała.

– Dobrze – Paulina westchnęła i wstała. – Zastanawiam się, dlaczego pani zostawiła te prywatne materiały i ich nie skasowała?

– Nie czytałam tych wspomnień, jeśli to mi pani imputuje.

– Niczego pani nie imputuję. Powiadomię prowadzącego sprawę prokuratora o pani decyzji.

– Proszę powiadomić, kogo sobie pani życzy. – Kobieta ponownie nerwowo poprawiła brązowopurpurowe pukle. – Ja nie udostępnię pani tych materiałów.

– Proszę mi powiedzieć przynajmniej, czy rzeczywiście ma pani te skany, żebym wiedziała, że to są te, o które mi chodzi. Nie chciałabym wszczynać całego postępowania bez celu.

Kierowniczką rzuciła Paulinie niechętnie spojrzenie.

– Pan Wyrzykowski był u mnie czwartego września, w piątek, i wówczas mu to zeskanowałam. Kilka kartek maszynopisu.

Paulina spojrzała na Igora. To te skany! To musiało być to!

Skinęła głową, rzuciła „do widzenia”, wstała i ruszyła do wyjścia.

– Eee... przepraszam... – Igor przepuścił przodem Paulinę w drzwiach i odwrócił się, jakby czegoś zapomniał. Spojrzał z namysłem na kierowniczkę.

– Czy ta zielona astra to pani? Ta na parkingu?

– Astra? Nie.

– Naprawdę? Wydawało mi się, że to pani.

– Nie. Ja jeżdżę audi. Czemu się pan tym interesuje?

– Bo wydawało mi się, że już panią widziałem w tym samochodzie. – Igor machnął ręką. – Przepraszam, pomyliłem panią z kimś innym. Do widzenia.

Paulina patrzyła na niego zdumionym wzrokiem, gdy zamykał drzwi od pokoju.

*

– To już musi być gdzieś tutaj. – Rupert zatrzymał się i postawił torbę na piasku.

– Przydałoby się – mruknął Dermot i popatrzył z niechętnym uznaniem na kolegę. Miał niezłą kondycję drań. Te jego lekkoatletyczne mięśnie to jednak nie tylko dekoracja do fotomodelingu.

– Ja i tak nigdzie dalej nie pójdę – wydyszał Jamie i usiadł na piasku.

– To tam! – Rupert wskazał palcem wydmę, za którą rysowały się jakieś betonowe kształty. – Idziemy! To już tylko ze sto metrów.

– Czyli odczuwalne tysiąc... – Jamie położył się i odetchnął. – Idźcie sami. Dojdę do was za chwilę.

– Wstawaj i nie marudź! – Dermot stanął nad nim, zasłaniając słońce. – Tam jest jakiś mały bunkier na górze wydmy. Rozbijemy się i poskładamy wszystko.

Po dłuższej chwili stanęli na szczycie wzniesienia. Stał tutaj czworoboczny, nakryty betonową płytą budynek, z otwartym z jednej strony wejściem. Za nim wzniesienie opadało wprost do ukrytej za niskimi sosnami i brzozaami piaszczystej ścieżki, która wiała się wzdłuż stalowej siatki z drutu kolczastego, rozpiętej na betonowych, łukowato zgiętych na górze

słupach. Za ogrodzeniem, z gęstej zieleni wyrastał gargantuiczny betonowy blok.

– Wygląda jak jakaś ruina w Czarnobylu – powiedział cicho Rupert. – Zajebiste!

– Składaj lepiej tego drona. – Jamie usiadł na ziemi obok torby kolegi i rozpiął zamek błyskawiczny. – Czeka nas jeszcze droga powrotna.

– Nie rusz! – Rupert uklęknął obok i ostrożnie wyjął urządzenie. Przypominało wielkiego na pół metra pająka o czterech nogach. Na każdej z nich znajdowało się niewielkie śmigło.

– Niezły... – Dermot wydał usta. – To quadcopter, a nie dron. Czemu nie używaliśmy go wcześniej?

– Szczerze mówiąc, to zapomniałem, że go mamy – przyznał Rupert. – Mieliśmy poszukiwać prastarej tajemnicy na dnie, a nie pętać się po plażach Bałtyku.

– Jezu! – Jamie pokręcił głową. – Mogliśmy go wypuścić nad Kronborgiem i nad tymi śmiesznymi kościołami na Bornholmie. Szkoda, że ja o tym nie wiedziałem.

– To dron ojca Johanna, tak w ogóle.

– Musiał z dziesięć kawałków kosztować.

– Najmniej – mruknął Rupert, który klęcząc obok urządzenia, kończył manipulować przy swoim tablecie. – Dobra, za chwilę startujemy!

Po chwili wstał i postawił urządzenie na trawie.

– Lecimy! – Spojrzał na Dermota i Jamiego, po czym przesunął drążki na niewielkiej kontrolce.

Czarny pająk z cichutkim terkotem wzbił się w powietrze, powoli okręcił wokół własnej osi i poszybował nad wydumą w kierunku żelbetowego sarkofagu.

*

– Naprawdę już ją gdzieś widziałeś? – Paulina popatrzyła na Igora podejrzliwie, gdy szli korytarzem w kierunku recepcji.

– Pierwszy raz ją zobaczyłem na oczy.

– To co to miało być?

– Improwizacja. – Igor sięgnął po telefon i wykręcił numer Johanna.

– Co ty kombinujesz? – Paulina przystanęła i wbiła wzrok w czekającego na połączenie Igora.

– Czekaj! – Machnął ręką do Pauliny. – Johann, zostawiłem samochód otwarty. Nie pytaj o nic. Z tyłu znajdziesz nóż w takiej plastikowej skrzyni. Czy możesz przebić dyskretnie oponę w czerwonym audi?

– Co? Co takiego? Czy ci odbiło? – wrzasnęła Paulina z przerażeniem.

– Tak, w czerwonym audi. Tylko jedno audi tam stoi. A potem wejdź do środka i powiedz recepcjonistce, że w tym samochodzie jest flak. Jak wyjdzie baba z czerwonymi włosami, to ją jakoś zatrzymaj. Nie wiem, może pomoż jej zmienić koło.

Johann słuchał z niedowierzaniem instrukcji Igora. Nie czekając na ich koniec, otworzył tylną klapę toyoty i zajrzał do środka. Wielkie plastikowe pudło stało w narożniku. Kable, latarka, jakieś narzędzia... Jest! Nóż. Boże! Po co mu taki nóż? Po co on go ze sobą wozi?

Wziął nóż do ręki i trzymając go dyskretnie wzdłuż ramienia, rozejrzał się wokół siebie. Na parkingu stało kilka samochodów. Czerwone audi A4 stało trzy miejsca dalej od toyoty. Podszedł do niego wolnym krokiem i ukucnął, udając, że chce zawiązać sznurówkę. Rozejrzał się ukradkiem dookoła. Na szczęście nikogo tu nie było. Odchylił nóż i walnął z całej siły w oponę. Nóż był ostry i wszedł jak w masło. Audi było starym modelem z początku lat dziewięćdziesiątych, Johann liczył więc na to, że nie ma żadnego systemu podtrzymania powietrza po przebiciu ani żadnych innych technologicznych zabezpieczeń. Rozwiązał sznurówkę w swoich granatowych trampkach i dokładnie zawiązał ją z powrotem. Rzucił okiem na koło audi. Powietrze z opony zeszło do połowy. Podniósł się i wrócił do toyoty. Upchnął nóż w pudło, zatrzasnął klapę, odetchnął głęboko i szybkim krokiem ruszył ku drzwiom wejściowym do budynku.

Paulina patrzyła osłupiała na Igora. Wydarzenia zaczęły się rozgrywać na tyle szybko, że nawet nie zdążyła się zdenerwować.

– Mam wejść do jej pokoju? Zwariowałeś? Grzebać w jej kompie? Przecież ona, pomijając wszystko inne, na pewno zamknie za sobą drzwi, jak wyleci sprawdzać ten samochód!

– Nie zamknie. – Igor podniósł dłoń i pokazał mały kawałek drutu, który trzymał w ręku.

– Co to jest?

– Kiedy wychodziliśmy i odwróciłem się, żeby zapytać o ten samochód, włożyłem do zamka kawałek drutu.

– A skąd go miałeś przy sobie? – Paulina nadal nie mogła wyjść z osłupienia. – Jesteś zawsze przygotowany na jakiś włam?

– Rozprostowałem kółko od kluczy. Mam teraz w kieszeni luzem pięć kluczy i nadzieję, że żadnego nie zgubię.

– Boże! To niewiarygodne! Wystarczy, że się ciebie spotka i od razu człowiek pakuje się w jakieś włamanie! Tylko że biorąc pod uwagę efekty, chyba lepiej bym zrobiła, zapisując się do jakiegoś gangu złodziei.

– Jedno drugiego nie wyklucza. – Igor spojrzał na nią ze złośliwym uśmiechem. – Chcemy zdobyć te skany? Chcemy! To słuchaj! Spytasz recepcjonistkę o kibel. Jest na końcu korytarza, obok pokoju tej baby. Ja zostanę w holu i będę łaził w te i we wte. W razie czego zatrzymam tę kierowniczkę i odwrócę jej uwagę. Jak usłyszysz, że baba wybiega z pokoju, to odlicz do dziesięciu i włącz. Stanę tak, żeby zasłonić widok recepcjonistce.

Paulina, niewiele myśląc, podeszła do kontuaru i spytała o sanitariat. Była przekonana, że gdyby zaczęła się dłużej nad wszystkim zastanawiać, to pewnie walnęłaby Igora torebką i poszła do samochodu, zamiast angażować się w kolejną burdę z jego udziałem.

Recepcjonistka wskazała brodą koniec korytarza. Paulina, mijając Igora, pokazała mu zęby ze złości. Chwyciła za klamkę, weszła do przedsiionka sanitariatu, odwróciła się i przyłgnęła do szpary między framugą a drzwiami, zezując, co się dzieje na korytarzu. Po cholerę ona się na to godzi...? Długo nie musiała czekać. Zauważyła kątem oka, że do holu wszedł Johann i podszedł do recepcji. Po chwili drzwi pokoju kierowniczkę się otworzyły i kobieta wyszła na zewnątrz. Paulina przyłgnęła uchem do drewnianej powierzchni, usiłując wydobyć dźwięki zamykanych drzwi. Ze swojego

miejsca obserwacji nie widziała tego, ale kierowniczką wsadziła klucz do zamka i chwilę w nim gmerała, po czym zakłęła i ruszyła, stukając głośno szpilkami, w kierunku holu. Gdy Paulina dojrzała, że kobieta znika za zakrętem, wyszła na korytarz i stanęła niepewnie na środku. Jeszcze teraz mogła dać sobie z tym spokój i iść stąd w cholerę. Na końcu korytarza widziała Igora, który stanął w przejściu, zasłaniając widok na recepcję. Stał tam także Johann, który rozmawiał jeszcze z recepcjonistką i dopiero po chwili ruszył za kierowniczką w kierunku wyjścia. Paulina zdecydowała, że co ma być, to będzie. Jednym susem podeszła do drzwi pokoju kierowniczką, szarpnęła za klamkę, po cichu spodziewając się, że jednak będą zamknięte. Były otwarte. Weszła do środka i zamknęła je za sobą.

Przez chwilę stała nieruchomo, patrząc na biurko i włączony komputer, który cichutko sobie szemrał. Odetchnęła głęboko i rzuciła się do niego, uświadamiając sobie, że kobieta może w każdej chwili wrócić. Dopadła krzesła, chwyciła za myszkę i wbiła wzrok w monitor. Ekran się rozjaśnił i ukazało się na nim malutkie okienko logowania, w które trzeba było wpisać hasło.

*

Dron powoli zbliżył się do dachu bunkra i przeleciał nad upstrzoną napisami żelbetową czapą. Nieco dalej z dachu wyrastała zardzewiała stalowa budka z niedomkniętymi drzwiami. Kraniec dachu zabezpieczała stalowa poręcz.

– Podleć do tej wieży. – Dermot pochylony nad Rupertem wpatrywał się w niewielki ekran podglądu. – Ten hak zobaczmy. Jest gigantyczny.

– Ajgor coś o tym mówił. – Jamie śledził ekran urządzenia, pochylony nad Rupertem z drugiej strony. – To rzekomo służyło podnoszeniu pocisków do tego wielkiego działa.

– Mieli je produkować w podziemiach. – Dermot usiadł na piasku obok Ruperta. – Właśnie! Wleć tam do środka! Zobaczymy, gdzie mogły być te schody, o których opowiadał Ajgor.

– Nie gadajcie tyle! – Rupert, skupiony nad joystickiem, spojrzął ze złością na Dermota. – Po kolei chcę sfilmować, nie?

– Potem ci nie starczy czasu na wewnątrz!

– Starczy! Zamknijcie się!

Dron zbliżył się do stalowej wieży i powoli ją okrążył. Potężne dwuteowe dźwigary, zakotwione w żelbetowym dachu bunkra, dźwigały pomosty, na które prowadziły stalowe, przerdzewiałe schody. Na szczycie konstrukcji leżała rama z poprzecznych belek, z której na stalowych prowadnicach zwisał łańcuch z podczepionym do niego ogromnym, wymalowanym w żółte i zielone pasy hakiem.

– Sam ten hak waży z tonę. – Jamie patrzył z podziwem na wielkie rusztowanie. – To musiało podnosić ogromny ciężar.

– Ajgor mówił, że pociski ważyły i siedem ton. – Dermot wpatrywał się w ekran z fascynacją.

Rupert pchnął drążek kontrolki i dron przeleciał nad dachem bunkra, filmując z góry jego płaszczyznę.

– Gdzie by tu można wlecieć? – mruczał, skupiony na kontrolowaniu urządzenia. – Może przez którąś z tych dziur.

– Nie! – syknął Dermot. – Rozwalisz go. Leć do końca i wleć tym tunelem, o którym mówił Ajgor.

– Mówił Ajgor i Ajgor mówił! – zirytował się Rupert. – On nie był przecież w środku. Przytaczał relacje jakichś ludzi. A co, jak ten tunel jest zamurowany albo zakratowany? Poza tym tam przez ten beton może zniknąć sygnał.

– To leć i się przekonaj!

Dron zbliżył się do krańca sarkofagu. U jego stóp rozciągał się ogromny, wyłożony betonowymi płytami plac, na którym stały cysterny i wojskowe ciężarówki.

– Tam nie ma jakiegoś stróża? Wolno tu w ogóle latać? – zaniepokoił się Jamie.

– Nikogo tu nie ma. – Rupert pochylił się nad ekranem. – To chyba złom. Skąd by się wzięły te napisy i graffiti na ścianach, jakby nie było wolno?

– Ale tam są ogrodzenia.

– Zniszczone.

Dron minął kraniec bunkra i powoli okręcił się wokół własnej osi, opadając obok żelbetowej ściany. Po lewej stronie ukazał się ogromny otwór.

– Jest! – Dermot wskazał palcem bramę. – Tędy chyba wjeżdżał jakiś pociąg albo transport. Wlatuj!

Na podglądzie ukazał się korytarz prześwietlony wpadającymi tutaj z dziur w suficie niczym sztylety promieniami słońca. Boczne ściany przeprute były wielkimi dziurami.

Dron powoli wleciał do środka.

– Tam są jakieś drzwi po prawej! – Jamie podskoczył. – Może tam było to wejście?

– Nie wlecę tam! – pokręcił głową Rupert. – Rozwalę go o te postrzępione krawędzie. Sygnał już tutaj zaczyna zanikać.

Urządzenie powoli leciało środkiem tunelu, filmując boczne ściany. Na końcu korytarza majaczyły prześwietlone słońcem gałęzie drzew na wydmach. W żelbetowej ścianie z prawej strony ukazała się nagle częściowo zamurowana wyrwa z postrzępionymi betonowymi zębami ościeży. W głębi widać było fragment pomieszczenia z betonową, pofałdowaną, przeżartą przez czas posadzką.

*

Paulina siedziała przed monitorem z kompletną pustką w głowie. Tego się nie spodziewała. A właściwie nie ona, tylko ten cholerny geniusz zbrodni Igor, który opracował poroniony blitzkrieg włamania się do pokoju tej upiornej baby.

I co ona ma teraz zrobić? Spojrzała w panice na drzwi. Czas zaczął lecieć błyskawicznie, wręcz czuła, jak jego zęby zaciskają się na jej gardle. Nic tu po niej. Choćby siedziała godzinę, to i tak niczego nie wymyśli, a hakerskich umiejętności nie miała żadnych. Poruszyła myszką. Ekran ponownie ożył i małe okienko zamigotało pustym miejscem w oczekiwaniu na podanie hasła. Żeby chociaż znała tę babę, toby może wiedziała, jak mają na imię jej dzieci, wnuki czy jakiś cholerny kot. Sama ma przecież jedno hasło i używa go do wszystkiego. Po tym jak niedawno, po formatowaniu komputera, musiała je zmienić, to dopóki go nie zapamiętała, przez miesiąc nosiła

zapisane w portfelu.

Na moment zamarła. To nie mogło być aż takie proste.

Przypomniała sobie rozmowy z bratem, który jej opowiadał, że hakerzy, którzy włamują się na cudze konta, jedynie w niewielkim procencie opierają się na jakichś wyrafinowanych programach deszyfrujących, a głównie bazują na naiwności i głupocie użytkowników, którzy jako hasła wymyślają najprostsze zestawienia klawiszowe typu kolejno po sobie następujących znaków: qaz czy qwerty.

Wpisała jeden z tych skrótów w okienko. Komputer warknął. Wpisała jeszcze kilka najprostszych zestawień. Nic. Może ta baba nie jest jednak aż taka głupia.

Rozejrzała się dookoła. Różowe karteczki przyklepione do monitora i tablicy obok biurka, z jakimiś kretyńskimi przypominaczkami: „Kupić masło”, „Misiek – pamiętać” czy „Rejestr – Dusia”. Cholera! Spojrzała w panice na drzwi. Zaraz to babsko wejdzie i nakryje ją w swoim pokoju. Jak nic wezwie policję. Znieruchomiała.

No nie! To nie mogło być aż takie proste.

Pochyliła się nad klawiaturę i wpisała sześć liter w mrugające okienko. Przez chwilę migotało i nagle ekran rozjarzył się widokiem kilkunastu ikon na tle ogrodu z huśtawką i dwojgiem dzieciaków. Paulina przez chwilę patrzyła oniemiała. Misiek i Dusia! Co za kretyństwo!

Chwyciła swoją torbę i drżącymi palcami wyjęła pendrive'a. Trzęsącymi się rękami umieściła go w wejściu USB i wbiła wzrok w monitor. Gdzie to może być? Dysk lokalny C, Documents and Settings, katalog Moje dokumenty, Downloads. Jest! Boże! Jest! Przeniosła cały katalog ze skanami na pendrive'a. Były wśród nich cztery strony dziennika. Poznała je od razu. Malutki symbol ładowania przesunął się do końca. Paulina szarpnęła za pendrive'a i wrzuciła go do torebki.

Chciała zamknąć okno z katalogami, gdy coś jej przyszło do głowy. Ulegając intuicji i nie zastanawiając się zbyt długo, sięgnęła do klawiatury i wykasowała z komputera kierowniczkę wszystkie cztery strony skanów dziennika. Zamknęła okno katalogu, chwyciła torbę i zerwała się od biurka. Otworzyła drzwi i chciała wyjść, gdy za narożnikiem korytarza zobaczyła czerwoną koafiurę i jej posiadaczkę, która właśnie weszła do holu.

Urok osobisty Johanna pewnie by wystarczył na jeszcze i pół godziny pogawędki podczas zmiany koła, tyle że był jeden, ale poważny problem – kierowniczka bardzo słabo mówiła po angielsku. Gdy więc wkręcił ostatnią śrubę jej dojazdówki, opowiadając przy tym jakieś brednie na temat tego, jak doskonale spędza czas w tym ustroniu i jaki to świetny wypoczynek oraz odskocznia od codziennej pracy, nie miał żadnych pomysłów, żeby ją dłużej zatrzymać. I tak przestępowała z nogi na nogę i zdawała się rozumieć co czwarte słowo. Gdy wrzucił koło do jej bagażnika, kobieta uśmiechnęła się promiennie, rzuciła „thank” i pomknęła niczym gazela w stronę drzwi wejściowych do ośrodka. Johann jęknął i zaczął nerwowo grzebać w kieszeni wąskich spodni, usiłując wydobyć komórkę i obiecując sobie solennie, że to ostatnie dzinsy „slim fit”, jakie założył w życiu.

Igor, stojąc u wylotu korytarza i starając się jak najbardziej ograniczyć pole widzenia recepcjonistce, ujrzał jednocześnie dwie rzeczy – jak uchylają się drzwi pokoju kierowniczki i jak ona sama wpada do holu, pchając z impetem oszklone drzwi wejściowe. Gdyby mógł się zastanowić chwilę dłużej, niewątpliwie by wymyślił coś mądrzejszego, ale z braku czasu stać go było jedynie na kolejną improwizację.

Markując kaszlnięcie, machnął ręką Paulinie, która właśnie ukazała się w drzwiach pokoju i odwrócił przodem do holu. Bordowowłosa kobieta skinęła głową recepcjonistce i ruszyła prosto w kierunku wlotu do korytarza. Tuż przed nim na stalowym postumencie stała doniczka z paprotką. Igor spojrzawszy teatralnie na zegarek, zrobił krok w kierunku kwietnika i tuż przed zmierzającą nieuchronnie w jego stronę kobietą przewrócił postumencie na ziemię. Doniczka grzmotnęła o posadzkę, a ziemia z nieszczęsną paprotką rozbryznięta się dookoła. Igor machnął ręką Paulinie, która z wąskiej szpary w drzwiach obserwowała z przerażeniem rozwój wypadków. Recepcjonistka krzyknęła jakieś nieokreślone słowo, najprawdopodobniej przekleństwo, kierowniczka zahamowała tuż przed leżącą na ziemi rośliną, a Paulina wyleciała z pokoju, jednym susem pokonała korytarz i zamknęła się w wucecie.

*

– Podleć bliżej! – Dermot zawisł nad ramieniem Ruperta. – To musiało być tutaj! Patrzcie! Ta posadzka to pewnie wylany beton. Wszystko zalali betonem, dokładnie tak jak mówił Ajgor!

Dron zbliżył się do żelbetowej ściany i zawisł przed postrzępionymi ościeżami.

– Nie wlecę tam! – Rupert pokręcił głową. – Zwykłym dronem może bym próbował, ale tym mowy nie ma!

– Dlaczego? – jęknął Jamie.

– Trzy miesiące musiałbym na niego pracować.

– Wlatuj! Dermot zapłaci w razie co. Zarabia tyle w tydzień.

– Od kiedy ty jesteś moim księgowym?

– Zamknijcie się! – warknął Rupert. – Spróbujemy. Ten dron ma od cholery czujników. Sam kontroluje odległość od przeszkód.

Quadrocopter zbliżył się do otworu i zatrzymał przed samą ścianą. Rupert powoli obrócił urządzenie wokół osi, ustawiając kamerę na wprost, i zacisnął zęby. Dron ruszył. Na podglądzie ukazały się ościeża otworu, które powoli przepłynęły z dwóch stron ekranu.

– Jesteśmy w środku? – pisał Jamie. – Udało się?

– Zamknij się! – Rupert pchnął drążki i kamera powoli obróciła się dookoła, ukazując wnętrze pomieszczenia.

– Zobaczcie tam! – Dermot pokazał palcem na ekranie. – To są chyba pozostałości poręczy, która schodziła w dół!

– Ja piernicę! – Jamie wpatrywał się jak urzeczony w ekran. – To naprawdę to miejsce. I rzeczywiście podłoga jest zalana nierówno betonem. Co jest? Co się stało?

Na ekranie laptopa pojawił się napis „No signal”.

– Jamie, zamknij się! – Rupert przesunął lekko drążek. – Sygnał zniknął.

Ekran na moment zafalował, po czym ponownie pokazało się wnętrze pomieszczenia.

– To tutaj, kilka pięter w dół, coś pożarło tego nurka.

– Co ty gadasz? – Jamie spojrzał na Dermota. – Zaplątał się i utopił. Nic go nie pożarło.

– Nie wiadomo. Ajgor mówił, że nigdy nie znaleziono ciała.

– Jasne! Niemcy tu hodowali groźną mutację śledzia.

Rupert drgnął i oderwał wzrok od ekranu. Plażą, jakieś sto metrów od nich, ktoś szedł w ich stronę.

Jamie podążył za jego wzrokiem i zbladł.

– Wylatuj! Wylatuj!

– Zamknij się, Jamie! Rozpraszasz mnie!

Dron obrócił się dookoła i ruszył w kierunku otworu w ścianie. W tym momencie sygnał ponownie zniknął.

– Kurwa! – wrzasnął Jamie. – Rozbije się teraz!

– Przestań, do cholery! – Zdenerwowany Rupert zacisnął zęby i podniósł głowę, patrząc w kierunku betonowego bunkra. – Ma wbudowaną pamięć. W przypadku zaniku sygnału wraca do punktu, z którego wyleciał, szukając najkrótszej drogi... Zaraz powinien sam wylecieć – mruknął, wpatrując się w niebo nad sarkofagiem. – Mam nadzieję.

Przez chwilę w milczeniu obserwowali wyrastający ponad zielenią i piaskiem szczyt budowli.

– No to koniec – jęknął Jamie, patrząc w kierunku plaży.

Dwie postacie zatrzymały się i przykładając ręce do czoła, przypatrywały się podejrzliwie trójce spiskowców.

Z cichym pomrukiem, z betonowego dachu bunkra wyleciał nagle dron i powoli wzniósł się do góry. Zawisł na moment na niebie, po czym ruszył z całą prędkością i po chwili znalazł się nad porastającymi wydumą sosnami.

Rupert sięgnął po swojego laptopa i trzymając kontroler drona jedną ręką, drugą wcisnął „enter”. Na ekranie wyskoczyło kilka ikonек.

Dwie postacie, które powoli zbliżały się w ich kierunku, ubrane były w mundury wojskowe Marynarki Wojennej.

Mężczyzna wszedł do holu i podszedł do kontuaru recepcji. Młoda kobieta uśmiechnęła się na jego widok.

– Pani kierowniczką już jest. Korytarzem prosto do końca. A, miał pan rację... – dorzuciła.

Mężczyzna właśnie chciał odejść sprzed recepcji. Zatrzymał się i spojrzał pytająco na dziewczynę.

– W jakim sensie?

– Ci ludzie, o których panu poprzednio wspominałam, byli tu po raz drugi. Dziennikarka ze Szczecina i jakichś dwóch mężczyzn. Nie udostępniliśmy im niczego, tak jak pan radził.

Mężczyzna zmarszczył brwi, kiwnął grzecznie głową recepcjonistce i ruszył w stronę wskazanego pokoju.

Gdy wszedł, kierowniczką obrzuciła go lustrującym spojrzeniem i wskazała ręką krzesło.

– Bardzo nas pan zaniepokoił, ale panu oczywiście ten materiał prześlemy. Ci dziennikarze u nas już byli.

– Pani w recepcji mi wspomniała.

– Właśnie. Bardzo to podejrzane, że jakaś szczecińska gazeta interesuje się tak tym tematem. Ma pan pendrive'a?

– Oczywiście. – Mężczyzna wyciągnął rękę z malutkim srebrnym kształtem.

Kobieta wetknęła urządzenie do jednego z portów USB i pochyliła się nad klawiaturą. Przez chwilę milczała, patrząc w otwierające się okna, po czym ściągnęła usta.

– Dziwne.

– Coś nie tak?

– Miałam je w tym katalogu. Program sam automatycznie wrzuca tutaj skany. A teraz nie ma.

Mężczyzna spojrzał na kobietę.

– Jak to nie ma?

– Nie ma... – Kobieta pokręciła głową. – Jeszcze sprawdzę, chwileczkę.

Muszą tutaj gdzieś być.

Mężczyzna patrzył na komputer kierowniczkę coraz bardziej zaniepokojony.

– Jak wyglądała ta dziennikarka? – spytał po chwili, mimowolnie zaciskając zęby.

Kobieta podniosła wzrok.

– Szatynka, średniego wzrostu. Ładna raczej.

– A mężczyźni?

– Mężczyźni? U mnie był tylko jeden. Wysoki brunet, z brodą. Wprawdzie na zewnątrz jeszcze... Boże! – przerwała. – Oni byli razem! Na zewnątrz był jeszcze jeden. Szczupły blondyn. Pomagał mi zmienić koło. Wysłałam na chwilę z pokoju.

Mężczyzna wstał z krzesła. Czy możliwe, że to oni tak przerobili tę babkę? Czy po prostu ma burdel w swoich plikach? Jeśli zdobyli się na taką akcję, to znaczy, że coś wiedzą i czegoś szukają. To nie jest zwyczajna dziennikarka, która pisze jakiś artykuł o życiu starego człowieka. Ale kim są ci faceci?

– Widziała pani, jakim samochodem przyjechali?

– Nie, to znaczy... – Kierowniczka, coraz bardziej zdenerwowana, bezwiednym ruchem przeczesła ręką włosy. – Stał tam duży terenowy samochód, którego wcześniej tu nie widziałam. Nie mamy za wielu gości. Granatowy. Musiał się pan z nimi minąć.

Mężczyzna przypomniał sobie, że jadąc tutaj z Darłówka, widział po drodze granatową toyotę land cruiser.

– Proszę nie zawiadamiać policji! – rzucił do kobiety surowo. – Ja się tym zajmę!

Wyszedł na zewnątrz, prawie biegiem dopadł swojego samochodu. Po chwili stary mercedes z piskiem opon zniknął za bramą ośrodka.

*

Paulina spojrzała na zegarek. Za piętnaście jedenasta. Kilka minut temu, gdy w końcu udało im się odjechać przed budynkiem, a strzeżona przez dwa

rozrośnięte srebrne świerki brama została za tylną szybą toyoty, w samochodzie na dłuższą chwilę zapanowała cisza. Paulina obwiniała za to gwałtowny skok endorfin, wywołany przestępczą akcją, a później reakcję organizmu na stres. Jeszcze teraz nie mogła się uspokoić i czuła, że z trudem dochodzi do siebie.

– Zgrałaś te pliki, naprawdę? – odezwał się w końcu Igor.

– Nie, ale zabrałam za to kilka arkuszy kalkulacyjnych i listę płac. – Paulina odetchnęła głęboko i wsadziła rękę do torebki, żeby się upewnić, że pendrive jest tam bezpieczny.

– Bardzo zabawne. Chcę mieć pewność, że nie będziemy musieli powtarzać tej akcji.

– Gdyby towarzystwo Johanna jednak się przy tym upierało, to beze mnie.

– Zdążyłaś zajrzeć do tych skanów? – spytał Johann.

– Kiedy? – Paulina spojrzała z irytacją na przednie siedzenie z widoczną zza oparcia jasnowłosą głową. – Prawie dostałam zawału z pośpiechu.

– Przez moment się bałem, że Johann jednak pomylił samochody i baba wróci za szybko – westchnął Igor.

– Na szczęście nawet przy mojej ignorancji pomylenie czerwonego audi z innym samochodem nie jest takie proste. – Johann uśmiechnął się z przekąsem.

– Chodzi mi o to, że może jednak nie zapamiętałem dobrze i stało tam na przykład jeszcze jedno audi.

– Jak się przyznamy do wszystkiego na jachcie i Bill to usłyszy, to pewnie od razu zadzwoni do mojego ojca – parsknął śmiechem Johann.

– Powiemy, że dostaliśmy to legalnie od miłej i uczynnej pani.

– Chyba że ta miła i uczynna pani dzwoni teraz na policję – mruknęła Paulina.

– Dlaczego miałyby to robić? – Igor spojrzał w lusterko. – Nie zostawiliśmy żadnych dowodów.

– Oo, dowodów to zostawiliśmy od groma. Nie sądzisz chyba, że zdążyłam zetrzeć wszystkie odciski palców z klawiatury i jej biurka.

– Już widzę, jak ta baba z bordową ondulacją zdejmuję twoje odciski

palców.

– Jestem strasznie ciekaw dalszego ciągu tej popieprzonej historii... – Johann pokręcił głową. – Nie mogę się doczekać, aż to przejrzymy.

Toyota skręciła w wąską uliczkę i potoczyła się powoli wzdłuż żywopłotu. Igor zaparkował i po chwili wchodzili na trap. Przywitał ich Bill, który z bardzo poważną miną i założonymi do tyłu rękami przechadzał się po dolnym pokładzie.

– Czy coś się stało? – Johann spojrzał na niego z niepokojem.

Bill zatrzymał się przed Johannem i zmarszczył krzaczaste brwi.

– Tych dwóch durniów, Harry’ego i Patricka, zatrzymała policja. Są w areszcie w Darłowie.

– Co takiego? – Johann otworzył szeroko oczy. – Z jakiego powodu?

– Wdali się w jakąś bójkę na plaży – westchnął Bill. – Ale to nie wszystko...

– A co jeszcze? Właśnie żartowałem, że jak mój ojciec dowie się o mnie... – Johann przerwał i rzucił porozumiewawcze spojrzenie Igorowi.

– Tak, sir? Czego miały się dowiedzieć sir Carley o panu?

– Nieważne. – Johann przewrócił oczami. – Mów, co się stało!

– Sir Carmondeley i panowie McGowan i Wickham zostali zatrzymani dla odmiany przez żandarmerię wojskową.

Rozdział 19

Gdy Gwen i Alice dotarły na pokład „Pandory”, w największej mesie na dolnym pokładzie trwała już w najlepsze narada. Bill chciał od razu powiadomić najbliższy konsulat oraz sir Jamesa Carleya, wobec którego jako swojego pracodawcy czuł się najbardziej zobowiązany. Johann kategorycznie się temu sprzeciwiał, argumentując, że sprawa pewnie da się łatwo wyjaśnić, a ojciec się tylko niepotrzebnie zdenerwuje.

– No, to cudownie... – Gwen, zdezorientowana i lekko przestraszona, ale i zgodnie z najlepszymi tradycjami swojego kraju chłodno zdystansowana i pełna angielskiej flegmy, usiadła na sofie obok Johanna i uśmiechnęła się z przekąsem. – Większa część obsady, w tym prawie cała załoga „Pandory”, trafiła właśnie do więzienia. Co dalej?

– Jakiś polski hostel? – zawtórowała jej Alice.

– Albo jutro obudzimy się bez jednej nerki.

– To nie czas na takie żarty, panno Gwen. – Bill popatrzył na nią karcącym wzrokiem. – Jeśli ojciec pana Dermota, sir Carmondeley, się o tym dowie, to będziemy mieć niezłą przeprawę.

– Bo dla Ruperta akurat byłaby to niezła reklama – parsknęła śmiechem Alice, ale szybko, widząc wzrok Billa, zasłoniła się ręką.

– Zamiast się natrzęsać, lepiej powiedzcie, co mamy robić. – Johann spojrzał na Gwen i Alice.

– A musimy coś robić? – Gwen nie wytrzymała i też parsknęła śmiechem. – Noc w areszcie im wszystkim dobrze robi.

– Czy w ogóle wiadomo, o co poszło? – wtrącił Igor, widząc, że rozmowa nieprędko zejdzie na jakieś konkretne decyzje. – Skąd się wzięła ta żandarmeria wojskowa?

– Panowie podobno weszli bez zezwolenia na teren jednostki wojskowej. – Bill chrząknął. – Funkcjonariusz, który ze mną rozmawiał, nie mówił najlepiej po angielsku.

– Co się robi w takim wypadku w Polsce? – Gwen popatrzyła na Paulinę.
– Trzeba kogoś przekupić?

– Tak, dokładnie tak samo jak w Anglii – odparła z przekąsem Paulina – Trzeba zanieść worek z pieniędzmi do najbliższej jednostki NATO. W tym przypadku to będzie dowództwo Korpusu Północno-Wschodniego w Szczecinie.

– Proszę państwa, w ten sposób do niczego nie dojdziemy. – Bill pokręcił z niezadowoleniem głową, po czym spojrzał na Igora. – Panie Ajgorze, pan jest Polakiem i wygląda pan na rozsądnego człowieka, zwłaszcza na tle moich pracodawców. Co powinniśmy zrobić?

Igor, wywołany niespodziewanie do odpowiedzi, podniósł wzrok i zobaczył wbite w siebie pięć par oczu, w tym jedną, należącą do Pauliny, z wyraźną kpinią.

– Żandarmeria wojskowa wzywa policję w takim przypadku. – Wzruszył ramionami. – Za godzinę, dwie pewnie wylądują w najbliższym areszcie, czyli w Darłowie. Sądzę, że wypuszczą ich po spisaniu jakiegoś protokołu. Gorzej z chłopakami...

– Dlaczego? – Kapitan wyglądał na bardziej zaniepokojonego losem swojej załogi niż pasażerów.

– Policja ma prawo zatrzymać ich na czterdzieści osiem godzin, a nawet siedemdziesiąt dwie, jeśli wpłynie wniosek o tymczasowe aresztowanie. Zadzwoni do tego prokuratora. – Spojrzał na Paulinę.

– I co mu powiem?

– Że to nieporozumienie. Nie znają polskiego, nie wiedzieli, że to teren jednostki. Ogrodzenie, myśleli, że jest tylko ze względów bezpieczeństwa. Powiedz, że to moja wina, bo im tego nie wyjaśniłem. Jak wypuszczą Dermota, to on się zajmie chłopakami, w końcu to prawnik.

– Racja! – Johann przytaknął, mimo że ostatnie kwestie Igor powiedział do Pauliny po polsku. – Wyciągnijmy najpierw Dermota, a potem niech on się zajmie chłopakami. Było nie było, to prawnik.

Paulina spojrzała na Igora i Johanna. Od kiedy oni zaczęli się tak dobrze rozumieć? Westchnęła. Nie była zadowolona z takiego obrotu spraw. Olszański mógł źle odebrać tego rodzaju telefon. A fakt, że jest dziennikarką,

dotatkowo sprawę pogarszał. Sięgnęła po swoją torebkę i wyjęła komórkę.

*

Mężczyzna przejechał prostą jak strzelił ulicą Zwycięstwa z maksymalną prędkością, jaką umożliwił mu ruch na drodze. Toyota jechała w kierunku Darłówka. Gdyby jechali do Darłowa, Słupska lub wracali do Szczecina – dziewczyna była ze Szczecina – to pojechaliby ulicą Lotników Morskich, praktycznie w drugą stronę. Więc wniosek z tego, że musieli jechać do Darłówka. Najwyraźniej gdzieś się tam zatrzymali. Laska do niedzieli nocowała w Rekinie, może teraz przeniosła się bliżej... Bliżej czego?

Port! Może ci dwaj przy płynęli jachtem. Mężczyzna miał nadzieję, że jeśli gdzieś się zatrzymali w Darłówku, to ich znajdzie. Takich toyot nie mogło być więcej niż jeszcze jedna, może dwie. Skręcił w Dorszową, potem w Rybacką. Stały tutaj mniejsze i większe pensjonaty, przy których były niewielkie parkingi. Zwolnił i wypatrywał wielkiej granatowej terenówki. Dojechał prawie do końca i zawrócił. Dalej nie było przejazdu. Wrócił do skrzyżowania i ulicą Wilków Morskich pojechał dalej. Przy niewielkim placyku ze świeżo zasadzonymi młodymi drzewkami zwolnił i na chwilę stanął. Dalej były bazy rybackie i zabudowania portu. Po prawej stało mnóstwo niewielkich domów, gdzie prawie wszędzie były pokoje do wynajęcia, ale jakoś nie widziało mu się, by zatrzymali się w takim miejscu. Rozejrzał się. Od placyku odbiegała droga dojazdowa do nabrzeża. Po jej lewej stronie pysznił się równo przycięty żywopłot. Mężczyzna rozejrzał się dookoła. Nigdzie nie było widać wielkiej toyoty.

*

Prokurator Olszański wysłuchał wyjaśnień Pauliny w milczeniu. Przez chwilę w słuchawce trwała cisza.

– Szczerze mówiąc... – odezwał się w końcu – ...myślałem, że dzwoni pani do mnie w innej sprawie...

– Bardzo przepraszam, że zawracam głowę taką historią, ale to naprawdę zwyczajne nieporozumienie. Jeśli grozi za to jakaś kara finansowa, to oczywiście nikt się nie będzie uchylał. To nasza wina, powinniśmy byli im

powiedzieć, że cały ten teren to obszar jednostki wojskowej...

– Pani Paulino – Olszański wpadł jej w słowo. – Na posterunku dyżurny spisze tylko protokół i wypuszczą ich za godzinę. Na te wydmy każdego lata wchodzi dziesiątki osób, które tłumaczą się tak samo. Gdybyśmy wszystkich mieli zamykać, to trzeba by wybudować obóz dla więźniów pod Darłowem.

Paulina, chociaż w zasadzie spodziewała się takiego obrotu sprawy, i tak poczuła ulgę.

– Natomiast ci dwaj Anglicy z załogi, jeśli rzeczywiście wdali się w bójkę, to zostaną zatrzymani do wyjaśnienia. Ale proszę się także nie martwić. Bardzo wątpię, żeby ktoś wniósł skargę do sądu w takiej sytuacji, więc pewnie najpóźniej pojutrze wyjdą.

– Dziękuję, uspokoił mnie pan.

– Zróbmy tak – Olszański westchnął. – Zadzwoń na komendę i popytam, co i jak. Oddzwonię do pani, jak będę coś wiedział.

– Będę bardzo wdzięczna.

– Natomiast, jak wspomniałem, myślałem, że dzwoni pani w innej sprawie...

– Czy o czymś powinnam wiedzieć? Coś się stało? – Paulina ściągnęła brwi.

– Zamykamy właśnie śledztwo w sprawie śmierci Wyrzykowskiego, niemniej mam pewne wątpliwości...

Paulina wstrzymała oddech. Jakie wątpliwości?

– To znaczy? – spytała ostrożnie.

– Przemawia przede mną wyłącznie intuicja lub, powiedzmy, długoletnie doświadczenie... – Olszański zawiesił na moment głos. – Mam wrażenie, że nie wszystko w tej sprawie jest oczywiste, dlatego...

– A co nie jest? – wpadła mu w słowo Paulina.

– Powtarzam, że to tylko jakieś przeczucie, niemniej proszę zachować ostrożność.

– Jutro najpewniej będę już w Szczecinie. Zebrałam właściwie cały materiał, więcej niż przypuszczałam, więc raczej nic mi już nie grozi. – Paulina się uśmiechnęła.

– Jest pewien człowiek. Kolega Stasiaka. Nazywa się Bolesław Kukła. Mam wrażenie, że coś go z tą sprawą łączyło. Proszę na niego uważać.

Paulina zanotowała w pamięci nazwisko mężczyzny. Przez krótką chwilę czuła niepokój, ale na widok Igora, który stał już na dolnym pokładzie i kiwał ręką, żeby się pośpieszyła, jej obawy się ulotniły.

Pożegnała się z prokuratorem i wrzuciła telefon do torebki.

*

Na wschodnią stronę Wieprzy można było się dostać wyłącznie rozsuwanym mostem, którego skrzydła co jakiś czas wjeżdżały głęboko w prowadnice na obu brzegach, by umożliwić przepłynięcie kutrom i jachtom. Mężczyzna zaparkował samochód na wolnym miejscu niedaleko skrzyżowania Wilków Morskich i Władysława IV i ruszył pieszo w kierunku przeprawy na wschodni brzeg. Stało tam kilka droższych hoteli, a zwłaszcza Apollo. Możliwe, że tam się zatrzymali. Nie pasowało mu wprawdzie, że pojechali akurat tędy. Musieliby tutaj gdzieś zostawić samochód i iść pieszo. Most, jak i większość uliczek wokół niego, był zamknięty dla ruchu kołowego. Lepiej było nadłożyć drogi, pojechać Lotników Morskich do nowej obwodnicy Darłowa i podjechać samochodem pod sam hotel. Zaczął się zastanawiać, czy jednak ich nie zgubił. Pojechał za nimi kierowany intuicją. W Neptunie najwyraźniej gwizdnęli skany i w dodatku posunęli się do tego, żeby wykasować je z komputera tej baby. Po co by to robili? Musi się za tym kryć coś więcej. Jakaś pierdolona konkurencja! Musi jak najszybciej powiadomić Sierowa.

Most na szczęście był otwarty. Wszedł po szerokiej pochylni na kładkę i ruszył w kierunku wznoszącej się po drugiej stronie Wieprzy okrągłej wieżyczki sterowniczej. W połowie długości przystanął i rozejrzał się dookoła. W grę oprócz Apolla wchodziło jeszcze kilka hoteli. Wszystkie skupione były niedaleko siebie. Obejrzał się. Przecież nie nocują w jakimś obskurnym pokoju w którymś z prywatnych domów? I wtedy ujrzał coś, co kazało mu zatrzymać się przy balustradzie. Przy zachodnim brzegu, na wysokości fioletowego baraku dawnego terminalu odpraw granicznych, a obecnie Terminalu Sztuki stał ogromny biały jacht.

*

Bolo nie wierzył w żadne duchy ani upiory. W żadną klątwę też, ale fakt pozostawał faktem. Odkąd poleźli ze Stasiakiem na kłusowanie do tego lasu przy szosie do Sławna, wszystko im się układało nie po myśli. Nogę po tym, jak wlaźł we własne wnyki, musiał leczyć całe lato, a i tak nadal lekko kulał. Potem zmarła stara Stasiaka. Brak kasy nie był u nich wprawdzie niczym nowym, ale do tej pory Jaro miał przynajmniej co jeść. Jadźka swojej renty pilnowała, dzięki czemu w domu zawsze było coś na stole i czasem nawet, jak już zdarzyła się zupełna posucha, jakąś kasę mu odpaliła na wodę. A potem Stasiak zaczął pracę na lotnisku, w kempingach, i tam poznał tych Ruskich. To oni go wciągnęli w ten burdel. Gdy mu Stasiak o tym powiedział, o tej ich propozycji, to Bolo nawet w pierwszej chwili mu zazdrościł. Sam zaoferował, że mu pomoże. Jeden dom, prosty włam, bez alarmu. Kurwa! A teraz Stasiak nie żyje.

Bolo postanowił więc najpierw zacząć od początku tej historii. Ta dziennikarka oczywiście nigdy by tu z nim nie przyszła. Głupia by chyba była. Sam by ze sobą tutaj nie przyszedł. Ale wymyślił, jak ją tu zwabić. Bali się ze Stasiakiem powiedzieć komuś o tym bagnie, boby się wydało, że kłusowali. Może teraz, jak załatwi tę sprawę, to wszystko się ułoży. Karta się odwróci. Może potrzebna jest taka właśnie ofiara?

Zawiązał na gałęzi rosnącego tuż przy ścieżce krzewu czerwoną wstążkę, po czym sięgnął po torbę i zarzucił ją sobie na plecy. Ruszył dalej gruntową, ubitą drogą, pomiędzy rozrastającymi się wszędobylsko młodymi olszami i wierzbą.

*

Sierow stał na pokładzie kutra, oparty o reling burty i wpatrywał się w morze. Było pokryte drobnymi falami, które nawet nie pieniały się na grzbietach. Spokój. Za pół godziny mieli osiągnąć pozycję. Na dół schodzili dzisiaj Zetlers i Woronin. We dwóch poradzą sobie szybciej. Było dość głęboko, ale za to ładna pogoda. Jakby na tę głębokość któryś z nich schodził z Saszą lub Iwanem, to musieliby ich pilnować. Zresztą Sierow obawiał się, że znowu będzie to samo. Niczego nie znajdą. Szukanie zatopionej łodzi podwodnej w ten sposób to zajęcie prawie równie skuteczne, jak szukanie

igły w stogu siana. Nawet mając współrzędne, jak się okazuje. Aleks nigdy mu nie powiedział, skąd ma ten spis namiarów. Jakaś stara historia ponoć. Kilkanaście pozycji, z czego większość już sprawdzili.

Usłyszał za sobą stuk zamykanych drzwi i na pokład wyszli Iwan z Woroninem. Oparli się o burtę obok Sierowa. Iwan zapalił papierosa.

– Dla przyjemności, a myślisz, że po co? Widziałeś te laski?

Do Sierowa dotarła kontynuacja jakiejś rozmowy.

– No obie całkiem, całkiem. Ta szatynka lepsza, ale obie fajne.

– Tacy kolesie mają tyle kasy, że kupują sprzęt, na jaki my byśmy musieli harować pół życia. Najlepsze marki. Mają nawet skutery podwodne i ROV-a[32].

– I to wszystko się marnuje, bo jakieś bogate pedałki chcą sobie ponurkować. – Woronin splunął za burtę.

– O czym wy, kurwa, gadacie? – nie wytrzymał Sierow.

– Iwan wczoraj miał wachtę i lukał sobie dookoła lornetką... – Woronin podrapał się po plecach. – Ci kolesie z białego jachtu, co stoi przed nami w porcie, mają lepszy sprzęt podwodny niż my.

– Pewnie nawet nie wiedzą, jak go używać, a my się musimy męczyć – mruknął Iwan.

Sierow wzruszył ramionami.

Co go to obchodzi? Pies im mordę lizał.

*

Bill i Alice przechadzali się nerwowo po chodniku przed wejściem do komendy policji w Darłowie. Gdzieś z góry, spomiędzy wysokich koron rosnących przed budynkiem świerków, dochodził lekki szum wiatru, który mógł zapowiadać zaplątaną w gałęziach rozłożystych konarów zmianę pogody.

Na komendę wybrali się z oczywistych względów Igor i Paulina. Bill utrzymywał, że jako kapitan Harry'ego i Patricka powinien ich zobaczyć. Także Johann był zdania, że właściciel jachtu musi przy tym być, a Alice uznała, że chętnie się przejedzie. I mimo że na pokładzie została w efekcie

tylko Gwen, i tak musieli, ze względu na ewentualność powrotu z trzema aresztantami, zabrać dwa samochody.

– Mam nadzieję, że to wszystko się źle nie skończy – mruknął Bill, który z założonymi na plecach rękami chodził tam i z powrotem, czym zaczął denerwować zrazu usiłującą to ignorować Alice.

– Igor i Paulina to załatwią. Poza tym słyszał pan, że ten ich prokurator tutaj dzwonił.

– Ja nie wiem... – Bill przystanął. – To jest jednak Polska.

– Niech pan nie przesadza, kapitanie. Ludzie tu nie giną.

Bill chciał się odezwać, ale w drzwiach frontowych komendy pojawiła się Paulina, a za nią cała reszta towarzystwa z trzema przestępcami włącznie.

– No, wreszcie jakaś poważna alternatywa dla Szkocji. – Jamie stanął u szczytu schodów i odetchnął głęboko. – Będę mógł się chwalić w Londynie, że spędziłem prawie cały dzień we wschodnioeuropejskim więzieniu z groźnymi degeneratami.

– Konkretnie trzy godziny tam spędziłeś. – Dermot popatrzył na zegarek. – I byliśmy w tym więzieniu sami. We trzech, nie licząc Patricka i Harry'ego.

– Może ja miałem na myśli was dwóch?

– Gdybyście bliżej weekendu się postarali, to pewnie mielibyście lepsze towarzystwo. – Paulina grzebała w torebce, szukając kluczyków.

– A gdzie właściwie jest dron? – zainteresował się Johann.

– Wojsko odda za dzień albo dwa. Muszą sprawdzić, czy nie sfilmowali czegoś, czego nie wolno. – Igor wyjął z kieszeni kluczyki i otworzył drzwi. Toyota błysnęła światłami i zaświergotała radośnie.

– No proszę... – Rupert popatrzył na niego z niedowierzaniem. – Przecież to wszystko jest już dawno w mojej chmurze.

Igor wyszczerzył do niego zęby i wzruszył ramionami.

– Naprawdę masz ten film? – Dermot spojrzał na Ruperta z niedowierzaniem. – Jak to zrobiłeś? Przecież dron zapisuje na karcie pamięci.

– Każdy fotomodel to potrafi... – Rupert rzucił Dermotowi protekcyjnalne spojrzenie. – W odróżnieniu od prawników.

– Zabawny jesteś. Przynajmniej to obejrzę. Tam prawie niczego nie widziałem, bo mi obaj zasłaniaлиście.

– Następnym razem musimy od razu przesyłać na YouTube... – Jamie wyszczerzył zęby i wsiadł na tylne siedzenie toyoty.

– A co z chłopakami? – Bill spojrzał w kierunku drzwi komendy.

– Niestety, muszą zostać te czterdzieści osiem godzin. – Paulina pokręciła głową z niezadowoleniem. – Szukają czterech Polaków, z którymi się pobili, i świadków. Tylko jakieś dwie dziewczyny były z nimi, całkiem pijane, i złożyły wykluczające się zeznania.

– Powinni szorować pokłady do końca rejsu – mruknął Dermot, wsiadając do samochodu Igora.

– Lepiej nie. Wolę jednak w kuchni Patricka niż was, dziewczyny – zawołał Jamie z tylnego siedzenia toyoty. – Bez urazy!

*

Artiom rozpiął zamki, zdjął kryzę i rękawice i uwolnił się z górnej części skafandra. Oparty o burzę, ciężko oddychał. Woronin obok walczył z manszetami. Obaj byli zmęczeni i wyraźnie zmarznięci. Artiom czuł, że zaraz zacznie szczełkać zębami z zimna. Zaciśnął pięści i czekał, aż słońce go ogrzeje. Sierow stał naprzeciwko nich i patrzył niecierpliwie.

– I jak?

Artiom miał mieszane uczucia. Intuicyjnie spodziewał się wprawdzie kłopotów w związku z tym, co przed chwilą odkryli na dole, ale z drugiej strony, sam był pod wielkim wrażeniem i paliła go ciekawość.

– Jest – powiedział Woronin, ciężko dysząc po zdjęciu kryzy skafandra.

– Jest? Naprawdę? – Sierow był poruszony.

– Tak, ale wygląda kiepsko. – Woronin usiadł ciężko na przymocowanym do burty kontenerze tratwy ratunkowej.

– Leży bardzo głęboko – wyjaśnił Artiom. Czuł, jak ciepłe promienie słońca grzeją mu rozkosznie kark i plecy. – Ponad sto metrów. Bardzo krótki czas denny, jakieś dwanaście minut i godziny wynurzenia. We dwóch nie poradzimy sobie ze sprzętem, a Iwan i Sasza na tej głębokości odpadają.

Woronin potwierdził słowa Artioma, smętnie kiwając głową.

Sierow zaklął.

– Będziemy musieli jakoś sobie poradzić. Sasza i Iwan będą was asekurować.

Artiom zacisnął zęby. Ciepło powoli rozlewało się po jego ciele. Jeszcze tylko chciał się pozbyć tego skafandra.

– Myślę, Władimir, że musimy pogadać. – Spojrzał twardo na Sierowa.

Ten rzucił przelotne spojrzenie Woroninowi, który właśnie zrzucił z siebie czarny neoprenowy kostium, i wbił wzrok w Łotysza.

– Jeśli o kasie, to zapomnij – warknął. – W umowie między nami nic nie było o głębokości.

– Ale miało być czterech nurków.

– Poradzimy sobie, nie pękaj. – Woronin odetchnął i poklepał po plecach Artioma.

– Gównu sobie poradzimy! – warknął Setlers, patrząc złym wzrokiem na Sierowa. – Nigdy mi właściwie nie powiedziałeś, co będziemy przy tym wraku robić, ale ja durny nie jestem. Wiedziałem, że trzeba będzie się do niego dostać. Przerąbanie się palnikami przez jakiś stalowy szmelc, zakładając, że w ogóle to się uda, zajmie kilka godzin! Czterech nurków pracowałoby na zmianę. Przy tej głębokości, czasie dennym i czasie na dekompresję to zajmie kilka dni. A do tego przy tych mieszankach gazowych schodzić się powinno właściwie tylko raz na dobę. Takie prace to się wykonuje z dzwonem na dobrą sprawę. Nie mam racji, Wadim?

Woronin, wyrwany do odpowiedzi, przez chwilę nic nie mówił, po czym spojrzał na Sierowa i niechętnie pokiwał ciężko głową.

– To czego ty chcesz, Zetlers? – Sierow zacisnął szczęki.

– Czy ty mnie nie słuchasz, Sierow? Ja ci mówię, że sami z Wadimem nie dostaniemy się tam przez tydzień.

– Kto mógł, kurwa, przypuszczać, że łódź znajdziemy akurat w tym miejscu? Prawie w samej Głębi Bornholmskiej?

– Miałeś współrzędne.

– Postanowiłeś się dzisiaj czepiać? Teraz, jak akurat znaleźliśmy łódź?

– No właśnie! – Artiom wytarł czoło. Pochylił się i zaczął ściągać cały kombinezon. Po chwili stał na pokładzie w samych spodenkach i przepoconym podkoszulku. Lekkie bryzy morskiej wody wpadały co chwilę przez otwory w burtach, bryzgając na nich pianą.

– Co znowu?

– Może ty rzeczywiście uważasz mnie za głąba, ale, kurwa, nawet głąb odróżni ruską łódź podwodną od U-Boota!

*

Nad widocznym u wylotu portu horyzontem niebo groźnie ciemniało. Zapowiedź zmiany pogody okazała się prawdziwa i na niebie gromadziły się ocieężałe, grafitowe chmury. Wiatr poruszał parasolami rozpiętymi nad rządkiem stolików małej restauracji przy nabrzeżu wschodnim, a deszcz wisiał w powietrzu.

– Boże, jaki ja jestem głodny! – Dermot co rusz podnosił głowę i wypatrywał w czeluści wejścia do wnętrza restauracji kelnera. – Przez tę całą awanturę od rana nic nie jadłem.

– Mogłeś zostać na pokładzie – mruknął Jamie. – Pewnie bez ciebie nie byłoby tych wszystkich kłopotów. Zamknęli nas dlatego, że zacząłeś głośno wrzeszczeć i machać łapami.

– Pytałem, o co im chodzi. Nie moja wina, że nie mówili po angielsku.

Kilkadziesiąt metrów dalej przy brzegu kołysał się brązowy, dwumasztowy żaglowiec z wymalowaną na burcie nazwą „Król Eryk I”. Johann przypatrywał mu się z zainteresowaniem i w końcu spojrzał na Billa.

– To naprawdę jest okręt Eryka Pomorskiego? Jakaś replika?

Igor parsknął.

– Chyba żartujesz? Galeon?

– Jeśli chodzi o mnie... – Bill pokiwał głową – ...to on nawet na galeon specjalnie nie wygląda. Bardziej już chyba przypomina śródziemnomorskie karaki.

– Ja jestem księgowym, mówcie bardziej zrozumiale – jęknął Jamie.

– Karaka to statek handlowy, który pływał po Morzu Śródziemnym

w piętnastym wieku. Miał dwie nadbudówki, rufową i dziobową, oraz jeden lub dwa maszty z ożaglowaniem rejowym i jeden bezanmaszt z ożaglowaniem łacińskim.

– Bezanmaszt?

– Tylony maszt. Galeony powstały...

– A to ożaglowanie? Jezu...

Bill westchnął.

– Rejowe to takie, jak jest pozioma belka, czyli reja, mocowana do masztu, na której zawieszony jest żagiel, a łacińskie to trójkątny żagiel mocowany do długiej ukośnej rei – wyjaśnił Dermot.

Bill pokiwał głową i zaczął mówić dalej.

– Galeony zaprojektowano, wzorując się na konstrukcji karak właśnie, tyle że były dużo większe. Miały służyć jako statki handlowo-wojenne do obsługi długich tras pomiędzy Hiszpanią a koloniami w Ameryce. Na dziobie miały charakterystyczny pomost z jakąś figurą, tak zwanym galionem, a na rufie wielopiętrowe często nadbudówki. Do tego trzy lub cztery maszty, w tym pierwsze dwa rejowe, wielopiętrowe często, pozostałe z ożaglowaniem łacińskim, do tego bukszpryt z żaglem nadbukszprytowym i podbukszprytowym. Karaki też miały niekiedy pod...

– A co to jest bukszpryt?

– Jamie... – Dermot spojrział na niego z politowaniem.

– Skąd mam to wiedzieć?

– To drzewce wystające na dziobie.

– Czytałam, że karaki pojawiały się także na północy Europy – odezwała się Alice.

– Tak – zgodził się Bill. – Był taki typ okrętu w piętnastym wieku. Podobny do karaki, tylko z galerią na rufie oraz z charakterystycznymi beczkami balastowymi z oliwą zawieszanymi na obu burtach.

– To jakim statkiem właściwie pływał Eryk? – Johann uśmiechnął się do kelnera i zabrał łokcie ze stolika. Kelner zaczął rozkładać sztućce.

– Najprawdopodobniej kogą lub holkiem. To były w owym okresie najbardziej rozpowszechnione okręty na Bałtyku.

– To nie mogli zrobić repliki takiego okrętu? Czemu akurat galeon?

– Bo galeon to galeon. – Jamie spojrzał radośnie na talerz z pizzą, który postawił przed nim kelner. – A poza tym turystów nie obchodzi, czy miał jeden maszt mniej, czy więcej. Ważne, że jest śmiesznie.

– A jak wyglądały koga i holk? – Gwen wpatrywała się z namysłem w żaglowiec, z którego schodziła właśnie po trapie kolejna grupa uszczęśliwionych dzieciaków z rodzicami.

– Koga była płaskodenna. Miała jeden maszt rejowy, a na rufie i dziobie kasztele z rzeźbionymi blankami, za którymi stały armaty. W kasztelu na dziobie znajdowały się kabiny załogi, a na rufie kapitana i kupców, bo trzeba wiedzieć, że koga była głównym statkiem Hanzy. Holk natomiast był większą i nowocześniejszą wersją kogi i miał dwa maszty. Niektórzy twierdzą, że koga pochodzi od knarra, czyli płaskodennego statku handlowego wikingów.

– No, to jej replika byłaby nawet ciekawsza – mruknął Johann z ustami pełnymi ciasta.

– Tylko tak naprawdę do końca nie wiadomo, jak w rzeczywistości wyglądała koga. – Igor wzruszył ramionami. – Zachowały się większe lub mniejsze fragmenty, ale nie całość.

– To prawda – przytaknął Bill. – Jest znana właściwie głównie ze średniowiecznych opisów, rejestrów handlowych czy wizerunków na pieczęciach.

Igor odsunął talerz i sięgnął po chusteczkę.

– W tysiąc osiemset siedemdziesiątym drugim roku, podczas rozbudowy portu w Gdańsku, wykopano z mułu doskonale zachowany wrak średniowiecznego okrętu. Płaskodennego, jednomasztowego, osiemnastometrowej długości, z poszyciem łączonym żelaznymi nitami. Na podstawie budowy steru datowano ją na trzynasty wiek.

– No i co się z nim stało? – zaciekawił się Jamie.

– Spłonął.

– W czasie wojny?

– Nie! – Igor pokręcił głową. – Porąbany przez budowlańców na opał[33].

– Żartujesz? – Jamie zastygł z ustami pełnymi pizzy. – Co za głąby!

Przez chwilę jedli w milczeniu. Wodę w Wieprzy wzburzył niespodziewanie gwałtowny podmuch wiatru. Powiewająca przy wejściu do sąsiedniego budynku kolorowa flaga z reklamą hoteliku załopotiała w proteście. Na kolorowy polbruk przy nabrzeżu spadły pierwsze nieśmiałe krople deszczu.

– Jedzcie szybciej i wracamy. – Alice sięgnęła po szklanę z sokiem. – Zobaczcie, jak się pogoda psuje. Za chwilę będzie lało.

Niebo nad zachodnią mierzeją zrobiło się prawie czarne. Od strony morza nadciągały groźne chmury, za którymi czaiła się burza.

*

Sierow wyszarpnął telefon z kieszeni i popatrzył na wyświetlacz.

A ten czego? – pomyślał, widząc znajomy numer.

Po rozmowie z Artiomem rozboleła go głowa. Pieprzony Zetlers. Zbył go na razie jakimś tekstem, że porozmawiają potem, ale wiedział, że Łotysz nie odpuści. A teraz był akurat najgorszy moment, żeby się go pozbyć. Nigdy nie miał lepszego nurka. Po szkoleniu w marynarce i pracach na dużych głębokościach. Nawet Woronin, który dobrze nurkował, nie mógł się z nim równać.

– Czego? Mówiłem, żebyś nie dzwonił na pokład – warknął.

– Ważna sprawa. – Głos w telefonie był zdenerwowany. – Ta laska, dziennikarka. Myśleliśmy, że wyjechała. Znalazła się!

Sierow zamilkł na moment. Teraz, gdy namierzyli wrak, materiały Wyrzykowskiego mogły nie mieć już żadnej wartości, ale coś w głosie rozmówcy sprawiło, że jednak zaczął słuchać uważnie.

– Gdzie?

– Jest w DarłóWKu. Na jachcie, który stoi o rzut kamieniem od waszego kutra.

– Mów jaśniej.

– Nazywa się „Pandora”. Wielki oceaniczny jacht. Weber przebywa na nim od niedzieli. Sprawdziłem trochę i okazuje się, że należy do angielskiego

właściciela. Facet nazywa się James Carley i ma dość ciekawe hobby. Brał kilka razy udział w poszukiwaniu zatopionych statków. Jest też nurkiem.

Sierow zamilkł na moment. Usiłował przetrwać usłyszaną wiadomość. Co to oznacza? Dziewczyna przejęła materiały po Wyrzykowskim. Teraz skontaktowała się najwyraźniej z bogatym poszukiwaczem wraków.

Przypomniał sobie w tym momencie poranną rozmowę Iwana z Woroninem. Jacht jest pełen profesjonalnego sprzętu do nurkowania i prac podwodnych...

*

Do zachodu słońca pozostały jeszcze niespełna dwie godziny, ale chmury, które pokryły całe niemalże niebo, były tak czarne i gęste, że błyskawicznie zrobiło się ciemno. Gdy wrócili na jacht, Dermot, Jamie i Rupert poszli zmyć z siebie pobyt w polskim więzieniu, jak to malowniczo określił Jamie, a wszyscy pozostali zajęli się na jakiś czas swoimi sprawami. Szybko jednak ściągnęli na dolny pokład i porzadzali się na sofach dookoła niskiej ławy, na której stał, niczym mroczny przedmiot pożądania, laptop Pauliny.

– Nie zacznę czytać, dopóki nie ma wszystkich – rzekła stanowczo Paulina na kolejne ponaglenia Johanna, który nie mógł wytrzymać z ciekawości. – Potem będę powtarzała w nieskończoność.

– Tyle nerwów mnie kosztowała operacja z tą babą, że to musi być coś niezwykłego. Przez wygłupy chłopaków przez cały dzień nie było nawet kiedy do tego zajrzeć.

– Ale film Ruperta potem będziesz chciał obejrzeć – mruknął Dermot.

– Może to, co pisze Wyrzykowski, będzie miało z tym coś wspólnego? – dodał Igor.

Na zewnątrz nagle błysnęło, a po chwili nad portem przetoczył się cichy grzmot.

– Oho! – Igor spojrział w kierunku oszklonych ścian. – Będzie jednak ta burza.

– No, mówiłam, że będzie. – Alice odwróciła się w kierunku wejścia do kuchni i wrzasnęła: – Jamie! Czekaamy!

Wokół niskiego stołu paliły się już kinkiety. Paulina podniosła pokrywę laptopa i pochyliła się nad stołem.

– Trzeba było wziąć mój tablet. – Igor przysunął się do niej i wbił wzrok w ekran. – Byłoby ci wygodniej.

– Trzeba było mi to wcześniej zaproponować.

– Mogę skoczyć zaraz...

– Nigdzie nie będziesz skakał! – Johann powstrzymał Igora, który zaczął się już podnosić. – Zaraz Gwen sobie przypomni, że zostawiła coś nie tam, gdzie trzeba...

– Johann! – Gwen spojrzała na niego z urazą.

– A Jamie polezie po kolejne ciastka... – Johann skończył wśród śmiechów pozostałych. – I w ten sposób do rana nie przeczytamy ani linijki.

– Bo zaraz pójde do kabiny i poczytam sobie sama – zagroziła Paulina, spoglądając ze zniecierpliwieniem na rozbawione towarzystwo.

Na zewnątrz znowu błysnęło i rozległ się kolejny, tym razem głośniejszy grzmot.

Od śmierci lotnika minęło chyba ze dwa XXgodnie, zanim matka w ogóle o tym wspomniała. Przez te dni chodziła cały czas jak struta i pogrążona była w jakichś ciemnych myślach. Pewnie się wtedy bała, że wpadną tutaj żołnierze z jednostki, że nas zamkną albo gdzieś wywiozą. Do tego coraz częściej ludzie zaczęli gadać po domach, że nasi żołnierze przegrywają na Wschodzie i że bombardowania miast są coraz częstsze. Dzisiaj po tylu latach mogę się jedynie domyślać, co XXtka czuła wtedy, mając w piwnicy zwłoki lotnika, któremu udzieliła pomocy i zataiła jego obecność przed Gestapo i wojskiem. Wysyłała mnie tam często po kartofle albo cebule. Warzywa leżały w skrzyni w narożniku pomieszczenia, a z drugiej strony pod ścianą, przXXXyty starym kocem, leżał trup. Bałem się tam chodzić. Trzymałem lampę tak, żeby widzieć ten podłużny kształt i nawet nabierając XXXmniaki do stalowego XXXrpaka, starałem się ani na moment nie spuszczać go z oczu. Dziś to wydaje się głupie, ale wtedy bałem się, że nagle spod koca wysunie się ręka i złapie mnie za nogawkę.

Któregoś XXia matka, która wcześniej jedynie co jakiś czas powtarzała mi, żebym pod żadnym pozorem nikomu, ale to nikomu nie opowiadał o tym, co się u nas stało, powiedziała, że musimy coś zrobić. Dzisiaj wiem, że zaczęła się bać, że zwłoki zaczną śmierdzieć, że ten zapach ktoś poczuje. Do niedawna przychodziły do nas czasem sąsiadki i siedziały potem z matką w kuchni i gadały, teraz matka ich unikała. Położyła na stole teczkę, którą miał przy sobie lotnik, wraz z saszetką, o której przekazanie prosił, i zaczęła wyjmować z szafy stare ręczniki i inne szmaty.

Pamiętam, że paliła mnie XXXkawość, co jest w owej teczce, ale gdy spytałem matki, czy nie zajrzy, odpowiedziała ostro, że nie chce nic wiedzieć. Gdy zapakowała teczkę w szmaty, owinęła je sznurem i schowała głęboko w szafie pod innymi popakowanymi ubraniami dziadka i ojca. Przez kolejne dwa dni, pamiętam, że siedziałem w domu sam, bo matka miała dużo więcej pracy, a dorabiała w Darłowie jako pomoc kuchenna. Jeździła rowerem. Na trzeci dzień, gdy wieczorem wróciła do domu, powiedziała, że trzeba wykopać dół w piwnicy. Od razu wiedziałem, o co jej chodziło, i pamiętam, że zmroził mnie strach, a matka dodała, że jak to zrobimy, to musimy jechać do XXXwitz.

– Gdzie jechać? – Dermot pochylił się w kierunku Pauliny. – Nie dosłyszałem.

– Nie wiem... – Paulina pokręciła głową. – Coś tam i ...witz. Jest nieczytelne.

– Chyba skaner nie poradził sobie w tym miejscu z pismem odręcznym. – Igor wpatrywał się w monitor.

– Poprzednio też były niewielkie błędy, ale tu jest ich więcej. Wyrzykowski mówił, że skanował w różnych miejscach. Pewnie ta bordowa baba ma gorszy skaner.

– Gdzie oni musieli jechać? – Johann podniósł głowę.

– Mogli przecież gdziekolwiek. – Alice wzruszyła ramionami.

– A może jej właśnie chodziło o tego właściciela ziemskiego... – Igor sięgnął po swój tablet. – Końcówka witz... Najbliżej są Karwice. Karwitz.

– Tam jest jakiś pałac? – Paulina odwróciła się do Igora.

– Ruina, w remoncie od kilkunastu lat. – Igor wzruszył ramionami. – Przed wojną były tam dwa majątki, ale ten drugi dwór nie ocalał.

– Blisko Dąbek, majątek ziemski, wszystko się zgadza... – Paulina otworzyła poprzedni e-mail od Wyrzykowskiego i przeczytała: – ... *usłyszałem nazwę wsi i nazwisko dziedzica. Wszyscy ich tu znali.*

– Wiadomo, kto był tam właścicielem przed wojną? – Johann spojrzał na Igora.

Igor pokręcił głową.

– Nie mam pojęcia. – Sięgnął po tablet i wpisał nazwę wsi. – Może coś znajdziemy w necie.

– A nie lepiej czytać dalej? Pewnie z tych kolejnych skanów się dowiemy. – Jamie postukał niecierpliwie łyżką w obudowę laptopa.

– Johann Anger – przeczytał Igor. – Strona gminy Malechowo podaje taką informację. A po jego śmierci, do wybuchu wojny, wdowa po nim, Minny Anger.

– To już wiadomo, że o ten majątek nie mogło chodzić. – Paulina zajrzała przez ramię Igorowi. – Miał być dziedzic. To ten pałac?

– Tak, neogotycki. Nie zachował się. Ten drugi natomiast stoi w ruinie. Właścicielem był, jeśli wierzyć gminie, jakiś Reinhold Wetzel.

Za oknami jachtu błysnęło. Niebo rozjaśniło się na moment stroboskopowym blaskiem, a po chwili zagrzmiało. Jeszcze mocniej niż do tej pory.

– Burza jest coraz bliżej. – Gwen spojrzała przez oszklone drzwi, za którymi widać było pograżony w mroku, oświetlony jedynie światłem latarni port. – Dziwne, że nie pada.

– No, czytajcie dalej! – jęknął Jamie. – Potem będziemy się zastanawiać, gdzie mieszkał ten Helmut.

Paulina otworzyła kolejny skan i pochyliła się nad ekranem.

Kopanie dołu w piwnicy trwało trzy dni. Ubita ziemia wymieszana z gliną łatwo się nie poddawała, a matka nie była żadną horpyną. Pomagałem jej tyle, ile mogłem, ale siedmioletni chłopiec na niewiele może się w takiej sytuacji przydać. Po trzech dniach w naszej piwnicy

ziała wielka dziura, obok której leżały zwały ziemi, gliny i fragmenty gruzu. Wieczorem, kolejnego dnia, przeciąXXXliśmy z matką zwłoki pilota i wrzuciliśmy je do dołu. Gdy wielki, okryty pledem toból sunął po ziemi, spod XXXwędzi starego koca wysunęła się ręka i ciągnęła za nim, podskakując na nierównościach ubitej gruntowej posadzki i zwałach wydobytej z dołu ziemi. Pamiętam, że byłem i XXXerażony, i zafascynowany tym jednocześnie. W dole zostało tyle miejsca jeszcze, żeby włożyć tam tę wielką walizkę z radiostacją. Teraz wiem, że miała trafić do tego szpiega z XXXwitz, ale matka postanowiła ją także zakopać. Uważała, że jakby ją u nas odkryli, to nic gorszego nie mogłoby się już wydarzyć.

Następnego dnia rano matka spakowała teczkę pilota do torby, ukryła ją wśród róXXYch maneli, kazała mi się ubrać i pojechaliśmy rowerem do Darłowa. Rower miał małe siodełko dla mnie, z którego powoli już wtedy wyrastałem. Z Koszalina jeździł wtedy autobus, który zajeżdżał po drodze do Darłowa, a następnie dalej przez Sławno jechał do Słupska. Matka zostawiła rower na plebanii koło rynku i w dalszą drogę ruszyliśmy autobusem. Dzisiaj wiem, że to było ryzyko. Czasem w autobusach pojawiała się Gestapo i kontrolowało wszystkich. W dodatku w owym okresie zdarzało się to już znacznie XXęsciej niż na początku wojny, ale matka była wtedy chyba zdesperowana, żeby pozbyć się w końcu problemu.

Autobus zatrzymał się na środku wsi, na skrzyżowaniu. Po prawej stronie rozciągało się jezioro, jak wóXXXas myślałem, a w rzeczywistości wielki, należący do majątku staw. Na folwark prowadziła długa droga, wysadzana drzewami i zakończona bramą, za którą rozciągał się ogromny dziedziniec, a na jego końcu stał pałac. Nigdy nie widziałem większego dworu i wtedy, ze swoją wysoką wieżą i ścianami XXXecionymi dzikim winem, wydawał mi się prawdziwym zamkiem z bajki. Ubrana w biało-czarny uniform służąca kazała nam wejść bocznym wejściem i poczekać w korytarzu. Była chyba zdziwiona, że jakaś zwykła kobieta ze wsi chce się widzieć z hrabią, ale matka zapowiedziała, że sprawa jest bardzo ważna i będzie czekała tak długo, dopóki dziedzic jej nie przyjmie. Minęło może pół godziny, aż w końcu kazano nam iść długimi korytarzami i wprowadzono do wielkiego holu, gdzie na ścianach wisiały trofea

myXXXwskie, ogromne obrazy i biała broń. Wielkie drzwi obok kominka otworzyły się i stanął w nich mężczyzna, ubrany w marynarkę i wysokie buty do konnej jazdy...

– No, to wiemy już, że to nie były Karwice. – Igor sięgnął po tablet i otworzył mapę okolic Darłowa.

– Czemu? – Paulina spojrzała na niego. – Ten neogotycki pałac, który mi pokazywałeś na zdjęciu, mógł małemu chłopcu wydawać się zamkiem z bajki. Pamięć jest zawodna.

– No, i jest tam w samym centrum wsi, przy drodze, wielki staw – dodał Johann, zaglądając Igorowi przez ramię.

– Ale autobus miał jechać do Sławna. – Igor obrócił tablet i pokazał zbliżenie mapy. – Karwice są z boku.

– Może tam tylko zajeżdżał. – Paulina wzruszyła ramionami. – Autobusy również dzisiaj tak kluczą, żeby jak najwięcej wsi się załapało.

– W Anglii też tak jest – powiedziała Gwen. – Autobusy robią prawdziwe łamańce, żeby zaliczyć więcej miejscowości.

– Hm... – Igor spojrzał ponownie na monitor. – Teoretycznie mógł robić takie kółko. Jechać do Karwic, a potem zakręcać i dalej do Sławna. Rzeczywiście...

Przez chwilę patrzył w ekran.

– Ale i tak mi nie pasuje. W Karwicach przecież w tym neogotyckim pałacu przed wojną została jakaś wdowa. Natomiast ten drugi majątek należał do niejakiego Reinholda Wetzela. To nie był raczej dziedzic, prędzej dzierżawca albo nawet wzbogacony chłop.

– Wyrzykowski pisze coś o wieży – wtrącił Johann.

– Racja! – podchwyciła Paulina. – To musi być jakiś pałac z wieżą.

– W takim razie trzeba szukać po drodze ze Sławna do Słupska. – Igor pochylił się nad tabletem i przesunął kursorem wzdłuż drogi. – W Noskowie jest pałac z wieżą, ale tam nie ma stawu.

– Noskowo nazywało się Natzkow, więc odpada. – Johann przeczytał krótką wzmiankę w Wikipedii.

– Następne jest...

– Czytajmy dalej. – Gwen spojrzała na Paulinę i skinęła głową w kierunku dziennika. – Może w dalszej części będzie coś więcej...

– Czekać! Następna wiocha za Noskowem. Sycevice! Zitzewitz!

Johann pochylił się nad tabletem Igora.

– I jest wielki staw przy drodze.

Igor wpisał nazwę wsi w przeglądarkę i otworzył jeden z pierwszych linków.

– O proszę! – mruknął i zaczął czytać rys historyczny miejscowości. – Majątek należał od czternastego wieku do rodziny von Zitzewitz, jednego z najznamienitszych tutejszych rodów. W tysiąc dziewięćset dwudziestym piątym roku Heinrich von Zitzewitz dziedziczy majątek po ojcu i wznosi nowy pałac w miejscu starego dworu. Przed samą wojną właścicielem majątku został najstarszy syn Heinricha, Wilhelm. Proszę, są i zdjęcia. Ogromny, neobarokowy pałac z wieżą.

Igor przesunął tablet na środek stołu. Wszyscy przez chwilę kontemplowali widok na starej widokówce. Ściany oplecione dzikim winem, stare drzewa przed frontem i wyzierająca zza ich konarów, nakryta wysokim hełmem wieża, pyszniły się na zatrzymanym w czasie obrazie w sepii.

– Wilhelm von Zitzewitz – przeczytała w końcu Paulina i podniosła wzrok. – No, to mamy naszego szpiega.

Rozdział 20

Gdy Paulina pochylona nad laptopem zaczęła czytać kolejny fragment dziennika, na zewnątrz nieco się rozjaśniło. Na zachodnim niebie, nisko nad horyzontem, pojawiły się nawet ostatnie błyski wyzierającego zza chmur słońca, a wiatr trochę osłabł i nie hałasował już tak, jak przez ostatnie kilkanaście minut. Tylko wciąż jeszcze słychać było szum w koronach rosnących nieopodal drzew i w trzepoczących plastikowych zadaszeniach. Burza jednak najwyraźniej przeszła bokiem.

Pamiętam, jak matka długo łamała sobie palce, nie wiedząc, jak zacząć. Dziedzic stał oparty o ogromne, wsparte na potężnych nieXXXiedzich łapach biurko i cierpliwie czekał. Chyba spodziewał się rozzierającej prośby o pomoc. Pewnie niejedną raz miewał tego typu wizyty z różnych, należących do ogromnego majoratu wsi. Matka XXXrzęsnęła nim już na wstępie.

Gdy usłyszał pierwsze słowa o lotniku i radiostacji, zbladł jak ściana. Przez chwilę myślałem wtedy, że nas wyrzuci za drzwi i doniesie na Gestapo, ale milczał tylko przez dłuższy czas, a potem zadał kilka pytań. Gdzie ukryliśmy zwłoki i raXXXstację, czy ktoś jeszcze o tym wie i czy dzieciak nie wygada? Pamiętam to jak dziś. Poczuję się tym „dzieciakiem” trochę przestraszony i trochę dotknięty.

Dziedzic rozmawiał jeszcze z matką przez dłuższą chwilę, przeglądając wszystkie dokumenty, a potem usiadł naprzeciw mnie i zaczął pytać o tamten dzień, gdy zauważyłem lotników na plaży. Chciał koniecznie wiedzieć, czy przeżyli. Z oczywistych względów to było w tym momencie najważniejsze. Jeśli któryś z nich zacząłby sypać, to wszyscy poszliby pod ścianę. Nie wyłączając pewnie mnie i matki. Hrabia kazał spakować wszystkie dokumenty i zabrać matce z powrotem. Obiecał, że zajmie się nimi, jak to będzie możliwe. Być może nie chciał ich trzymać pod własnym dachem.

A potem chodził po gabinecie tam i z powrotem, a my z matką

siedzieliśmy przestraszeni, nie wiedząc, co nas czeka. W końcu zatrzymał się, popaXXXył na matkę i powiedział, że musi kogoś ostrzec.

Usiadł przy biurku i napisał pismo polecające. Jako najzamożniejszy właściciel ziemski z okolic utrzymywał oczywiście stosunki towarzyskie z wyższymi oficerami i spotykał ich na rozmaitych rautach. Matka miała za sobą zaszczytną pracę w Reichsarbeitsdienst[34], w ramach której przez pół roku pracowała jako sanitariusXXXa w szpitalu w Koszalinie. Kilka dni później zatem zaczęła pracę jako pielęgniarka w kwaterach oficerów jednostki w Darłówwku, gdzie głównie miała mieć pod opieką niewielką gromadkę dzieci wyXXXych wojskowych, którzy stacjonowali tam z rodzinami.

W rzeczywistości miała wnieść po kryjomu do jednostki list, który napisał hrabia, i dostarczyć go kapitanowi Franzowi Schliemannowi.

To dla tego oficera właśnie alianccy lotnicy zrzucili radiostację.

Paulina przetłumaczyła tekst i podniosła wzrok.

– No proszę. Spodziewaliście się tego? Zrobili z niej szpiega.

– Radiostacja miała być dla brata Schliemanna... – Johann popatrzył zamyślony w okno. – Czyli rzeczywiście współpracował z aliantami. Dokładnie jak myśleliśmy. Pewnie wysłał jakąś dyskretną próbę nawiązania kontaktu, propozycję. Chyba jakoś tak robili, a Anglicy po weryfikacji skontaktowali go z Zitzewitzem, który być może od dawna już dla nich pracował.

Igor pokiwał głową.

– Alianci zyskali szpiega w samym środku tajnej jednostki, która produkowała prototypy nowej broni.

– „Latająca forteca” z akcji „Sorau”, skierowana tutaj z tajną misją, została niestety zestrzelona przez obronę przeciwlotniczą Wybrzeża.

– Pojmani lotnicy wyśpiewali wszystko albo część i Schliemann oraz jego towarzysze trafili pod ścianę – dokończyła Paulina.

– Zastanawia mnie, jaką motywację mogli mieć ci Niemcy, żeby zacząć pracę dla aliantów... – Igor podrapał się po brodzie. – To nie był jeszcze koniec wojny. Niemcy wciąż mieli silną pozycję.

– Franz Schliemann miał wystarczającą motywację – prychnęła Paulina. – Żonę i maleńką córeczkę, które z nim tam były.

– A reszta? Dwadzieścia dziewięć osób minus trzy, to pozostaje dwudziestu sześciu żołnierzy, którzy zdecydowali się razem z nim spiskować.

– Nie ma pewności, czy rzeczywiście z nim spiskowali. Niemcy mogli ich rozstrzelać profilaktycznie, za samą przynależność do tej załogi.

– No właśnie – odezwał się Johann. – Schliemann mówił, że jego brat służył w Kriegsmarine. Był dowódcą jakiegoś okrętu, który wyławiał z morza resztki pocisków tych nowych, eksperymentalnych dział. Może to była po prostu cała załoga? Z jakiegoś powodu postanowili przejść na stronę aliantów.

– Być może planowali nawet ucieczkę. – Igor się uśmiechnął. – Takie niemieckie *Polowanie na „Czerwony Październik”*[35].

– Może rzeczywiście chcieli przekazać aliantom jakieś materiały dotyczące tajnej broni? – Johann sięgnął po prawie już pusty kubek z herbatą. – To byłby dla nich bilet do nowego życia w Stanach albo w Ameryce Południowej. Załodze okrętu, w dodatku takiego, który z racji pełnionej funkcji i tak pływał tutaj po całym Bałtyku, byłoby względnie łatwo uciec. Co innego Wehrmacht. Ci nie mieliby wielu okazji.

– Radiostacja pewnie miała być zrzucona do morza, a ten okręt miał ją dyskretnie wyłowić. Wszystko się idealnie zgadza. – Paulina się zamyśliła. – Tylko że się nie udało...

– Czytaj dalej – Johann niecierpliwie wskazał brodą ekran.

Paulina otworzyła kolejną zeskanowaną stronę i pochyliła głowę nad laptopem.

Matka nie chciała ryzykować. Czekala na tyle dlugo, zeby wszyscy przestali patrzeć na niq jak na kogoś obcego. Dopiero gdy dzieci ja polubily, a zony oficerow przyzwyczaily sie do niej, wtedy postanowila dzialac. Ktoregoś dnia wrócila do domu i powiedziala, ze zrobila to. O tym, zeby o tych sprawach z nikim pod zadnym, ale to zadnym pozorem nie rozmawiac, powtarzala mi wówczas srednio kilka razy na dobe. Bywalo pózniej, ze zabierala mnie ze sobq do jednostki i bawilem sie

w niewielkim przedszkolu z innymi dziećmi. Było świetnie wyposażone, nigdy wcześniej nie widziałem tylu pięknych zabawek. Tamte dni były jak wyjęte z wojennego koszmaru, jakby mi ktoś ponownie na chwilę zwrócił dzieciństwo.

Kapitan był także ostrożny. Jeśli przeraziła go wiadomość o strąconym szpiegowskim samolocie, to musiał to głęboko ukryć. Nie miał innego wyjścia. Przez prawie trzy miesiące matka pracowała jakby nigdy nic, a kapitan czekał, aż wszystko się uspokoi. Dopiero w czerwcu powrócił do swojej działalności. Kilka razy matka dostała dokumenty i papiery, które musiała przewieźć do XXXwitz. Tam również chowała się za swoim wygodnym fachem pielęgniarki. Oficjalnie przyjeżdżała raz w tygodniu na kontrole higieniczne do dzieci hrabiego. Nie wiem, co było w tych dokumentach, ona też wolała tego nie wiedzieć. Być może były to informacje dotyczące miejsc skoszarowania jeńców lub mapy z rozlokowaniem poszczególnych budowli poligonu.

Jednak już pewnie wtedy nad naszymi głowami zbierały się ciemne chmury.

Któregoś dnia, to był, pamiętam, lipiec, matka dostała od Schliemanna kolejną kopertę. Tym razem jednak miała ją dostarczyć nie do hrabiego, a do zaprzyjaźnionego z kapitanem Franzem księdza Jacoba z kościoła Die St.-Gertrud-Kirche. Ksiądz wyjeżdżał na zachód i miał zawieźć list do brata kapitana.

Ale wtedy właśnie wszystko się skończyło.

Jak po każdym kolejnym fragmencie, który kończyła czytać Paulina, w mesie przez chwilę panowała cisza.

W końcu przerwał ją Igor, który podniósł wzrok i spojrzał zaaferowany.

– Ten pojedynczy dół! Z artykułu z siedemdziesiątego drugiego roku o masowym grobie na terenie jednostki w Darłówku.

– Mężczyzna z krzyżem i różańcem w ręku... – zacytował z pamięci Johann – ...to przecież ten ksiądz!

– Przyjaźnił się ze Schliemannem. Pewnie z tego powodu go zabili – wtrąciła Alice. – Na wszelki wypadek.

– A co to właściwie za kościół, Die St.-Gertrud-Kirche? – Jamie spojrzął na Igora. – Nie byliśmy tam.

– Nie zdążyliśmy. – Igor wzruszył ramionami. – Paulina spadła z drabiny.

Paulina spojrzała na Igora, jakby się zastanawiała, czy powinna się roześmiać, czy obrazić.

– Kaplica Świętej Gertrudy – przeczytała. – Patronki żeglarzy i podróżników.

– I pokutujących dusz – dodał minorowym głosem Igor. – Bardzo znamienne.

– A gdzie on stoi? Nie widziałem w Darłótku żadnego kościoła. – Dermot zajrzał Paulinie przez ramię, przyglądając się jasnej budowli nakrytej namiotowym, spiczastym dachem, którą pokazywał portal Na Fotografii na jej laptopie.

– W Darłowie. – Igor obrócił tablet, pokazując wszystkim mapę miejscowości. – Za dawnymi murami miejskimi, na cmentarzu. Prawdopodobnie była to kiedyś kaplica cmentarna.

– Prawdopodobnie? – Alice uniosła brwi.

– Niewiele o niej wiadomo. Wszystkie konserwatorskie analizy to domniemania i teorie. Jedna z nich mówi, że była to kaplica cmentarna właśnie. Do niedawna łączono ją z centralnymi kościołami na Bornholmie.

– Faktycznie – mruknął Dermot. – Nieco je przypomina.

– Pierwsza znana wzmianka o niej pochodzi z tysiąc czterysta dziewięćdziesiątego siódmego roku z opisanego w kronikach wielkiego sztormu, który zniszczył Darłowo.

– To tsunami, o którym opowiadałeś w kościele Mariackim?

Igor pokiwał głową.

– Według legendy postawiła ją duńska księżniczka Gertruda w podziękowaniu za uratowanie życia podczas owego sztormu – Paulina przeczytała fragment opisu historycznego ze strony internetowej miejscowej parafii.

– „Der Seebär”, czyli Niedźwiedź Morski – przypomniał Johann i nagle drgnął. – To przecież jutro! Szesnastego września!

Przez chwilę spoglądali po sobie. Na zewnątrz, przed samym zachodem słońca niebo rozjaśniło się i do wnętrza jachtu wpadały promienie światła prześwitującego przez ciemne ociążałe chmury, które jakby nie były do końca przekonane, czy na pewno mają sobie stąd odpłynąć.

– Rzeczywiście! – Jamie spojrział w okno. – I znowu nadciąga burza.

– Nie kracz! – upomniał go Dermot.

– Mówiłeś, że jest jakiś festyn z tej okazji?

Igor parsknął śmiechem.

– Nie festyn, tylko procesja pokutna. Według tradycji, w dzień po rocznicy tego sztormu. Czyli pojutrze.

– Wracając do pamiętnika... – Alice sięgnęła po kubek z herbatą – ... ksiądz z tego kościoła przyjaźnił się z Franzem. Ciekawe, czy wiedział o tym ich spisku?

– No właśnie! – podchwycił Jamie. – Gadacie o jakimś kościele zamiast czytać dalej! Pewnie się zaraz dowiemy.

Paulina otworzyła kolejny skan i obrzuciła spojrzeniem równe, kaligraficzne, wygenerowane przez program skanujący pismo.

– Dużo jeszcze zostało? – spytał Johann.

– Trzy strony.

Paulina pochyliła się nad ekranem i zaczęła czytać.

Dokładnie pamiętam ten dzień. Byłem wtedy w przedszkolu z dziećmi wojskowych i bawiliśmy się klockami. Była tam też pewna dziewczynka. Miała jasne loczki i białe wstXXXi. Nazywała się Inga. Czasem odbierała ją wysoka jasnowłosa kobieta z włosami upiętymi w kok, a czasem jej ojciec Franz. Tego dnia do naszej salki weszli dwaj mężczyźni w mundurach i zamienili kilka słów na boku z przedszkolanką. Widziałem, że matka była przerażona. Pewnie myślała, że przyszli po nas. Tymczasem oni zabrali tę małą dziewczynkę. Kilka dni później dwadzieścia dziewięć ciał zwisało ze skleconych naprędce na dziedzińcu przy koszarach szubienic. Była wśród nich ta dziewczynka. Nawet teraz, po dwudziestu siedmiu latach, czuję tamten strach. Był nim wypełniony każdy mój kolejny dzień.

Ale matka była twarda i rozsądna. Inna kobieta pewnie by uciekła i od razu ściaXXXła na siebie podejrzenia, ale nie ona. Nadal dzień w dzień przychodziła do jednostki i opiekowała się tymi dziećmiakami.

I tak mijały kolejne tygodnie, potem miesiące. Tymczasem sytuacja w Niemczech zaczynała się coraz bardziej pogarszać. Wszyscy ci ludzie ze wsi, którzy wtedy wyjechali na zachód, mieli szczęście, bo później już nigdzie nie było wolno wyjeżdżać. Gestapo ucieczkę karało śmiercią. ObowiąXXXem Niemca było przetrwać i bronić tutejszej ziemi. Matka liczyła, że wojsko zabierze ją z transportem na zachód, ale jednoXXXa miała rozkaz, żeby pozostać tak długo, jak będzie to możliwe.

I była jeszcze jedna sprawa, która spędzała mojej matce sen z powiek. Nie oddała koperty, którą dostała od Franza, księdzu Jacobowi. Przez kilka dni nie miała sposoXXXści, a gdy wreszcie się trafiła, dowiedziała się, że ksiądz wraz z innymi dwudziestoma ośmioma zdrajcami wisi na placu przy koszarach.

Matka próbowała ją przekazać hrabiemu von XXXwitzowi, ale on nie chciał z nią rozmawiać. Aby nie wzbudzać podejrzeń, nakazał jej nadal przyjeżdżać do XXXwitz, ale nigdy już nie poruszać tego tematu. Koperta więc została w naszym domu. Wraz z pozostałymi dokumentami po lotnikach, których hrabia nigdy nie zabrał.

Minęło wiele lat, gdy odważyłem się do niej zajrzeć. Była tam mapa z jakimiś ręcznie naniesionymi notatkami.

Gdy Paulina skończyła czytać i podniosła wzrok, tym razem napotkała wbite w nią uważne spojrzenia siedmiu osób.

– Przecież to ta mapa, którą znalazł Dermot. – Johann wstał i obszedł stół. Sięgnął po teczkę i przejrzał po kolei plik dokumentów. Po chwili trzymał w rękach mały kwadratowy karton ze starą mapą nawigacyjną. Przez moment przyglądał mu się z ciekawością, a następnie położył przed sobą na ławie. Siedem osób pochyliło się jak na komendę i wbiło wzrok w pomarszczony i pożółkły kartonik.

– Mapa nawigacyjna z wybrzeżem Bałtyku i Bornholmem. – Igor przekrzywił głowę, usiłując przeczytać drobniutkie opisy. – I dorysowany tajemniczy punkt o nazwie „Totenleuchte”.

– I róża wiatrów – dodał cicho Johann.

– Światło umarłych. – Paulina westchnęła. – Może to tłumaczenie nie ma większego sensu?

– Jak to? – Johann podniósł na nią wzrok – To raczej dosłowne tłumaczenie.

– No właśnie. Pamiętajcie, co mówił ten Niemiec? Że to może być kryptonim jakiegoś tajnego projektu, który tutaj miał być realizowany. Znaczenie tych słów w takiej sytuacji jest nieważne, kryptonimy wymyśla się często kompletnie z powietrza.

– No, ale zazwyczaj jakoś się kojarzą. – Dermot spojrział w zamyśleniu w okno. – „Pustynna burza” na przykład budziła jednoznaczne skojarzenia.

– Ale „Overlord[36]” już średnio – wtrąciła Gwen.

– Niezupełnie... – Alice pokręciła głową. – Kryptonim „Władca” miał się kojarzyć ze zwycięstwem i pokonaniem Niemców. Ale na przykład nazwa „Bolero[37]” dla operacji poprzedzającej inwazję w Normandii była już rzeczywiście abstrakcją.

– Zróbmy burzę mózgów! – Igor przesunął wzrokiem po wszystkich dookoła stołu. – Z czym wam się kojarzy „Światło umarłych”?

– Hm... – mruknął Jamie.

– Z filmem *Śmierć nadejdzie jutro* z Brosnanem. – Johann patrzył w zamyśleniu na mapę.

Paulinie przyszło do głowy, że skojarzenia z Bondem są chyba nieodzowną częścią kontaktów z Anglikami. Rok temu ich kłopoty w Szczecinie też się od tego zaczęły.

– Zwariowałeś? – uprzedził ją Jamie. – Dlaczego?

– Działo solarne. – Dermot pokiwał głową. – Racja!

– Co takiego?

– Zwierciadło paraboliczne umieszczone na orbicie, które miało odbijać i skupiać promienie słoneczne, dzięki czemu mogłoby niszczyć całe miasta. Pomysłodawcą był Hermann Oberth, naukowiec pracujący przy projektowaniu rakiet.

– Niemcy podobno mieli projekty czegoś takiego i wycenę – przytaknął

Johann. – Miało kosztować piętnaście milionów marek, a operacja trwać piętnaście lat. Ten temat pojawił się właśnie w tamtym Bondzie z Brosnanem.

– No, to my możemy dodać *Promienie śmierci*. – Igor spojrział z uśmiechem na Paulinę. – *Stawka większa niż życie* z naszym Bondem, czyli Klossem.

Paulina zmarszczyła brwi. Mówiąc „my”, pewnie miał na myśli siebie i ją, ale ona nie pamiętała nic z tego serialu. A na pewno nic na temat żadnych promieni śmierci.

Igor patrzył na nią przez chwilę, jakby oczekiwał, że coś sobie przypomni.

– Promienie światła, które miały oślepić lotników. Niemcy ponoć pracowali nad tym od początku wojny, a miała to być technologia, którą potem nazwano laserem.

– To nawet nieźle tutaj pasuje. – Johann pokiwał głową.

– Ale to wszystko brednie science nazi fiction – Jamie westchnął. – A tu mamy prawdziwą mapę z jakimś autentycznym napisem.

– Są jeszcze relacje różnych ludzi z tych okolic. – Igor sięgnął po tablet. – Wspomniał o tym ten Niemiec, Bruno Schliemann. Podobno pod koniec wojny, w czterdziestym piątym roku, gdy te tereny zajęli już Rosjanie, widywano tutaj w okolicach Ustki i Darłowa obiekty latające przypominające UFO. Rzekomo Rosjanie odnaleźli tajne podziemne hangary, w których stały niezwykle, wyglądające jak spodki samoloty z silnikami antygravitacyjnymi.

Paulina westchnęła. W szybkim tempie oddalali się od rzeczywistości. Od bzdur o latających spodkach nazistów był już tylko jeden krok do nazistów na Księżycu.

– Poznaję po twojej minie, że uważasz to za brednie... – Igor spojrział na nią z błakającym się na twarzy uśmiechem.

– Nie, skądże. – Uśmiechnęła się z przekąsem.

– Okej. – Dermot przysunął mapę do siebie. – To od początku. Co takiego mógł mieć na myśli ten cały Franz, wysyłając taką mapę swojemu bratu? Pamiętajcie, że był oficerem Kriegsmarine, kapitanem trałowca zajmującego się obsługą tajnych eksperymentów z bronią, które tutaj prowadzono. Po co wysłał tę mapę bratu?

Przez chwilę panowało milczenie.

– Może w tym miejscu Niemcy coś zatopili? – mruknął Jamie.

– A po co byłąby ta informacja potrzebna bratu Schliemanna? – Dermot potarł brodę. – On miał wtedy ile lat? Czternaście? Po co Franz miałby przekazywać informacje o tajnej broni swojemu małoletniemu bratu?

Johann wzruszył ramionami.

Paulina pomyślała, że coś im chyba umknęło w związku z tym bratem. Notabene, miał być wczoraj u nich na kolacji. Ciekawe, czemu nie przyszedł. Tak się interesował tym tematem.

– Ten Niemiec miał nas odwiedzić – uprzedziła ją Gwen. – Może on wniósłby coś do tego tematu.

– Jutro sami w takim razie do niego pójdziemy. – Johann wstał i rozprostował ramiona. – Kto chce coś z kuchni?

– A mną bardziej niż ta mapa wstrząsnął wątek z tą dziewczynką – powiedziała nagle Gwen. – To musiał być horror. Ile ona mogła mieć lat? Sześć? Siedem? Wyrzykowski pewnie zapamiętał to na całe życie. Taka trauma w dzieciństwie.

Paulina popatrzyła na Gwen, a następnie przeniosła spojrzenie za okno.

Słońce właśnie zaszło i na zewnątrz powoli robiło się coraz ciemniej.

Schliemann wspominał o tej dziewczynce. Więc miała na imię Inga. Może lepiej, żeby się nie dowiedział, jak się to wszystko skończyło.

– Zostały jeszcze dwie zeskanowane strony – powiedziała, przerywając ciszę.

– Jestem. – Johann przeskoczył przez oparcie sofy i usadowił się wygodnie. Rzucił na stół wielką torbę z kolorowymi ciasteczkami. Jamie całkowicie bezwiednie sięgnął do niej i wyciągnął garść czekoladowych gwiazdek.

Paulina pochyliła się nad swoim laptopem.

Minęło lato, a potem jesień. Zimą zawitał do wsi strach. Po domach powtarzano historię wsi Nemmersdorf w Prusach Wschodnich i potwornych okrucieństw, jakich dopuścili się na ludności cywilnej

Rosjanie. Jeszcze przed końcem roku wielu ludzi opuściło wieś i nie bacząc na mróz i śnieg, udało się na zachód. Byle dalej. Szosą ze Słupska do Koszalina ciągnęły sznury uciekinierów. Po Nowym Roku było jeszcze gorzej. Tym, co nie uciekli wcześniej, a próbowali teraz, groziła egzekucja za zdradę ojczyzny.

Matka wtedy wciąż wierzyła, że wyjedziemy transportem z żołnierzami z jednostki, ale mijały tygodnie, a z frontu dochodziły wieści, że Rosjanie są coraz bliżej. Któregoś dnia, zaraz po Nowym Roku, przyszła po swojego synka jedna z kobiet. Jej mąż kilka miesięcy wcześniej zginął w zatopionej przez Rosjan łodzi podwodnej, która wypłynęła z portu w DarłóWKu. Kilka dni przed tym wydarzeniem widziałem przez okno, jak żołnierze ładują na samochody wielkie czarne skrzynie i opakowane w brezent urządzenia. A kilka tygodni później zamordowano kapitana Franza i jego załogę. Wtedy nie łączyłem tych faktów. Stało się to o wiele później, gdy wracałem myślami do tamtych wydarzeń i to wówczas przyszło mi do głowy, że łódź została namierzona dzięki informacjom przekazanym aliancom przez Franza.

Pod koniec lutego zaczęły wyjeżdżać w końcu pierwsze transporty, a na miejscu zaczęło się niszczenie wszyściego, co mogło mieć jakiegokolwiek znaczenie militarne. Żołnierze wysadzili w powietrze stocznie, demontowali tory, urządzenia, zaminowywali podziemne magazyny i hangary, a my wciąż czekaliśmy. Na początku marca panika osiągnęła apogeum. W naszej wsi i okolicach ludzie czuli się bezpieczniej tylko dzięki jednostronnej wojskowej, ale gdy ona zaczęła się ewakuować, a Rosjanie byli już o kilka dni zaledwie od Pomorza, zaczęło się piekło. Wiele rodzin po wsiach popełniało zbiorowe samobójstwa. Matki zarzynały lub topiły swoje dzieci, a potem wieszały się na sznurach od bielizny...

– Koszmarne – westchnęła Gwen i pokręciła głową z niedowierzaniem. – On miał wtedy osiem lat. W tym wieku my wszyscy, jak tu siedzimy, byliśmy w bezpiecznych domach, otoczeni miłością i troską, i tonami zabawek, a ten dzieciak znalazł się w piekle.

Paulina pokiwała głową. Znała dalszy ciąg tej historii. Słyszała go z ust Heleny Wieliszewskiej i chyba trochę bała się czytać dalej.

– Tak samo jak te dzieciaki, o których wspomniał... – Johann, zamyślony, patrzył nieruchomo w stół. – Zabite przez własne matki.

– W ogóle trudno jest mi sobie wyobrazić taki strach i przerażenie, który zmusiłby mnie do zamordowania własnego dziecka – westchnęła Gwen. – To koszmar. Musiał graniczyć wręcz z obłądem.

– Z drugiej strony... – Igor wzruszył ramionami – ...szła tutaj armia złożona z ludzi, których siłą wsadzono w mundury i wydano rozkaz: „Ani kroku w tył”, a za odwrót z pola walki karano śmiercią. Tym ludziom wcześniej Niemcy wymordowali całe rodziny w sposób wcale nie mniej okrutny, a ciała wrzucili do dołów z wapnem. A jeszcze wcześniej rodziny tych ludzi mordował Stalin, niektórzy pochowali swoich bliskich, którzy umarli z głodu.

– Nie podoba mi się usprawiedliwianie morderców, którzy gwałcili i mordowali ośmioletnie dzieci tym, że mieli równie złe doświadczenia. – Paulina spojrzała na Igora z namysłem.

– Ja ich nie usprawiedliwiam. – Igor pokręcił głową. – Po prostu wspomniałem o drugiej stronie medalu.

– Są setki dokumentów opisujących sowieckich żołnierzy, którzy mordowali niemieckie kobiety i dzieci nie w jakimś amoku wywołanym zemstą, tylko dlatego, że spili się jak świnie w magazynach miejscowych browarów. Po co to uwznioślać? Tym sposobem można zrelatywizować każde łajdactwo.

– Faktem raczej bezspornym jest, że to Niemcy wywołali tę wojnę – mruknął Johann.

– Jakby twój kraj wywołał wojnę z Francją, daleko nie szukając... – Paulina popatrzyła na niego ze złością – ...to rozumiem, że gdyby dwudziestu Francuzów zgwałciło i zamordowało twoją ośmioletnią córkę, tobyś ich usprawiedliwił?

– Na szczęście nie mam żadnych córek – powiedział z uśmiechem Johann, usiłując rozładować napięcie. – Oczywiście, że nie – dodał, widząc minę Pauliny. – Chciałbym ich zabić. Nienawiść jest jak wirus, który zamienia ludzi w zombie.

– A wracając do Rosjan... – Igor spojrzał na Paulinę. – Ludzie w Związku

Radzieckim w wielu miejscach witali Wehrmacht z radością, co było oczywiście spowodowane czystkami i ludobójstwem Stalina. Gdyby Hitler potraktował Rosjan lepiej, być może stanęliby u jego boku i możliwe, że Niemcy wygrałyby wojnę.

– A co to ma do rzeczy?

– Przez cztery lata Niemcy okupowali Rosję, dopuszczając się tam przerażających zbrodni. To starczy, żeby wyhodować w ludziach nienawiść.

– Dobra. – Paulina zagryzła wargi. – A ile lat przerażających zbrodni dałbyś na to, żeby usprawiedliwić na przykład ludobójstwo? Wyobraź sobie, że Rosjanie przyjeżdżają na Pomorze i zakładają obozy zagłady na wzór nazistowskich. Ile lat musieliby cierpieć, żebyś ich usprawiedliwił? Dziesięć wystarczy? Więcej?

– To populizm.

– Nie. – Paulina pokręciła głową – Po prostu uważam, że żadne argumenty, liczby ofiar, przerzucanie się przykładami tego, co kto komu zrobił, nie usprawiedliwiają zgwałcenia ośmioletniej dziewczynki, a następnie strzelenia jej w głowę i wyrzucenia zwłok na śmietnik. Rozmowa na ten temat to koniec człowieczeństwa.

– Ludzie są, byli i będą źli, a w sprzyjających ku temu okolicznościach zamieniają się w potwory – wtrąciła Alice. – „Dziel i rządź”, stara rzymska zasada. Winę jednak ponoszą ci, którzy takie napięcia, uprzedzenia i kompleksy wykorzystują do swoich politycznych najczęściej celów, podpierając się, ku uciesze ciemnego ludu, narodowo-patriotycznym bełkotem.

Dermot pokiwał głową, patrząc na Alice.

– Jest taka teoria, która mówi, że tym, co dzisiejszy świat powstrzymuje przed rozwojem, jest pojęcie narodu. Anachroniczna, terytorialna idea, odpowiedzialna za nacjonalizm, ksenofobię i agresję, które to rzeczy sprzedaje w błyszczącym opakowaniu patriotyzmu i miłości do ojczyzny.

– Urocze, że takie teorie głosi koleś, który jest potomkiem jednej z najstarszych angielskich rodzin, żyjącej od średniowiecza na tych samych włościach – parsknął Jamie.

– To tylko dowodzi tego, o czym powiedziałem. – Dermot wzruszył

ramionami. – Idea narodu powstała dopiero w osiemnastym wieku za sprawą niemieckiego filozofa Johanna Herdera, który stworzył pojęcie państwa narodowego. Wcześniej istniały tylko rozmaite grupy pilnujące swoich interesów. Rody królewskie traktowały kraje jako swoją własność, dziedzictwo. Rodziny szlacheckie utożsamiały się z ziemią swoich ojców, nie z krajem. Chłopstwu było to wszystko obojętne.

– Może żyjemy w czasach, gdy tworzą się nowe stosunki społeczne? – Igor uniósł brwi. – Potrzebna jest nowa idea, która zjednoczy ludzi w jakimś szerszym pojęciu, ponadnarodowym.

– Na przykład najeźdźcy z kosmosu – mruknął Jamie.

– Na przykład. – Igor pokiwał głową i parsknął śmiechem.

– *Imagine there's no countries. It isn't hard to do...* – zanucił nagle Rupert.

– *Nothing to kill or die for* – podjął z uśmiechem Igor. – *And no religion too.*

– *Imagine all the people. Living live in peace*[38]... – zaśpiewali razem, uśmiechając się do siebie.

Przez chwilę trwała cisza. Gdzieś daleko rozległ się przytłumiony grzmot. Niebo na zachodzie przybrało granatową barwę, przechodzącą stopniowo w ciemniejszą tonację i wreszcie na wschodzie w czerni, która kryła ciężkie burzowe chmury.

– Filozofujecie i filozofujecie – przerwał w końcu milczenie Jamie. – I uszedł waszej uwadze fragment dotyczący łodzi podwodnej.

– Nie uszedł – zaprzeczył Igor, przyjmując z ulgą zmianę tematu. – Też o tym pomyślałem. Łódź podwodna, która wywoziła z jednostki dokumentację techniczną i jakieś prototypy nowej broni, może jakieś nowe silniki czy działa o kryptonimie „Totenleuchte”, została zatopiona przez Rosjan.

– A mapę z usytuowaniem tej łodzi Franz chciał przekazać bratu...

– Po co? – wtrącił Dermot. – W dalszym ciągu nie rozumiem, po co dowódca Kriegsmarine miałby przekazywać mapę z usytuowaniem nowej eksperymentalnej broni swojemu małoletniemu bratu? Po jaką cholere? Miałoby to jakiś sens, gdyby chciał przekazać to aliantom i dzięki temu

zyskać coś w rodzaju listu żelaznego.

Paulina sięgnęła po leżącą wciąż na stole mapę i podniosła ją do oczu.

– Na tej mapie jest tylko punkt pomiędzy Bornholmem a wybrzeżem. W jaki sposób miałyby to komuś pomóc odnaleźć tę łódź?

– No właśnie. – Dermot pokiwał głową. – Tym bardziej.

– Czytaj dalej. – Johann kiwnął głową w kierunku laptopa Pauliny. – Może dowiemy się czegoś więcej.

Paulina pochyliła się nad klawiaturą i uniosła ekran, ożywiając ponownie urządzenie.

...ale to wszystko było zaledwie początkiem tego, co miało przyjść potem.

Żołnierze odpłynęli stąd dwoma statkami w ostatniej prawie chwili. Nie zabrali nas. Zanim odbili od brzegu, wysadzili jeszcze w powietrze most i stocznię, a port zablokowali, zataXXXjąc betonowy szkielet statku. Zaraz potem, 7 marca 1945 roku, do Darłowa wkroczyli Rosjanie. Mieli zostać na całe trzy długie lata, a w tym czasie zamknęli dawną jednostkę i zabronili do niej dostępu. Wyjeżdżały stąd maszyny, urządzenia, broń, tory kolejowe. Z miasteczka Rosjanie wywozili wszelkie dobra ze sklepów i domów.

Tego samo dnia, w którym weszli do miasta Rosjanie, matka wepXXXęła mi do rąk teczkę lotnika i kazała biec i ukryć ją gdzieś w lesie. Pewnie obawiała się, że gdy Rosjanie ją znajdą, zamordują nas. PrzeXXXąłem na wydmy i trzymając kurczowo pakunek, pobiegłem do małego lasku na skraju wydm. Zakopałem teczkę, a miejsce zaznaczyłem kamieniem. Nigdy więcej nie zobaczyłem już matki. Od tej pory do lipca ukrywałem się, przemykałem nocą do domu, dostawałem się do piwnicy i spałem tam, skulony z zimna. To był wciąż mój dom. Wszystkie moje wspomnienie z nim się wiązały. Mój cały świat.

Wtedy nie rozumiałem wszyXXXiego, co się działo, wiele rzeczy pojąłem później, dowiadując się o nich stopniowo i porównując ze swoimi wspomnieniami.

Pamiętam, jak przybyli tutaj repatrianci, którzy wracali z robót

w Niemczech do Polski. Zostali zamordowani w ustronnym domu pod lasem, w Darłowcu.

Ludzie wtedy gadali i gadali jeszcze długo potem, że to zrobili niemieccy maruderzy, ale ja wiedziałem swoje. Rosjanie wyzwolili ponad dwa tysiące więźniów obozu pracy, ale nie wszyXXXich wypuścili. Byli wśród nich inżynierowie, którzy pracowali w obozie i którzy posiadali wiedzę, na której Rosjanom zależało... Któregoś dnia dwaj Polacy uciekli i dołączyli do owych przesieXXXńców, myśląc, że w ten sposób umkną. Nie umknęli...

Rodzina hrabiego zdołała wyjechać, ale on sam został pojmany przez Sowietów i wywieziony. Być może zdołali z niego wydusić jakieś informacje, ale chyba nie wszystkie, ponieważ niczego wówczas nie znaleźli. I wciąż szukają...

W tym momencie rozległ się głośny dźwięk, coś uderzyło w pokład, a potem poturlało się kawałek dalej. Wszyscy na sekundę zamarli.

– Kamień? – Igor spytał po polsku, patrząc z niepokojem na Paulinę.

– Mam nadzieję, że to nie jacyś miejscowi bandyci – westchnęła. – Zapadłabym się pod ziemię ze wstydu.

Igor rozejrzał się. Jego wzrok mimochodem prześlizgnął się po ekranie laptopa, na którym zostało jeszcze parę akapitów.

– Rzucaliby kamieniami?

– Dla niektórych brytyjska bandera jest wystarczającym powodem.

– Co się dzieje? – Johann patrzył zaniepokojony. – Bo gadacie po polsku.

– Nie chciałbyś wiedzieć o czym... – Igor pokręcił głową.

– Czy to był kamień? – Dermot stanął obok szklanych drzwi prowadzących na pokład.

– Uważaj! – Alice ostrożnie wyjrzała na nabrzeże.

– Nie przesadzajcie! To pewnie wiatr strącił jakiś śmieć. Może ktoś zostawił kubek na pokładzie...

Rozsunął drzwi i rozejrzał się dookoła. Wyszedł na zewnątrz i podszedł do burty. Niebo nad portem rozjaśniła błyskawica, wydobywając z mroku

niskie, stojące przy pasażu budynki i dygoczące na wietrze drzewa.

Dermot wychylił się i spojrział w obie strony. Pogoda zapędziła wszystkich do ośrodków wypoczynkowych i knajp, z których dochodziły teraz dźwięki muzyki. Gdzieś od strony lądu przetoczył się daleki grzmot.

Igor wyszedł za Dermotem i rozejrzał się po pokładzie. Przy lewej burcie leżał niewielki przedmiot. Igor zmarszczył brwi. Wyglądało to jak kawał pomiętej gazety. Podszedł i pochylił się. Po chwili trzymał w ręku twardy, spory kamień, owinięty papierem i sklejoną dodatkowo taśmą.

– Co to jest? – Dermot otworzył szeroko oczy.

– Nie mam pojęcia. Ktoś to musiał wrzucić. Nie widziałeś nikogo?

Dermot pokręcił głową.

W drzwiach stanęła Paulina, a za nią Johann.

– Co się dzieje?

Igor zerwał taśmę. Rozprostował papier i rozłożył.

Była to zwykła kartka papieru w kratkę. Widniało na niej kilka zdań, napisanych starannym, równym pismem. Igor przeleciał szybko wzrokiem cały tekst i zdumiony zamarł. Dopiero po chwili podniósł wzrok i spojrział na Dermota, który wpatrywał się w niego z rosnącą irytacją.

– No, co tam jest, do diabła?

Igor odwrócił się i wyciągnął list w kierunku Pauliny.

– To do ciebie.

Rozdział 21

Paulina siedziała na sofie i wpatrywała się w przestrzeń. Miała pustkę w głowie.

Igor powoli usiadł naprzeciwko niej i głęboko odetchnął.

– Co masz zamiar z tym zrobić?

– Musimy zawiadomić policję. – Johann zasunął szklane drzwi i odwrócił się.

– Przecież to jakiś wygłup.

– Tym bardziej musimy zawiadomić policję. Jeżeli ktoś robi sobie takie dowcipasy, to powinien trafić do pudła.

Dermot, opierając się o drzwi, stał z założonymi na piersiach rękami.

– A jeśli to prawda? – spytał.

– Zwariowałaś? – parsknął Johann. Podeszedł do ławy i usiadł obok Igora.

– W sumie może powinniśmy to sprawdzić?

– Teraz? Chyba ci odbiło! – Jamie spojrzął z niedowierzaniem na Dermota.

– Nigdzie nie pójdziecie! – powiedziała stanowczo Gwen. – A na pewno nie po ciemku do lasu.

– Nie mówię, że teraz. – Dermot się skrzywił. – Ale jutro na przykład, w ciągu dnia.

Wszyscy wpatrywali się w milczeniu w stół. Brudna, pomięta, wyrwana z zeszytu w kratkę kartka leżała na środku ławy, tuż obok kamienia, dzięki któremu dostała się na pokład.

Igor sięgnął po tablet i pochylił się nad monitorem.

– To jest przy drodze na Sławno. Jechaliśmy tamtędy wczoraj. Taki zakręt, z którego odchodzi w las polna droga. Nawet *street view* jest.

Wszyscy drgnęli i podeszli do Igora. Dermot pochylił się nad oparciem

sofy. Na łuku drogi krajowej numer dwieście pięć stała tablica kierunkowa z czerwonymi strzałkami, a za nią odbiegał w bok mroczny gruntowy dukt, ginący pod konarami rozrośniętych drzew.

– A może przejedziemy się tam jednak? – Dermot wpatrywał się w ekran.

– Ta droga nawet na zdjęciu zrobionym w biały dzień nie wygląda zachęcająco. – Alice oparła się o sofę obok niego. – A ty tam chcesz jechać o tej porze?

– W dodatku w czasie burzy – dodała Paulina.

– Nie będziemy nigdzie chodzić. Tylko sprawdzimy, czy tam rzeczywiście wiszą te wstążki.

– Hm... – mruknął Johann.

– No nie! – Gwen spojrzała na niego z niedowierzaniem. – Wy naprawdę zaczynacie się nad tym zastanawiać?

– Zabierzemy ze sobą raketnicę – powiedział cicho Jamie.

– Po co? – Gwen odwróciła się do niego gwałtownie. Nie wierzyła własnym uszom.

– Na wszelki wypadek. Nie mamy innej broni.

– Broni?! Odbiło ci? – Postukała się palcem w czoło, patrząc na Jamiego.

– Zwariowaliście kompletnie! Dopiero co was wszystkich wypuścili z więzienia!

Alice odetchnęła głęboko i założyła ręce na piersi.

– Ja myślę, że to po prostu czyjś głupi kawał. O tym wisielcu napisali już w lokalnej gazecie. O tym, że piszesz artykuł o Wyrzykowskim, powiedziałaś kilku osobom. Może po prostu ktoś chciał cię nastraszyć.

– Ja tu przecież nikogo nie znam. Nie mam żadnych znajomych. Takich kawałów nie robi się obcym osobom.

Igor znieruchomiał na moment. Spojrzał na Paulinę, zastanawiając się nad czymś.

– A może masz wrogów?

Paulina w pierwszej chwili chciała go zrugać. Też wymyślił. Jednak coś w jego wyrazie twarzy kazało jej się powstrzymać.

– Skąd ten pomysł?

– To włamanie do ciebie... – Igor pokręcił głową, usiłując przypomnieć sobie dokładnie wizytę w domku Pauliny w Dąbkach.

– No i co z tym włamaniem? – Johann spojrział na niego uważnie.

– Wszystkie twoje rzeczy wyglądały na dokładnie przetrząśnięte. Z torby wszystko wywalone na łóżko. Z szafy także. Tymczasem na szafce pod oknem leżała twoja bransoletka, a na podłodze koło niej łańcuszek z serduszkami z białego złota. To kosztowało z kilka tysięcy. Dlaczego tego nie zabrali?

Paulina patrzyła na Igora zdezorientowana.

– Nie mówiłeś o tym wcześniej.

– Bo sam myślałem, że coś sobie roję.

– Ta kobieta mówiła, że ochrona spłoszyła włamywacza – przypomniał Johann. – Może nie zdążył po prostu.

– Szperał w szafie, torbie. Strącił łańcuszek... – Igor zastanawiał się głośno. – Chyba że sama go strąciłaś przed wyjściem.

Paulina sama wolałaby, żeby tak było. Zaczynała się niepokoić. Problem w tym, że doskonale pamiętała, jak kładła łańcuszek na szafce. Podniosłaby go zresztą, gdyby spadł.

– Dobra! – Dermot dźwignął się z kanapy. – Ja chcę tam podjechać. Zobaczymy tylko te wstążki. Nie będziemy wysiadać z samochodu. Zdobędziemy przynajmniej pewność, że to numer dla hecy.

– Oszalałeś! – Gwen otworzyła szeroko oczy. – Zadzwońmy lepiej na policję.

– To nie jest nawet pięć minut drogi – Johann dołączył do Dermota. – Potem zastanowimy się, co robić dalej. Zadzwonimy na policję i co? Powiemy, że w lesie na krzakach wiszą wstążeczki?

– Przed chwilą sam chciałeś dzwonić na policję. – Gwen spojrzała na niego z wyrzutem.

– Uległem argumentacji. Zadzwonimy po powrocie... O ile to nie okaże się żartem.

Igor sięgnął do kieszeni dzinsów. Wyciągnął kluczyki i podał je

Johannowi.

– Nie chcesz jechać?

Igor pokręcił głową.

– Wypiłem piwo. Będziesz prowadził.

– Ja też chcę jechać – powiedział nagle Rupert. – Tylko pójdę po aparat.

– To ja też. – Jamie podniósł się z kanapy.

– Teraz macie szansę całą piątką trafić do pudła. – Gwen pokręciła głową z rezygnacją. – Nie liczcie na to, że was znowu będziemy wyciągać.

Na schodach rozległ się stukot i po chwili do mesy wpadł Rupert z przewieszonym przez ramię aparatem.

– Jeśli nie wróćcie, matyły, w ciągu godziny, to wzywamy policję. – Gwen pokiwała palcem Dermotowi.

– Naoglądałaś się za dużo *Morderstw w Midsomer*[\[39\]](#) – rzucił Jamie i zasunął za sobą szklane drzwi.

*

Kuter z równomiernym terkotem minął kraniec falochronu i wpłynął na tworzącą osłonięte wejście do portu zatokę, fachowo nazywaną awanportem. Trzymając się wschodniej kosy, znalazł się po chwili na Wieprzy, a niewielka kanciasta latarnia morska została z tyłu. Zwolnił przed rozsuwanym mostem i powoli dryfował, czekając, aż skrzydło przeprawy odsunie się całkowicie.

Stojący na mostku Sierow miał ponurą minę. Czekały go dwie rozmowy. Obie ważne. Jedna z Zetlersem, z którym – dopóki nie załatwią na dnie tego, co mają załatwić – musiał się obchodzić jak z jajkiem, a druga z tajemniczym zleceniodawcą z Moskwy, Alekssem, czyli generałem Aleksiejem Piotrowiczem Jemochonowem, którego nazwisko prawie na pewno było fałszywe, a który według licznych plotek był bardzo blisko samego wiadomo kogo i miał wielki majątek, w tym malutką wyspę na Zalewie Kaliningradzkim. Krążyły legendy, że mafia przy tych kręgach to zwykli chłopcy z podwórka. A on właśnie musiał wyjaśnić generałowi, że operacja wejścia na pokład U-Boota będzie trudniejsza, niż zakładał, i może potrwać

znacznie dłużej.

*

Prokurator Olszański zamknął drzwi swojego bordowego citroëna, włączył alarm i zaklął pod nosem, słysząc dobiegający z czarnej torby dźwięk telefonu. Schował kluczyki do kieszeni spodni, otworzył torbę i wyjął świergoczącą komórkę.

– Zakładam, że to musi być coś bardzo ważnego – rzucił do telefonu.

– Chciałeś, żebym pogrzebał na temat tego Kukli – głos po drugiej stronie burknął, udając niezadowolenie.

– No i? – Olszański, trzymając telefon przy uchu, zaczął się wspinać po kamiennych schodach w kierunku swojego, widocznego za rozczapierzoną koroną lipy, kolorowo termoizolowanego bloku.

– Notowany wielokrotnie za drobne wykroczenia. – Piotr Matuszek zaszeleścił w tle kartkami. – Włamania, pobicia, duperele. Nic poważnego. W sądzie zasłaniał się papierami.

– Jakimi papierami?

– Zdiagnozowano u niego osobowość dyssocjalną. Brak przyswajania odruchów moralnych, brak empatii, agresja, notoryczne popełnianie przestępstw.

– Bardzo wygodnie.

– Rzeczywiście był w szpitalu w młodości. Po jakimś poważnym pobiciu kogoś. Leczył się.

– Czy potrafi być dla kogoś niebezpieczny? – Olszański ściągnął brwi.

– Nie ma w papierach żadnych takich ocen. Stwierdzono pełną świadomość popełnianych czynów i możliwość panowania nad emocjami. Coś tam piszą jedynie o uszkodzeniu ośrodka nerwowego i możliwym wzmożeniu zachowań społecznych pod wpływem stresu i innych określonych czynników zewnętrznych.

– Oczywiście przeczytałeś to teraz z kartki?

– Oczywiście.

Olszański doszedł do drzwi wejściowych. Popchnął kłamkę i wszedł na

klatkę schodową.

– A z tym z wczoraj... – Matuszek westchnął. – Będzie niezły burdel. Strasznie naciskają. Nasz lekarz sądowy obiecał, że zrobi badanie tak szybko, jak to będzie możliwe.

– Jakby było coś ciekawego, to upoważniam cię do telefonowania nawet jeszcze dzisiaj.

– Okej. Chociaż to formalność. Co tam mogą znaleźć?

– Jak niczego nie znajdą, to oczywiście masz nie telefonować.

– Dobrze, że pan prokurator to powiedział, bo bym miał wątpliwości.

Olszański wrzucił telefon do torby i zaczął się wspinać na trzecie piętro.

*

Bolo potrafił się ukryć, jeśli było trzeba. Całe lata umykania przed policją po włamaniach, kręcenia się wokół domów i domków letniskowych od Dąbek po Ustkę, żeby wyczaić gdzieś okazję na dobry interes, to po prostu doświadczenie. Mimo swej postury potrafił całkiem sprawnie zejść z oczu i być nie do wykrycia. Schowany między pozamykanymi o tej porze pawilonami na zachodnim nabrzeżu, obserwował wydarzenia na pokładzie białego jachtu. Nie spodziewał się, że pojedą na miejsce od razu. W nocy i w czasie burzy w dodatku. Chojraki. Nie pojechał za nimi, bo na prostej drodze do Sławna, która o tej porze była kompletnie opustoszała, niełatwo byłoby pozostać niezauważonym. Od razu zwróciliby uwagę na jadącego za nimi starego golfa. Postanowił poczekać. Miał czas. Ciekaw był też, czy wezwą policję.

Czając się w ciemności na nabrzeżu, przy okazji zauważył też coś jeszcze. Miał dobry wzrok i wyczulone zmysły. Czasem w nocy od tego zależało, żeby się w porę ulotnić po jakiejś akcji. Stary kuter zawinął do portu jakąś godzinę temu. Kilku Rusków wpakowało się do samochodu i pojechało pewnie na nocleg. Na mostku światła były wygaszone, ale na kutrze na pewno ktoś został. I zamiast iść spać, siedział po ciemku z lornetką.

*

Paulina opadła na sofę i sięgnęła po tablet. Gwen właśnie zamykała drzwi.

– Jak nie wrócą w ciągu godziny, to naprawdę dzwoniemy na policję. Boże! Co za kretyński pomysł, żeby jechać do lasu w takiej sytuacji. Przecież to może być jakiś psychol.

– Nie przesadzaj. Wciąż uważam, że to tylko wygłup. – Alice naląła sobie herbaty i sięgnęła po kostkę cukru.

– Nie przesadzaj? Przecież dopiero co jakiś inny psychol zabił kogoś, a potem się powiesił!

– Pewnie nawet nie wysiądą z samochodu. – Alice postawiła kubek z herbatą na ławie i usiadła naprzeciwko Pauliny.

Za oknem na moment zrobiło się jasno i po chwili kolejny grzmot przetoczył się nad portem. Zaczął padać deszcz.

– Super! – Gwen stała przy oszklonych drzwiach i patrzyła na raz po raz ukazujące się w błyskach piorunów nabrzeże. – Jeszcze burzy brakowało.

– Może nie powinnyśmy były puszczać ich samych – westchnęła Paulina.

– Jest z nimi Igor, jakby trzeba było gadać z tubylcami. – Alice wypila łyk herbaty. – Rozejrzą się i wrócą. Nie masz naprawdę żadnych podejrzeń, kto mógł wrzucić ten kamień?

Paulina pokręciła głową.

– Nie mam pojęcia. Na temat artykułu rozmawiałam z sąsiadką Wyrzykowskiego, ale ona wyglądała na rozsądną kobietę. Poza tym ze staruszką z hospicjum i recepcjonistką z hotelu. Jeszcze młody Wyrzykowski i oczywiście policja, i prokurator. To bez sensu.

– A ten Niemiec?

Paulina popatrzyła z niedowierzaniem na Angielkę.

– Ten starszy elegancki pan? Miałby wrzucać kamień z napisanymi na kartce głupotami? W dodatku po polsku i z błędami ortograficznymi?

– No, to sama widzisz. Nie ma siły. – Alice odstawiła kubek. – To głupi żart jakiegoś podrostka i pewnie nie ma nic wspólnego z tym twoim śledztwem. Zbieg okoliczności po prostu. Policja namierzy frajera, a nasi panowie na darmo tylko tam pojechali. Nie zdziwiłabym się, gdyby jakiś kretyn miał przed chwilą ubaw, obserwując z jakiejś pobliskiej knajpy bandę

przestraszonych facetów, pędzących po nocy za miasto, żeby sprawdzić, czy ktoś nie zawiesił wstążek na gałęziach.

*

Toyota Igora stała z włączonymi światłami na poboczu drogi, tuż za ostrzegającą przed ostrym zakrętem tablicą z czerwonymi strzałkami. Deszcz padał coraz mocniej, a niebo przecięła właśnie kolejna błyskawica. W stroboskopowym świetle przez krótki moment mignęła zawiązana na gałęzi rozrośniętego czarnego bzu długa czerwona wstążka.

Igor pochylił się do przedniej szyby.

– Jeśli to żart, to ten ktoś naprawdę się postarał.

Johann trzymał ręce na kierownicy.

– Byłem raczej przekonany, że niczego tu nie będzie.

Rupert otworzył drzwi i wysiadł na zewnątrz.

– Po co wyłazisz? Lepiej nie kusić losu – stęknął Jamie z tylnego siedzenia. – Może gdzieś tu siedzi i nas obserwuje?

– Chcę tylko zrobić zdjęcie. – Rupert wycelował obiektyw w stronę gałęzi czarnego bzu i po chwili krzew rozjarzył się jasnym światłem lampy błyskowej.

– Podjedź jeszcze kawałek. – Igor wskazał brodą drogę niknącą pomiędzy drzewami. – Zobaczymy, czy jest kolejna wstążka. Może ten dupek chciał tylko stworzyć pozory.

Rupert wskoczył do środka i zamknął drzwi. Toyota warknęła i wjechała pomiędzy drzewa. Droga za kolejnym zakrętem prowadziła przez przejazd kolejowy. Dalej w świetle reflektorów i towarzyszących im co chwilę błyskawic widać było krótki odcinek biegnący za torami i dalej ginący wśród drzew ciemnego masywu lasu.

– I co dalej? – Johann włączył długie światła. Rozczapierzone gałęzie tonących w strugach deszczu młodych olszyn i wierzb ukazały się w pełnej krasie. Nad polami zagrzechotał kolejny grzmot.

– Nie ma żadnych wstążek. – Rupert rozglądał się dookoła. – Może miałeś rację? Zadał sobie trochę trudu i powiesił pierwszą przy drodze, ale dalej mu

się już nie chciało.

– Z drugiej strony tutaj jest tylko jeden kierunek. – Igor spojrzął na Johanna. – Podjedźmy do tej ściany lasu i tam zawrócimy.

– Pakujemy się w kłopoty w najlepszym stylu z klasycznego slashera dla nastolatków – jęknął Jamie.

– Trzeba było zostać z dziewczynami. – Dermot otworzył okno i wyjrzał na zewnątrz. – Tu nie ma żadnych szlabanów ani świateł.

Toyota przejechała przez tory i znalazła się na drodze prowadzącej do lasu. W głębokich wądołach stały tu wielkie kałuże. Johann objechał ostrożnie bokiem spory dół wypełniony wodą deszczową i ominął kolejny.

– Między drzewami dalej będzie chyba mniej błota. – Igor wyciągał szyję, usiłując dostrzec drogę przed samochodem.

Z daleka dobiegł nagle ryk syreny i po chwili tuż obok, po niewysokim nasypie przewalił się długi skład towarowego pociągu.

Toyota pokonała krótki odcinek, równoległy do torów, i wjechała na drogę biegnącą skrajem lasu. Po prawej stronie rosły pokancerowane przez pioruny i cięcia sanitarne stare olchy i topole, a po lewej ciemniała mroczna ściana drzew.

– Dalej w głąb lasu się nie przejedzie. Trzeba by zostawić auto i iść pieszo. – Igor wskazał brodą ciemną masę liści po lewej stronie drogi.

– Pieszko nie pójdę dalej za żadne pieniądze – zapowiedział z tylnego siedzenia Jamie.

– Poszukamy wstążki i wracamy. – Johann objechał kolejną kałużę.

– Mam jednak nadzieję, że żadnych pieprzonych wstążek więcej nie będzie. To jakaś paranoja – mruknął Igor.

Samochód wjechał w wielką na całą szerokość drogi kałużę i powoli, omijając następny rów z błotem, potoczył się skrajem lasu. Kilka metrów dalej na drodze rozlewało się kolejne wielkie bajoro. Pobocza były zarośnięte gęstymi krzewami, Johann wjechał w środek kałuży.

– Stój! – krzyknął nagle Rupert.

Johann gwałtownie zahamował. Spod przednich kół wystrzeliły strugi błota.

Jamie poleciał na siedzenie i walnął głową w oparcie.

– Co ty, do cholery, wyprawiasz?

– Co się dzieje? – Igor odwrócił się do tyłu i spojrzał przestraszony na Ruperta.

– Tam! – Rupert otworzył okno i wycelował obiektyw.

W jasnym świetle lampy błyskowej widać było czerwoną wstążkę, uwiązaną do grubej olszynowej gałęzi i podrygującą smętnie w strugach deszczu.

*

Gdy schodzili po trapie, zbierało się na deszcz. Wiatr szarpał wierzchołkami kilku rosnących niedaleko nabrzeża wysokich świerków. Po chwili błysnęło. Na moment fale na Wieprzy nabrały koloru zimnej stali, a po kolejnych kilku sekundach przetoczył się nad nimi głuchy grzmot. Samochód Sierowa stał przy wąskiej, wyłożonej szarym polbrukiem uliczce, która ciągnęła się wzdłuż ogrodzenia portu rybackiego. Wyjechali z niej prawie w tym samym momencie, gdy z sąsiedniej przecznicy wyjeżdżał granatowy terenowy samochód. Sierow zwolnił i pozwolił, żeby wielka toyota oddaliła się o kilkadziesiąt metrów.

– To nie są ci z tego jachtu? – Woronin kiwnął głową w kierunku przedniej szyby.

– A co mnie to? – Sierow zmarszczył brwi i prawie niezauważalnym gestem wskazał na siedzącego z tyłu Zetlersa.

Samochód Sierowa wyjechał na prostą jak strzelił ulicę Nadmorską i zostawiając za sobą zabudowę Darłówka, pomknął w kierunku skrzyżowania z Lotników Morskich, gdzie właśnie skręcała terenowa toyota. Droga omijała Darłowo i na chwilę zbliżając się do meandrującej w tym miejscu Wieprzy, biegła dalej na Sławno. Na horyzoncie ciemniał masyw lasu.

Artiom rozglądał się z ciekawością po okolicy. Dziwne. Po co Sierow jedzie dalej? Powinien już skręcić na ich kemping. Nie chciał pytać, żeby nie dać Woroninowi okazji do jakiejś głupiej, złośliwej odpowiedzi w rodzaju: „A co cię to?”.

Sierow zwolnił przed zakrętem. Stała tam tablica z czerwonymi strzałkami, a za nią właśnie znikła terenowa toyota.

– A ci gdzie tam pojechali? – Woronin nie wytrzymał.

– Jacy ci? Kto? – Artiomowi także nie udało się powstrzymać przed zadaniem pytania.

– A co cię to? Nie interesuj się!

Zetlers zaklął cicho pod nosem. Niech go cholera!

Biały nissan navara minął zakręt i potoczył się dalej wąską asfaltową drogą.

*

Deszcz bębnił o dach samochodu. Pięciu mężczyzn siedziało w środku i w milczeniu wpatrywało się w pobocze.

– Słuchajcie, to przestało być zabawne – powiedział cicho Johann.

– Co robimy? – Rupert pstryknął kolejne zdjęcie.

– Jedziemy stąd. – Igor rozejrzał się dookoła. W smugach światła widać było zacinające strugi deszczu i kolejne kałuże na ginącej w mroku drodze.

– Zawracaj. – Jamie postukał ręką w oparcie fotela kierowcy. – Na jachcie zastanowimy się, co z tym zrobić.

– To już przestało wyglądać na żart. – Dermot pokręcił głową. – Ten psychopata włożył w to za dużo zachodu.

Johann wrzucił wsteczny i wcisnął pedał gazu. Zakręcił kierownicą w prawo. Samochód, rozbryzgując brudną wodę w kałuży, stanął w poprzek drogi.

– Włącz na wszelki wypadek napęd na cztery koła. – Jamie zajrzał między fotele.

– Nie denerwuj mnie. – Johann zmarszczył brwi i wrzucił jedynkę.

– Tu jest stały napęd na cztery koła – rzucił Igor, zagryzając wargi. – Centralny mechanizm różnicowy.

– Cokolwiek to znaczy, mam nadzieję, że nie utkniemy.

– Kracz dalej! – Johann zakręcił kierownicą i samochód wycofał się,

wjeżdżając tylnymi kołami pod górę dołu wypełnionego błotem. Przełożył bieg na jedynekę i ruszył do przodu. Toyota ryknęła, wjeżdżając ponownie w błoto. Na środku kałuży przednie koła zabuksowały.

– Super! – jęknął Jamie.

– Zakneblujcie go albo coś! – Johann szarpnął za wajchę zmiany biegów, wrzucając ponownie cofanie.

– Szarpiesz się na środku tej kałuży i zrobiła się dziura.

– Jamie!

Toyota znów ryknęła. Spod przednich kół trysnęły strugi wody i błota.

– Jezu, Johann! – Dermot spojrział w lusterko wsteczne. – Ugrzązłeś land cruiserem. To trzeba mieć wyjątkowe zdolności.

– Następny cholerny doradca!

– Chwila, tam coś jest! – Rupert pochylił się nagle nad kolanami Jamiego, wpatrując się w coś przez szybę.

– Co znowu? – Jamie spojrział w tym samym kierunku.

– Jakieś ruiny chyba.

Dermot zsunął do końca boczną szybę i wyjrzał. W mroku, rozjaśnionym poblaskiem od reflektorów, pomiędzy drzewami majaczył jakiś kształt.

– Daj ten aparat. – Sięgnął do kolan Ruperta, po czym skierował obiektyw w stronę lasu i strzelił lampą błyskową. Na moment w świetle ukazały się pnie i gałęzie niskich krzewów.

Dermot włączył podgląd i spojrział na ekran aparatu.

– Rzeczywiście – mruknął. – To ruiny jakiegoś budynku. Niezły klimat.

– Zaczyna się robić z tego jakiś pieprzony *Blair Witch Project*[40]. – Jamie zajrzał przez ramię Dermota.

Igor nagle zamarł. Spojrział w okno. Przecież to jest... Jak mógł tego nie skojarzyć?

– Wiecie, gdzie my jesteśmy? – Odwrócił się i spojrział za siebie. – Przecież to jest ten las, o którym miejscowi opowiadają, że tu straszy.

– Ten z tamtych artykułów o sześćdziesięciu trupach znalezionych w jakimś ustronnym domu? – Johann spojrział na niego z niedowierzaniem.

– Dokładnie! O tym samym przed chwilą czytaliśmy w pamiętniku Wyrzykowskiego. Nie skojarzyłem tego miejsca. To może nawet być ten dom.

Na tylnym siedzeniu przez chwilę panowała cisza.

– Wiecie co, to nie może być przypadek – powiedział cicho Jamie. – Ten koleś specjalnie wybrał to miejsce. To autentycznie psychol.

– Wyjeżdżaj lepiej z tego błota! – Dermot spojrział w mrok za oknem i zamknął szybę.

Toyota ponownie zaryczała, ale mimo wysiłków przednie koła nie chciały wyjechać z głębokich, wyżłobionych w dnie kałuży dziur.

– Jak to możliwe, że zakopałeś się tym samochodem? To jest technicznie niewykonalne.

– Dermot! Jak chcesz, to możemy się zamienić miejscami! – Johann puścił pedał gazu i odwrócił się. – Musicie popchnąć. Nie damy rady.

W tym momencie błysnęło, a po chwili nad polami przetoczył się kolejny grzmot.

*

Bolo był zły. Czuł się bezsilny i doprowadzało go to do wściekłości. Ruscy coś knuli, ale nie wiedział co. Przez tych drani Stasiak wplątał się w morderstwo i teraz nie żyje. A ci z białego jachtu też nie lepsi. Banda wymoczków. Co ta dziennikarka tutaj robi? Miała podobno pisać artykuł na temat Dąbek i Darłowa, a siedzi z tymi Angolami. I nawet nie zainteresowała się tym, co jej przesłał. Czuł, jak ogarnia go ta złość, której czasem nie potrafił opanować. Przemknęło mu przez głowę, że obrobić taki jacht to dopiero byłoby coś. Prawdziwy sezam. A może ci Ruscy też o tym właśnie myśleli? Bo co by robiła w nocy na mostku ta świnka z czerwoną mordą? Z lornetką.

*

Paulina stała przy szklanych drzwiach prowadzących na pokład i wpatrywała się w widoczne stąd nabrzeże. Za kilkoma pawilonami, w dzień

otoczonymi przez wianuszek klientów, także przez wystawiane na zewnątrz reklamy i stojaki, a o tej porze dnia przygaszonymi i sennymi, widać było wylot ulicy, przy której parkował Igor. Jej samochód też tam stał. Była sama. Gwen i Alice kilkanaście minut temu poszły do swoich kabin, zostawiając ją na posterunku.

Wypiła łyk kawy i pozwoliła, żeby myśli swobodnie płynęły między sprawami, które zaprzętały jej głowę, nie skupiając się na żadnej z nich. I tak jednak na plan pierwszy wybił się niepokój. Nie martwiła się raczej o chłopaków, bardziej był to irracjonalny lęk, który obudził w niej Igor wspomnieniem o kradzieży w jej domku. Czy te sprawy mogły się łączyć? Kradzież i ten list z kamieniem? Tylko po co, zakładając, że to jednak nie żart, ktoś miałby to robić?

Odwróciła się i zrobiła kilka kroków po salonie. Właściwie nie wiedziała, jak nazywać pomieszczenia na tym jachcie. Na wszystkich znanych jej łodziach, nawet dużych, mesa to była jednak mesa, tutaj natomiast to był regularny salon. Z wielkimi oknami, idealną wykładziną, jasnymi sofami i dyskretnym oświetleniem. Podobnie jak trudno było nazwać jej kabinę kabiną, skoro wyglądała jak sypialnia w pięciogwiazdkowym hotelu.

Ruszyła w kierunku ławy, kiedy odezwała się jej komórka.

Spojrzała na wyświetlacz. Olszański?

Pierwsza myśl, to że telefon o tej porze od prokuratora, który nie jest jej osobistym znajomym, może oznaczać wyłącznie coś złego.

– Przepraszam, że dzwonię tak późno. Mam nadzieję, że nie obudziłem pani czy coś.

– Nie, nie. – Paulina podeszła do drzwi. Na schodach usłyszała jakiś harmider. Chyba Alice i Gwen wracały z powrotem do mesy.

– Czy zdążyła pani porozmawiać z tym Niemcem, Brunonem Schliemannem?

– Odwiedziłam go w hotelu wczoraj po południu. Miał wpaść do nas wczoraj na kolację, żeby obejrzyć te lotnicze artefakty, ale się nie pojawił.

Przez moment Paulinie przyszło do głowy, że Olszański dzwoni po to, by ją opieprzyć, że za dużo powiedziała temu Niemcowi. Zreflektowała się jednak, bo przecież prokurator nie mógł nic na ten temat wiedzieć.

– Nie wiem, czy dobrze zrobiłam, w ogóle zgadzając się na to i opowiadając mu o tym, ale...

– Pan Schliemann wczoraj wieczorem miał wypadek. Nie żyje.

W słuchawce zapanowała na moment cisza.

Paulina patrzyła niewidzącym wzrokiem przed siebie, a przez głowę galopowały jej myśli. Złapała się na tym, że są banalne. Że przecież dopiero co z nim rozmawiała... Jak to możliwe, że nie żyje?

– Jaki wypadek? Samochodowy? – zapytała w końcu.

– Niezupełnie. – Olszański westchnął. – Poszedł na wieczorny spacer i chyba postanowił popływać. Utopił się.

– Co takiego? – Paulina przypomniała sobie wysokiego, zadbanego mężczyznę, który patrzył na nią przenikliwym, chłodnym spojrzeniem. Taka spontaniczna decyzja o pływaniu wieczorem, po ciemku, jakoś nie pasowała do jego wyglądu.

– Nie był trzeźwy. Niestety, takie zdarzenia nad morzem są dość częste. Zbytnią pewność siebie. Sprawdziliśmy. Schliemann dużo pływał. Kiedyś nawet sportowo, a teraz kondycyjnie, kilka razy w tygodniu. Pewnie za bardzo ufał swoim umiejętnościom, a wczoraj dość mocno wiało. Były spore fale.

Paulina wpatrywała się w przestrzeń. Mimo woli przyszła jej do głowy wredna myśl, że śmierć Niemca, który szukał w Darłowie prochów brata, a sam stracił tutaj życie, jest niezłym zakończeniem jej artykułu. A może w ogóle dwa teksty z tego można zrobić?

Pokręciła głową, odpędzając od siebie takie myśli, i skarciła się za nie w duchu. Zboczenie zawodowe.

– Czy spotkanie z nim wniosło coś do pani artykułu?

– Co takiego? – Paulina pomyślała, że Olszański chyba czyta jej w myślach. – Nie! To znaczy tak... Oczywiście. Przepraszam, zamyśliłam się. Trochę mną wstrząsnęła ta informacja.

– Oczywiście. Nie będę pani przeszkadzał w takim razie. Jeszcze jedno...

Paulina dopiero po chwili zarejestrowała, że Olszański chce zmienić temat.

– Tak?

– Ten człowiek, o którym pani wspominałem, Bolesław Kukla. Może być potencjalnie niebezpieczny. Jest z lekka nie zrównoważony. Nie wiadomo, jak odbiła się na nim śmierć Stasiaka. Nie chciałbym pani straszyć, ale proszę zachować ostrożność.

Paulina, wciąż wstrząśnięta wiadomością o śmierci Schliemanna, ostrzeżenie Olszańskiego przyjęła z opóźnieniem. Jej umysł zanotował je wprawdzie w pamięci, ale w kategorii spraw „na później”.

Pożegnała się i przez moment, usiłując pozbierać myśli, patrzyła w ekran telefonu. Na schodach z dolnego pokładu usłyszała kroki i po chwili ukazała się na ich szczycie Alice, a zaraz za nią Gwen. Obrzuciła je rozkojarzonym spojrzeniem. Pomyślała, że nie zdążyła nawet powiedzieć Olszańskiemu o tym dziwnym liście z kamieniem i spytać, co powinna jego zdaniem zrobić.

*

Prokurator Teodor Olszański zapiął suwak bluzy dresowej, nałożył słuchawki i wyszedł na klatkę schodową. Lubił biegać o tej porze, gdy paliły się już latarnie, a w powietrzu unosił się charakterystyczny zapach wieczoru, schłodzonego z lekka ozonu, wymieszanego z zapachem drzew i wiatru. Miał zamiar pobiegać przez co najmniej godzinę. Długotrwały wysiłek gwarantował, że organizm w połowie biegu przerzuci się z pożerania magazynowanej w mięśniach glukozy na magazynowany na brzuchu tłuszcz. Chociaż nie miał z tym aż tak wielkich problemów jak na przykład Matuszek, to starał się utrzymać w formie. Po czterdziestce przemiana materii spadała jak stalowa kula na dno stawu. Po dwóch latach pobytu na Pomorzu zaczął się przyzwyczajać do Koszalina i już nawet coraz rzadziej tęsknił za Warszawą.

Wyszedł na ulicę i skierował się w stronę pobliskiego parku. Wzdłuż alei Monte Cassino wiodła długa prosta ścieżka, na której najczęściej rozpoczynał swój trening. Wiatr wprawdzie niepokojąco przepowiadał zbliżającą się burzę, jednak Olszański postanowił zaryzykować.

Za chwilę postara się zresetować umysł, ale jeszcze przez moment myślał o Schliemannie, który tak głupio postradał życie, i o Paulinie Weber, która

dzięki temu może napisze ciekawszy tekst. Wciąż nie mógł się pozbyć jakiegoś niepokoju związanego ze sprawą Wyrzykowskiego. Coś mu nie pasowało z tym Stasiakiem. Postanowił jutro rano dowiedzieć się czegoś o tym jego kumplu. Kukła się nazywał, o ile pamiętał. Coś było nie tak z tym facetem. Na szczęście jego kartoteka była długa jak brazylijski serial.

*

Paulina wpatrywała się w okno z kompletnym chaosem w głowie. Nie zdążyła sobie jeszcze poukładać wszystkiego w kwestii tego cholernego listu z kamieniem, a tu taka wiadomość! Tamten dziwaczny list zaniepokoił ją, ale na zasadzie raczej wyrwania z komfortu wewnętrznego bezpieczeństwa. Zaniepokoił ją fakt, że ktoś obcy może się orientować w tym, że prowadzi dziennikarskie śledztwo, że w ogóle jest dziennikarką i że wybrał ją akurat na odbiorcę tego poronionego wybryku. Przecież to absurd! Jako pierwszy podejrzany oczywiście przyszedł jej do głowy Paweł, ale nawet on nie byłby w stanie jechać dwie godziny ze Szczecina tylko po to, żeby wrzucić na pokład kamień. Ktoś, kto to zrobił, miał wyjątkowy poziom determinacji, godny naprawdę lepszej sprawy, żeby napracować się, zakraść pod jacht, wrzucić kamień i jeszcze porozwieszać te cholerne czerwone wstążki po krzakach. O ile one tam rzeczywiście były.

Jeśli to natomiast nie był żart, to... Pokręciła głową. Implikacje tej ostatniej możliwości były przerażające.

A teraz ten Niemiec! Akurat wczoraj, zaraz po rozmowie z nimi, poszedł popływać i się utopił. Co za koszmarny przypadek. Zaraz... O czym to mówił jeszcze Olszański...

Gwen usiadła na sofie naprzeciwko Pauliny.

– Co robimy?

Rozkojarzona Paulina uświadomiła sobie, że nie jest pewna, w jakim kontekście Gwen zadała to pytanie.

– A co miałybyśmy robić?

– Nadal uważam, że to głupi żart... – Alice włożyła łyżeczkę do kubka i zaczęła wolno mieszać.

– Tylko że mnie wciąż nie przychodzi na myśl, kto mógłby mi zrobić taki

kawał. – Paulina wzruszyła ramionami i wskazała brodą kamień. –
Recepcjonistka z Rekina?

– Biorąc pod uwagę, że cię tam okradli, właściwie nie jest to aż takie
nieprawdopodobne. – Gwen wzruszyła ramionami.

– A ja nadal uważam, że morderstwo, wisielec i ten żart nie mają ze sobą
nic wspólnego. To wszystko zbieg okoliczności. – Alice oparła się o sofę. –
Takie rzeczy się nie zdarzają.

Paulina w tym momencie uświadomiła sobie, że nie powiedziała im
jeszcze o Schliemannie.

– Jest jeszcze coś – westchnęła. Dwie pary oczu skierowały się na nią.

– To chyba naprawdę jakaś klątwa – powiedziała wreszcie Gwen po
dłuższej chwili milczenia, w czasie której obie wpatrywały się nieruchomo
w Paulinę.

– Gwen, daj spokój... – Alice westchnęła.

– Co: Gwen? Wypłynęliśmy z Londynu w piątek, no i się zaczęło.
Pieprzony Fin z Mariehamn, który zrobił z nas idiotów, potem prawie się
potopiliśmy na tym „Chińczyku”, Dermot z Jamiem i Rupertem wylądowali
w więzieniu, a teraz, dzięki naszym polskim przyjaciołom, wpadliśmy tutaj
w wir morderstw, samobójstw, wisielców i rzekomych topielców.

– Jak to rzekomych? – Paulina spojrzała na nią, jakby się przesłyszała. –
Sądziś, że on przeżył?

– Nie że przeżył, tylko że rzekomo się utopił!

– Gwen w końcu wyszła z roli angielskiej damy – Alice uśmiechnęła się
protekcjonalnie. – Za dużo kawy.

Paulina natomiast w tej akurat chwili przypomniała sobie to, o czym kilka
minut temu powiedział jej prokurator. Jej umysł wyciągnął tę informację
z przegródki „na później” i wrzucił z rozmachem na plan pierwszy, nad
którym palił się wielki neon „akcja!”.

Kolega Stasiaka! Niezrównoważony! Potencjalnie niebezpieczny...

Popatrzyła na obie Angielki.

– Jest jeszcze coś...

– Na miłość boską! – Gwen usiadła i wbiła wzrok w Paulinę.

– Co takiego? – spytała Alice.

Po chwili na moment zapadła cisza. Gwen wpatrywała się w Paulinę szeroko otwartymi oczami.

– Cholera jasna! Teraz dopiero o tym mówisz?

– Koniec z tymi bzdurami! – zakomenderowała Alice. – Dzwonź do tego prokuratora!

– Jest prawie dziesiąta... – Paulina spojrzała na zegarek.

– Prokuratorzy nie chodzą spać przed świtem. To wampiry.

Paulina spojrzała na nią niepewnie. Pomyślała, że Alice chyba rzeczywiście wie więcej o zwyczajach prawników. Marta, jedyna prawniczka, jaką sama знаła osobiście, nie kładła się spać przed pierwszą. Wprawdzie przez ostatnie lata bardziej odpowiadał za to mały Boguś, a nie praca, ale wcześniej właściwie też tak było.

Sięgnęła po telefon i wybrała ostatnie połączenie.

Sześć sygnałów później pokręciła głową i odłożyła telefon na stół.

– Nie odbiera.

– Spróbuj za chwilę jeszcze raz. – Alice podniosła się z sofy i zrobiła kilka kroków w kierunku wyjścia. – Idę do kuchni. Stwierdziłam, że nie chcę tej herbaty. Muszę się czegoś napić. Ktoś coś chce?

– Przynieś mi piwo. – Gwen oparła się i założyła ręce na piersi.

– Nie mogę dzwonić do tego Olszańskiego jeszcze później. To już byłaby przesada. – Paulina spojrzała za znikającą za drzwiami Alice.

– Może sam oddzwoni? – Gwen wzruszyła ramionami.

Po chwili Alice wróciła z trzema butelkami fuller'sa i postawiła je na ławie.

– Ja nie chciałam. – Paulina pokręciła głową.

– To może chcesz wina?

Paulina przez chwilę się wahała, ale myśl o tym, że prokurator może oddzwonić, skutecznie ją powstrzymała. Była zmęczona, wino mogło jej łatwo uderzyć do głowy, a nie chciała zacząć bełkotać przez telefon.

Informacja z upiornego listu, że w lesie pod miastem, w bagnie, leżą

czyjeś zwłoki, nie stałaby się przez to bardziej przekonująca.

Rozdział 22

Burza przybierała na sile. Błyskawice rozświetlały niebo nad portem, a grzmoty było słycać coraz bliżej. Łać zaczął także intensywny deszcz, który walił wielkimi kroplami o pokłady „Pandory”, stukał w brezentowe zadaszenia przy pawilonach i budkach gastronomicznych, w parasole letnich ogródków i rozlewał się wielkimi kałużami po wyłożonym kostką polbrukową nabrzeżu.

Paulina spojrzała na zegarek. Mijała właśnie dziesiąta, a Olszański nie oddzwaniał.

Na ławie, niby wyrzut sumienia, leżała zmiętolona brudna kartka papieru w kratkę. Paulina, siedząc na sofie z podciągniętymi nogami, nie widziała tego, co było na niej napisane, ale znała już ten tekst na pamięć.

Informuje Panią pani redaktor ni niejszym, że w lesie w bagnie lerzą zwłoki. Za Darłowem, na zakręcie przez tory. Droga na miejsce oznakowana będzie czerwonymi wstążkami.

– Może jednak zadzwonię na posterunek... – Spojrzała na Gwen i Alice, które siedziały w milczeniu naprzeciwko niej i powoli sącyły piwo.

Alice pokiwała głową.

– Wątpię, czy coś zrobią, ale możesz spróbować.

– Mają olać zawiadomienie o zwłokach? – Paulina wzięła telefon i zaczęła szukać bezpośredniego połączenia do komendy w Darłowie. Szkoda, że nie ma telefonu do tego policjanta, który współpracował z Olszańskim. Jak on się nazywał? Matuszek? Piotr Matuszek.

Usłyszała w słuchawce bezosobowy głos dyżurnego, który zapytał, w czym może pomóc.

– Dobry wieczór. Mam taką dziwną sprawę. Ktoś wrzucił nam na pokład kamień z kartką, na której była informacja, że w bagnie pod Darłowem leżą zwłoki. Nie bardzo wiemy, co z tym zrobić.

– Skąd pani dzwoni?

– Z Darłówka. Z portu.

– Sprawdzili państwo tę informację?

– Nie do końca... – Paulina pomyślała o odbywającej się właśnie wyprawie Igora i reszty towarzystwa do lasu.

– Wstążki? – Głos w słuchawce był pełen niedowierzania. – Uprzedzam panią, że za takie żarty są surowe kary. Jesteśmy w stanie namierzyć pani numer.

– Ja nie żartuję. Naprawdę ktoś nam wrzucił na pokład kamień z taką wiadomością.

– I gdzie miałyby być te zwłoki?

– Za przejazdem kolejowym na drodze do Sławna.

– Darłowiec? – W słuchawce przez chwilę panowała cisza. – To jakiś głupi kawał. To miejsce ma opinię nawiedzonego.

Paulina zmarszczyła brwi. Nawiedzonego? I nagle uświadomiła sobie, że chyba ją coś otepiło. Jak mogła tego nie skojarzyć? Na miłość boską! Przecież to chyba tamto miejsce, o którym pisał Wyrzykowski i opowiadała Wieliszewska.

Policjant westchnął.

– Wyślę tam kogoś, jak będzie patrol w pobliżu. Proszę zostawić swój numer na wszelki wypadek. Jak się pani nazywa?

– Paulina Weber. Dziękuję bardzo.

Odłożyła telefon na ławę i na widok pytających spojrzeń Gwen i Alice wzruszyła ramionami.

– Ktoś tam może podjedzie. – Popatrzyła na nie rozkojarzonym wzrokiem.
– Właśnie sobie uświadomiłam coś...

– Co znowu? – Gwen zastygła z butelką fuller'sa w ręku.

– Ten las, do którego oni pojechali...

– Co z nim, do cholery?

– To jest to miejsce, gdzie zamordowano tych sześćdziesięciu ludzi zaraz po wojnie...

Gwen wyglądała przez moment, jakby miała się zakrztusić.

*

Kemping leżał na sporym terenie, nieopodal drogi z Darłowa na Sławno, gdzie nad malowniczym stawem ustawione były małe domki letniskowe. Każdy z niewielkim gankiem, na którym można było przesiadywać wieczorami. Dwa domki wynajęte przez Władimira Sierowa stały akurat na końcu szeregu. Obok nich było miejsce na ognisko, a trochę dalej zaczynała się ściana lasu. Burza zagnała nielicznych już letników, którzy jeszcze tutaj odpoczywali, do wnętrza głównego domostwa, gdzie serwowano rozmaite, nieśmiertelne rozrywki typu piłkarzyki, bilard czy rzutki. Artiom, chowając się przed ulewą, przemknął chodnikiem i wspiął się na kilka drewnianych schodków prowadzących na ganek. Przy stoliku siedzieli Sierow z Woroninem, a przed nimi stały trzy kieliszki i butelka polskiej wódki.

– Chciałeś pogadać – rzucił do Sierowa i otrząsnął włosy z deszczu.

– Siadaj. – Sierow wskazał mu jedno z wolnych plastikowych krzesełek. – Napij się z nami.

– Jutro mamy pracować od rana. – Artiom spojrzał niepewnie na półlitrową butelkę.

– Dwie, trzy kolejki kondycji ci nie zrujnują – warknął Woronin. – Siadaj.

Artiom, rad nierad, pomny, że odrzucenie zaproszenia na wódkę to najgorsza potwarz, usiadł i obrzucił niechętnym spojrzeniem Woronina, który też patrzył na niego wilkiem.

– Zacząłeś węszyć – powiedział chłodno Sierow i sięgnął po butelkę. Odkręcił zatyczkę i nalał do trzech kieliszków.

Artiom nic nie odpowiedział. Sięgnął po swój kieliszek i wypił duszkiem jego zawartość.

Sierow przetarł dłonią usta i nalał drugą kolejkę.

– Powiedziałem ci, że szukamy radzieckiej łodzi podwodnej, i dla twojego dobra lepiej by było, gdybyś nadal w to wierzył, ale skoro zacząłeś być podejrzliwy, to trudno. Będziesz teraz współnikiem.

Sierow przez chwilę patrzył na Artioma, a gdy nie doczekał się żadnej

reakcji, zaczął mówić.

– We wrześniu czterdziestego czwartego roku z Darłówka wypłynął U-Boot. Zabrał kilku wyższych oficerów oraz pewien ładunek, który Niemcy postanowili zabezpieczyć przed zbliżającą się na Pomorze Armią Czerwoną. Mniej więcej w połowie odległości do Bornholmu został namierzony przez RAF i rzekomo zatopiony. Takie informacje podają zachodnie źródła. W rzeczywistości był tylko uszkodzony. Zdołał zejść pod wodę i skierować się na Bornholm, gdzie Niemcy zamierzali się ukryć. I dopiero kilkadziesiąt metrów od brzegu, na wschód od wyspy, poszli na dno, trafieni przez torpedę z naszego okrętu.

– Co to za ładunek? – Artiom patrzył nieruchomo na Sierowa.

– Powoli. – Sierow sięgnął po kieliszek i podniósł go do góry. – Kilka miesięcy później, siódmego marca czterdziestego piątego roku do Darłowa dotarł Drugi Front Białoruski. Konkretnie Dziewiętnasta Armia i Trzeci Samodzielny Korpus Pancerny. Armią dowodził generał Władimir Romanowski, a Trzecim Korpusem generał major Aleksiej Panfilow. W mieście powstała komendantura wojenna, której dowódcą był major Pietuchow. Niedługo potem przybyły tu z Gdańska oddziały Leontija Denisowa.

– Trofiejczycy?

Sierow kiwnął głową i odstawił kieliszek.

– Pod Panfilowem służył młody podoficer, który przesłuchując polskich i francuskich jeńców, trafił na ślad pewnej szpiegowskiej afery i tego tajemniczego ładunku, który spoczął na dnie razem z zatopionym U-Boatem. Ten sam podoficer dotarł także do pojmanego wcześniej szwabskiego junkra, który jak się okazało, był szpiegiem aliantów.

– Czyli był po naszej stronie...

– Po swojej, nie po naszej – Sierow parsknął śmiechem. – To on zdradził, że Niemcy prowadzili tutaj supertajne badania nad pewną eksperymentalną bronią. A plany tej broni, cała dokumentacja i prototypy spoczywają teraz właśnie w zaspawanych, szczelnych metalowych skrzyniach w ładowni łodzi podwodnej, którą dwa dni temu namierzyliśmy...

Artiom patrzył przez dłuższą chwilę na Sierowa.

– Jakie znaczenie, po siedemdziesięciu latach od końca wojny, mogą mieć plany jakiegokolwiek broni?

– Na przykład formuła silników antygravitacyjnych.

– Kurwa! – Artiom parsknął. – Ty chyba w to nie wierzysz, Sierow?

– Operacja miała ponoć kryptonim „Totenleuchte”. Ważne, że w to wierzy nasz zleceniodawca, a jeśli wydostaniemy dla niego te skrzynie, to zapłaci nam bardzo dobre pieniądze. Reszta mnie nie interesuje.

– To od niego miałeś te współrzędne?

– On jest teraz jednym z wysoko postawionych generałów w Moskwie. Ktoś mu je wyciągnął z tajnych archiwów. Ma ogromny majątek, bo i chyba łeb na karku miał zawsze. Pogrzebałem trochę w różnych źródłach i dowiedziałem się, że to on na przykład zwinął srebrny, bezcenny ołtarz, po który między innymi przyjechali tu trofiejczycy Denisowa. – Sierow uśmiechnął się pod nosem. – Wyprowadził w pole Denisowa. Maładiec!

– Dlaczego wcześniej tego nie powiedziałeś? – Artiom wzruszył ramionami. – Przecież mi wisi, czy szukamy pamiątek po twoim dziadku, czy Wunderwaffe jakiegoś walniętego generała.

– To on postawił warunek absolutnej dyskrecji. Ma na tym punkcie obsesję.

– Dlatego to, co mówimy, ma zostać pomiędzy nami – włączył się po raz pierwszy do rozmowy Woronin.

– A niby komu miałbym o tym mówić? – Artiom ponownie wzruszył ramionami.

– Ważniejsze jest dla mnie, czy mogę na tobie polegać. – Sierow popatrzył spod zmrużonych powiek. – Jak zaczniemy szperać w tej łodzi, złamiemy kupę przepisów. I polskich, i duńskich.

Artiom przez chwilę milczał, po czym powoli z namysłem pokiwał głową.

*

Niebo nad polami, za wąskim pasem starych drzew i niskich krzewów, które oddzielały drogę od ciągnących się po horyzont, upstrzonych kępami zieleni nieużytków, przecięła błyskawica. Po dłuższej chwili rozległ się

potężniejący, płynący nisko nad ziemią grzmot. Deszcz wyraźnie przybrał na sile.

– Nie no, nie wierzę... – Jamie spojrział z konsternacją na Johanna. – Błoto po kolana, morderca czai się gdzieś w lesie, a my mamy wysiadać?

– Skończcie z tymi bzdurami! Jaki morderca? Jak nie popchniecie, to nie wyjedziemy.

Rupert otworzył drzwi i spojrział na swoje stopy. Miał na sobie sandały i krótkie spodnie. Westchnął i zeskoczył prosto w sam środek kałuży.

W tym momencie błysnęło, a po chwili nad polami przetoczył się kolejny grzmot.

– Mam z tyłu płaszcze przeciwdeszczowe. – Igor wskazał głową kufer toyoty. – Ale tylko trzy.

Jamie, który stał najbliżej samochodu, podnosząc wysoko nogi w sięgającej do łydek brudnej wodzie, podszedł i szarpnął za klapę. Po chwili wydobyl ze środka trzy pałatki w kolorze khaki. Nie pytając nikogo o zdanie, zaczął jedną wkładać, a dwie rzucił do stojącego obok Ruperta.

– A ja? – Dermot spojrział na niego ze złością.

– Wkładaj. – Igor przesunął się na skraj siedzenia i zeskoczył w błoto. – Jestem tutaj w końcu gospodarzem.

Pomyślał, że nowe trampki jakoś się dopierze, i brodząc w wodzie, przeszedł na tył samochodu.

Po chwili cztery sylwetki zaparły się w wodzie po kolana i z całej siły zaczęły pchać ryczącą wściekle toyotę. Ruszyła się z miejsca, ale natychmiast ponownie wpadła w dół. Woda stała wokół auta prawie do połowy osi.

– To jakaś masakra. Powinna wyjechać bez trudu. – Dermot westchnął i przetarł czoło rękawem.

Igor obszedł samochód i spojrział na tylne koła. Zmarszczył brwi. Jamie naciągnął kaptur głębiej na głowę i podążając za wzrokiem Igora, popatrzył krytycznie na zanurzoną w wodzie tylną oś.

– Jak to możliwe, że samochód z napędem na cztery koła nie może wyjechać z gównianej kałuży?

Igor spojrział na niego urażonym wzrokiem.

– Poczekajcie, ktoś tam chyba właśnie jedzie – przerwał im Rupert, patrząc uważnie w głąb przesklepionego gałęziami tunelu polnej drogi.

Zaraz za łukiem leśnego duktu, jakieś sto metrów od nich zatrzymał się samochód. Dermot i Jamie podeszli do Ruperta i wbili wzrok w ciemną drogę, u której wylotu, przed zakrętem, widać było długie światła, wydobywające z mroku sąsiednie drzewa i krzewy. Przez moment nic się nie działo, a po chwili światła zgasły i samochód zniknął w ciemności.

*

Stary mercedes zatrzymał się na wąskiej, wyłożonej betonowymi płytami drodze dojazdowej i powoli manewrując, zajął wolne miejsce postojowe na parkingu pod blokami przy ulicy Stefana Okrzei. Trzy pięciokondygnacyjne budynki z płaskimi dachami pyszniły się w świetle ulicznych latarni wszystkimi kolorami tęczy. Jakiś czas temu bloki zostały ocieplone, a nowe tynki otrzymały kolory zielone, pomarańczowe, żółte i generalnie takie jak farby, które zostały w magazynie wykonawcy po wcześniejszych budowach. Ponadto balustrady balkonów pomalowano, w dobrze pojętym odruchu indywidualizmu międzypiętrowego, na kolejne odcienie, od białego przez żółty po zielony.

Matuszkowi było to jednak najzupełniej obojętne. Martwił się wyłącznie tym, że Halina znowu będzie wściekła i zacznie mu wyrzucać, że wraca tak późno. Zimna kolacja do odgrzania i zimna kobieta w łóżku. Westchnął i ruszył chodnikiem w kierunku klatki schodowej.

Gdy odezwał się telefon, przez chwilę kusilo go, by nie odbierać. Po krótkiej walce ze sobą sięgnął do kieszeni i spojrzął na wyświetlacz.

– Co jest? O tej porze? – jęknął do słuchawki, słysząc głos policjanta dyżurnego z Darłowa.

– Mieliśmy was informować, jakby się coś w sprawie tego Niemca działo – młody dyżurny miał niepewny głos.

– No więc słucham. – Matuszek zwolnił krok. Chciał skończyć rozmowę przed blokiem. Halina byłaby jeszcze bardziej zła, gdyby, wracając o dwudziestą drugą, gadał wciąż w sprawach służbowych przez telefon.

– Dzwoniła tutaj ta dziennikarka, Paulina Weber. W jakiejś dziwnej

sprawie. Ktoś wrzucił im na pokład kamień z informacją, że w lesie leży trup.

– Trup? – Matuszek zatrzymał się zaskoczony.

– No, tak powiedziała.

– A co to ma wspólnego ze śmiercią tego Niemca?

– No, nie wiem... Myślałem, że...

– Gdzie leży ten trup?

– No właśnie, ponoć w Darłowcu. W lesie.

– W Darłowcu? To na bank jacyś gówniarze. Posłaliście tam kogoś?

– Nie ma kogo. Patrol jest w Kopaniu. Jakaś awantura domowa.

– Niech potem pojedą tam i sprawdzą. Jakby się coś urodziło z tego, to dzwonić.

Matuszek wepchnął telefon do kieszeni spodni i szarpnął za uchwyt drzwi na klatkę schodową. Cholera z tą Weber.

*

Błyskawica na moment wydobyła z mroku drzewa wzdłuż drogi, których poskręcane cienie zatańczyły na tle rozjeżdżonej szutrowej nawierzchni i odbiły się w wielkich czarnych kałużach. Przez krótką chwilę było też widać niewielki samochód, nieokreślonego z tej odległości i o tej porze koloru.

Obok niego stała zakapturzona postać w żółtym sztormiaku.

– Cholera by to! – mruknął niepewnym głosem Jamie.

– Co robimy? – Rupert obejrzał się do tyłu i obrzucił spojrzeniem stojących obok siebie Igora i Dermota.

– Nie panikujcie – szeptem warknął Dermot. – Jest jeden, a nas pięciu.

Johann nacisnął pedał gazu i toyota ponownie ryknęła.

– Spróbujcie popchnąć jeszcze raz! – krzyknął ze środka samochodu. – Może wyjedziemy.

Jamie pierwszy dopadł zderzaka wielkiej terenówki i zaczął pchać. Pozostała trójka przyłączyła się do niego i po chwili, rzucając raz po raz spojrzenia w głąb ciemnej drogi, wszyscy czterej zaczęli z całej siły pchać

samochód. Toyota wściekle ryczała, ale tylne koła wciąż buksowały w zagłębieniu kałuży.

Igor oderwał ręce od maski i dopadł drzwi od strony kierowcy.

– Ja spróbuję! – krzyknął do Johanna. – Znam ten samochód trochę lepiej.

Johann spojrzał na Igora lekko urażonym wzrokiem, ale natychmiast ugodowo pokiwał głową i wyskoczył z samochodu prosto w kałużę. Igor wsiadł do wnętrza i szarpnął za dźwignię zmiany biegów.

– Spróbuję do tyłu! – krzyknął przez okno. – A potem od razu na jedynekę! Jak ruszy do przodu, to od razu pchajcie!

Johann kiwnął głową i pobiegł na tył samochodu, gdzie oparta o maskę stała pozostała trójka, czekając na następną próbę wydobycia ciężkiego SUV-a z błota.

Kolejna błyskawica na moment ukazała drogę za samochodem. Kilkadziesiąt metrów od nich powoli, szperając latarką po kałużach, zbliżały się dwie postacie w nasuniętych na głowy kapturach sztormiaków. W strugach deszczu widać było, że trzymają w rękach długie drągi.

– Ja pierdolę! Pchajcie! – wrzasnął Jamie. – Pozabijają nas!

Samochód szarpnął do tyłu, wyjeżdżając z rykiem z głębokiego rowu kałuży, po czym koła ponownie straciły przyczepność. Igor w tym momencie wrzucił jedynekę i nacisnął z całej siły pedał gazu.

– Pchajcie teraz mocno! – krzyknął przez otwarte okno.

Cała czwórka ponownie dopadła samochodu i zaczęła pchać. Auto ruszyło do przodu i rycząc przeraźliwie, usiłowało się wyrwać z pułapki.

– Pchaj! Nie gap się! – huknął Jamie, widząc, jak Dermot odwraca się do tyłu, usiłując dostrzec w mroku sylwetki zbliżających się postaci.

Toyota ruszyła z miejsca raz jeszcze, ale po dłuższej chwili siłowania się ponownie wpadła w dół. Woda stała wokół auta prawie do połowy osi.

Igor westchnął głęboko i spojrzał w lusterko. Nikogo jeszcze nie było widać w zasięgu tylnych reflektorów. Na moment zahaczył wzrokiem o tablicę rozdzielczą. Jego uwagę przykuła malutka mrugająca kontrolka. Na miłość boską! Tylny napęd!

– Odsuńcie się! – wrzasnął przez okno i wrzucił po raz kolejny jedynekę.

Toyota mruknęła z zadowoleniem i ruszyła do przodu, wyjeżdżając bez większych trudności z kałuży.

– Wsiadajcie! – krzyknął na obserwującą to z zewnątrz lekko oniemiałą czwórkę mężczyzn.

– Co jest? – krzyknął Dermot – Dlaczego teraz wyjechał?

– Tylne napędy były zablokowane!

– No nie żartuj! – Johann ruszył do samochodu i wskoczył na miejsce pasażera.

– Boże! Zabiję go! – ryknął wściekle Dermot i szarpnął za klamkę tylnych drzwi.

– To nie moja wina! – krzyknął Johann. – Nie wiedziałem, że jest zablokowane. Ja mam automat.

– Potem będziecie sobie bredzić o automobilizmie, debile! – Jamie okrążył samochód, otworzył drzwi i wpakował się do wnętrza. – Uciekajmy stąd! Ci psychole nas zabiją!

Toyota ruszyła, przetoczyła się przez lekkie wzniesienie na drodze i wjechała w kolejną kałużę. Gdy Igor lekko zwolnił, w zasięgu tylnych reflektorów pojawiły się dwie sylwetki w żółtych sztormiakach. Każda z długim drągiem w ręku.

– To jakiś cholerny *Koszmar minionego lata*[41]! – Jamie, odwrócony do tyłu, wpatrywał się ze zgrozą w tylną szybę samochodu.

– Musimy zawrócić. – Igor wrzucił drugi bieg i przyśpieszył. – Tą drogą dalej raczej nigdzie nie dojedziemy.

– Nie wiadomo – mruknął Johann, wpatrując się w ekran swojego smartfona. – Dalej jest jakaś wiocha. Domasławiec – przeliterował, łamiąc język.

– Wolę zawrócić.

Igor, korzystając z szerszego w tym miejscu duktów, z którego prowadził najwyraźniej wyjazd na sąsiadujące pola, wykręcił kierownicę, ustawiając samochód w poprzek drogi. Toyota zrobiła jeszcze jeden manewr do tyłu i po chwili stanęła przodem do miejsca, skąd przyjechali. Igor ruszył. Objechał kałużę prawą stroną i w tym momencie na drodze przed nimi, w zasięgu

reflektorów pojawiły się dwie postacie w sztormiakach. Przystanąły, obserwując samochód, który wyjechał z kałuży i wtoczył na fragment wyniesionej lekko nawierzchni drogi.

– Chyba nie mogą uwierzyć, że im się wymknęliśmy. – Jamie, pochylony nad bocznym oknem, wpatrywał się szeroko otwartymi oczami w mroczne postacie za szybą.

Rupert nagle zmarszczył brwi i wcisnął przycisk otwierający okno. Szyba zaczęła zjeżdżać w dół.

– Zwariowałeś? Zabiją nas tymi halabardami! – Jamie rzucił się przez jego nogi, chcąc dosięgnąć włącznika.

Jedna z postaci odrzuciła ręką kaptur do tyłu. Spod żółtej, mokrej tkaniny wysypały się związane na karku jasne włosy. Dziewczyna skierowała latarkę na samochód. Na jej twarzy malowało się zdumienie i irytacja.

– Dokąd wy się, do diabła, wybieracie?!

*

Zamykając drzwi wyjściowe, Matuszek dobrze wiedział, że od jutrzejszego poranka czekają go ze trzy, cztery ciche dni. Na pytanie, gdzie do cholery wychodzi o północy, mruknął coś, że ważna sprawa, morderstwo, a wówczas Halina trzasnęła drzwiami od sypialni tak, że pewnie ta krowa Pawłowicz spod piątki, przyssana gałką oczną do wizjera, spadła z drabinki. Westchnął i zbiegł ze schodów.

W Darłowie wciąż nie mieli żadnego wolnego samochodu. Rodzinna jatka w Kopaniu wyraźnie się przeciągnęła, a dwa pozostałe radiowozy też były zajęte. Cholerna Weber z tymi wstążkami wyprowadziła go z równowagi. Właściwie dlaczego ta sprawa tak go zaniepokoiła? Może dlatego, że miał w pamięci kartotekę tego całego Kukli. Trudno, przejedzie się tam i zobaczy.

*

Przez dłuższą chwilę w lesie panowała cisza. W tle słychać było tylko warkot silnika i krople deszczu rozbijające się o kałuże i liście drzew. Dwie postacie okutane w żółte peleryny, trzymając w rękach długie drągi, stały w milczeniu i wpatrywały się w samochód, z którego w kompletnym

osłupieniu przyglądało im się pięć par szeroko otwartych oczu.

– Co tu się, kurwa, dzieje?! – nie wytrzymał w końcu Jamie.

– To ja się pytam, co tu się dzieje! – krzyknęła z drugiej strony kałuży Alice.

– Czy wam odbiło? – Johann pochylił się przez Igora nad oknem. – Po co tu w ogóle przyjechałyście?

Rupert otworzył drzwi i wysiadł. Naciągnął na głowę kaptur.

– Myśleliśmy, że to jacyś lokalni bandyci idą, żeby nam wpieprzyć – wyjaśnił Jamie, wysiadłszy z samochodu za Rupertem. – I skąd wy wzięłyście te drągi?

– To przecież bosaki z jachtu. – Alice podniosła długi na dwa metry kij i stuknęła nim w ziemię. – Dzwoniłyśmy na policję. Powiedzieli, że skierują tu jakiś patrol. Może...

– Po co? – Johann wysiadł z samochodu i stanął na środku drogi. – Przecież mieliśmy najpierw sami sprawdzić. Po to tu przyjechaliśmy.

– Sprawdziliśmy. No i wiszą te cholerne wstążki. – Jamie machnął ręką w kierunku lasu, gdzie na młodej olszynie powiewała na wietrze czerwona tasiemka.

– Dzwonił Olszański – odezwała się skryta pod wielkim kapturem Paulina. – Ostrzegł mnie przed jakimś bandziorem, kolegą Stasiaka. Facet podobno jest niezrównoważony psychicznie. A poza tym...

– Cholera! – jęknął Jamie. – Czyli to on mógł to zrobić. I teraz nas może obserwuje gdzieś zza krzaków.

– Nie pieprz bzdur! – warknął Johann. – Podnosisz tylko wszystkim ciśnienie.

– Nie skończyłam – przerwała mu Paulina. – Ten Niemiec, który miał do nas przyjść wczoraj, nie żyje...

Przez chwilę wszyscy w milczeniu trawili tę wiadomość. Deszcz szumiał, uderzając o powierzchnię kałuży, a wiatr tarosił gałęzie drzew, które splecione nad ich głowami, trzeszczały teatralnie.

– Zabili go? – spytał w końcu Jamie, patrząc szeroko otwartymi oczami na Paulinę.

– Co ty mówisz? – Igor, który właśnie podszedł i stanął obok Johanna, spojrzał na nią z niedowierzaniem. – Naprawdę ktoś go zabił?

– Lepiej stąd jedźmy! – Jamie drgnął. – Przecież to jakaś jatka! W co myśmy się...

– Nie powiedziałam, że go zabili! – Paulina podniosła głos, usiłując przekrzyczeć Jamiego. – Utopił się!

– Rzekomo – wtrąciła Alice.

– Alice! – Paulina zmarszczyła brwi. – Nie mieszaj.

– Jak to rzekomo? – Jamie patrzył to na Alice, to na Paulinę – To w końcu się utopił czy ktoś go zabił? Utopili go?

Niebo przecięła błyskawica.

– Nikt go nie zabił!

Grzmot, który gruchnął po chwili, zagłuszył nieco głos Pauliny.

– Ale kto go zabił? – spytał zdezorientowany Dermot, który dopiero wyszedł z samochodu i stanął obok. – Kolega tamtego wisielca?

– Ja nie mogę! – Paulina walnęła bosakiem w ziemię. – Zaraz mnie szlag trafi! Nikt go nie zabił!

– Uspokójmy się wszyscy! – krzyknął Igor. Spojrzał na Paulinę. – Popełnił samobójstwo?

Wzrok Pauliny przez moment wyrażał skłonności mordercze.

– Jakie samobójstwo? – wysyczała. – Kto mówi o samobójstwie?

– No myślałem, że skoro...

– Wczoraj na wieczornym spacerze poszedł się wykąpać! Ponoć nie był trzeźwy, a były akurat spore fale.

– Akurat gdy mieliśmy się z nim spotkać? – Johann zmarszczył brwi. – Nie wyglądał raczej na pijaka.

– Bo trzeba wyglądać na pijaka, żeby się utopić w morzu – syknęła ze złością Paulina.

– Co robimy? – spytała nagle Alice. – Będziemy tak tutaj stać i konwersować? To możemy z powodzeniem robić na jachcie. Poza tym w samochodzie Gwen zaraz dostanie zawału.

– Gwen? – Johann spojrzał w głąb niknącej w ciemności drogi. – Też z wami przyjechała?

– Stwierdziła, że odwagi starczyło jej tylko na tyle i woli poczekać w samochodzie. – Paulina pokręciła głową i westchnęła głośno. – Sama o mało nie umarłam ze strachu, jak zaczęliście nagle w panice uciekać. Myślałam, że ktoś tam wyłazi z lasu.

– Jak to jest jednak żart i ktoś to nagrał, to będziemy prawdziwym przebojem na YouTube. – Rupert uśmiechnął się nerwowo. – Banda facetów taplających się w błocie z wyłączonym tylnym napędem i dwie skradające się laski z drągami.

– Koszmar kończącego się lata – podsumował Jamie, naciągając szczelniej zieloną pelerynę. – Wszystkich nas zamkną w psychiatryku po tych wakacjach.

– Pytałam, co robimy? – Alice potrząsnęła głową i założyła z powrotem kaptur.

– Idziemy zobaczyć, dokąd prowadzą te wstążki – powiedział nagle dziwnym tonem Dermot.

Przez moment zapanowała cisza. Wszyscy patrzyli na niego, jakby nie dowierzali własnym uszom. Jamie popukał się ostentacyjnie w czoło.

– Bear Grylls[42] się znalazł! Mało ci było taplania się w tym bagnie?

Dermot spojrzał wilkiem na opierającego się o samochód Johanna.

– Ktoś za to jeszcze ode mnie oberwie, ale teraz mam dość. Jeśli to żart, to wyciągnę z krzaków tego żartownisia i mu obiję pysk. Jak nie pójdziecie ze mną, to słowo daję, pójdę tam sam!

Popatrzył dookoła na wlepiających w niego wzrok, okutanych w sztormiaki towarzyszy.

– Dobra! Idziemy! – Rupert kiwnął głową.

– Chryste! – Paulina oparła się o bosak i spojrzała w ziemię. Strużki deszczu ściekały z jej kaptura prosto na mokrą szutrową nawierzchnię. Przyjechała tu, żeby napisać społecznie zaangażowany artykuł, a zrobił się z tego jakiś pomyłony surwiwal. Ciemny las ją oczywiście przerażał, miała cały czas w pamięci telefon od Olszańskiego. Z drugiej jednak strony, jest w towarzystwie pięciu mężczyzn, z których przynajmniej jeden wygląda na

takiego, którego raczej jacyś napastnicy powinni się bać, a nie odwrotnie. A poza tym, jeśli opisze to jakoś w artykule, to może wyjść świetnie. Tylko jak to wmontować w tekst o Wyrzykowskim? Może Paweł pozwoli jej zrobić z tego krótki cykl?

Te rozważania przerwał nagle instrumentalny fragment *Les Rois du Monde* z francuskiego musicalu opartego na *Romeo i Julii*. Muzyka była tak absurdalna w kontekście zacinającego deszczu, błyskawic i grzmotów przetaczających się co rusz nad drzewami, że wszyscy na moment ucichli i wbili wzrok w Paulinę, która zaczęła nerwowo obmacywać połacie żółtego materiału, szukając dostępu do kieszeni. Wyciągnęła w końcu telefon i spojrzała na wyświetlacz. Mateusz! Akurat teraz? Odeszła kilka kroków na bok i przysunęła telefon do ucha. Przez moment wydawało jej się, że na ustach Igora błąka się zjadliwy uśmieszek, ale uznała, że mogło jej się wydawać.

– A co to za hałas? – Mateusz postanowił pominąć wszelkie grzeczności.
– Ledwie cię słyszę. Jesteś gdzieś na dworze?

– Jest burza. – Paulina przysunęła telefon bliżej ucha i naciągnęła mocniej kaptur. – Jestem w lesie.

– W lesie? O tej porze? – Mateusz przez chwilę milczał i Paulina już chciała zacząć wyjaśniać, ale odezwał się, zanim zdążyła sobie cokolwiek poukładać w głowie. – Dzwonię z doskonałą wiadomością – powiedział z entuzjazmem. – Wracam jutro!

– To jest ta wiadomość?

Po krótkiej chwili ciszy w słuchawce Paulina zreflektowała się, że to mogło zabrzmieć dość niefortunnie.

– To znaczy, cudownie! Ale pewnie masz na myśli coś innego...

– Dostałem kontrakt na dwa lata! – wypalił radośnie.

Paulina przypomniała sobie w tym momencie, że kilka dni temu dzwonił z wiadomością, że firma chce pozamykać polskie oddziały i że jest kiepsko. Widać czegoś nie zrozumiała.

– Cudownie, ale mówiłeś chyba, że są niezadowoleni...

– Bo są. Zamykamy oddział w Szczecinie. Mam się tym zająć.

Milczała, czekając, aż powie coś więcej.

– Potrwa to może dwa, trzy miesiące. Na więcej nie mamy czasu...

W tym momencie kolejny grzmot rozległ się prawie nad samym sklepieniem z liści, które ochraniało, jak mogło, drogę przed deszczem.

– Boże! Co ty robisz w tym lesie? Zwariowałaś? W taką pogodę?

– A co potem? – Paulina nagle poczuła chłód. Chyba domyślała się, co za chwilę usłyszy.

– Jak co potem? Mówiłem ci przecież. Mam fantastyczny kontrakt na dwa lata. W Manchesterze!

Paulina milczała, usiłując zrozumieć, co oznacza dla niej to, co powiedział Mateusz. Mimochodem dostrzegła, że Johann i reszta weszli w fazę głośnej awantury i chyba trwało tam jakieś głosowanie nad pomysłem Dermota.

– Nie cieszysz się? Wiesz, ile tam zarobię? – Głos Mateusza, mimo że wciąż pełen entuzjazmu, zaczął zdradzać pewne oznaki niepokoju.

– Dlaczego nie skonsultowałaś tego ze mną?

– Nie miałem kiedy. Nie odrzuca się takiej propozycji.

– Masz zamiar przylatywać do Szczecina na weekendy? – Paulina wymyśliła to pytanie tylko po to, żeby jakoś dyplomatycznie poruszyć kwestię odległości.

– Przecież pojedziesz tam ze mną! – oznajmił Mateusz tryumfalnie. – W Manchesterze jest sporo różnych ośrodków kultury i gazet. Znajdziesz pracę bez problemu. A nawet możliwe, że jako tłumaczka w naszej firmie...

Kolejny grzmot zagłuszył słowa Mateusza. Błyskawica, która kilka sekund wcześniej przecięła niebo, ukazała Jamiego szarpiącego się z Rupertem, by wyrwać mu latarkę. Paulina poczuła, jak budzi się w niej złość. Krople deszczu, które zdołały dostać się pod kaptur, spływały mokrą i zimną strugą po szyi.

– Czy możesz po mnie przyjechać na lotnisko? – Głos Mateusza brzmiał ugodowo. – Porozmawiamy o tym w domu. Na spokojnie.

Akurat słowa „na spokojnie” były czymś, co działało zazwyczaj jak płachta na byka.

- Nie mam ochoty być spokojna! Wymyśliłeś po prostu, że rzucę swoją pracę i pojedę w ciemno do jakiegoś pieprzonego Manchesteru!
- Kochanie, nie irytuj się! Wszystko da się jakoś ułożyć.
- Ty właśnie sobie wszystko ułożyłeś po swojemu!
- Paulina...
- Nie chcę teraz o tym rozmawiać! Jestem zbyt wściekła!

Rozłączyła się i przez chwilę patrzyła na widniejącą jeszcze na wyświetlaczu uśmiechniętą twarz Mateusza. Czuła, jak złość rozlewa się po niej niczym wirus. Odetchnęła głęboko i odwróciła się. Policzyła do dziesięciu i ruszyła w kierunku kłócącego się wciąż towarzystwa.

– Dobra! – rzuciła bezceremonialnie i spojrzała na Dermota. – Idziemy do tego pieprzonego lasu! Miejmy to już wreszcie z głowy!

*

Olszański przebiegł ostatni odcinek wzdłuż Monte Cassino i zatrzymał się przed przejściem dla pieszych, czekając, aż przejedzie kilka samochodów. Sięgnął do przypiętej na biodrach szaszetki i wyciągnął komórkę. Wcisnął guziczek na boku obudowy i poczekał, by na wyświetlaczu pojawił się ekran powitalny. Wpisał hasło i rozejrzał się w dwie strony. Telefon po chwili zaświergotał, informując o nieodebranych połączeniach. Ruszył na drugą stronę ulicy i dopiero na chodniku przed swoim blokiem spojrzał na wyświetlacz. Cztery połączenia. Dwa od Matuszka i dwa od Weber.

Zmarszczył brwi. Czyżby lekarz sądowy jednak znalazł coś ciekawego przy zwłokach tego Niemca? A czego mogła chcieć Weber? Spojrzał na zegarek. Dochodziła jedenasta. Zastanawiał się przez chwilę, czy wypada oddzwaniać aż tak późno, ale pomyślał, że skoro sama dzwoniła, to raczej chodzi o coś nietypowego. Poza tym na takim jachcie to oni raczej o tej porze nie śpią.

Przypomniał sobie kilku mężczyzn, których tam widział. Czy któryś z nich jest jej kochankiem? Pozwolił, żeby przez chwilę wyobraźnia podsuwała mu wizualizacje do tych myśli, z czynnym udziałem Pauliny Weber oczywiście, po czym pokręcił energicznie głową, odpędzając je od siebie. Przejechał palcem po ekranie i przyłożył telefon do ucha.

Kilka sygnałów i nic. Może jednak śpi.

Z folderu ostatnich połączeń wybrał numer Matuszka i czekając na połączenie, ruszył w kierunku swojego bloku.

*

Od kilku minut szli jedno za drugim wąską leśną przecinką, wiodącą zaraz za krzakiem, z którego zwisała smętna, całkowicie już mokra czerwona wstążka. Po lewej stronie zostały ruiny majaczących w mroku zabudowań. Gdy snop światła reflektorka omiótł pozostałości schodów i ścian przyziemia, Igor poczuł ciarki na plecach. To musiał być ten dom, w którym zaraz po wojnie zamordowano sześćdziesięciu ludzi i o którym teraz opowiadano w miasteczku, że to nawiedzone miejsce. Pomyślał, że to istotnie klimatyczne, choć o tej porze, w czasie burzy, określenie „klimatyczne” wydawało się raczej mało adekwatne. Wąska ścieżka pełna była dziur wypełnionych błotem, a po bokach stroszyły swoje gałęzie młode krzewy olszyn, wierzby i topoli, które w świetle błyskawic przypominały przerażone stwory z dziesiątkami ramion i wykrzywionymi pyskami.

Oprócz Jamiego i Ruperta, dla których nie starczyło sprzętu, wszyscy nieśli reflektory lub latarki, wydobywające z mroku wąską ścieżkę i ukryte w ciemności konary drzew i krzewów. Żadnej kolejnej wstążki ciągle nie było, ale też i nie było tu żadnych rozwidleń. Wąska przecinka ciągnęła się samotnie, meandrując pomiędzy zalanymi wodą mokradłami po obu jej stronach.

Igor stawiał ostrożnie kroki, unikając głębszych kałuż i śliskich traw, po których można było łatwo zjechać do jakiegoś bajora z jednej lub drugiej strony ścieżki. Obserwując plecy idącej przed nim Pauliny, myślał o pamiętniku Wyrzykowskiego. Zostały tam jeszcze ze dwa, trzy krótkie akapity. Gdy na pokład wleciał kamień, a wszyscy zerwali się, żeby sprawdzić, o co chodzi, nie wytrzymał z ciekawości i pochylił się nad laptopem. Nie przeczytał wprawdzie do końca, ale coś go podkusiło i zrobił fotkę ekranu, żeby spokojnie przeczytać sobie później, gdyby znowu coś im przeszkodziło. Awantura z listem przeciągnęła się jednak i nie zdążył tam nawet zajrzeć.

Teraz jednak myślał o czymś innym. O tym fragmencie, w którym matka

Wyrzykowskiego dostała mapę i nie zdążyła jej oddać księdzu Jacobowi z kaplicy Świętej Gertrudy.

...Minęło wiele lat, gdy odważyłem się do niej zajrzeć. Była tam mapa z jakimiś ręcznie naniesionymi notatkami...

Pamiętał, że coś go tknęło, gdy wszyscy zaczęli gadać. Ktoś powiedział wtedy coś, co było istotne, tylko nie mógł sobie przypomnieć ani kto, ani co. Wodząc latarką po mokrej ziemi, usiłował odtworzyć w myślach przebieg tamtej rozmowy. To Dermot powiedział, że ta mapa jest tą samą, która była w teczce z papierami lotników. Nie! To Johann powiedział... A co było potem?

Błyskawica przecięła niebo nad drzewami i przez krótką chwilę w oślepiającej jasności widać było cały ich kondukt podążający w głąb lasu.

Igor ominął kolejną kałużę i naciągnął mocniej na głowę żółty kaptur sztormiaka. Zabrał go Gwen, która stanowczo oświadczyła, że zostaje w samochodzie, tyle tylko że postanowiła przenieść się z micry Pauliny do jego toyoty, twierdząc, że będzie tam wygodniej. Po tym jak Johann oznajmił, że to mapa, którą znalazł Dermot, on sam coś powiedział. Chyba o tym, że to stara mapa nawigacyjna z wybrzeżem Bałtyku i Bornholmem. A potem odezwał się Johann...

– Jest! – krzyknął nagle Dermot, który szedł na przedzie. Odsunął się na bok i wskazał snopem światła z reflektora wiszącą na krzaku wierzby czerwoną wstążkę. Leśna przecinka podążała dalej, ale w tym miejscu łączyła się z inną ścieżką, która odbijała w bok i wiodła dalej po wąskiej grobli, po której obu stronach ciągnęły się podtopione mokradła.

– To idziemy! – zawołał Rupert.

– Jest coraz straszniej – mruknęła spod kaptura Paulina. – Ten las to koszmar.

Telefon od Mateusza popsuł jej humor na tyle, że szła pogrążona w mrocznych myślach, ledwie dostrzegając otoczenie. Przystanek na zakręcie wybił ją z tego odurzenia, dzięki czemu rozejrzała się dookoła i utwierdziła w przekonaniu, że miejsce może przerażać.

– Teraz przecież nie będziemy wracać. – Johann odwrócił się i rzucił jej

spojrzenie pełne niepokoju.

Igor zmarszczył brwi. Wciąż skanował swoją pamięć, usiłując przypomnieć sobie jakiś komentarz, który wtedy go zaintrygował. Co Johann wtedy powiedział?

Dermot oświetlił wąską dróżkę, odgarnął zagradzające drogę gałęzie i ruszył ostrożnie dalej. Zaraz za nim skręcili w bok wszyscy pozostali.

Igor zacisnął szczęki. Miał coś na końcu języka. Coś, co go wtedy poruszyło, z czymś się skojarzyło. Powiedział wtedy, że to stara mapa nawigacyjna... Z dorysowanym punktem o nazwie „Totenleuchte”. Tak! I wtedy Johann coś dodał...

– Jest kolejna wstążka! – zawołał Dermot. W świetle jego reflektora widać było gruby pień rosnącej na środku grobli starej olchy. Ścieżka omijała ją łagodnym łukiem z lewej strony.

– Uważajcie! – krzyknął nagle Johann. – Tu leżą jakieś stare wnyki.

Dermot pochylił się nad wysoką trawą, w której tkwił zardzewiały kłęb żelastwa.

– Są na szczęście zatrzaśnięte.

– Cholera! – odezwał się nagle zdławionym głosem Jamie.

Wszyscy odwrócili się jak na komendę i spojrzeli w kierunku, w którym patrzył. Na konarze młodej, wyrastającej wprost z mokradeł wierzby wisiała mokra, połyskująca czerwienią tasiemka.

Igor natomiast w tym momencie przypomniał sobie, co powiedział Johann, i poczuł, jak ciarki przeszły mu po plecach.

*

Sierow siedział na łóżku w swoim pokoju i wpatrywał się tępo w ścianę, na której nad stolikiem nakrytym kraciastą serwetą wisiał obrazek z widokiem portu w Darłówku. Telefon nadal trzymał w ręku, chociaż skończył rozmawiać kilka minut temu.

Trzęsły mu się ręce. Numer, na który zadzwonił, był przeznaczony wyłącznie do wyjątkowych spraw. Aleksiej Piotrowicz Jemochonow był bardzo spokojny, ale dało się wyczuć w jego głosie, że nie uważa sprawy,

z którą zwrócił się do niego, za wyjątkową.

Sierow spojrział na swoje ręce, a widząc, że nadal drżą, tę, w której nie trzymał komórki, zacisnął w pięść. I co on powiedział? Doradził mu, żeby znalazł jakieś wyjście. Żeby – jak się wyraził – improwizował. Podjął się zadania, to musi je wykonać. I jeszcze, że ma przecież rodzinę w Kaliningradzie, która na pewno będzie wdzięczna za spory przyplływ gotówki.

Doskonale wiedział, że napomknięcie o rodzinie było groźbą.

*

Gwen, skulona na tylnym siedzeniu, bawiła się telefonem, podnosząc co chwilę głowę i usiłując dostrzec coś w otaczającej ją czerni. Gdy niebo nad polami obok drogi przecinała błyskawica, przez krótki moment widać było szutrową nawierzchnię, na której ziały wielkie kałuże i stojący kilka metrów dalej samochód Pauliny. Jednak Gwen w tym momencie bała się rozglądać. Jej wyobraźnia podsuwała same obrazy jak z filmów grozy. W świetle błyskawic na rozjaśnionej stroboskopowym światłem drodze zobaczy nagle jakąś postać, a chwilę później zapadną kompletne ciemności.

Wzdrygnęła się i po raz kolejny sprawdziła, czy drzwi są na pewno zamknięte. Igor zostawił jej na wszelki wypadek kluczyki i ścisnęła je teraz jak jakąś ostatnią deskę ratunku. Dermot miał źle w głowie, że uparł się na tę eskapadę. Wprawdzie mając dwa metry wzrostu i bary białego niedźwiedzia, nie musiał się bać, ale mimo wszystko to noc i środek lasu. Na tej polskiej wsi mogła się zdarzyć jakaś patologia. W Anglii na prowincji też było niebezpiecznie. Lokalne bandziory potrafiły napadać na stojące na uboczu domy.

Niech oni już w końcu wracają.

Podniosła głowę, bo wydało się jej, że usłyszała jakiś dźwięk. Z oddali, od strony szosy dobiegł cichy, narastający pomruk silnika. Gwen zablokowała telefon i w całkowitej ciemności wpatrywała się w drogę, na której końcu pojawiły się dwa pojedyncze światła nadjeżdżającego samochodu. Światła zbliżały się powoli i po chwili wypełniły wnętrze auta jasnym blaskiem. Gwen skuliła się na siedzeniu, mając nadzieję, że to jakiś przejeżdżający mieszkaniec sąsiedniej wsi. Samochód jednak, dojeżdżając do micry Pauliny,

zwolnić, podjechał bliżej i zatrzymał się tuż za toyotą.

*

– No i to byłoby tyle – parsknął ponuro Dermot. – Przeszliśmy kilka kilometrów dla durnego żartu. Jakbym dorwał w swoje ręce tego dowcipnisia...

– Ale co on chciał przez to powiedzieć? – Jamie patrzył z namysłem w rozlewające się pomiędzy drzewami mokradła. – Że wszystko to bagno?

– Tak, zrób jeszcze z niego filozofa. – Rupert otrząsnął się po raz kolejny z nadmiaru gromadzącej się w zakamarkach sztormiaka wody i nasunął głębiej kaptur.

– Uważaj! – Alice spojrzała na Jamiego i przejechała promieniem latarki po opadającym stromo w dół poboczu. – Po tej mokrej trawie możesz zjechać na tyłku prosto w to bajoro.

– Uważam przecież. – Jamie odsunął się od brzegu. – A może to groźba?

– Jaka znowu groźba? – Johann podniósł wzrok spod nasuniętego na czoło kaptura.

– No, że na przykład za bardzo się grzebiemy w czymś i że skończymy w bagnie, jak nie przestaniemy.

– Jezu! – Alice popukała się palcem w czoło. – Przecież to nie Wenezuela. Tu nie ma karteli narkotykowych.

– A w czym my się niby tak grzebiemy? – zainteresował się Johann.

– No ja nie wiem. – Jamie stał wpatrzony w przyczajone w ciemności bagnisko. – Ale może ten ktoś tak uważa.

Paulina rozejrzała się dookoła. Wielkie, rozchełstane olchy i wierzby z gałęziami zwisającymi nad ziemią jakby przystanęły w mroku, milczące. W świetle latarek pojawiały się tylko co chwilę pojedyncze gałęzie lub mniejsze krzewy, niczym przestraszeni przesłuchiwani w snopie światła świecących w oczy lamp.

Wzdrygnęła się. Ktoś jednak zadał sobie wiele trudu z zawieszeniem tych wstążeczek. Przeszedł kilka kilometrów.

Jamie podszedł do grubego pnia starej olchy i sięgnął po bosak, który

przed chwila odstawiła Alice.

– Co robisz? – Dermot spojrział na niego podejrzliwie.

– Nic. – Jamie wzruszył ramionami. Chwycił długi drąg i wrócił z nim na brzeg grobli.

– Chodźmy już stąd lepiej. – Alice rozejrzała się dookoła. – Gwen tam pewnie odchodzi od zmysłów ze strachu.

Igor stał nieco z boku i pogrążony w myślach, przyglądał się w milczeniu Jamiemu, który wyciągnął bosak na całą długość i usiłował złapać coś w bagnie. Podążył wzrokiem za końcem promienia jego latarki. Z szuwarów, kilka metrów od brzegu, wystawała jakaś jasna plamka.

– Co to jest? – Podeszedł bliżej i oświetlił bagno swoją latarką.

– Jakaś kartka... – Jamie, sapiąc głośno, machał bosakiem, usiłując dosięgnąć widoczny wyraźnie przedmiot.

– To na pewno tylko jakiś śmieć – westchnął Johann i sięgnął po drugi bosak.

– A jeśli to kolejna informacja?

– Tak. – Dermot pokiwał głową ironicznie. – Wrzucona w bagno.

– Nikt z was czasem nie wykupił takiej gry, jak ta z tego filmu z Douglasem[43]? – spytał Rupert, który oddalony o kilka kroków na ścieżce, robił właśnie zdjęcia. – Może twój ojciec? – Spojrział na Johanna.

– Mój ojciec co najwyżej wykupił mszę w intencji powrotu „Pandory” do portu w Docklands.

Johann ostrożnie zszedł na kraniec bagna i wychylił się, usiłując zaczepić bosakiem tajemniczy zwitek.

Tymczasem Jamie, zgięty wpół, stękając, stracił nagle równowagę. Upuszczony bosak wyrznął z chlupotem w bagno.

– Cholera! Nie dosięgnę – jęknął.

Błyskawica rozjaśniła na moment niebo ponad konarami drzew.

– Jest za daleko. – Johann przejechał stalowym hakiem drąga po falującej powierzchni. Ulewny deszcz tworzył na wodzie i bagnisku rozchodzące się promieniście fale. Nad lasem gruchnął kolejny grzmot.

– Zostawcie to i idziemy! – Paulina rozejrzała się niepewnie dookoła.

Jamie szarpnął bosakiem i zaczął go przyciągać do brzegu, porywając z powierzchni bagna liście i pędy roślin. W połowie drogi do grobli bosak o coś zaczepił. Jamie szarpnął mocniej.

Ciągnięty hak powoli zbliżał się do brzegu, wlokąc za sobą poskręcane witki wodnych roślin. Bagno zafalowało.

– Wyciągnij ten bosak, bo ci zaraz wypadnie z rąk i ktoś go będzie musiał wywlekać z bagna – warknął Dermot, patrząc ze złością na Jamiego.

– Nie bój się, nie wypadnie. – Jamie szarpnął mocniej i pośliznął się na mokrej trawie, siadając z impetem na tylnej części ciała. Bosak wyleciał mu z ręki i upadł na brzegu grobli.

– No właśnie! Mówiłem. Ja pier...

Paulina, która patrzyła akurat w drugą stronę, odwróciła się, skierowała latarkę na bagno i bezwiednie, tracąc kontrolę, wrzasnęła na cały głos, wpatrując się przerażona w jakiś punkt niedaleko szuwarów przy brzegu.

– Co się dzieje?! – krzyknął zaniepokojony Dermot, a chwilę później, gdy podążył wzrokiem za spojrzeniem Pauliny, zbladł. – Chryste!

Alice zasłoniła usta dłonią i zamarła.

Jakieś dwa metry od brzegu grobli z bagna wystawała ludzka ręka.

Rozdział 23

Środa, 16 września

Wczesną wiosną, na przełomie kwietnia i maja tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego roku w lasach Jutlandii, gdzieś pomiędzy Herning a Silkeborgiem, zaginął chłopiec. Dzień wcześniej przyjechał tutaj z rodziną na weekend z Kopenhagi i nie mogąc już się doczekać widoku starych, owianych legendami duńskich lasów i dzikich zwierząt, które wreszcie zobaczy na własne oczy, wyszedł rano z domu i wszelki ślad po nim zaginął. Trwające kilka dni, a potem kolejne tygodnie poszukiwania nie przyniosły żadnych rezultatów. Chłopiec zapadł się pod ziemię.

Kilka tygodni później, ósmego maja, na posterunek policji w Silkeborgu dotarły przerażające wieści. W bagnach, dziesięć kilometrów od miasta, znaleziono zwłoki młodego mężczyzny, który najprawdopodobniej został brutalnie pobity i zamordowany. Zmaltretowane ciało znalazła Berthe Højgaard, a właściwie jej dwaj synowie Viggo i Emil, z którymi zajmowała się wydobywaniem na bagnach torfu. Nieszczęśnik leżał w pozycji embrionalnej, z podciągniętymi pod brodę kolanami i wykrzywionymi nienaturalnie dłońmi, a wokół szyi wciąż zaciśnięty miał gruby sznur. Ktoś przed śmiercią rozebrał go, pozostawiając jedynie bieliznę, a na głowę założył skórzany kaptur. Wzrost zmarłego, sto sześćdziesiąt centymetrów, pasował do opisu zaginionego chłopca i w pierwszej chwili wszystko wyglądałoby na przerażające, brutalne, popełnione przez jakiegoś zwyrodnialca morderstwo, gdyby nie pewien drobny szczegół.

Jeden z policjantów, który dokładniej przyjrzał się zwłokom, zauważył, że twarz zmarłego ma zmarszczki wokół oczu, a na policzkach jednodniowy zarost. Jednak prawdziwa sensacja wybuchła dopiero wtedy, gdy wezwany na miejsce lekarz sądowy wiek zmarłego oszacował wstępnie na kilka tysięcy lat.

Tak się zaczęła historia najsłynniejszej mumii z bagien, jak dzisiaj nazywa

się zwłoki odnajdywane w torfowiskach północnej Europy, o czym pisała wówczas prasa na całym świecie. Ciało zamordowanego mężczyzny zachowane było w tak doskonały sposób, jakby zginął zupełnie niedawno, a w jego żołądku znaleziono nawet niestrawione resztki posiłku. Mumia nazywana jest dzisiaj Mężczyzną z Tollund, od nazwy pobliskiej miejscowości, jej wiek datowany jest na trzysta lat przed naszą erą, a można ją obejrzeć w muzeum w Silkeborgu. Tak niezwykłą jakość mumifikacji zapewnia zawarty w torfie kwas taninowy, który ma właściwości bakteriobójcze. Gleba torfowa, zalana zimną wodą, bez dostępu glonów, grzybów i tlenu, jest znakomitym konserwantem, zawieszającym proces rozkładu ciała dzięki nieobecności bakterii gnilnych. Skutkiem ubocznym jest jednak proces podobny do garbowania, w wyniku czego skóra pochowanych osób przybiera kawowobrazową barwę.

Igor oderwał wzrok od ekranu laptopa i sięgnął po kubek z gorącą herbatą. Kilka minut temu minęła druga. Po półgodzinie dobrnęli do portu i chociaż każdy zarzekał się, że o niczym innym nie marzy, jak o gorącym prysznicu i koi, po kąpieli wszyscy i tak zaczęli ścierać do mesy na głównym pokładzie. To Alice z odmetów internetu wyciągnęła historię duńskich mumii, którą po kolei teraz wszyscy czytali na wędrującym po stole laptopie Pauliny.

– Ten lekarz sądowy, który tam przyjechał, też mówił o wpływie torfu na zachowanie zwłok. – Igor przetarł oczy palcami. Był zmęczony. Mimo ożywienia spowodowanego gwałtownym skokiem adrenaliny, miał świadomość, że później najczęściej równie gwałtownie napięcie spada, ustępując wyczerpaniu. Należało się spodziewać, że jutro nikt nie wstanie przed południem.

– Oni chyba nie wyglądali na zachwyconych – mruknął Johann.

– A dziwisz się? Czekają ich teraz potworna kupa roboty, w tym papierkowej. Przeszukiwanie bagna i ekshumacja kilkudziesięciu ciał. Z prasą i telewizją, pewnie z całej Polski, na karku.

Johann pokręcił głową.

– A ten rejs zapowiadał się na taki nudny. Kto by się spodziewał. – Uśmiechnął się ironicznie.

– Ja się nie spodziewałem nawet, że będę w Polsce, a co dopiero, że wylądujemy w środku nocy w lesie, szukając trupa. – Jamie wstał i się przeciągnął. – A Bridget pewnie po raz setny pojechała oglądać tę ruinę Urquhart nad Loch Ness, podczas gdy jej ojciec pewnie po raz setny zanudza Williama i Luke’a bzdurami o Nessie.

– James. – Alice spojrzała na niego z mieszaniną irytacji i rozbawienia. – Jak wrócimy z tej wyprawy, zakładając, że wrócimy, to chyba się umówimy z Bridget na babski wieczór. I jakiegoś dobrego prawnika zaprosimy. Nie! Nie ciebie! – Pokręciła głową, widząc minę Dermota. – Takiego od podziału majątku.

– Jakiego majątku? – Jamie popukał się w czoło i ziewnął.

Rozmowa przy drugim końcu stołu wciąż obracała się wokół wydarzeń sprzed kilku godzin.

– Przez moment nie wiedziałem, co się dzieje. – Rupert oderwał wzrok od ekranu, na którym brązowa, zastygła w czasie postać patrzyła nieruchomo w przestrzeń. – Nawet nie zauważyłem, że ci policjanci się do nas przedzierają.

– Słuchajcie, jak ten policjant zaświecił latarką i zastukał w szybę, to słowo daję, myślałam, że umrę ze strachu. – Gwen usiadła przy stole, wycierając włosy ręcznikiem.

– Ty przecież nawet niczego nie widziałaś. – Dermot spojrzał na nią z ironicznym uśmiechem.

– I całe szczęście! Wystarczy mi sam opis.

– I zdjęcia Ruperta – wtrącił Johann.

– Właśnie! – Gwen pokiwała głową. – A co się właściwie stało z tamtym chłopcem?

– Jakim chłopcem? – Dermot spojrzał na Gwen lekko zdezorientowany.

– No, tym z duńskiego artykułu.

– Wycieńzonego znaleźli kilka dni później – odpowiedziała Alice z drugiego końca stołu.

– Paweł, wiem, że jest druga! Przestań mnie denerwować! – Paulina z telefonem przy uchu przeszła kolejny raz wzdłuż całej masy. – Pojutrze to

musisz puścić. Nikt o tym wcześniej nie napisze. Masowy grób z czasów wojny. Koszmar! Tak! Olszański mi obiecał, że postara się trzymać prasę z daleka.

– O czym ona mówi? – Jamie spojrzał na Igora, wskazując Paulinę brodą.

– Negocjuje warunki kolejnego artykułu – westchnął Igor.

– Tak! Mam świetne zdjęcia! – Paulina zawróciła i ponownie ruszyła wzdłuż mesy w kierunku drzwi na pokład. – Lepszych miał nie będziesz!

– To o tobie mowa. – Igor uśmiechnął się do Ruperta. – Twoje fotki ukążą się jutro w całej prasie Szczecina, a potem pewnie Polski. Uzgodniłeś jakieś warunki?

– Moje nazwisko będzie. – Rupert odsłonił śnieżnobiałe zęby.

– Potrzebujesz chyba prawnika – zakpił Dermot.

– Moja agencja da sobie radę, dziękuję.

– Jutro będę przecież w Szczecinie! Zdążę napisać! Jak to dzisiaj? – Paulina powoli zbliżyła się do drzwi, zatrzymała i spojrzała na zegarek. – A... tak, racja. Boże, już zaraz trzecia.

– Powinniśmy iść spać. – Igor dźwignął się od stołu i poczuł, że ziewanie Jamiego najwyraźniej było zaraźliwe. Nagle zastygł, wpatrzony w leżący na stoliku koło sofy notatnik ze szkicami, które rysował sobie Johann, wtedy gdy Paulina czytała pamiętnik Wyrzykowskiego. Przypomniał sobie to, o czym myślał w lesie... – Gdzie są wszystkie dokumenty? – Spojrzał na Paulinę, która wciąż trzymała przy uchu telefon i słuchała czegoś, co mówił po drugiej stronie Paweł.

– Jakie dokumenty? – Oderwała na chwilę słuchawkę od ucha. – Wyrzykowskiego?

– Tak! – odparł Igor. – Konkretnie ta stara mapa nawigacyjna!

– W moim pokoju. Wszystko leży na koi. – Paulina zmarszczyła brwi. – A co się stało?

– Muszę to zobaczyć! – Igor odwrócił się i szybkim krokiem poszedł w kierunku schodów na dolny pokład.

– Igor! A co się stało? – krzyknęła Paulina. – Paweł! Muszę kończyć. Jutro, to znaczy dzisiaj się odezwę. Tak! Pa!

Johann, który niczego wprawdzie nie zrozumiał po polsku, ale kierując się intuicją, która podpowiadała mu, że wymiana zdań między przyjaciółmi ma pewnie jakieś ciekawe implikacje, zerwał się i wyszedł za nimi.

*

Bolo wszedł cicho do domu, ściągnął w progu mokre buty i stąpając na palcach, przeszedł przez kuchnię. W swoim pokoju zrzucił z siebie wszystkie mokre łachy i wszedł do łazienki. Jakiś czas temu przedzielił dom tak, że matka miała niekrępującą część po lewej stronie kuchni, a on po prawej, w dobudówce.

Uśmiechnął się pod nosem. Ale się tam zjechało waźniaków. Nawet ten siwy prokurator przyjechał. Bolo znał tamte lasy jak mało kto. Potrafił przedzierać się niezauważony. Znał dobrze każdy zagajnik i każdą przecinkę. Zostawił samochód dość daleko, dlatego kompletnie przemókł, mimo swojej krótkiej wędkarskiej, skradzionej kilka lat temu z jakiegoś letniska peleryny. Widział z daleka, jak ta banda obcokrajowców pęta się po lesie. Nie szedł za nimi, ale w końcu przecież wiedział, dokąd dojdą. Miał tylko obawy, czy na pewno znajdą trupy, do tego trzeba było jednak pogrzebać w tym bagnie. Samochód policyjny, a potem jeszcze dwa inne, upewniły go, że im się udało. Czuł, że w jakiś sposób spadł mu kamień z serca. Historia z tym bagnem mimo wszystko mu ciążyła. Inna sprawa, ile teraz będzie gadania w mieście. Szukali tych grobów przecież całymi latami.

Wytarł się szorstkim ręcznikiem i włożył koszulę na noc. Załatwił jedną sprawę, ale to nie było jeszcze wszystko, co miał do zrobienia.

*

Iwan siedział na mostku do jakiejś drugiej. Nie chciało mu się spać, a tutaj mógł sobie przynajmniej poobserwować przez lornetkę tych pajaców z białego jachtu. Wrócili ze swojej nocnej wycieczki po pierwszej i wciąż im było mało. Łazili i gadali. O czym oni, kurwa, mogli tam tyle gadać? Banda nierobów i pasożytów. Posiedział jeszcze przez chwilę, po czym zrobił się wreszcie senny. Noce były już chłodne. W końcu to wrzesień. Założył bluzę od dresu i wstał. Przeciągnął się i ruszył ku drzwiom na pokład. Przypomniał sobie, że miał rzucić okiem na rury za dziobowym zaworem dennym. Dalej

przeciekały. A przy chodzącym silniku głównym studzienkę dziobową trzeba było wypompowywać co kilka godzin. Na odcinku do silnika były już dwie obejmy z okręconej prowizorycznie gumy, pasków blachy, a do tego stare opaski z bandaży[44]. Stary powinien to po powrocie wreszcie naprawić porządnie. Czyli zawołać serwis, żeby wycięli zniszczone fragmenty rur, wstawili nowe, a przy okazji sprawdzili ten zawór denny. Kuter miał swoje lata, a ten kingston pewnie tkwi tam od jego wodowania. Ale jak zwykle, gdy chodzi o wydanie ekstrakasy, to stary jest zawsze mistrzem oszczędności. Sasza przy tym dłużej kilka dni temu, ale widocznie zrobił byle jak. Trzeba teraz po tym fiucie poprawiać. Jutro rano, przed ich przyjazdem, wstanie i to obejrzy.

Iwan wszedł do wnętrza nadbudówki kutra i zatrzasnął za sobą drzwi.

*

Igor zbiegł po schodach i dopadł drzwi kajuty Pauliny. Były otwarte. Zapomniał nawet zapytać, ale na szczęście Paulina, jak widać, czuła się tutaj bardzo bezpiecznie. Na jej koi oprócz kilku ubrań stała także otwarta torba, a obok niej, na poduszce, leżała teczka z dokumentami Wyrzykowskiego.

– Co się stało? – spytał Johann, który pojawił się w drzwiach kabiny zaraz za Igorem.

– Nie wiem jeszcze. – Igor sięgnął po teczkę i zaczął przekładać poźółkłe papiery. – Właśnie chcę sprawdzić.

– Co tu się dzieje? Co wy robicie w mojej sypialni? – W progu pojawiła się Paulina. – Moja prywatność, jak widzę, nikogo tu nie interesuje?

Igor znieruchomiał. Pod dziennikiem pokładowym i kilkoma innymi mapami leżało to, czego szukał. Stara mapa nawigacyjna z oznaczonym na niej punktem o nazwie „Totenleuchte”.

– Jest!

Wziął do ręki mapę i podszedł do stolika pod ścianą. Zapalił nad nim światło i przybliżył stary papier do klosza kinkietu.

– Co ty robisz? Dowiemy się wreszcie? – Paulina przesunęła na bok poukładane na łóżku w równe kostki ubrania i usiadła, patrząc z rezygnacją na Igora.

– Pamiętajcie, co opowiadał Schliemann? – Igor przybliżył mapę do oczu i wpatrywał się uważnie w stary, pomarszczony papier.

– No co?

– O tym liście, który dostał od brata. Tym, który przywiózł mu jakiś żołnierz jadący na przepustkę.

– No i? – Paulina patrzyła na Igora z rezygnacją. – Oderwij się na chwilę od gapienia się w tę mapę i powiedz, o co chodzi!

– Po angielsku – podkreślił Johann, patrząc na Igora z wyrzutem.

– Okej! – Igor odwrócił się i oparł o blat stolika. – Przypomnijcie sobie ten fragment wiersza czy tam szanty.

*Gdy przyjedziesz do Rügenwalde,
to poszukaj światła umarłych.
W samym środku, pod różą wiatrów,
znajdziesz nadzieję swoją na morzu
i wieczny spokój.*

– Pamiętam. Ponoć brat chciał mu coś w ten sposób przekazać. – Paulina patrzyła na Igora ze zniecierpliwieniem. – Tyle że Schliemann, jak nam powiedział, nic z tego nie zrozumiał.

– Popatrzcie na mapę. – Igor oderwał się od stolika i podał kartonik Paulinie. – Co na niej jest?

– No, ten punkt „Totenleuchte”.

– I co jeszcze?

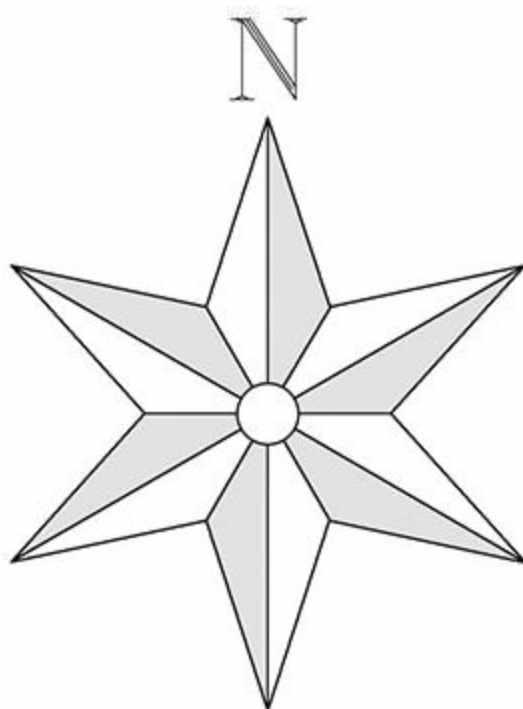
– Róża wiatrów. – Paulina wzruszyła ramionami.

– No właśnie! – wykrzyknął triumfalnie Igor.

Johann nagle gwizdnął.

– Rzeczywiście! „W samym środku, pod różą wiatrów...”

– No i co to ma niby znaczyć? – Paulina ze spuszczoną głową przyglądała się pracowicie wykończonej grafice przedstawiającej sześcioramienną gwiazdę.



Nagle podniosła wzrok i znieruchomiła.

– Nie sądzisz chyba, że to jest...

– Właśnie, coś jest napisane pod tą różą! Atramentem sympatycznym[45]!
– wypalił Johann.

Podszedł do Pauliny i wziął od niej mapę.

– O rany! To by się zgadzało. Znowu przecież, tak jak rok temu w Szczecinie, mamy do czynienia z wojskiem. Temu kapitanowi nie byłoby pewnie trudno spreparować taki list. Na pewno mieli tutaj dostęp do wszelkich wojskowych preparatów.

– Ale co dalej? – Paulina patrzyła zdezorientowana. – Nie mamy żadnych wskazówek co do składu tego atramentu.

– Może wskazówką jest ta szanta? – Igor zmarszczył brwi. – Musielibyśmy tylko wiedzieć, skąd pochodzi ten fragment. Może to jakaś pieśń albo poezja marynistyczna?

– Jeśli Schliemann, który, przypominam, urodził się w Lubece, przez pół życia nie odgadł, o jaki wiersz lub szantę może chodzić, to nam ma się to udać? – Paulina patrzyła na Igora z powątpiewaniem.

– Skąd wiesz, że mu się nie udało? Może nam tego po prostu nie powiedział.

– Fakt. – Johann pokiwał głową.

Przez chwilę milczeli, wpatrując się w starą mapę.

Paulina natomiast pomyślała o czymś, co już wcześniej zaświtało jej w głowie, ale odrzucała to jako przejaw manii prześladowczej. Tym bardziej że to Igor zainfekował jej myśli tymi obawami, a zdążyła już go poznać od tej strony. Spojrzała na niego dyskretnie.

Ze skupioną miną wpatrywał się w przestrzeń. Prosto w ścianę naprzeciwko, na której obok kinkietu wisiała ładna grafika z widokiem portu w Londynie.

– Słuchajcie! – powiedział wreszcie z namysłem. – Najpierw ktoś zamordował Wyrzykowskiego. Rzekomo zwykły włamywacz, złodziej. Okazało się, że to pracownik z sąsiedztwa, który skorzystał z okazji, żeby się obłowić. Notabene znany już wcześniej policji z takich akcji. Mężczyzna wiesz się we własnej stodole. Następnie tuż przed tym, jak umówił się z nami na rozmowę, topi się w morzu Niemiec, który przyjechał tutaj, żeby grzebać w przeszłości i szukać jakichś tajemnic swojego brata.

– Jednego z wyższych oficerów tajnej jednostki wojskowej – dodał Johann.

– W której zajmowano się Wunderwaffe – dokończył Igor. – Wcześniej czytaliśmy o jakichś podwodnych poszukiwaniach w latach siedemdziesiątych, których wszyscy uczestnicy zginęli w tajemniczych okolicznościach...

– Co ty chcesz powiedzieć? – Paulina zmarszczyła brwi. Okazuje się, że nie tylko ona pomyślała o tych wszystkich przypadkach.

– Nie macie wrażenia, że ktoś za tym stoi?

– Kto stoi? Za śmiercią Stasiaka i Schliemanna? Iluminaci? – zirytowała się na dobre. Wnioski Igora potwierdzały wprawdzie jej obawy, ale wolała myśleć, że to przypadek. Spiskowe teorie dziejów ją odstręczały. Była poza tym zmęczona.

– Przecież Stasiak się powiesił, a Niemiec utopił... – Johann podniósł brwi. – Może to tylko przypadek?

– Może i tak. Macie rację – westchnął Igor i przeciągnął się. – Powinniśmy iść spać. Jest trzecia. Co wy zamierzacie jutro robić? To znaczy dzisiaj. – Spojrzał na zegarek.

– Ja muszę wracać do Szczecina. – Paulina przetarła oczy i uśmiechnęła się ugodowo do Igora. Chyba poczuł się urażony. – Mam do napisania artykułu na jutro. Znaczą na czwartek.

– My też przecież mamy płynąć do Szczecina, tylko wątpię, czy oni wszyscy zdążą się zebrać. – Johann ziewnął szeroko. – A policja i prokuratura nie będzie chciała z nami rozmawiać jeszcze w sprawie tych zwłok w lesie?

– Kto ich tam wie. Chociaż spisali przecież nasze zeznania wczoraj. – Igor wzruszył ramionami. – Poza tym oni się muszą najpierw z tym uporać. Ogrodzą cały teren. Potem będzie ekshumacja, badania, ekspertyzy. To trwa tygodniami.

– Słuchajcie, a wciąż nie wiadomo, kto wrzucił ten kamień na pokład.

– No właśnie – podchwyciła Paulina. – Dlaczego nie zawiadomił na przykład jakiegoś lokalnego dziennika? Mógł też powiadomić anonimowo policję. Dlaczego akurat mnie sobie upatrzył?

– Może to jakiś lokalny wielbiciel twojego talentu... – Igor się uśmiechnął i rzucił Paulinie niewinne spojrzenie.

– Jestem zbyt zmęczona, żeby wymyślić jakąś równie złośliwą odpowiedź.

– Jezu! – jęknął nagle Johann. – Przecież my musimy najpierw wyciągnąć Patricka i Harry'ego z mamra. Bez załogi nigdzie nie popłyniemy.

*

Sierow wpatrywał się w sufit. Nie mógł zasnąć. Nie bez znaczenia było wprawdzie to, że przez ciekawą ścianę słyszał, jak w sąsiednim pokoju Wadim chrapie z głośnością silnika od kamaza. Zazwyczaj mu to jednak nie przeszkadzało. Myślał o rozmowie z Jemochonowem i nie dość, że nie mógł przez to zasnąć, to jeszcze czuł, jak niepokój odciska mu się na żołądku, i jeśli za chwilę nie zmorzy go sen, będzie musiał wędrować do kibla na końcu korytarzyka. Przekręcił się na bok i wbił oczy w wyłożoną

bejcowanymi na brąz deskami ścianę. W piątek miał być już w Bałtysku. Kilka godzin temu zaczęła się środa, a na dostanie się do tego czasu do łodzi nie było najmniejszych szans. Zetlers miał oczywiście rację. Na tej głębokości, jeśli łódź nie jest rozbita i trzeba będzie dziurawić coś palnikami, to eksploracja jej wnętrza zajmie dwóm nurkom tydzień. Westchnął i zacisnął powieki. Sen w końcu przyszedł, ale lekki i niespokojny. Budził się co jakiś czas, a czarne myśli za każdym razem, ledwie otworzył oczy, wracały ze wzmożoną siłą. Równocześnie jednak zrodził się w jego głowie pewien pomysł. Z pozoru absurdalny i pełen dziur, ale gdy obudził się ponownie po szóstej, mniej więcej miał już w głowie, wciąż jeszcze niedopracowany, ale już wyraźny plan. Musiał improwizować. No więc podjął właśnie trudną decyzję. Trzeba tylko przekonać do niej pozostałych.

*

Gwen otworzyła oczy i pierwsze, co poczuła, to dotkliwy ból głowy. Pomyślała, że to pewnie skutek wypitego o drugiej w nocy piwa. No i tej koszmarnej awantury w lesie. Johann obok niej, z naciągniętą na głowę kołdrą, chrapał w najlepsze. Ostrożnie, żeby go nie obudzić, wyswobodziła się z miękkiego materiału i po cichu zniknęła w łazience. Zamknęła starannie drzwi i weszła pod prysznic. Dziesięć minut później, gdy nakładała na twarz łagodny, nawilżający krem, przypatrując się jednocześnie z dezaprobatą zaczerwienionym od słońca policzkom, ból nadal pulsował pod czaszką. Połknęła dwie tabletki, wyszła z łazienki i po cichu ubrała się w lekką bluzę i spodnie od dresu. Wyszła na korytarz i wspięła się na główny pokład. Zajrzała do kambuza, po którym krzątał się Bill.

– Dzień dobry, panie kapitanie. – Uśmiechnęła się. – Śniadanie?

– Dzień dobry, panno Gwen. – Odwzajemnił uśmiech. – Usiłuję coś przygotować dla wszystkich, bo zaraz pewnie wstaną i zaczną grzebać po szafkach. Brak Patricka jednak jest uciążliwy. Może kawy?

– Nie, dziękuję. Niepotrzebnie sobie pan zawraca głowę. Sami sobie doskonale poradzą.

– To może śniadanie?

– Nie czuję się na siłach, żeby sprostać śniadaniu. – Gwen potarła skroń. – Boli mnie głowa. Pójdę pobiegać. Powietrze dobrze mi robi.

Kapitan skinął uprzejmie głową.

Gwen pomachała mu ręką i przeszła przez mesę, gdzie na stole stały jeszcze butelki i kubki po nocnej burzliwej rozmowie, gdy wrócili z lasu. Odsunęła drzwi i wyszła na pokład. Na zewnątrz świeciło złociście słońce, a niebo, dla odmiany po kilku dniach burzowych, było całkowicie bezchmurne. Gwen odetchnęła głęboko i ruszyła zewnętrzną galerią w kierunku trapu.

Paulinę obudził cichy, ale natarczywy dźwięk, dobiegający z jej telefonu. Sygnał przypominał co jakiś czas o nieodebranych połączeniach lub wiadomościach. Nie potrafiła tego wyłączyć, a poza tym z reguły się przydawało, gdy przegapiła z jakiegoś powodu pierwsze powiadomienie. Spojrzała na stojący na szafce pod ścianą fikuśny zegar. Dziesiąta dwadzieścia. Cholera jasna!

Zerwała się z łóżka i sięgnęła na szafkę po telefon. Spojrzała na wyświetlacz. Dwa nieodebrane połączenia i dwie wiadomości. Paweł i Mateusz! Otworzyła pierwszą, od Pawła. Przypominał o tym, że tekst musi dostać do drugiej, jeśli ma pójść jutro. Paulina poczuła nieprzyjemny ucisk w okolicach żołądka. Gdzieś czytała, że silny stres potrafi się przyczynić do błyskawicznego powstania nowotworu jelita, nie mówiąc o zwyczajnych wrzodach. Zaklęła pod nosem i otworzyła wiadomość od Mateusza. Przypominał, że czeka na nią na lotnisku w Goleniowie o czternastej trzydzieści. Zagryzła wargi. I jak ona ma pogodzić jedno z drugim? Może wyjedzie wcześniej, zatrzyma się gdzieś po drodze i napisze ten artykuł przy jakiejś kawie? Tak! To jedyna możliwość. Z Darłowa do Goleniowa będzie jechała dwie godziny z minutami. Ma cztery godziny od teraz. Na napisanie tekstu zostanie jej najwyżej dwadzieścia minut w jakiejś knajpie po drodze. Kurwa!

Rzuciła się do stojącej na podłodze torby i zaczęła ładować przygotowane wcześniej niewielkie kupki ubrań. Na szczęście nie miała ich wiele. Upchnęła wszystko, po czym zrzuciła z siebie koszulkę, wrzuciła ją do torby i skoczyła w kierunku łazienki.

Stojąc już pod prysznicem, przypominała sobie wczorajszą rozmowę z Mateuszem, co sprawiło, że poczuła się jeszcze gorzej. Powtórka będzie na

lotnisku i dalej pewnie będą się kłócić przez całą drogę do Szczecina.

Igor otworzył oczy i pierwsze, co zobaczył, to stertę ubrań na środku kabiny, z wściekle żółtym sztormiakiem na pierwszym planie. Wczoraj po powrocie na jacht wszyscy byli tak zaaferowani wydarzeniami, że nikt się nie przejmował podobnymi drobiazgami, jak rozwieszanie mokrych ciuchów na suszarkach. Przeciągnął się, po czym założył ręce za głowę, podciągnął nogi pod brodę, a następnie wyprostował je energicznie. Powtórzył ćwiczenie kilka razy i dopiero wtedy wstał. Prysznic zajął mu jak zwykle więcej czasu, niż powinien. Wysusza skórę i tak dalej, ale za to jak cudownie odpręża. Wycierając się wielkim szorstkim ręcznikiem, wyszedł z łazienki i zauważył, że na stoliku koło łóżka leży stara mapa nawigacyjna. Podszedł i wycierając włosy, przyglądał się przez chwilę zielonkawej grafice poprzecinanej gąszczem linii z różnymi oznaczeniami. Przypomniał sobie, że zabrał mapę ze sobą, by spokojnie ją obejrzeć przed snem. Niczego oczywiście nie dojrzał, ani pod światło, ani w maksymalnym zbliżeniu, jakie mógł osiągnąć. Próbował zrobić zdjęcie o jak najlepszych możliwych parametrach, a potem przyjrzeć się temu w powiększeniu na ekranie tabletu, ale to też nie dało spodziewanych efektów. Żadnych śladów przebarwień czy fragmentów o innej strukturze, które mogłyby potwierdzić teorię o jakimś napisie ukrytym pod spodem.

Włożył krótkie dżinsy i czarny T-shirt i podszedł do drzwi. Obejrzał się na chwilę i rzucił okiem na leżącą przy łóżku mapę. Paulina dzisiaj wraca do Szczecina, powinien jej ją oddać, bo potem zapomni. Wrócił do stolika i zabrał złożony na pół kartonik. Przez chwilę się zastanawiał, w jakich okolicznościach spotkają się następnym razem. Niewiele będzie punktów zbieżnych. Może zaprosi go na zaręczyny lub na ślub z tym fiutem Mateuszem, który wrócił z Londynu.

Skrzywił się. Chyba że w Szczecinie znowu spróbują odczytać tę mapę w jakimś laboratorium? Przez moment zastanawiał się, czy nie szuka przypadkiem pretekstu, po czym szarpnął za klamkę i wyszedł na zewnątrz.

*

Iwan dźwignął się z kolan i sięgnął po stary ręcznik, który zawiesił

wcześniej na jednej z rur. Wylał ręce. Za późno wstał. Zdążył się uporać z jedną tylko obejmą. I to w dodatku z tą, z której akurat najmniej ciekło. Podniósł z podłogi pudło z narzędziami i przeszedł kilka kroków w kierunku dziobu. Znajdował się tam przedni zawór, który doprowadzał wodę morską do chłodzenia silnika. Biegły od niego pordzewiałe rury, które miały w trzech miejscach założone obejmy uszczelniające. Na podłodze maszynowni leżały ażurowe, aluminiowe płyty, pod którymi gdzieś chłupotała woda. Gdyby nie ten ażurowy greting, można by się w czasie kołysania wyłożyć na śliskiej podłodze.

Iwan stanął nad kolejną obejmą. Niedaleko niej była studzienka zęzowa. Nawet teraz chłupotała w niej woda. Pomyślał, że nie ma pojęcia, jak ten kuter przepuścili staremu podczas klasy[46]. Westchnął i postawił pudło na ziemi. Spojrzał na zegarek. Dziwne, że jeszcze ich nie ma. Mieli dzisiaj wypłynąć, a już była dziesiąta. Tak czy siak, nie zdąży poprawić pozostałych dwóch opasek. Może chociaż jedną mu się uda.

Rzucił ręcznik na pudło, włożył grube rękawice i zaczął powoli zdejmować stalową obejmę z pordzewiałej rury.

*

Igor wszedł do mesy na głównym pokładzie w momencie, gdy przy stole trwała już ożywiona dyskusja. Uniósł brwi. Chyba ich nie docenił. Wszyscy wstali przed nim.

– Właśnie im opowiedziałem o tej twojej teorii z różą wiatrów. – Johann uśmiechnął się szeroko na jego widok. – Mamy pomysł.

– Jak zwykle kretyński – mruknął Jamie.

– Z Polski odlatują samoloty do Szkocji – zauważył złośliwie Dermot, spoglądając na niego znad talerza z owsianką.

– Ze Szczecina nawet – wtrąciła Paulina. – Mogłabym cię podrzucić przy okazji.

– Zastanowię się. – Jamie wpakował do ust kanapkę z szynką. – Ojciec Bridget pewnie już wyczerpuje powoli zasób szkockich ruin do objeżdżania i mógłbym w spokoju poleżeć sobie w hamaku z piwem.

– Chętnie bym zapłacił za wygodną kwaterę w Szkocji, z której można

robić wypadły do historycznych zamków, a ten ma to za darmo i marudzi. – Igor usadowił się obok Jamiego i rzucił mu rozbawione spojrzenie.

– Jakbyś musiał to robić po raz dziesiąty, tobyś raczej wolał, żeby tym razem tobie zapłacili.

– Czy my możemy wreszcie porozmawiać o czymś innym niż cholerna Szkocja? – Dermot spojrział na Jamiego z irytacją.

– Ktoś tu wstał nie w humorze – zakpił Jamie.

– Skończcie z tym wreszcie. – Johann postukał łyżką w talerz i spojrział na Igora. – Przyszło nam na myśl, że moglibyśmy spróbować poszukać tego U-Boota. Mamy potworną ilość sprzętu, który, jak do tej pory, przydał nam się jedynie do namierzania kupy złomu pod Olandią.

– W dodatku bez specjalnych sukcesów – mruknął z pełnymi ustami Jamie.

– A ja właśnie mówiłam, że poszukiwanie łodzi gdzieś pomiędzy Darłowem a Bornholmem to mniej więcej to samo, co poszukiwanie Bałtyckiej Anomalii na Zatoce Botnickiej. – Alice uśmiechnęła się do Igora.

Dermot potrząsnął głową.

– Ale tutaj mamy przynajmniej jakiś punkt na prawdziwej mapie nawigacyjnej. Tam mieliśmy jedynie informacje z mediów, że gdzieś na północ od Gotlandii.

– Co i tak zawęży nasze ewentualne poszukiwania do powierzchni od kilkuset do kilkudziesięciu tysięcy kilometrów kwadratowych.

– Wracając do róży wiatrów... – odezwał się Rupert. – Bo jak zwykle tak odbiegłście od głównego tematu, że sami już nie wiecie, o czym gadacie.

– Nasze rozmowy podczas tego rejsu przypominają obrady Izby Lordów – zażartowała Alice. – Podobnie bezproduktywne.

– Nie tylko podczas tego rejsu – wtrącił Jamie.

– Zaraz mnie szlag trafi – westchnął Dermot i podniósł wzrok do nieba.

– A może pod tą różą wiatrów ukryte jest położenie geograficzne tamtego punktu? – odezwał się Rupert pośród stłumionych chichotów.

Igor zatrzymał na nim wzrok i zmarszczył brwi. No oczywiście.

Na moment wszyscy zamilkli, zastanawiając się nad nowym pomysłem.

- To byłoby w sumie logiczne – zgodził się Dermot.
- Tłumaczyłoby to także związek z listem, który Schliemann dostał od brata. – Igor zapatrzył się w przestrzeń.
- Tylko wciąż nie tłumaczy tego, co z tą wiadomością miałyby niby zrobić nastoletni chłopak.
- Może list do dzieciaka nie wzbudzał po prostu podejrzeń. – Alice, która na moment zastygła z łyżką nad talerzem, powróciła do jedzenia owsianki.
- Może i tak, ale co z ładunkiem jakiejś Wunderwaffe miałyby zrobić ten dzieciak?

Alice wzruszyła ramionami.

- Żeby sprawdzić ten list, potrzebujemy jakiegoś chemicznego laboratorium. – Rupert wpatrywał się w przyniesioną przez Igora mapę. – W Darłowie raczej nie da się tego załatwić.
- Moglibyśmy to zrobić w Szczecinie. Mam znajomego na Wydziale Technologii i Inżynierii Chemicznej. – Igor spojrzął na Paulinę.
- Popłyniemy do Szczecina, w Szczecinie poszukamy laboratorium, a potem popłyniemy na Bornholm – zaproponował Dermot.
- Mamy jeszcze w planach Dalewo Igora – odezwał się Johann.
- I musimy tam jechać. Nie ma odwołania. – Igor przypomniał sobie w tym momencie o zamieszeniu, jakie matka uczyniła w lokalnych strukturach władzy w Dalewie, i westchnął. Należało się spodziewać lada chwila telefonu od niej.
- Strasznie to skomplikowane logistycznie. – Alice wytarła usta i odsunęła talerz.

– Możemy jeszcze spróbować wskanować mapę i odczytać z niej jak najdokładniej współrzędne – odezwał się niespodziewanie Bill, który od jakiegoś czasu stał w drzwiach mesy. – Przepraszam państwa, ale usłyszałem z kambuza waszą rozmowę.

Johann odwrócił się do kapitana.

- W porządku. To żadna tajemnica. I tak musielibyśmy zapoznać cię z naszym planem.
- Ale to ma sens jedynie przy założeniu, że punkt został umiejscowiony

na tej mapie dokładnie, a nie jedynie symbolicznie. – Igor spojrział na zielony kartonik leżący na środku stołu.

– Jeśli tę mapę sporządził oficer Kriegsmarine, to jest to więcej niż prawdopodobne. Nawigator nawet z przyzwyczajenia wykreśliłby i obliczył pozycję. Na pewno by nie rysował przypadkowego punktu na zasadzie „mniej więcej”. Po zeskanowaniu możemy określić pozycję tego czegoś i bardzo zawęzić obszar poszukiwań.

Igor pokiwał głową.

– Zajmę się tym. – Rupert sięgnął po mapę i poderwał się od stołu.

– À propos mapy. Gdyby Igor uprzedził telefonicznie tego swojego znajomego z chemii, to mogłabym podjechać tam nawet jeszcze dzisiaj – odezwała się milcząca do tej pory Paulina. – I jakby coś z tego wynikło, to po prostu zadzwonię.

– A ty naprawdę musisz wyjeżdżać? – Johann spojrział na nią z wyraźnym niezadowoleniem. – Akurat teraz, jak chcemy płynąć na poszukiwania? Wiesz, jaki byś fajny artykuł napisała z takiego rejsu? To byłby ostatni etap twojego dziennikarskiego śledztwa.

Paulina na moment zamarła, wpatrując się intensywnie w niebieskie oczy Johanna.

Miał rację, cholera! Pomysł tekstu o udziale w poszukiwaniach zaginionego U-Boota był doskonały. Może nawet dałaby radę wejść do jakiejś szalupy. A zdjęcia Ruperta? Pewnie by się zgodził je udostępnić. Byłyby fenomenalne. Na bank materiał by trafił do jakichś ogólnopolskich mediów i portali. Wizja była na tyle pociągająca, że przez moment rozważała wszystkie za i przeciw. Notatkę o masowej mogile napisze w pół godziny i wyśle do Pawła e-mailem, potem zadzwoni i omówi z nim wszystkie kwestie, łącznie ze swoim ponownie opóźnionym powrotem do redakcji. I tylko Mateusz...

Westchnęła i w zamyśleniu spojrzała w okno. Jeśli zadzwoni do niego i powie, żeby jechał z lotniska autobusem lub taryfą, to oczywiście będą fochy i wymówki, a potem dojdzie do tego konieczność omówienia jego cholernego kontraktu w Manchesterze i już nie da się tego zrobić w sposób rzeczowy i racjonalny.

Z drugiej strony długiego stołu Igor powiedział coś do Alice, a ta roześmiała się głośno. Paulina przez chwilę zerknęła dyskretnie w ich kierunku. Dlaczego jest jej przykro?

– Niestety, nie mam wyjścia. – Spojrzała na Johanna i pokręciła smętnie głową. – Zabiją mnie, jak kolejny dzień nie pojawię się w pracy. Spotkamy się za kilka dni w Szczecinie.

Johann skrzywił się z rezygnacją.

Paulina spojrzała na zegarek. Pięć po jedenastej. Cholera! Zagadała się! Ostatni moment, żeby zdążyć na lotnisko, a jeszcze po drodze napisać artykuł przy kawie i wysłać Pawłowi do korekty.

Podarowała się od stołu i wywołując małe zamieszanie, zaczęła się po kolei z wszystkimi żegnać.

*

Sierow zamknął drzwi od ładowni i popatrzył na stojących przed nim mężczyzn. Iwan, oderwany od zakładania nowych uszczelnień na rury, wycierał starannie ręce ze smarów, którymi się utyłał, zdejmując starą zardzewiałą opaskę uszczelniającą.

– I żadnego chojrakowania! Zrozumiano? – Sierow powiedział to dobitnie, zaciskając zęby. – Macie zachować całkowity spokój. Zetlers zostanie na mostku. Reszta pójdzie ze mną.

– A jeśli nic z tego nie wyjdzie? – Artiom nie krył niezadowolenia. Stał z surowo zmarszczonymi brwiami i wpatrywał się z jawną złością w Sierowa i stojącego obok niego Woronina.

– Już nasza w tym głowa, żeby wyszło. – Woronin uśmiechnął się do niego protekcjonalnie. – Ty masz robić tylko to, co do ciebie należy.

– A po co wam to? – Wskazał brodą dwie czarne torby, które stały pod nogami Sierowa. – Odpierdoliło wam? Wiecie, co za to grozi? W obcym kraju? I co zamierzacie z tym zrobić? Co wy jesteście, kurwa, specnaz?

– Nie gorączkuj się tak, Zetlers! – Sierow podniósł głos. – To jest tylko zabezpieczenie. Miejmy nadzieję, że nie będziemy musieli tego użyć.

– Byłeś żołnierzem! Potraktuj to po prostu jak rozkaz! – Woronin

zarechotał, patrząc prosto w rzucające gromy oczy Łotysza.

– Zamknij się, Wadim! – Sierow napomniął wielkiego Rosjanina. – Bez Zetlersa sobie nie poradzimy!

Przeniósł wzrok na Artioma.

– Jesteś nam potrzebny. Nic nikomu się nie stanie!

– I to ty niby obiecujesz? – Artiom parsknął krótkim, nerwowym śmiechem. – Skąd mam mieć pewność?

– Stąd, że jak wrócimy do Bałtyska z niczym, to wszyscy będziemy mieć przesrane.

Artiom patrzył przez dłuższą chwilę bez ruchu w oczy Sierowa. W ładowni zapanowała cisza, w której było słycać tylko dochodzące z nabrzeża hałasy.

*

Mężczyzna pchnął oszklone drzwi, tkwiące w przylepionej do żółtego bloku przybudówce, i wyszedł na zewnątrz. Pokonał szybkim krokiem ścieżkę prowadzącą na parking i dopadł klamki starego mercedesa. Po chwili samochód majestatycznie wykołował na podjazd i potoczył się w kierunku głównej drogi. Na tylnym siedzeniu leżała czarna torba. Telefon kilka minut temu oderwał go od oglądania telewizji. Nie mógł się przyzwyczać do cholernej komórki pre-paid i tych jej elektronicznych dzwonków, ale byłby chyba głupcem, gdyby używał własnego numeru do rozmów z tymi ludźmi. Śledztwo na szczęście było zakończone. Swoją drogą, ten Olszański taki niby z pozoru orzeł. Z Warszawy w dodatku. A tak łatwo dał się wyprowadzić w pole. Mężczyzna uśmiechnął się pod nosem i pomyślał, że jak sprawa się skończy, to wyśle mu kartkę z Tajlandii.

*

Igor pochylony nad ekranem laptopa wpatrywał się w starą mapę nawigacyjną, którą Rupert dopiero co wskanował. Poświęcał temu tylko część uwagi, pozostałą zajmowały mu myśli na temat Pauliny. Z niezadowoleniem odkrył, że jej brak uczynił pobyt na jachcie Johanna z jego zwariowanymi przyjaciółmi jakoś odrobinę mniej przyjemny. Zrugął

się w myślach za takie nastroje i skupił uwagę na skrawku starego kartonu, który jarzył się na ekranie jasną zielenią.

– Sam ten narysowany jakimś flamastrem punkt na mapie to koło o promieniu kilkunastu kilometrów – zauważyła przytomnie Alice.

– To prawda. – Bill, który przypatrywał się, jak Rupert próbuje właśnie możliwie najprecyzyjniej odczytać współrzędne, pokiwał głową. – I taka będzie dokładność. Poszukiwania okrętu na podstawie tych danych to szukanie igły w stogu siana, ale zakładam, że państwu przede wszystkim chodzi o rozrywkę.

– Czy mi się wydaje, czy usłyszałam w pana głosie nutkę ironii? – Alice uśmiechnęła się, zerkając na kapitana.

Bill podniósł głowę i odwzajemnił jej uśmiech.

– A gdzie jest Gwen? – zainteresował się nagle Jamie i spojrzał na Johanna.

– Wyszła rano pobiegać – mruknął Bill. – Z godzinę temu. Powinna właściwie już być.

– Pewnie się przemknęła i poszła pod prysznic. – Johann wzruszył ramionami. – Jak ją znam, to teraz jakieś półtorej godziny poświęci na makijaż i te wszystkie tam.

– No, to mamy mniej więcej wyznaczone pole poszukiwań. – Rupert pochylony nad laptopem obejrzał się i uśmiechnął z zaferowaniem.

– Powinniśmy wypłynąć właściwie już teraz. – Bill spojrzał na zegarek. – Do tej pozycji mamy ze dwie godziny. Nurkowanie z wynurzeniem kilka godzin. Potem będzie za późno.

– Poradzimy sobie bez chłopaków? – spytał Igor.

– Dermot zna się na nawigacji. Jest żeglarzem – wyjaśnił uspokajająco Johann. – Ja też radzę sobie z tą łodzią. Poza tym tu wszystko jest zautomatyzowane.

– Jeśli będzie za późno albo zepsuje się pogoda, to nie ma żadnego nurkowania. – Bill pogroził palcem Dermotowi. – Bez załogi nie będę was sam wyławiał.

– Jasne. – Dermot pokiwał zgodnie głową.

– To wypływamy! – Bill się uśmiechnął. Miał już trochę dość bezproduktywnego leżenia na koi i czytania książek. Kurs na Bornholm, przynajmniej tyle.

*

Tkwiący w sterówce Sasza drgnął. Zeskoczył ze stołka, podszedł do pulpitu obok koła sterowego i wyjrzał przez jedno z prostokątnych okienek w przedniej ścianie nadbudówki kutra. Zmarszczył brwi. Chyba coś się tam działo. Sięgnął po lornetkę i przyłożył ją do oczu. Za kołyszącym się na wodzie masztem niewielkiej żaglówki zobaczył, jak dwóch mężczyzn uwija się na nabrzeżu pod białymi burtami wielkiego jachtu. Najwyraźniej szykowali się do wypłynięcia. Uśmiechnął się i sięgnął po telefon. Lepiej nie mogło się złożyć.

Rozdział 24

Paulina wyjechała z Darłówka ulicą Nadmorską i zamyślona skręciła w Wilków Morskich, a potem cały czas pogrążona w niewesołych rozważaniach na temat Mateusza, Pawła i pieprzonego Manchesteru pojechała prosto jak strzeł, wybierając zły zjazd z ronda, i zanim się zreflektowała, znalazła się na drodze do Karwic. Wprawdzie też dojechałaby w ten sposób do krajówki na Szczecin, ale myśląc, że niepotrzebnie nadkłada drogi, na kolejnym rondzie skręciła na południe i tym sposobem znalazła się na nieskażonych pączkującą zabudową usługową i banerami reklamowymi bocznymi drogach.

Wyjechała z Darłówka z mieszanymi uczuciami. I to mocno mieszanymi. Z jednej strony, męczyły ją myśli na temat Mateusza i tego, co czekało ją w ciągu kilku najbliższych dni, dopóki sytuacja nie spowszednieje i nie znajdą jakiegoś kompromisu, a z drugiej, żal jej było opuszczać jacht Johanna. I nawet nie dlatego, że udział w tym wymyślonym przez nich rejsie w poszukiwaniu łodzi podwodnej byłby doskonałym zwieńczeniem jej tematu. Po prostu świetnie się tam czuła. Dawno nie była taka zrelaksowana, nawet uwzględniając ten koszmarny grób w lesie pod Darłowem, o którym notabene musi zaraz coś szybko napisać. Czując, że jej myśli znowu wpadły w koleiny denerwujących i natrętnych niepokojów, zaczęła się rozglądać za jakimś przydrożnym barem lub stacją benzynową.

*

„Pandora” pruła spokojne wody terytorialne Polski[47], oddalając się szybko od pomorskiego wybrzeża, którego nawet nie można było już dostrzec na linii horyzontu. Bezkresne błękitne niebo i szarogranatowe wody Bałtyku podkreślały biel jachtu, który z daleka lśnił w promieniach słońca jak lustro rzucone na środek morza.

Bill siedział na mostku w czarnym skórzanym fotelu i z zadowoloną miną obserwował od niechcienia cichą pracę urządzeń pokładowych.

Automatyczny pilot wykonywał swoje obowiązki sumiennie i z bezosobową kompetencją. Po kilku dniach spędzonych w tym małym polskim porcie widok morza był bardzo orzeźwiający. A mówiąc szczerze, Bill miał już naprawdę dość użerania się z tym towarzystwem. Zresztą z ich rodzicami nie było lepiej, może nawet jeszcze gorzej. W takim momentach tęsknił za pracą na prawdziwych statkach, gdzie była prawdziwa robota i jakieś konkretne, wymierne cele, ale jak zwykle rozważania te wieńczyło wspomnienie wysokości honorarium, które co miesiąc spływało na jego konto z księgowości lorda Carleya. Poza tym miał już swoje lata, a i Helen w ich wymuskany, wielkim domu na Camden czuła się szczęśliwa. Nie mówiąc o tym, że stać go było na opłacenie studiów medycznych córki na Oksfordzie. Teraz, gdy widział bezkresny błękit za wielkimi przyciemnionymi szybami mostku „Pandory”, czułby się naprawdę dobrze, gdyby nie jeden drobny feler.

– James! Przecież ty jesteś idiotą. Jak to możliwe, że prowadzisz księgowość matki Johanna? – Dermot, stojący za plecami Jamiego, który zanurzony w ogromnym skórzanym fotelu, wpatrywał się w jeden z dużych ekranów na pulpicie, westchnął i opuścił głowę.

– Skąd ja mam się na tym znać? Nie jestem inżynierem!

– Ja jestem prawnikiem!

– Ale pływasz i nurkujesz od dziecka. Ja pochodzę ze zwyczajnej rodziny. Jedyne rozrywki, na jakie mnie było stać w liceum, to kopanie piłki i wybijanie szyb w oknach sąsiadów.

– Ale tłumaczę ci to praktycznie na każdym rejsie.

– Ja tylko nie wiem, dlaczego raz jest to okrągłe, a raz prostokątne na ekranie.

Dermot nabrał głośno powietrza do płuc i stuknął palcem w widoczny na ekranie owalny kształt

– To jest echo biegunowe. To, co widzisz, to tylko sposób prezentacji na ekranie komputera. Albo w postaci echogramu biegunowego, albo sektorowego.

– Ale ten okrągły nie zniekształca?

– To nie jest zdjęcie w trybie żabie oko! To jest obraz przekazywany jako

dane z pomiarów odbicia impulsów akustycznych. To podobnie jak globus i mapa.

Monitor jarzył się ciemną czerwoną barwą w miejscach pokazywanego dna, reszta ekranu pozostawała czarna.

– A ten drugi? Jest taki sam?

– Ten drugi to sonar wysokiej rozdzielczości. – Dermot podążył za wzrokiem Jamiego na sąsiedni, pogrążony w ciemności monitor. – Służy do precyzyjnej kontroli różnych konstrukcji podwodnych lub rurociągów. Daje obraz o gigantycznej rozdzielczości. Nie wiem, po cholere w sumie on jest potrzebny ojcu Johanna.

– Lord Carley kazał go zamontować, gdy kilka lat temu płynęliśmy zwiedzać zatopione miasto w południowej Japonii.

Bill wolałby zostać sam na mostku. W razie konieczności zawsze mógł kogoś wezwać, ale nie wiedział, w jakiej delikatnej formie mógłby to przekazać obu pasażerom.

– Za kilkanaście minut wpływamy w obszar wyznaczony jako strefa poszukiwań. – Spojrzał na monitor komputera pokładowego. – Proponuję zacząć od hipotetycznego centrum. Jeśli będziecie chcieli nurkować, to może powinniście sprawdzić sprzęt?

– Wszystko jest przygotowane. – Dermot pokręcił głową. – Skafandry, butle, mieszanki. Czas denny obliczony dla głębokości sześćdziesięciu metrów, ale to zweryfikujemy, kiedy uda się cokolwiek znaleźć.

Bill, zachowując kamienną twarz, odwrócił się z powrotem i wbił wzrok w ekran komputera pokładowego.

Gwen, pochylona nad ekranem swojego laptopa, wpisywała w okno wyszukiwarki kolejną frazę. Szkoda, że nie pożegnała się z Pauliną, ale pobiegła za daleko i późniejszy powrót na jacht zajął jej trochę czasu. Tym bardziej że się zgubiła. Wydawałoby się, że to niewielka miejscowość, ale gdy biegła zacienioną przez stare drzewa drogą, pogrążona w swobodnie płynących przez jej głowę myślach, oddalając się od wschodniego brzegu portu, w pewnym momencie zorientowała się, że nie wie, gdzie jest. Nie przejmowała się tym specjalnie. Z tego, co zdążyła zauważyć, spora liczba

bawiących tutaj jeszcze turystów znała język angielski, więc zawsze mogła kogoś spytać o drogę. Przebiegając obok jakiejś prowadzącej nad morze ścieżki, zauważyła wychodzących akurat stamtąd dwóch mężczyzn. Jeden wydał jej się do kogoś podobny. Nikogo tutaj poza Pauliną i Igorem nie znała, więc nurtowało ją to później przez całą drogę. Po powrocie od niechcienia zaczęła przeszukiwać internet, ale raczej pogodziła się z tym, że nie dowie się, kim był mężczyzna. Może zresztą było to przypadkowe podobieństwo do jakiegoś jej znajomego.

*

Boczne drogi, na które Paulina wjechała przez pomyłkę, okazały się bardzo malownicze. Przecinały nostalgicznie płaskie, nadmorskie krajobrazy, ocienione starymi drzewami i wąskie ledwie na dwa samochody, które i tak, żeby minąć się bezkolizyjnie, musiały zwalniać do bezpiecznej szybkości trzydziestu kilometrów na godzinę. Paulina minęła kilka wiosek o nietuzinkowych nazwach, takich jak Porzecze, Języczki czy Przystawy, i wreszcie wjechała na drogę krajową numer sześć, która prowadziła prosto do Koszalina. Kilka kilometrów przed miastem zauważyła reklamę baru i stacji paliw. Zwolniła, a po chwili po lewej stronie szosy spostrzegła baner reklamowy, a na nim żółte barwy jakiejś firmy paliwowej oraz biało-żółty barak, nakryty dachem wspartym od frontu na bejcowanych na brąz słupach. Wrzuciła kierunkowskaz i zjechała na parking przed stacją benzynową. Skoro ma napisać notkę o odkryciu pod Darłowem masowego grobu z czasów drugiej wojny, może to zrobić równie dobrze tutaj. Będzie miała z głowy, a poza tym chętnie napije się kawy.

*

Igor stał oparty o reling górnego pokładu i rozkoszował się widokiem niezmierzonej błękitnej, pomarszczonej niewielkimi falami powierzchni morza. Niebo wciąż było bezchmurne, a za jachtem ciągnął się długi, spieniony kilwater wody, której rozproszoną mgiełką czuło się nawet na najwyższym pokładzie. Jakie to było odległe od codzienności. Zmrużył oczy, pozwalając, by dochodziło do nich tylko rozproszone światło słońca, odbijającego się od powierzchni morza – złote refleksy, zostające z tyłu za

białymi grzywami piany, dobywającymi się spod kadłuba ogromnej łodzi. Kiedy był dzieckiem, lubił się tak „zawieszać” w szkole, chociaż wówczas jeszcze nikt nie znał tego określenia. Zima, mróz lub mokry listopad albo marzec, kiedy daleko jeszcze było do lata, a wystarczyło odrobinę słońca wpadającego przez okna klasy i kładącego się na ławce, by przez chwilę wyobrazić sobie, że jest się na gorącym piasku nad jeziorem lub morzem. Teraz niczego nie trzeba było sobie wyobrażać. Wielki biały jacht, słońce i morze były o wiele bardziej realne niż jakiegokolwiek fantazje.

Igor otworzył oczy i spojrzął w dół. Jacht, który do tej pory pruł fale z jednostajną szybkością, najwyraźniej zwolnił. Miarowy pomruk silnika zmienił rytm, a kilwater za rufą nieco się wypłynął. Obejrzał się, usłyszawszy czyjeś kroki na schodach.

Po chwili na pokładzie pojawił się Johann.

– Właśnie osiągnęliśmy hipotetyczny punkt „Totenleuchte”. – Kiwnął do Igora. – Idziemy zobaczyć, co pokażą sonary.

Igor ruszył za nim i po chwili znaleźli się w mesie na głównym pokładzie. Z korytarza prowadzącego na mostek dobiegał głos Dermota, a w samym wejściu stali Rupert i Alice.

Johann z Igorem przepchnęli się pomiędzy nimi. W przyciemnionej przestrzeni tłoczyło się już sześć osób, a wszyscy usiłowali dojrzeć coś na ekranie, przed którym w fotelu siedział Dermot. Poruszająca się skala sonaru na moment zahipnotyzowała wszystkich, ukazując migoczące w kolorze brudnej czerwieni dno Bałtyku.

– Nic tu nie ma – mruknął zawiedziony Jamie.

– Spodziewałeś się, że znajdziemy łódź za pierwszym strzałem? – Rupert parsknął śmiechem. – Pamiętasz, co mówiliśmy o dokładności skanowania starej mapy?

– Z naniesionym na nią ręcznie punktem – dodał Bill.

– A mnie się akurat przypomniało, że wypłynęliśmy z portu znowu w najgorszym możliwym momencie.

– Jamie – jęknęła Gwen. – Tylko nie mów kolejny raz o jakichś morskich przesądach.

– Rocznicą – mruknął Igor. – Racja! Zapomniałem o tym znowu. Ostatnio

za dużo się działo.

– Jaka rocznica? – Dermot spojrzął za siebie lekko zdezorientowany.

– Rocznicą tsunami. Szesnastego września tysiąc czterysta dziewięćset siódmego roku „Morski Niedźwiedź” zniszczył Darłowo.

– A jedna z morskich przypowieści mówi, że wyruszenie na morze w rocznicę tragicznych wydarzeń przynosi pecha. – Jamie pokiwał głową, zezując w kierunku monitora sonaru.

– James! Jak jeszcze raz o tym wspomnisz, nie będziemy mieli wyjścia i trzeba będzie przeciągnąć cię pod kilem. – Dermot spojrzął na Jamiego znaczącym wzrokiem. – Dla odczynienia, oczywiście.

– Bo przecież nie dla rozrywki – zachichotała Alice.

– To nie ja jestem Jonaszem, tylko Rupert.

– Dlaczego ja? – Rupert spojrzął autentycznie zdziwiony.

– Nie słuchaj tych idiotów. – Alice uśmiechnęła się do Ruperta, a następnie spojrzała w kierunku Billa, który miał minę, jakby za chwilę miał się zerwać i zamknąć na klucz w swojej kabinie. – Mamy jakiś program poszukiwań?

Bill zerknął w bok, a gdy zorientował się, że pytanie było skierowane do niego, uśmiechnął się, oderwany od swoich myśli.

– Tak, oczywiście. Będziemy płynąć po spirali o szerokości równej zasięgowi naszych sonarów, stopniowo oddalając się od punktu środkowego obszaru poszukiwań. To pozwoli nam dokładnie przeczesać ten teren.

– To może potrwać nawet tydzień – powiedział Dermot i ruszył w kierunku kambuza. – Ustawiłem powiadomienia. Jak sonar coś znajdzie, to nas powiadomi. Możemy iść coś zjeść w tym czasie.

*

Mężczyzna zjechał z szosy na parking przy małym przydrożnym barze. Stary mercedes toczył się przez chwilę po drodze dojazdowej na poboczu i wjechał wreszcie na miejsce postojowe tuż obok zielonego nissana micry. Mężczyzna wysiadł i powoli obszedł samochód. Otworzył bagażnik i zaczął przeszukiwać pudło z narzędziami. Zerknął w bok i obejrzał dyskretnie

zielone autko. Jego wzrok zatrzymał się na wlewie paliwa. Zaklął. Nie sprawdził oczywiście wcześniej w internecie. Nie miał czasu. I oczywiście nie przewidział tego. Cholerna micra miała wlew paliwa otwierany z wnętrza. Mała wajcha przy siedzeniu kierowcy.

Przez moment zastanawiał się, co robić, po czym wziął śrubokręt i ukucnął między samochodami, markując oglądanie podwozia w mercedesie. Rozejrzał się, odwrócił i ostrożnie wsadził śrubokręt pod klapkę wlewu paliwa. Obawiając się alarmu, bardzo delikatnie nacisnął. Poczuł, jak plastikowe cięgno obsługujące automat napina się. Pchnął mocniej i klapka otworzyła się z trzaskiem. Pomyślał, że plastikowa linka prawdopodobnie będzie do wymiany. Wyjął z kieszeni woreczek z białym proszkiem i wsypał całą jego zawartość do baku. Zamknął wlew, pochylił się i postukał w felgę tylnego koła mercedesa, a następnie podniósł się i wrzucił narzędzie do bagażnika.

Po chwili mercedes wykołował z parkingu i wjechał na drogę krajową numer sześć.

*

„Pandora” zataczała coraz większe koła wokół epicentrum poszukiwań, a sonar śledził dno, wychwytyjąc co jakiś czas zatopione fragmenty jakichś wraków lub częściej zwyczajne śmieci. Przez pierwsze pół godziny było to na tyle ekscytujące, że przy każdym piknięciu wszyscy rzucali się do laptopa, by sprawdzić, co tym razem znalazł sonar na dnie, ale po kilku takich akcjach znudziło to nawet Dermota. Autopilot trzymał wytyczony przez komputer pokładowy kurs, a wszyscy rozeszli się po pokładach, szukając sobie zajęć. Dermot i Alice udali się do ładowni, pod pretekstem przejrzenia butli z gazem i przeprogramowania kalkulatorów, Rupert zajął się obróbką swoich zdjęć, reszta zaś rozsiadła się w mesie na głównym poziomie, czytając coś lub przeglądając magazyny.

– Czytaliście o tym, że jedna z teorii próbujących wyjaśnić tę waszą Bałtycką Anomalię mówi o tym, że była to tajna broń nazistów? – Igor podniósł wzrok znad grubego magazynu poświęconego żeglarstwu. – Jakiś latający spodek, który rozbił się nad Zatoką Botnicką lub został tam zestrzelony.

– Czytaliśmy to milion razy – mruknął Johann. – Przygotowania do naszej wyprawy trwały prawie pół roku.

– Mówię o tym w kontekście Wunderwaffe z Darłowa.

– Domyśliłem się. – Johann kiwnął głową. – Jednak późniejsze badania próbek, które rzekomo Lindberg zabrał z Anomalii, wykazały, że to skała.

– Teraz Szwedzi twierdzą, że to może być jakaś megalityczna budowla z czasów prehistorycznych. Starsza niż Stonehenge – wtrącił się Jamie.

– Może w przyszłym roku znowu spróbujemy.

Jamie popatrzył na Johanna sceptycznie.

– Do przyszłego roku ktoś może tam zanurkować i stwierdzić, że tak naprawdę to kupa złomu opleciona ruskimi sieciami.

– Na razie szukamy U-Boota. – Igor uniósł brwi. – To nie ciekawsze?

– Nie wierzę w sumie ani w U-Boota, ani w to, że go znajdziemy. – Jamie ziewnął.

– Nie możesz nie wierzyć i w jedno, i w drugie, bo to bez sensu.

– Dlaczego bez sensu?

– O Jezu! Nie zaczynajcie... – Gwen podniosła wzrok znad swojego białego laptopa. – Wiecie, jak wyglądał ten zbir, który wrzucił list do Pauliny?

Johann podniósł wzrok i spojrzał na nią ze zdziwieniem.

– A skąd mamy to wiedzieć?

– Paulina nie pokazywała żadnych zdjęć? Albo ta policja? Może jakiś profil pamięciowy albo list gończy?

– Jaki list gończy? – Jamie postukał się palcem w czoło. – To tylko podejrzany. Nikt nie stwierdził, że to on zrobił.

– Kukła się nazywał. – Igor zmarszczył brwi, usiłując przypomnieć sobie imię. – Bolesław. Bolesław Kukła. A czemu pytasz?

Gwen wzruszyła ramionami.

– Kiedy rano poszłam pobiegać, widziałam jakichś dwóch podejrzanych typów. Jeden wydał mi się znajomy. Jakbym go gdzieś już widziała.

– A gdzie ty mogłaś widzieć jakichś polskich przestępców? – Jamie

patrzył na nią ze zdziwieniem.

– No, dlatego pytam o tego Kukłę. Kiedy siedzieliście w dole z błotem i wstążeczkami, to do Pauliny dzwonił ten jej prokurator i ostrzegał, że facet może być niebezpieczny.

Igor pokiwał głową.

– Paulina mówiła o tym, ale zdaje się, że ona też nie wie, jak on wyglądał. Sprawdziłaś w necie?

– Nie ma nic. Nieważne. – Gwen zamknęła laptopa. – Pewnie facet był po prostu do kogoś podobny.

*

Paulina napisała ostatnią linijkę tekstu i postawiła ostatnią kropkę. Przewinęła kursorem stronę do tyłu i zaczęła czytać całą notatkę. Poprawiła kilka błędów, w jednym miejscu zmieniła szyk zdania i kliknęła „zapisz”. Z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku otworzyła program pocztowy i odszukała adres Pawła. Po chwili mała kopertka na ekranie potwierdziła wysłanie e-maila do redakcji.

Paulina odchyliła się na stołku i odetchnęła z ulgą. Załatwione, pomyślała. Jeden z problemów odhaczony. Teraz ten gorszy. Mateusz na lotnisku i rozmowa, o której ilekroć pomyślała, czuła się tak, jakby ktoś położył jej kamień młyński na plecach i kazał dźwigać. Rozejrzała się po niewielkim pomieszczeniu. Dziewczyna za ladą podawała właśnie tackę z jakąś kanapką kierowcy ciężarówki, którego Paulina zauważyła pomiędzy drugim a trzecim akapitem swojego tekstu. Przyjechał TIR-em i miał na sobie czarną koszulkę bez rękawów, która odsłaniała ramiona, pokryte całkowicie tatuażami. Trudno było go nie zauważyć. Przez chwilę przypatrywała się białej maździe, której właściciel lał właśnie paliwo do baku, po czym zerknęła na wiszący nad ladą zegar. Była za siedemnaście pierwsza. Paulina zaklęła i zerwała się gwałtownie. Pozbierała wszystkie swoje rzeczy i wepchnęła je do torby. Do Goleniowa raczej się spóźni. Mateusz będzie czekał i robił się coraz bardziej zły, wskutek czego rozmowa w drodze do Szczecina przybierze jeszcze mniej racjonalny obrót, niż zakładała. Chwyciła torbę z laptopem i szybkim krokiem wyszła z pawilonu. Do samochodu miała kilkadziesiąt metrów, które przemierzyła błyskawicznie, coraz bardziej denerwując się biegnącym

nieubłaganie czasem.

Nissan micra stał sobie samotnie na parkingu, oddalony o trzy wolne miejsca od najbliższego auta. Paulina otworzyła drzwi, wrzuciła torbę z laptopem na tylne siedzenie i uruchomiła silnik. Po chwili zielony samochód wjechał na drogę dojazdową, przy wyjeździe ze stacji chwilę poczekał, aż zwolni się pas, i włączył się w końcu do niewielkiego o tej porze ruchu na głównej drodze do Koszalina.

*

Igor zamknął magazyn żeglarski i spojrzał w kierunku wejścia na mostek. Co chwilę ktoś tam zaglądał, ale, jak widać, Bill nie miał dla nich żadnych rewelacji. Ciekawe, czy każde poszukiwanie wraku tak wygląda, że ludzie siedzą i nudzą się, nie mogąc się doczekać żadnych efektów?

– Nurkowałeś kiedyś?

Igor podniósł wzrok i zobaczył, że Johann patrzy na niego.

– Tak. – Pokiwał głową. – Ale tylko podstawowy kurs. W dodatku w jeziorze.

– Może spróbujesz teraz?

– Zwariowałeś? – Gwen spojrzała na Johanna, odrywając wzrok od ekranu laptopa. – Na siedemdziesiąt metrów?

– Nie musi od razu na siedemdziesiąt metrów, a trudno o lepszych opiekunów niż Alice i Dermot.

– Spoko. Czemu nie? – Igor uśmiechnął się do Johanna.

– Zgubią cię w jakiejś ładowni – mruknął Jamie, który zaanektował przed chwilą laptopa Ruperta i z uwagą przyglądał się czemuś, co tam zobaczył. – Kurde! Rupert robi naprawdę fajne fotki. Zobaczcie.

Przesunął urządzenie na środek stołu. Na ekranie widać było ogromną śrubę okrętową, która oświetlona reflektorami wyłaniała się z mroku niczym jakaś posępna megalityczna machina. Przed nią, zawieszony w toni, wpatrywał się w nią z podziwem nurek.

– To chyba ja. – Johann wyciągnął głowę, żeby dokładniej przyjrzeć się zdjęciu. – Rzeczywiście ładne. Kiedy on zdołał mnie tak uchwycić?

– To w czasie tego waszego powtórnego nurkowania na „Chińczyka” – odezwała się Gwen, wpatrując się w fotografię. – Mnie dobre zdjęcia nawet komórką nie wychodzą, a on robi takie piękne fotki siedemdziesiąt metrów pod wodą.

Igor, który w zadumie przyglądał się nostalgicznemu ujęciu, drgnął. Komórka! Zdjęcia! Przypomniał sobie właśnie o ostatnich dwóch akapitach pamiętnika Wyrzykowskiego, które sfotografował ubiegłej nocy, podczas zamieszania związanego z wrzuconym na pokład kamieniem. Sięgnął po telefon i otworzył katalog ze zdjęciami. Pochylił się i zaczął czytać.

...Rodzina hrabiego zdołała wyjechać, ale on sam został pojmany przez Sowietów i wywieziony. Być może zdołali z niego wydusić jakieś informacje, ale chyba nie wszystkie, ponieważ niczego wówczas nie znaleźli. I wciąż szukają czegoś.

Nigdy nikomu nie zdraXXXłem, że w piwnicy pod domem leży trup lotnika. Nie wiedzą o tym nawet moi przybrani rodzice. Na szczęście nigdy nie było u nas na tyle pieniędzy, żeby robić jakiś wielki remont, a plany zasypania lochu jakoś udało mi się powXXXzymać. To ryzykowne chyba nawet o tym pisać. Gdyby wszystko to wyszło na jaw, nasza milicja pewnie od razu powiadomiłaby służbę beXXXeczeństwa, a to dotarłoby od razu do Ruskich.

Przestraszył mnie artykuł o tych zamordowanych nurkach, bo to dowodzi, że wciąż żyją ludzie, którzy nie zapoXXXeli i wciąż się w tym grzebią. Zawsze wiedziałem, że chodzi o zatopioną łódź podwodną i coś, co Niemcy stąd na niej wywieźli, a stara mapa z zaznaczoną lokalizacją „światła umarłych” miała tam doprowadzić. Tylko że brakuje chyba jakiegoś elementu w tej układance. Zamordowani nurkowie pewnie szukali wraku samolotu. Pewnie myśleli, że to alianci mieli jakieś dane. Ale tam przecież niczego nie ma. XXXystko jest tutaj, w naszym domu. Pod ziemią. Boję się, że światła umarłych będą do mnie ciągle wracać. Ci wszyscy zamordowani ludzie. Potopieni więźniowie w podziemiach poligonu, powieszoni Niemcy, mała Inga, zamordowani przez Sowietów Polacy pod lasem...

I ciągle giną następni. Przeklęte światła umarłych gubią kolejne ofiary.

Igor wpatrywał się w ekran telefonu. Ostatnie zdanie zdradzało już wtedy, jakimi kolejami potoczy się życie Wyrzykowskiego. Trauma z dzieciństwa, czasy wojny, śmierć matki, ciągły strach wielu lat ukrywania się najpierw przed Niemcami, którzy za pomoc udzieloną amerykańskiemu lotnikowi skazaliby ich za zdradę. Potem przed Sowietami, dla których oni wszyscy to byli Niemcy, zbrodniarze i mordercy, którzy zasługiwali tylko na strzał w tył głowy. No i na końcu kilkadziesiąt lat obaw przed tym, że ukrytego w piwnicy lotnika znajdą polskie służby bezpieczeństwa. Obsesja, lęk o życie najbliższych doprowadziły go do choroby umysłowej, która zaczęła się podstępnie rozwijać najwyraźniej już wtedy.

Igor przez chwilę rozmyślał o kolejach losu człowieka, dla którego kontakt z Pauliną był być może swoistego rodzaju terapią, ostatnią próbą wyrzucenia z siebie tego, co przez tyle lat ukrywał. Jak wiele z jego obaw było prawdziwych, a ile stworzyła chora wyobraźnia? Przeświadczenie o tym, że jest prześladowany przez różne służby, niewpuszczanie do domu pomocy społecznej, utarczki z synem – to z pewnością był efekt podkopującej jego umysł choroby. Ale z drugiej strony, artykuły na temat nurków zamordowanych na początku lat siedemdziesiątych były przecież autentyczne. Pytanie tylko, czy rzeczywiście łączyły się z historią tajemniczego ładunku U-Boota, czy był to tylko przypadek? Mapa z lokalizacją „Totenleuchte” też była autentyczna. Czy ten brakujący element układanki to rzeczywiście mogą być zapisane atramentem sympatycznym jakieś informacje? Współrzędne zatopienia U-Boota? Jeśli Franz chciał faktycznie przekazać jakąś wiadomość swojemu bratu, to jakie znaczenie miał fragment tej szanty, którą zacytował?

*Gdy przyjedziesz do Rügenwalde,
to poszukaj światła umarłych.
W samym środku, pod różą wiatrów,
znajdziesz nadzieję swoją na morzu
i wieczny spokój.*

O jaką nadzieję na morzu i wieczny spokój mogło chodzić? Trzeba by wyszukać stare niemieckie szanty. O ile w ogóle chodzi o szanty. W końcu Billowi z niczym to się nie skojarzyło. A jeśli to fragment jakiegoś wiersza?

Igor pochylił się ponownie nad ekranem telefonu i jeszcze raz przeczytał ostatnie akapity pamiętnika. I ponownie zwrócił uwagę na to krótkie zdanie, które i przed chwilą go zafrapowało. Zmarszczył brwi.

...Tylko że brakuje chyba jakiegoś elementu w tej układance...

Podniósł wzrok i spojrzął przez oszklone drzwi prowadzące na tylny pokład. Niebo było wciąż bezchmurne, a za jachtem ciągnął się długi, rozszerzający się w dwie strony i niknący wśród fal kilwater.

Zapatrzył się w przestrzeń, usiłując przypomnieć sobie zapisy z dziennika, które dwa dni temu czytała Paulina. Brat wysłał Schliemannowi najpierw wiersz, a później chciał wysłać mapę. Tylko że ksiądz nigdy jej nie dostarczył. A kilka tygodni po tym, jak alianci zatopili łódź podwodną, wszyscy spiskowcy zostali powieszani. Kilka tygodni po tym...

Igor znieruchomiał ze wzrokiem wbitym w przestrzeń.

– Co się stało? – Johann spojrzął na niego z niepokojem. – Strasznie nagle zbladłeś.

Igor odwrócił wzrok od widoku morza za drzwiami i popatrzył nieprzytomnie na Johanna.

Czas! Czas się przecież nie zgadza!

– Halo! – Johann pomachał ręką przed oczami Igora.

– Co wy robicie? – Gwen podniosła wzrok znad pasjansa na ekranie swojego laptopa.

Nagle z głośników odezwał się niski głos Billa.

– Sir Carley! Bardzo proszę na mostek!

*

Paulina zwolniła, wjeżdżając do Sianowa. Po obu stronach drogi, za wysokimi żywopłotami, stały nowe domy oraz stare gospodarstwa z zabudową pamiętającą XIX wiek. W centrum miejscowości przy drodze wyrosły większe budynki, niewielkie kamieniczki i powciskane jak popadło, podobnie jak w całym kraju, wymalowane na pstre kolory prostopadłościennych bocznych. Tuż przed parterowym domem, pokrytym

nowiutką czerwoną dachówką, stała tablica informująca o wjeździe na prowadzącą do Szczecina drogę E 28.

Paulina, kierując się podpowiedzią Hołka, łagodnie skręciła w lewo, przedarła się przez samo centrum małego miasteczka i zostawiając za sobą rzednącą zabudowę, wyjechała na drogę prowadzącą bezpośrednio do Koszalina. Kilkaset metrów dalej minęła tablicę informującą o wjeździe na teren powiatu Koszalin, a po obu stronach drogi wyrósł las.

I wtedy poczuła, że silnik zaczął dziwnie pracować. Zakrztusił się raz czy dwa, tracąc moc, na krótko wszystko wróciło do normy, po czym sytuacja się powtórzyła, ale tym razem auto osłabło i przestało reagować na wciskany pedał gazu.

Paulina zaklęła i ze strachem spostrzegła palącą się kontrolkę silnika. Zwolniła, wrzuciła trójkę i ostrożnie wcisnęła pedał gazu. Silnik zakrztusił się ponownie. Po prawej stronie kilkaset metrów dalej widać było jasną sflacheć ziemi, a za nią boczną drogę niknącą pomiędzy drzewami. Paulina wrzuciła luz i po chwili samochód wtoczył się siłą bezwładności na pobocze i zatrzymał niedaleko biało-zielonego szlabanu, zagrządzającego wjazd do lasu. Przekręciła kluczyk i na chwilę zapanowała cisza. Tylko tego jej brakowało. Ugrzęźnięcia w buszu przed samym Koszalinem.

Obok niej przewaliła się z łoskotem wielka ciężarówka z naczepą, a zaraz za nią jakiś dostawczak. Szarpnęła za dźwigenkę otwierającą maskę i zdając sobie sprawę z beznadziejności tych poczynań, wysiadła, otworzyła klapę i pochyliła się nad gorącymi jeszcze trzewiami samochodu. Mogła tak patrzeć do rana, a i tak nic by z tego nie wynikło. Z silnika wydobywała się para i czuć było jakiś nieprzyjemny zapach.

Przerażona pomyślała, że chyba zatarła silnik. Olej zmieniała w zeszłym roku. Jak zwykle o tym zapomniała przed wakacjami. Czy to mogła być przyczyna? Tak czy siak, nie ma rady. Musi zadzwonić po jakąś pomoc. A potem do Mateusza, że nie przyjedzie po niego. Cholera! Zatrzasnęła maskę, pochyliła się nad przednim siedzeniem i wyjęła ze środka torebkę. Chwilę w niej grzebała, usiłując znaleźć telefon, po czym oparła się o drzwi i zaczęła szukać numeru pomocy drogowej. Podniosła wzrok, gdy usłyszała warkot nadjeżdżającego samochodu. Nawet przy swojej indolencji motoryzacyjnej z daleka rozpoznała markę. Samochód szybko rósł w oczach,

a następnie zwolnił i powoli zbliżył się do szerszego przy wjeździe do lasu pobocza. Kierowca zatrzymał się za Pauliną i zgasił silnik. Na krótki moment, gdy szosa była pusta, zapanowała cisza.

Paulina pomyślała, że są jeszcze uczynni ludzie na świecie. Podeszła do drzwi od strony pasażera. Okno z cichym szumem zjechało w dół i Paulina zajrzała do wnętrza samochodu.

– Dzień dobry! Bardzo dziękuję, że pan się zatrzymał. Mam problem chyba z silnikiem. – Uśmiechnęła się.

Rozdział 25

Prokurator Olszański po raz trzeci wybrał numer Matuszka i trzymając telefon przed oczami, ze zniecierpliwieniem wpatrywał się w wyświetlacz, na którym mała zielona słuchawka wciąż wskazywała na brak połączenia. Po szóstym dzwonku przejechał palcem po ekranie i odłożył telefon na biurko. Gdzie go poniosło? Wiedział, że Matuszek miał teraz sporo na głowie w związku z tym masowym grobem pod Darłowcem, ale mógłby oddzwonić. Prokurator odebrał dzisiaj już któryś z kolei telefon z ratusza w Darłowie w tej sprawie i miał wszystkiego serdecznie dość. Na szczęście prasa jeszcze nic nie zwąchała, ale ludzie już gadali, więc należało się lada chwila spodziewać nalotu pismaków. Teren był ogrodzony, policja pilnowała dostępu, a wszyscy z utęsknieniem czekali na specjalistów z Zakładu Patomorfologii i Medycyny Sądowej ze Szpitala Wojewódzkiego w Koszalinie, którzy uwolnią ich od tej sprawy.

Olszański chciał się dowiedzieć, czy komuś udało się przesłuchać Kukłę. Był jedynym podejrzanym o wrzucenie kamienia na pokład angielskiego jachtu. Właściwie to tylko jeden Olszański go o to podejrzewał. Wszyscy inni, z Matuszkiem włącznie, nie widzieli żadnego związku pomiędzy grobem kilkudziesięciu repatriantów z czasów wojny a pospolitym rzezimieszkiem z okolic Darłowa. Olszański jednak, całkowicie intuicyjnie, czuł, że coś z nim jest nie tak. Ciąg rozumowania w tej sprawie zaczynał się oczywiście od Stasiaka. Od lat byli nierozłączną parą. Wspólnie okradali domy letniskowe i sklepy, ale rzadko kiedy dało im się coś udowodnić. Stasiak się powiesił. Nieprzypadkowo zamieszana była w to Paulina Weber, dziennikarka ze Szczecina. I nagle u niej akurat ląduje kamień z informacją o tym grobie. Tylko skąd akurat Kukła miałby o nim wiedzieć? Jak on się o tym dowiedział? Po tych lasach chodzą leśnicy, grzybiarze. W zasadzie to i tak nie było o co Kukli oskarżyć. Kamień nie narobił żadnych szkód, a Anglicy nie wnieśli skargi.

Zaraz, zaraz...

Olszański podniósł wzrok znad papierów. O czym to przed chwilą

pomyślał? Że po lesie chodzą leśnicy i grzybiarze? Nagle zamarł. Jego wzrok napotkał w tym momencie wiszący na przeciwległej ścianie kalendarz. Nad starannie wykaligrafowanym słowem WRZESIEŃ na dużej, kolorowej fotografii prezentowała się grupa jelonków.

Przecież Kukła był kłusownikiem!

*

Johann stał na zewnętrznej galerii przy mostku i schowany za białym skrzydłem burty patrzył przez lornetkę. Daleko, po południowo-wschodniej stronie, prawie poza zasięgiem wzroku majaczył kształt jakiegoś statku. Tuż obok na szeroko rozstawionych nogach stał Bill i czekał na reakcję Johanna.

– „Zaria”? Przecież to jest ten stary kuter, który stał przy nabrzeżu niedaleko nas. – Johann oderwał lornetkę od oczu i spojrzał na Billa.

– Dokładnie. Nawet kilka razy ich szyper mnie pozdrawiał, jak wpływali do portu lub wypływali w morze.

– To co robimy?

– Musimy im pomóc. – Bill wzruszył ramionami. – Jesteśmy zobowiązani do udzielenia wszelkiej pomocy znajdującym się na morzu ludziom.

– O ile nie naraża to nas na niebezpieczeństwo.

Bill pokiwał głową.

– Co oni w ogóle robili w Darłowie? Kilka dni tam stali. Prawie tak długo jak my.

– Kuter jest zarejestrowany na Łotwie. Pewnie korzystają z polskich łowisk.

– Co dokładnie powiedzieli przez radio? Mówią po angielsku?

– W każdym razie kapitan mówi. Mają na pokładzie chorego. Boją się, że to może być zatrucie albo wyrostek robaczkowy i potrzebna będzie błyskawiczna pomoc.

– Wyrostek? – Johann otworzył szeroko oczy. – To helikopter powinni wzywać.

– Ponoć nie są pewni tego wyrostka. Boją się odpowiedzialności za nieuzasadnione wezwanie śmigłowca. Twierdzą, że Polacy ich nie lubią.

Odezwali się do nas, bo byliśmy w zasięgu wzroku.

– Jakież to jest...

– Dlatego właśnie pana poprosiłem, sir. – Bill szarpnął drzwi prowadzące na mostek i spojrzął na Johanna, który ponownie podniósł lornetkę do oczu. – Okej. Idę im powiedzieć, żeby spuszczała szalupę.

– Słuchajcie, zwolniliśmy chyba. – Igor stał przy drzwiach na pokład i patrzył na kilwater za jachtem, który prawie całkiem zniknął wśród niewielkich, marszczących płaszczyznę morza fal.

– Może coś znaleźliśmy? – Jamie podniósł głowę znad gazety i wyjrzał ciekawie przez panoramiczne okna.

W drzwiach prowadzących na niższy pokład pojawił się Dermot.

– Co się dzieje? – spytał swoim tubalnym głosem.

Na schodach za nim pokazała się Alice. Weszła do mesy i spojrzała pytająco na Igora, który w odpowiedzi wzruszył ramionami.

– Zaraz zapytamy. – Jamie podniósł się od stołu i ruszył w kierunku korytarzyka na mostek.

Po chwili cała czwórka stanęła w progu.

Wewnątrz Bill rozmawiał z kimś przez radio, a Johann stał przy oknie i patrzył przez lornetkę.

– Kuter wezwał pomoc. – Odwrócił się do patrzącej na niego czwórki przyjaciół. – Mają chorego na pokładzie. Zaraz przybije do nas szalupa.

– Chorego? – zainteresowała się Alice. – Jakie ma objawy?

– No właśnie. – Johann kiwnął jej głową. – Dobrze, że tu jesteś. Obejrzyj go. Z nas wszystkich jesteś najbardziej kompetentna.

– Kurs ratownictwa medycznego i trzy semestry na medycynie to może nie być wystarczające.

– Powiedzieli, że podejrzewają zatrucie lub wyrostek.

– A to nie jest ten kuter, co stał obok nas w Darłowie? – spytał Igor, który w międzyczasie wziął drugą lornetkę i podszedł do okna.

– Ten sam. – Johann pokiwał głową.

– Co ruski kuter robi w Polsce? – spytał Jamie, patrząc przez ramię Igorowi.

– Łotwa jest w Unii. Łowią tutaj.

– Niech go wniosą na dolny pokład. – Bill skinął głową w kierunku schodów. – Będzie bliżej z pokładu na rufie. Panowie... – Spojrzał na Ruperta i Dermota. – Załóżcie kamizelki ratunkowe. Pomożecie Rosjanom podejść do rufy. Wszystkich, poza panem Johannem, proszę o opuszczenie mostku.

„Pandora” kołysała się majestatycznie na falach. Od strony południowo-wschodniej z głośnym terkotem zbliżał się do niej powoli kuter. Kilkadziesiąt metrów od celu zwolnił i ustawił się bakburtą do jachtu. Na pokładzie głównym, oparci o reling, stali wszyscy pasażerowie, poza Dermotem i Rupertem, którzy ubrani w pomarańczowe kamizelki ratunkowe obserwowali z najniższego pokładu rufowego to, co się działo na kuzrze.

Igor podniósł dłoń i przyłożył ją do czoła. Chciał dokładniej przyjrzeć się niewielkiej jednostce, nad którą na maszcie łopotała łotewska bandera. Mogła mieć jakieś dwadzieścia, dwadzieścia pięć metrów długości. Pośrodku kadłuba, nad wysoko wyniesionym mostkiem, mieścił się jeszcze niewielki dek – pokład obserwacyjny, ogrodzony wysokim metalowym relingiem. Na rufie kutra wznosił się maszt bramowy z dźwigiem. Statek przypominał polski tak zwany superkuter, czyli niewielki trawler rufowy B-410, który produkowano w Ustce na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych i który przez wiele lat uchodził za najlepszy kuter wytwarzany w tamtych czasach na świecie.

Igor znał ten temat, ponieważ jakiś czas temu przeczytał artykuł, który został mu na zawsze w głowie. Gdy Polska weszła do Unii, miała około półtora tysiąca jednostek rybackich, w tym prawie pół tysiąca kutrów. Zgodnie z wymogami gospodarki morskiej Unii kraj musiał dostosować się do jej zasad, a flota rybacka została poddana tak zwanej modernizacji i restrukturyzacji. Unia Europejska płaciła bardzo duże pieniądze za dostosowanie infrastruktury poszczególnych krajów do zasobów morskich, czyli konkretnie za złomowanie jednostek. Bardziej opłacało się przyjąć pieniądze niż zdać się na niepewny los rybaka nad Bałtykiem. W owym

okresie zezłomowano prawie 60 procent floty rybackiej, a w portach zostały tylko pojedyncze jednostki, których właściciele i tak ledwo wiązali koniec z końcem. Wiele kutrów przeszło też na własność rybaków lub firm połowowych z innych krajów i ten łotewski, który kołysał się na wodzie kilkadziesiąt metrów od jachtu, wyglądał na taki właśnie, zakupiony w kraju i wywieziony na wschód, polski superkuter.

Igor oparł się o reling i zmrużył oczy w ostrym, odbijającym się od fal słońcu. Na pokładzie kutra pojawiła się tymczasem grupka mężczyzn i zaczęła spuszczać na wodę ponton. Jeden z nich pomachał przyjaźnie w kierunku „Pandory”.

Stojąca obok Igora Alice podniosła rękę i odwzajemniła gest.

– Właściwie dlaczego wy nie lubicie Rosjan? – spytał Jamie.

Igor odwrócił się, słusznie podejrzewając, że to do niego skierowane jest pytanie.

– Kto ci to powiedział?

– Podobno ci Ruscy mówili, że boją się wzywać śmigłowiec, bo Polacy obciążą ich karami.

– Pomijając wszystko inne, ten kuter ma łotewską banderę.

– Łotyszy też nie lubicie?

– Jamie – westchnęła Gwen. – A ty czasem nie powinienesz być tam na dole zamiast Ruperta?

– Dermot uznał, że Rupert ze swoją lekkoatletyczną muskulaturą lepiej sobie z tym poradzi.

Z pokrytej rdzą burty kutra opadł na wodę ponton i niebawem po drabince zeszli do niego czterej mężczyźni. Jeden złapał się za brzuch, skulił i opadł na ławeczkę. Po chwili zaterkotał silnik i mała łódka, rozbijając tępym pneumatycznym nosem fale, zaczęła się zbliżać do „Pandory”.

Dermot cofnął się do ładowni i na panelu kontrolnym przesunął niewielką dźwignię. Tylne burty bezszelestnie otworzyły się na zewnątrz, a z dwóch jej stron rozłożyły się automatycznie relingi. Rupert odsunął się na bok i skinął w kierunku pontonu, wskazując jego załozę, żeby dobiła bokiem do otwartej

platformy. Z terkotem silnika pneumatyczna łódka zbliżyła się do rufy i powoli ustawiła tuż za nią. Fale podnosiły co chwilę rufę „Pandory”, zalewając ponton wodą i opryskując wszystkich białą pianą. Dwóch mężczyzn wzięło pod rękę trzeciego, który skulony siedział na ławeczce, i chwytając się poręczy, weszło na pokład rufowy. Czwarty z nich przerzucił linę, zamocował ponton do rufy jachtu i wskoczył na pokład za kolegami.

Przez chwilę słychać było tylko szum wiatru i morza oraz dochodzący z oddali terkot silnika kutra. Dermot i Rupert stali naprzeciwko czterech mężczyzn, obrzucając ich niepewnymi spojrzeniami. Jeden z nich, potężny, niedźwiedziowaty, podtrzymywany przez dwóch kolegów, stęknął głośno i złapał się za brzuch. Dermot drgnął, patrząc z niepokojem na chorego mężczyznę, i ruchem ręki wskazał boczną, prowadzącą do schodów na wyższy pokład galerię. Mieli ich zaprowadzić do mesy na dolnym pokładzie. Była tam spora apteczka i tego pomieszczenia najrzadziej używali.

Dwaj mężczyźni, którzy podtrzymywali wielkiego kolegę, mieli przewieszane przez ramiona czarne torby. Dermot przez krótki moment zastanawiał się, po co załoga kutra zabrała ze sobą jakieś manele, ale było już za późno.

Wszystko od tej chwili zaczęło się dziać błyskawicznie. Jak na filmie sensacyjnym w przyśpieszonym tempie. Kamera zazwyczaj pokazuje różne ujęcia takich sytuacji pocięte na atrakcyjne kadry i ciągi efektownych scen. Tutaj wszystko przebiegło szybko, bez scenograficznej oprawy przewracających się sprzętów, głośnych wystrzałów i upadających na ziemię w zwolnionym tempie ludzi.

Wielki, rzekomo chory mężczyzna stęknął głośno po raz ostatni, odciągając w ułamku sekundy uwagę Dermota od czarnych chlebaków swoich kolegów, podczas gdy jeden z nich sięgnął błyskawicznie do wnętrza torby i wyciągnął spory czarny przedmiot. Po chwili obaj mężczyźni trzymali w rękach izraelskie pistolety maszynowe, a Dermot i Rupert zamarli przerażeni z otwartymi ustami.

*

Olszański ze złością wysłuchał kolejnych kilku sygnałów, a zaraz po nich informacji, że użytkownik nie może teraz odebrać i ma spróbować później.

Wybrał numer wewnętrzny komendy w Sławnie i ponownie zamarł, czekając, aż ktoś wreszcie odbierze jakikolwiek telefon. Czy ich tam wszystkich pogięło? Od dwóch godzin nie mógł się skontaktować ani z Matuszkiem, ani z jego wydziałem. Miał już przerwać połączenie, gdy usłyszał w słuchawce zdyszany głos młodego policjanta.

– Co się tam u was dzieje? – rzucił, powstrzymując złość. Młody policjant był pewnie najmniej winny tej sytuacji.

– Pod samym Sławnem był wielki karambol. Jest dwoje zabitych i zatkana wylotówka. Już gadają o tym od kilku godzin w radiu.

Olszański, który od rana siedział z nosem w papierach, wolał słuchać Żółtych Przebojów. Było tam najmniej wiadomości, dzięki czemu nie wyprowadzały go z równowagi częściej niż raz na godzinę.

– Matuszek się tym zajmuje?

– Pan starszy aspirant wyszedł kilka godzin temu. Powiedział, że jedzie w teren. Powtórzyć coś?

– Niech do mnie zadzwoni, jak tylko wróci.

Olszański odłożył telefon na biurko i z powrotem pochylił głowę nad papierami. Leżały przed nim protokoły przesłuchań i dowody zgromadzone podczas śledztwa w sprawie Wyrzykowskiego. Miał jeszcze tydzień na napisanie postanowienia o umorzeniu sprawy z powodu samobójstwa oskarżonego. Wina Stasiaka nie była oczywista i nie wynikała z dowodów. Same poszlaki. Dlatego niestety trzeba się było teraz silić na kreatywność, żeby napisać to cholerne postanowienie.

Jego wzrok zatrzymał się na jednej z foliowych torebek, które leżały przed nim na biurku. Sięgnął po nią i wyjął małą dyskietkę. Pamięć SD z telefonu „Dziennika Szczecińskiego”. Włożył ją do laptopa i sięgnął po słuchawki.

*

Kompletnie zaskoczeni i przerażeni Dermot z Rupertem dali się zaprowadzić jak owce na główny pokład, gdzie w mesie przebywała pozostała czwórka. Rosjanie wepchnęli obu zdezorientowanych nieszczęśników do mesy i zanim ktokolwiek z tam obecnych zdążył podnieść

krzyk czy wykonać jakikolwiek ruch, rozdzielili się. Dwaj z nich zostali w pomieszczeniu, trzymając na muszce kompletnie oniemiałych pasażerów, a dwaj pozostali weszli na mostek i po chwili wyprowadzili stamtąd Johanna i Billa. Jeden z Rosjan został przy sterach, natomiast trójka jego kompanów stanęła przy drzwiach na pokład, uniemożliwiając komukolwiek opuszczenie mesy. Wszyscy byli tak wstrząśnięci rozwojem wypadków, że zamarli na swoich miejscach – nawet nie przez rozsądek, który właśnie tak nakazywał się zachować w tej sytuacji, ale z zaskoczenia, które kompletnie odebrało im mowę.

Pierwszy odzyskał ją Johann, który jako właściciel jachtu czuł się poniekąd tutaj gospodarzem. Złapał wprawdzie znaczące spojrzenie Billa, który najwyraźniej przekazywał mu, żeby się nie stawiał, ale mimo to zdecydował się odezwać.

– Czego chcecie?

Nie było to zbyt mądre pytanie, a już na pewno nie należało się spodziewać, że porywacze udzielą jakiejś wyczerpującej odpowiedzi, ale jeden z Rosjan, o dziwo, spojrzał na niego i podszedł bliżej.

– Ty jesteś tu szefem? – zapytał po angielsku.

– Jacht należy do mojego ojca.

– Czyli jesteś synalkiem, a nie szefem. – Rosjanin patrzył na Johanna z mieszaniną irytacji i pogardy. Jego ojciec wszystko, co miał, to dwie koszule na grzbiecie, a ten tutaj zasłania się swoim bogatym tatusiem, który dał mu popływać łajbą za co najmniej kilkanaście milionów funtów.

– Czego od nas chcecie? – powtórzył Johann.

– To angielska jednostka – odezwał się Bill. – W ciągu godziny złączą jej szukać wszystkie służby Wielkiej Brytanii. Nie wybraliście najlepszego statku do porwania.

– A kto mówi o porwaniu? – Rosjanin się uśmiechnął. – Chcemy tylko, żebyście nam pomogli. Wydobędziemy to, co nas interesuje, i puścimy was wolno.

– Co wydobędziemy? – Johann ponownie złapał uciszające go spojrzenie Billa.

– Niech zgadnę. – Rosjanin usiadł na sofie naprzeciwko stłoczonych przed

nim pasażerów „Pandory”. – Szukacie U-Boota z Darłowa? Prawda?

Johann spojrzał na Igora i spuścił na chwilę wzrok.

– Skąd macie współrzędne łodzi?

W mesie zapanowała cisza. Rosjanin przejechał wzrokiem po patrzących na niego Anglikach i jednym Polaku.

– I tak się dowiemy. – Uśmiechnął się. – Mamy swoje sposoby. Lepiej powiedzieć po dobroci.

– Nie mamy współrzędnych – odezwał się Igor, patrząc wilkiem na mężczyznę. Poczuł, że rośnie w nim wściekłość. Był oczywiście na tyle rozsądny, by wiedzieć, dokąd może go zaprowadzić zbytnie kozakowanie, niemniej banda bandziorów, która wtargnęła na jacht, budziła w nim najgorsze instynkty.

– *Ty Poliak?* – odezwał się niespodziewanie wielki mężczyzna, który do niedawna jeszcze był podejrzewany o atak wyrostka robaczkowego. – *Ja mówię lepiej po polski niż ty po angielski. Lepiej nam nie kręć.*

– Nie mamy współrzędnych. – Igor zignorował wielkoluda i spojrzał na tego, którego uznał za szefa. – Mamy tylko mapę, na której był umieszczony punkt, określający jej domniemaną lokalizację.

– Więc szukacie po omacku? – Mężczyzna uśmiechnął się i odwrócił do swoich kolegów. – *Oni iszczut w powiazkach na głazach.*

Dwaj mężczyźni roześmiali się głośno.

Igor pochylił się i sięgnął do laptopa.

– *Szto ty diełajesz?* – Jeden z mężczyzn, którzy trzymali w rękach wycelowane uzi, odwrócił się gwałtownie do Igora.

– Chcę ci pokazać mapę. – Igor zamarł z ręką na klawiaturze, patrząc w oczy szefowi bandziorów.

– *Pokaży!* – Rosjanin skinął głową.

Igor odwrócił laptopa. Na ekranie widać było starą mapę nawigacyjną, którą wskanowali przed wyjazdem Pauliny.

– To było w papierach tego starego?

Igor najpierw zmarszczył brwi. Dopiero po chwili skinął głową. Przemknęło mu przez myśl, że nieźle się orientują w wydarzeniach

dotyczących tej sprawy.

– A gdzie reszta tych dokumentów?

Chciał od razu odpowiedzieć, że zabrała je Paulina, ale w porę ugryzł się w język.

– Nie ma ich tutaj.

– Zabrała je ta dziennikarka, prawda? – Rosjanin patrzył na Igora uważnie.

Ten nie odpowiedział.

– To oczywiste. Nie musisz gadać. – Mężczyzna uśmiechnął się kpiąco. – I tak będziemy je mieli. Możliwe, że jeszcze dzisiaj, najpóźniej jutro.

Igor podniósł wzrok i obrzucił Rosjanina podejrzliwym spojrzeniem. Czyżby zamierzali okraść samochód Pauliny gdzieś w drodze? A może po prostu gwizdną go z jakiegoś parkingu, a potem porzucą gdzieś w lesie albo spalą?

Rosjanin pochylił się nad laptopem. Przez chwilę przyglądał się mapie.

– Szukacie w złym miejscu – powiedział, podnosząc wzrok. – Alianci mieli złe informacje. Łódź została tutaj zaatakowana przez amerykańskie samoloty, ale nie zatopiona. Poszła na dno dopiero kilkadziesiąt kilometrów od brzegów Bornholmu. Dzięki torpedzie z naszego statku.

– Znaleźliście ją?

– Tak. – Rosjanin kiwnął głową. – Ale mamy mały problem. I właśnie wy pomożecie nam go rozwiązać. Spadliście nam z nieba. – Uśmiechnął się szeroko, patrząc na słuchających go w milczeniu Anglików.

Igor patrzył przez moment na Rosjanina, a gdy napotkał jego spojrzenie, opuścił wzrok.

*

Olszański ściągnął słuchawki z głowy i przez chwilę wpatrywał się w ścianę. Słuchał tego nagrania dziesiątki razy, usiłując znaleźć w tle dźwięki, które by mogły jakoś pomóc w dochodzeniu. I jak zwykle czuł, że coś przegapił. Coś zwróciło jego uwagę już za pierwszym razem, ale schowało się skutecznie w podświadomości. Intuicyjnie czuł, że to może być

istotne. Wprawdzie pisał właśnie postanowienie o umorzeniu śledztwa i nikomu nie zależało na tym, żeby dalej babrać się w tej sprawie, ale i tak dręczyło go to jak niewyjaśniony fragment zagadki. Sprawa Wyrzykowskiego przypominała mu puzzle, które zostały ułożone na tyle, że już było widać, co jest tematem obrazka i jaka jest jego zasadnicza treść, ale brakowało jakichś drobnych elementów, za którymi ukrywali się drugoplanowi bohaterowie i statyści. Jak na przykład ten Kukła.

Prokurator dałby sobie głowę uciąć, że ów rzezimieszek miał coś wspólnego z włamaniem do Wyrzykowskiego. Możliwe, że obmyślili to i zorganizowali razem ze Stasiakiem, ale coś im nie wyszło. Wyrzykowski wrócił za wcześnie albo znalazł się tam, gdzie nie trzeba. Może chcieli go tylko postraszyć. Tymczasem staruszek umarł, a oni wpadli w popłoch. Nie ma na to żadnych dowodów, nawet poszlak. Jedynym elementem, na którym opierało się postępowanie dowodowe, były rzeczy znalezione u Stasiaka w stodole. Morderca nie żyje, sprawa zamknięta.

A teraz ten masowy grób odkryty w lesie. Czy to rzeczywiście Kukła wrzucił kamień na pokład jachtu? W dodatku z listem do Weber, która nie dość, że korespondowała z Wyrzykowskim i dostała od niego wszystkie te lotnicze dokumenty, to jeszcze sama znalazła zwłoki Stasiaka. W jaki sposób się to wszystko wiąże? Przecież musi.

Olszański spojrział na leżące na biurku szpargały. Sięgnął i przejrzał protokoły z odnalezienia zwłok Wyrzykowskiego, zwłok lotnika w jego piwnicy i zwłok Stasiaka. Strasznie dużo tych zwłok. Trzy oddzielne sprawy. A do tego jeszcze ten Niemiec Schliemann, który pojawił się w domu Wyrzykowskiego, a później niespodziewanie utonął. Czyli czwarta sprawa. Czy istnieje jakiś wspólny mianownik?

Zamknął teczkę z dokumentami i wstał. Dochodziła czternasta i zrobił się głodny. Spóźniony lunch albo wczesny obiad. Pomyślał, że znów zje jakieś byle jakie danie w bufecie na dole, a potem doprawi się wieczorem pizzą. I tak codziennie. Wrzody żołądka murowane za trzy, cztery lata. Może wcześniej nawet. Trzasnął drzwiami i wyszedł na długi, ponury korytarz. Kilka metrów dalej, z jednego z pokoiów biurowych wyszła niska szczupła kobieta. Miała na imię Ewa i pracowała w księgowości. Skinął jej głową i uśmiechnął się. Spojrział z przyjemnością na jej zgrabne nogi. Zauważył, że utyka, a na kostce ma zawiązany bandaż. Racja! Coś na ten temat mówił mu

kolega, z którym spotkali się na dole w barku. Że chyba skręciła kostkę. Na schodach czy gdzieś tam.

Ruszył za nią, patrząc, jak ostrożnie stawia kroki w butach na płaskiej sportowej podeszwie. Zazwyczaj nosiła szpilki. W ciszy korytarza głośno odbijały się, stawiane na granitowej posadzce, kroki ich obojga.

Olszański nagle się zatrzymał i wbił wzrok w oddalającą się kobietę. Po chwili zawrócił, szarpnął klamkę od drzwi swojego gabinetu i wszedł do środka.

*

– Dlaczego mielibyśmy się na to zgodzić? – Johann patrzył ze złością na Rosjanina, który siedząc przy ławie, przeglądał zawartość laptopa Ruperta.

– Przecież i tak mieliście nurkować, prawda? – Mężczyzna uśmiechnął się pod nosem. – Poza tym potrafimy być przekonujący.

Rosjanin podniósł wzrok i spojrzał na Johanna przeciągle.

– Okręt leży na dziewięćdziesięciu metrach. My mamy tylko dwóch dobrych nurków, którzy mogą sobie poradzić na tej głębokości. Pomożecie nam i tyle.

– Co jest na tym okręcie? – Już w chwili zadawania tego pytania Igor uznał, że jest kretyńskie. Dlaczego Rosjanin miałby mu cokolwiek powiedzieć?

Odpowiedź mężczyzny go zaskoczyła.

– Nie wiemy. – Pokręcił głową. – My tylko wykonujemy zlecenie. Nie interesuje nas, co tam jest. Naszą wspólną sprawą jest teraz, żeby to wyciągnąć, a potem będziecie wolni. Nie mamy żadnego interesu w tym, żeby was porwać.

– Już nas porwaliście – rzucił Igor.

– Nie przesadzaj, kochasiu. – Rosjanin się roześmiał. – Nurkujecie i tak dla rozrywki. Obejrzycie sobie teraz zaginionego U-Boota. Zajebista przygoda. Zresztą nawet gdybyście sami coś na nim znaleźli, i tak musielibyście oddać to Danii. Jaka to dla was różnica?

– Dlaczego akurat Danii?

– Okręt leży w duńskiej strefie ekonomicznej.

Rosjanin zamknął laptopa, przesunął spojrzeniem po twarzach pasażerów jachtu i utkwił je w Johannie.

– Kto z was najlepiej nurkuje?

Johann automatycznie spojrzał w kierunku Dermota. To on zawsze dowodził we wszystkich ich wyprawach nurkowych.

– Ja – powiedział szybko, patrząc z wrogością na Rosjanina. Chciał coś jeszcze dodać, ale przerwał mu Dermot.

– Ja mam największe doświadczenie. Reszta posiada tylko podstawowe umiejętności.

– Nie musisz mnie chronić – odezwała się Alice.

Stojący za plecami Sierowa Woronin popatrzył na nią pobłaźliwie i przetłumaczył kilka zdań kolegom. Dwaj mężczyźni, którzy wciąż trzymali wycelowane uzi, parsknęli śmiechem.

– Dżentelmeni – zakpił Sierow.

Alice, niezrażona kpunami i torpedowana wzrokiem przez Dermota, wymieniła kilka głośnych ekspedycji, w których brała udział. Sierow pochylił się nad laptopem i wpisał podane nazwy w wyszukiwarkę. Przez chwilę czytał artykuły na internetowych portalach i przyglądał się zdjęciom.

– To ty jesteś Alice Constance Griffin-Norton? – Podniósł głowę i spojrzał na nią z mimowolnym uznaniem.

Alice skinęła głową.

– No, to jesteśmy w dobrych rękach. – Przez chwilę przyglądał się wszystkim, po czym wstał i wskazał palcem na Billa. – Ty pójdziesz do sterówki. Będziesz wykonywał polecenia naszego kolegi.

Woronin machnął trzymanym przez siebie automatem w kierunku korytarza. Bill oderwał plecy od ściany i bez słowa ruszył przed Rosjaninem na mostek.

– Jeden z nas popłynie z powrotem na kuter. – Sierow zrobił kilka kroków wzdłuż mesy. – Płyniemy do miejsca zatopienia łodzi. Dopóki nie wydamy wam poleceń, będziecie zamknięci. Żeby wybić wam z głowy jakieś bohaterские pomysły, weźmiemy na kuter zakładnika.

Odwrócił się i popatrzył na milczącą grupę. Obrzucił spojrzeniem Igora i Jamiego, po czym zatrzymał wzrok na Gwen, która w tym momencie pobladła.

– Popłyniesz z nim. – Wskazał głową na stojącego przy drzwiach i trzymającego opuszczony w kierunku podłogi automat Saszę.

– Ona nigdzie nie popłynie! – Johann podszedł do Gwen i stanął przed nią. Spojrzał wściekłym wzrokiem na Rosjanina. – Mnie możecie zabrać.

– Jakie to wzruszające – zakpił Sierow. – Ale to ja decyduję, kto popłynie. Ruszaj! – rzucił do bladej jak ściana Gwen. – Nikt ci nic nie robi. Nie możemy wprawdzie księżniczce zapewnić takich luksusów jak na tym liniowcu, ale oddzielna kabina z dobrym zamkiem się znajdzie – parsknął krótkim śmiechem na widok wściekłej miny Johanna.

– *Dawaj!* – Sasza skinął głową w kierunku wyjścia na pokład, patrząc niecierpliwie na kobietę.

Gwen, wciąż blada, ale nadrabiająca miną, puściła rękę Johanna i ruszyła w kierunku oszklonych drzwi.

Chwilę później ponton z Rosjaninem trzymającym ster i skuloną na ławeczce dziewczyną odbił od rufy „Pandory” i powoli zaczął się oddalać w stronę kołyszącego się kilkadziesiąt metrów dalej kutra.

*

Olszański wybrał ponownie numer komendy w Sławnie i czekając na połączenie, bębnił palcami o blat biurka. Jak mógł tego nie skojarzyć? Przecież to się od razu wręcz narzucało. Jeśli okaże się, że Stasiak nie miał żadnych problemów z chodzeniem, to będzie oznaczało, że nie on był mordercą. Kurwa! Wtedy koniec z raportem o zamknięciu sprawy. Pewnie i tak szefowa będzie naciskać, żeby to zrobić, ale to jest ewidentne.

W słuchawce odezwał się głos dyżurnego. Wewnętrzny Matuszka nadal milczał.

– Połącz mnie z kimś od sprawy Stasiaka. Potrzebuję informacji o jego stanie zdrowia.

– Powiesił się – dyżurny zaryzykował żart.

– Bardzo zabawne – warknął Olszański.

Po dłuższej chwili oczekiwania i kolejnym sygnale, który w nieskończoność powtarzał wredny, przerywany dźwięk, odezwał się niski głos.

– Starszy posterunkowy Porębski, słucham.

– Prokurator Olszański. Potrzebuję informacji na temat samobójcy. Stasiak Jarosław. Pan się tym zajmował?

– Tak, pamiętam. Co pana interesuje? Wszystko tam potwierdzało samobójstwo.

– Czy Stasiak kulał?

Przez chwilę w słuchawce panowała cisza. W tle słychać było przerzucanie papierów.

– Tak. Sprawdzaliśmy to. Poza tym czy nie miał przypadkiem jakichś kłopotów psychicznych, raka i takie tam.

– No i?

– Nie miał. Ale kuleć kulał, chociaż to było tylko okresowe. Wiosną miał wypadek. Wylądował w szpitalu w Koszalinie. Powiedział tam, że nadział się na grabie, ale lekarz stwierdził, że jak nic to musiały być wnyki. To był stary kłusownik.

Olszański podziękował i odłożył telefon na biurko. Czyli jednak wszystko jest w porządku. Popatrzył na leżące przed nim papiery, westchnął i wrócił do pisma uzasadniającego umorzenie postępowania.

*

Artiom stał przy sterze na mostku i patrzył na zbliżający się powoli do kutra ponton. Sytuacja trochę zaczęła go przerastać. Jego wytrenowana w marynarce wojskowa karność nakazywała mu wypełniać rozkazy przełożonych i nie zadawać pytań. I za dużo nie myśleć.

Ale to nie byli przełożeni. Sierow był wprawdzie tutaj kapitanem. Okej. Pierwszy po Bogu. Ale to, co robili, to było już piractwo. Za to mogło im grozić długoletnie więzienie albo obóz karny na jakimś wypizdowie. I te ich uzi. Przemycili je w magazynie, pomiędzy workami z prowiantem. Nikt tego

nie sprawdzał. Ludziom w porcie w Darłowie nawet nie chciało się włączyć do wnętrza. Tym bardziej że przecież oficjalnie byli jednostką łotewską. Wszystkie papiery mieli legalne, a Sierow miał nawet podwójne obywatelstwo.

Jak zamierzają załatwić, żeby ci Anglicy nie złożyli później skargi, gdy już ich wypuszczą? Sierow naprawdę wierzył w swój dar przekonywania? Ułożą się jakoś z nimi? Po tym, jak im grozili karabinami?

Artiom szarpnął drzwiczki od sterówki i wyjrzał na zewnątrz. Co za cholera? Z pontonu na pokład kutra wchodziła właśnie szatynka, którą wielokrotnie widział na pokładzie białego jachtu.

Co ten Sierow znowu wymyślił?

*

W mesie panowało ponure milczenie, w którego tle słychać było jedynie miarowy pomruk silników „Pandory”. Rozparty w fotelu przy drzwiach prowadzących na pokład siedział jeden z Rosjan. Szczupły, płowowłosy, z czerwonym nosem. Igor słyszał, że wołają na niego Iwan. Trzymał na kolanach karabin. Igor po raz pierwszy w życiu widział na własne oczy uzi, prawdziwy izraelski karabin maszynowy, osławiony drugoplanowymi rolami w wielu sensacyjnych filmach. Chociaż armia izraelska od kilku lat już się nim nie posługiwała, wciąż – jak widać – był bardzo popularny w świecie przestępczym. Igora zastanawiał kaliber tej sprawy. Zwykli awanturnicy, szukający czegoś na dnie Bałtyku, mieliby może jakieś pistolety, ale uzi? Wprawdzie rosyjscy przestępcy pewnie nie uznawali niczego skromniejszego, jako nieliczącego z ich latami wypracowaną opinią, ale mimo wszystko budziło to niepokój. Ten ich szef wspominał o „papierach tego starego”. Czy to możliwe, że maczali palce w zabójstwie Wyrzykowskiego?

Rosjanie stali w porcie tuż obok „Pandory”. Pewnie śledzili każdy ich krok. Igor pomyślał, że jeśli to rzeczywiście jakaś rosyjska mafia poszukująca tajnej broni nazistów, to ich położenie nie jest najlepsze. Może to ci bandyci podrzucili na pokład kamień? Tylko po co? Żeby wyciągnąć Paulinę? Po co? I tak nie pojechałaby do lasu z teczką dokumentów Wyrzykowskiego, jeśli to o nie chodziło. Zaraz... ktoś się włamał do jej

domku... Teraz to chyba oczywiste kto. A w dokumentach Wyrzykowskiego tylko ta mapa miała jakąś wartość w kontekście zaginionej łodzi podwodnej. Tylko że jeśli oni ją znaleźli, to nie ma już przecież większego znaczenia. Nawet gdyby pod różą wiatrów ukryte były współrzędne, to teraz są już zbyteczne. Nie, zaraz... Nie są!

Igor pomyślał, że zaczyna mieć trudność z poukładaniem wszystkiego w głowie. Usiłował przypomnieć sobie ostatnie akapity pamiętnika Wyrzykowskiego, które miał na fotce w telefonie. Tylko one mogły mieć znaczenie. Przecież czas się nie zgadzał! To o to chodziło! Na szczęście Rosjanie nie grzebali w telefonach. Zarekwirowali wprawdzie wszystkie, podobnie jak laptopy i tablety. Przeszukali twarde dyski, ale nie przyszło im do głowy, żeby sprawdzić zawartość komórek. Jeszcze...

– Co oni z nami zrobią? – spytał cicho Jamie, który siedział obok na sofie. Igor odwrócił się. Napotkał wzrok Johanna, który pewnie też się nad tym zastanawiał, chociaż teraz pewnie bardziej bał się o Gwen.

Igor wzruszył ramionami. Rosjanie byli nieprzewidywalni. Równie dobrze mógł sobie wyobrazić, że faktycznie ich wypuszczą, jak już znajdą to, czego szukają, jak i to, że porywają jacht, a ich wszystkich wywożą gdzieś na wschód. Ślad by po nich tam zaginął.

Kilka lat temu głośna była sprawa porwania na Bałtyku transportowca „Arctic Sea”, który 23 lipca 2009 roku wypłynął z portu Pietarsaari w Finlandii z olbrzymim ładunkiem drewna. Był zarejestrowany na Malcie, a całą jego załogę stanowili Rosjanie. Dzień po wyruszeniu w drogę statek przepadł bez wieści. Igor pamiętał, że tamtego lata pisała o tym większość portali i gazet. Sprawę nazywano pierwszym od XVII wieku pirackim porwaniem statku na Bałtyku. Podejrzewano, że zatonął, że zniknął bez wieści. Niektóre plotkarskie portale ocierały się nawet o bzdury w stylu trójkąta bermudzkiego. „Arctic Sea” znalazł się niespodziewanie miesiąc później czterysta kilometrów od brzegów Wysp Zielonego Przylądka. Został odnaleziony przez rosyjskie służby specjalne i odprowadzony do Rosji, gdzie zatrzymani na statku porywacze trafili do więzień i gdzie rozpoczęło się śledztwo. Prasa w tym momencie straciła zainteresowanie incydem, tymczasem to wówczas dopiero zaczęły się dziać rzeczy niezrozumiałe.

Kilka tygodni po odnalezieniu statku na łamach rosyjskiego portalu

żeglarskiego Sovfracht Maritime Bulletin pojawiła się teoria mówiąca o tym, że statek w rzeczywistości przewoził rakiety S-300 dla Iranu lub Libii, a cała operacja z porwaniem była sfirowana i nadzorowana przez rosyjskie służby specjalne FSB[48]. Wydawca magazynu Michaił Wojtienko niedługo potem otrzymał pogróżki i musiał salwować się ucieczką z kraju. Ośmiu zatrzymanych na statku porywaczy nie przyznało się do winy, a broniąca ich prawniczka Elena Lebiediewa zaginęła bez wieści. Także rodziny porwanej załogi nabrały wody w usta, unikając jakichkolwiek rozmów na ten temat. Porywacze zostali skazani na dwanaście lat robót przymusowych w pozostających pod ścisłą kontrolą FSB łagrach. Tajemnicy „Arctic Sea” nigdy nie wyjaśniono.

Łatwo było sobie wyobrazić, że jeżeli plany jakiejś nazistowskiej broni rzeczywiście istnieją, te bandziory mogą wykorzystać zamieszanie wywołane zaginięciem luksusowego jachtu i pod płaszczykiem tej sprawy wywieźć ładunek do Rosji. Tyle że wtedy „Pandora” raczej się nie odnajdzie. I oni też. Spojrzał dyskretnie na rozwalonego w fotelu Rosjanina, a zaraz potem złowił uważne spojrzenie Johanna, który chyba nie dostrzegł w jego oczach za wiele optymizmu i spuścił wzrok.

*

W pierwszej chwili go nie poznała. Nie wiedziała, jakim jeździ samochodem. Była zdenerwowana i pochłonięta swoimi problemami. Gdy podeszła i nachyliła się do otwartej szyby od strony pasażera, przez głowę przemknęła jej najpierw myśl „skądś go znam”, a dopiero po chwili zorientowała się, z kim ma do czynienia. Uśmiechnęła się, czując częściowo ulgę, a częściowo zawstydzenie, że znalazła się w tak głupiej sytuacji. Mężczyzna zgasił silnik, wysiadł i podszedł do jej micry. Zajrzał pod maskę i przez chwilę oglądał kable wysokiego napięcia i świece, po czym odwrócił się i powiedział, że rzeczywiście mogła zatrzeć silnik. Nic nie poradzi. Gdy westchnęła i sięgnęła po komórkę, żeby wezwać jednak pomoc drogową, zaproponował, że podrzuci ją do Koszalina. Przed samym wjazdem był tam warsztat, własność jego kolegi, który z przyjemnością jej pomoże, odholuje samochód i usunie usterkę. Wahala się tylko przez moment. Pomoc drogową mogła przecież przyjechać nie wiadomo kiedy.

Wsiadła do jego samochodu, zapięła pas i pamięta tylko, że poczuła nagle ukłucie. Niespecjalnie bolesne. Przez chwilę myślała nawet, że to komar lub pszczoła, a potem straciła przytomność.

Rozdział 26

Artiom stał w sterówce i wpatrywał się z niepokojem w drewniany pulpit, na którym pośród kolorowych przycisków błyskały podświetlone zegary kontrolne.

– Płyną za szybko. Ledwie nadążamy.

– Sierow dorwał się na mostek tego potwora, to pewnie nie może się powstrzymać – mruknął stojący po drugiej strony małego pomieszczenia Sasza.

– Tylko żeby się nasza łajba nie rozleciała.

– Nie rozleci. Pływam tu dłużej o kilka lat niż ty. Dobra stara robota.

– Wiesz, że to polski kuter? – Artiom spojrzał na Saszę ze złośliwym uśmiechem.

Sasza pokiwał protekcyjnie głową.

– Aż taki głupi to ja nie jestem. Pewnie, że wiem. Stary B-410. Ale tyle tu części od nas jest, że w zasadzie to już nasz, rosyjski.

– Tak czy siak... – Artiom ponownie zlustrował tablicę – ...płyniemy dwanaście węzłów. Staruszek się strasznie wysila.

– Zajrzeliśmy z Wadimem do maszynowni tej „Pandory” – rozgadał się Sasza. – Dwa potężne diesle. I to nie jakieś tam byle jakie. Każdy ponad dwa tysiące koni. Jak jakaś korweta.

– Moc mocą, ale takie cacka z reguły robią tylko z dwadzieścia węzłów.

– No, ten jest na pewno szybszy. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby i trzydzieści poleciał. Chyba go stary tego lowelasa nieco stuningował.

– Takich łodzi nikt nie tuninguje. Robią je wyłącznie na zamówienie. Pod wymiar. – Artiom wpatrywał się z niepokojem w małą kontrolkę, która zapaliła się po raz trzeci od wyjścia z portu. – Alarm wchodzi na studziencie dziobowej. Czy tam czujnik nie jest uszkodzony?

– Akurat – parsknął Sasza. – Rury mają opaski nieszczelne. Iwan dzisiaj je

naprawiał rano, ale chyba nie zdążył wszystkich obejrzeć.

– Zwalniamy. – Artiom pokręcił głową z niezadowoleniem i sięgnął do jednej z dźwigni. – Poczekaję na nas. Nie będę ryzykował przegrzania silnika.

– Ale ty cykor jesteś... – Sasza wyduł pogardliwie wargi.

– Co z nią? – Artiom w końcu zadał to pytanie. Unikał rozmowy na temat ostatnich wydarzeń. Czuł się bezsilny, a nie chciał tego okazywać w rozmowie z resztą załogi.

– Z księżniczką? – Sasza uśmiechnął się lubieżnie i wzruszył ramionami.
– Nic, a co ma być. Zamknąłem ją w warsztacie maszynowym na dole. Ma tam całkiem wygodnie.

Silnik kutra zmniejszył obroty. Równomierny, głośny terkot starego pięćsetkonnego sulzera przeszedł w wolniejszy i spokojny pomruk.

*

Olszański spojrzał ze złością na podskakujący na blacie telefon. Przełączył dzwonek na wibrację, bo poprzednie połączenie sprawiło, że podskoczył, o mały włos nie strącając kubka z kawą. W dodatku skupiony nad jakimś, pełnym wyjątkowych anakolutów protokołem z przesłuchania sąsiadki Wyrzykowskiego, zapomniał, że miał nie odbierać telefonów z ratusza w Darłowie. Powinni wysyłać policjantów na kursy języka ojczystego.

Przez chwilę patrzył na komórkę, zastanawiając się, czy w ogóle sprawdzać, kto dzwoni. Westchnął, sięgnął po telefon i warknął:

– Słucham!

W słuchawce rozpoznał głos dzielnicowego z Darłowa.

– Zatrzymaliśmy tego Kukłę. Awanturował się u siebie, więc zabraliśmy go na komendę.

Olszański przypomniał sobie, że prosił o telefon, gdy ktoś go w końcu przesłucha. Pomyślał, że i tak wybierał się do Sławna. Wracając, może zajrzeć.

– Będę tam za godzinę. Przetrzymajcie go trochę – rzucił, patrząc na zegar na ścianie.

*

Płynąca z równomierną prędkością „Pandora” zwolniła. Wzburzony kilwáter za jej rufą zagotował się na moment, a zaraz potem na boki rozlały się spokojne, łagodne smugi lekko tylko połechtanej wody. Niebo nad białym jachtem było błękitne od krańca do krańca ogromnego półkolistego sklepienia, które niczym wielki szklany przycisk do papieru nakrywało bezkresną połąć Bałtyku.

– Jesteśmy na miejscu. – Sierow oderwał wzrok od ekranu komputera pokładowego i spojrzał na siedzącego w sąsiednim fotelu Billa. – Pilnuj go – rzucił do stojącego przy drzwiach prowadzących na zewnętrzną galerię Woronina, dźwignął się ze skórzanego fotela i ruszył w kierunku drzwi na korytarz.

Gdy wszedł do mesy, powitało go sześć par oczu, wyrażających całą gamę uczuć, od strachu po zimną złość. Te ostatnie oczy należały do Johanna, który ciągle myślał o przestraszonej Gwen, odpływającej pontonem w kierunku odrapanego kutra.

Sierow, lekceważąc wszystkie rysujące się na twarzach emocje, stanął za sofą i położył ręce na jej oparciu.

– Mielicie nurkować na pięćdziesięciu metrach – powiedział, wodząc wzrokiem po dotychczasowych pasażerach jachtu, których status uległ poważnej degradacji w ciągu ostatnich kilku godzin. – Łódź leży natomiast na głębokości dziewięćdziesięciu dwóch metrów. Musicie ponownie przeliczyć czasy denne i zmienić mieszanki. W pierwszej kolejności zejdzcie na dół trzech nurków. Jeden od nas i dwóch waszych. Na trzydziestu trzech metrach zrobimy depozyt na butle zabezpieczające.

Dermot rzucił porozumiewawcze spojrzenie Johannowi.

– Najpierw chcemy zobaczyć łódź na sonarze. Jak leży i tak dalej. Mamy sonar wysokiej rozdzielczości. Działa całkiem dobrze nawet do trzystu metrów.

– A potem lepiej wypuśćmy ROV-a – odezwała się Alice. – Jeśli zależy wam na czasie, to nie ma po co marnować dwóch godzin i czasu trojga nurków. Sonar i ROV pokażą więcej, niż zdołamy zobaczyć pod wodą w ciągu dziesięciu minut. Zakładam, że chodzi o znalezienie wejścia do

łodzi.

Sierow przez chwilę patrzył bez słowa, po czym kiwnął głową.

*

Artiom uderzył pięścią w tablicę przed sobą. Znowu wszedł alarm na tej cholernej dziobowej studziencie. Czujnik musi być zjebany. To niemożliwe, żeby tak szybko się napełniła. Sasza mówił coś, że Iwan tam grzebał rano. Może po prostu uszkodził czujnik?

– Zejdź na dół i obejrzyj rury przy przedniej studziencie – rzucił, nie odwracając się.

– Znowu alarm? – Sasza spojrzał na Artioma ze zdziwieniem. – Włączyłeś poprzednio pompę?

– Tak.

– To może pompa nie działa?

– Nie filozofuj, tylko zejdź i sprawdź!

Sasza spojrzał na Zetlersa wilkiem. Zeskoczył z wysokiego stołka przy oknie i wyszedł ze sterówki. Artiom wyjrzał za nim przez okno i zobaczył tylko, jak Kowalow znika pod pokładem.

*

Obraz na ekranie przypominał powierzchnię Marsa. Na pokrytej siatką drobnych zmarszczek czerwonawej płaszczyźnie widać było długi kształt, przekrzywiony wyraźnie na jeden z boków i przodem zaryty mocniej w marsjański grunt. Wokół leżało trochę mniejszych przedmiotów, które pewnie oderwały się od kadłuba w wyniku katastrofy.

– Leży na stępce – mruknął Dermot, patrząc z fascynacją w monitor sonaru. – Lekko przekrzywiony na prawą burtę. Jest chyba cały.

– Nie jest. – Sierow wskazał palcem przód okrętu. – Torpeda trafiła w lewą burtę, niszcząc wyrzutnie torped i wyrywając sporą dziurę w siódmej sekcji. Przód okrętu zarył w dno, ale widać tam jeszcze zniszczone kopuły od sonaru niskiej częstotliwości.

– Nurkowaliście już do niego?

– Tak, ale nie mieliśmy czasu go dokładnie obejrzeć. Nie wiemy, czy da się do środka dostać przez dziurę po torpedzie albo czy włazy są otwarte. To będzie wasze zadanie właśnie.

– ROV prześle nam obraz z kamery – odezwała się Alice. – Możliwe, że da się to stwierdzić bez schodzenia na dół.

– Jak na nurka tej klasy masz wyjątkowe opory przed nowym wyzwaniem.
– Sierow spojrział na nią z ironicznym uśmiechem.

– Nurkowanie to jedno, a wpływanie do wnętrza łodzi podwodnej to drugie. Będziemy mieć na sobie duże, osiemnastolitrowe butle z gazem dennym i dodatkowo trzy z dekompresyjnym. Pięć sporych baniaków, którymi można się zaczepić o każdy kawał drutu wewnątrz wąskich korytarzy. Nigdy się nie robi takich rzeczy.

– Butle dekompresyjne zostawicie przy linii opustowej.

Dermot pokręcił głową.

– Za pierwszym razem nurkujemy z całym sprzętem. Depozyt przy linii możemy zrobić, gdy poznamy dobrze obiekt i topografię.

– Okej. Wasza sprawa. – Sierow podniósł ręce.

– Żeby spuścić ROV-a, potrzebuję jednej osoby do pomocy. Konsola sterująca będzie na dole, więc żeby coś zobaczyć, musimy się przenieść na dolny pokład.

– *Ty na kapitanskij mostik! Pozawiosz Wadima!* – Sierow skinął głową do Iwana. Mężczyzna podniósł się ze swojego fotela i ruszył w kierunku mostku. – A wy na dół! Wszyscy!

*

Bill spojrział przeciągle na zbira przybyłego na mostek w miejsce tego zwalistego, wielkiego typu, który irytując go niepomniernie, przez cały prawie czas pogwizdywał prowokacyjnie jakieś ruskie melodie. W pewnej chwili Bill nie wytrzymał, odwrócił się i zapytał, czy nie wie, że gwizdanie na pokładzie sprowadza sztorm. Wielkolud popatrzył na niego złym wzrokiem, mruknął: *nie ponimaju*, czy jakoś tak, i dalej gwizdał te swoje gówniane *Bietyje rozy*.

Ten wyglądał przynajmniej na spokojniejszego. Może będzie siedział cicho. Bill cały czas kombinował, co należy właściwie w tej sytuacji zrobić, ale im dłużej myślał, tym bardziej był pewien, że nie należy robić nic. Każda próba jakiegoś siłowego działania skończy się źle. Piraci mieli uzi. Nie jakieś pistolety, czy coś tam. Uzi! Przez chwilę rozważał szybkie włączenie AIS[49], ale na to raczej nikt nie zwróciłby szczególnej uwagi. Mnóstwo statków pływało bez tego systemu, a poza tym on często zanikał. Lepiej byłoby wysłać SOS. Ale raz, że pewnie ten zbir w jednej chwili by go powstrzymał, a dwa, że on akurat był im najmniej potrzebny. Nie ma co się oszukiwać. Jak przyjdzie co do czego, to jego pierwszego wyrzucą za burtę albo rozwalą tym karabinem. Na pokładzie są dwaj synowie lordów i Gwendolyn Crichton-Stuart! Z tych Crichton-Stuartów! Okup Ruscy dostaną za nich taki, że będą mogli od razu odkupić z powrotem Alaskę od Amerykanów. Pytanie tylko, czy te ruskie bandziory w ogóle orientują się, z kim mają do czynienia. Westchnął i spojrzał na mapę pogody. Miało silniej wiać. I to niedługo. Żaden wiatr w sumie. Czwórka. Ale na dole byli nurkowie. No i w zasadzie nie wiadomo, jakie plany ma ta ruska mafia.

*

W rogu ładowni wygospodarowane było niewielkie miejsce, w którym znajdował się pulpit z monitorami oraz konsola do obsługi zdalnie sterowanego pojazdu podwodnego. ROV był opuszczany na dno na długiej smyczy ciągnących się za nim kabli, umożliwiających sterowanie, zasilanie i przesył danych z kamer. Sam pojazd był urządzeniem wielkości sporego kufra, wyposażonym oprócz dwóch kamer i potężnych reflektorów także w manipulatory z nożycami i chwytakami. Kilkanaście minut wcześniej zanurzył się w Bałtyku i sterowany przez siedzącego przy konsoli Dermota zbliżał się właśnie do wyłaniającego się z ciemności wielkiego, mrocznego kształtu.

Okręt leżał na dnie, lekko przechylony na prawą burtę. Kamera pojazdu podwodnego pokazywała rosnący na monitorze wielki dziób z ogromnymi ciemnymi wnękami po wyrzutniach torped. Dwie z trzech wyrzutni były zniszczone przez torpedę, która trafiła okręt w lewą burtę, niszcząc pokrywy wyrzutni i poszycie całego dziobu. Od najwyższej wnęki ciągnęła się w dół poszarpana rysa, za którą czaiło się w mroku wnętrze okrętu.

– Zbliż się do tego. – Sierow pochylił się nad plecami Dermota.

Pojazd podpłynął bliżej. Przód U-Boota urósł, wypełniając cały ekran. W świetle reflektorów pokazała się ogromna rana z poszarpanymi szponami metalu.

– Nie wpłyniemy tędy. – Alice pokręciła głową. – To samobójstwo. Poza tym dalej pewnie są zapadnięte grodzie.

– To się dopiero okaże – mruknął Sierow. – Płyn dalej. Do włazów.

Dermot pochylił się nad monitorem.

– Nie wiadomo, gdzie Niemcy ulokowali te skrzynie. Na łodziach podwodnych nie było żadnych ładowni. Pomieszczenia na zbiorniki paliwa, baterie, zbiorniki balastowe, torpedownie. Każdy centymetr powierzchni był cenny.

– Dlatego sędzę, że postawili je w przedziałach załogi, w górnej części kadłuba.

ROV płynął wzdłuż ogromnego, opływowego kształtu okrętu, który pokryty osadami przywodził na myśl ciało martwego płetwala błękitnego, największego stworzenia, jakie kiedykolwiek żyło na ziemi.

Dermot pchnął lekko jeden z drążków i pojazd zaczął się powoli wznosić. Po chwili wypłynął ponad cielsko okrętu, a kamery pokazały niewielki, otoczony stalowymi relingami zarośniętymi przez osady i brudną, organiczną pulpę, górny pokład.

Z mroku wyłoniła się najpierw niska, owalna podstawa, na której wciąż, groźnie celując w nieistniejących wrogów, stało przednie działo, a zaraz potem ukazał się wąski niczym płetwa grzbietowa gigantycznego rekina kiosk U-Boota.

Stojąca za Dermotem Alice westchnęła.

– Otwarty.

– Możliwe, że część załogi zdążyła się uratować. A co, jeśli zdołali zabrać ze sobą kufry? – Dermot pochylił się nad ekranem, usiłując zobaczyć szczegóły górnej części nadbudówki.

Sierow wzruszył ramionami.

– Wątpliwe. Przy takich zniszczeniach łódź musiała pójść na dno

błyskawicznie.

– Ja myślałam, że ona dostała pod wodą. – Alice zmarszczyła brwi.

– Prawdopodobnie miała kłopoty z utrzymaniem zanurzenia. Wcześniej przecież oberwała od aliantów. Według relacji załogi rosyjskiego okrętu, który ją trafił, łódź była na powierzchni, gdy dostała torpedą.

Igor, siedząc z tyłu na niskiej ławeczce za Dermotem, przypatrywał się wrakowi U-Boota, którego tylną część pokazywał właśnie przepływający tuż nad lewą burtą ROV.

Coś w kształcie okrętu zwróciło jego uwagę. Te trzy potężne chrapy zniszczonych torpedowni, kształt kiosku... Przypomniawszy sobie niekończące się rozmowy, jakie prowadził z Rafałem Borolą, jednym ze swoich szczecińskich inwestorów, który maniakalnie interesował się wszystkim, co dotyczyło drugiej wojny.

– A to nie jest przypadkiem okręt typu XXI?

Sierow odwrócił się do niego i zmarszczył brwi.

– *Niewozmożno!* – powiedział głośno Woronin, który z wypowiedzianego w języku angielskim zdania zrozumiał ostatnie słowo i to wystarczyło, żeby oderwał plecy od ściany, bezceremonialnie odepchnął Alice i pochylił się nad konsolą ROV-a.

– Okręt poszedł na dno w lipcu – rzekł z namysłem Sierow, patrząc na wyłaniający się z ciemności kadłub łodzi podwodnej. – Wtedy praktycznie nie było ich jeszcze na Bałtyku.

– Były – mruknął Dermot. – Pierwsze wodowano już w maju.

Sierow pokręcił głową.

– Pierwszego XXI zwodowano dwunastego maja, ale został przyjęty do służby dopiero pod koniec czerwca.

– Wcześniej wiele z nich pływało szkoleniowo. Kiedy ten okręt został storpedowany, według waszych danych?

– Trzeciego lipca.

– Zatem teoretycznie mógł to być któryś z już zwodowanych, które pływały jako jednostki szkoleniowe. Dostał prosty w zasadzie rozkaz: zabrać trochę bambetli oraz paru oficerów z Darłowa i przewieźć do zachodnich

portów Niemiec albo gdziekolwiek.

Jamie pochylił się do Igora.

– Co to jest ten typ XXI?

Igor oderwał wzrok od monitora, na którym widać było znowu kiosk łodzi.

– Prawdziwa Wunderwaffe – powiedział cicho. – Tyle że udokumentowana. Najdoskonalsza technicznie łódź podwodna, jaka pojawiła się na morzu, i to włączając długie lata powojenne, aż do skonstruowania łodzi atomowych. Wyprodukowano ich sto osiemnaście, ale przed końcem wojny do prawdziwej służby weszły zaledwie dwie. Reszta nie zdążyła przejść testów technicznych i nie zdążono wyszkolić załóg. Większość, aby nie wpadły w ręce wroga, zatopili sami Niemcy, część została zniszczona przez aliantów, a kilka sztuk przejęli po wojnie alianci i Związek Radziecki.

– A co w nich było takiego nowatorskiego?

– Na przykład prędkość pod wodą. Większość łodzi wówczas nie osiągała w zanurzeniu nawet ośmiu węzłów, co czyniło je łatwym łupem dla niszczycieli. Łódź XXI mogła płynąć z prędkością dziewiętnastu węzłów, i to w dodatku nie wynurzając się przez setki kilometrów. Poza tym osiągała pełne zanurzenie w osiemnaście sekund, a nawet dziewięć w trybie awaryjnym. Gdyby wcześniej weszła do użytku, byłaby prawdziwą Wunderwaffe. Nie do wytopienia i nie do zatopienia przez żaden okręt.

– A w praktyce zatopiły ją gówniane samoloty RAF-u i jakiś zardzewiały ruski patrolowiec.

– *Ej wy tam!* – Woronin odwrócił się do Igora i Jamiego. – *Zakrojtie rot!*

Sierow natomiast popatrzył z namysłem na Jamiego.

– Mógł zostać zatopiony właśnie przez brak wyszkolenia załogi. Pozornie łatwe zadanie dla młodych marynarzy okazało się zbyt trudne. Ten okręt miał zupełnie inną dynamikę ruchu pod wodą, poza tym inaczej się zachowywał na powierzchni, miał ogromny promień skrętu.

– Ale dlaczego akurat ten okręt? – Dermot spojrział z niechęcią na wiszącego wciąż nad jego głową Woronina. – Przypadek?

– Możliwe, że chodziło właśnie o jego zalety. Mógł, praktycznie niezauważony, z ogromną prędkością przepłynąć pod wodą z Darłowa do

jakiegoś dowolnego portu w Niemczech lub Szwecji. To tylko potwierdza teorię, że na jego pokładzie rzeczywiście może być cenny ładunek.

– O ile to w ogóle jest typ XXI – rzekł Dermot, obserwując monitor, na którym kamery pojazdu podwodnego pokazywały poszycie okrętu w dolnej części kadłuba. Wzdłuż lewej burty ciągnęły się liczne wgniecenia i rysy, które powstały prawdopodobnie, gdy okręt zwałił się na dno i być może szorował brzuchem po nierównościach i kamieniach.

– Będziecie zaraz mieli okazję sprawdzić to naocznie – powiedział cicho Sierow.

*

Prokurator Olszański stał oparty o ścianę przy drzwiach i patrzył na siedzącego przy biurku przed dzielnicowym Bolesława Kukłę. Wielki typ – pomyślał. Kukła miał na sobie stare spodnie od dresu i podrabianą bluzę z kapturem z napisem „Nike”. Dzielnicowy rozmawiał z nim już od kilkunastu minut.

– Więc twierdzisz, Kukła, że nic nie wiesz o kamieniu wrzuconym na jacht „Pandora”?

Kukła pokręcił głową.

– Po lesie za Darłowcem za to chodzisz dość często.

– A bo to nie wolno? Las to las.

Dzielnicowy patrzył na Kukłę z rosnącą irytacją.

– I o zwłokach w bagnie też nic nie wiesz?

– A co, pan dzielnicowy twierdzi, że ja zabiłem tych ludzi? Za młody jestem nieco.

– Kukła...

– Każdy u nas wie, że to Ruscy ich zabili. Po co wy mnie o to wypytujecie?

– Kukła, a skąd ty wiesz, że chodzi o ludzi? Ja cię pytałem tylko o zwłoki.

Olszański westchnął. Było oczywiste, że siedzący z niewinną miną rzezimieszek dobrze wie o masowym grobie. Zastanawiające było tylko, dlaczego nie chce się do tego przyznać.

– E tam. Wszyscy o tym gadają od lat. Ruskie zabili sześćdziesięciu Polaków...

– To IPN będzie dochodził, kto kogo zabił, nie ty...

– IPN to może mnie w dupę pocałować. Trzy razy się za to zabierali.

Dzielnicowy westchnął i spojrzął w papiery na biurku.

– A co robiłeś wczoraj wieczorem? Między dziewiętnastą a dwudziestą?

– Byłem w domu. Matka potwierdzi.

– Twoja matka potwierdzi, nawet jak zapytam, czy jesteś papieżem.

Kukła wzruszył ramionami.

– Panie dzielnicowy, ale ja to podejrzany jestem o coś? Albo co?

Dzielnicowy podniósł wzrok i spojrzął na mężczyznę wilkiem.

– Może ktoś mnie widział albo co?

– Ty lepiej, Kukła, nie przeginaj.

– No to ja rozumię, że wolny jestem? Skoro nic na mnie nie ma?

– Zawsze możemy cię zamknąć na dwadzieścia cztery godziny.

– A proszę bardzo. – Kukła parsknął i uśmiechnął się bezczelnie do dzielnicowego. – Przynajmniej dzisiaj zrzędzenia matki nie będę musiał słuchać.

Olszański oderwał plecy od ściany przy drzwiach i podszedł do okna za biurkiem dzielnicowego.

– Co pan robił we wtorek, ósmego września, pod domem Wyrzykowskiego? – spytał.

– We wtorek? Ósmego? – Kukła spojrzął na niego zaskoczony.

Olszański widział, że mężczyzna usiłuje zyskać na czasie, nie bardzo wiedząc, do czego zmierza prokurator.

– Dokładnie. Widział pana Marek Wyrzykowski. Przyjechał we wtorek rano do Dąbek.

Kukła przez krótki moment miał rozbiegany wzrok. Po chwili jednak spojrzął na Olszańskiego, tak jakby się nad czymś zastanawiał.

– We wtorek rano?

Prokurator pokiwał głową.

Kukła machnął w końcu ręką od niechcenia.

– Zobaczyc podjechałem. W Dąbkach to chyba żadnego morderstwa nigdy nie było. No i Jara Stasiaka szukałem.

Olszański pomyślał, że ostatnie to może i prawda. Tylko że we wtorek nikt oficjalnie nie powiedział jeszcze, że to było morderstwo. Albo Kukli się mieszało, albo kłamał.

I ten rozbiegany wzrok, gdy spytał go o to, co robił we wtorek. Jakoś dziwnie spojrzał.

*

Sasza szarpnął ciężkie metalowe drzwi prowadzące pod pokład i zeskakując po trzy stopnie, zbiegł na dół. Wszedł do ładowni i ruszył na dziób. Od razu zauważył, że pod ażurowymi płytami na podłodze stoi woda. Zmarszczył brwi. Było jej dużo więcej niż dwie godziny temu, gdy sprawdzał za pierwszym razem, jak Zetlers zaczął się niepokoić. Podeszedł do miejsca, w którym pod rurami widać było ciemną, wypełnioną brudną wodą studzienkę zęzową. Pochylił się i postukał pięścią w rękawicy w zardzewiałą rurę do wypompowywania wody. Może Zetlers po prostu nie włączył pompy? Głędził, że za szybko płyniemy, i zapomniał. Spojrzał w bok na przewody, które biegły przez całą ładownię do tyłu, do komory silnikowej. Dwie owinięte na nich opaski były w miarę szczelne. Trzecia, najbliższej dziobu, przeciekała dość mocno, ale też nie na tyle, żeby robić z tego powodu panikę. Może po prostu przy dużej prędkości, przy bocznych uderzeniach fal, trochę bardziej z niej pociekło?

Nagle poczuł, że kuter, który do tej pory dryfował na falach, drgnął, a silnik za jego plecami zaterkotał miarowo. Płyniemy? Odwrócił się i ruszył z powrotem na pokład.

*

Dermot i Alice stali obok siebie na rufie i sprawdzali sobie nawzajem cały sprzęt. Czy aparaty oddechowe mają podpięte do właściwych butli. Czy każde z nich ma butle dekompresyjne, uprząże i pozostały sprzęt dobrze

zamocowany. Sprawdzali zamocowane na nadgarstkach tabliczki do pisania pod wodą i dane przyjęte w komputerkach na rękach.

Woronin miał zejść pod wodę z kutra. Tam Rosjanie mieli swój cały sprzęt. Wcześniej kuter został wezwany, żeby podpłynął bliżej „Pandory”, i teraz kołysał się na falach w odległości jakichś dwudziestu, trzydziestu metrów.

– Czas denny piętnaście minut, schodzimy na dół jak najszybciej, cztery, pięć minut – Dermot powtarzał wszystkie wcześniejsze ustalenia jak mantrę.

– Gaz na dnie trimix. – Alice dotknęła dwóch butli na plecach. – Dekompresja dwie godziny.

– Całe nurkowanie sto trzydzieści minut.

– Gaz dekompresyjny, najpierw nitrox trzydzieści sześć. – Alice sięgnęła do uprząży na lewym boku, na którym miała umocowaną żółtą butlę.

– Potem nitrox osiemdziesiąt dwa. – Dermot kiwnął głową i dotknął drugiej butli przy swojej uprząży.

– Płyniemy do łodzi, oglądamy wyrwę przy lukach torpedowych, a potem płyniemy do wjazdu głównego.

– Cały czas w zasięgu wzroku. – Alice zapięła manszety rękawic i sięgnęła po ustnik. – Żadnych indywidualnych projektów.

– Rozkaz! – Dermot uśmiechnął się i włożył aparat oddechowy do ust.

Po chwili Alice zeskoczyła z rufy „Pandory” do wody, a zaraz za nią zrobił to Dermot. Woronin siedział w pontonie, który kołysał się obok bojki liny opustowej. Przechylił się do tyłu, wypadł prosto na plecy i zniknął pod wodą.

*

Artiom stał na zewnętrznej galerijce przy mostku i patrzył, jak Sasza podpływa pontonem do burty kutra. Stan morza pogorszył się wyraźnie w ciągu ostatniej godziny. Panująca przez cały dzień flauta zmieniła się w łagodny wiaterek, który jednak z każdą minutą stawał się mocniejszy. Prognozy nie zapowiadały wprowadzić jakichś większych problemów, ale miała wiać nawet czwórka. Pomyślał, że do tej pory spokojnie zdążą wyjść

na powierzchnię, ale potem może być gorzej z nurkowaniem. Spojrzał w okno. Sasza gramolił się po drabince z pontonu. Gdy Kowalow był już na pokładzie, Artiom wszedł z powrotem na mostek i stanął nad pulpitem. Zdążył pomyśleć, że może rzeczywiście poprzednio nie włączył pompy, może faktycznie się na coś zagapił, gdy koszmarny wskaźnik studzienki zęzowej na dziobie znowu zaczął pulsować czerwonym światłem.

Szlag żeby to trafił! To już przestało być zabawne. Szarpnął drzwi i wychylił się przez barierkę. Na szczęście Sasza nie zdążył jeszcze opuścić pokładu.

– Zejdź do ładowni! – krzyknął.

– Co jest znowu? – Sasza zadarł głowę.

– Znowu to samo!

– Ja pierdole! – Kowalow dopadł ciężkich drzwi prowadzących pod pokład i zniknął we wnętrzu kutra.

Rozdział 27

Czas denny – czwarta minuta

Lina opustowa opadała na dno bardzo blisko wraku. Z głębokości osiemdziesięciu metrów było już widać wielki kształt martwego okrętu. Ze środka kadłuba wyłaniała się nadbudówka ze sterczącymi resztkami anten, oplecionymi teraz fragmentami porwanych sieci i poruszonymi przez prąd osadami.

Dermot podniósł kciuk, pokazując Alice, że wszystko jest w porządku. Wskazał ręką, że popłynie pierwszy. Rosjanin go nie interesował. Nie miał zamiaru czuwać nad bezpieczeństwem bandziora. Zdawał sobie sprawę, że nurkowanie to praca zespołowa i powinien się przełamać dla dobra ich wszystkich, ale szlag go trafiał na samą myśl o tym, że Gwen siedzi zamknięta w jakiejś brudnej norze na kutrze tych bandytów, a oni muszą wykonywać rozkazy tej ruskiej mafii. Wierzgnął mocniej płetwami i po chwili zobaczył, jak wyrasta przed nim spiczasty dziób U-Boota. Wrak był ogromny. Łódź miała na oko prawie osiemdziesiąt metrów długości. Pamiętał z opisów, że XXI miał siedemdziesiąt siedem, więc to by się zgadzało.

Powoli opłynął pochylonego kolosa i wzdłuż lewego boku począł zmierzać w stronę mroczniejącej w lewej burcie wyrwy w miejscu uderzenia torpedy. Na głębokości dziewięćdziesięciu metrów panował kompletny czarny mrok. Z powierzchni morza, gdzie o tej porze świeciło słońce, nie dochodził tu żaden promień światła. Wrak U-Boota wyłaniał się z tego mroku oświetlany jedynie latarkami, jakie mieli ze sobą. Luki torpedowe, z których pod wpływem wybuchu odpadły osłony, ziały ciemnymi wnętrzami, gdzie być może spoczywały jeszcze torpedy. Od najwyższego działa prowadziła w dół ogromna wyrwa. Dermot podpłynął powoli do jej brzegu. Metal poszycia był porozdzierany i wyglądał jak zęby piły mechanicznej. We wnętrzu kłębiła się masa pociętego żelastwa. Powoli zaczął opadać w dół kadłuba, wiodąc latarką wzdłuż wielkiej, śmiertelnej dla U-Boota rany. Wszędzie było podobnie. Dostanie się do wnętrza okrętu tą

drogą było niemożliwe. Odwrócił się i zobaczył podpływającą właśnie Alice. Skinęła głową, pokazała dziurę w kadłubie łodzi i przejechała ręką po szyi.

*

Sasza wiedział, że nie jest dobrze, gdy tylko stanął na podłodze dolnego pokładu. Woda, która zazwyczaj chlupotała co najwyżej pod stalowym gretingiem, stała już powyżej krat podłogowych. Rzucił się w kierunku dziobu i zobaczył, jak z rury, tuż obok przedniej studzienki, wypływa spieniona, bulgocząca fontanna. Wody przybywało z każdą sekundą.

Podbiegł do zardzewiałej instalacji i nie przejmując się tym, że po chwili był cały mokry, pochylił się nad bulgoczącym odcinkiem rury. Obejma od strony pokładu nie wytrzymała. Była odgięta, a opaska pod nią pod wpływem ciśnienia zamieniła się w luźno zwisającą mokrą szmatę. Chwycił za stalowy kawał blachy i spróbował przygiąć go z powrotem, ale dziura była zbyt duża. Przerdzewiały fragment musiał puścić na sporym odcinku. Spojrzał za siebie. Woda zaczynała przelewać się przez próg i wlewać do komory silnika. Jeśli zaleje silnik, to będzie koniec!

Poderwał się i biegiem rzucił do schodków na górę. Artiom musi włączyć pompę. Przemknęło mu przez głowę, że założyć bandaż przy takiej ilości wody będzie cholernie ciężko.

*

Czas denny – dziesiąta minuta

Płynęli powoli przy lewej burcie łodzi, mijając pokryte osadami potężne płachty gładkiego metalu, połączone prawie niewidocznymi spawami. U-Boot wyglądał jak wielki martwy, zabalsamowany wieloryb, spoczywający od lat na dnie morza. Alice pomyślała, że naruszają teraz jego spokój, oświetlając go długimi promieniami sztucznego światła latarek. Na dnie dookoła leżały drobne części, które oderwały się od kadłuba, gdy łódź pogrążyła się w toni. Fragmenty anten, jakieś zewnętrzne urządzenia i beczki, które wyglądały jak wielkie kanistry na farbę czy inne chemikalia. Alice podążyła wzrokiem w bok, oświetlając dno. Beczek było kilka i leżały

w pewnej odległości od U-Boota. Zastanawiała się przez chwilę, do czego mogły służyć. Może wypadły z wnętrza po tym, jak torpeda wyrwała w kadłubie okrętu wielką dziurę na dziobie?

Odwróciła się z powrotem w kierunku łodzi. Dermot odpłynął na kilka metrów i widziała światło jego latarki, myszkujące po wielkim ciemnym cielsku okrętu. Machnęła płetwami i po chwili była tuż za nim. Na moment złowiła jego spojrzenie za okularami maski. Pomijając cały kontekst sytuacji z bandziorami na pokładzie „Pandory”, nurkowanie przy zatopionym U-Boocie było fascynujące. To nie to samo, co oglądanie turystycznych wraków, do których schodzą dziesiątki ekip każdego roku, żeby przez moment otrzeć się o kontrolowane niebezpieczeństwo i zasmakować przygody. Do tej łodzi nikt nie schodził od czasów wojny! Leżała tutaj przez dziesiątki lat, pogrążona w całkowitej ciemności, skrywając ładunek, który być może stanowi jakąś mroczną nazistowską tajemnicę.

Dermot zatrzymał się przy boku okrętu, przejechał snopem światła po wgnieceniach na porośniętym osadami pancерzu i podniósł głowę do góry. Po chwili zaczął płynąć wzdłuż obłego kadłuba ku górze. Alice popłynęła za nim. Kilka metrów wyżej znaleźli się u spodu wyrastającego ze środka łodzi kiosku. Miał ponad trzy metry wysokości i bardzo wąski opływowy kształt. Na jego szczycie z obu stron, wzdłuż głównej osi okrętu, ulokowane były niegdyś działa. Tylne jakimś cudem się zachowało i wciąż celowało w mrok głębin. Alice pomyślała, że niecałą godzinę temu oglądała ten sam obraz na ekranie monitora ROV-a, a teraz znalazła się w samym jego środku. Jakby trafiła wprost na plan filmu sensacyjnego. Nurkowała już tak długo, że powinno to być dla niej rutyną, a mimo to, za każdym razem, miała wrażenie, że styka się z magią.

Powoli opłynęła nadbudówkę dookoła i uniosła się do góry. Przed jej oczami wyrósł otwarty właz. Machnęła płetwami jeszcze raz i znalazła się u wlotu do wnętrza okrętu. Podniosła głowę i spotkała wzrok Dermota. Chyba czuli to samo. Zejście do środka przypominało zejście do studzienki ulicznej. Długi owalny tunel z przyczepioną po boku drabinką. Miało może metr średnicy. Podpłynęła bliżej, złapała za brzeg włazu i zajrzała w głąb jak do studni. Wewnątrz, poniżej czterech metrów prostego odcinka, czaił się niezbadany mrok zatopionej w ciemności łodzi podwodnej.

Wpłynięcie tam nie było niemożliwe, ale potwornie ryzykowne. Stanowiło

dokładnie to, czego nigdy nie należało robić. Zupełnie nieznaną przestrzeń, wypełnioną być może mnóstwem poodrywanych ostrych drutów, fragmentów blachy, poplątanych kabli. Możliwe, że pływały tam także uwięzione w resztkach nazistowskich mundurów zwłoki. Wzdrygnęła się i spojrzała w bok. Właśnie podpłynął do nich Rosjanin i także zajrzał do wnętrza. Po ruchach, sposobie poruszania się przy dnie, pływalności Alice oceniała wysoko wykszolenie mężczyzny. Jego ograniczeniem były tylko gabaryty. Podobnie zresztą jak Dermota. Gdyby ktokolwiek z ich trójki miał wpłynąć do wnętrza U-Bootu, to tylko ona. Miała najlepsze do tego warunki. Umiejętności zresztą też. Bez fałszywej skromności.

Spojrzała ponownie w głąb wraku. I pomyślała, że coś jeszcze było od razu oczywiste. Nie da rady wpłynąć tam z całym sprzętem. Butle dekompresyjne z nitroxem musiałyby zostać przy linii opustowej. Kolejne złamanie zasad bezpieczeństwa. Nieznana lokacja, kompletna ciemność. Wystarczyło oddalić się na kilka metrów, stracić orientację i zostać na dnie bez gazu potrzebnego do wynurzenia. Potworna śmierć sto metrów pod powierzchnią morza.

*

„Zaria” kołysała się na falach. Na tle dryfującej nieopodal dwa razy większej „Pandory”, która lśniła w słońcu bielą burt i srebrem relingów ze stali nierdzewnej, kuter ze swoimi porzewiałymi burtami, łuszczącą się zieloną farbą i linami, które oplatały tylny most bramowy, wyglądał jak kupa stalowego nieszczęścia. Morze po południu ożyło i na nieskazitelnej do tej pory powierzchni pojawiły się dłuższe fale o spienionych wierzchołkach, które zaczęły się łagodnie łamać, wywołując charakterystyczny szum.

Artiom sięgnął do jednej z dźwigni i złapał za koło sterowe. Silnik kutra zaterkotał, a łódź powoli zaczęła się ustawiać dziobem do fal. Czerwona lampka alarmu ze studzienki dziobowej zapaliła się prawie równocześnie. Na tym jednak nie skończyło się tym razem. Złowieszczo zamrugła kolejna lampka, a zaraz po niej jeszcze jedna.

I zawył alarm.

Zęza rufowa i komora silnika. Artiom na chwilę zastygł w bezruchu, wpatrując się w pulpit.

Odwrócił się, gdy ktoś szarpnął za drzwi. W progu, trzymając w rękach stalowy kufer z narzędziami, stał całkiem mokry Sasza.

– Włącz pompę! – krzyknął. – W ładowni jest wody od zajebania! Poszła jedna opaska na rurach! Spróbuję to jakoś załatać.

– Kurwa! – Artiom spojrzał na barometr. – Akurat teraz, jak zaczyna mocniej wiać.

– Wlewa się do komory! Za chwilę będziesz musiał zgasić silnik!

Sasza trzasnął drzwiami i zbiegł na pokład. Dopadł do drzwi i zeskoczył po wąskich, drabiniastych stopniach na sam dół. Prawie w tym samym momencie, gdy wpadł do ładowni, zobaczył, jak stalowa rura pęka, a woda zaczyna tryskać z niej z bulgotem na podłogę.

Gwen siedziała na wąskiej pryczy, obejmując rękami nogi i trzymając brodę na kolanach. Bała się. Tym bardziej że nie wiedziała, co się dzieje na jachcie. Karabiny maszynowe w rękach tych bandziorów ją przeraziły. Nigdy nawet nie przyszło jej do głowy, że mogłaby się znaleźć w takiej sytuacji. Pomyślała, że chyba żyła pod kloszem, zamknięta w bezpiecznym świecie, w którym nic nie mogło jej zagrozić. Oczywiście widziała na co dzień systemy zabezpieczające i monitoringi w biurowcu ojca albo dyskretnych, eleganckich ochroniarzy w zamku swojego wuja w Szkocji, ale zawsze wydawało jej się to nieodłącznym elementem świata, który ją otaczał. Bez praktycznego znaczenia w gruncie rzeczy. Teraz właśnie docierało do niej, że dla niektórych jej głowa ma konkretną, wyliczalną wartość materialną. Słyszała o porwaniach statków dla okupów i nie wierzyła w to, że Rosjanie zechcą ich ot tak wypuścić. Nie po tym przecież, jak grozili im karabinami maszynowymi.

Drgnęła, usłyszawszy dziwny dźwięk za ścianą. Szum, który przybierał na sile. Słuchając uderzeń fal o burty kutra, domyślała się, że wiatr się wzmógł. Ale ten dźwięk był inny od zwyczajnego szumu morza. Wstała i podeszła do drzwi. Szarpnęła za klamkę, zupełnie beznadziejnym gestem, bo przecież piętnaście minut temu też były zamknięte. Już miała odejść, z powrotem wrócić na drewnianą pryczę i zająć się odpędzaniem szarańczy mrocznych

myśli, gdy spojrzała pod nogi i zobaczyła coś, co sprawiło, że żołądek podszedł jej do gardła. Spod drzwi do kabiny strumieniem wlewała się woda.

Gdy Sasza dobrnął do końca ładowni, podłoga była już zalana wodą, która sięgała mu powyżej kostek. I cały czas jej przybywało. Ukucnął przy rozdartej rurze i sięgnął do skrzynki z narzędziami, wyjmując z niej zestaw naprawczy – opaskę z materiału izolacyjnego z preparatem, który twardniał pod wpływem temperatury. Złapał dwa końce blachy i ściągnął je tak mocno, jak na to pozwoliła wypływająca ciągle woda. Uklęknął na stalowych płytach podłogi, czując, że zimno zalewa mu nogi i sięga pasa. Założył opaskę i zaczął ściągać mocno oba jej końce, gdy nagle usłyszał dziwny dźwięk.

Dochodzący z sąsiedniego pomieszczenia miarowy, dieslowski rytm nagle się zmienił. Zwolnił, a potem słychać było tylko powtarzający się głuchy odgłos. I wreszcie ciche rżenie.

Sasza struchlał. Silnik się zakrzuszył!

Poderwał się i dopadł drzwi do komory silnikowej. Zajrzał do środka. Woda stała wokół podestu, na którym zamontowany był silnik, obmywając już dół starego motoru.

Zaklął i wskoczył na wąskie schody. Gdy znalazł się na pokładzie, poczuł, jak kuter, który do tej pory utrzymywał się dziobem do nacierających fal, powoli przechyliła się na bok, a w jego prawą burtę zaczynają uderzać masy spienionej morskiej wody.

*

Czas denny – piętnasta minuta

Długi korpus łodzi podwodnej ginął w mroku. Dermot spojrzał na komputer na ręce. Zostało im pięć minut na dnie. Nie zdążą dopłynąć do rufy okrętu i wrócić do liny opustowej. Właściwie już teraz powinni zawrócić i kierować się wzdłuż burt do dziobu U-Boota. Lina znajdowała się kilka metrów od dziobu okrętu, miała zamocowane błyskacze – małe reflektorki LED, dzięki którym można było ją łatwo znaleźć. Trafia do niej jak po sznurku. Odwrócił się i wskazał palcem, żeby zawracać. Woronin spojrzał na

swój komputer na nadgarstku, bez słowa zawrócił i popłynął nad górnym pokładem łodzi. Alice kiwnęła głową i odpłynęła lekko na bok, przepuszczając Dermota przed sobą.

Płynęli tuż przy burcie okrętu, a oświetlone latarkami fragmenty wynurzały się stopniowo z mroku i ginęły za nimi w ciemności. Po chwili ukazały się pierwsze poranione przez torpedę elementy poszycia, a zaraz potem wyłoniła się z mroku wielka, poszarpana dziura. Dziób okrętu wznosił się nad dnem niczym masyw skalny. Dermot zwolnił i zatrzymał się przy rozdarciu kadłuba. Zbliżył się do środka i skierował do wnętrza promień latarki. Alice po chwili zrównała się z nim, zatrzymała i podążając za wzrokiem Dermota, spojrzała w głąb wraku.

Poprzez odcinające się jasnymi odbiciami strzępy poszarpanej stali widać było mrok ładowni, a w głębi długi, chropowaty i pokryty osadami kształt. Dermot podniósł rękę, sięgnął do nadgarstka i napisał coś na tabliczce do komunikowania się pod wodą. Podsunął dłoń przed oczy Alice. Na małym prostokącie widniało jedno słowo: „torpeda”. Alice pokiwała głową. Przez chwilę patrzyli do wnętrza wraku. Dermot pierwszy machnął płetwami i za moment dotarł do krańca dziobu.

Alice płynęła zaraz za nim. Jej latarka wydobywała z ciemności różne kształty zalegające dno. Tuż za dziobem na gładkim piaszczystym dnie spostrzegła te same beczki, które widziała wcześniej przy burcie na wysokości kiosku. Leżało ich tutaj kilkanaście, a gdy podpłynęła bliżej, zobaczyła, że jest ich jeszcze więcej. Zmarszczyła brwi, zastanawiając się, co to może być. Wyprzedzający ją o kilka metrów Dermot odwrócił się, zawisł na moment nieruchomo w toni i powiódł wzrokiem za snopem światła jej latarki. Gdy zbliżyła się do niego, zobaczyła, że ma szeroko otwarte oczy. Pochylił się nad tabliczką i zaczął znowu pisać. Alice, zaintrygowana, podpłynęła i czekała, aż skończy. Po chwili podsunął jej przed oczy tabliczkę. Spojrzała i poczuła, że ciarki przechodzą jej po plecach.

*

Artiom patrzył na jarzącą się alarmowymi kontrolkami tablicę jak oniemiały. Stan morza nie był jakoś wyjątkowo zły. Fale miały najwyżej półtora metra wysokości, zaczynała wiać czwórka – jednym słowem, to nie

była nawet w niewielkim stopniu sytuacja, z którą zwyczajny kuter nie mógłby sobie poradzić. Kutry rybackie pokonywały morze nawet przy dziewiątce i nic się nie działo. Gdy jednak zawiedzie silnik, łódź staje się bezbronna nawet wobec niewielkich kiwnięć. Artiom patrzył więc szeroko otwartymi oczami na alarm o awarii silnika, a zaraz potem usłyszał, jak stary diesel zakrztusił się i zaczął miarowo stękać. Przez okno zobaczył, że spod pokładu wypada całkiem mokry Sasza i macha do niego rękami. Sięgnął do jednej z dźwigni, chcąc wyłączyć silnik, gdy usłyszał, że nagle zapadła cisza. Do wnętrza sterówki dochodził tylko szum wiatru i przelewających się pod burtami fal. I nagle tę ciszę przerwał głośny łoskot rozrywającej się skrzyni biegów silnika, który wstrząsnął pokładem, a zaraz potem kuter przechylił się na prawą burtę, zaś jego dziób skłonił się nad powierzchnią morza.

Sasza na głuchy odgłos krztuszącego się, zalewanego wodą silnika zatrzymał się w połowie drogi na mostek. Poczł pod nogami, jak łódź przechyla się kilka stopni na prawo, i przypomniał sobie w tym momencie o przywiązanej do burty pontonie. Rzucił się na rufę, gdzie przy drabince kołysała się łódka, i obejrzał w kierunku sterówki. Co ten Zetlers tam robi?

Przez moment pomyślał o tym, żeby zejść pod pokład i zabrać swoje rzeczy, ale w zasadzie nie miał tam nic cennego. Obrócił się ponownie w kierunku sterówki i zobaczył, jak zza jej narożnika wypada Artiom i biegnie w jego stronę.

– Cały sprzęt w ładowni jest pod wodą! Kombinezony, butle, lance, kable! Musimy to zabrać!

Sasza energicznie pokręcił głową.

– Nie zdążymy. Jest tego za dużo.

– Stary nas zabije!

Wyższa fala pchnęła nagle kuter na bok, a woda z chlupotem wdarła się na pokład od strony prawej burty. Dziób łodzi pochylił się mocniej nad powierzchnią morza, po czym kolejna fala zalała go całkowicie.

Sasza wychylił się przez burtę i chwycił linę, na której końcu podrygiwał ponton.

Artiom nagle spojrział za siebie, po czym złapał za reling, usiłując

utrzymać równowagę na mokrym, przechylonym pokładzie.

– Co z dziewczyną? – krzyknął, patrząc na przyciągającego ponton Saszę.

– A co mnie obchodzi dziewczyna!

– Pierdolnięty jesteś? – Artiom popatrzył na niego z niedowierzaniem i rzucił się w kierunku zejścia pod pokład.

– Zostaw ją! – Sasza okręcił linę wokół dłoni i zaczął przyciągać ponton do burty. – Zaraz dziób będzie pod wodą!

– Trzeba ją uwolnić! Klucz od kabiny! Gdzie go masz!

– Został w sterówce. Nie zdążysz!

– Zdążę! – Artiom ruszył biegiem w stronę mostku.

– Nie będę na ciebie czekał! – krzyknął za nim Sasza. – Stary i tak ma zamiar się ich pozbyć.

Artiom zatrzymał się w miejscu.

Kowalow odwrócił się w stronę pokładu i w tym momencie dostał cios pięścią w twarz. Poleciał na reling i ześlizgnął się po mokrej burcie na deski. Spojrzał na Zetlersa z wściekłością.

– Jak nie poczekaś tutaj z tym pontonem, to i tak dostanę się na jacht i cię zabiję! – Artiom patrzył na Kowalowa z zimną furią.

Coś w jego wzroku kazało Saszy zaniechać dalszego sporu. Artiom odwrócił się i łapiąc się lin i relingu, pobiegł w kierunku sterówki.

Kuter coraz bardziej przechylał się na prawą burtę. Woda wdzierła się na pokład, zalewając schody i korytarz, który prowadził do kajut załogi. Płynęła po stalowej podłodze i przez szpary pod drzwiami wlewała się do przylegających do sterburty kabin, jeszcze bardziej obciążając przechylony kadłub. Wybuch rozerwał część komory silnika, uszkodził także rury doprowadzające wodę do chłodzenia, z których lało się teraz pod pokład.

Warsztat na dolnym pokładzie, w którym zamknięta została Gwen, był z tej feralnej strony, toteż spod szpary pod drzwiami wdzierało się swoimi mackami morze. Przez maleńki iluminator widać było coraz bliższą jego powierzchnię. Jeszcze chwila i woda go zaleje.

Gwen szarpała za drzwi od dobrych kilku minut. Usiłowała je czymś podważyć, ale z rzeczy, które od biedy by się do tego nadawały, dostrzegła tylko listwę przy stole warsztatowym. Strach dodał Gwen tyle energii, że zdołała ją jakoś oderwać. Drzwi jednak ani drgnęły. Poślizgnęła się i przejechała po mokrej podłodze wprost do wody, która zgromadziła się już pod ścianą, zalewając całą jedną stronę pomieszczenia. Podniosła się i czepiając się przymocowanego do podłogi stołu i obudowy ścian, dotarła z powrotem pod drzwi. Trzymając się jedną ręką załomu w ścianie, drugą zaczęła uderzać z całej siły w gładką, drewnianą powierzchnię.

Z przerażeniem pomyślała, że chyba o niej zapomnieli. Albo, co bardziej prawdopodobne, nie próbowali nawet ratować. Zaczęła krzyczeć, ile miała sił w płucach, i walić aż do bólu pięścią w drzwi. W pewnej chwili odwróciła się i z desperacką nadzieją spojrzała na bulaj. Może tamtędy uda się jej wydostać. Średnica okienka nie pozostawiała jednak co do tego złudzeń.

Nagle wydało jej się, że usłyszała coś na korytarzu. Jakby chlupot czegoś, co przesunęło się w poprzek zalanego pomieszczenia. Nasłuchiwała przez chwilę i znowu dotarł do niej jakiś dźwięk. Zaczęła ponownie krzyczeć i łomotać w drewniane odrzwia.

Niebawem w zamku rozległ się chrobot. Gwen, którą ulga doprowadziła niemalże do omdlenia, odsunęła się, usiłując utrzymać równowagę na śliskiej podłodze. Drzwi drgnęły i po chwili otworzyły się do wnętrza kabiny, wpuszczając do niej masę wody, która przelała się do środka niczym przzerwana niewielka tama.

– *Dawaj!* – Artiom, trzymając się framugi, machnął ręką w kierunku Gwen.

Przez moment patrzyła na niego sparaliżowana jeszcze strachem, po czym rzuciła się na zewnątrz i zaczęła przedzierać przez korytarz w kierunku schodków na pokład. Mężczyzna był tuż za nią.

Szarpnęła za drzwi i znalazła się na pokładzie. Błyszcząca i mieniąca się w słońcu płaszczyzna drewnianego deku, pochylona w kierunku dziobu, na samym jego końcu zniknęła już pod wodą. Przez ułamek sekundy Gwen pomyślała, jakie to absurdalne, że wciąż świeci słońce, kładąc się na mokrym pokładzie złotymi refleksami.

*

System dynamicznego pozycjonowania utrzymywał „Pandorę” praktycznie w miejscu. Ten sam system dbał też o to, by łódź była właściwie zorientowana względem wiatru i fal. Automatyczny system, kontrolując wszystkie stery i napędy, korygował jej położenie. Półtorametrowej wysokości fale, jakie powstawały przy czwórce, nie były w stanie nawet specjalnie zwrócić uwagi pasażerów „Pandory”, a co dopiero w jakikolwiek sposób jej zagrozić.

Bill i Iwan, którzy na mostku obserwowali na ekranach „Zarię”, zauważyli dość wcześnie, że kuter ma trudności z utrzymaniem właściwej pozycji, ale jak na jednostkę rybacką, prostą i niezbyt bogato wyposażoną w sprzęt nawigacyjny, nie było to specjalnie dziwne, że trochę nią rzucało. Iwan bąknął coś pod nosem o „tym kretynie Zetlersie”, a Bill wzruszył tylko ramionami.

Jednak odgłos wybuchu spowodował, że obaj jednocześnie drgnęli i spojrzeli po sobie z lekkim niepokojem. Iwan zerwał się i trzymając karabin w pogotowiu, co chwilę patrząc podejrzliwie na Billa, podbiegł do drzwi na galerię i wyjrzał na zewnątrz. Na pokładzie oddalonego o niecałe czterdzieści metrów kutra pojawił się Sasza i wrzeszczał coś do wyglądającego ze sterówki Artioma. Iwan chwycił z pulpitu lornetkę i przyłożył ją do oczu. Nad pokładem, na rufie unosił się dym, a kuter stał już w mocnym przechyle, zwrócony prawą burtą w kierunku nacierających fal.

Iwan oderwał lornetkę od oczu i spojrzął z przestrachem na Billa.

– *Ażę...*

Bill nie zwracał uwagi na Rosjanina. Wpatrywał się w monitor. Fale obracały bezwładną „Zarię” dziobem w stronę prawej burty „Pandory”. Wiatr wiał akurat z północnego wschodu, pchając kuter powoli, ale nieubłaganie w kierunku jachtu.

Dwa pokłady niżej Sierow w milczeniu przeglądał zdjęcia podwodne na laptopie Ruperta. Igor i Jamie siedzieli w ładowni na ławeczce i jedyne, co mieli do roboty, to niepokoić się o Gwen, Alice i Dermota. Rupert z Johannem natomiast stali na rufie i cały czas obserwowali morze

w okolicach kołyszącej się na falach boi liny opustowej. Właśnie kończył się czas denny. Za pięć minut nurkowie mieli rozpocząć dekompresję. Długie dwie godziny powolnego wynurzania się. Generalnie nuda.

Johann co chwilę jednak patrzył w kierunku kutra. Niepokoił się o Gwen. Zauważył od razu, że kuter stracił stateczność. Wzmógł się wiatr i trochę szumiało, ale nawet tutaj na rufie, gdzie najgłośniej było słycać silnik „Pandory”, cały czas dochodził terkot starego diesla kutra. W momencie gdy ten dźwięk nagle się urwał, Johann od razu podniósł wzrok. Kuter w ciszy poddawał się bezradnie uderzeniom fal, które miotały nim od niechcenia, powoli przesuając i ustawiając bokiem. Tak jakby bawiły się zabawką. Jak kot z bezwładną w jego łapach myszą.

– Co oni robią? – Rupert oparł ręce na relingu obok Johanna, wpatrując się z rosnącym niepokojem w szarpany przez morze kuter. – Chyba mają kłopoty z silnikiem.

Sierow podniósł wzrok.

I w tym momencie rozległ się wybuch. Nie był specjalnie głośny, ale doskonale słyszalny. I co więcej, prawie wszyscy dobrze wiedzieli, co on oznacza.

Sierow zerwał się, wybiegł na pokład rufowy i stanął przy barierce obok dwóch mężczyzn.

– Zalało silnik! – krzyknął Johann.

– Muszą ustawić go dziobem! – Sierow wpatrywał się w swój kuter z malującym się na twarzy przerażeniem. – Inaczej zatonie.

– Niby jak? Wiosłami?

Johann, nie czekając na reakcję Rosjanina, rzucił się do wnętrza ładowni.

– Wyciągamy skuter! – krzyknął do Jamiego, który właśnie poderwał się, żeby zobaczyć na własne oczy, co się dzieje. Jamie zatrzymał się niezdecydowanie, po czym ruszył za Johannem. Po chwili kłapa w burcie, uruchomiona przez Johanna, zaczęła się podnosić. Wyglądała jak tylne drzwi jakiegoś dużego SUV-a. Automatycznie uniosły się boczne relingi i po chwili nad wodą zawisł z boku jachtu mały pomost, który służył do wodowania pontonu lub małych łódek.

Igor, ujrawszy, jak Johann mocuje się z trzymającymi skuter uchwytami,

zerwał się z ławki i rzucił do pomocy. Po chwili zaczęli ciągnąć mały pojazd w kierunku pomostu.

– Mają ponton! – wrzasnął Jamie, który trzymając się kurczowo relingu, wpatrywał się w tańczący na falach kuter. – I Gwen tam jest! Zostaw ten skuter! Poradzą sobie!

Johann puścił urządzenie i wybiegł na pomost. Fala zalała nagle podest, wlewając się białą pianą na podłogę ładowni. Johann chwycił się za reling i patrzył w napięciu, jak po ledwo już trzymającym się na wodzie kutrze dwoje ludzi biegnie w kierunku drabinki na rufie. Kołysał się tam ponton, wciąż przywiązany do relingu i zalewany przez odbijające się od burty fale.

Gwen złapała się kurczowo balustrady i po chwili zaczęła schodzić na dół. Fala szarpnęła pontonem, zalewając jego wnętrze i uderzając nim o burtę. Widać było, że mężczyzna na nim krzyczy coś do dwójga pozostałych. Johann zacisnął z całych sił ręce na balustradzie. Nawet nie zauważył, że przelewająca się masa wody zmoczyła go praktycznie do pasa, a z jasnych włosów kapią mu na twarz słone krople. Gwen zawisła nad kipielą przy burcie kutra i odwróciła się w kierunku pontonu. Kolejna fala rzuciła nim o burtę stateczku.

– Teraz! – wrzasnął Jamie, który tuż obok Johanna trzymał się kurczowo bocznego relingu. Gwen jakby usłyszała tę radę. Oderwała ręce od drabinki i zeskoczyła do pontonu, przewracając się na jego dno. Za nią skoczył mężczyzna. Kuter, popchnięty przez rozszalałą przy jego burcie kipiel, odwrócił się dziobem w kierunku jachtu, ciągnąc za sobą na linie ponton.

– Przecież on nas staranuje! – krzyknął nagle Rupert, odwracając się w kierunku Sierowa, który wciąż zaciskając ręce na broni, patrzył wstrząśnięty na tonącą łódź.

Od strony kutra doszedł do nich mrozący krew w żyłach trzask łamiących się drewnianych pokładów. Dziób zanurzył się pod wodę, a rufa zaczęła powoli unosić do góry. Kuter, popychany siłą inercji i impetem morza, wciąż jednak posuwał się w kierunku „Pandory”.

Bill wpatrywał się z niedowierzaniem w ekrany monitorów, które pokazywały widok z kamer bocznych. Kuter, z zanurzonym już dziobem,

sunął prosto na prawą burzę „Pandory”! Fale popychały bezwładną łódź i jeszcze chwila, a grzmotną nią o rufę jachtu, niszcząc tylny pokład. W ułamku sekundy przemknęło mu przez myśl, że tylny pokład jest przecież otwarty. Jeśli uderzenie uszkodzi mechanizm, to zostaną z tą otwartą burzą, przez którą będzie się wlewała woda na dolny pokład. Wprawdzie groźne mogłoby to być jedynie przy wielkim sztormie, ale statki tonęły z bardziej błahych powodów.

Stojący do tej pory na galerii Iwan wpadł do wnętrza i spojrzał dzikim wzrokiem na Billa.

– *Połnyj chod!* – wrzasnął. – *Wpieriod! Czewo że wy jeszcze żdiotie?*

Bill oczywiście zrozumiał. Nie była do tego potrzebna znajomość rosyjskiego.

Chwycił za dźwignię i przesunął ją do oporu. Poczuł, jak podłoga „Pandory” drży, a jacht lekko unosi się do góry. Silniki ryknęły niczym dwa obudzone niedźwiedzie.

Gdy „Pandora” ruszyła do przodu, za rufą zakotłowała się woda. Gdyby nie głośny dźwięk rozpędzających się silników, Jamie i Johann pewnie spadliby z bocznego pomostu. Gdy jacht zaryczał, obaj prawie odruchowo skoczyli do wnętrza ładowni. Johann walnął ręką w panel i kłapa pomostu zaczęła się zamykać. Igor, który stał na tylnym pokładzie, złapał się kurczowo balustrady i patrzył oniemiały, jak rufa kutra unosi się do góry i popychana przez falę, wciąż zmierza w ich kierunku. Miał wrażenie, że czas nagle zwolnił i że obserwuje pojedyncze kadry. Kilwater za rufą, zmieniający się w spienioną kapiel, kadłub kutra, który unosi się do góry i powoli pogrąża w morzu. I „Pandorę”, o włos prawie umykającą przed zderzeniem z tonącym w szalonym wirze kutrem. I wówczas zobaczył, że to nie koniec kłopotów. Stojący obok niego Rupert, który ujrzał w tym momencie to samo, zaklął głośno.

Ruszająca „Pandora” wzburzyła i tak niespokojne morze, a dodatkowo tonący kuter wywołał liczne wiry. Niedaleko rufy kołysała się na morzu boja liny opustowej, która pod wpływem szamotaniny na powierzchni dryfowała w różnych kierunkach. Pech chciał, że w momencie, gdy kuter pogrążał się w toni, jego tylny maszt przechylił się i zwałił prosto na ową boję, płacząc się

w linie. Po chwili łódź zniknęła pod wodą, ciągnąc za sobą na dno i boję, i linę opustową.

*

Czas denny – dwudziesta minuta

Na tabliczce przy nadgarstku Dermota znajdowało się jedno, napisane drukowanymi literami słowo: IPERYT. Alice oderwała wzrok od jasnej plamy na ręku kolegi i spojrzała w kierunku kilkunastu beczek, rozsianych po dnie w sąsiedztwie U-Boota. Każda z nich mogła zawierać nawet dwieście litrów substancji.

Pod koniec lat czterdziestych, po zakończeniu wojny, alianci znaleźli na terenie Niemiec blisko trzysta tysięcy ton broni chemicznej. Chcąc pozbyć się kłopotu, krótkowzrocznie i bez wyobraźni postanowili zatopić ją w Bałtyku. Początkowo brano pod uwagę Atlantyk, ale operacja taka byłaby dużo droższa, wybór więc padł na najgłębsze rejony Morza Bałtyckiego – Głębię Gotlandzką, wschodni Basen Bornholmu, a także cieśniny duńskie i zachodnie okolice wybrzeży Szwecji. Tylko w Głębi Bornholmskiej zatopiono prawie czterdzieści tysięcy rozmaitych chemikaliów w rdzewiejących, stalowych beczkach. O ile jednak alianci trzymali się w miarę planu i podjętych decyzji lokalizacyjnych, Rosjanie w praktyce wyrzucali beczki z iperytem siarkowym, nazywanym potocznie gazem musztardowym, adamsytem, fosgenem czy kwasem pruskim, gdzie popadło. Między innymi, według relacji powojennych, w pobliżu wybrzeży Dziwnowa, Darłowa, Ustki lub nawet w basenie Zatoki Gdańskiej. Usiane bronią chemiczną dno Bałtyku stanowi do dziś nierozwiązany problem, nazywany tykającą bombą z opóźnionym zapłonem.

U-Boot leżał w niecce, łagodnie opadającej w kierunku najgłębszych rejonów Bornholmu. Alice, śledząc promień latarki, pomyślała z przerażeniem, że pewnie wokoło rozrzucone są na dnie jeszcze setki takich beczek. Oderwał ją od tych myśli Dermot, stukając palcem w cyferblat komputerka. Alice spojrzała na wyświetlacz. Właśnie mijała ostatnia, dwudziesta minuta czasu dennego. Powinni być już przy linie opustowej i zmieniać butle na nitrox 36. Umieszczone na linie błyskacze co chwilę

wysyłały krótkie mignięcia, informując o swojej lokalizacji.

Dermot machnął płetwami i ruszył w kierunku liny. Alice popłynęła za nim. Spostrzegła, że Rosjanin właśnie dopływa na miejsce, gdy jej uwagę zwróciło dziwne drganie reflektorków sygnałowych. Podniosła latarkę do góry i zobaczyła, że lina szarpie się na wszystkie strony. Dermot zatrzymał się nagle i odwrócił. Jego oczy wyrażały niepokój. Alice spojrzała ponownie w kierunku opustu i dostrzegła nagle z przerażeniem, że lina opada na dno, tworząc na piasku skręcające się zwoje. A potem zobaczyła, jak Rosjanin zadziera głowę, następnie odwraca się i patrzy w ich kierunku. W jego oczach ujrzała przerażenie. Dermot wskazał nagle ręką w kierunku dziobu U-Boota i machając desperacko płetwami, puścił się w tamtą stronę. Alice zrobiła to samo, w ułamku sekundy rejestrując, że Rosjanin jest kilka metrów za nimi.

Skupiona na pływaniu tak szybko, jak tylko mogła, nie zauważyła, jak na dno przy łodzi podwodnej, praktycznie kilka metrów jedynie za jej plecami, opada z wygłuszonym pod wodą łomotem kadłub kutra. Poczula tylko drgnięcie, a za chwilę dogoniły ją wzburzone tumany piasku i dennych osadów.

Rozdział 28

Paulina obudziła się tylko na chwilę. Łóżko, na którym leżała, było zwykłą stalową pryczą ze zużyтым, starym materacem. Nie wiedziała, gdzie jest i jak tu się znalazła, ale miała to gdzieś. Dawno nie czuła się tak odprężona i zrelaksowana. Przez chwilę wpatrywała się w sufit. W narożnikach wisiały pajęczyny, trochę dalej było zakratowane okno, z którego zwisała brudna firanka. Pomyślała, że to na pewno nie jest luksusowa kabina na jachcie Johanna, i ta myśl niesłychanie ją rozbawiła. Przez chwilę leżała, uśmiechając się do siebie i ciesząc tą niespodziewaną chwilą relaksu. Poduszka była taka miękka i czuła się tak cudownie w tym stanie pomiędzy snem a jawą. Tym bardziej że nie musiała się nigdzie śpieszyć. Coś tam miała wprawdzie zrobić, ale to było teraz zupełnie nieistotne. Teraz mogła się odprężyć i wreszcie wypocząć. Odetchnęła głęboko i zamknęła oczy. Poczwała, jak odpływa. Po chwili znowu zapadła w głęboki sen.

*

Bolo pchnął przeszklone drzwi, zszedł po schodach na dół i zatrzymał się, niezdecydowany. Za plecami miał budynek komisariatu policji w Darłowie. Tak jak przypuszczał, nie zdecydowali się go zatrzymać. Przez chwilę w zamyśleniu przyglądał się przejeżdżającym samochodom. Musiał się teraz dostać do Bobolina. Psy zabrały go z domu samochodem, ale teraz wracać musiał własnym sumptem. Gdy zapytał, czy go ktoś odwiezie, dzielnicowy tylko parsknął i niecierpliwie wskazał ręką drzwi. Zapiął bluzę, podciągnął wyżej kaptur i ruszył wąską uliczką w kierunku Powstańców Warszawskich. Musiał dojść na dworzec autobusowy na lewym brzegu. Za jakieś pół godziny miał autobus do Koszalina przez Dąbki.

Idąc, myślał o tym, co powiedział ten siwy prokurator. To było coś nowego.

*

Olszański po wyjściu Kukli stał zamyślony przy oknie i wyglądał na ulicę. W biurze czekał na dokończenie protokołu zamknięcia sprawy morderstwa Wyrzykowskiego, a on tu rozmyślał nad udziałem w nim Kukli. Szefowa go chyba zabije. Na Stasiaka były przecież dowody. Pośrednie, bo pośrednie, ale były. Na Kuklę nie było nic, jednak Olszański nie mógł się pozbyć przekonania, że Kukla miał z tą sprawą coś wspólnego. W taki czy inny sposób. I nie dawało mu to spokoju.

Wreszcie odwrócił się, uśmiechnął do dzielnicowego, który składał dokumenty na swoim biurku, i sięgnął po telefon. Matuszka ciągle nie można było złapać.

– Mam prośbę – zwrócił się do dzielnicowego, gdy po czterech sygnałach zrezygnował i wepchnął komórkę z powrotem do kieszeni.

Dzielnicowy spojrzał na niego z zaciekawieniem.

– Moglibyście przypilnować tego Kukli? Ja wiem, że macie mało ludzi...

– No mamy, panie prokuratorze, ale dam znać chłopakom, żeby go poobserwowali. Czy chodzi o coś konkretnego?

– Mam wrażenie, że coś ukrywa. Na pewno wie więcej o śmierci Wyrzykowskiego, niż nam powiedział. Podejrzewam, że brał w tym jakiś udział.

– Wciąż czekamy na ludzi z IPN w sprawie tego grobu pod Darłowcem. Tam na okrągło ktoś musi tego pilnować. Zakład Medycyny Sądowej z Koszalina też się nie kwapi specjalnie. Wyciągnęli te jedne widoczne na wierzchu zwłoki, a tam całe bagno należy przeszukać.

– Wiem, wiem. – Olszański skinął głową. – Postaram się zwrócić do kogoś, żeby to przyspieszyli.

Podał rękę dzielnicowemu i wyszedł na korytarz. Schodząc po schodach, znowu myślał o tym, co go tak zastanowiło kilkanaście minut temu.

Czemu Kukla miał taki rozbiegany wzrok, kiedy go spytał, co robił we wtorek?

*

Bolo głowił się nad nowym problemem przez całą drogę do domu,

a potem siedząc w kuchni i słuchając jednym uchem utyskiwań matki. Znał przecież tego typu od dawna. Co jakiś czas siłą rzeczy się spotykali. To znaczy, teraz już jakiś czas go nie widział, ale dawniej widywali się dość często. Byli prawie w tym samym wieku i chodzili niegdyś do tej samej szkoły podstawowej w Darłowie. Po obiedzie nie wytrzymał i postanowił trochę pojeździć i czegoś się dowiedzieć. W drodze przyszło mu do głowy coś, co go poraziło. Czy to możliwe, żeby on był w spisku z tymi Ruskami? To byłoby wręcz nieprawdopodobne, ale przecież możliwe. Nigdy go nie lubił zanadto, a potem ich drogi się rozeszły w dwóch kompletnie różnych kierunkach. Można powiedzieć, że stali po dwóch stronach barykady. Gdy kilka lat temu walczył o pomoc dla ojca, do głowy mu nie przyszło, żeby zwrócić się do niego o poradę. Jaki on mógłby mieć interes we współpracy z Ruskami? I skąd by się znali? Żeby się dowiedzieć czegoś oficjalnie, nie miał oczywiście szans, ale ludzie w Darłowie i okolicy wiedzą wszystko. Trzeba tylko rozeznać, gdzie, kogo i o co zapytać.

*

Przed mostem na lewy brzeg Darłowa zrobił się mały korek. Bordowy citroën toczył się powoli za jakimś srebrnym SUV-em. Właśnie minęli rondo na skrzyżowaniu Curie-Skłodowskiej i Fryderyka Chopina i wjechali na ostatnią prostą przed przejazdem na Wieprzy. Po prawej stronie za murami oklejonymi szczelnie płachtami reklam wznosił się zamek, a po lewej, w gąszczu zieleni krył się budynek dawnej szkoły morskiej. Olszański bębnił palcami po kierownicy w rytm wakacyjnego hitu, którego ani tytułu, ani wykonawcy nie pamiętał, chociaż słuchał tego utworu średnio raz dziennie. SUV przed nim ruszył i przesunął się o kolejne metry w kierunku przeprawy. Po prawej stronie drogi, tuż przy jezdni, stał stary, piękny, ryglowy budynek hotelu, a zaraz za nim widać było już balustrady mostu.

Po lewej stronie na płocie też wisiąco kilka reklam. Na jednej z wielkich plansz była oferta jakichś wyjątkowych atrakcji. Wielkie litery układały się w zachęcające słowa ZAPRASZAMY JUŻ WE WTOREK!

Olszański pomyślał, że powinni w końcu zacząć karać za to ciężkimi robotami. Gdyby wysłać do kamieniołomów paru właścicieli takich firm i ogrodzeń, to może by w końcu koszmarnie reklamy i banery definitywnie

zniknęły z polskich ulic. Rzucił jeszcze raz okiem na oszpecony płot, a potem o mało nie wjechał w tyłek wielkiego SUV-a, który niemrawo toczył się przed jego citroënem.

Chryste! We wtorek! To o tym pomyślał Kukła!

*

Alice czuła, jak wali jej serce. Schowana za dziobem łodzi podwodnej, bała się wyrzeć zza niego i popatrzeć w kierunku miejsca, gdzie jeszcze kilka minut temu opadała na dno lina opustowa. Zatonęła któraś z łodzi! Dlaczego? Co się tam na górze działo? Gdy pomyślała, że to mogła być „Pandora”, poczuła, jakby serce miało jej wyrwać dziurę w skafandrze. Odetchnęła głęboko, próbując uspokoić oddech. Marnuje przez to powietrze. Spojrzała na wskaźnik. Zostało jej jakieś czterdzieści atmosfer. Czas denny skończył się niecałą minutę temu. Powinni się zacząć wynurzać. Dwie godziny dekompresji. Odetchnęła spokojniej i teraz dopiero rozejrzała się wokół siebie. Spostrzegła oddalonego o kilka metrów Dermota, po którego minie zorientowała się, że przeprowadził w myślach dokładnie taką samą operację. Miał szeroko otwarte oczy. Mrugnął, jakby odzyskał przytomność, i wskazał palcem do góry. Kiwnęła głową. Sięgnęła do prawej kieszeni skafandra, gdzie miała bojkę ratunkową i kilkadziesiąt metrów liny w szpulce. Pomyślała, że będzie to robiła dopiero trzeci raz w życiu.

Zawsze była ostrożna i dokładnie stosowała się do ustalonej marszruty i czasu dennego. Wiele lat temu, gdy nurkowanie jeszcze nie było jej najmocniejszą stroną, została raz czy dwa na dnie za długo przez gapiostwo i musiała wysłać na powierzchnię bojkę, a potem sama się wynurzać. Operacja nie była jakoś specjalnie trudna, więcej nerwów kosztowała w takiej sytuacji załogę na statku, która nie miała pojęcia, co się dzieje na dnie, niż ją. Ustalenia zawsze były takie, że gdy ktoś wypuści bojkę, to po jej linie spuszczało mu się od razu na dno butle z gazem. W tym przypadku chodziło o trimix, który miał wystarczyć jeszcze do trzydziestu metrów, potem nitrox 36 do dziewięciu metrów i nitrox 82 do końca. Nie będą potrzebne najprawdopodobniej, bo mają przecież swoje, nieuszkodzone. Spojrzała na uprząż, sprawdzając automatycznie, czy trzy butle dekompresyjne nadal wiszą na jej plecach i dmuchnęła w bojkę, która zaczęła

napełniać się powietrzem. Za wolno.

Pomyślała, że albo zawór się zakleił, albo miała za mało siły. Zobaczyła, jak Dermot wyciąga rękę w rękawicy w jej kierunku. Podała mu bojkę. Zdjął ustnik aparatu oddechowego i przystawił ją do ust. Bojka na szczęście napełniła się od razu. Alice odetchnęła, myśląc z ulgą o pojemności klatki piersiowej Dermota. I teraz dopiero pomyślała o Rosjaninie.

Był kilka metrów za nimi! Wystrzelona bojka pędziła w kierunku powierzchni morza, rozwijając za sobą linkę. Alice spojrzała na Dermota i podała mu szpulkę. Wskazała ręką w kierunku dziobu i nie czekając na jego reakcję, popłynęła. Wynurzając się zza metalowej skarpy, poczuła znowu strach, że w świetle latarki zobaczy za chwilę biały kadłub „Pandory”, ale to, co zobaczyła, było bardziej niespodziewane.

Tuż za winklem U-Boota wpadła na wielką sylwetkę w czarnym skafandrze. Mężczyzna trzymał ręce przy twarzy. Jego wytrzeszczone oczy wypełniały całą prawie maskę, a ustnik aparatu zwisał na szyi. Alice z przerażeniem zobaczyła, że jego twarz pokryta jest czerwonymi plamami.

*

Olszański zamiast wyjechać na drogę do Koszalina, zatrzymał się na poboczu i wybrał numer komisariatu w Darłowie. Po kilku sygnałach zgłosił się dzielnicowy, którego dopiero co, pół godziny temu, pożegnał.

– Musieliśmy to przegapić, panie prokuratorze. – Dzielnicowy miał zmartwiony głos. – Zresztą wszyscy przyjęli to za pewnik, nikt nie sprawdzał.

– Kiedy możecie sprawdzić? Hotele, motele. Kiedy przyjechał? To musi być gdzieś na uboczu. W Darłowie, Dąbkach pewnie ktoś by go poznał.

– Jesteśmy nad morzem – jęknął dzielnicowy. – Tu w okolicach są dziesiątki pól namiotowych, kempingów, prywatnych kwater. Poza tym nie musiał przecież podawać swojego nazwiska.

Olszański westchnął. Dzielnicowy miał rację. To szukanie igły w stogu siana.

*

Na stole leżała stara, związana sznurkiem teczka. Mężczyzna patrzył na nią przez dłuższą chwilę i w końcu odetchnął. Nareszcie miał to w swoich rękach i może wreszcie cała ta sprawa się skończy i dadzą mu spokój. Wszystko miało być łatwiejsze. Nie miało być żadnych problemów. W ogóle nie miał mieć z tym nic wspólnego. Uwierzył w to jak kretyn. Sam był sobie winny. W każdym głównym filmie sensacyjnym powtarzają maksymę, że jak się raz wejdzie na tę drogę, to nie ma odwrotu. Wszystko zaczęło się od artykułu w „Dzienniku Sławińskim” z 2008 roku. No, a później zgodził się zdobyć te papiery. Gdyby wtedy posłał tamtych bandziorów do diabła, nie byłoby całej tej sprawy. Tylko że potem zaczęły się kłopoty. Potrzebował coraz więcej pieniędzy i dał się w to wciągnąć.

Teraz jednak już koniec. Jeszcze została tylko jedna rzecz do zrobienia, a potem będzie miał wreszcie spokój.

*

Prokurator Olszański po powrocie do biura spędził całe dwie godziny na grzebaniu w aktach sprawy, której protokół umorzenia miał dzisiaj dostarczyć szefowej na biurko. Dochodziła dziewiętnasta, gdy zadzwoniła jego komórka.

– Pan prokurator Olszański? – w słuchawce rozległ się nieznany, kobiecy głos.

– Dobry wieczór – mruknął. – W czym mogę pomóc?

W słuchawce usłyszał szelest kartek, a potem kobieta odchrząknęła.

– Mam dzisiaj dyżur. Rozmawiałam z dzielnicowym z Darłowa, który powiedział mi o pana pytaniach dotyczących pól namiotowych i tak dalej. W sprawie Wyrzykowskiego, znaczy...

Olszański spojrzął na zegarek. Czuł, jak rośnie w nim irytacja.

– Czy mogłaby pani powiedzieć, kim pani jest?

– Bardzo przepraszam. – Kobiecy głos zabrzmiał niepewnie. – Posterunkowa Fenger Mariola. Ze Sławna. Byłam ze śledczym Matuszkiem na przesłuchaniu. Potem trochę przeglądałam akta tej sprawy...

– Mogłaby pani przejść do rzeczy? Przepraszam, ale jest późno, a ja mam jeszcze trochę roboty.

– Tak, oczywiście, przepraszam. Chodzi o to, że on ma daczę nad jeziorem.

– Daczę? – Olszański pomyślał, że jeszcze słowo i nie będzie mógł powstrzymać irytacji. – Jaką daczę?

I nagle zrozumiał, o czym mówiła posterunkowa Fenger.

*

Od momentu, gdy na powierzchni morza, kilkadziesiąt metrów od jachtu, pojawiła się mała czerwona bojka, upłynęły prawie dwie godziny. Na pokładzie atmosfera była tak gęsta, że można by ją krajać nożem. Gdy kuter zatonął, wciągając za sobą linę opustową, przez dobre kilka minut panowała kompletna cisza. Nikt nic nie mówił. Słyszać było jedynie szum morza i pomruk pracujących na wolnych obrotach silników „Pandory”. Sierow stał bez słowa przy balustradzie na rufie i wpatrywał się w płynący w kierunku jachtu ponton. Po jego minie widać było, że wciąż jeszcze jest w szoku. Pozostali stali na rufie i wpatrywali się niby zakłęci w morze. Wrak kutra tonął z prędkością, która rosła w miarę zbliżania się do dna. Tonący „Titanic”, który miał do miejsca swojego ostatecznego spoczynku prawie pół kilometra, mniej więcej w połowie drogi osiągnął prędkość siedemdziesięciu kilometrów na godzinę i z takim impetem, osłabionym jedynie przez masy wody i podmorskie prądy, uderzył w dno. Trwało to niecałą minutę. „Zarię” od dna dzieliło jedynie sto metrów i drogę tę pokonała w kilkanaście sekund. Dla wszystkich, którzy trzymając się kurczowo relingów, obserwowali, jak kuter pogrąża się w odmętach, było oczywiste, że nie ma możliwości, by w jakikolwiek sposób uprzedzić o tym ludzi na dnie. Mogli liczyć jedynie na swój refleks.

Pierwszy odzyskał przytomność Johann, który na widok Gwen w pontonie poczuł wyraźną ulgę. Gdy ponton dobił do rufy jachtu, pomógł jej wejść na pokład, po czym chwycił lornetkę i zaczął obserwować morze. Było to trudne zarówno z powodu pokrytych białymi grzywkami fal, jak i przez blask słońca, który uniemożliwiał łatwe dostrzeżenie czegokolwiek między przewalającymi się masami wody. Złowrogie milczenie panowało przez kolejne kilka minut, kiedy Johann odzyskał nagle głos i głośno krzyknął, wskazując coś kilkadziesiąt metrów od jachtu. Na falach kołysała się mała

czerwona bojka.

Mimo że nikt nie wiedział, jaka jest sytuacja na dole, czy wszyscy zdołali się uratować, ile mają powietrza, i tak ulgę można było wręcz wyczuć. Rupert skoczył do wnętrza ładowni i wywlókł trzy butle z gazem dennym i nitroxem. Po chwili razem z Johannem płynęli pontonem w kierunku czerwonej bojki, transportując trzy zestawy gazu.

Przez kolejne dwie godziny dekompresji atmosfera zgęstniała ponownie. Rupert i Johann zostali na pontonie, krążąc nim niedaleko boi, a reszta na pokładzie, oczekując pojawienia się na powierzchni nurków, starała się zająć czymś myśli. Mimo że wypuścili boję, nic nie było nadal pewne. Ktoś mógł być ranny, w końcu kilka ton stali spadło prawie że na ich głowy. Mogli mieć zepsute aparaty oddechowe. Praktycznie każdy scenariusz wchodził w rachubę, z sytuacją, że nikt się nie wynurzy, włącznie.

Po stu trzydziestu minutach na powierzchni niedaleko boi pojawiła się czarna plama. Igor, który stał na rufie z przyłożoną do oczu lornetką, najpierw odetchnął z ulgą, a potem dopiero krzyknął, wskazując ręką czarny kształt unoszony przez fale. Minęło kolejnych kilka minut i wreszcie trzy osoby zostały wciągnięte na ponton, który po chwili ruszył w kierunku jachtu. Z daleka już było widać, że nie wszystko jest w porządku. Dopiero gdy dobili do rufy „Pandory”, okazało się, że jeden z mężczyzn leży nieruchomo we wnętrzu łódki. Rupert i Johann chwycili go pod ramiona i starając się utrzymać równowagę na rzucanym przez fale pontonie, przetransportowali na pokład jachtu.

Po kilku minutach nurek leżał na stalowej podłodze ładowni, a dwaj pozostali klęczeli obok, zdejmując z siebie fragmenty skafandrow. Johann i Rupert, kompletnie przemoczeni, stali nad nimi, ciężko oddychając. Igor z ulgą spostrzegł, że ranny mężczyzna to Rosjanin, a nie Dermot. Obaj byli podobnego wzrostu.

Mężczyzna miał całą twarz w czerwonych plamach i z wyraźną trudnością oddychał przez spierzchnięte usta.

– Iperyty – powiedział cicho Dermot, zdejmując kryzę i rozpinając górę skafandra. – Wokół okrętu jest go od cholery. Całe dno usiane tym gównem.

– To cud, że on przeżył dekompresję. – Alice położyła ręce na biodrach i zsunęła powoli skafander. – Ledwo oddycha. Powinien trafić do szpitala jak

najszybciej.

Igor wpatrywał się w leżącego na ziemi mężczyznę. Zrządzenie losu. Udawał śmiertelnie chorego, żeby dostać się na pokład „Pandory”, a teraz leży tutaj w takim stanie.

– Co możemy zrobić? – Sierow, który stał do tej pory w milczeniu, spojrzał na Alice.

– Niewiele. – Pokręciła głową, wyszarpując nogi z neoprenowej nogawki. – Nawet nie wiemy, czy to na pewno iperyt. Stosowanie jakichkolwiek środków czy okładów zależy od konkretnego typu oparzenia. Jedyne, co możemy zrobić, to jak najszybciej obmyć mu twarz czystą wodą. W przypadku skażenia iperytem stosuje się chloraminę, ale jak powiedziałam, nie wiemy, czy to iperyt.

– Co mu grozi? – Jamie patrzył na Rosjanina z malującym się na twarzy przerażeniem. – Te oparzenia zostawią mu pewnie blizny na całe życie.

– Iperyty nie atakują tylko skóry. – Alice odrzuciła skafander na bok. – Powoduje uszkodzenia ogólnoustrojowe. W zależności od wchłoniętej dawki może wywołać martwicę błon śluzowych, owrzodzenie jelit lub nawet uszkodzenie szpiku kostnego.

Igor wpatrywał się w poranioną twarz mężczyzny. Bałtyk to tykająca bomba chemiczna z opóźnionym zapłonem, przypomniał sobie jedną z głośnych fraz, powtarzanych często w różnych artykułach. Tysiące beczek z substancjami bojowymi, które powoli rdzewieją, pozbywając się stopniowo swojej zawartości. Wypłukiwane przez prądy morskie grudki różnych trucizn, wyrzucane przez morze na plażę środkowego Pomorza, w którego okolicach zatopiono ich najwięcej. Mylone często z bursztynem...

– To wasza wina! – krzyknął nagle stojący w głębi ładowni Iwan. Zaciskając zęby, podniósł karabin i wycelował w kierunku znajdującego się najbliżej Johanna.

Artiom wyciągnął przed siebie rękę.

– Uspokój się, frajerze! – Spojrzał z niepokojem na uzi.

– Odwal się! Woronin był najlepszym nurkiem! Nie wierzę, żeby sam wlaź w jakieś chemiczne gówno! To oni go tym potraktowali!

Sasza podniósł wzrok i spojrzał na Alice i Dermota, którzy nie

rozumiejąc, co się dzieje, wpatrywali się z przestachem w wycelowaną w siebie broń.

– Trzeba się ich pozbyć! – Iwan miał twarz czerwoną z wściekłości. – To przez nich zatonął kuter!

– Kuter zatonął przez ciebie, jełopie! – Artiom zrobił krok w kierunku Rosjanina. – Gdybyś nie rozpiardolił obejm na rurach, to pewnie by wytrzymały!

Iwan skierował karabin w stronę Artioma.

– Zamknij się, bydlaku!

– Kto jest na mostku? – warknął nagle głośno Sierow.

Na chwilę zapanowała cisza.

Igor pomyślał, że bandyci w wyniku zatonięcia kutra stracili zimną krew. Nie wróżyło to nic dobrego dla porwanych, jeśli piraci zaczną się żreć pomiędzy sobą.

– Przylazłeś na dół i zostawiłeś tego Angola samego? – Sasza spojrzał z niedowierzaniem na Iwana.

Ten przez chwilę wyglądał na zdezorientowanego. Przełknął ślinę.

– Nic nie może zrobić. Powiedziałem, że jeśli cokolwiek będzie kombinował, zabijemy jedną z tych bogatych świń. – Machnął ręką w kierunku Johanna.

– Na górę! – Sierow skinął głową do Saszy. – A ty opuść ten karabin. – Spojrzał na Iwana. – Chcesz, żeby następna łajba poszła na dno?

– Co z nimi zrobimy? – Iwan nie ustępował, patrząc z wściekłością na pobladłych pasażerów „Pandory”.

– To nie twoja rzecz! Powiedziałem, opuść broń!

Iwan patrzył przez chwilę na Sierowa, po czym obrzucił spojrzeniem Artioma, który spięty jak kocur, stał, wbijając w niego wzrok. Wreszcie cofnął się i opuścił karabin.

Alice odetchnęła.

– Nie wiem, o co wam chodziło – powiedziała powoli. – Ale jeśli wasz kumpel nie doczeka się jakiejś pomocy, umrze do wieczora.

*

Przez chwilę w słuchawce słyhać było hałas, głosy wielu ludzi. Gdzieś w tle grało radio. Olszański przełożył telefon do drugiej ręki i przerzucił kolejne papiery na biurku. Oprócz umorzenia sprawy Wyrzykowskiego do końca tygodnia miał do napisania jeszcze jeden raport. Nie miał pojęcia, kiedy to zrobi.

W słuchawce rozległ się trzask i młody mężczyzna o niskim sympatycznym głosie zapytał, w czym może pomóc.

– Tak! Pamiętam – odparł, gdy Olszański wyłuszczył mu swój problem. – Złamanie kości śródstopia. Najśmieszniejsze, że na korcie. Kiepsko mu się to potem goiło.

– Czemu najśmieszniejsze?

– Jeden z typów takich złamań nazywa się właśnie złamaniem tenisisty.

Olszański podziękował i odłożył telefon na biurko. Pokręcił głową z niedowierzaniem. Wszystko było pod nosem. Podane na talerzu. Przegapili tyle drobiazgów.

*

Artiom patrzył na Sierowa, który ze wzrokiem wbitym w morze stał na mostku i bawił się podrzucaniem komórki. Po awanturze w ładowni przenieśli Woronina do mesy na głównym pokładzie, a wszystkich pasażerów zamknęli na dolnym w magazynie z zapasami.

– Co zamierzasz z nimi zrobić?

– Nie wiem. – Sierow ponuro pokręcił głową. – Straciłem kuter, a kasy Jemochonow nam nie zapłaci. Jesteśmy w czarnej dupie. Muszę do niego zadzwonić.

– Dlaczego nie zapłaci? – odezwał się Sasza. – Przecież możemy jeszcze wyciągnąć z tego U-Boota te cholerne skrzynie.

Iwan wpatrywał się w monitor komputera.

– Bez Woronina nie będziemy mieli żadnej kontroli nad nimi na dnie. Zrobią, co zechcą, nawet wywloką te kufry i schowają gdzieś, a nam powiedzą, że nic nie znaleźli.

– Żebyś ty siebie posłuchał, buraku – parsknął śmiechem Artiom.

– Po czyjej ty jesteś stronie, Zetlers? – warknął Sasza. – Na kutrze przejmowałeś się głównie życiem tej laski. Teraz napadasz na Iwana.

– Bo to debil! Pewnie najbardziej podobałoby mu się sprzątniecie ich za pomocą uzi.

– Mielibyśmy jacht do opylenia i spokój. – Iwan skinął głową. – Sfingowanie zatonięcia łodzi i tyle. A nabywców znajdziemy na wschodzie.

– Jesteś kretynem. – Artiom wzruszył ramionami, obrzucając Iwana pogardliwym spojrzeniem, i zerknął w kierunku Sierowa. Zaniepokoiło go, że stary może przyjąć argumentację tego półgłówka. – A ja, pomijając wszystko inne, jestem lepszym nurkiem niż Woronin.

– Możesz sobie gadać, jełopie, co chcesz, ja wiem swoje. A do Woronina to ci daleko.

– I kto to mówi? Łapersdak, który na głębokości dwudziestu metrów trzęsie portkami ze strachu.

– Gównno tam wiesz.

– A ty wiesz, kim jest ta laska, którą wyciągnąłem z kabiny na kutrze?

Przez chwilę na mostku było cicho. Iwan spojrzał z zaciekawionym.

– Kim? – spytał w końcu Sasza.

– Crichton-Stuart! W międzyczasie przeczytałem sobie w necie o tym towarzystwie. Jej wuj ma tyle pieniędzy, że mógłby Putinowi pożyczać na procent. A ci dwaj to synowie lordów.

– No i co z tego?

– To, że w tych kręgach żaden rozgłos nie jest mile widziany. Zrobią wszystko, by odzyskać swoje pociechy i ukręcić sprawie łeb jak najszybciej.

– Myślisz o okupie? – Sierow oderwał wzrok od horyzontu i spojrzał na Artioma.

– Nie tylko. Jeśli coś im się stanie, to poszukiwania będą trwały latami. A jak myślisz, kogo pozbędzie się wtedy ten twój generał z Moskwy w pierwszej kolejności, żeby usunąć świadków?

Dwa pokłady niżej Gwen ukucnęła i obejmując ramionami kolana, usiadła i oparła się o ścianę. Ładownia nie była wielka. Znajdowały się tutaj regały z zapasami herbaty, kawy, cukru, słodyczy. Pod ścianą stały także specjalne szafy na wino, a w głębi, przymocowane do podłóg, wielkie lodówki. Na oko – zapasy na miesiąc na morzu, pomyślał Igor pół godziny temu, wchodząc do środka.

– To jego widziałam na tej ścieżce w lesie przy plaży – powiedziała cicho Gwen.

– Kogo? – Igor spojrzał na nią ze zdziwieniem.

– Mówiłam wam. – Gwen kiwnęła głową. – Biegałam dzisiaj rano i widziałam szefa tych bandziorów.

– Mówiłaś, że widziałaś kogoś znajomego. – Jamie, który grzebał w pudłach ze słodyczami, odwrócił się i spojrzał na Gwen.

– Jego też mogłam wcześniej gdzieś widzieć, w końcu stali niedaleko nas w porcie, ale miałam na myśli jego towarzysza. Tego teraz poznałam, jak tylko weszli na pokład, ale tamtego wciąż nie mogę skojarzyć, skąd znam.

– A to nie był któryś z tych bandziorów?

Gwen pokręciła głową.

– Wydaje mi się, że Paulina go pokazywała albo coś. W każdym razie miała coś z nim wspólnego.

– To teraz nasz najmniejszy problem, z kim ta banda współpracowała w Darłowie – mruknął Dermot spod przeciwległej ściany. Poza podłogą w ładowni nie było nic innego, na czym można by usiąść.

Silniki znajdowały się za jedną ze ścian, więc od razu usłyszeli, gdy zaczęły głośniej pracować. Przez kadłub jachtu przebiegło drzenie i po chwili poczuli, że „Pandora” nabiera prędkości.

– Płyniemy? – Jamie spojrzał na wszystkich po kolei.

Igor, który jako jedyny zrozumiał, o czym mówił wcześniej Iwan, miał najwięcej powodów do niepokoju. Chcieli się ich pozbyć. Jeśli zechcą ich porwać i zażądać okupu, nie jest wcale powiedziane, że odzyskają wolność. Jeżeli ci Rosjanie stali za zabiciem Wyrzykowskiego, to pewnie Schliemann także nie zginął przypadkiem. A skoro usuwali tak konsekwentnie wszystkich zamieszanych w tę historię z U-Bootem, to tym bardziej ich nie

zechcą zostawić przy życiu.

*

Starszy aspirant Piotr Matuszek dopiero niedawno wrócił do domu. Był skonany. Cała ta ciągnąca się od rana sprawa kosztowała go mnóstwo nerwów. I w dodatku zapomniał oddzwonić do Olszańskiego. Miał w pamięci kilka jego połączeń i wiedział, że prokurator będzie wściekły, ale dopiero późnym popołudniem zauważył, ilu ludzi próbowało się z nim dzisiaj skontaktować.

W dodatku ten jego cholerny stary mercedes znowu miał jakieś fochy. Tracił moc na wyższych obrotach. Świece? Kable? Tak czy siak, kolejne wydatki. I kolejne wydatki.

Wzdrygnął się na wspomnienie tej biednej dziewczyny w samochodzie pod lasem. Nie miała żadnych szans.

*

Bolo pierwsze, co zrobił, to oczywiście pojechał pod dom tego faceta. Nie liczył, że tam go akurat zastanie, zresztą nie miał zamiaru z nim nawet gadać. I tak jednak poczuł się zaskoczony, gdy przy krawężniku zobaczył stojącego starego mercedesa okularnika. Przypomniał sobie, że takim właśnie autem jeździła ta kanalia od dobrych paru lat. Przy okazji jeszcze jedna sprawa się wyjaśniła. To on był wtedy w Rekinie i z typami ze starego kutra włamał się do tej dziennikarki. Bolo przejechał powoli wzdłuż ulicy i dyskretnie spojrzął w okna. Paliło się światło. Pojechał jeszcze kawałek, a następnie przy końcu ulicy zakręcił i żeby przed żadnym domem nie przejeżdżać dwa razy, zrobił rundę wokół całego kwartału. Zaparkował wreszcie przy płocie, mając widok na chodnik, przy którym stał stary grafitowy mercedes.

Popatrzył na zegarek. Dochodziła dwudziesta pierwsza. Stwierdził, że ma czas. Postanowił poczekać i zobaczyć, co facet będzie robił.

Kukła oczywiście popytał tu i ówdzie i dowiedział się, że facet miał podobno dzisiaj rano wyjechać z miasteczka. A tymczasem jest wieczór, a on nadal siedzi w domu. Ciekawe, co knuje.

*

Paulina obudziła się ponownie, gdy na dworze było już całkiem ciemno. Przez małe zakratowane okno wpadała do wnętrza jedynie blada poświata. Nie czuła się już tak dobrze jak poprzednio. Bolała ją głowa, czuła mdłości. Jakby miała potężnego kaca. Chciała się podnieść z łóżka, ale dostała od razu takich zawrotów głowy, że o mało nie straciła przytomności. W dodatku dopadła ją jakaś straszna depresja. Czuła się samotna i kompletnie opuszczona. I w dodatku nie wiedziała, co się z nią działo. Nie pamiętała prawie nic z całego dzisiejszego dnia. Ostatni obraz, jaki miała przed oczami, to uciekające drzewa na poboczach szosy. Gdzieś jechała, ale nie mogła sobie przypomnieć gdzie. A co było potem, w ogóle nie pamiętała. Nie miała pojęcia, jak znalazła się w tym brudnym pokoju z drewnianymi ścianami. Na zewnątrz szumiały drzewa. Czy to był jakiś las? Zatrzymała się w jakimś ośrodku po drodze?

Czuła się strasznie zmęczona. W dodatku miała chyba gorączkę, bo była spocona jak mysz. Chciało jej się płakać. Zwinęła się w kłębek i naciągnęła koc pod brodę. Słyszała, jak wiatr na zewnątrz stuka gałęziami o ściany domu.

*

Samochód zjechał z głównej szosy w ciemny, prowadzący przez las dukt. Gruntowa droga wiodła wśród sosen i dębów, pomiędzy którymi w świetle reflektorów jaśniały białe pnie nielicznych brzoź lub drgające na wietrze liście osiki. Jakiś czas temu zerwał się silny wiatr i szarpał koronami drzew. Wokół słychać było jego wycie.

Droga kilka razy zakręciła, w jednym miejscu pojawiły się rozstaje, a wreszcie pomiędzy pniami zaświeciły refleksy na tafli pogrążonego w mroku jeziora. Samochód zatrzymał się przed oplecionym bluszczem ogrodzeniem. Mężczyzna wysiadł i pchnął skrzydła wiszącej na dwóch stalowych słupach bramy z siatki. Po chwili mercedes wtoczył się na podwórze przed niewielkim drewnianym domem, którego kształt rysował się w kompletnej ciemności na tle jeziora.

*

Igor potknął się o jakiś wystający korzeń i o mało nie przewrócił na śliskiej błotnistej nawierzchni, tuż pod nogami idącego przed nim Dermota. Zaklął, gdy poczuł, jak jeden z Rosjan walnął go kolbą karabinu w plecy. Ciekawe, dlaczego od razu założył, że to Rosjanie, mimo łotewskiej bandery. Zresztą, jakie to miało znaczenie. Na Łotwie Rosjanie byli drugą co do liczebności narodowością.

– *Bystriej!* – usłyszał głos idącego za nim mężczyzny.

Pomyślał, że to chyba ten degenerat z czerwoną gębą, który najbardziej chciał się ich pozbyć.

Starał się myśleć racjonalnie, ale w tej sytuacji nie było to proste. Skoro zawiązali im oczy przed zejściem z jachtu i prowadzili teraz na oślep przez jakieś rumowisko, to by znaczyło, że nie chcą, aby zapamiętali to miejsce. Poznali je. Czy to znaczy, że rozważają jednak wypuszczenie ich, czy są po prostu zapobiegliwi? Na wypadek na przykład, gdyby jakimś cudem któremuś z nich udało się przeżyć?

Płynęli jakieś siedem godzin, może osiem. Żadne z nich nie miało zegarka, wszystko, co mieli przy sobie, Rosjanie zabrali im, jeszcze zanim zamknęli ich w ładowni. Po kilku godzinach można było stracić rachubę czasu. Idąc teraz z zawiązanymi oczami, starał się wydobyć jak najwięcej informacji z hałasów, które go dobiegały. Tylko że jeśli płynęli osiem godzin, to teraz wypadała jakaś druga albo trzecia godzina. Środek nocy. Większość odgłosów nie była typowa ani reprezentatywna. Jakies uśpione miejsca, pogrążone w ciszy, przerywanej krzykami mew. Mewy nie były żadną informacją. Latały, dokądkolwiek popłynęli. Słyszał w tle jakieś odgłosy syren chyba. Więc to port, ale to też żadna informacja. Gdzie indziej mieliby wpłynąć jachtem, jak nie w pobliże jakiegoś portu? I wreszcie usłyszał głośnie szczekanie. Idący z przodu Sierow kazał się zatrzymać, a po chwili dobiegł Igora metaliczny dźwięk jakiejś otwieranej bramy i głośnie ujadanie psów. Dwóch albo trzech. Ruszyli dalej. Nawierzchnia była teraz twarda, ale pełna dziur i nierówności. W pewnym momencie potknął się ponownie i poleciał kilka kroków do przodu. Usłyszał gdzieś za plecami przekleństwo idącego z tyłu Rosjanina, a zaraz potem jego krótki śmiech.

I wreszcie potępieńczy zgrzyt jakichś wrót. Weszli do środka. Potem schody. Dookoła śmierdziało moczem. Jeszcze jedno wrota. Także stalowe.

Po chwili zatrasnęły się z głuchym łomotem i nastąpiła cisza.

Rozdział 29

Czwartek, 17 września

Po raz trzeci Paulinę obudziły hałasy na zewnątrz domu. Otworzyła oczy i przez dłuższą chwilę leżała, wpatrując się w sufit. Miała wrażenie, jakby obudziła się z długiego, złego snu. Świadomość wracała powoli. Wraz z pamięcią. Pamiętała uciekające drzewa na poboczach szosy, ale z wolna wracały inne wspomnienia. Biało-zielony szlaban, a za nim, niknący wśród drzew, wjazd do lasu. Mężczyzna nachylony nad otwartym silnikiem jej samochodu. W pamięci widziała go najpierw jedynie z tyłu i nie wiedziała, kim on jest. I jeszcze jedno wspomnienie – delikatne ukłucie w ramię, które poczuła, gdy wsiadła do jego auta. Myślała, że to komar albo pszczoła. Spojrzała na rękę. Podniosła rękaw bluzki. Na ramieniu miała niewielki ślad po ukłuciu.

Popatrzyła na zegarek. Była druga.

Nie czuła się dobrze, ale przynajmniej była świadoma. Wracała jej przytomność i wszystko widziała własnymi oczami. Nie pamiętała, jak się tutaj znalazła. Chociaż usilnie próbowała sobie to przypomnieć, wspomnienie nie chciało wrócić. Tak jakby go nie było.

Powoli usiadła i rozejrzała się dookoła. Pokój był niewielki, wyłożony starą boazerią z drewnianych klepek. Na podłodze leżał lakierowany parkiet, pod ścianą stała skromna szafka, obok której były drzwi. Podniosła się i ostrożnie zrobiła krok w ich kierunku. Złapała za klamkę. Zamknięte. Odwróciła się do okna. Za brudną firanką widać było solidne, stalowe kraty.

Pochylony nad jej autem mężczyzna prostuje się i coś do niej mówi...

Wciąż nie mogła sobie przypomnieć jego twarzy.

Na zewnątrz usłyszała jakiś hałas. Jakiś warkot silnika, a potem po ścianach pokoju przesunęła się plama światła. Pod dom ktoś podjechał.

Igor słyszał przez chwilę wokół siebie oddechy pozostałych osób. Gdy drzwi zatrzasnęły się z łoskotem, stał nieruchomo, czekając nie wiadomo na co i bojąc się poruszyć. Podniósł rękę i zerwał z oczu opaskę. Zamrugał i rozejrzał się dookoła. Było całkowicie ciemno, dopiero po dłuższej chwili, gdy wzrok przyzwyczał się do mroku, zaczęły docierać do jego oczu pierwsze obrazy. Obok stał Dermot, a dalej Gwen. Zobaczył, jak Dermot także zrywa opaskę i klnie głośno. Igor zadarł głowę, wydawało mu się, że z góry dociera jakieś światło. Wysoko, kilka metrów nad ich głowami, widać było zakratowane wąskie okna. Znajdowali się chyba w dużej hali fabrycznej. Betonowe albo murowane ściany, nad głowami majaczyły jakieś kratownice. Na środku hali stały zrujnowane stalowe resztki urządzeń. Usłyszał, jak Jamie kaszle, a potem zobaczył, jak pochyła się przy ścianie i wymiotuje.

– Co się dzieje? – krzyknęła z przestachem Gwen, której wzrok nie przyzwyczał się jeszcze do ciemności.

– Nic – uspokajająco mruknął Dermot. – Jamie nazał się na jachcie słodczy.

– Gdzie my jesteśmy?

– Nie mam pojęcia. Są wszyscy? Halo! Odzywać się!

Każdy po kolei krzyknął swoje imię. Nikogo nie brakowało. Na chwilę zapanował rejwach, gdy wszyscy zaczęli rozglądać się wokół siebie.

– Domyślasz się może, gdzie jesteśmy? – Johann wyłonił się z ciemności i stanął blisko Igora.

– Płynęliśmy jakieś osiem godzin.

– Czy to może być Łotwa?

– Nie sądzę – odezwał się Bill. – Płynęliśmy wprawdzie z dużą prędkością, te bandziory nie oszczędzały silników, ale na Łotwę nie dotarlibyśmy tak szybko. Starłem się śledzić zmiany kursów, ale zgubiłem się. Wydaje mi się, że płynęliśmy dokładnie na wschód. „Pandora” stała nad U-Bootem dziobem na północny wschód, potem wykonała skręt o jakieś kilkanaście stopni.

– Jacht został na jakiejś redzie. – Igor odwrócił się i wyłowił z mroku kolejny element: stalowe drzwi, przez które prawdopodobnie tutaj weszli. – Skoro przyплыли po nas motorówką, możemy być na kompletnym zadupiu,

z dala od większych portów.

– Ciekawe, co się stało z tym poparzonym Ruskiem – odezwał się Jamie.
– Boże, jaki ja jestem zmęczony. Nie ma tutaj nawet na czym usiąść.

– Pewnie dlatego tak gnali. – Igor usłyszał głos Alice. – Gdyby zwrócili się do kogokolwiek o pomoc, toby ich namierzyli. Był mocno poparzony, mógł nie przeżyć tej podróży.

– Raczej nie będę po nim płakał. Ciekawe, czy nas ktoś w ogóle szuka.

– „Pandora” miała wyłączone AIS, nie nadawała informacji o swoim położeniu. – Bill podszedł do betonowego murka, na którym opierały się żelazne słupy, i usiadł. – Ale to jeszcze za mało, żeby ktokolwiek wszczął alarm. Nie wysłaliśmy żadnego sygnału ani próśb o pomoc.

– Nadal uważasz, że nasza wyprawa to przerażająca nuda? – Johann westchnął i spojrzał na Jamiego. – W porównaniu ze Szkocją oczywiście.

– Przestałem tak uważać już w więzieniu w Darłowie. Bawię się wyśmienicie.

– Przestańcie gadać głupoty – jęknęła Gwen. – Co możemy zrobić?

Dermot złapał za stalowe rury przy wrotach i szarpnął nimi z całej siły. W hali rozległ się potępieńczy jazgot.

– Okna są za wysoko i są zakratowane. – Igor podniósł głowę do góry. – Nie ma nawet na co się wspiąć.

– Co oni zamierzają z nami zrobić? – Gwen ukryła twarz w dłoniach.

Pytanie zawisło w powietrzu. Na moment zapanowała cisza. Z zewnątrz dochodził jedynie stukot i zgrzyt poruszających się na wietrze krat i stalowych skorodowanych blach.

– Skoro przywieźli nas aż tutaj... – przerwała w końcu milczenie Alice.

– No właśnie. – Johann podszedł do Gwen i usiadł obok na ziemi. – Gdyby chcieli się nas pozbyć, to mieli setki okazji na morzu.

– Czytałam, że załogi porwanych statków spędzały nawet po pół roku w niewoli.

– W Somalii. – Dermot podszedł do ściany, w której znajdowały się okna, i przyglądał się sterczącym z niej fragmentom stalowych zbrojeń.

– A jaka to różnica? Rosjanie są chyba jeszcze mniej przewidywalni.

Igor pomyślał, że Gwen ma pewnie rację, ale uznał, że lepiej będzie zachować to dla siebie. Po kilkunastu minutach jego wzrok przyzwyczaił się do ciemności i dostrzegał teraz o wiele więcej szczegółów. Znajdowali się w jakiejś hali, ale raczej nie fabrycznej. Nie było żadnych suwnic, torowisk czy innej przemysłowej infrastruktury. Hala przypominała raczej hangar na jakiś sprzęt. Podobnie wyglądały hangary na samoloty, które miał okazję oglądać od wnętrza. Jedna ze ścian była chyba w całości odsuwana. Prawdopodobnie jednak działało się to mechanicznie, a biorąc pod uwagę jej ciężar i korozję, nie było raczej co marzyć o jej ruszeniu nawet o centymetr. Ponownie zadarł głowę do góry. Halę nakrywały kratownice, na których leżał strop wyższej kondygnacji albo stropodach. Z wnętrza trudno było to ocenić. Zresztą gdyby nawet jakimś cudem udało im się wyjść, to na zewnątrz przecież biegały psy.

Westchnął i podszedł do ściany, przy której siedział Johann. Ukucnął i usiadł obok niego.

– Boże! – Gwen nagle podniosła głowę.

– Nie przejmuj się tak na zapas – poprosił Johann. – Może nic nam się nie stanie.

– Nie o tym pomyślałam. – Gwen odwróciła się i spojrzała na Igora. – Pamiętasz, jak na pokład przyszedł ten prokurator do Pauliny? W poniedziałek rano?

Igor skinął głową.

– Paulina potem nam opowiedziała o tym zamordowanym staruszku i o swoim śledztwie. Oglądaliśmy te stare dokumenty, a potem pokazała nam zdjęcia z lochu pod domem. Tego trupa lotnika.

Igor zmarszczył brwi. Zastanawiał się, do czego Gwen zmierza.

– Na jednym ze zdjęć był ten typ, którego widziałam potem w lesie niedaleko plaży.

– Z szefem tych bandziorów?

– No właśnie!

Johann otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale ubiegł go Igor.

– Zaraz, przecież na tych zdjęciach była wyłącznie piwnica i te wykopane

szczątki.

Gwen pokręciła głową.

– Na jednym widać było stojącego z boku pod ścianą mężczyznę. Obok policjantów w mundurach. Ponury taki, łysiejący trochę. To był on!

Igor otworzył usta, jakby chciał o coś jeszcze zapytać, ale właśnie przypomniał sobie to zdjęcie.

*

Niewielką zatokę oddzielał od zalewu stary zrujnowany falochron. Zbudowany ze stalowych blach grubości jednego centymetra, częściowo wypełnionych piaskiem i betonem, sterczał z wody niczym jakaś gigantyczna machina tortur. Przesmyk pomiędzy stalowymi, pordzewiałymi ruinami miał jedynie kilkadziesiąt metrów szerokości, a całość pozbawiona była jakiegokolwiek oświetlenia. Przy południowym jego krańcu, pogrążona w całkowitej prawie ciemności, stała „Pandora”. Na jej pokładach paliły się jedynie światła pozycyjne – „statek na kotwicy”.

Artiom stał na galerii głównego pokładu i patrzył na majaczący w oddali brzeg zatoki. Zawsze uważał, że to przerażające miejsce. Bywał tutaj kiedyś, gdy służył w marynarce. Pokręcił głową, odpędzając wspomnienia. Miał teraz inny problem. Odkąd minęli falochrony, strzegące głównego toru wodnego do portu, myślał prawie bezustannie nad tym, jak wybrnąć z sytuacji. Miał złe przeczucia. Ten namaszczony przez wiadomo kogo generał z Moskwy to nie był jakiś zwyczajny gość, z którym można się dogadać. Jeśli uzna, że awantura z Anglikami przyniesie mu zbyt wiele szkód, to pozbędzie się ich bez mrugnięcia okiem. Rosja to wielki kraj. Nikt nigdy ich nie znajdzie w jakimś dole z wapnem albo na dnie Bałtyku w betonowej trumnie.

W przeciwieństwie do Iwana i Saszy, którzy irytując go niemiłosiernie, leżeli wyciągnięci na sofach w głównej mesie, Artiom podejrzewał, że jeśli sytuacja przybierze taki obrót, to oni wszyscy też wylądują dokładnie w tym samym miejscu co ci Angole.

Nazwisko generała czyniło tutaj cuda. Gdy wpływali godzinę temu, ogromny biały jacht od razu oczywiście przyciągnął patrol. Wejście do portu

Sierow zgłosił, jak należy, przez lokalny traffic na kanale siedemdziesiątym czwartym, ale nikt tam nie chciał specjalnie ani jachtu oglądać, ani z nimi gadać. Chłopcy z patrolu, którzy dobili do burty strasznie napaleni na kontrolę, po kilku słowach wyjaśnienia zrobili się jowialni i wylewnie się pożegnali. Na odprawę dostali flachę jakiegoś koniaku, którą Sierow wyciągnął z barku w mesie. Miał teraz przynajmniej pewność, że nikt więcej nie podpłynie do nich nawet na metr.

Do portu wchodzili już bez „ładunku”. Trochę wcześniej, gdy jeszcze stali na pełnym morzu, podpłynęła do nich motorówka i zabrała Anglików na brzeg. Artiom wiedział dokąd. Na mierzei znajdowało się stare, ponemieckie jeszcze lotnisko hydroplanów. Ogromny obszar zarośnięty gąszczem zdziczałej zieleni, z ogromnymi wałącymi się magazynami i hangarami. Poza dawny pas startowy lepiej było nie chodzić. Połacie żelbetowych nabrzeży ze sterczącymi zębami rdzewiejącego zbrojenia, zrujnowane pochylnie. Dalej ciągnęły się tereny należące do wojska oraz ogrodzone siatką połacie tajemniczych składów i hurtowni. Miejsce straszniejsze nawet niż rozszawiony Czarnobyl, do którego ciągnęły wycieczki z całego świata.

Artiom splunął w brudną wodę zatoki. Przez uchylone drzwi doszły do niego fragmenty rozmowy.

– ...może przeżyje. Ale nurkować to już raczej nie będzie. – Artiom poznał głos Saszy.

– Jestem pewny, że to ci Angole tak go załatwili na dole.

– Kuter zwał im się prawie na głowy. Słyszałeś, co mówili. Wadim musiał być blisko jednej z beczek z iperytem.

– Gówno prawda. – Iwan wiedział swoje. – Ten wielki bydlak, co z nimi nurkował, miał taką minę, jakby gołymi rękami chciał mnie zabić.

– Wcale mu się nie dziwię – parsknął Sasza.

– Ciekawe, co ten generał postanowi?

– Jak to co? Każe się ich pozbyć, a łódkę zabierze sobie. Sfinguje, że zatonąła.

– A co z U-Bootem?

– Wie już, gdzie jest. Poradzi sobie bez nas.

*

Paulina odsunęła się od drzwi i ze strachem patrzyła na klamkę. Rozejrzała się po pokoju w poszukiwaniu czegoś, czym mogłaby się obronić, ale poza meblami niczego tutaj nie było. Mogła wyrwać drzwiczki od szafki i zacząć się z nimi na wchodzącego. Spojrzała na solidną drewnianą szafkę i pomyślała, że zbyt pochopnie oceniła swoje możliwości wyrwania drzwiczek z zawiasami. Za ścianą usłyszała chrobot klucza w zamku, potem trzaśnięcie drzwi i kroki...

Zaraz, gdzieś już je słyszała. Nierówny, charakterystyczny rytm. Jakieś niejasne wspomnienie pojawiło się na krańcu świadomości. Tuż za jej progiem. Gdzie mogła słyszeć ten dźwięk? Może po prostu usłyszała te kroki, gdy mężczyzna szedł do jej samochodu? Przypomniała sobie parkującego kawałek za jej micrą grafitowego mercedesa.

Cichy, nieregularny stukot, a potem cisza... Skąd jest to wspomnienie?

Pamięć wróciła jej tak nagle, jakby ktoś nieoczekiwanie zapalił światło. Przypomniała sobie w jednej chwili twarz mężczyzny, do którego samochodu wsiadła, i jednocześnie to, gdzie po raz pierwszy usłyszała jego kroki.

I wszystko stało się nagle oczywiste. To ten charakterystyczny chód usłyszała w słuchawce, gdy Karol Wyrzykowski odszedł od telefonu i długo nie wracał. Ktoś podszedł i odłożył słuchawkę. Musiał utykać, mieć jakiś problem z nogami.

Boże! Przecież widziała to nawet na własne oczy, ale myślała wtedy, że może fotel był niewygodny, że noga mu zdrętwiała. Rozmawiała z nim przecież w tym hotelu w Dąbkach.

Tylko on mógł bez problemu wejść do domu Wyrzykowskiego.

Polisa na trzysta tysięcy złotych...

I był przecież anestezjologiem...

W zamku zachrobotał klucz. Klamka drgnęła i powoli zaczęła się przekręcać.

*

Od strony portu rozległ się terkot i po chwili przez przesmyk

w falochronie wpłynęła motorówka. Artiom, który chciał właśnie wejść z powrotem do wnętrza i już trzymał rękę na pochwycie odsuwanych drzwi, cofnął się i schował za wielkim skrzydłem zewnętrznego pokładu. Miał stąd dobry widok na to, co działo się na dolnym pokładzie, samemu nie będąc widzianym. Motorówka przybiła do rufy „Pandory” i weszło z niej na pokład dwóch potężnie zbudowanych mężczyzn w czarnych koszulkach z krótkimi rękawami. Artiom usłyszał, jak o kogoś pytają. Po chwili na schodach z górnego pokładu rozległy się kroki i na rufie pojawił się Sierow. Artiom słyszał, jak pół godziny wcześniej Sierow, zamknięty w kambuzie na dole, długo gadał z kimś przez telefon. Czy ta wizyta to efekt tej rozmowy?

– Jedziesz ze mną! – Artiom usłyszał głos Sierowa. – Wrócimy przed świtem. Ty, Iwan, zostaniesz na jachcie.

Artiom pomyślał, że brak reakcji świadczył pewnie o tym, że Iwan pokiwał głową.

– Pilnuj Zetlersa.

– A co z Angolami?

– W nocy ich zabiorą. Do rana mają zniknąć.

Motorówka odbiła od burty jachtu i zostawiając za sobą spieniony kilwater, odpłynęła w kierunku portu. Po chwili zniknęła w mroku. W oddali, na wąskim pasku oświetlonego nabrzeża widać było ogromne, najeżone lasem stalowych masztów i radarów cielska wojskowych okrętów wojennych.

Artiom zacisnął zęby.

*

Igor siedział pod ścianą obok Johanna. Wyprostował nogi i rozejrzał się po hali. Wszyscy pozostali myszkowali po wielkim hangarze, zaglądając w każdą dziurę i usiłując znaleźć jakieś przejście, otwór albo drabinę, która pozwoliłaby im wydostać się na zewnątrz. Gdy Igor nieśmiało przypomniał o psach, Dermot machnął ręką – jak znajdą wyjście, wtedy będą się zastanawiać, co zrobić z psami.

Oparł głowę o ścianę i przymknął oczy. Jeśli Gwen nic się nie pokręciło i facet, którego widziała w lesie z tym Rosjaninem, to był naprawdę młody

Wyrzykowski, to co to oznaczało? Jaki to ma związek z zamordowaniem jego ojca? Przypadek? Nie ma takich przypadków. Ale przecież on, jak twierdził ten cały prokurator, przyjechał do Dąbek dopiero we wtorek rano. Kłamał? Policja nie sprawdziła dokładnie? O czym ten typ mógł rozmawiać z szefem piratów dzisiaj rano? W dzień, w który wypłynęli w ślad za „Pandorą” i pewnie już wtedy mieli dokładnie wszystko zaplanowane?

Z zamyślenia wybił Igora głośny rumor.

Kilkanaście kroków od nich Gwen szarpała za uchwyt tej samej ruchomej ściany, na którą wcześniej sam zwrócił uwagę. Ściana ani drgnęła. Igor patrzył przez moment na dziewczynę, po czym odwrócił się do Johanna.

– To coś poważnego? – spytał cicho.

Anglik siedział, obejmując rękami podciągnięte pod brodę kolana.

– Słucham? – Uniósł brwi.

– Z Gwen.

Johann uśmiechnął się i spojrzał w kierunku dziewczyny.

– Nie wiem jeszcze.

– Ty nigdy nie wiesz.

– I kto to mówi?

– Jak w ogóle się poznaliście? Nigdy nie mówiłeś.

– Ironia losu.

– Dlaczego? – Igor spojrzał zaskoczony.

– Pamiętasz moją babcie?

Igor uśmiechnął się na wspomnienie wizyty w wielkim angielskim dworze, gdzie niepodzielnie królowała lady Wiktorja Carley i jej nieodłączna ochmistrzyni Emma Morlock. Wspomnienie na moment rozjaśniło mroki jego myśli. Apodyktyczna babcia Johanna, która miała za złe jego matce, swojej synowej, jej niezależność, odciągnięcie syna od rodziny i wreszcie rozwód.

– Babcia mnie z nią poznała.

Igor głośno parsknął śmiechem, ściągając na siebie wzrok pozostałych więźniów.

– Dałem się namówić na obiad, a na miejscu okazało się, że babcia zaprosiła też kilkoro sąsiadów. Między innym Claire Crichton-Stuart z córką Gwendolyn Annabell. Jak usłyszałem w holu jej imiona, od razu zobaczyłem w wyobraźni Fionę ze *Shreka*.

Igor roześmiał się głośno.

Jamie odwrócił się w ich kierunku.

– Odbiło wam? Możemy wszyscy zginąć, a ci sobie żarty stroją.

Jego słowa spowodowały, że tym razem i Johann, i Igor zgodnie parsknęli śmiechem.

– Są chyba w szoku. – Bill podszedł bliżej i pochylił się nad dwoma zaśmiewającymi się mężczyznami, jakby chciał sprawdzić, w jakim są stanie.

– To zawsze tak jest – zawyrokował Jamie. – Wszyscy bohaterowie horrorów najpierw się dobrze bawią, potem wciąż nie mogą uwierzyć, że wpadli w gówno po uszy, aż wreszcie zaczynają ginąć jedno po drugim.

– Jamie! – Gwen podniosła oczy do góry. – Po co ty takie głupoty gadasz?

– Jeśli cię to pocieszy, to my pewnie zginiemy razem, a nie jedno po drugim – mruknął Dermot.

– Jesteście kretykami. – Gwen usiadła na ziemi pod ścianą i przetarła oczy dłońmi.

Igor, słuchając Johanna, przypomniał sobie o swoich rodzicach, którzy czekali na nich w Dalewie. Pomyślał, że jeśli matka w międzyczasie próbowała się z nim skontaktować, to teraz pewnie obdzwaniała wszystkie szpitale w województwie. Ciekawe swoją drogą, kiedy złączą ich szukać? Pomimo krótkiej chwili wesołości złapał się na tym, że z przyjemnością zamieniłby ten hangar na Dalewo, do którego tak obawiał się jechać, przerażony wizją powitania chlebem i solą przez miejscowego sołtysa. A pomyśleć, że wszystko zaczęło się od pamiętnika jakiegoś staruszka. Przypomniało mu się w tym momencie to, co powiedział szef tych bandziorów. Że jeszcze dziś będą mieć teczkę z dokumentami Pauliny. Pomyślał wtedy, że chcą okraść jej samochód, ale teraz dotarło do niego, że na tym raczej nie poprzestaną. Jeśli likwidują wszystkich, którzy wiedzieli cokolwiek o historii U-Boota i jego ładunku, to Paulinę jako dziennikarkę, zamierzającą w dodatku to wszystko opisać, będą chcieli usunąć przede

wszystkim. Czy to o tym gadał ten bandzior z Wyrzykowskim?

Igor westchnął i oparł głowę o ścianę. Zastanawiał się, jak długo każą im tutaj siedzieć. I co będzie potem.

*

Artiom wszedł do mesy na głównym pokładzie i rozejrzył się. Iwana nie było. Pewnie siedział na mostku i wlepił gały w kamery monitoringu. Podeszedł do okien i wyjrzał na zewnątrz. Gdzieś daleko, na horyzoncie ciemności migotały światelka portu.

Artiom zaczął się denerwować. Czuł to znajome napięcie, gdy nie można się zdecydować, co robić, a czas ucieka i za chwilę może już być za późno.

Sięgnął do barku i wyciągnął pękatą butelkę koniaku. Nie pijał takich alkoholi, ale zwykłej wódki tu nie było. A taka właśnie akurat by się przydała. Pociągnął łyk, odstawił butelkę i ruszył w kierunku mostku.

Iwan siedział w fotelu i przez wewnętrzne kamery przyglądał się pokładowi jachtu. No oczywiście.

– Cały monitoring tu jest – rzucił, widząc Artioma w drzwiach. – Jak w jakimś hotelu.

– Nie masz nic lepszego do roboty? – Artiom od niechcienia podeszedł do drugiego fotela i usiadł.

– Mam. Muszę cię pilnować, żebyś niczego nie skroił – zarechotał Iwan.

– Jak coś po tobie zostanie.

Artiom odetchnął. Pomyślał, że zapyta prosto z mostu.

– Kto właściwie kropnął tego starego?

Iwan ściągnął brwi i zlustrował go wzrokiem.

– Ktoś tu, jak widzę, prowadzi śledztwo – zakpił.

Artiom wzruszył ramionami

– Jestem po prostu ciekaw.

– Pamiętasz, że Sierow przyjechał do Darłowa autem?

Artiom kiwnął głową.

– W sobotę. Z Woroninem. Wcześniej to nagrali z synalkiem starego. Namówili tego wioskowego przygłupa na udział w łatwym włamie. Miał po cichu wpuścić Woronina przez ogród, drzwi miały być otwarte. Później tą samą drogą wydostali się na tyły domów, a Stasiak, który przecież tam sprzątał, zagrabił starannie wszystkie ślady. – Iwan zarechotał i wytarł nos. – Woronin opowiadał, że jak stary się pokazał w korytarzu, to ten Stasiak o mało się nie złał. A potem to wpadł w taką panikę, że myśleliśmy, że na naszym kempingu zejdzie – parsknął krótko. – Wyszło w sumie nawet lepiej, niż planowaliśmy, gdy ten frajer się powiesił.

Artiom siedział i patrzył nieruchomym wzrokiem w monitor.

– Woronin go zabił?

– A kto? – parsknął Iwan. – Ten wyrodny synalek nie chciał na to patrzeć. Schował się. Potem tylko przeszukał mieszkanie. Tyle że nic tam nie było.

– Nie mogliście się po prostu włamać? W nocy na przykład?

– Stasiak pracował obok tylko rano.

– Naprawdę trzeba było go zabijać?

– Wszyscy, którzy coś wiedzieli, mieli zniknąć.

Artiom przez dłuższą chwilę trawił usłyszane słowa.

– A ten Niemiec?

– Ty, widzę, że bystry jesteś – Iwan zarechotał. – Mieliśmy wachtę razem w poniedziałek, pamiętasz?

Artiom pokiwał głową.

– Poszedłem na spacer. Spotkaliśmy się z Woroninem na plaży. No i tyle.

Na mostku na chwilę zrobiło się cicho. Słyszać było tylko szmer jakichś pracujących sobie spokojnie elektronicznych urządzeń.

*

Drzwi powoli się otworzyły. Skrzypiały i Paulina pomyślała, że to już jest przesada. Życie nie powinno do tego stopnia imitować tanich thrillerów. Na progu stał Marek Wyrzykowski i patrzył na nią chłodnym, opanowanym wzrokiem. Jakby była jego pacjentką.

– Obudziła się pani. – Spojrzał na zegarek. – Bardzo dobrze. Prawdopodobnie dobrana dawka.

– Dał mi pan jakiś narkotyk? – Paulina zadała pierwsze pytanie, które w tym momencie przyszło jej do głowy.

– Oczywiście. – Uśmiechnął się

– Po co mnie pan porwał? Po co to wszystko? – Pokręciła głową. – Przecież ja nie miałam żadnych dowodów. Nigdy bym się zresztą nie domyśliła, że to pan...

– Że zabiłem ojca? – Wyrzykowski wzruszył ramionami. – Jeśli chodzi o ścisłość, to nie ja.

– Stasiak?

– Ten kretyn był tylko kozłem ofiarnym.

– Więc po co? Nie jestem świadkiem, nie potrafiłabym niczego udowodnić...

Paulina rozpaczliwie starała się przedłużyć rozmowę, myśląc gorączkowo, co mogłaby zrobić, żeby się stąd wydostać. Nie było za wiele opcji.

– Nie chodziło o mojego ojca, tylko o te pieprzone dokumenty, które dał tobie, nieznamym babie, a które ja latami usiłowałem od niego wydostać. Całe życie trzymał w tajemnicy tego trupa pod domem. Nic dziwnego, że w końcu zwariował.

– Przecież te dokumenty nie mają żadnej wartości materialnej. Poza tym wróciłyby do pana. Gazeta by je zwróciła.

– Po tym, jak wszystko by opublikowała.

– Chodziło o mapę? O to światło umarłych? Wunderwaffe?

– Ja mam akurat w dupie Wunderwaffe. Dostanę pieniądze z ubezpieczenia, a dodatkowo rekompensatę za te nieprzyjemności. Mapą zajmie się ktoś inny. A to, czego szukają, może mieć akurat ogromną wartość materialną. Niepotrzebnie zaczęłaś w tym grzebać. Ktoś uznał, że wiesz za dużo.

– Moi znajomi też widzieli te dokumenty i mapę! Będą mnie szukać!

– Z twoimi znajomymi nie będzie już problemów.

Paulina na chwilę zaniemówiła. Poczwała w głowie kompletny chaos. Co

on ma na myśli? To nie może się dziać naprawdę!

Wyrzykowski sięgnął do kieszeni i wyjął strzykawkę wypełnioną klarownym ciemnym płynem.

– Co to jest? – Paulina patrzyła z rozpaczą na drzwi. Gdyby rzuciła się przed siebie, czy zdołałaby mu się wyrwać?

– Nie próbuj nawet myśleć o ucieczce. – Wyrzykowski dostrzegł jej wzrok. – Jesteś bardzo słaba. Dostaniesz kolejną porcję czegoś, po czym będziesz smacznie spała przez kolejną dobę. A jutro ktoś się tobą zajmie.

Mężczyzna podszedł do Pauliny i gwałtownie chwycił ją za rękę. Nie miała siły się wyrwać. Był nadspodziewanie silny. Nawet bez tego osłabienia przez narkotyk nie miałaby wielkiej szansy, by sobie z nim poradzić. Spróbowała wyszarpnąć rękę.

Wyrzykowski podniósł strzykawkę do góry.

Paulina szarpnęła się jeszcze raz do tyłu i zaczęła głośno krzyczeć.

*

Teraz albo nigdy! Lepszej okazji nie będzie! Artiom zacisnął pięści i wciągnął głośno powietrze do płuc. Sierow powiedział, że wrócą przed świtem. Słońce wschodziło o szóstej. Była prawie trzecia. Ma trzy godziny, żeby stąd uciec. Ci głupcy, Kliczkow i Kowalow, myślą, że dostaną swoją dolę i wrócą do domów. Artiom naoglądał się w wojsku rzeczy, które sprawiły, że przestał być idealistą na zawsze. A zwłaszcza tutaj, w tym kacapskim, chorym mieście. Jeśli Sierow zdoła wybronić się przed generałem, to może zostanie na jego łasce. Chociaż teraz, jak już znaleźli U-Boota, ma raczej słabe karty. Może się licytować, może nie zdradzić pozycji łodzi, ale jak długo zdoła to ciągnąć? Tym bardziej że takie gierki będą jeszcze gorzej widziane. Będzie miał kupę szczęścia, jeśli zostawią go przy życiu. W tym kraju codziennie, w czasie ćwiczeń wojskowych, wciąż ginęło prawie tylu żołnierzy co w czasie wojny, a ktoś miałby się przejmować jakimiś marynarzami? Zresztą nie muszą ich wcale zabijać. Jacht to żaden interes dla generała. Znajdzie się pewnie za jakiś czas, a tak zwani porywacze zostaną osądzeni, oskarżeni o zamordowanie załogi i wywiezieni tam, skąd nikt nigdy nie wraca. A Woronin oczywiście umrze w szpitalu.

Poczuł, jak wbija sobie paznokcie w dłoń. Odetchnął głęboko i szarpnął drzwi do mesy.

Zbiegł na najniższy poziom, gdzie w kabinach załogi Sierow i Woronin trzymali swoje rzeczy. Drzwi wszystkich kabin były otwarte, poza jednymi. Artiom szarpnął za klamkę. Spojrzał w kierunku schodów na górę, cofnął się pod przeciwległą ścianę korytarzyka i rozpędem z całej siły kopnął drewniane skrzydło. Drzwi z łomotem wpadły do kabiny. Artiom wskoczył do środka i rozejrzał się wokoło. Na jednej z prycz leżała torba, którą Woronin zabrał ze sobą na jacht. Artiom sięgnął po nią i wysypał zawartość na koc. Wiedział, że znajdzie tam to, czego szukał. Nieduży, wykonany z lekkich polimerów, świetnie leżący w dłoni. Strzelający pokrytymi stalowym płaszczem nabojami, przebijającymi każdą kamizelkę kuloodporną. Rosyjski „wektor” – samopowtarzalny pistolet federalnej policji. Wsadził go za pasek i wyjął koszulę ze spodni. Rzucił się do drzwi, a potem cofnął i zabrał jeszcze czarną bluzę z kapturem, która leżała na krześle.

Wszedł na wyższy pokład i rozejrzał się. Iwan pewnie nadal siedzi na mostku. Musiał zabrać ponton. Nie zrobi tego bez zwracania uwagi. Tym bardziej że na mostku są kamery. Iwan od razu zauważy, co się dzieje. Wciągnął powietrze do płuc i ruszył schodami na kolejny pokład. W głównej mesie panował bałagan. Kilka godzin drogi spod Bornholmu wystarczyło, żeby zrobili tutaj chlew. Przypomniał sobie, jak stojąc na kutrze w Darłowie, marzył o tym, żeby znaleźć się na takim jachcie jak ten. No i się, kurwa, spełniło!

Artiom był żołnierzem. Gdy zdecydował się realizować swój plan, nie bawił się już w żadne wątpliwości. Wóz albo przewóz. Wszedł na mostek i zobaczył siedzącego w skórzanym fotelu Kliczkowa. Uzi leżało obok niego na fotelu drugiego oficera.

– Co jest? – Iwan się odwrócił.

Wyraz twarzy Zetlersa pewnie wydał mu się podejrzany.

Artiom sięgnął pod koszulę i zacisnął dłoń na spluwie. Kliczkow opuścił wzrok w dół i gwałtownie rzucił się do tyłu. Zanim dosięgnął pistoletu, dostał potężny cios w głowę i zwałił się nieprzytomny na podłogę.

Artiom związał go, a potem ocucił. Odczekał chwilę, aż Iwan skończy wyzywać go od najgorszych skurwysynów i kundli, następnie walnął go

w pysk. Zakneblował, wrzucił do jednej z kabin na samym dole i zamknął drzwi. Nie był mordercą. Gdyby zakneblował go nieprzytomnego, Kliczkow mógłby się udusić. Z drugiej strony, zostawiony luzem, darłby mordę na całą zatokę.

Artiom po drodze wszedł jeszcze na chwilę do kambuza, a następnie zbiegł na dolny pokład...

Ponton leżał na środku ładowni. Wciąż jeszcze był mokry. Artiom otworzył tylne wrota i wyciągnął go na rufę. Cofnął się do środka pomieszczenia i stanął przed panelem kontrolnym. Pamiętał, że gdzieś tutaj jeden z tych Anglików otwierał burty. Nie chciał przez przypadek włączyć na przykład oświetlenia iluminacyjnego, chociaż tu i tak nie byłoby go komu podziwiać. Chwilę tylko się wahał, po czym złapał za jedną z dźwigni i przesunął w dół. Trafiał! Burta automatycznie się otworzyła. Po chwili ponton kołysał się na falach. Zrujnowany falochron tylko teoretycznie osłaniał zatokę od wiatrów na zalewie, ale noc na szczęście była spokojna. Artiom wskoczył do środka i rzucił na podłogę torbę, z której wychlapało się kilka kropli krwi. Uruchomił silnik. Po chwili ponton pomknął ku nabrzeżom, gdzie rysowały się ciemne kształty zrujnowanych hangarów.

Igor drgnął. Ponure myśli, które przed chwilą obsiadły go jak stadko gołębi, rozpierzchnęły się dookoła. Gdzieś bowiem za stalowymi ścianami usłyszał hałas. Po chwili wielkie stalowe wrota poruszyły się i z jazgotem zaczęły się otwierać. Wszyscy w hali zamarli, wlepiając oczy w przesuwające się wolno wierzeje. Igor podniósł się i zrobił kilka kroków w stronę wyjścia. Przez chwilę potrzebną na otwarcie wrót zastanawiał się, co się teraz stanie. Przez głowę przemknęły mu obrazy znane z filmów i wiadomości – skuwają ich i prowadzą gdzieś jak owce, wpadają do środka i oddają kilka serii z karabinów albo zabierają tylko jedno z nich, a drzwi ponownie zamykają się z łoskotem.

Gdy wielkie skrzydło bramy odjechało na tyle, że można było zobaczyć, kto za nim stoi, wszyscy zamarli i stali w ciszy, wpatrując się bez słowa w mężczyznę, ubranego w czarną bluzę z naciągniętym na głowę kapturem.

Igor dopiero po chwili go poznał. To ten, który przyplłynął z Gwen z tonącego kutra.

– *Pojdiom skoriej! U nas niet wriemieni!*

Igor, który wszystko zrozumiał, dalej wpatrywał się zaskoczony. Reszta, nie pojawiając ani słowa, tym bardziej nie ruszyła się z miejsca.

– Ja mało mówię po angielsku! – Mężczyzna machnął niecierpliwie ręką.
– Mamy mało czasu. Tylko dwie godziny!

– Czego on chce? – Jamie spojrzał szeroko otwartymi oczami na Igora.
Mężczyzna powiódł wzrokiem za spojrzeniem Jamiego.

– *Ty Poliak? Poniał?*

Igor ocknął się i skinął głową.

– Nie wiem dlaczego, ale on chyba chce nam pomóc. Mamy z nim iść.

– A jak to podstęp? – Jamie wciąż stał w miejscu i wpatrywał się w Łotysza. – Jak zaczniemy uciekać, to nas zastrzeli.

– Nie jesteśmy w więzieniu. – Dermot postukał się w czoło. – Może to zrobić w każdej chwili.

– *Eto nie obman! Nie podstęp!* – Mężczyzna wskazał ręką za siebie. – *Idiom!*

Gwen zrobiła krok w kierunku drzwi i odwróciła się do pozostałych.

– Idziemy! To on mnie wyciągnął z kajuty na kutrze!

Łotysz kiwnął głową z ulgą i ruszył pierwszy.

Wyszli z hali. Najpierw był krótki zrujnowany korytarz, potem schody i znaleźli się w kolejnej hali, tym razem z wielkimi wrotami otwartymi na zewnątrz. W ogromnym hangarze była kiedyś równa cementowa posadzka. Teraz w wielu miejscach rozkruszyły ją wiotkie pędy roślin i traw, które z wolna, ale bezwzględnie, krok po kroku pochłaniały wielki budynek.

To tutaj się potknąłem, pomyślał Igor. Rozejrzał się wokół siebie. Gdzie to mogło być? Ceglane ściany, gigantyczne kratownice... Jakiś kolejny ponemiecki poligon?

– Psy! – Nagle zatrzymał się w miejscu. – Co z psami?

– *Wsio priekrasno!* – Łotysz machnął do niego ręką. – *Ja dał im żrać!*

Wyszli z hangaru na jego tyły, następnie przedostali się przez ogrodzenie z siatki na drugą stronę i znaleźli nagle w gąszczu porastających

zabudowania dawnego lotniska samosiewów. Przez kilka minut przedzierali się wzdłuż siatki na front gmachu. Gdy w ciemności pojawiły się jakieś refleksy, idący za Łotyszem Igor zobaczył, że zbliżają się do zatoki. Gdzieś po lewej stronie, na drugim brzegu, widać było mrugające światła jakiegoś miasta.

Gąszcz ustąpił miejsca zniszczonym betonowym nabrzeżom, z których wystawały resztki torów, prętów zbrojeniowych i pozostałości fundamentów jakichś dawnych wielkich urządzeń i maszyn. Johann zatrzymał się i rozejrzał wokół siebie.

– Gdzie my jesteśmy?

– Bałtyjsk – odpowiedział Łotysz i wskazał ręką kołyszący się przy betonowym brzegu ponton.

Bałtyjsk! Dawna Piława, po niemiecku Pillau! Obwód Kaliningradzki! No oczywiście!

Igor obrócił się dookoła siebie. A te hangary to pozostałości niemieckiej bazy hydroplanów. Tutaj Niemcy w czasie wojny mieli główny ośrodek szkolenia załóg U-Bootów. Po wojnie, do dzisiaj właściwie, to zamknięte miasto wojskowe, które zwiedzać można jedynie z okien samochodu. Główna baza morska Floty Bałtyckiej. Niegdysiejsza morska forteca Związku Radzieckiego, która po wejściu Polski i państw bałtyckich do Unii straciła nieco na znaczeniu.

Igor odwrócił się i spojrzał za siebie. Wzdłuż brzegu zatoki stały gigantyczne, pogrążone w całkowitych ciemnościach hangary. Na rozjaśnionym przez księżyc niebie rysowały się ich gargantuiczne kształty, niczym w jakiejś nekropolii dawnej cywilizacji. I prawie tak było. Stara ponemiecka baza wojskowa znajdowała się na końcu mierzei, zamykającej Zalew Kaliningradzki. Stała w zatoce nazywanej Kosą, która osłonięta była od otwartych wód zalewu zrujnowanym, szczyzącym żelbetowe kły falochronem.

– Musimy na dwa razy! – Łotysz wskazał ręką na zatokę. – Ponton jest tylko na cztery osoby, ale raz pięć też da radę.

Dopiero teraz Igor zobaczył, że na wschodnim krańcu zatoki mrugają światła pozycyjne jakiegoś dużego jachtu. Na tle nieba odcinał się jego opływowy kształt, który trudno byłoby pomylić z jakimkolwiek innym.

*

Paulina widziała wszystko jak w zwolnionym tempie. Wyrzykowskiego, który podnosił strzykawkę do góry. Małą kropelkę płynu, która pojawiła się na końcu igły. Spróbowała jeszcze raz wyszarpnąć rękę, obrócić się, ale była już świadoma, że to daremny trud. W duchu przygotowała się na ukłucie. Mężczyzna wykręcił jej ramię i wbił igłę w skórę. Przez krótką chwilę poczuła ból, a potem – miała wrażenie, jakby nagle wszystko eksplodowało.

Drzwi z łoskotem otworzyły się na całą szerokość i walnęły o ścianę. Zobaczyła, jak czyjeś wielkie ręce łapią Wyrzykowskiego za ramiona i odrywają od niej z impetem. Mężczyzna poleciał na ziemię jak bezwładny worek, przewrócił się na podłogę i walnął głową o deski. Strzykawka wyleciała mu z ręki i spadła na ziemię. Poturlała się po podłodze, zatrzymując obok jednej z nóżek drewnianej komódki.

Paulina leżała na łóżku i patrzyła kompletnie zdezorientowana na niespodziewanego wybawcę. Stojący na środku pokoju mężczyzna miał otumaniony wzrok, tak jakby sam nie wiedział, co się tutaj wydarzyło.

Wyrzykowski jęknął i uniósł się na łokciu. Wielki mężczyzna odwrócił się i jakby odzyskując świadomość, dopadł go ponownie. Kilka razy uderzył pięścią w twarz, a wreszcie walnął jego głową o podłogę. Wyrzykowski znieruchomiał.

Paulina poczuła nagle, że ponownie traci świadomość. Ogarnęła ją senność. Jednym z ostatnich obrazów, jakie zarejestrowała, był widok jej wybawcy, który pochylał się nad nią i coś do niej mówił. W jego oczach dostrzegła strach.

A potem znowu straciła przytomność.

*

Pograżona w ciemności „Pandora” z perspektywy zbliżającego się do niej pontonu wyglądała jak wielki, przysłaniający dalekie światła portu w Bałtyjsku cień. Igor odwrócił się i spojrzał jeszcze raz na brzeg zatoki. Jej nieoświetlone, zrujnowane nabrzeża i rampy stanowiły prawdziwe pole minowe dla każdego jachtu, który by się tutaj zapuścił. Z tego, co wiedział,

załogi czasami bywały zmuszone spędzić tutaj noc, gdy odprawa graniczna w Bałtyjsku przeciągała się w nieskończoność, a nie chciały ryzykować nocnej żeglugi do Kaliningradu. Za plecami usłyszał, jak Dermot szeptem woła, żeby dobić do rufy bokiem, i po chwili ponton uderzył w burtę jachtu. Pierwszy na pokład wskoczył Bill i od razu wbiegł na schody, kierując się na mostek. Igor ruszył za nim, a Rupert z Dermotem zostali na rufie, żeby wciągnąć ponton i zamocować go w ładowni. Pozostali, którzy popłynęli pierwszym transportem, byli już na górnym pokładzie.

– Boże! Co za pobjowisko! – jęknęła Gwen, wchodząc do głównej mesy, gdzie na ławie i stole walały się brudne talerze. Na blacie otwartego barku stało kilka opróżnionych do połowy butelek i kartonów z napojami. Pod ławą, na podłodze walały się butelki po piwie.

– Zostaw to! – Johann machnął ręką i od razu ruszył za Billem na mostek.

– *Podoźdi!* – krzyknął za nim Artiom. – *Ostorożno!* – Odwrócił się w drzwiach na korytarz i spojrzał na Igora. – *Dawaj so mnoj!*

Igor, do którego dotarło, że Łotysz pewnie potrzebuje go jako tłumacza, ruszył w ślad za nim. Po chwili stali nad fotelem Billa, który wpatrywał się w monitor komputera pokładowego.

– Ruszamy! – Bill odwrócił się do nich i spojrzał na Artioma. – Wolałbym, żeby pan został tu ze mną!

– Tak, tak! – Artiom pokiwał głową. – Trzeba bardzo ostrożnie!

– Pogaście wszystkie światła! – Bill zwrócił się do Johanna. – Wypływamy po ciemku!

– Bez AIS! – Artiom machnął ręką do Billa. – I bez świateł nawigacyjnych! Ktoś musi na dziób i obserwować wodę. Włącza tylko jakieś szperacze! – Ostatnie zdanie Artiom rzucił w kierunku Billa, który zmarszczył na moment brwi, ale po chwili pokiwał zgodnie głową.

– Sir! – Odwrócił się do Johanna. – Pan i pan Dermot. Najlepiej znacie jacht! Weźcie telefony i na dziób!

– Po co? – spytał zdezorientowany Johann. – Poza tym nie mamy komórek! Wszystko gdzieś zabrali.

– Krótkofalówki! – Bill machnął ręką za siebie. – Pod pulpitem!

– Co mamy robić na dziobie?

– Obserwować wodę! Będą ją omiatać dolne reflektory, ale może mi coś umknąć.

Igor przypomniał sobie w tym momencie wszystko, co wiedział o żeglowaniu do Bałtyjska. Czytał sporo na temat Obwodu Kaliningradzkiego, bardziej interesując się jednak poniemiecką architekturą, zachowanymi relikdami dawnych czasów, gdy te tereny nazywano Inflantami, niż żeglarstwem. Ale o niektórych faktach wspominały wszystkie portale. Pomiędzy Kosą a maleńką sztuczną wyspą Nasypnoj na środku Zalewu Kaliningradzkiego, praktycznie aż do głównego toru wodnego do Kaliningradu, ciągnęło się pobojuwisko zatopionych ruin i wraków dawnego sprzętu. Na obszarze wielu kilometrów kwadratowych wody zatoki usiane były, częściowo tylko wystającą nad powierzchnię, dawną infrastrukturą pomostów i urządzeń niemieckiego lotniska hydroplanów oraz mnóstwem zatopionego w okresie powojennym i nigdy niewydobytego żelastwa z okresu Związku Radzieckiego. Dla żeglujących do Bałtyjska od strony Zalewu Wiślanego wyznaczony był tor wodny za wyspą Nasypnoj, po prawej stronie. Lewą stronę, pomiędzy wyspą a zatoką Kosy, wszyscy radzili omijać szerokim łukiem.

Światła nawigacyjne „Pandory” zgasły, a na dziobie zapaliły się nisko osadzone reflektory oświetlające wodę przed jachtem. Silniki zamruczały i pogrążona w ciemności sylwetka ruszyła w kierunku wąskiego przesmyku w falochronie.

*

Bolo przedzierał się przez las na przełaj. Nauczony wieloletnim doświadczeniem, nigdy nie wybierał oczywistej drogi. Tym bardziej że do tej cholernej daczy prowadziła tylko jedna. Samochód zostawił daleko, słusznie założywszy, że warkot silnika zdradzi momentalnie jego obecność. Jadąc tutaj, właściwie nie wiedział, czego się spodziewać. Gdy usłyszał o tym, że Wyrzykowski przyjechał do Dąbek we wtorek rano, od razu wiedział, że coś jest nie tak. Widział go przecież już w niedzielę. O tym, że Wyrzykowski ma daczę w lesie nad Jeziorem Bukowskim, wiedział od dawna. W końcu obrabianiem takich właśnie miejsc poza sezonem zajmowali się zawsze ze Stasiakiem. Ale jakoś nie w porządku było okradać dawnego kolegę ze

szkoły.

Teraz dostał się po cichu do domku i od razu dobiegła go, dochodząca z jednej z dwóch sypialni od strony jeziora, rozmowa. Gdy usłyszał o Stasiaku, wpadł w furję. Czyli to ta kanalia była winna jego śmierci! To przez niego Jaro się powiesił! Wpadł do środka, prawie się nie kontrolując. Myślał tylko o tym, żeby dorwać Wyrzykowskiego. Widok bladej jak ściana dziewczyny na łóżku nieco go otrzeźwił. To była przecież ta dziennikarka. Gdy zobaczył, jak traci przytomność, przestraszył się. Przecież dokładnie tak samo wrobili Stasiaka! Teraz jego oskarżą o jej śmierć. Potrzęsnał nią kilka razy, usiłując obudzić, ale leciała mu przez ręce. Wpadł w popłoch i dał drapak.

Teraz jednak, biegnąc przez las, przypomniał sobie inne fragmenty podsłuchanej rozmowy. Ta dziennikarka czegoś szukała. Czegoś, co miało ogromną wartość materialną! To dlatego chcieli ją sprzątnąć!

*

Wzmianka o polu minowym radzieckiego złomu spowodowała, że wszyscy wylegli na galerie boczne i wbili wzrok w wody zatoki. Kilka minut po minięciu przesmyku w falochronie Kosy „Pandora” przepłynęła o zaledwie kilka metrów od wystającego z wody, ostro zakończonego masztu, który wyglądał jak sterczący ponad powierzchnię otwieracz do konserw. Igor wzdrygnął się na myśl, że pod powierzchnią zatoki może się ukrywać niewidoczna część najeżonego stalowymi szponami wraku. Miał nadzieję, że Artiom znał te wody i wiedział, jak prowadzić.

– Patrzcie tam! – krzyknął Jamie, wskazując sterczący, jak gdyby nigdy nic, na samym prawie środku tej części zatoki betonowy filar, na którego szczycie majaczyły stalowe, pogieęte blachy.

– Ciszej bądź! – syknęła Alice. – Głos się cholernie niesie po wodzie.

Na horyzoncie widać już było oświetlone nabrzeża portu. Do bezpiecznego i wolnego od złomu toru wodnego do Kaliningradu zostało kilkadziesiąt metrów.

Bill wpatrywał się w ekran radaru i monitory kamer, na których widać

było ciemne wody zatoki. Mieli kupę szczęścia, że noc była spokojna. Z drugiej strony, to może stać się za chwilę problemem, gdy zaczną płynąć główną trasą ku pełnemu morzu. Na czystych, pozbawionych fal wodach Zalewu Kaliningradzkiego byli widoczni jak na patelni. Wyłączony system identyfikacji, radio i inne urządzenia nawigacyjne sprawiały wrażenie, jakby jacht był ociemniały. Pomyślał, że prawdopodobnie już teraz na brzegu zaczynają się zastanawiać, czym jest to coś na radarach, co nie reaguje na wezwania i pozbawione świateł nawigacyjnych zmierza w kierunku otwartego morza.

„Pandora” płynęła Cieśniną Piławską, trzymając się lewej strony, po której znajdował się najbardziej wysunięty na wschód cypel Mierzei Wiślanej. Z jej końca wysuwał się daleko w morze długi falochron, osłaniający wyjście na wody Bałtyku. Na prawym brzegu, zaraz za wejściem do portu w Bałtyjsku, na porośniętym gęstymi drzewami nabrzeżu wznosił się wysoki wał. Igor zmrużył oczy, usiłując wydobyć z mroku zarysy mijanego kształtu. Pamiętał z opisów, że w tym miejscu znajdował się stary, XIX-wieczny fort Piława. Potężna cytadela, z pięcioma bastionami, założona na rzucie ogromnego pięcioboku. Pomyślał, że miasto, tak jak i Szczecin, z uwagi na swoje położenie od zawsze było twierdzą. To tutaj na początku XVII wieku wylądowały okręty Gustawa Adolfa podczas wojny polsko-szwedzkiej. A ponad dwieście lat wcześniej, pewnie tędy właśnie, z Królewca, płynęła gigantyczna armada Zakonu Krzyżackiego, która zmierzała przez Bałtyk, żeby odbić z rąk Braci Witalijskich Gotlandię.

Igor pozwolił meandrować myślom po historycznych szlakach. Odrywały go od nerwów, jakie towarzyszyły wszystkim podczas pokonywania przez „Pandorę” cieśniny. Spojrzał przed siebie. Na horyzoncie, za wąskimi brzegami falochronu, ukazała się już płaszczyna morza. Jeszcze tylko krótki odcinek pomiędzy dwoma falochronami i będą na Bałtyku.

Jamie nagle pochylił się, usiłując coś wypatrzeć na horyzoncie.

– Co to jest? – Wskazał ręką na majaczący za wschodnią groblą, błyskający kolorowymi światłami, kształt.

– Okręt – mruknął cicho Dermot. – Wojskowy. Wchodzi do portu.

Do wąskiego przesmyku pomiędzy wschodnim i zachodnim falochronem

zbliżał się duży okręt wojenny. Jego mroczną, najeżoną antenami i działami sylwetkę było już dobrze widać na tle nieba.

– To chyba jakaś korweta? – mruknął Johann.

– Było zbyt piękne, żeby miało być prawdziwe – jęknął Jamie. – Myśleliście, że się tak po cichu wymkniemy ruskim bandziorom?

– To fregata. – Dermot wpatrywał się w rosnącą na horyzoncie sylwetkę statku. – Jakiś „Nieustraszony” albo inna podobna.

Igor pomyślał, że jego pamięć w dużej mierze bazuje na tytułach prasowych artykułów i portali. „Nieustraszony” był jedną z dwóch fregat rakietowych, jakie miał na stanie port wojenny w Bałtyjsku. Kilka lat temu to ten właśnie okręt został wysłany z misją ochrony szlaków handlowych w Zatoce Adeńskiej przed somalijskimi piratami. Jego załoga po powrocie została przywitana jak bohaterowie wojenni, a rozmaite sprzęty, broń oraz motorowa łódź, odebrane piratom, posłużyły jako eksponaty muzealne i trafiły do muzeum wojskowego w Kaliningradzie. Byłoby groteskowe, gdyby akurat ta fregata uniemożliwiła im ucieczkę z rąk rosyjskich bandziorów.

– Ona jest uzbrojona po dach. – Jamie wpatrywał się w szary okręt, który zbliżał się do krańców falochronów. – Poślą nas na dno jednym wystrzałem z jakiegoś działka.

– Co robimy? – Bill oderwał wzrok od okien mostka i spojrzał na Artioma.

Zetlers, z przyklejoną do oczu lornetką, stał w drzwiach i wpatrywał w zbliżający się okręt.

– Zaraz nas zobaczą. – Bill rzucił okiem na ekran radaru.

Okręt był ogromny. Prawie trzy razy dłuższy niż „Pandora”.

– Już nas widzą – mruknął Artiom, nie odrywając lornetki od oczu.

Jakby na potwierdzenie jego słów z fregaty w ich kierunku wystrzeliły światła penetrujących reflektorów, a zaraz potem zawyła syrena okrętowa.

– No, to koniec – rzekł głucho Bill, wpatrując się w okno.

Okręt minął właśnie roгатki falochronów i z wolna zbliżał się, rosnąc

w oczach.

Wciąż ociemniała „Pandora” płynęła lewą stroną kanału.

– To nie jest „Nieustraszony” – powiedział nagle Artiom, który wyglądając na galerię przez drzwi mostka, doskonale słyszał rozmowę, jaką toczyli Jamie i Dermot.

– To bez znaczenia. – Bill pokręcił głową. – Dopadną nas w mgnieniu oka.

– To fregata, ale stary typ. – Artiom uważnie wpatrywał się w okręt. – Krivak Dwa. Przerobili je pod koniec lat siedemdziesiątych na patrolowce.

– I co z tego?

– *Ja służył na nich! Eto złom!* Niby rozwijają trzydzieści dwa węzły, ale ona by się rozleciała, gdyby dwadzieścia popłynęła.

Bill odwrócił się i popatrzył pytająco na Łotysza.

Artiom zacisnął szczęki.

– *Pońnij chod! Dawaj!*

*

Błyskające koguty dwóch radiowozów i karetki pogotowia rzuciły pomarańczowe refleksy na pogrążone w ciemności drzewa. Na jeziorze za domem kładła się łuna odbijających się w ciemnej płaszczyźnie wody światła. Tylko samotny dom na brzegu pogrążony był w ciemności, niczym przestraszony, niemy świadek wydarzeń.

Dwaj sanitariusze położyli nosze na ziemi i ostrożnie przenieśli bezwładne ciało. Kilka kroków od nich otwarte tylne drzwi karetki ukazywały oświetlone wnętrze, które jaśniało na tle ciemnego lasu.

Jeden z policjantów podszedł do karetki i zajrzał do środka.

– W jakim jest stanie?

Młody lekarz, który pomagał właśnie ułożyć ciało we wnętrzu samochodu, odwrócił się i skrzywił.

Po chwili drzwi się zatrzasnęły i karetka wyjechała na drogę. Głośny sygnał przedzierającego się przez las samochodu słychać było jeszcze przez

kilka chwil i w końcu zapadła zakłócana tylko przez szum liści i radia w policyjnych samochodach cisza.

*

Igor stał i trzymając się relingu, obserwował w napięciu ogromny krążownik, który był już kilkadziesiąt metrów od jachtu. Gdy silniki „Pandory” zaryczały pełną mocą, zatoczył się i o mało nie upadł na pokład galerii. Zobaczył, jak Jamie łapie się Dermota i razem lecą na ścianę, oddzielającą galerię od wnętrza. Dziób „Pandory” lekko uniósł się do góry i jacht ruszył do przodu, nabierając prędkości.

– Co on robi? – Johann trzymał się kurczowo balustrady i patrzył z przerażeniem na otwierające się na okręcie wojennym drzwi na mostek i wypadających przez nie na galerię trzech marynarzy w wojskowych czapkach. Dwóch zaczęło energicznie machać rękami, trzeci rozmawiał z kimś przez telefon. Równocześnie na innych pokładach fregaty także pojawili się marynarze i obserwowali niecodzienne widowisko. Kilku pomachało w ich kierunku.

„Pandora” mijiała właśnie ostatni, odkryty pokład okrętu, gdy rozległy się na nim syreny, a woda przy burtach się zakotłowała. Ogromna fregata zaczynała wytracać prędkość i szykowała się do zwrotu przez prawą burtę.

– Bill oszalał! – Dermot złapał się relingu i wpatrywał w zostający w tyle okręt.

Johann otworzył drzwi do mesy i stanął w progu.

– Jak zawrócą, to przecież ona nas dorwie od razu! – Spojrzał jeszcze raz na zewnątrz, wpadł do wnętrza i ruszył w kierunku mostka.

„Pandora” mijiała właśnie rogatki falochronów. Grafitowa fregata ocieźzale niczym wielki szary wieloryb zawracała, rycząc wściekle syrenami okrętowymi.

– Lepiej schowajmy się do środka! Mogą nas ostrzelać! – Gwen, która na chwilę oniemiała, gdy „Pandora” zaczęła gnać wzdłuż szarej burty krążownika, wreszcie odzyskała głos.

Johann wpadł na mostek i zobaczył, jak Bill w skupieniu wpatruje się w przyrządy na pulpicie. Artiom stał w drzwiach wyjściowych na galerię i patrzył przez lornetkę.

– Co wy wyprawiacie? Zgnijemy w jakimś rosyjskim mamrze!

– *Nie bojties'!* – Artiom oderwał lornetkę od oczu i spojrzał na Anglika. – Ten wasz jacht rozwija prędkość ponad trzydzieści węzłów. Za chwilę będziemy poza ich zasięgiem. *My swobodny!*

Rozdział 30

Sala przyjęć Oddziału Ratunkowego Szpitala Wojewódzkiego w Koszalinie witała pacjentów radośnie kremowożółtym kolorem ścian. Czarna wykładzina podłogi prowadziła do obszaru segregacji medycznej i przyjęć, gdzie stało obok siebie kilka łóżek, na których leżały zazwyczaj ofiary wypadków i uczestnicy rodzinnych imprez z okolicznych miejscowości. Tej nocy, gdy prowadzony przez sanitariuszy wózek prosto z karetki wjechał z impetem do sali przez główne wejście, większość łóżek była pusta. Na jednym tylko leżał starszy mężczyzna z podłączoną kroplówką. Przez dwuskrzydłowe drzwi, prowadzące do sal zabiegowych, wyszła kobieta w zielonym kitlu i stanęła na drodze ratownikom.

– Długa utrata przytomności. – Sanitariusz podał lekarce tabliczkę z danymi. – Po odzyskaniu świadomości w karetce drgawki i wymioty. Powracająca senność...

Kobieta pochyliła się nad wózkiem.

– Od razu na salę operacyjną. Rentgen czaszki, echoencefalograf – rzuciła do jednej z towarzyszących jej pielęgniarek. Po chwili wózek zniknął za progiem windy, a grafitowe drzwi powoli zamknęły się za nim.

*

Dochodziło już południe, gdy „Pandora” wpływała do portu w Darłówwku. Na nabrzeżach roilo się od ludzi, którzy z przyjemnością korzystali ze słonecznej aury. Lato w tym roku było wyjątkowo łaskawe. Minęła połowa września, a pogoda wciąż była piękna. Błękit nieba bez jednej chmurki zdawał się wręcz rozlewać niby doskonałej jakości farba w najpiękniejszej spośród barw podstawowych. Na ciągnących się po horyzont plażach, wzdłuż falochronów, wciąż nie brakowało chętnych do zażywania kąpiei słonecznych w zagrodach z kolorowych parawanów, a rozłokowane po obu stronach Wieprzy restauracje, kawiarnie i budy ze smażonymi rybami wciąż pełne były wygłodniałych klientów.

Igor stał na najwyższym pokładzie, oparty o reling, i przyglądał się miasteczku. Czerwone i grafitowe dachy budynków, kolorowe parasole, pastelowe barwy elewacji, a w tle zielony masyw drzew, porastających wydmy po wschodniej stronie rzeki, i w oddali wielkie, białe skrzydła wiatraków. Zdawałoby się wręcz, że w tej scenerii nic złego nie może się wydarzyć. A jednak mimo pozornego spokoju Igor był zdenerwowany i od kilku godzin nie mógł znaleźć dla siebie miejsca. Czuł się bezsilny.

Osiem godzin podróży większość z pasażerów „Pandory” przespała. Początkowo wprawdzie trudno było neutralizować ogromne dawki adrenaliny wyprodukowane w ciągu kilkunastu godzin poprzedniej doby, ale w końcu nawet najwytrwalsi wylądowali w kojach. Gdy „Pandora” minęła roгатki falochronów Bałtyjska, a jej potężne silniki sprawiły, że pruć fale niczym ślizgacz, rosyjska fregata zrezygnowała z pogoni, odprowadzając jacht protestacyjnym rykiem syren. Kilkanaście minut później znaleźli się na polskich wodach terytorialnych i mogli wreszcie włączyć wszystkie urządzenia nawigacyjne. Bill, poganiany przez Igora i Johanna, zawiadomił straż przybrzeżną o Wyrzykowskim i o tym, że Paulina znajduje się w niebezpieczeństwie. Od tej pory mogli tylko beczynnie czekać na rozwój wypadków na lądzie, nie mając nań żadnego wpływu. W dodatku, zanim ktokolwiek zdążył zareagować, Gwen zebrała pozostawione na pokładzie ubrania i inne rzeczy porywaczy i wyrzuciła je beztrosko za burtę.

Naturalnym lekarstwem na zszarpane nerwy, jak swój stan określił Jamie, był oczywiście alkohol. Jak rzadko kiedy zgodziła się z nim nawet Gwen. Należało się więc spodziewać, że wszyscy wstaną na potężnym kacu. Igor, mimo że wypił tylko dwa piwa, też nie czuł się najlepiej, ale morskie powietrze już po piętnastu minutach spędzonych na leżaku na najwyższym pokładzie uczyniło cuda.

Jacht minął strefę falochronów i powoli zbliżał się do ujścia Wieprzy.

Igor, oprócz zamartwiania się o Paulinę, odnosił też wrażenie, że im bardziej zbliżali się do brzegu, tym mocniej dobierała się do niego rzeczywistość. W perspektywie miał do skończenia dwa koszarne projekty i nadzór na budowie w Warszawie. Czuł, że cholerna rozbudowa małej restauracyjki na Starym Mieście przyniesie mu jeszcze wiele problemów. Upokorzony urzędnik Stołecznego Konserwatora Zabytków pewnie nie spocznie, nim czegoś nie wymyśli, żeby uprzykrzyć mu życie. A do tego

jeszcze batalia ze szczecińskim magistratem o upiorną wieżyczkosygnaturkę z blachy tytanowo-cynkowej, o której walkę do upadłego zapowiedziała inwestorka.

Stojąc na pokładzie w pozornym spokoju, Igor czuł więc, jak zaczynają go pożerać nerwy, a w dodatku skrzypiąco-trzeszcząca rzeczywistość powoli wciąga go swoimi mackami do przyziemnego matriksa codzienności.

Po lewej stronie mijali właśnie latarnię morską. Przysadzisty budynek z czerwonej cegły z pięciokondygnacyjną wieżą na planie kwadratu, z białą latarenką na szczycie. U jej stóp, przy wschodnim nabrzeżu Wieprzy, kołysał się na wodzie galeon „Król Eryk I”.

*

Pierwszym, co Paulina zobaczyła po przebudzeniu, była biała, wyłożona kwadratowymi płytami płaszczyzna sufitu. W pomalowanej na jasnozielony kolor salce stały trzy łóżka, z których jeszcze tylko jedno, pod samymi drzwiami, było zajęte. Spała na nim młoda kobieta z nałożonym na głowę opatrunkiem.

Paulina rozejrzała się. Obok łóżka stał wieszak z dyndającą na nim kroplówką, której przewód był podłączony do jej ramienia. Odgarnęła włosy z twarzy i odetchnęła głęboko. Stwierdziła, że czuje się całkiem dobrze. Nie pamiętała tylko poprzedniej nocy. Pamięć wracała obrazami. Ostatnim była twarz pochylonego nad nią mężczyzny.

Drzwi do salki otworzyły się i weszła przysadzista lekarka w zielonym kitlu.

– Obudziła się pani wreszcie. – Uśmiechnęła się do Pauliny. – Czas najwyższy. Już południe.

Paulina uniosła się i oparła wyżej na poduszce.

– Czy coś mi dolega?

– Dostała pani silny środek psychotropowy. Na szczęście drugą dawkę tylko w połowie.

– Narkotyk? – Paulina popatrzyła na lekarzkę z niepokojem.

– Niezupełnie. – Kobieta pokręciła głową. – Flunitrazepam. Środek

stosowany jako znieczulenie ogólne przed zabiegami chirurgicznymi. W połączeniu z alkoholem wywołuje trwającą kilka godzin amnezję, a oprócz tego stan euforii i odprężenia.

Paulina zmarszczyła brwi.

– Przecież ja nie piłam alkoholu!

– Tego się właśnie obawialiśmy, że pani nie będzie pamiętała. – Lekarka pokiwała głową. – Dlatego przeprowadziliśmy badania i mam dla pani bardzo dobrą wiadomość. Na szczęście nie została pani zgwałcona!

Paulina przez dłuższą chwilę wpatrywała się w uśmiechniętą radośnie kobietę. Pomyślała, że definicja tego, czym jest dobra wiadomość, w służbie zdrowia chyba mocno odbiega od średniej krajowej. Ma się cieszyć, że nie została zgwałcona?

– Kochanie, nie rozumiesz – dodała lekarka. – Flunitrazepam to najbardziej rozpowszechniony środek używany jako pigułka gwałtu.

Paulina otworzyła usta, ale stwierdziła, że nie wie, co powiedzieć.

Drzwi do salki otworzyły się ponownie i stanął w nich ubrany w nienaganny ciemny garnitur mężczyzna z mocno siwiejącymi włosami.

*

Ledwie „Pandora” dobiła do brzegu, Igor wyskoczył na ląd i dopadł dwojga przechodzących nabrzeżem młodych ludzi, błagając ich o pożyczenie telefonu. Para wymieniła się zdziwionymi spojrzeniami, po czym chłopak, zezując w stronę ogromnego białego jachtu, podał Igorowi swojego samsunga.

Paulina nie odbierała. Sygnał powtarzał się kilkakrotnie, po czym włączała się poczta głosowa. Igor nie znał numeru ani do jej ojca, ani do gazety, ani do tego chłystka Mateusza.

– I co?

Igor odwrócił się i zobaczył stojącego na galerii i patrzącego na niego z niepokojem Johanna. Pokręcił głową i wzruszył ramionami.

– Bierz kluczyki! – Johann machnął ręką. – Jedziemy na policję! Po drodze kupimy jakieś telefony na kartę.

Samochód! Racja! Przecież stoi za rogiem! Kluczyków piraci nie zabrali. Igor poczuł, że na samą wzmiankę o samochodzie jego poziom odczuwalnej bezradności zdecydowanie zmałał. Oddał komórkę przyglądającej mu się z nieukrywaną ciekawością parze i wbiegł na trap.

*

Olszański siedział na krześle przy łóżku Pauliny i wpatrywał się w nią z uśmiechem. Obok niego, na pustym pościeliu, przysiadł Matuszek.

– Miała pani dużo szczęścia.

Paulina pokiwała głową z udawaną powagą.

– Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że moje szczęście będzie zależało od jakiegoś bandziora.

Olszański parsknął krótkim śmiechem.

– Wczoraj był sądny dzień – wtrącił Matuszek. – Okropny karambol pod Sławmem, zginęła młoda dziewczyna i kierowca busa. Zatkany wylot z miasta. W Darłowie doroczna procesja prześlągalna. Też połowa miasta zamknięta. No i na dokładkę, nocna akcja policyjna w lesie za Dąbkami. Z pani udziałem.

Olszański spuścił głowę.

– Przegapiliśmy parę ważnych rzeczy. Pierwsza to ta, że Wyrzykowski przyjechał nad morze wcześniej. Nie mieliśmy powodów, by podejrzewać kłamstwo. Tym bardziej że sąsiadka Pawelczyk to potwierdziła. Przyjechał do niej rano we wtorek. W domu była jeszcze dochodzeniówka, więc zatrzymał się w pobliskim pensjonacie.

– Skąd Kukła wiedział o tym domku w lesie?

– Nie wiemy jeszcze, co ich łączyło. Kukła się gdzieś zaszył.

– Mam nadal dziury w pamięci... – Paulina pokręciła głową. – Lekarka mówi, że to minie. Jednak pamiętam słowa Wyrzykowskiego, że to nie on zabił ojca.

– Technicznie może i nie. Ale niewątpliwie brał udział w zaplanowaniu morderstwa. To jego kroki słycać na nagraniu.

Paulina pokiwała głową.

– Wpadłam na to dopiero, gdy usłyszałam, jak idzie do mnie przez pokój.

– Stasiak został wmanewrowany we włamanie i stał się kozłem ofiarnym. Jeśli nie on zabił Wyrzykowskiego ani, o ile to prawda, nie zrobił tego także syn Wyrzykowskiego, to znaczy, że był tam ktoś trzeci.

Matuszek podniósł wzrok.

– Nie wiemy tylko, z jakiego właściwie powodu Wyrzykowski panią uprowadził. Czy miał jakiś powód, by przypuszczać, że pani go podejrzewa?

Paulina spuściła wzrok na kołdrę. Usiłowała sobie przypomnieć wydarzenia ostatniej nocy, ale nie wszystkie białe plamy jeszcze potrafiła przeświecić.

– W ogóle go nie podejrzewałam – powiedziała bezradnie. – To znaczy, słyszałam o tej polisie na trzysta tysięcy, ale nigdy bym nie uwierzyła, że byłby skłonny zabić dla niej własnego ojca. Nie miałam żadnych dowodów ani niczego takiego. Nie zagrażałam mu.

Stanęła jej przed oczami postać mężczyzny, który trzymał w ręku strzykawkę i mówił do niej chłodnym, opanowanym głosem. O czym rozmawiali?

– Nieprędko go przesłuchamy. – Matuszek pokręcił głową. – Jest w kiepskim stanie. Podejrzenie urazu czaszkowo-mózgowego. Nie wiadomo jeszcze, jak to się dla niego skończy.

Kolejna wizja. Kukła bijący Wyrzykowskiego w twarz, a potem walący jego głową o podłogę.

– I jeszcze jedna tajemnica. Jak to się stało, że o grożącym pani niebezpieczeństwie poinformowała nas straż przybrzeżna i kapitanat portu w Darłównku?

Straż przybrzeżna? Paulina zmarszczyła brwi.

Zaczęła sobie przypominać pojedyncze zdania.

*...Niepotrzebnie zaczęłaś w tym grzebać. Ktoś uznał, że wiesz za dużo...
Z twoimi znajomymi nie będzie już problemów...*

– Czy jacht „Pandora” wrócił do portu? – Spojrzała z nagłym niepokojem na obu mężczyzn.

Olszański wzruszył ramionami i odwrócił się do Matuszka.

– Ten wielki, biały? – Policjant uniósł brwi. – Wpłynął dziś o dwunastej. Paulina odetchnęła. Na szczęście nic się nie stało. Chyba coś pokręciła.

Za drzwiami rozległ się nagle jakiś hałas. Kobięcy głos i potem męski, a następnie drzwi się uchyliły.

– Tak, jesteśmy rodziną! – upierał się niski, poirytowany głos. – To pani niech sprawdza, a my do niej zajrzemy!

Drzwi otworzyły się na oścież i stanęli w nich Johann i Igor.

Zatrzymali się skonsternowani widokiem Olszańskiego i Matuszka, toteż dopiero po chwili grzecznie się przywitali.

Olszański popatrzył uważnie na obu mężczyzn i zadał to samo pytanie, które przed chwilą zawisło w powietrzu.

– Informację straży przybrzeżnej przekazał kapitan Liam Robert Whitmore. To chyba wasz szyper, prawda?

Johann, który poza imionami i nazwiskiem Billa nie rozumiał ani słowa, uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

Prokurator spojrzał na niego i jeszcze raz powtórzył wszystko po angielsku.

Tym razem Johann skinął głową.

– Skąd wiedzieliście, będąc kilkadziesiąt kilometrów od Darłowa, że pani Weber jest w niebezpieczeństwie?

Igor westchnął i już chciał otworzyć usta, żeby opisać ich przygody w Bałtyjsku, gdy złowił wymowne spojrzenie Johanna i dyskretny ruch jego głowy.

– Paulina nie odpowiadała na telefony od rana, a raczej to się jej nie zdarza – powiedział powoli z namysłem. – Miałem w pamięci ten kamień na pokładzie, pańskie ostrzeżenia przed jakimś bandytą... Intuicja...

– Intuicja? – Olszański popatrzył na niego podejrzliwie.

Igor pokiwał głową niepewnie, myśląc jednocześnie, że mogą przecież sprawdzić billingi rozmów, z których wyjdzie, że wcale do Pauliny nie dzwonił. O co temu Johannowi chodziło?

Prokurator i policjant wymienili się krótki spojrzeniami.

– No dobrze. Nie będziemy pani dłużej męczyć – Olszański westchnął i uśmiechnął się do Pauliny. – Dziękujemy za pomoc. – Podał jej rękę, a następnie pożegnał się z Johannem i Igorem.

Wychodząc, rzucił im jeszcze pełne wątpliwości spojrzenie.

Gdy za prokuratorem i policjantem zamknęły się drzwi, Igor spojrzął na Johanna z wyrzutem.

– Co się dzieje? Wyszedłem przez ciebie na jakiegoś krętacza.

– No, coś takiego – mruknęła cicho Paulina z dyskretnym uśmiechem. Johann ściągnął brwi i pokręcił głową.

– Potem o tym porozmawiamy.

Igor przez chwilę patrzył na niego, po czym skinął głową i usiadł na łóżku.

– Jak się teraz czujesz? Ten środek nie wywołuje żadnych skutków ubocznych? – spytał, gdy Paulina skończyła mówić i oparła się o poduszkę.

– Skutków ubocznych na szczęście właśnie mi oszczędzono. – Uśmiechnęła się.

– Ja nie wiem, jak możesz z tego żartować. – Igor pokręcił głową ze złością. – Ten degenerat mógł cię przecież zgwałcić.

Wzrok Pauliny poszybował nad ramieniem Igora w przestrzeń.

...Dostaniesz kolejną porcję czegoś, po czym będziesz smacznie spała przez następną dobę. A jutro ktoś się tobą zajmie... – odtworzył się kolejny fragment pamięci. Kto miał się nią zająć? Czy to należało rozumieć dosłownie?

– Ktoś miał się mną zająć... – powiedziała z namysłem, po czym spojrzała na Igora. – Ty jako rasowy mizogin skupiłeś się oczywiście jedynie na tym, że otarłam się o los gorszy niż śmierć.

– Skąd ci przyszło do głowy, że jestem mizoginem?

Paulina uśmiechnęła się. Bez złośliwości. W jej oczach paliły się jedynie przekorne iskierki. Igor przez chwilę wpatrywał się w nie z mieszaniną irytacji i zachwyty.

– Jak zwykle, gadacie po polsku – jęknął Johann.

Po chwili Paulina wysłuchiwała relacji z nurkowania i nieplanowanej podróży do Rosji i przez moment wyglądała, jakby naprawdę dopiero teraz zaczęła potrzebować pomocy lekarskiej.

– Na miłość boską! – Wciągnęła głośno powietrze. – To jakaś masakra! Przecież oni mogą nam dalej zagrażać. Rosyjska mafia ma w Polsce rozbudowane struktury. Pisaliśmy o tym nawet...

– Prędzej zdecydują się na błyskawiczne wybebeszenie U-Boota niż uganianie się za nami po Pomorzu – przerwał jej Igor.

– Dwóch z tych Rosjan nadal jest na pokładzie „Pandory” – wtrącił Johann.

– Co takiego? – Paulina otworzyła szeroko oczy, gdy Johann skończył już wyjaśniać. – Porwaliście ich? I co zamierzacie z nimi zrobić? Przecież to międzynarodowa afera!

– Ciszej! – syknął Igor. – Bo nas zaraz stąd wywalą. Powiedziałem, że jesteśmy twoimi braćmi.

– To oni nas porwali, a nie my ich! – zaprotestował głośnym szeptem Johann, oglądając się na drzwi do pokoju.

– Czuję, że teraz chyba naprawdę potrzebuję czegoś na uspokojenie. – Paulina oparła się na poduszce i wbiła wzrok w przestrzeń. – Na pokładzie tej łodzi podwodnej musi być coś naprawdę potężnego! Skoro rosyjskie struktury zbliżone do Putina za tym stoją...

Igor drgnął. Przypomniawszy sobie nagle popołudnie na morzu, gdy znudzeni poszukiwaniami czekali na sygnał z sonarów. Przeglądał wtedy ostatnie akapity dziennika Wyrzykowskiego. I coś mu tam nie pasowało. Potem tyle się działo, że w ogóle o tym zapomniał. O co mogło chodzić?

Odruchowo sięgnął do kieszeni, szukając komórki, ale przypomniał sobie, że została w Bałtyjsku. Spojrzał na Paulinę.

– Masz tutaj swojego laptopa?

Paulina nagle zbladła.

– Został w samochodzie. Boże! Mój samochód nadal stoi przy drodze do Koszalina!

– A teczka lotnika, mapy? – Johann uniósł brwi.

– Wyrzykowski mi zabrał. Policja nie powiedziała, czy ją przejęli. Zapomniałam spytać.

– A jeśli to nie o U-Boota chodziło... – powiedział nagle Igor, patrząc z zamyśleniem w okno.

Przez chwilę w pokoju panowała kompletna cisza. Paulina wstrzymała oddech.

– Jak nie o U-Boota? O czym ty mówisz? – odezwał się w końcu wstrząśnięty Johann. – Ta cała afera? Przecież Rosjanie znali nawet jego lokalizację ze swoich archiwalnych źródeł!

– Potrzebujemy pamiętnika Wyrzykowskiego! – Igor wstał i spojrzał na Paulinę. – Gdzie masz kluczyki od swojej micry?

– W kieszeni dzinsów... – Paulina rozejrzała się po pokoju. – Ubrania pewnie mają w jakiejś szatni. Cholera! Nie pamiętam w ogóle, żebym się rozbierała!

– Jedziemy! – Igor machnął ręką do Johanna.

– Zaraz! Zaraz! – krzyknęła nagle zirytowana Paulina. – A ja mam tu leżeć i patrzeć w sufit? Jadę z wami! Nie mogę tego przepuścić. Muszę zobaczyć tych bandziorów! Już za dużo straciłam.

Odrzuciła kołdrę i usiadła na łóżku.

– Nie możesz! Masz jeszcze badania! – Johann patrzył na nią osłupiały.

– Najważniejsze już wiem: nie zgwałcono mnie!

– Co tu się dzieje? – W drzwiach stanęła pielęgniarka, spoglądając z irytacją na Johanna i Igora. – Co to za wrzaski? Słysząc państwa na całym korytarzu! Nie można tak denerwować pacjentki!

– Chciałabym wyjść! – Paulina sięgnęła do statywu z kroplówką. – Co mam podpisać?

– Zwariowałaś?! – zdenerwował się Igor.

– Nie ma mowy! Nigdzie pani nie wyjdzie! – Pielęgniarka złapała się pod boki. – Wzywam lekarza!

Igor głęboko odetchnął i popatrzył groźnie na Paulinę.

Kilka minut później toyota ruszyła z parkingu koszalińskiego szpitala, kierując się na Darłowo. W drodze trójstronnego porozumienia ustalono, że Igor przyjedzie po Paulinę za kilka godzin, gdy będą już wyniki wszystkich badań.

*

Samochód jechał powoli, trzymając się w pewnej odległości od toyoty. Wjechał do centrum Darłówka, a następnie na wysokości placu przy ulicy Wilków Morskich skręcił w wąską, boczną przecznicę. Tam się zatrzymał. Kierowca wysiadł i bocznymi przejściami, kryjąc się za ogrodzeniami i niską zabudową portowych uliczek, poszedł w stronę zachodniego nabrzeża Wieprzy. Słowa o czymś, co miało ogromną wartość materialną, wciąż kołatały mu w głowie.

*

Igor zamknął drzwi samochodu i ruszył z Pauliną w kierunku „Pandory”, której biała sylwetka wyrastała ponad dachy niskiej nabrzeżnej zabudowy. Operacja odnalezienia zielonej micry pod koszalińskimi lasami udała się z nawiązką. Mały samochodzik został zabrany na hol i przyprowadzony do Darłówka, gdzie stanął w szeregu aut w wąskiej uliczce dochodzącej do nabrzeża. Paulina dostała w końcu wydruki wszystkich badań wraz z opinią o braku konieczności hospitalizacji i mogła wreszcie przyjechać na jacht. Gdy dotarli pod trap, było późne popołudnie, a słońce przypominało wielką pomarańczę.

Na bocznej galerii głównego pokładu chodził w tę i z powrotem Dermot i wzbudzając zainteresowanie spacerujących po promenadzie turystów, rozmawiał z kimś głośno przez telefon, energicznie przy tym gestykulując.

Igor z Pauliną pomachali mu i weszli do środka głównej mesy, gdzie przywitały ich głośne okrzyki radości.

– Słyszałem, że nie zostałaś zgwałcona. – Jamie wychylił głowę z kambuza.

Paulina uśmiechnęła się i rozłożyła ręce.

– Zawsze miałam pecha.

– Jamie! – Gwen postukała się palcem w czoło.

Wzdłuż okien mesy przeszedł Dermot, nadal mówiąc coś podniesionym głosem.

– Co on robi? – spytał Igor, odsuwając krzesło przed Pauliną i siadając obok Johanna.

– Gada z konsulatem.

– Zanim przyszlście, już ich straszył odpowiedzialnością karną, materialną i pozbawieniem stanowisk. Możliwe, że zaraz przejdzie do kataklizmów i chorób do dziesiątego pokolenia – mruknął Jamie, stawiając na stole talerzyk z ciastem.

– Z powodu naszego porwania? To znaczy porwania nas?

– Z powodu Harry’ego i Patricka. Bill zaczął się upominać o załogę.

Igor uniósł brwi. Zupełnie zapomniał o biednych chłopakach.

– Co z nimi zrobimy? – spytała nagle szeptem Alice.

– Z kim? – Igor nie zrozumiał. – Z Harrym i Patrickiem?

– Nie. – Alice pstryknęła niecierpliwie palcami. – Z tym, jak mu tam...

– Artiomem – przypomniał Jamie.

– Artiomem. I z tym drugim.

– Z tym drugim to gorzej. – Johann wzruszył ramionami. – Nie zawieziemy go przecież na policję, bo co powiemy? Że nas porwał?

– Może wyrzucimy go za burtę... – Jamie spojrzał na Gwen – ...jak uzi.

– A co, chciałeś zabrać tę militarną kontrabandę do Londynu?

– Już widzę te nagłówki w „Daily Mail” – parsknął Johann. – Puszysty księgowy przemycy broń z Kaliningradu!

– A co właściwie robi teraz Artiom? – Gwen przebiła się przez głośny śmiech, który wybuchł wokół stołu po komentarzu Johanna.

– Pomaga Billowi. Nie schodzi praktycznie z mostka.

– Niewątpliwie uratował nam życie. A mnie nawet dwukrotnie. Nie może wracać do Rosji. Dopadną go tam od razu.

Johann pokiwał głową.

– A właśnie... – Igor przypomniał sobie w tym momencie o rozmowie w szpitalu i dziwnej reakcji Johanna. – O co ci chodziło?

– Wiesz, czym mogło się skończyć powiadomienie policji o tej całej awanturze? Musieliby zawiadomić konsulaty, ambasady. Jakieś międzynarodowe dochodzenie. Nie mamy praktycznie nic na dowód tego, że nas porwali. Natomiast Rosja pewnie od razu oskarżyłaby nas o naruszenie granic i prowokację w bazie wojskowej.

– Ojcowie Johanna i Dermota zostaliby momentalnie wciągnięci w to gówno, a ich przeciwnicy wykorzystaliby to przeciw nim – westchnęła Gwen. – Ja wiem, jak to brzmi. – Pokiwała głową.

– Przecież na tej fregacie i tak nas widzieli. Na pewno ściągnęli już wszystkie dane.

– Nic z tym nie zrobią. Ten generał z Moskwy wszystko wyciszy. Co innego, gdybyśmy sami zaczęli... – Johann spojrzał na Paulinę. – No i o tym wszystkim raczej nie powinnaś pisać.

Paulina skinęła głową.

– Właśnie mocno zawęziłeś możliwości rozwoju mojej kariery zawodowej.

– Pomijając wszystko inne – wtrącił Rupert – ten poparzony Rusek pewnie umarł, a pozostałych już gdzieś wywieźli.

– Co znowu prowadzi do pytania: co mamy zrobić z tymi dwoma? – przypomniała Alice.

Przez chwilę panowała cisza. Przerwał ją dopiero Dermot, głośno odsuwając drzwi i wchodząc do mesy.

– Banda kretynów! Nawet nie chce im się ruszyć tyłków zza biurek!

– Ale czegoś się dowiedziałeś?

– Mają dzwonić.

– Przecież ja mogę zadzwonić do tego Matuszka. – Paulina uderzyła się w czoło. – Zostawił mi numer.

Po chwili, ku ogólnemu zaskoczeniu, okazało się, że Harry i Patrick zostali wypuszczeni dzisiaj rano.

Gwen parsknęła śmiechem.

– Jezu! Pewnie wpadli w niezłą panikę. Jachtu nie ma. Nikt nie odpowiada na telefony.

Zlokalizowani na plaży, gdzie siedzieli przy trzecim już piwie, marynarze znaleźli się w ciągu piętnastu minut na jachcie. Tymczasem słońce zbliżało się właśnie do dachów domów na zachodnim brzegu.

Paulina, gdy tylko nadarzyła się okazja, pożyczyła jeden z telefonów i wymknęła się do swojej kabiny. Uzmysłowała sobie, że miała być wczoraj o czternastej na lotnisku. Mateusz pewnie dzwonił do niej co piętnaście minut i odchodzi teraz od zmysłów z niepokoju. Poza tym praca. Dziś rano miała być w redakcji! Po namyśle postanowiła, że upora się najpierw z łatwiejszym zadaniem, i wykręciła prywatny numer Pawła.

– Co się z tobą dzieje? – Znajomy głos w słuchawce nie pozostawiał złudzeń co do tego, w jakim nastroju jest jego właściciel. – Dobrze zrozumiałem? Ty nadal siedzisz nad morzem?

– Miałam mały wypadek... – Paulina zastanawiała się, w jaki sposób przekazać Pawłowi rewelacje na temat swoich przygód. Pewnie od razu zrobiłby z tego nagłówek do jutrzejszego wydania. – Właśnie wyszłam ze szpitala.

– Ze szpitala? Samochodowy?

– Nie samochodowy. Ktoś mi podał flunitrazepam.

Na moment w słuchawce zapadła cisza.

– Pigułkę gwałtu? Ja pierdolę! Na jakiejś imprezie?

– Nie na imprezie!

– Byłaś na jakiejś wiejskiej dyskotecie? Czyś ty kompletnie zwariowała?

– Paweł...

– Ile ty masz lat, dziewczyno? Jak mogłaś iść do jakiejś podejrzaney tancbudy w tym Darłowie!

– Paweł...

– Badali cię? Przecież mogli cię wszystkim zarazić! Jakiś gangbang?

– Paweł, do cholery, zamknij się! – Paulina straciła cierpliwość. – Jaki

gangbang, durniu! Morderca Wyrzykowskiego chciał mnie sprzątnąć. Gdyby nie pewien typ i policja, dziś byłabym jedną z tych zaginionych osób, których potem szukają całymi latami.

Tym razem w słuchawce cisza zapadła na dłużej.

– Co ty gadasz? – odezwał się w końcu Paweł. – Dzisiaj puściliśmy twój artykuł o masowym grobie. Zdjęcia mają rekordową liczbę wejść. A teraz coś takiego... Pewnie policja zakazała ci pisać o tym, co? Co tam się w ogóle dzieje? Gdzie ty jesteś?

– Trwa dochodzenie. – Paulina spojrzała na zegarek. Pomyślała, że lepiej na razie nie wtajemniczać Pawła we wszystkie szczegóły. – Jeszcze jestem osłabiona. Jutro możliwe, że będę w Szczecinie. Będziesz musiał dać mi miejsce na krótki cykl, w jednym artykule wszystkiego nie zmieszczę.

– Jasne! – Paweł się ożywił. – Gdzie ty się zatrzymałaś? Hotel był opłacony przecież tylko do niedzieli. Bierzesz na wszystko faktury?

– Tak, tak... – Paulina ponownie spojrzała na zegarek. – Muszę kończyć. Nie mogę rozmawiać. To nie mój telefon.

Rozłączyła się i odetchnęła głęboko. Jedna sprawa załatwiona. Teraz gorsza.

Wystukała na klawiaturze znajomy numer i przyłożyła telefon do ucha.

– Halo...? Paulina? – Głos Mateusza, neutralny, dopóki nie poznał rozmówcy, stał się stalowo zimny. – Czyj to telefon?

– Na kartę. Miałam tutaj pewne przejścia...

– Wiesz, ile ja na ciebie czekałem na tym lotnisku? – przerwał Mateusz. – Dwie godziny! Telefonowałem do ciebie milion razy, ale nie raczyłaś odebrać. Taryfa do Szczecina kosztowała mnie prawie dwie stowy!

– Pozwól mi coś wyjaśnić!

– Wyjaśnić? Prowadziłaś jakieś niecierpiące zwłoki dziennikarskie śledztwo, tak? Ciekaw jestem, ile ci za to zapłacą?

– Mateusz...

– I nie przyszło ci do głowy, żeby zadzwonić wieczorem? Uprzedzić, że wrócisz dzień później? Na szczęście nie musiałem się denerwować i siedzieć w domu. Byłem na kolacji ze znajomymi. Zachowałaś się tak

nieodpowiedzialnie. Słuchaj...

– Mateusz, daj mi coś powiedzieć!

– Niech skończę! Rozmyślałem i musimy pogadać. Nie powiedziałem ci, bo byłaby oczywiście histeria, ale w przyszłym tygodniu znowu wyjeżdżam do Londynu. Na dwa tygodnie tym razem. Proponuję, żebyśmy przez ten czas przemyśleli nasz związek.

Paulina milczała. Znany niepokój złapał ją za gardło, ale poczuła też, że budzi się w niej wściekłość.

– Słuchaj, Mateusz – powiedziała powoli.

– Paulina, to jest dobry pomysł. Nie mam zamiaru być...

– A jedź sobie, gdzie chcesz, pacanie! – krzyknęła w końcu, czując, że traci nad sobą kontrolę. – Nawet jutro! Po raz drugi mi tego nie zrobisz! Nie chcę cię więcej widzieć!

Rozłączyła się i rzuciła telefonem o drzwi. Komórka uderzyła w drewnianą płaszczyznę, spadła i potoczyła się po miękkiej wykładzinie kabiny.

Igor, gdy tylko nadarzyła się okazja dla niego sprzyjająca, chwycił drugi z trzech kupionych w darłowskiej siedzibie telefonii cyfrowej telefonów i wyszedł na górny pokład. Niebo było jeszcze niebieskie tylko na zachodzie. Miało głęboką, im bardziej na wschód, tym bardziej wpadającą w granat barwę. Na północy, nad pokrytymi czerwoną dachówką dachami, za którymi rozciągało się morze, przechodziło w kolorową łunę, na jej tle odbijała się ceglana wieża latarni morskiej z białą latarenką na szczycie.

Igor z trudem oderwał wzrok od krajobrazu i wystukał na klawiaturze aż za dobrze znany sobie układ cyferek.

– Igor? Co to za numer? Gdzie ty się podziewasz?

– Mamo...

– Czy ty wiesz, co ja tu przechodzę? Mieliście być w połowie tygodnia w Dalewie! Ludzie patrzą na mnie jak na wariatkę! A sołtysowa to się przestała odzywać! I rozpowiada, że sobie ubrdałam jakiegoś następcę tronu.

– Mamo...

– Burmistrz dzwoni do ojca praktycznie codziennie! Ja już się z domu wychodzić wstydzę. Dobrze przynajmniej, że z tą ostoją jeży się wyjaśniło. Właśnie ludzie porządkują dolny park.

– Mamo! Posłuchaj mnie! Prawdopodobnie jutro będziemy w Szczecinie, więc w Dalewie pojawimy się zgodnie z planem.

– Jak to z planem? Mieliście być tydzień wcześniej, potem w tygodniu, a teraz znowu zgodnie z jakimś planem? I w co ja mam wierzyć? Człowiek tylko stoi i miesza tą łyżką w garnkach dla tych letników. Połowa września, a tu ciągle kupa ludzi. Nie wiem, czy oni domów nie mają?

– Jaką ty łyżką mieszasz? Kucharka wszystko robi.

– Łyżka to przenośnia. Kucharka? A myślisz, że kto wszystkiego dopilnuje?

– Mamo, ty w ogóle wiesz, co to jest przenośnia?

– Właśnie łyżka to przenośnia! Od kiedy to się z ciebie taki literat nagle zrobił?

Igor przestał słuchać.

Słyszał, jak matka wciąż opowiada o pracach w ogrodzie przy pensjonacie, renowacji parku, ale słyszał to tak jakby w tle. Na pierwszym planie miał kompletny zamęt w głowie. Wielką karuzelę, w której wirowały już wszystkie części puzzli, tylko jeszcze nie potrafił z nich ułożyć sensownego obrazu.

Stał na rufie „Pandory”, wpatrywał się w latarnię morską i czuł, jak bije mu serce.

I ta ostatnia część dziennika Wyrzykowskiego! Przypomniał sobie! Czas się tam przecież nie zgadzał! Latarnia...

Co matka powiedziała o tej łyżce? Z czym mu się to nagle skojarzyło?

Latarnia! Boże!

Ten cholerny projekt wieżyczki na dachu!

Jak mógł o tym wcześniej nie pomyśleć? Przecież to takie oczywiste.

Rozdział 31

Właśnie wybijała godzina dziewiętnasta. Wąską, wyłożoną kamienną kostką dróżką, podpierając się laską, szła w kierunku bramy wyjściowej na rogu stara kobiecina. Mijając wysoki postument, na którym pod drewnianym daszkiem stała figura Matki Boskiej trzymającej ciało Chrystusa, przeżegnała się i powoli, kurczowo chwytając się metalowej poręczy, wyszła na ulicę.

Ciężkie dębowe drzwi kościoła uchyliły się i stanął w nich wikariusz. Spojrzał w niebo i się uśmiechnął. Piękna pogoda w tym roku trwała wyjątkowo długo. Odwrócił się, wyjął z kieszeni sutanny wielki metalowy klucz i wsadził go do zamka. Popchnął skrzydło drzwiowe i zamknął. Rozległ się głuchy, metaliczny dźwięk, po czym kościół pogrążył się w mroku i ciszy.

Wikariusz ruszył ścieżką opadającą w kierunku białego budynku plebanii i po chwili zniknął między starymi drzewami i gąszczem nagrobków miejscowego cmentarza.

*

Igor postawił laptopa na środku stołu w mesie i otworzył pokrywę. Na zewnątrz powoli zapadał zmrok. Ciemność podkradała się z portowych zakamarków.

– Kukła wrzucił kamień na pokład i nie zdążyliśmy wtedy doczytać dziennika do końca.

Na ekranie ukazał się fragment zeskanowanego tekstu.

– Zrobiłem wówczas zdjęcie i nudząc się na pokładzie, przeczytałem. – Igor podniósł wzrok i spojrzał na wpatrzone w niego siedem par oczu. Czy mu się wydawało, czy wzrok Pauliny stał się trochę jakby nieobecny? – Najpierw zwróciłem uwagę na jedno z ostatnich zdań. Tak jakby Wyrzykowski zaczął w coś wątpić...

...Zawsze wiedziałem, że chodzi o zatopioną łódź podwodną i coś, co

Niemcy stąd na niej wywieźli, a stara mapa z zaznaczoną lokalizacją „świateł umarłych” miała tam doprowadzić. Tylko że brakuje chyba jakiegoś elementu w tej układance...

– A potem przypomniałem sobie pozostałe daty, które pojawiły się w tekście, i te, o których mówił Schliemann. – Igor przerwał i odszukał kolejny zeskanowany kawałek tekstu. Podniósł wzrok znad laptopa. – Wyrzykowski pisał, że widział, jak żołnierze pakowali na samochody wielkie czarne skrzynie i wkrótce potem wypłynął z Darłówka U-Boot. Natomiast kilka tygodni później Franz i jego załoga zostali powieszani. List dla księdza Jacoba z kościoła Die St.-Gertrud-Kirche matka Karla dostała w lipcu, więc można się domyślać, że egzekucja odbyła się w lipcu lub sierpniu.

Ponownie przerwał i powiódł wzrokiem po twarzach słuchających, tak jakby chciał się upewnić, że zapamiętali.

– Tymczasem Schliemann opowiedział nam, że list od brata dostał na kilka miesięcy przed jego śmiercią. W liście była wzmianka o róży wiatrów. Taka sama róża wiatrów była na mapie, którą matka Wyrzykowskiego dostała w lipcu. Jeśli więc U-Boot zatonął w lipcu lub sierpniu, to Franz nie mógł przecież kilka miesięcy wcześniej znać jego trasy. Wtedy pewnie nikt nie planował jeszcze ucieczki z Darłowa!

W mesie zapanowała cisza. Każdy usiłował przetrwać usłyszane wyliczenia.

– Wyrzykowski nigdy nie widział listu Schliemanna. Nawet nie wiedział, że istnieje. Mógł więc myśleć, że chodziło o U-Boota.

– To co w takim razie znalazło się na jego pokładzie? A te czarne skrzynie i urządzenia, o których pisał? – Johann pokazał palcem na ekranie fragment tekstu.

– Nie mam pojęcia. – Igor pokręcił głową. – Może rzeczywiście jakieś plany i dokumentacja, ale z analizy dat wychodzi jedno: operacja „Totenleuchte” nie miała z U-Bootem nic wspólnego.

– Może Rosjan ktoś wprowadził w błąd? – Paulina spojrzała na Igora. – I domyślam się nawet kto...

– No właśnie! – zgodził się Igor. – W marcu czterdziestego piątego roku

hrabia Wilhelm von Zitzewitz został zatrzymany i wywieziony przez Sowietów. Może wtedy zdołał im wmówić, że chodziło o Wunderwaffe i U-Boota.

– Ale po co by to zrobił? – Jamie miał minę, jakby zaczął się gubić.

– Żeby odciągnąć ich od prawdziwych „świateł umarłych” oczywiście.

W mesie ponownie na dłuższą chwilę zapanowała cisza.

– Czyli właściwie znajdujemy się w punkcie wyjścia. – Johann siedział z otwartymi szeroko oczami i wpatrywał się w gęstniejącą za oknami ciemność. – Całe te poszukiwania U-Boota były zupełnie zbyteczne.

– O mało nas nie zabili z tego powodu – mruknął Dermot.

– Więc pod różą wiatrów może być naprawdę jakaś zaszyfrowana informacja. – Paulina sięgnęła po laptopa i zaczęła przeszukiwać pliki. Po chwili na ekranie ukazała się mapka z zaznaczonym na Bałtyku punktem.

Igor odetchnął i zagryzł wargi.

– Godzinę temu stałem na górnym pokładzie i coś mi przyszło do głowy. Pracuję teraz nad pewnym tematem. Inwestorka chce zbudować na dachu wieżyczkę. Taką sygnaturkę...

Johann i Paulina, zaskoczeni, utkwili w nim wzrok.

– Patrzyłem na latarnię morską i nasunęło mi się skojarzenie z pewną wieżyczką...

Igor sięgnął po notatnik, który przyniósł ze sobą do mesy, i zaczął kartkować, szukając jakiejś strony.

– Franz zamieścił w liście fragment czegoś, co wszyscy uznali za jakiś wiersz lub szantę.

Gdy przyjedziesz do Rügenwalde,

to poszukaj światła umarłych.

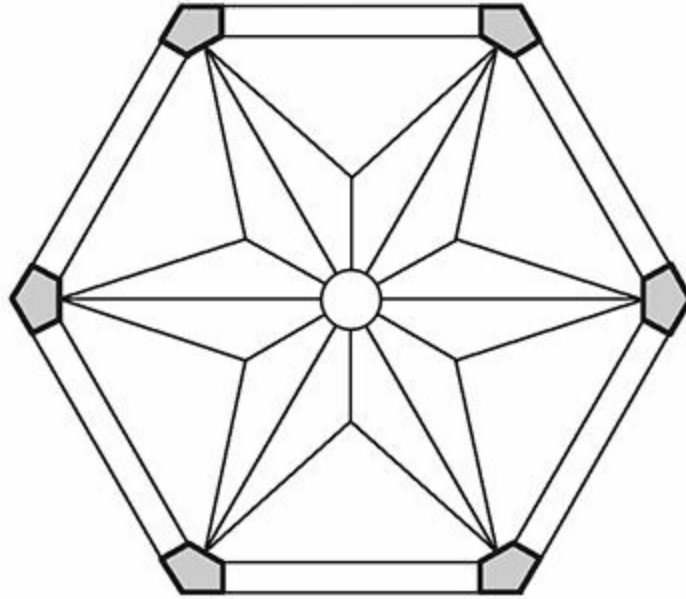
W samym środku, pod różą wiatrów,

znajdziesz nadzieję swoją na morzu

i wieczny spokój.

– Przyszło mi do głowy, że mogło chodzić o coś zupełnie innego.

Dosłowna odpowiedź. Gdyby Franz był historykiem sztuki, na przykład, to wszystko byłoby wtedy bardzo zrozumiałe. – Zatrzymał się na jednej ze stron i przesunął notatnik, tak żeby wszyscy mogli obejrzeć rysunek.



– Co to jest? – Johann przekrzywił głowę, usiłując dojrzeć całość grafiki.

– Rzut pewnej kaplicy. Narysowałem to pół godziny temu, posiłkując się internetem.

– Co to za kaplica? – Paulina podniosła wzrok. Odczytał w nim, że mimo pytania, chyba zaczyna już rozumieć.

– Die St.-Gertrud-Kirche.

– To ta od tsunami? – upewnił się Dermot. – Pod którą został wyrzucony żaglowiec?

Igor pokiwał głową.

– Dokładnie. Kaplica Świętej Gertrudy. Patronki żeglarzy, podróżników, bezdomnych i pokutujących dusz.

Johann sięgnął po laptopa i otworzył przeglądarkę.

– Ze wszystkich zabytków Darłowa tylko tej kaplicy akurat nie obejrzelśmy.

– Ale co ona ma wspólnego z tym światłem umarłych? – zniecierpliwiał się Jamie.

– Popatrz tutaj. – Igor postukał palcem w środek rysunku.

Johann przez chwilę przyglądał się grafice i nagle uniósł brwi. Sięgnął po laptopa. Na ekranie ukazała się w powiększeniu róża wiatrów z zielonej mapy.

– Faktycznie to ten kształt!

– Co to jest? Posadzka? – Dermot patrzył to na ekran laptopa, to na mapę.

– Sklepienie.

– *W samym środku, pod różą wiatrów...* – Paulina spojrzała w zamyśleniu przez okno. – Boże! Zgadza się! Ale co z tymi światłami umarłych? – zwróciła się zaaferowana do Igora.

– Pamiętajcie, jak mówiłem wam, że historia tej kaplicy jest nieznana? Nie wiadomo, kiedy powstała ani czym właściwie była. Według jednej hipotezy, wybudował ją Eryk Pomorski po powrocie na Pomorze, według innych, powstała sto lat później na wzór kościołów rotundowych z Bornholmu.

– Które budowali podobno templariusze – wtrącił Dermot.

– Obecnie najczęściej łączy się architekturę tej kaplicy z kościołami centralnymi wznoszonymi na wzór kościoła Świętego Grobu w Jerozolimie, a szczególnie centralnymi kościołami angielskimi budowanymi właśnie przez templariuszy. – Igor pokiwał głową.

– Ty chyba żartujesz. – Paulina patrzyła na niego z osłupieniem.

– Daj mi skończyć.

– Dlaczego miałby żartować? – zainteresował się Jamie.

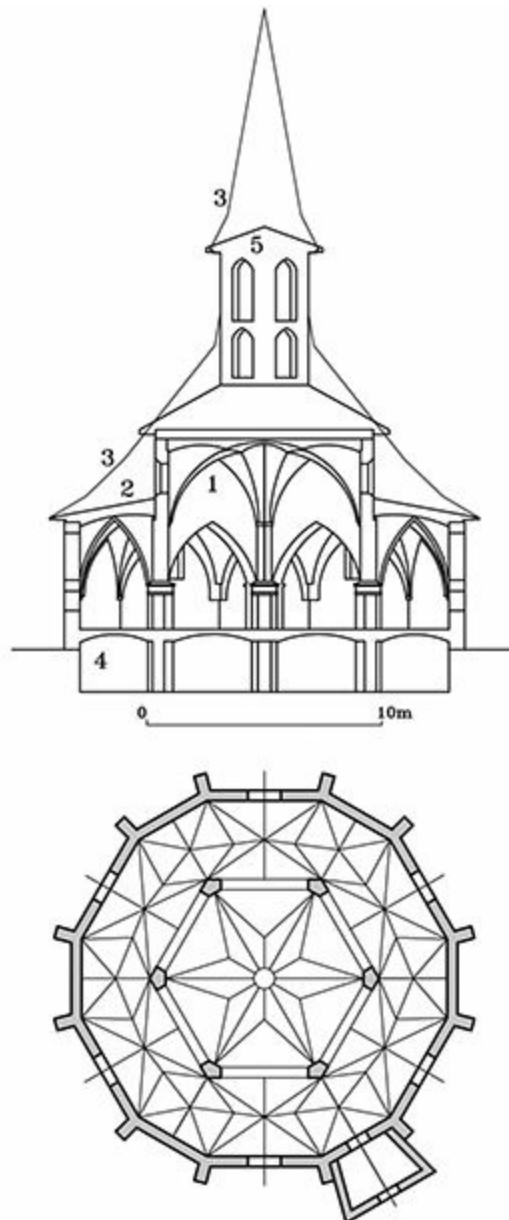
– Później o tym pogadamy – syknął Johann i rzucił porozumiewawcze spojrzenie Paulinie. – Co z tymi światłami?

– Jest teoria, która mówi, że była to kaplica cmentarna, czyli tak zwany kamer. Budowle te służyły jako kaplice pogrzebowe oraz miejsca do przechowywania kości wydobytych podczas kopania nowych grobów lub innych prac ziemnych. Miały najczęściej dwie kondygnacje, z czego najniższa służyła jako ossuarium właśnie. Były też najczęściej przykryte dachami, w których środku znajdowała się wysoka wieża z oknami. Kaplica

w Darłowie spaliła się w siedemnastym wieku. I wówczas to stary dach zastąpiono tym dzisiejszym wielkim namiotem. Pierwotnie wyglądała inaczej. Miała wysoką wieżę, niski dach pulpitowy dookoła i ossuarium.

Igor sięgnął po drugą kartkę i położył ją na środku stołu.

Rzut i przekrój kaplicy św. Gertrudy



1. Centralna część, nakryta sklepieniem gwiaździstym.
2. Pierwotne przykrycie płaskimi dachami obejścia.
3. Dach wtórny, założony po pożarze w XVII wieku.
4. Ossuarium – zlikwidowane i zasypane w 1912 roku podczas remontu kaplicy.
5. Wieża centralna – latarnia umarłych.

– Ta środkowa wieża istnieje do dzisiaj, tyle że jest pokryta gontem. Pierwotnie były w niej okna, które zostały zamurowane. Na początku dwudziestego wieku kaplicę przebudowano, obniżono posadzkę, a ossuarium zostało zasypane.

– Opowiadasz nam tutaj o architekturze, a my dalej nie wiemy, o co chodzi z tymi światłami umarłych. – Jamie wpatrywał się sceptycznie w rysunek.

– Muszę wam to dokładnie wytłumaczyć, żebyście zrozumieli – jęknął Igor.

– No, więc mów wreszcie! – zniecierpliwiał się Dermot.

– W podobnych kościołach na terenie Niemiec czy Austrii był pewien stary zwyczaj, którego pochodzenie sięga zamierzchłej przeszłości, kiedy ogień był czymś niezwykłym. Otóż w sklepieniu wykonywano otwory, przez które wciągano na wieżę pochodnie. Działo się to zazwyczaj podczas wielkich katastrof, jakichś straszliwych wydarzeń, które pochłoneły dziesiątki ludzkich istnień i chodziło o uczczenie zmarłych lub ostrzeżenie wszystkich podróżujących, że wydarzyła się tutaj wielka tragedia. Miało to także praktyczne znaczenie jako ostrzeżenie przed epidemiami. Ten zwyczaj nazywano zapalaniem...

– Latarni umarłych! – dokończyła Alice i pochyliła się nad rysunkiem Igora. – Boże!

– Przez całe lata ciągnął się za tą historią drobny błąd w odczytaniu słowa „Totenleuchte”. – Igor powiódł spojrzeniem po wpatrzonych w niego osłupiałych słuchaczach. – Nie chodziło o żadne światło umarłych, tylko o latarnię umarłych.

– *Gdy przyjedziesz do Rügenwalde, to poszukaj latarni umarłych. W samym środku, pod różą wiatrów...* – Paulina zacytowała cicho słowa z listu i oparła się ciężko o krzesło.

– Matka Karła dostała list, który miała przekazać księdzu Jacobowi z tego kościoła. Co to oznaczało? – Johann wstał i skierował się do kambuza. – Wybaczcie, ale muszę się napić!

– Ukryli tam coś? – Dermot cały czas wpatrywał się w rysunek Igora. – A jeśli te ostatnie słowa: „i wieczny spokój”, wskazują na ossuarium...

Na moment zapadła cisza.

– Niemcy przed wojną mogli zaanektować kościół pod byle pozorem, tak samo jak zrobili to z innymi budynkami. – Johann wrócił z sześciopakiem piwa i spojrzał na Igora. – Mogli zakopać coś w tej podziemnej części.

– Nie mam pojęcia, co by to mogło być. – Igor wzruszył ramionami. – Brakuje mi wyobraźni.

– Idziemy! – zakomenderował nagle Dermot.

– Dokąd? – Gwen spojrzała na niego z przerażeniem. – Do tej kaplicy? Jest już za późno!

– Zobaczymy. Może jest akurat otwarta.

– Znowu was zamkną!

– O mało nas nie wywieźli na Syberię przez te cholerne tajemnice. Nie wytrzymam, jak tego zaraz nie sprawdzimy!

*

Na teren cmentarza komunalnego prowadziły dwa, usytuowane w starym murze z kamienia granitowego i cegły, wejścia. Jedno z nich, które poprzedzały ukryte za wysokim murem oporowym schody, znajdowało się od strony ulicy Ojca Damiana Tynieckiego, ruchliwej nitki wyjazdowej w kierunku Słupska. Na ceglanych filarach wisiła tutaj brama z kutego żelaza. Schody wspinały się ku kaplicy, mijając stojącą po lewej stronie dzwonnice, obok której zwieszały się długie pędy jesionu płaczącego. Główne wejście do budynku prowadziło przez drewniane wierzeje, ukryte w ostrołukowo zakończonym portalu. I były oczywiście zamknięte.

Johann szarpnął za kutą żelazną kłamkę i zaklął pod nosem.

– Można było się tego przecież spodziewać. – Paulina wzruszyła ramionami.

Jako że samochód Igora miał tylko pięć miejsc, a micra Pauliny była zepsuta, po burzliwej dyskusji zapadła decyzja, że poza Igorem, Pauliną i Johannem pojedą jeszcze Dermot z Rupertem. Rupert uparł się oczywiście, że zabierze aparat, i zanim doszli przez cmentarz do kaplicy, zdążył już zrobić całą kolekcję nastrojowych zdjęć.

– Co robimy? – Igor odwrócił się i spojrzał w kierunku ulicy. – Na szczęście jest tutaj spokój.

Wiatr poruszał delikatnie liśćmi drzew, a z nieodległego Darłowa dochodziły dźwięki letniego, ciepłego wieczoru.

– Po prostu jedziemy z powrotem. – Wzruszyła ramionami Paulina. – A jest jakaś alternatywa?

Johann pochylił się nad drzwiami i poruszał klamką. Zanim ktokolwiek zdążył zareagować, wyjął z kieszeni drut i wsadził do zamka. Po chwili skrzydło drzwi z cichym skowytem otworzyło się do środka.

– Coś ty zrobił? – Paulina prawie straciła oddech. – Zwariowałeś? Włamujemy się do kościoła! Tam są cenne rzeczy.

– Rozejrzemy się tylko... – Johann wemknął się do wnętrza i niecierpliwie skinął ręką na pozostałych.

Rupert podniósł obiektyw i zrobił mu zdjęcie.

– Wy dwaj zostaniecie na zewnątrz – zakomenderował Johann, patrząc jednocześnie na Ruperta z irytacją. – Gdyby ktoś szedł, to nas ostrzeżecie.

– Niby jak? – warknął Dermot.

– Telefony mamy. Zadzwonisz i powiesz, żebyśmy się schowali.

– To się źle skończy.

– Ty pierwszy chciałeś tu przyjechać.

– Ale nie żeby się włamywać.

– Im dłużej tu stoimy, tym bardziej ryzykujemy. – Johann pokazał zęby Dermotowi i zamknął drzwi, przez które dopiero po dłuższej chwili wahania, z niepewnymi minami, wemknęli się do środka Igor i Paulina.

Wnętrze kościoła, przy całej skromności zewnętrznej bryły, zaskakiwało przestrzenią i wystrojem. Centralna część świątyni nakryta była gwiaździstym, sześcioramiennym sklepieniem, którego długie ramiona, przedłużone gotyckimi słupkami, schodziły aż do gzymsów opasujących filary, oddzielające obejście. Ściany nad arkadami zdobiły XVII-wieczne malowidła przedstawiające dwunastu apostołów, a na emporach pyszniły się symboliczne przedstawienia cechu szewców oraz postacie czterech ewangelistów: Mateusza, Marka, Łukasza i Jana. W kościele zachowały się

także XVIII-wieczne ławy z popiersiami najbogatszych kupców, browarników oraz wielkich luterańskich reformatorów, Marcina Lutra i Filipa Melanchtona.

Wnętrze kaplicy spowijała ciemność, rozświetlona tylko przez wpadające z niewielkich i nielicznych tutaj okien światło księżycy. Igor, stąpając ostrożnie po posadzce, włączył latarkę i kościół przeciął ostry promień światła.

– Ktoś to może zobaczyć z zewnątrz – syknęła Paulina.

Igor przesunął latarką po sklepieniu.

– Tu prawie nie ma okien.

Paulina zadarła głowę do góry.

– *W samym środku, pod różą wiatrów, znajdziesz nadzieję swoją na morzu i wieczny spokój* – szepnęła.

– Stoimy w samym środku – zauważył Johann. – Pod samą różą wiatrów. I co dalej?

Igor skierował promień latarki na posadzkę.

– Ossuarium, czyli wieczny spokój.

– A co z tą nadzieją na morzu? – Paulina rozejrzała się po wnętrzu. – Może chodzi o jakieś polichromie albo obrazy ze scenami marynistycznymi?

– Nie ma tu nic takiego. – Igor obrócił się dookoła.

– Może przed wojną, gdy Franz tutaj bywał, wisiały.

– Obraz byłby zbyt ruchomym elementem zagadki.

Johann oświetlił posadzkę pod nogami.

– A jeśli to należy rozumieć dosłownie? Po prostu pod posadzką?

– Nie zamierzasz chyba rozwalać tej posadzki? – Paulina uniosła brwi.

Johann postukał podeszwą buta w ceramiczne kafle.

– Ta posadzka nie jest przecież stara. To chyba w ogóle cegła.

– Została położona w tysiąc dziewięćset dwunastym, podczas remontu – wyjaśnił Igor, ukucnął i przejechał palcami po spoinach cegieł. – Wtedy właśnie zasypano ossuarium.

– No dobra, a co, jeśli zapłacę za remont? – Johann ściągnął brwi. –

Przeleję kasę incognito, jak wrócimy do Londynu.

– Boże! – jęknęła Paulina. – Będziesz mógł to zrobić chyba dopiero, jak nas wypuszczą z więzienia.

Cała trójka stała przez chwilę w milczeniu, patrząc pod nogi.

– Wiesz, ile przekazujemy kasy z podatków rokrocznie na Kościół? – powiedział Igor, nie podnosząc głowy.

– Ile? – spytał Johann

– Jakieś dwa miliardy. Nie licząc półtora miliarda z kieszeni wiernych i drugie tyle z różnych unijnych dotacji.

– Na wszystkie kościoły łącznie?

– Nie. Na jeden. Katolicki...

– Rozwalamy!

– Przestańcie wygadywać głupoty! – Paulina obejrzała się w kierunku drzwi. – Powinniśmy już stąd iść.

– Nie ciekawi was, co jest w pozostałościach tego ossuarium? – Johann stał, cały czas patrząc na ceglana posadzkę. – Co było na tyle cenne, że cała załoga niemieckiego trałowca Kriegsmarine ryzykowała dla tego życie?

– Zaraz się dowiemy. – Z głębi kościoła, z pograżonego w ciemności obejścia rozległ się nagle niski męski głos.

– Wydaje mi się, że coś słyszałem... – Dermot pochylił się konspiracyjnie w kierunku Ruperta.

Stali po drugiej stronie kościoła, przy niewielkim placu, z którego widać było schowany za gęstą zielenią cmentarza budynek plebanii.

Rupert rozejrzał się i pokręcił głową.

– Wracamy przed drzwi. Po co w ogóle tutaj przyleźliśmy? – Dermot wskazał ręką na niewielką dobudówkę, dostawioną do jednej ze ścian kościoła.

– Bo stąd widać tę plebanię. – Rupert kiwnął głową w kierunku białego, pograżonego w ciemności budynek. – Jak stamtąd ktoś wyjdzie, to tu go zauważymy odpowiednio wcześniej.

– Stój tutaj w takim razie, a ja idę przed drzwi.

Dermot zawrócił i odruchowo się pochylając, przemknął wzdłuż ścian kościoła.

Cała trójka stała przerażona na środku kaplicy, rozglądając się dookoła siebie. Paulina bezwiednie położyła rękę na ustach, jakby bała się, że zacznie krzyczeć.

– Kto tu jest? – Igor skierował światło latarki w kierunku obejścia. Mężczyzna musiał się ukrywać za którymś z filarów.

– Myśleliście, że sami się dobierzecie do skarbu nazistów? Włamaliście się do kościoła. Do domu bożego!

– Czego chcesz? – zawołał głośniej Igor, rozglądając się wokół siebie.

Z pogrążonej w mroku nawy wyleciał nagle jakiś przedmiot. Z tępym łoskotem ślizgał się przez chwilę po ceglanej posadzce i zatrzymał w końcu pod samymi nogami Igora.

– Co się dzieje? – spytał Johann szeptem. – O czym on właściwie mówi?

– Jeden z was będzie kopał. Tak jak gadaliście. Na środku. Jak któreś zechce zrobić coś głupiego, to będę strzelał do laluni.

– Nie będziemy nigdzie kopać!

– Panienska miała zginąć. Widać jej to pisane. – W ciemności rozległ się głuchy trzask.

– Co się dzieje? – spytał głośniej Johann. – On ma broń?

– Ty! – odezwał się głos. – Przetłumacz temu Angolowi, co powiedziałem.

Igor spojrział na Paulinę. Zastanawiał się, czy poznaje głos. Może to był ten oprych, który wdarł się do domku nad jeziorem? Uniósł brwi.

Pochylił się do Johanna i wskazując ręką posadzkę, przetłumaczył mu słowa mężczyzny.

Paulina pokręciła głową. Nie знаła jego głosu. Kukła się przecież nie odzywał.

– Czego chcesz? – zawołał Igor.

– Wykopiecie skarb. Ja go zabieram! Czego nie rozumiesz jeszcze, palancie?

– Okej. – Johann podniósł do góry ręce. – Ja będę kopał. I tak chciałem to robić.

– Co on powiedział? – rozległo się z ciemności.

– Nie będę twoim tłumaczem! – krzyknął Igor.

– Przestań go wkurzać – szepnęła Paulina, patrząc na Igora ze strachem.

Johann pochylił się i sięgnął powoli po łom. Chwycił go oburącz i pochylił się nad posadzką.

Igor podniósł głowę do góry.

– Bardziej na prawo. Jeśli to ma być na samym środku.

Johann zrobił krok do tyłu i opuścił łom na podłogę. Wsadził ostro zakończoną część w spoinę między cegłami i zaczął szarpać. Szpara stopniowo powiększała się. Johann dłubał tak długo, aż cała jedna cegła została pozbawiona oparcia. Wepchnął łom z jednej strony i mocno podważył. Cegła powoli wysunęła się do góry. Igor pochylił się, wziął ją do ręki i odłożył na bok. Pod spodem było widać wyrównane podłoże z warstwy piasku. Następne cegły ustępowały dużo łatwiej i po chwili na posadzce leżała cała niewielka sterta ceramicznych prostopadłościanów.

– Co się dzieje? – Głos mężczyzny był poirytowany. – Coś ciężko wam idzie.

– To cegły, nie ziemia! – warknął Igor.

– Czego on chce? – Johann podniósł wzrok.

– Twierdzi, że ciężko nam idzie.

– Niech sam sobie kopie!

– Zamknąć się tam!

Johann zagłębił łom w warstwę piasku i zaczął w nim grzebać. Warstwa miała jakieś dziesięć centymetrów grubości, a pod spodem był gruz wymieszany z ziemią.

– Niczego tu nie ma – rzekł, kręcąc głową.

– Co się dzieje z Dermotem i Rupertem? – szepnął Igor.

– Nie zauważyli, jak tu wchodził? – Paulina pochyliła się nad powiększającą się dziurą na samym środku kaplicy.

– Zamknąć się!

Johann wyrwał jeszcze parę cegieł i zaczął odrzucać na boki piasek, odsłaniając coraz głębsze warstwy gruzu. Nagle łom wydał głuchy dźwięk. Johann zamarł, wpatrując się w wyłom w posadzce. Podniósł wzrok.

– Co tam jest? Ostrożnie tylko!

Johann pochylił się i zaczął powoli odkopywać rzecz, która wydała głuchy odgłos. Zalegający na niej piasek i gruz w końcu się skończył i ukazała się gładka ceramiczna płaszczyzna.

– Cholera! – jęknął Johann. – To chyba jakaś pierwotna posadzka?

– Niemożliwe. – Igor uklęknął i wsadził rękę w wykop. – Oryginalna posadzka ossuarium była dużo niżej. A kościelna z kolei metr wyżej niż obecny poziom.

Zaczął oczyszczać powierzchnię cegieł, gdy nagle jego ręka trafiła z jednej strony na próżnię. Igor powoli objechał palcami krawędzie cegły i podniósł wzrok na Johanna i Paulinę.

– To jedna cegła. Bardzo duża. Gotycka chyba.

– Wyjmij ją. – Johann pochylił się i oświetlił latarką nierówną powierzchnię materiału.

Igor szarpnął za cegłę i po chwili znalazła się w jego rękach. Była lekka. Podniósł ją do góry i zaczął oglądać.

– Co to jest? – warknął głos z ciemności.

– Cegła. – Igor wzruszył ramionami.

– Tu są chyba jakieś znaki cechowe. – Paulina wskazała palcem na wierzch pustaka.

– Fakt. – Igor przechylił cegłę, przypatrując się kilkunastu cyfrom, gdy nagle z bocznej ścianki cegły coś wypadło i z brzękiem poleciało na podłogę.

– Co to, kurwa, jest? – zniecierpliwiał się głos.

Johann pochylił się i podniósł podłużny przedmiot zakończony okrągłą wklęsłą częścią.

– Przecież to łyżka! – powiedział zdumiony. – Może i nawet srebrna, ale zwykła łyżka.

– Daj mi to! Rzuć tutaj!

Igor spojrział na Johanna i powtórzył polecenie mężczyzny.

Johann przez chwilę się wahał, po czym pochylił się i rzucił łyżkę po posadzce w kierunku, z którego kilkanaście minut temu przybył łom.

– Robicie sobie ze mnie jaja? – warknął po chwili mężczyzna.

– Tu nic innego nie ma. – Paulina pokręciła głową, patrząc pod nogi.

Nagle rozległ się głośny, potępieńczy jazgot otwieranych drzwi kościoła i na posadzce w obejściu pojawił się, stopniowo powiększający się, sztylet bladego światła. W otwartych wrotach ukazał się wielki cień.

Przez chwilę wszyscy, nie wyłączając prawdopodobnie właściciela tajemniczego głosu, stali zdezorientowani, wpatrując się w siebie ze strachem. Igor rozejrzał się dookoła. Pomyślał, że zaraz ten ktoś tu wejdzie i zastanie ich na środku XV-wiecznej kaplicy, obok wykopanej, głębokiej dziury. Dwa lata w zawieszeniu na cztery jak nic.

Skoczył w ciemność za filar i machnął ręką do Pauliny i Johanna, żeby podążyli za nim.

– Co się z wami dzieje? – usłyszeli nagle sceniczny, aczkolwiek nieco zdezorientowany szept Dermota. – Siedzicie tu już pół godziny!

W tym samym prawie momencie z ciemności wyskoczył wielki kształt i rzucił się w kierunku drzwi. Przez chwilę, niczym w chińskim teatrze cieni, widać było jedynie splątana masę dwóch wielkich sylwetek, a wreszcie jedna z nich, okrutnie klnąc, poleciała do tyłu i wyrznęła plecami o posadzkę, a druga wyskoczyła na zewnątrz i zniknęła w gąszczu zieleni przed frontem kaplicy.

Przez kolejną dłuższą chwilę wewnątrz kościoła panowała kompletna cisza, którą przerwał dźwięk telefonu.

Igor, który pierwszy odzyskał świadomość, wyrwał komórkę z ręki Johanna i przyłożył do ucha.

– Wychodźcie stamtąd! – w ciszy kaplicy rozległ się przytłumiony głos Ruperta. – Zapaliło się światło na tej plebanii. Zaraz ktoś tutaj przylezie!

– Cholera! – Igor ruszył w kierunku otwartych na oścież wrót. – Szybciej!
– odwrócił się i krzyknął do Johanna i Pauliny.

Paulina, klnąc pod nosem, pobiegła za nim, upychając nerwowo w torbie spory kanciasty przedmiot.

Dopadli drzwi wyjściowych i wymknęli się na zewnątrz, zamykając je po cichu za sobą. Ledwie zdążyli ukryć się za murem oporowym schodów na ulicę, gdy na ścieżce od strony plebanii ukazała się zgarbiona postać, pobrząkująca pękiem kluczy.

*

Z położonych na przeciwległym brzegu Wieprzy hoteli i restauracji dobiegał wesoły gwar. Nad wodzie kładły się drgającymi smugami światła latarni i zawieszonych przy letnich ogródkach lampionów, a z plaży dochodził rejwach budzących się dopiero do życia nocnych, sezonowych klubów i dyskotek.

Gwen stała oparta o reling na najwyższym pokładzie i wpatrywała się z niedowierzaniem w Johanna, który streścił jej właśnie przebieg ich nocnej wizyty w darłowskim kościele.

– Rozwaliliście posadzkę? – Otworzyła szeroko oczy. – Na samym środku kaplicy? Na miłość boską! Przecież to kryminał!

– Kazał nam to zrobić ten bandzior! – Paulina opadła na sofę pod płóciennym zadaszeniem i położyła obok siebie torbę.

– To był ten Kukła?

Paulina pokręciła głową.

– Nie widzieliśmy go. Ale kto to mógłby być, jak nie on?

– Ja nie wiem, czy nie powinniśmy pod osłoną nocy szybko stąd odpłynąć.
– Alice usiadła na wysokim stołku przy barku. – Tam przecież pewnie teraz wzywają policję.

– Ktoś was widział? – Gwen spojrzała na milczącego Igora.

– Chyba nie.

– Chyba?

Igor wzruszył ramionami. Był rozczarowany. Spodziewał się jednak, że

skoro opatrność zesłała im szansę w postaci tego draba, to jednak coś znajdują. Gdyby nie on, pewnie wpatrywaliby się w posadzkę jeszcze przez pół godziny i wrócili z nosami na kwintę. A tu nic...

– Wykopać dziurę w zabytkowej posadzce kaplicy z piętnastego wieku po to, żeby znaleźć starą łyżkę... – Gwen pokręciła głową. – Macie przynajmniej zdjęcia z tej operacji?

– Nie wpuścili mnie do środka – mruknął Rupert.

Jamie parsknął śmiechem.

– I to naprawdę była łyżka? Boże! Gang Olsena to przy was profesjoniści.

Jedna z komórek zaczęła nagle dzwonić.

Na chwilę zapanowała cisza.

– Policja? – Gwen uniosła brwi i popatrzyła na Igora.

– Jaka policja? To telefon na kartę. – Dermot sięgnął do kieszeni spodni i wyjął komórkę. – Jakiś palant ciągle dzwoni. Powiedziałem mu, że to pomyłka i że nie znam polskiego, ale widać nie zrozumiał.

Przejechał palcem po ekranie i rzucił komórkę na ławę.

– Wspaniałe zakończenie wakacji... – Alice zaczęła chichotać. – Wyprawa w poszukiwaniu Bałtyckiej Anomalii zakończyła się znalezieniem starej łyżki do zupy.

– W przyszłym roku musimy zacząć odwrotnie – parsknął Jamie. – Zacniemy od szukania jakiegoś widelca, to może przez przypadek znajdziemy skarb kapitana Kidda.

– W Bałtyku?

– A kto mówi o Bałtyku?

Dermot podszedł do sofy, postawił na ławie kufel z piwem i usiadł obok Pauliny.

– Boże! Co to jest? – jęknął, podnosząc się i oglądając za siebie. – Co ty masz w tym worku?

Paulina sięgnęła po czarną torbę.

– Ja wiem, że to tylko Zara, milordzie, ale proszę o odrobinę szacunku –

uśmiechnęła się, patrząc z udawanym wyrzutem.

Zmarszczyła brwi. Ledwie dźwignęła torbę.

– Jezu! Zapomniałam zupełnie. Zabrałam przecież tę cegłę.

– Tę spod posadzki? – Gwen spojrzała z niedowierzaniem. – Po co?

– Naprawdę? – Igor wyjrzał zza pleców Johanna.

– Naprawdę! – Paulina spojrzała na niego z irytacją. – Zaczęliście biegać spanikowani po tym kościele w tę i we w tę, zwłaszcza ty! A ja zostałam z tą cegłówką jak głupia na środku i nie wiedziałam, co z nią zrobić. No to włożyłam do torby.

Paulina sięgnęła do wnętrza czarnego worka, wyjęła cegłę i położyła na stole. Jamie zakrztusił się piwem, odstawił butelkę i zaczął się głośno śmiać. Dermot mu zawtórował. Po chwili śmiali się wszyscy.

Cegła miała jakieś trzydzieści na czternaście centymetrów. I z dziewięć grubości.

– A ten ukrywający się za słupem oprych... – chichotał Johann. – Teraz myślę, że odgłos odbezpieczenia broni mógł markować puszką po piwie.

Na wierzchniej, chropowatej płaszczyźnie cegły wyciśnięty był rząd cyfr.

543818154620

– Wciąż nie mamy pewności, czy ktoś was nie widział. – Gwen odgarnęła włosy, poważniejąc. – Samochód Igora jest dość rozpoznawalny.

– Zostawiłem go daleko – powiedział cicho Igor. Wpatrywał się w długie zestawienie cyferek i czuł, że coś mu świta w głowie.

Kawiarenka w Warszawie. Na Starym Mieście...

– Ktoś z okien dookoła mógł was zobaczyć.

– Tam dookoła są tylko jakieś magazyny – odparł odruchowo Igor, wciąż usiłując sobie coś przypomnieć.

Didier! Cegła szamotowa z przełomu wieku! Wywieźli ją ze Szczecina! Był na niej znak producenta. Nazwa firmy!

Sięgnął po ceramiczną kostkę i zważył ją w dłoni. Była wydrążona w środku. Kształtka, używana tylko do jakichś dekoracji lub lekkich ścianek. A te cyfry...

– Co tam ciekawego zobaczyłeś? – Johann spojrział przez ramię Igora.

– To nie jest oznaczenie producenta...

– A co?

Igor nagle podniósł wzrok.

– Ty się dobrze czujesz? – zaniepokoiła się Gwen. – Jakoś tak zbladłeś.

Igor wpatrywał się w nią niewidzącym wzrokiem.

Ten Franz to musiał mieć fantazję! Uśmiechnął się do siebie i odwrócił głowę, łapiąc przy okazji zaciekawione spojrzenie Pauliny.

– To nie jest żaden znak cechu ani producenta! – powiedział głośno. – Daj mi jakąś kartkę! – zwrócił się do Pauliny.

– Ale po co? Co ty znowu wymyśliłeś? – Paulina sięgnęła ponownie do swojej torby.

Igor chwycił kartkę i mazakiem zaczął po kolei przepisywać cyfry.

Po chwili wszyscy pochylili się nad stołem. Na wyrwanej stronie z notatnika widać było dwa rzędy cyfr. Jeden pod drugim.

543818

154620

– I co to niby ma być? – Jamie podniósł głowę i zdezorientowany spojrział na Igora.

– *Gdy przyjedziesz do Rügenwalde, to poszukaj światła umarłych. W samym środku, pod różą wiatrów, znajdziesz nadzieję swoją na morzu i wieczny spokój.*

– No i?

– Znajdziesz na morzu... – powtórzył z naciskiem Igor i sięgnął ponownie po mazak. Przepisał jeszcze raz dwanaście cyfr.

54°38'18''N

15°46'20''E

Na otwartym, najwyższym pokładzie „Pandory” zapanowała kompletna cisza. Słysząc było tylko dobiegające z plaży odgłosy, odległą muzykę i cichy plusk fal uderzających o burty jachtu.

Igor pochylił się nad stołem.

– Pięćdziesiąt cztery stopnie, trzydzieści osiem minut, osiemnaście sekund szerokości geograficznej północnej i piętnaście stopni, czterdzieści sześć minut, dwadzieścia sekund długości geograficznej wschodniej.

Rozdział 32

Piątek, 18 września

Morze było spokojne. Daleko na horyzoncie wąską, migotliwie zmieniającą się linią majaczyły krańce wody i nieba. Łagodny wiatr popychał długie fale, które z lekkim szumem łamały się i cicho tonęły, z rzadka jedynie pokrywając się na wierzchołkach pianą. Piękne, wciąż jeszcze stojące wysoko słońce wydobywało srebrne błyski z łagodnie falującej, ciągnącej się w nieskończoność szaroniebieskiej płaszczyzny, na której – niczym główny motyw jakiegoś impresjonistycznego pejzażu – kołysał się wielki, idealnie biały jacht.

Igor stał na tylnym pokładzie i usiłując wyrównać nieregularny oddech, słuchał ostatnich poleceń Dermota.

Był zdenerwowany. Gdy otwarta przez Ruperta balustrada na rufie drgnęła i zaczęła się opuszczać, prawie podskoczył do góry.

Paulina stała przy relingu na wyższym poziomie i patrzyła na niego z niepokojem.

– Po co ty to robisz? Nurkowałeś tylko w jakichś bajorach pod Ińskim, a tu jest środek Bałtyku, prądy morskie, tor wodny i cholera wie co jeszcze.

– Spokojnie – mruknął Dermot, poprawiając Igorowi uprząż z zawieszonymi na niej dwiema butlami z gazem dekompresyjnym. – Poradzi sobie.

– Oddychaj spokojnie, bo zabraknie ci powietrza jeszcze na pokładzie. – Alice uśmiechnęła się i sięgnęła po ustnik aparatu. – Nie zapowietrz się. W mieszance jest hel, żeby zapobiec narkotycznemu działaniu gazów pod ciśnieniem.

– Żebyś nie miał przywidzeń. – Johann poklepał go po plecach.

– Czas denny dwadzieścia minut, schodzimy na dół jak najszybciej, trzy minuty – Dermot powtarzał wszystkie wcześniejsze ustalenia jak mantrę.

– Gaz na dnie trimix. – Johann dotknął dwóch butli na plecach. – Dekompresja godzinę i dwadzieścia minut.

– Całe nurkowanie około stu minut – Igor usłyszał swój niepewny głos.

– Nie około, tylko dokładnie sto minut! – Dermot pokiwał palcem. – Nie rozglądasz się na boki. Będziemy cię pilnować!

– Gaz dekompresyjny najpierw nitrox trzydzieści sześć. – Alice sięgnęła do uprząży na lewym boku, na którym miała umocowaną żółtą butlę.

– Potem nitrox siedemdziesiąt dwa. – Johann kiwnął głową i dotknął drugiej butli przy swojej uprząży.

– Płyniemy, sprawdzamy, co to jest, i wypływamy do góry. Żadnych indywidualnych projektów jak zwykle! – Alice włożyła ustnik, złapała się relingu, odepchnęła i wyskoczyła do wody.

*

– Że też Ruscy musieli tego ROV-a rozwalić – mruknął Jamie, wpatrując się w ekran sonaru, i spojrzał nagle na Artioma. – To jest przepraszam, bez obrazu.

Artiom błysnął zębami.

– Okej. Poszedł na dno razem z kutrem.

– Ciekawe, jak sobie ten twój kumpel poradzi?

– Iwan? Poradzi sobie. – Artiom uśmiechnął się z przekąsem. – A jak nie, to pies mu mordę lizał. Kawał drania był z niego.

Rano, tuż przed podniesieniem kotwicy, Johann postanowił wypuścić Rosjanina, który siedział zamknięty w kabinie pod pokładem. Mimo protestów Artioma, dał mu na drogę dwieście funtów i poradził, żeby zgłosił się do rosyjskiego konsulatu.

– A co będzie z tobą? – Jamie oderwał wzrok od sonaru.

– Pan Carley obiecał mi pracę na jachcie. – Artiom uśmiechnął się promiennie. – Jego ojciec potrzebuje dobrych nurków.

– Umrzesz z nudów. – Jamie popatrzył na Artioma z rozbawieniem. – Ale przynajmniej uzi nie będziesz musiał dźwigać.

Artiom kiwnął głową i pokazał białe zęby.

– Na tym echogramie to wygląda jak zwykła łódź rybacka. – Bill pochylił się nad pulsującym na ekranie czerwonym obrazem.

– Bo to pewnie i jest łódź rybacka – westchnęła Gwen.

– Mogłem z nimi nurkować – mruknął Jamie. – Ruperta to zabrali.

– Wystarczy, że muszą się opiekować panem Ajgorem – mruknął Bill.

– No właśnie! – Gwen pokiwała głową. – A Rupert bardzo dobrze sobie radzi.

– Mówisz tak, bo jest szczupły i dobrze wygląda w skafandrze. Szczególnie jak zdejmuje górę na powierzchni.

Gwen uśmiechnęła się pobłaźliwie i postukała palcem w czoło.

*

Czas denny – dziesiąta minuta

Igor przez cały prawie czas schodzenia na dno trzymał się kurczowo liny. Miał wrażenie, że morze szarpie nim w różne strony, mimo że praktycznie pływy były bardzo niewielkie. Tuż obok Dermot i Alice opadali z absolutną gracją doskonałej, wytrenowanej latami pływalności. Widoczność była bardzo dobra. Mieli szczęście, bo pogoda w dalszym ciągu utrzymywała się piękna, tak jakby lato zapomniało, że już w połowie sierpnia, jak zwykle, powinno zacząć ustępować miejsca jesiennej szarudze i sztormom. Stan morza oscylował raptem w pobliżu trójki, a wiatru prawie w ogóle nie było.

Widoczność pod wodą dochodziła nawet do kilkunastu metrów, chociaż na pięciu wszystko było już raczej rozmyte i mgliste. Gdy znaleźli się na głębokości czterdziestu metrów, z mroku na dnie wyłonił się ciemny kształt.

Johann uśmiechnął się do Igora i pokazał kciuk złączony z palcem wskazującym, uniwersalny znak oznaczający OK. Igor najchętniej by nie puszczał liny opustowej i poczekał na dnie, aż pozostała trójka wszystko obejrzy i do niego wróci, ale ciekawość powoli zaczęła brać górę.

Do dna zostały jeszcze ze dwa metry. Dermot poruszył płetwami i wskazał palcem majaczący w oddali kształt. Popłynęli powoli w tym kierunku, a po

chwili ukazały się przed nimi pierwsze fragmenty wraku. W świetle czołowych reflektorków zobaczyli melancholijne szczątki łodzi, a właściwie tego, co z niej zostało. Poszycie zachowało się w niewielu miejscach, pokład to były marne resztki, na których dryfowały sobie spokojnie pozostałości pozrywanych sieci. Dziób sterczał wyżej od rufy, a z jego martwego pyska wystawały niczym fiszbiny jakiegoś płetwala pokiereszowane wręgi. Przepłynęli powoli nad wrakiem, omiatając go światłem reflektorów. Obok resztek łodzi na dnie leżała, zatopiona częściowo w piasku, pogruchotana nadbudówka. Igor niezgrabnie majtnął płetwami i podpłynął do burty. Widniał na niej niewyraźny, wymalowany czarną farbą napis RUG-12. Trup starej niemieckiej krypy rybackiej.

Poczuł, jak przez nerwy, strach i podniecenie zaczyna przebijać głębokie rozczarowanie. Może ten Franz był idiotą? Łyżka w cegle, a teraz zatopiona zwykła łódź. Odwrócił wzrok od burty, Johann płynął wolno wzdłuż kadłuba. Dermot i Alice byli tuż nad nim.

Dziób krypy wystawał smętnie z mułu, a dookoła niego ciągnęła się pustynia dennego piasku i niknęła w ciemności.

*

Paulina stała na pokładzie i zaciskając ręce na relingu, wpatrywała się w morze. Niedaleko „Pandory” kołysał się na falach ponton, w którym Harry i Patrick pilnowali liny opustowej i obserwowali morze przez lornetki. Na dnie pontonu leżało kilka kompletów gazu dennego na wypadek jakichś problemów.

Paulina miała nadzieję, że żadnych problemów nie będzie. Denerwowała się, a przy tym wciąż wracała myślą do tej koszmarnej rozmowy z Mateuszem. Bała się powrotu do Szczecina. Czekala ją konfrontacja z nim. Wcześniej czy później. Co innego rzucić telefonem ze złości, a co innego usłyszeć od kogoś, że znowu wybiera karierę, a ty ewentualnie możesz mu w tym towarzyszyć jako... No właśnie, jako kto?

Musiałyby szukać jakiejś pracy w tym Manchesterze. Pewnie skończyłyby się na jakiejś robocie kompletnie niezgodnej z jej wykształceniem, zainteresowaniami, niczym generalnie. Może wylądowałyby jako sekretarka w małej firmie, należącej do jakiegoś Koreańczyka lub Turka. Bycie

sekretarką w większych firmach to jednak zawód wymagający kompetencji, których nie miała.

Westchnęła. Tymczasem trwają jeszcze te niespodziewane wakacje.

*

Czas denny – piętnasta minuta

Igor odwrócił się i spojrzał w ciemność. Było to i straszne, i fascynujące zarazem. Znajdował się na dnie, w bezpiecznej, oświetlonej latarkami bliskości wraku i dobrze pływających przyjaciół, a kilka metrów dalej ciągnęła się w nieskończoność mroczna czeluść. Poruszył się, by płynąć za Johannem, który przed chwilą dał mu znak, że wracają do liny, gdy dostrzegł nagle jakiś kształt. W ciemności niedaleko łodzi, złudnie blisko, leżał na dnie jakiś ciemny, podłużny obiekt. Mimo całych godzin powtarzania przez Dermota i Alice tych samych ostrzeżeń, ukończonego podstawowego kursu nurkowania, i zdawać by się mogło, zdrowego rozsądku, Igor zrobił dokładnie to, czego robić nie powinien. Odbił się od burty krypy i popłynął w kierunku ciemnego, majaczącego w toni kształtu. Wydawało mu się, że lina opustowa jest tuż obok. Widział ją cały czas, a na kalkulatorze miał jeszcze pełne pięć minut. Spojrzy i od razu wraca.

Płynął, wpatrując się w tajemniczy obiekt i czując, jakby przyciągał go i hipnotyzował migotliwym drzeniem wody. Gdy był od niego jakieś dwa metry, już wiedział, co to jest. Długi może na metr, może trochę więcej, walec. Z jednym końcem bardziej zaokrąglonym, opleciony przez osady i kołyszące się łagodnie strzępy sieci. Działo!

Igor poczuł, jak wali mu serce. To było prawdziwe działo. I nawet na oko nie ulegało wątpliwości, że pochodzi z żaglowca. Jeśli leży tutaj działo, to tuż obok, może kilka metrów dalej, musi leżeć reszta. Okręt! Poruszył płetwami i popłynął dalej. Jakaś część jego świadomości oczywiście była ostrzegającym alarmem, ale podniecenie i ciekawość ciągnęły go jak magnes.

Metr dalej w piasku leżało kolejne działo. Jeszcze tylko kawałek.

Johann odpłynął może na dwa metry od łodzi i obejrzał się. W promieniu

latarki, tam gdzie powinien być Igor, była tylko ciemność i majaczący w mroku kadłub krypy. Poczł, jak serce podchodzi mu do gardła. Spojrzał na komputer. Jeszcze dwie minuty.

*

Czas denny – dwudziesta minuta

Igor podpłynął jeszcze kawałek i nawet w stanie podniecenia, w jakim się znajdował, poczuł, że jest bardzo niedobrze. Przez chwilę wracała mu trzeźwość umysłu. Wraz ze strachem, który zaczął go łapać za gardło. Spojrzał na kalkulator i nerwowo wsadził rękę do kieszeni, upewniając się, że ma tam bojkę i linę ratunkową. Napędzi wszystkim stracha, ale w końcu wynurzenie się bez liny nie jest czymś potwornie trudnym. Musi tylko pilnować czasu i zmian butli na określonych głębokościach. Niemniej było oczywiste, że okazał się patentowanym idiotą i powinni go na górze zabić.

I wtedy to zobaczył.

Nie wierząc własnym oczom, poruszył płetwami i podpłynął bliżej. Z ciemności, niczym zza odsuwającej się, wiszącej tutaj kilkaset lat kurtyny, wyłonił się wrak.

Jeden tylko maszt, wystający ze środka i złamany w połowie. Rufa stała wyżej niż dziób. I to na niej były jeszcze zachowane drewniane, kunsztownie rzeźbione blanki.

Kasztel! To była koga!

Igor płynął jak zahipnotyzowany. Nie mógł oderwać wzroku od niezwykłych, wyłaniających się z ciemności kształtów. Malowane kiedyś we wszystkich kolorach, rzeźbione dekoracje oblepiały wręcz kadłub okrętu. Wykute w starym drewnie pyski smoków, popiersia morskich stworzeń wyzierały z każdego centymetra powierzchni. W rufie była wielka dziura, która ziała ciemnością, a dookoła leżały zatopione w piasku działa. Igor podpłynął bliżej i zajrzał do środka. W świetle latarki coś nagle błysnęło. Na tyle mocno, że musiał zmrużyć oczy.

Gdy je otworzył, przez krótką chwilę myślał, że stracił przytomność. Ładownia była wypełniona dziesiątkami beczek, które leżały pośród

zniszczonych resztek pokładu i szczerzących kły połamanych wręg. Z kilku beczek wysypały się na dno okrętu błyszczące w świetle latarki, nawet po tylu wiekach spoczywania na dnie, przerażająco nieprawdopodobne, chociaż spatynowane i pokryte osadami złote krążki i kolorowe, absurdalnie niemożliwe kształty naczyń i biżuterii. Ale najbardziej nierzeczywiste było to, co tkwiło w samym środku tego bałaganu. Miał jakieś metr pięćdziesiąt wysokości. W długich szatach, z podniesioną do góry prawą ręką, w starym, znanym od setek lat geście błogosławieństwa. Posąg Chrystusa.

Igor wisiał zawieszony w próżni, a przestrzeń i czas przestały dla niego istnieć. I doprawdy nie wiadomo, jak by się wszystko skończyło, gdyby nagle ktoś go nie szarpnął za ramię. Igor odwrócił się i zobaczył Johanna, którego oczy wypełniały prawie całą maskę. Johann podniósł rękę i postukał palcem w komputerek. Minęły trzy minuty po ustalonym czasie dennym.

Igor miał wrażenie, jakby powoli wracał do rzeczywistości z jakiegoś snu. Przypomniał sobie to, co mówiła Alice na pokładzie. O halucynogennym działaniu gazów pod ciśnieniem.

Johann, nie czekając, sięgnął do kieszeni i wyszarpnął z niej bojkę i linkę. Przyłożył bojkę do ust i po chwili mały napęczniały balonik poszybował przez ciemność w kierunku powierzchni, unosząc ze sobą przymocowaną tabliczkę z krótką informacją. Nie było czasu wracać do liny opustowej. Igor dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak bardzo muszą się denerwować Dermot, Rupert i Alice. Przez ponad godzinę dekompresji będą wracać na powierzchnię, umierając z niepokoju. Złapał Johanna za rękę i pokazał zapadnięty fragment rufy okrętu. Johann spojrzał zniecierpliwionym wzrokiem, który po chwili wyraził nagłe zainteresowanie. Tak jakby dopiero w tym momencie zauważył niesamowity, wyrwany z kilku wieków mroku wrak. Może zresztą i tak było.

Niecałą minutę później po linie ratunkowej zjechały na dół dwa komplety butli, a Igor, przełączając aparat oddechowy, pomyślał, że ma teraz prawie półtorej godziny na to, żeby poukładać sobie wszystko w głowie.

*

Odkręcił zawór butli dekompresyjnej i sprawdził ciśnienie na manometrze. Sięgnął po wąż i przełożył go sobie wokół głowy. Wyjął z ust

automat gazu dennego i włożył nowy. Patrzył, jak Johann tuż obok niego wykonuje dokładnie te same czynności.

To się musiało wydarzyć podczas któregoś z próbnych strzałów Dory. Gigantyczne działo, schowane za wielkim murem, sunęło po czterech torach, a w tym czasie kilka okrętów Kriegsmarine patrolowało Bałtyk od Darłowa po wybrzeża Bornholmu. Może stało się to nawet w listopadzie 1942 roku, podczas tego pierwszego wystrzału, który położył pokotem wszystkie drzewa w okolicy, powybijał okna w całym Darłowie, a falę uderzeniową odczuli ludzie w promieniu kilkudziesięciu kilometrów. Załoga trałowca, którym dowodził Franz Schliemann, zgodnie z ustanowioną jeszcze przed wojną procedurą, kontrolowała miejsca uderzenia pocisków. I to wtedy prawdopodobnie odnaleźli zatopiony okręt, i postanowili zatrzymać tajemnicę dla siebie.

Igor unosił się w wodzie, nie spuszczać liny z oczu. Zbliżali się do trzydziestu pięciu metrów. Na trzydziestu muszą zrobić przystanek i zmienić gaz dennego na nitrox 36.

Stara wojenna koga wraz ze swoją drogocenną zawartością miała być początkowo jedynie gwarancją lepszego życia. Franz z załogą umówili się pewnie na podział łupów, po które mieli wrócić któregoś dnia po wojnie. Ale wojna trwała i trwała, a pod koniec 1943 roku zwycięstwo nie było już takie pewne. W lipcu tamtego roku, w bitwie pod Kurskiem, Niemcy poniosły największą klęskę na froncie wschodnim, w następstwie czego Armia Czerwona zaczęła przeć na zachód. Ładownia zatopionego okrętu stała się teraz dla Franza i jego załogi gwarancją bezpieczeństwa. Franz zdecydował się nawiązać kontakt z aliantami. W ten sposób poznał Wilhelma von Zitzewitza, alianckiego szpiega, ze starej pomorskiej rodziny. Alianci jednak potrzebowali informacji na temat poligonu i niemieckich eksperymentów z bronią. Początkowo przekazywał je pewnie za pomocą swoich kanałów hrabia Wilhelm, ale z czasem być może przestało to być bezpieczne.

Jedenastego kwietnia 1944 roku piloci „Latającej fortecy”, biorący udział

w akcji „Sorau”, dostali inny, tajny rozkaz. Mieli zrzucić radiostację dla Franza. Niestety, akcja się nie powiodła. I w ten właśnie sposób na scenę wszedł mały chłopiec z rybackiej chaty w Neuwasser.

Johann i Igor zawiśli w toni. Na głębokości trzydziestu metrów zrobiło się już jaśniej. Woda przestała być atramentowo czarna. Z góry dochodziły nawet przytłumione słoneczne błyski. Obaj odłączyli gaz denny i przeszli na nitrox. Mieli nim oddychać aż do głębokości dziewięciu metrów, kiedy to należało zrobić kolejny przystanek na zmianę butli.

Franz prawdopodobnie brał pod uwagę możliwość wpadki. W bazie wojskowej, gdzie prowadzono tak tajne eksperymenty, działały pewnie wyspecjalizowane komórki wywiadowcze. Istniała obawa, że w każdej chwili mogą zostać zdekonspirowani. Możliwe, że w jakiś sposób nawiązał kontakt z księdzem Jacobem z kościoła św. Gertrudy, a może ksiądz od początku był w spisku. Może któraś z prób Dory zniszczyła kaplicę, zaś jednostka wojskowa podjęła się jej remontu? Może to wtedy właśnie Franz ukrył cegłę z zapisanymi współrzędnymi skarbu? W każdym razie w ten sposób narodziła się operacja „Totenleuchte”. Mogło zresztą być i tak, że chodziło o swoiste odwrócenie uwagi. Gdyby załoga Franza wpadła, ich rodziny miały dostać informację o starożytnym depozycie.

Na głębokości dziewięciu metrów od powierzchni nad głowami Igora i Johanna otworzyło się kryształowe sklepienie, prześwietlone słonecznymi promieniami. Fale na powierzchni morza z tej perspektywy wyglądały jak zmieniające się w kalejdoskopie niebieskie i zielone esy-floresy. Na dziewięciu metrach należało także zmienić butle. Ostatni odcinek dekompresji.

Hrabia Wilhelm w marcu 1945 roku dostał się w ręce Sowieców. Od tego momentu prawdopodobnie datuje się początek legendy o zatopionym U-Boocie z ładunkiem tajnej broni na pokładzie. Rosjanie mieli dane dotyczące hipotetycznego miejsca zatopienia U-Boota i szukali go już od końca wojny.

Mapa skarbu nigdy nie dotarła do brata Franza, a jej druga część – „szanta” z zaszyfrowanym opisem miejsca ukrycia współrzędnych – nie wystarczyła do rozwiązania zagadki. Mimo że Bruno Schliemann poświęcił temu szmat życia.

Fale na powierzchni rzucały nimi, zalewając im twarze pianą. Paradoksalnie, na styku wody i powietrza morze było najbardziej przerażające. Po horyzont ciągnęła się nieskończona, granatowoszara płaszczyzna. Piękna i bezwzględna. Bezkompromisowo rozliczająca wszystkich, którzy popełnią błąd jej lekceważenia. Kilkadziesiąt metrów dalej kołysała się absurdalnie biała „Pandora”, a spod jej burt ruszał właśnie w ich kierunku ponton. Igor położył się na wodzie i pozwolił unosić się falom. Właśnie sobie uświadomił, że przez cały ten czas, odkąd zobaczył zatopioną kogę, nie przyszło mu do głowy to, co było oczywiste. Może na głębokości pięćdziesięciu metrów pod wodą, na środku morza, w kompletnej czerni i ze strachem ściskającym gardło, nic nie jest oczywiste?

Zatopiona koga była przecież jednym z dwóch zaginionych przed wiekami okrętów wojennych Eryka Pomorskiego, który po latach tułaczki wracał do Darłowa.

I nagle stała się jasna także ostatnia, nieodgadniona część szanty. I przy okazji ta cholerna łyżka.

W 1435 roku, gdy władza Eryka w trzech królestwach Unii Kalmarskiej zaczęła się chwiać, podarował w prezencie ślubnym zarządcy zamku Visborg na Gotlandii srebrną łyżkę z napisem: „Nadzieja moja na morzu i w Gotlandii”. Do dziś nie wiadomo, o co mu chodziło.

Igor uśmiechnął się. Czuł, jak fale go unoszą, a słońce zaczyna przyjemnie ogrzewać twarz. Jeszcze chwilami wracał ten strach, który go opanował na dole. I teraz dopiero poczuł także, jak bardzo zmarzł. Poprzez szum morza słyszał warkot silnika. Ponton był coraz bliżej.

A figura Chrystusa... Ta część opowieści o skarbach Eryka zawsze wydawała mu się najsłabsza. Najbardziej zmyślona i wymieszana z innymi legendami. Na przykład z historią podboju Rzymu przez Wizygotów – historią zrabowania największego skarbu w dziejach ludzkości, która rozpaliała pewnie głowy średniowiecznych skrybów.

Alaryk, Eryk... Alaryk I[50] został pochowany wraz z całym skarbem pod korytem rzeki w Kalabrii. Eryk Pomorski, według legend, ukrył skarb pod korytem Wieprzy u stóp darłowskiego zamku. Alaryk zrabował z Bazyliki św. Jana na Lateranie 55-kilogramową figurę Chrystusa oraz rzeźby dwunastu apostołów ze srebrnymi koronami na głowach. Eryk przywiózł do Darłowa szczerozłotą figurę Chrystusa wielkości piętnastoletniego chłopca oraz srebrne posągi dwunastu apostołów. Alaryk podobno skradł także ze Świątyni Pokoju skarby Świątyni Jerozolimskiej, w tym ogromną menorę. Eryk przywiózł ogromną monstrancję. Alaryk po złupieniu Rzymu chciał wraz ze skarbem udać się do prowincji rzymskich w Afryce, ale potężny sztorm nieopodal brzegów Sycylii zniszczył wizygockie okręty i zmusił go do powrotu. Eryk po ograbieniu skarbcza Unii Kalmarskiej i zabranii bogactw z Gotlandii wyruszył do Darłowa, jednak potężny sztorm nieopodal brzegów Bornholmu zatopił część jego okrętów...

Dlaczego te opowieści są takie podobne? Czy tylko dlatego, że historia zrabowania największego skarbu ludzkości wraz z tak legendarnymi artefaktami jak Arka Przymierza była bardzo znana i ludzie samorzutnie zaczęli ubarwiać historię Eryka? A co, jeśli...

Ponton zwolnił i powoli dryfował w ich kierunku. Harry i Patrick, balansując w kołyszącej się łódce, pomagali wejść na pokład Johannowi. Butle, uprząż, wszystko to, co waży ułamek swojej prawdziwej wagi pod wodą, na powierzchni zamienia się w potworny ciężar, przygniatający kręgosłup do ziemi.

Miał ciągle przed oczami posąg Chrystusa. Stare przedstawienie. To nie był złotowłosy młodzieniec o europejskich rysach. Blisko osadzone oczy, wschodnie rysy twarzy, semickie. Długie kręcone włosy i gęsta broda. I ten gest błogosławieństwa. Palce układające się w stary, grecki symbol

Chrystusa. A co, jeśli...

Hipoteza, która powstała mu w głowie, była absurdalna, ale narzucała się sama. Co, jeśli ten prawdziwy posąg oraz rzeźby dwunastu apostołów zrabowane przez Wizygotów z Bazyliki św. Jana na Lateranie przepadły gdzieś potem w Europie i zostały następnie wywiezione przez wikingów? Stały być może przez całe lata w jakimś zapomnianym skandynawskim kościele i w końcu wpadły w ręce Eryka?

Czy możliwe, że to prawdziwa część skarbu Alaryka?

Igor leżał w pontonie i widział, jak powoli zbliżają się do „Pandory”. Jej białe burty rosły w oczach. Widział, jak na tylnym pokładzie Dermot i Paulina machają im rękami, a Gwen i Jamie stoją uśmiechnięci na górnym. Obok nich Rupert robił im właśnie zdjęcia.

*

Kilka godzin później wiatr się wzmógł. Niewielkie, łagodne fale, marszczące do tej pory nieśmiało powierzchnię morza, zastąpiły większe, z białymi lwimi grzywami, które przewalały się jedna przez drugą, uderzając w burty „Pandory” i zalewając tylny pokład masami wody. Wszyscy zgromadzili się na dolnym pokładzie w zamkniętej mesie.

Dermot położył przed sobą laptopa i spojrzał z zaaferowaniem na wszystkich siedzących dookoła stołu.

– Posłuchajcie, założymy stowarzyszenie albo spółkę. W Londynie mamy bardziej liberalne przepisy dla tego typu działalności. Zresztą jaki to będzie podmiot, potem zdecydujemy. Z nazwiskami Gwen i Johanna dostaniemy każdą dotację albo kredyt inwestycyjny. Potrzebna będzie mocna ofensywa prawna. Ten rejon ma niewyjaśnione dotąd ramy prawne. Od lat między Polską a Danią toczy się sprawa zasięgu wyłącznej strefy ekonomicznej. Będziemy musieli zwrócić się do Ministerstwa Kultury Danii lub do królowej. Ustalimy procent...

– Boże... – Paulina pokręciła głową. – To wszystko brzmi kompletnie nierealnie.

– Jak najbardziej realnie. – Dermot uśmiechnął się z pewnością siebie. –

Wystosujemy oficjalne pisma.

– A jak nam nikt nie uwierzy? – mruknął Jamie.

– Zabierzemy tutaj mojego ojca – odezwał się Johann. – On też nurkuje. Jak zobaczy to na własne oczy, to sam nam pomoże.

– Jest tylko pewna sprawa – odezwał się nagle niepewnie Igor i popatrzył na Paulinę i Johanna. – Musimy im chyba w końcu powiedzieć...

Cała trójka przez chwilę wymieniała się spojrzeniami.

– Dotyczy podziemi Szczecina...

EPILOG

Londyn, wczesną jesienią

Czarna taksówka wyjechała z Queen Victoria Street, minęła stację metra Bank Station i zatrzymała się przy Threadneedle Street, tuż przy klasycystycznym gmachu Bank of London. Na wysokim cokole naprzeciwko królewskiej giełdy stał tutaj, wykonany z przetopionych francuskich dział zdobytych podczas bitwy pod Waterloo, pomnik Wellingtona.

Igor chciał wysiąść właśnie tutaj. Do celu miał stąd jeszcze kawałek, ale to nie miało znaczenia. Zapłacił uśmiechniętemu czarnoskóremu taksówkarzowi kilkanaście funtów, trzasnął drzwiami i stanął pod pomnikiem księcia. Zadarł do góry głowę i uśmiechnął się. Uwielbiał to miejsce. Tuż obok, na środku ulicy Cornhill, na wysokim postumencie stał pomnik inżyniera Jamesa Henry'ego Greatheada, twórcy londyńskiego metra, a zaraz za nim tkwiła, wciśnięta pomiędzy potężne gmachy, wąziutka kamieniczka z numerem czternastym, słynna Fourteen. Poprawił krawat i ruszył wąskim chodnikiem w kierunku Old Broad Street. Pomyślał, że Johann z Gwen mają z Shad Thames tylko kawałek spacerkiem, ale pewnie i tak przyjadą taksówką. Przy nobliwej wąskiej uliczce, przy której stały odrestaurowane klasycystyczne kamienice starego londyńskiego City, mieścił się piękny budynek z końca XIX wieku. Tuż obok strzelał w niebo wysoki, supernowoczesny biurowiec.

Kancelaria Carmondeley & Chatfield Ltd zajmowała całe piętro. Igor wysiadł z oszklonej windy i długim korytarzem, z którego rozpościerał się zapierający dech w piersiach widok na miasto, ruszył w kierunku ostatniego gabinetu. W holu przed wejściem byli już wszyscy. Gwen w białej dopasowanej garsonce wyglądała na tle ciemnych garniturów jak oszłamiający, egzotyczny kwiat, ale Igor i tak patrzył tylko na Paulinę. Mimo że widzieli się raptem godzinę temu, czuł, jak radośnie wali mu serce.

Zdążył się jedynie przywitać, gdy podwójne drzwi gabinetu stanęły otworem, a ubrana w niebieski uniform asywentka zaprosiła wszystkich do

środka.

– Będzie nas reprezentował sam wuj Dermota – szepnęła do niego Gwen, gdy wchodzili do ogromnego pokoju. – Sir William Carmondeley. Królowa Danii i ten wasz prezydent nie mają żadnych szans.

Kopenhaga, kilka tygodni później

Ministerstwo Kultury Danii mieści się w skromnej XVIII-wiecznej kamienicy, przy ulicy Nybrogade pod numerem drugim. Trzykondygnacyjny gmach z białej cegły, z zachowaną historyczną stolarką okienną, ma piękny portal wejściowy z dwuskrzydłową, zamkniętą rzeźbionym nadprożem bramą. Sklepiona sień prowadzi na ciemny dziedziniec wewnętrzny, z którego wchodzi się do oficjalnych pomieszczeń ministerstwa.

I to tutaj właśnie któregoś słonecznego poranka pod koniec listopada na biurko sekretarza ministra kultury trafiło eleganckie pismo z herbem rodziny Carmondeley oraz sygnaturą prowadzonej od stu lat z okładem kancelarii prawniczej. Pismo odczekało odpowiednią ilość czasu, zanim trafiło z kolei na barokowe biurko w stylu Ludwika XIV w gabinecie ministra, a później jeszcze kilka dni, nim minister raczył je otworzyć. Gdy jednak to zrobił, zbladł, siedział w swoim gabinecie, nie odbierając żadnych telefonów, a kilka godzin później polecił swojemu asystentowi natychmiast wysłać oficjalną prośbę o audiencję u królowej Małgorzaty II.

Po przeciwnej stronie kanału, dokładnie vis-à-vis Ministerstwa Kultury, znajduje się wyspa Slotsholmen, czyli Wyspa Zamkowa. To tutaj stoi pałac Christiansborg, w którym mieszczą się Królewskie Komnaty Recepcyjne, wykorzystywane przez miłośniczkę panującą Duńczykom królową do sprawowania oficjalnych funkcji. Aby dostać się do nich, należy skierować się na most Holmens Bro, który prowadzi na dziedziniec pałacu. Dalej przez Wrota Królowej – Schodami Króla – udać się do Sali Audiencyjnej, obok której jest tak zwany Pokój Rady, gdzie królowa przyjmuje ministrów i odbywa posiedzenia z przedstawicielami rządu.

Minister kultury nie czekał długo na audiencję. Przedstawiona przez jego asystenta sprawa otrzymała status niezwykle ważnej i już tydzień później minister oczekiwał w holu przed Pokojem Rady na przyjęcie przez królową.

Małgorzata II przywitała go chłodnym ukłonem i podaniem ręki.

Minister kultury sięgnął do aktówki po dokumenty i wyjął z nich pismo. Po namyśle stwierdził jednak, że problem wymaga kilku słów wstępu.

– Wasza Wysokość. Sprawa, z którą przychodzę, byłaby przeze mnie uznana od razu za niepoważną, gdyby nie fakt, że wystąpiła z nią do mnie jedna z najbardziej poważanych kancelarii londyńskich. Co więcej, kancelaria reprezentuje stowarzyszenie, którego członkowie posiadają bardzo znane, historyczne nazwiska.

– O co chodzi konkretnie, panie ministrze? – Królowa dyskretnie spojrzała na biurkowy zegar.

– Wasza Wysokość... – Minister zagryzł wargi. – W piętnastym wieku, gdy Dania należała do Unii Kalmarskiej, rządził Danią, jak Wasza Wysokość wie, księżę z pomorskiej dynastii Gryfitów Eryk Pierwszy. Pozbawiony tronu, wywiózł bezprawnie z kraju klejnoty koronne, pochodzące jeszcze z okresu Waldemara Drugiego Zwycięzcy. Dania później wielokrotnie występowała do książąt słupskich o zwrot tych regaliów, ale bez skutku.

Minister uznał, że to najlepszy moment, żeby wreszcie podać królowej pismo.

– Otóż teraz właśnie, po pięciuset latach z okładem, pojawiła się realna szansa odzyskania tych bezcennych dla Danii pamiątek. Występują jednak pewne warunki...

Królowa pochyliła się nad pismem i przez dłuższą chwilę uważnie je czytała. W końcu podniosła wzrok i zamarła.

Na dłuższą chwilę w Pokoju Rady zapanowała kompletna cisza.

Słychać było tylko tykanie zegara.

Szczecin, kolejny tydzień później

Szczeciński Urząd Miejski mieści się w wielkim gmachu z początku XX wieku, który ze względu na przywrócony mu niedawno historyczny zielony kolor ochrzczony został przez szczecinian „Szpinakowym Pałacem”. Na pierwszym piętrze, pod numerem setnym, znajduje się słynny, usytuowany na legendarnej osi kompozycyjnej XIX-wiecznej rozbudowy Szczecina

gabinet prezydenta miasta.

Stoi tutaj na czterech niedźwiedzych łapach wielkie, lakierowane na ciemny brąz biurko, przy którym prezydent pracuje lub przyjmuje gości.

Dochodziła właśnie jedenasta, a przez trzy ogromne portfenetry wpadało do wnętrza gabinetu chłodne światło listopadowego słońca, gdy do drzwi od strony sekretariatu zapukała jedna z inspektorek. Zajrzała dyskretnie do środka, a następnie weszła i położyła na prezydenckim biurku niewielki plik kopert.

Chwilę później drzwi do pomieszczeń socjalnych otworzyły się i do środka wszedł średniego wzrostu mężczyzna w dopasowanym granatowym garniturze. Nucąc coś pod nosem i dzierżąc w dłoni talerzyk i kubek z kawą, podszedł do biurka, odsunął fotel i rozsiadł się wygodnie. Była właśnie pora na drugie śniadanie. Inspektorki w sekretariacie wiedziały doskonale, że gdy prezydent posila się i przegląda aktualną korespondencję, nie należy mu przeszkadzać, mógł więc przez piętnaście minut cieszyć się względnym spokojem.

Prezydent sięgnął po puszkę z produkowanym przez jedną z lokalnych firm – i wpisanym na listę produktów tradycyjnych – paprykarzem szczecińskim i z rozkoszą posmarował nim kromkę świeżego chleba. Wziął do ręki pierwsze z pism, spojrzął na nadawcę i odłożył na bok. Pod spodem leżała duża elegancka koperta z herbem i imponującą sygnaturą. Prezydent uniósł brwi, rozerwał kopertę i wyjął złożoną kartkę drogiego papieru listowego. Odgryzł spory kawałek kanapki z regionalnym przysmakiem i zagłębił się w lekturze.

Już pierwsze zdania sprawiły, że otworzył szeroko oczy i zamarł, a gdy doszedł do połowy, zapomniał, że oprócz korespondencji, zajęty jest także konsumpcją, i zakrztusił się.

Głośny kaszel prezydenta ściągnął do gabinetu szefową biura. Wyraz twarzy głowy miasta sprawił, że rzuciła się przez cały gabinet na pomoc.

– Andżelika! – krzyknęła. – Wzywaj pogotowie!

W drzwiach pojawiła się młodsza inspektorka i szeroko otwartymi oczami patrzyła na szpinakowy kolor fizjonomii prezydenta. Po wyrazie jej twarzy można się było domyślić, że sytuacja właśnie zaczęła ją przerastać.

– Pogotowie wzywaj, mówię!

Szefowa biura zamierzyła się po raz kolejny i z rozmachem walnęła prezydenta w plecy. Trzymający się za gardło nieszczęśnik o mały włos nie przywalił głową w blat zabytkowego biurka. Pech chciał jednak, że w ferworze akcji ratowniczej spadło na podłogę sporo leżących na biurku fidrygałów, w tym puszka z paprykarzem szczecińskim. Regionalny przysmak wyrznął o kunsztownie wyremontowane deski prezydenckiego gabinetu, a czerwona zawartość rozchlapała się na wszystkie strony. Z sekretariatu dochodził rozgorączkowany głos młodszej inspektorki, która tłumaczyła dyżurnej pogotowia, że sytuacja jest wyjątkowa.

=====

Podziękowania

Historia, którą opisałem, oczywiście nie musiała się wydarzyć, ale jestem przekonany, że wydarzyć się mogła.

Na jej trop wpadłem przez przypadek. Buszując któregoś dnia w niezmiernych nieużytkach internetu, natknąłem się na artykuł poświęcony tajemniczej zbrodni, którą tuż po wojnie popełniono w niewielkim nadmorskim miasteczku. Sześćdziesięciu Polaków, wracających z robót przymusowych, zatrzymało się na jedną noc w starym domu pod lasem. Tej nocy wszyscy zostali zamordowani. Nigdy nie udało się odsłonić kulis tych wydarzeń. Nieszczęśnicy zostali pochowani w zbiorowej mogile nieopodal domu, ale gdzie dokładnie – dziś nikt już nie pamięta. Po tym koszmarnym domostwie zostały tylko ruiny porośnięte gęstym lasem. O zmroku można się w nich natknąć na upiorne schody urywające się w powietrzu.

Zaintrygowany niesamowitą historią zacząłem poszukiwać starego numeru gazety, z której pochodził wspomniany artykuł. Znalazłem go dopiero w archiwum biblioteki w Sławnie.

Dziękuję niezwykle uprzejmym pracownikom tej placówki, którzy wyszperali dla mnie te stare gazety, zeskanowali je i wysłali e-mailem, oszczędzając mi tym samym uciążliwej podróży.

Dziękuję wszystkim, którzy służyli mi radą, podpowiedzią lub czasem ironicznymi, ale zawsze życzliwymi uwagami; dotyczy to zwłaszcza moich przyjaciół oraz brata – pierwszych czytelników tej książki.

Dziękuję za pomoc moim dwóm kolegom z dawnych lat – kapitanowi żeglugi wielkiej Maćkowi Wieczorkiewiczowi, który w czasie rejsu, gdzieś pomiędzy Kapsztadem a Meksykiem, znalazł czas na przeczytanie maszynopisu książki i wniesienie licznych merytorycznych poprawek, oraz mistrzowi nurkowania Igorowi Nicolaosowi ze Szkoły Instruktorów Nurkowania imienia Witka Śmiłowskiego, który odsłonił przede mną tajniki podwodnej przygody.

Szczególne podziękowania należą się niezastąpionej pani redaktor Małgorzacie Burakiewicz, która dwa lata temu zaryzykowała wydanie mojej pierwszej książki, a obecnie wykazała się świętą cierpliwością i nie zabiła mnie za ciągle przesuwanie terminu oddania ostatecznie ukończonego tekstu.

- [1] Czwórka, 4°B – wiatr umiarkowany w skali Beauforta.
- [2] Miejscowy plan zagospodarowania przestrzennego, tzw. MPZP – dokument w postaci uchwały rady gminy, określający warunki zagospodarowania i zabudowy konkretnego terenu.
- [3] Bracia Witalijscy – finansowani początkowo przez króla Szwecji Albrechta III korsarze, tzw. flota kaperska, którzy w XIV wieku parali się przede wszystkim dostarczaniem żywności dla obleganego przez Danię Sztokholmu, by następnie porzucić służbę dla króla i jako piraci stać się postrachem Bałtyku. Ich główną siedzibą stała się Gotlandia i miasto Visby, które w owym czasie było najpotężniejszą twierdzą na Bałtyku, podbitą dopiero w 1398 roku przez zakon krzyżacki, który zawładnął Gotlandią, kładąc tym samym kres działalności Braci Witalijskich.
- [4] *God Save the Queen* (Boże, chroń Królową) – hymn Wielkiej Brytanii.
- [5] Holk – typ pokładowego żaglowca używanego od XIV do XVI wieku na Morzu Północnym i Bałtyku.
- [6] „Floreat Etona” (Niech rozkwita Eton) – nieoficjalne motto Eton College, najstarszej szkoły męskiej z internatem w Anglii.
- [7] Stan morza – charakterystyka powierzchni morza w zależności od wysokości fali, do której określenia używa się dziewięciostopniowej skali, tzw. skali Douglasa, w której „dziewiątka” to fale wysokości 14 metrów, nazywane fachowo „Phenomenal”.
- [8] Stolp – Słupsk.
- [9] Jan Zachwatowicz – profesor Wydziału Architektury Politechniki Warszawskiej, kierownik wydziału architektury zabytkowej Biura Odbudowy Stolicy, które od 14 lutego 1945 roku zajmowało się odbudową Starego Miasta.
- [10] Statek typu DSV – statek baza, umożliwiający pracę nurków w odległych od brzegu miejscach i ekstremalnych warunkach wymagających posiadania zaplecza wspierającego nurkowanie: komór dekompresyjnych, dzwonów, modułów szpitalnych czy sprzętu do prac podwodnych.
- [11] Szczecińska Fabryka Szamotu (Stettiner Chamottefabrik

Aktiengesellschaft) – spółka, którą założył w 1834 roku Ferdinand Didier. Z czasem rozrosła się w wielki koncern, Didier-Werke AG. Działa do dnia dzisiejszego jako część firmy Radex Heraklith Industrie (RHI AG) w Wiesbaden.

- [12] Nobel – średniowieczna moneta angielska, wprowadzona do obrotu w 1344 roku przez Edwarda III.
- [13] „Vasa” – szwedzki królewski galeon, mający być najpotężniejszym okrętem królewskiej floty, przygotowywanym do wojny z Rzeczpospolitą. Z powodu błędnej konstrukcji – jedna z teorii mówiła o sabotażu polskich szpiegów, którzy podmienili plany – zatonął zaraz po wypłynięciu z portu 10 sierpnia 1628 roku. Odnaleziony w latach pięćdziesiątych, w 1961 roku został wydobyty i poddany konserwacji. Obecnie znajduje się w Muzeum Vasa na wyspie Djurgården w Sztokholmie.
- [14] W maszynowni każdego statku pojawia się niewielka ilość wody, przede wszystkim od kondensacji pary wodnej z uwagi na gorąco, rzadziej z uwagi na przecieki skorodowanych rur, doprowadzających zimną wodę do chłodzenia silnika (przez tzw. zawody denne). Ta woda gromadzona jest w studzienkach żezowych (ang. *bilge*) i odprowadzana za burtę. Każda ze studzienek ma czujnik, który włącza się, gdy studzienka jest przepełniona. Problem zaczyna się wówczas, gdy alarm włącza się zbyt często, bo to oznacza, że przecieki są zbyt duże.
- [15] ECDIS (Electronic Chart Display & Information System) – urządzenie zwane „elektroniczną mapą”, służące planowaniu trasy.
- [16] Bletchley Park – siedziba zespołu kryptologów Rządowej Szkoły Kodów i Szyfrów, później przemianowanej na Rządową Centralę Łączności, która w okresie II wojny światowej zajmowała się odczytywaniem szyfrogramów powstających na niemieckich maszynach szyfrujących. To tutaj właśnie udało się złamać, także dzięki wcześniejszej pracy polskich szyfrologów, kod Enigmy.
- [17] DP, dynamiczne pozycjonowanie statku – komputerowy system dokładnego manewrowania statkiem, umożliwiający utrzymywanie stałej pozycji na morzu. W system DP wyposażane są statki bazy nurków, dźwigi pływające, holowniki czy statki związane

z wykonywaniem prac dennych oraz obsługą platform wiertniczych i wydobywczych na morzu.

- [18] Wolfgang W.E. Samuel, *German Boy: A Refugee's Story*, Jackson 2000.
- [19] Jeden z morskich przesądów głosi, że gwizdanie na pokładzie spowoduje sztorm. Niegdyś gwizdanie na pokładzie żaglowców uznawano za wielkie przewinienie, a winnego karano umieszczeniem go na rei. Inny przesąd związany był z obecnością na pokładzie osoby, która przynosi pecha, a którą nazywano „Jonaszem”. Wiara w nieszczęście spowodowane na załogę i okręt przez obecność kobiety na pokładzie wynikała z rozpowszechnionego wśród angielskich marynarzy zwyczaju utożsamiania statku z kobietą i przekonania, że łajba może być zazdrosna.
- [20] Dewiza Orderu Podwiązki (Wielce szlachetny Order Podwiązki, The Most Noble Order of the Garter), najwyższego orderu brytyjskiego. Legenda głosi, że król Edward III na jednym z dworskich balów podniósł z posadzki podwiązkę, którą ku uciesze gości zgubiła jakaś dama. Król zawiązał ją na własnej nodze i wypowiedział słowa: „Hańba temu, kto źle o tym pomyśli, gdyż zrobię z niej najbardziej zaszczytną podwiązkę, jaka kiedykolwiek istniała”.
- [21] *Wyspa skarbów templariuszy*, wydana w 2004 roku książka autorstwa Erlinga Haagesena, duńskiego dziennikarza i autora filmów dokumentalnych, oraz Henry'ego Lincolna, współautora jednej z najgłośniejszych książek XX wieku – *Święty Graal, święta krew*.
- [22] Iłja Erenburg (1891–1967) – rosyjski pisarz, publicysta i poeta. Pierwsze swoje wiersze wydał we Francji, gdzie wyjechał przed rewolucją październikową. Korespondent wojenny. W 1944 roku był członkiem komisji rządowej (Komisja Burdenki), która za zbrodnię katyńską oskarżyła Niemców.
- [23] Shangri-La – według starohinduskich legend miasto założone przez przybyłych przed wiekami z nieba bogów. Podczas wojny poszukiwaniami jego pozostałości w Tybecie zajmowało się stowarzyszenie Thule, do którego należał sam Adolf Hitler.
- [24] Hiacynta Bouquet – bohaterka angielskiego serialu komediowego

Keeping Up Appearances (Co ludzie powiedzą).

- [25] Unia Kalmarska – unia personalna pomiędzy Danią, Szwecją i Norwegią, będąca efektem zabiegów politycznych duńskiej królowej Małgorzaty I, zawarta latem 1397 roku na zamku w Kalmarze w Szwecji.
- [26] „Den Store Ark” (Złota Arka) – nazwa okrętu wojennego (najpewniej była to koga lub holk) Eryka Pomorskiego, którym wraz z kilkudziesięcioma kompanami udał się na wygnanie na Gotlandię.
- [27] Thomas Kantzow (1505–1542) – pomorski kronikarz, autor nieukończonego trzypięciotomowego dzieła *Chronik von Pommern* opisującego dzieje Pomorza, które po jego śmierci zostało zebrane w jedną kronikę, nazwaną *Pomerania*.
- [28] Organisation Gehlen (Organizacja Gehlena) – pierwsza agencja wywiadowcza w powojennych Niemczech, założona przez Reinharda Gehlena, byłego szefa Fremde Heere Ost (Obce Armie Wschód), z udziałem służb specjalnych Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii, przekształcona w 1956 roku w Bundesnachrichtendienst (BND), Federalną Służbę Wywiadowczą.
- [29] Zimna wojna (z ang. *cold war*) – umowne określenie stosunków panujących w latach 1947–1991 pomiędzy państwami zachodnimi a ZSRR i Europą Wschodnią.
- [30] Hauptabteilung I (tzw. HA I) – wywiad wojskowy Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego Niemieckiej Republiki Demokratycznej (Ministerium für Staatssicherheit), potocznie nazywany Stasi.
- [31] Dirk Bogarde (1921–1999) – brytyjski aktor, pisarz i scenarzysta, znany m.in. z takich filmów jak *Zmierzch bogów* Luchino Viscontiego czy *O jeden most za daleko* Richarda Attenborough. W 1992 roku otrzymał od królowej Elżbiety II tytuł szlachecki.
- [32] ROV – zdalnie sterowany, bezzałogowy skuter podwodny, używany najczęściej w projektach badawczych lub przemysłowych. Określenie ROV (Remotely Operated Vehicle) pochodzi od nazwy produktów jednego z bardziej znanych producentów SeaBotix Inc.
- [33] Ilustracja wraku znalezionej łodzi oraz jego opis znalazły się

podobno w artykule lipskiego dziennika „Illustrierte Zeitung” z 18 stycznia 1873 roku.

- [34] Reichsarbeitsdienst (w skrócie RAD) – Służba Pracy Rzeszy, obowiązkowa praca wprowadzona w 1935 roku dla mężczyzn i kobiet pomiędzy 18. a 25. rokiem życia, traktowana jako honorowy obowiązek dla narodu niemieckiego.
- [35] *Polowanie na „Czerwony Październik”* – amerykański film sensacyjny z 1990 roku o ucieczce z ZSRR radzieckiego supernowoczesnego, eksperymentalnego okrętu podwodnego.
- [36] Operacja „Overlord” – inwazja aliantów we Francji, rozpoczęta słynnym D-Day, czyli lądowaniem w Normandii 6 czerwca 1944 roku. Operacja stanowiła początek działań wojennych na froncie zachodnim.
- [37] Operacja „Bolero”, poprzedzająca lądowanie w Normandii, rozpoczęta w kwietniu 1942 roku i polegająca na przerzucaniu żołnierzy i sprzętu ze Stanów Zjednoczonych do Wielkiej Brytanii.
- [38] *Imagine* – słynny utwór Johna Lennona z 1971 roku.
- [39] *Morderstwa w Midsomer (Midsomer Murders)* – popularny w Wielkiej Brytanii serial kryminalny, nadawany nieprzerwanie od dziewiętnastu lat.
- [40] *Blair Witch Project* – amerykański horror w konwencji paradokumentu z 1999 roku o grupie studentów, którzy wybierają się do lasów w stanie Maryland w celu nakręcenia filmu o wiedźmie z miejscowych legend i przepadają bez wieści.
- [41] *Koszmar minionego lata* – amerykański horror z 1997 roku, którego akcja dzieje się w niewielkiej nadmorskiej miejscowości, opowiadający o grupie nastolatków, prześladowanych przez mordercę w żółtym sztormiaku z hakiem w ręku.
- [42] Bear Grylls – nazywany „pierwszym skautem” Wielkiej Brytanii, brytyjski podróżnik i alpinista. Entuzjasta szkoły przetrwania, prowadzący znany program telewizyjny.
- [43] *The Game* – amerykański dreszczowiec z 1987 roku z Michaeliem Douglasem w roli głównej, w którym znudzony bankier otrzymuje tajemniczą przesyłkę z zaproszeniem do gry, mającej zmienić jego

życie.

- [44] Bandaż – potoczna nazwa zestawu naprawczego, używanego do szybkiej, tymczasowej naprawy i uszczelnienia przeciekających rur. Zestaw składa się z opaski przypominającej bandaż oraz płynu utwardzającego się pod wpływem temperatury. Zwykle bandaż moczy się w utwardzacz, a następnie owija się nim nieszczelną rurę.
- [45] Atrament sympatyczny, stosowany przez wojsko, miał najczęściej unikalny skład chemiczny, którego znajomość była potrzebna, żeby – nie niszcząc oryginału – za pomocą konkretnych odczynników „wywołać” ukryte pismo.
- [46] Świadectwo klasy statku, potocznie „klasa” – nadawane okresowo potwierdzenie spełniania wymogów technicznych zapewniających bezpieczeństwo żeglugi.
- [47] Morze terytorialne – pas wód o szerokości 12 mil morskich od najdalej wysuniętych linii nabrzeża, na którym obowiązuje prawodawstwo i władza państwa, do którego należy wybrzeże.
- [48] FSB – Federalna Służba Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej.
- [49] Automatic Identification System – system automatycznej identyfikacji i łączności, zapewniający wymianę danych w celu uniknięcia kolizji z innym statkiem. Włączony pozwala zidentyfikować jednostkę przez brzegowe systemy nadzorujące ruch.
- [50] Alaryk I (370–410) – król Wizygotów. W 410 roku podbił i zrujnował Rzym, wywożąc z niego gigantyczne bogactwa wraz ze skarbami z Świątyni Jerozolimskiej, ograbionej w roku 70 przez Tytusa Flawiusza. Według legend, skarby wraz z trumną zmarłego króla zostały ukryte pod dnem rzeki Busentos w Kalabrii, a wszyscy niewolnicy i jeńcy, którzy brali udział w tej pracy, zostali zamordowani, żeby nie zdradzili tajemnicy.

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

ul. Sienna 73

00-833 Warszawa

tel. +4822 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Dział zamówień: +4822 6286360

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Wersja elektroniczna: [MAGRAF s.c.](#), Bydgoszcz